

π

Prochy
Angeli

FRANK

McCOURT



FRANK McCOURT

Prochy
Angeli

Z angielskiego przełożyła
HANNA PAWLIKOWSKA-GANNON



WARSZAWA 2007

*Książkę tę dedykuję moim braciom:
Malachy'emu, Michaelowi, Alphonsusowi,
Uczę się od Was, podziwiam Was i kocham.*

Podziękowania

To krótki hymn na cześć kobiet.

R'lene Dahlberg rozniecała gasnący żar.

Lisa Schwarzbaum przeczytała początkowe strony i nie szczędziła mi zachęty.

Mary Breasted Smyth, sama subtelna powieściopisarka, po przeczytaniu jednej trzeciej tekstu przekazała go Molly Friedrich, która została moim agentem i uznała, że Nan Graham, redaktor naczelny wydawnictwa Scribner, będzie odpowiednią osobą, by wyprawić tę książkę w świat. Okazało się, że Molly miała rację.

Moja córka Maggie przekonała mnie, że życie może być wielką przygodą, a wspaniałe chwile w towarzystwie mojej wnuczki Chiary przypomniały mi cud dzieciństwa.

Moja żona Ellen, której przeczytałem cały tekst, pochwaliła mnie po wysłuchaniu ostatniej strony.

Jestem błogosławiony między mężczyznami.

I

Moi rodzice powinni byli zostać w Nowym Jorku, gdzie się poznali i pobrali i gdzie przyszedłem na świat. Wrócili jednak do Irlandii, kiedy ja miałem cztery lata, mój brat Malachy trzy, bliźnięta – Oliver i Eugene – zaledwie rok, a siostra Margaret już nie żyła.

Kiedy myślę o swoim dzieciństwie, zastanawia mnie, jak udało mi się przeżyć. Było to, naturalnie, żałosne dzieciństwo, bo nad szczęśliwym dzieciństwem w ogóle nie warto się zastanawiać. Gorsze od normalnego żałosnego dzieciństwa jest żałosne irlandzkie dzieciństwo, a jeszcze gorsze – żałosne irlandzkie dzieciństwo katolickie.

Ludzie zawsze chełpią się i biadolą z powodu nieszczęść wczesnych lat swojej egzystencji, ale nic nie może dorównać irlandzkiej wersji tego fenomenu, na który składają się: bieda, niezaradny, złotousty ojciec alkoholik; nabożna, przegrana matka jęcząca przy kominku; napuszeni księża; surowi nauczyciele i Anglicy wraz ze wszystkimi okropnościami, jakie nam wyrządzali przez osiem długich stuleci.

A przede wszystkim nieustająca wilgoć.

Nad Oceanem Atlantyckim zbierają się wielkie ściany deszczu, by przesunąć się powoli w górę rzeki Shannon i osiąść na stałe w Limerick. Deszcz spada na miasto od Nowego Roku aż po sylwestra. Powoduje kakofonię suchego kaszlu, bronchitowych rzężeń, astmatycznych gwizdów, gruźliczych pochrząkiwań. Zmienia nosy w fontanny, a płuca w przesiąknięte bakteriami gąbki. To z kolei prowokuje obfitość kuracji: na katar cebula ugotowana w mleku zasypanym pieprzem, na zatkanie dróg oddechowych papka z rozgotowanej mąki i pokrzywy, zawinięta w szmatę i gorąca przyłożona na piersi.

Od października do kwietnia mury miasta Limerick błyszczą od wilgoci. Ubrania nigdy nie schną, w tweedowych i wełnianych paltach bytują żywe organizmy, czasami toczy się w nich jakaś tajemnicza wegetacja. W pubach unosi się opar wilgotnych ciał i przyodziewku, wdychany wraz z dymem papierosów i fajek, z zastarzałym odorem rozlanego portera i whisky, z wonią szczyń dochodzącą z wychodka na zewnątrz, gdzie niejedna tygodniówka obraca się w rzygowiny.

Deszcz zapędzał nas do kościoła – było to nasze schronienie, nasza siła, nasze jedyne suche miejsce. Tłoczyliśmy się w wielkich, wilgotnych skupiskach na mszach, błogosławieństwach, nowennach, usypiani monotonnym głosem kapłana, a para unosząca się z ubrań mieszała się ze słodką wonią kadzideł, kwiatów i świec.

Limerick zyskał reputację miasta szczególnej pobożności, my jednak wiedzieliśmy, że krył się za tym wyłącznie deszcz.

Mój ojciec, Malachy McCourt, urodził się na farmie w Toome w hrabstwie Antrim. Podobnie jak wcześniej jego ojciec wzrastał jak dzikus, narażając się Anglikom, Irlandczykom, a może jednym i drugim. Walczył w starej IRA, a jakiś desperacki czyn zmusił go do ucieczki, bo wyznaczono cenę za jego głowę.

W dzieciństwie przyglądałem się ojcu, jego rzednącym włosom, rozchwianym zębom i zastanawiałem się, jak to możliwe, by ktokolwiek chciał płacić pieniądze za taką głowę. Kiedy miałem trzynaście lat, matka ojca zwierzyła mi tajemnicę: „Twój nieszczęsny ojciec jako niemowlak upadł na głowę. To był wypadek, ale od tej pory ojciec był już inny, bo trzeba pamiętać, że ludzie, którym zdarzyło się to w dzieciństwie, mogą być trochę dziwni”.

Właśnie z powodu ceny za tę głowę, na którą ojca upuszczono, musiano go po kryjomu wywieźć z Irlandii na statku handlowym odpływającym z Galway. W Nowym Jorku

panowała całkowita prohibicja, więc miał wrażenie, że umarł i w piekle pokutuje za grzechy. Ale odkrył niekoncesjonowane bary i uradowało się jego serce.

Po alkoholowych eskapadach w Ameryce i Anglii zaczął trochę podupadać na zdrowiu i zateęsknił za spokojem. Powrócił do Belfastu, który osaczył go ze wszystkich stron. Przeklinając wszystkie domy, gawędził jednak z kobietami z Andersontown. Kusiły go przysmakami, ale je odpędzał i spokojnie popijał herbatę. Już nie palił, nie tykał też alkoholu, zatem jaki to miało sens? Był już czas odejść, umarł więc w szpitalu Royal Victoria.

Moja matka, z domu Angela Sheehan, wyrosła w slumsach Limerick u boku swojej matki, dwójki braci, Thomasa i Patricka, i siostry Agnes. Nigdy nie widziała swego ojca, bo uciekł do Australii kilka tygodni przed jej urodzeniem.

Cały wieczór pił porter w pubach Limerick, a potem zataczał się na ulicze, wyśpiewując ukochaną pieśń:

*Skąd w zupie pani Murphy szmata?
Niech winny przyzna się, do kata!
Znamy te sztuczki Irlandczyka,
Więc chętnie spiorę tego byka,
Co szmatę w zupę wrzucił jej!*

Jest w doskonałej formie i chętnie pobawi się z maleńkim, rocznym Patrickiem. Co za chłopak! Kocha swego tatę. Śmieje się, kiedy tata podrzuca go do góry. „Hopla, hopsa, mały Paddy, hop i hop, aż do góry, gdzie tak ciemno, całkiem czarno!”.

„Jezus, nie złapiesz dzieciaka!”. Biedny Paddy łąduje na głowie, wydaje cichy bulgot, jęk i milknie. Babcia z trudem podnosi się z łóżka, ociężała, bo ma dziecko w brzuchu, moją matkę. Ledwie starcza jej siły, by podnieść Patricka z podłogi. Wydaje przeciągły jęk nad dzieckiem i krzyczy do dziadka:

– Wynoś się stąd! Wynoś się. Jeśli zostaniesz jeszcze minutę, wezmę siekiere, ty szalony pijaku. Na Boga, przez ciebie jeszcze zawisnę na szubienicy. Wynocha!

Dziadek broni się jak mężczyzna:

– Mam prawo przebywać we własnym domu.

Rzuciła się na niego, a on stracił rezon na widok wirującego derwisza z potłuczonym dzieckiem na rękę i zdrowym w brzuchu. Niepewnym krokiem wyszedł z domu, zatoczył się na ulicy, a zatrzymał się dopiero w Melbourne w Australii.

Mały Pat, mój wuj, już nigdy nie był taki jak przedtem. Wyrósł z głową wyraźnie rozmiękczoną, a jego lewa noga zawsze poruszała się w przeciwnym kierunku niż reszta ciała. Nigdy nie nauczył się czytać ani pisać, ale Bóg zesłał na niego inne błogosławieństwo. Kiedy jako ośmiolatek zaczął sprzedawać gazety, potrafił lepiej liczyć pieniądze niż sam minister skarbu. Nikt nie wiedział, dlaczego nazywano go Ab Sheehan, Opat, ale kochano go w całym Limerick.

Kłopoty mojej matki zaczęły się dokładnie z chwilą przyjścia na świat. Oto moja babka w łóżku szarpana bólami porodowymi modli się do świętego Gerarda Majelli, patrona kobiet przy nadziei. Siostra O'Halloran, akuszerka, świętecznie przystrojona. Jest wieczór sylwestrowy i pani O'Halloran niecierpliwie wyczekuje narodzin dziecka, bo spieszy się na przyjęcia i uroczystości.

– Przyj, kobieto, przyj! – mówi do babci. – Jezus Maria, Józefie święty, jak się nie pospieszysz, dzieciak urodzi się w Nowym Roku. I na co mi się wtedy przyda moja nowa suknia? Mniejsza o świętego Gerarda Majellę. Co może w takiej chwili pomóc mężczyzna, nawet święty? Święty Gerard Majella to ci dopiero coś!

Babcia zanosi teraz modły do świętej Anny, patronki trudnych porożeń. Ale dziecko nie chce się urodzić. Siostra O'Halloran proponuje, by babcia pomodliła się do świętego Judy, patrona spraw beznadziejnych.

„Święty Judo, patronie beznadziejnych spraw, pomóż mi, bo moje położenie jest beznadziejne”. Babcia stęka i prze; dokładnie o północy pokazuje się główka dziecka, główka mojej matki. W mieście Limerick rozlegają się gwizdy, klaksony, syreny, orkiestry dęte, głosy ludzi nawołujących i śpiewających „Szczęśliwego Nowego Roku”. Pora już zapomnieć o starym znajomym, wszystkie dzwony biją na Anioł Pański, siostra O'Halloran płacze nad zmarnowaną suknią, dziecko dalej w brzuchu, a ona czeka odświętnie ubrana. Dzieciaku, może wreszcie wyjdiesz, co? Babcia mocno prze i dziecko zjawia się na świecie: uroczą dziewczynką z ciemnymi kręconymi włoskami i smutnymi niebieskimi oczami.

– Wielki Boże – wzdycha siostra O'Halloran – to ci dopiero niezdecydowane dziecko, z głową w nowym roku, a tyłkiem w starym, a może to głowę miało w starym, a tyłek w nowym. Musi pani napisać do papieża, żeby zdecydował, kiedy się urodziło, a suknia jak raz przyda mi się na przyszły rok.

Dziewczynce dano imię Angela na pamiątkę dzwonów na Anioł Pański, które odezwały się o północy, w Nowy Rok, w chwili jej narodzenia, a także dlatego, że sama była jak aniołek.

*Kochaj jak za dziecinnych lat.
Gdy słaba, stara już i siwa,
Bo miłość matki wspomnisz rad,
Gdy ona w ziemi już spoczywa.*

W szkole Świętego Wincentego a Paulo Angela nauczyła się czytać, pisać i rachować. Kiedy miała dziewięć lat, jej edukacja dobiegła końca. Próbowwała potem sprzątań i jeszcze gorszych robót; otwierała nawet drzwi jako pokojówka w białym czepeczku, ale nie potrafiła się nauczyć koniecznego dygu, więc jej matka oznajmiła:

– Nie masz do tego głowy. Jesteś do niczego. Lepiej jedź do Ameryki, gdzie jest dość miejsca dla wszelkiej nieudacznosci. Dam ci na bilet.

Zdążyła do Ameryki akurat na pierwsze Święto Dziękczynienia w okresie wielkiego kryzysu. Poznała Malachy'ego na przyjęciu wydanym przez Dana MacAdoreya i jego żonę przy Classon Street w Brooklynie. Spodobała się Malachy'emu, a on spodobał się jej. Miał minę zbitego psa z powodu trzech miesięcy, które właśnie spędził w więzieniu za porwanie ciężarówki. Obaj z przyjacielem, Johnem McErlaine'em, uwierzyli w plotkę zasłyszana w nielegalnym barze, że ciężarówka wyładowana jest po brzegi puszkami wieprzowiny i fasoli. Żaden nie umiał prowadzić, więc policja szybko zwinęła samochód wyprawiający dziwne harce na Myrtle Avenue. Po przeszukaniu pojazdu policjanci nie mogli się nadziwić, po co porywaczom ciężarówka wyładowana pudłami guzików.

Skoro Angelę pociągała mina zbitego psa, a Malachy po trzech miesiącach więzienia cierpiał na samotność, musiało dojść do silnej „drzączki kolanowej”.

A mianem tym można określić czynność wykonywaną przy samej ścianie, kiedy mężczyzna i kobieta stają na palcach, napięci do tego stopnia, że z ekscytacji drżą im kolana.

To drżenie kolan doprowadziło Angelę do błogosławionego stanu i oczywiście nie obeszło się bez gadania. Angela miała kuzynki, siostry MacNamara – Delię i Philomenę; mężem pierwszej był Jimmy Fortune z hrabstwa Mayo, a drugiej Tommy Flynn z samego Brooklynu.

Delia i Philomena były kobietami dużymi, o obfitym biuście, odznaczały się ponadto pewną dozą gwałtowności. Kiedy kroczyły po chodnikach Brooklynu, późniejsze istoty schodziły z drogi, bo respekt się należał. Siostry wiedziały, co jest dobre, a co złe, wiedziały też, że każdą wątpliwość rozwiąże Jedyne, Święte, Rzymskie, Katolickie, Apostolskie Kościół.

Wiedziały, że niezamężna Angela nie ma prawa znajdować się w takim stanie i wobec tego należy podjąć określone kroki.

I kroki takie podjęto. W asyście Jimmy'ego i Tommy'ego siostry pomaszerowały do nielegalnego baru przy Atlantic Avenue, gdzie Malachy na pewno bywał w piątki, dni wypłaty, jeśli akurat miał pracę. Barman Joey Cacciamani próbował nie wpuścić sióstr, ale Philomena natychmiast poinformowała go, że jeśli nie chce postradać nosa ani drzwi do baru, to lepiej niech otworzy, tym bardziej że przychodzi w godnej sprawie.

– Dobra, dobra, co za przekleństwo z tymi Irlandczykami! – wymamrotał Joey.

Malachy w odległym kącie baru wyraźnie pobladł, uśmiechnął się niepewnie do biuściastych kobiet i zaproponował im kieliszeczek. Oparły się uśmiechowi i odrzuciły propozycję.

– Nie wiemy, z jakiego plemienia północnej Irlandii się wywodzisz – oświadczyła Delia.

– Zachodzi podejrzenie, że w twojej rodzinie mogą być prezbiterianie, co by tłumaczyło, dlaczego tak postąpiłeś z naszą kuzynką – powiedziała Philomena.

– Dajcie spokój, to nie jego wina, jeśli ma prezbiterian w rodzinie – łagodził sytuację Jimmy.

– Ty się lepiej zamknij! – poradziła Delia.

– To, co zrobiłeś tej nieszczęsnej dziewczynie, to hańba dla całej irlandzkiej rasy. Powinieneś się wstydzić! – nie wytrzymał Tommy.

– Wstydzę się – przyznał Malachy.

– Nikt cię nie prosił, żebyś się odzywał. Już dosyć szkód narobiłeś swoją gadaniną, więc nie otwieraj japy! – rozkazała Philomena.

– A kiedy masz zamkniętą japę, to ci powiem, że przyszliśmy tutaj, żebyś naprawił krzywdę wyrządzoną naszej nieszczęsnej kuzynce Angeli Sheehan – dodała Delia.

– No tak – stęknął Malachy. – Trzeba naprawić, to się naprawi. Chętnie postawię wam po kieliszeczku i sobie porozmawiamy.

– Wsadź sobie w tyłek kieliszeczek – zdenerwował się Tommy.

– Ledwie nasza kuzynka zeszła ze statku, a już ją dopadłeś. U nas, w Limerick, obowiązuje moralność, wiesz chociaż, co to takiego? Nie jesteśmy jak szarańcza z Antrim, gdzie pełno prezbiterian – powiedziała Philomena.

– On nie wygląda na prezbiterianina – oświadczył Jimmy.

– Ty się zamknij! – zarządziła Delia.

– Rzuca się też w oczy, że masz bardzo dziwne maniery – zauważyła Philomena.

– Naprawdę? – uśmiechnął się Malachy.

– Oczywiście – potwierdziła Delia. – Chyba te właśnie dziwne maniery najpierw nas uderzyły, czujemy się przez to nieswojo.

– Chodzi o ten nieszczerzy, prezbiteriański uśmieszek – wyjaśniła Philomena.

– Och, to dlatego, że mam kłopoty z zębami – powiedział Malachy.

– Bez względu na zęby czy dziwne maniery ożenisz się z tą dziewczyną – oznajmił Tommy. – Poprowadzisz ją do ołtarza.

– Ale ja nie zamierzałem się żenić. Nie mam pracy i nie będę mógł utrzymać... – tłumaczył Malachy.

– Ożenisz się jednak – oświadczyła Delia.

– Pójdziesz do ołtarza – powtórzył Jimmy.

– Ty się zamknij! – zakończyła Delia.

Malachy patrzył, jak wychodzili.

– Jestem w beznadziejnym szambie – powiedział do Joeya Cacciamanego.

– No chyba – przyznał Joey. – Jakby one coś chciały ode mnie, wskoczyłbym do rzeki.

Malachy rozważał swoją sytuację. Zostało mu w kieszeni jeszcze kilka dolarów z ostatniej wypłaty, miał także wuja w San Francisco czy gdzieś w Kalifornii. Czyż nie lepiej znaleźć się w Kalifornii, z dala od piersiastych sióstr MacNamara i ich srogich mężów? To nie ulega wątpliwości, więc należy jeszcze wypić kropelkę irlandzkiej, żeby uczcić rozsądną decyzję i wyjazd. Joey napełnił kieliszek, alkohol niemal rozszarpał wnętrze Malachy'ego. Ładna irlandzka! To jakaś prohibicyjna mieszanka prosto z szatańskiego tygła. Joey wzruszył ramionami. On przecież tylko nalewa. Ale jednak lepsze to niż nic, więc Malachy postanowił wypić jeszcze jeden i postawił Joeyowi. Zapytał przy okazji dwóch sympatycznych Włochów, czego się napiją. Nie ma sprawy, co za pytanie, naturalnie, że ma czym zapłacić.

Obudził się na ławce stacji kolejowej Long Island, policjant stukał go pałką w nogę. Pieniądzy na ucieczkę już nie miał, a siostry MacNamara w Brooklynie gotowe były pożreć go żywcem.

W zimny marcowy dzień świętego Józefa, cztery miesiące po „kolanowej drzącce”, Malachy poślubił Angelę, a w sierpniu urodziło się dziecko. W listopadzie Malachy się upił i uznał, że pora zgłosić narodziny syna. Chciał nadać chłopcu swoje imię, Malachy, ale pijacki bełkot w połączeniu z północnoirlandzkim akcentem tak skołował urzędnika, że na świadectwie napisał imię Męski.

Dopiero w końcu grudnia ochrzczono chłopca w kościele Świętego Pawła, nadając mu imię Francis na pamiątkę dziadka ze strony ojca i uroczego świętego z Asyżu. Angela chciała, żeby dać mu na drugie imię Munchin, bo tak nazywał się patron Limerick, ale Malachy powiedział, że po jego trupie. Nie ma mowy, żeby syn miał imię z Limerick. Dość trudno przejść przez życie z jednym imieniem. Wpychanie drugiego imienia to straszny amerykański zwyczaj, a zresztą po co drugie imię komuś, kto otrzymał na chrzcie imię świętego z Asyżu?

Chrzest się opóźnił, ponieważ John McErlaine, który miał być chrzestnym, upił się w nielegalnym barze i zapomniał o swoich obowiązkach. Philomena zarządziła, że jej mąż Tommy zostanie chrzestnym.

– Dusza dziecka znajduje się w niebezpieczeństwie – oznajmiła.

Tommy zwiesił głowę i wymamrotał:

– Dobrze, będę chrzestnym, ale nie odpowiadam za to, jeśli wyrosnie taki jak jego ojciec; będzie miał dziwne maniery i narobi nam tylko kłopotów. Niech wtedy idzie do Johna McErlaine'a i do nielegalnego baru.

– Masz rację, Tom, jesteś porządnym człowiekiem, twoja noga nigdy nie postąpiła w barze – potwierdził ksiądz.

W tym momencie Malachy, który dopiero co wyszedł z baru, poczuł się dotknięty i postanowił pogadać sobie z klechą, jakby jedno świętokradztwo nie wystarczyło.

– Zdejmij tę koloratkę, a zobaczymy, kto tu jest mężczyzną!

Musiły go powstrzymać piersiaste siostry i surowość ich mężów. Młoda matka, Angela, ze zdenerwowania zapomniała o tym, że trzyma dziecko, i wpuściła je do chrzcielnicy, nastąpiło więc pełne zanurzenie, jak u protestantów. Ministrant towarzyszący księdzu wyłowił niemowlę i podał Angeli, która ze szlochem przycisnęła do piersi ociekającego wodą chłopczyka. Ksiądz roześmiał się i stwierdził, że czegoś podobnego jeszcze nie widział: dziecko stało się kompletnym baptystą i kapłan już mu niepotrzebny. To znowu rozwścieczyło Malachy'ego, chciał się rzucić na księdza, że wyzywa dzieciaka od jakichś protestantów.

– Człowieku, uspokój się, jesteś w Domu Bożym! – strofował ksiądz.

A kiedy Malachy odparł: „Mam w dupie taki dom” – został wyrzucony na Court Street, bo nie można mówić „dupa” w Domu Bożym.

Po chrzcie Philomena powiedziała, że przygotowała u siebie herbatę, szynkę i ciastka.

– Herbatę? – spytał z niedowierzaniem Malachy.

– Owszem, a ty pewnie wolałbyś whisky?

Malachy stwierdził, że herbata bardzo mu odpowiada, ale najpierw musi rozprawić się z Johnem McErlaine'em, który nie miał na tyle przyzwoitości, by wywiązać się z obowiązku ojca chrzestnego.

– Szukasz pretekstu, żeby pójść do baru – powiedziała Angela.

– Bóg mi świadkiem, że alkohol to ostatnia rzecz, o jakiej mógłbym pomyśleć.

– Dzień chrztu twojego syna, a ty musisz iść do baru – rozpłakała się Angela. Delia oświadczyła, że Malachy jest obrzydliwym osobnikiem, ale w końcu czego można oczekiwać po Irlandczyku z Północy.

Malachy przyjrzał się każdemu po kolei, przestąpił z nogi na nogę, naciągnął czapkę głęboko na oczy, włożył ręce do kieszeni, westchnął tak, jak mają w zwyczaju mieszkańcy odległych zakątków hrabstwa Antrim, odwrócił się i odszedł pospiesznie Court Street do nielegalnego baru na Atlantic Avenue, miał bowiem pewność, że wszyscy klienci postawią mu kieliszek, by uczcić chrzest syna.

W domu Philomeny siostry wraz z mężami jadły i piły, podczas gdy zapłakana Angela siedziała w kącie i karmiła dziecko. Philomena z ustami wypchanymi chlebem i szynką mamrotała:

– Widzisz, do czego prowadzi głupota. Ledwo zeszedł z statku, zakochał się w tym idiocie. Nie trzeba było wychodzić za męża, tylko oddać dziecko do adopcji i dzisiaj byłabyś wolną kobietą.

Angela rozpłakała się jeszcze bardziej, więc Delia podjęła atak.

– Przestań, sama jesteś sobie winna, że masz kłopoty z tym pijakiem z Północy, ten człowiek nawet nie wygląda na katolika przez te dziwne maniery. Można powiedzieć, że... że Malachy jednak ma w sobie coś z protestanta. A ty się zamknij, Jimmy!

– Na twoim miejscu – powiedziała Philomena – postarałabym się, żeby nie było już więcej dzieci. On nie ma roboty, to fakt, ale przy takim picu nigdy nie będzie miał. No więc... Angelo, nie powinnaś mieć więcej dzieci. Słuchasz mnie?

– Słucham, Philomeno.

Rok później urodziło się następne dziecko. Angela dała mu imię Malachy, po ojcu, a na drugie Gerard, po bracie ojca.

Siostry MacNamara stwierdziły, że Angela niczym się nie różni od samicy królika i że nie chcą mieć z nią do czynienia, dopóki się nie opamięta.

Mężowie przyznali im rację.

Jestem na placu zabaw przy Classon Avenue w Brooklynie z moim bratem Malachym. On ma dwa lata, ja trzy. Siedzimy na huśtawce.

Do góry, na dół, do góry, na dół.

Malachy wznosi się do góry.

Ja schodzę z huśtawki.

Malachy spada. Huśtawka uderza o ziemię. On wrzeszczy. Trzyma rękę na ustach, widać krew.

O Boże! Krew to niedobrze. Mama mnie zabije.

O, już jest, usiłuje biec przez plac zabaw. Ale przeszkadza jej wielki brzuch.

– Co zrobiłeś? Co zrobiłeś temu dziecku? – powtarza.

Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, co zrobiłem.

Mama ciągnie mnie za ucho.

– Idź do domu. Do łóżka!

Do łóżka? W biały dzień?

Pcha mnie w stronę furtki.

– Idź!

Bierze Malachy'ego na ręce i niezdarne odchodzi.

Przed naszym budynkiem stoi przyjaciel ojca, pan MacAdorey. Stoi na skraju chodnika obok żony Minnie i patrzy na psa leżącego w rynsztoku. Koło głowy psa jest pełno krwi. W takim kolorze jak krew z ust Malachy'ego.

Malachy ma krew psa, a pies ma jego krew.

Pociągam pana MacAdoreya za rękę. Mówię mu, że Malachy ma taką krew jak pies.

– Rzeczywiście, Francis. Mają ją też koty. I Eskimosi. Wszyscy mają taką samą krew.

– Przestań, Dan – mówi Minnie. – Nie płacz dzieciakowi w głowie. – I tłumaczy mi, że biednego psiaka potrafił samochód i że pies, zanim zdechł, doczołgał się do rynsztoka ze środka jezdni. Nieszczęsne stworzenie chciało dojść do domu.

– Francis, lepiej idź do domu – mówi pan MacAdorey. – Nie wiem, co zrobiłeś swojemu małemu braciszкови, ale mama zabrała go do szpitala. Lepiej idź do domu.

– Panie MacAdorey, czy Malachy umrze, tak jak pies?

– Nie umrze, po prostu ugryzł się w język – wyjaśnia Minnie.

– A dlaczego pies umarł?

– Bo przyszła jego pora.

W mieszkaniu nie ma nikogo, więc krążę z jednej izby do drugiej, z sypialni do kuchni. Ojciec jest poza domem, bo szuka pracy, a mama poszła z Malachym do szpitala. Chciałbym coś zjeść, ale w chłodziarce są tylko liście kapusty umoczone w podtopionym lodzie. Ojciec powiedział, że bym nie jadł niczego, co pływa w wodzie, bo może być zgniłe. Usypiam na łóżku rodziców, a kiedy budzi mnie szarpanie mamy, jest już prawie ciemno.

– Twój braciszek trochę pości. O mało sobie nie odgryzł języka. Ma pełno szwów. Idź do drugiej izby.

W kuchni siedzi ojciec i pije herbatę bez mleka z dużego białego kubka. Bierze mnie na kolana.

– Tato, czy opowiesz mi o Ku-Ku?

– Cuchulain. Powtórz za mną: Ku-uu-lin. Opowiem ci, jak poprawnie wymówisz. Ku-uu-lin.

Wymawiam poprawnie i opowiada mi o Cuchulainie, który w dzieciństwie miał na imię Setanta. Dorastał w Irlandii, w hrabstwie Antrim, gdzie tata mieszkał jako chłopiec. Setanta miał kij i piłkę. Pewnego dnia odbił piłkę tak, że wpadła do pyska wielkiego psa, który należał do Culaina, i pies się zadławił. Culain był wściekły i mówił: „Nie mam już wielkiego psa, kto będzie teraz pilnował mojego domu, żony i dziesięciorga małych dzieci, nie mówiąc już o licznych świniach, kurach i owcach?”.

„Przykro mi – powiedział Setanta. – Będę teraz pilnował twojego domu z kijem i piłką i zmienię imię na Cuchulain, Pies Culaina”. Pilnował domu i okolicy, i został wielkim bohaterem, Psem Ulsteru. Tata powiedział, że większym niż Herkules czy Achilles, którymi stale przechwalają się Grecy; mógłby w uczciwej walce bez trudu poradzić sobie z królem Arturem i jego rycerzami, tyle że z Anglikami nie ma mowy o uczciwej walce.

Ta historia należy do mnie. Tata nie może jej opowiadać Malachy'emu ani innym dzieciom z naszego domu.

Tata skończył opowieść i pozwolił mi się napić swojej herbaty. Jest gorzka, ale czuję się bardzo szczęśliwy na jego kolanach.

Przez wiele dni Malachy ma spuchnięty język i nie może wydać głosu, a co dopiero mówić! Ale nawet gdyby mógł i tak nikt nie zwracałby na to uwagi, bo mamy dwójkę nowych dzieci, które anioł przyniósł w środku nocy. Sąsiedzi mówią: „Ale śliczni chłopcy, popatrzcie tylko na te wielkie oczy”.

Malachy stoi na środku pokoju, wznosi wzrok, pokazuje język i stęka: uuu, uu. Kiedy sąsiedzi mówią do niego: „Nie widzisz, że patrzymy na twoich braciszków?” – zaczyna płakać, aż w końcu tata klepie go po głowie.

– Schowaj język, synku, idź na dwór pobawić się z Frankiem. No już.

Na placu zabaw opowiadam Malachy’emu o psie, który umarł na ulicy, bo ktoś wepchnął mu do pyska piłkę. Malachy kręci głową. Nie piłka. Samochód zabił psa. Płacze, bo język go boli i nie bardzo może mówić, a to straszne, kiedy nie można mówić. Nie pozwala mi popychać huśtawki. Mamrocze:

– Zabiłeś mnie na huśtawce.

Pozwala, żeby popychał go Freddie Leibowitz; jest szczęśliwy i wybucha śmiechem, kiedy huśtawka wychyla się w stronę nieba. Freddie jest duży, ma siedem lat, ja też proszę, żeby mnie pohuśtał. Ale on odmawia:

– Nie, chciałeś zabić brata.

Sam próbuję rozbujać huśtawkę, ale udaje mi się jedynie poruszać ją w przód i w tył, więc jestem zły, bo Freddie i Malachy wyśmiewają się ze mnie, że nie potrafię się huśtać. Teraz są wielkimi przyjaciółmi – siedmioletni Freddie i dwuletni Malachy. Śmieją się codziennie, a od tego śmiechu język Malachy’ego goi się coraz szybciej.

Kiedy Malachy się śmieje, widać, jakie ma drobne, białe i ładne zęby i jak mu błyszczą oczy. Ma niebieskie oczy jak mama, złote włosy i różowe policzki. Moje oczy są piwne jak taty, włosy czarne, a w lustrze policzki wydają się białe. Naszej sąsiadce, pani Leibowitz, mama mówi, że Malachy jest najszczęśliwszym dzieckiem na świecie, a Frankie ma takie dziwne maniery jak jego ojciec. Zastanawiam się, co to są te dziwne maniery, ale nie mogę spytać, ponieważ nie powinienem podsłuchiwać.

Chciałbym huśtać się aż do nieba, aż w chmury. Mógłbym tak lecieć dokoła świata i wtedy nie słyszałbym w środku nocy krzyków moich braci, Olivera i Eugene’a. Mama wyjaśnia, że oni są stale głodni. Ona też płacze w środku nocy. Narzeka, że jest umęczona opieką, karmieniem i przewijaniem, że czterej chłopcy to dla niej trochę za dużo. Chciałaby mieć malutką dziewczynkę tylko dla siebie. Wszystko by dała za małą dziewczynkę.

Jestem z Malachym na placu zabaw. Mam cztery lata, on trzy. Pozwala mi bujać się na huśtawce, bo sam nie potrafi, a Freddie Leibowitz siedzi w szkole. Musimy bawić się tutaj, bo bliźniaki śpią, a mama mówi, że jest wykończona. „Idźcie się bawić, pozwólcie mi trochę odpocząć!”. Tata znowu szuka pracy, czasami przynosi do domu zapach whisky i śpiewa pieśni o cierpiącej Irlandii. Mama się złości: Irlandia może ją pocałować w dupę. Tata zauważa, że to akurat odpowiednie wyrażenia w obecności dzieci, a mama krzyczy, że mniejsza o język, ważne jest jedzenie na stole, a nie cierpienia Irlandii. Przeklina dzień, w którym zakończyła się prohibicja, bo tata chodzi teraz po barach i za szklaneczkę whisky czy piwa proponuje zamiatanie podłogi i noszenie beczek. Czasami przynosi do domu resztki bezpłatnego śniadania, żytni chleb, plasterki wołowiny, pikle. Stawia jedzenie na stole, a sam pije herbatę. Twierdzi, że jedzenie to szok dla organizmu, i zastanawia się, skąd u nas taki apetyt. Mama odpowiada:

– Mają taki apetyt, bo przeważnie umierają z głodu.

Kiedy tata ma pracę, mama jest wesoła i śpiewa.

*Że ja całować ciebie chcę,
To każdy wie,*

*Lecz jak zrozumieć można, że
Ty, właśnie ty, kochasz mnie.*

Kiedy tata przynosi do domu pierwszą tygodniówkę, mama jest zachwycona, że może spłacić tego miłego Włocha w sklepie spożywczym i znowu chodzić z podniesioną głową, bo nie ma nic gorszego niż mieć długi i zależeć od kogoś. Sprząta kuchnię, myje kubki i talerze, zmiata ze stołu resztki i okruchy, czyści wewnątrz chłodziarki i u innego Włocha zamawia nowy blok lodu. Kupuje papier, który możemy zabierać do toalety na korytarzu, bo, jak mówi, to jest lepsze niż czernienie sobie tyłków nagłówkami „Daily News”. Gotuje wodę na kuchni i spędza dzień przy wielkiej blaszanej balii, piorąc koszule i skarpetki, pieluszki bliźniaków, dwa nasze prześcieradła i trzy ręczniki. Wszystko wiesza na sznurach za blokiem i możemy patrzeć, jak bielizna tańczy w słońcu na wietrze. Mama twierdzi, że nieprzyjemnie jest, gdy sąsiedzi wiedzą, co się ma do prania, ale przecież nic nie dorówna miękkości rzeczy wysuszonych na słońcu.

Kiedy tata przynosi do domu pierwszą tygodniówkę w piątek wieczorem, wiemy, że koniec tygodnia będzie wspaniały. W sobotę mama nagotuje wody na kuchni i wymyje nas w wielkiej blaszanej balii, a tata będzie nas wycierał. Malachy obróci się i wypnie tyłek. Tata uda, że jest tym oburzony, i wszyscy będziemy się śmiać. Mama robi gorące kakao, pozwoli nam dłużej siedzieć w kuchni i słuchać historii wymyślanych przez ojca. Wystarczy tylko, że wymienimy nazwisko pana MacAdoreya albo pana Leibowitza, którzy mieszkają w tym samym korytarzu, a tata zacznie opowiadać, jak płyną łodzią po brazylijskiej rzece, ścigani przez Indian o zielonych nosach i brązowych ramionach. W takie wieczory możemy zasypiać ze świadomością, że na śniadanie będą jajka, smażone pomidory i chleb, herbata z cukrem i z mlekiem, a później wielki obiad: tłuczone kartofle, groszek z szynką i deser zrobiony przez mamę – warstwy owoców w cudownym, ciepłym budyniu na cieście nasączonym sherry.

Kiedy tata przynosi do domu pierwszą tygodniówkę i jest ładna pogoda, mama zabiera nas na plac zabaw. Siada na ławce i rozmawia z Minnie MacAdorey. Mama opowiada o różnych typach z Limerick, a Minnie – o różnych typach z Belfastu, i obie się śmieją, bo w Irlandii naprawdę są zabawni ludzie, i na północy, i na południu. A potem uczą się nawzajem różnych piosenek i wtedy obaj z Malachym zostawiamy huśtawki, siadamy z nimi na ławce i śpiewamy:

*Na wieczornym biwaku młodziutcy żołnierze,
Śmiejąc się, panny swoje wspominali.
Jeden z nich patrzył jedynie z oddali,
A smutkiem miał oczy zamglone.
Przyłącz się do nas, koledzy wołali,
Pewno niebawem zobaczysz swą żonę.
Ned głową pokręcił, nie ukrywał dumy:
Dwie mam miłości, obie aż do trumny;
Pierwsza to matka, za nią modły wznoszę,
A druga dziewczyna – ją o rękę proszę.*

Śpiewamy z Malachym piosenkę, a mama i Minnie śmieją się aż do łez, bo Malachy najpierw składa głęboki ukłon, a potem wyciąga do mamy obydwie ręce. Dan MacAdorey zatrzymuje się koło nas w drodze z pracy i mówi, że Rudy Vallee powinien się martwić, bo szykuje mu się konkurencja.

Kiedy wracamy do domu, mama robi herbatę i chleb z marmoladą albo tłuczone kartofle z masłem i z solą. Tata pije herbatę i nic nie je. Mama się dziwi:

– Wielki Boże, jak możesz nic nie jeść i pracować cały dzień?

Tata odpowiada:

– Herbata wystarczy.

Mama na to, że zrukuje sobie zdrowie, a on znowu powtarza, że jedzenie to szok dla organizmu. Pije herbatę, opowiada nam różne historie, pokazuje litery i słowa w „Daily News” albo pali papierosa, patrzy w ścianę i oblizuje wargi.

Ojciec pracuje trzeci tydzień i nie przynosi do domu pieniędzy. Czekamy na niego w piątkowy wieczór, mama daje nam chleb i herbatę. Robi się ciemno i na Classon Avenue zapalają się światła. Inni mężczyźni, którzy mają pracę, wrócili do domów, jedzą jajka na kolację, bo w piątek nie można jeść mięsa. Z góry, z dołu i z głębi korytarza słychać rozmowy rodzin, a w radiu Bing Crosby śpiewa „Bracie, możesz mi dać dychę”.

Malachy i ja bawimy się z bliźniakami. Wiemy, że mama nie zaśpiewa „Że ja całować ciebie chcę”. Siedzi przy kuchennym stole i głośno się zastanawia: „Co ja mam robić?”.

Już późno; ojciec wtacza się po schodach, śpiewając o Roddym McCorleyu. Staje w drzwiach.

– Gdzie moje oddziały? – woła. – Gdzie moich czterech wojowników?

– Zostaw chłopców w spokoju – prosi mama. – Poszli spać głodni, bo ty musiałeś napełnić brzuch whisky.

Ojciec podchodzi do drzwi sypialni.

– Wstawać, chłopcy! Dam miedziaka każdemu, kto gotów jest umrzeć za Irlandię.

W kanadyjskich lasów głębie

Przylecieli z wyspy jasnej.

Podziwiają nową ziemię,

Śniąc o tamtej, drogiej, własnej.

– Wstawać, chłopcy. Francis, Malachy, Oliver, Eugene! Oddział Czerwonych Rycerzy, Fenianie, IRA, wstawać!

Mama cała drżąca siedzi przy kuchennym stole, wilgotne włosy zwisają bezładnie, twarz ma mokrą od łez.

– Nie możesz zostawić ich w spokoju? Jezus Maria, Józefie święty, nie wystarczy, że przychodzisz do domu bez grosza, musisz jeszcze robić głupków z własnych dzieci? Wracajcie do łóżka! – poleca.

– Chcę, żeby wstali – powtarza ojciec. – Chcę, żeby byli gotowi na dzień, kiedy Irlandia będzie wolna, od morza do morza.

– Nie denerwuj mnie, bo twoja matka będzie miała powody do płaczu.

Ojciec naciąga na twarz czapkę i zawodzi:

– Moja nieszczęsna matka. Nieszczęsna Irlandia. Co my zrobimy?

– Jesteś skończonym idiotą – mówi mama i znowu każe nam wracać do łóżka.

W piątkowy poranek czwartego tygodnia pracy ojca mama pyta go, czy wróci wieczorem do domu z wypłatą, czy znowu wszystko przepije. Ojciec patrzy na nas i kręci głową, jakby chciał powiedzieć: „Nie powinnaś tak mówić przy dzieciach”.

Mama nie daje za wygraną:

– Pytam, czy wrócisz do domu i będziemy mogli zjeść kolację, czy przyjdiesz dopiero o północy bez pieniędzy, za to z Kevinem Barrym i resztą smutnych pieśni na ustach.

Ojciec nakłada czapkę, wpycha ręce do kieszeni spodni, wzdycha i patrząc w sufit, oświadcza:

– Powiedziałem ci już, że przyjdę do domu.

Później w ciągu dnia mama nas ubiera. Wsadza bliźniaki do wózka i ruszamy długimi ulicami Brooklynu. Czasami, kiedy Malachy jest zmęczony dreptaniem obok niej, mama pozwala mu przysiąść na wózku. Mówi, że ja jestem za duży na wózek; mógłbym

odpowiedzieć, że bolą mnie nogi, bo staram się za nią nadążyć, ale mama nie śpiewa i wiem, że to nie jest odpowiednia pora, by opowiadać o moich cierpieniach.

Dochodzimy do dużej bramy, przy której w baraku z oknami stoi mężczyzna. Mama z nim rozmawia. Chce się dowiedzieć, czy może wejść do środka, gdzie ludzie biorą wypłaty, może dostanie część pieniędzy taty, dzięki czemu nie zostaną wydane w barach. Mężczyzna kręci głową.

– Przykro mi, proszę pani, ale gdybyśmy do tego dopuścili, tłoczyłaby się tu połowa żon z Brooklynu. Wielu ma problemy z alkoholem, ale nic na to nie możemy poradzić, dopóki przychodzą do pracy trzeźwi.

Czekamy po drugiej stronie ulicy. Mama pozwala mi usiąść na chodniku i oprzeć się plecami o mur. Daje bliźniakom butelki ze słodzoną wodą; Malachy i ja musimy czekać, aż dostanie od taty pieniądze, wtedy pójdziemy do Włocha po herbatę, chleb i jajka.

Kiedy o wpół do szóstej rozlega się gwizdek, przez bramę wylewa się tłum mężczyzn w czapkach i kombinezonach, twarze i ręce mają czarne od pracy. Mama poleca, żebyśmy pilnie wypatrywali taty, ponieważ sama ma tak słaby wzrok, że ledwie widzi drugą stronę ulicy. Wychodzi jeszcze kilkunastu mężczyzn, potem kilku, aż wreszcie nie widać nikogo. Mama płacze. Dlaczego wam się nie udało?

Wraca do mężczyzny w baraku.

– Jest pan pewien, że nie został w środku żaden pracownik?

– Tak, proszę pani. Wszyscy wyszli. Nie rozumiem, jak mógł się przemknąć.

Wracamy przez długie brooklyńskie ulice. Bliźniaki ściskają butelki i płaczą, bo chcą jeszcze wody z cukrem. Malachy mówi, że jest głodny, a mama prosi, żeby chwilę wytrzymał, dostaniemy od taty pieniądze i zjemy dobrą kolację. Pójdziemy do Włocha, kupimy jajka, zrobimy grzanki i posmarujemy je marmoladą. Na pewno. I wszystkim będzie przyjemnie i ciepło.

Na Atlantic Avenue jest ciemno, oświetlone są tylko wszystkie bary wokół stacji kolejowej Long Island; dobiega z nich gwar. Chodzimy od baru do baru w poszukiwaniu taty. Mama zostawia nas z wózkami na zewnątrz, a sama wchodzi do środka albo wysyła mnie. Jest tam tłum rozkrzyczanych mężczyzn, unosi się zatechły odór, który przypomina mi tatę, kiedy wraca do domu i pachnie whisky.

Mężczyzna za barem pyta:

– Synku, czego chcesz? Wiesz, że nie powinieneś tu wchodzić?

– Szukam ojca. Czy jest tu mój ojciec?

– Synku, skąd miałbym to wiedzieć? Kto jest twoim ojcem?

– Nazywa się Malachy i śpiewa Kevina Barry'ego.

– Malarkey?

– Nie, Malachy.

– Malachy? I śpiewa Kevina Barry'ego? Chłopaki, znacie Malachy'ego, co śpiewa Kevina Barry'ego?! – woła do mężczyzn w barze.

Mężczyźni kręcą głowami przecząco. Jeden mówi, że znał Michaela, który śpiewał Kevina Barry'ego, ale umarł z przepicia; w nałóg wpędziły go rany z wojny.

– Jezus, Pete, nie pytałem o historię świata! – denerwuje się barman. – Słuchaj, mały. Tutaj nie pozwalamy śpiewać. Z tego są tylko kłopoty. Zwłaszcza z Irlandczykami. Wystarczy im pozwolić na śpiewy, a za chwilę idą w ruch pięści. Zresztą nigdy nie słyszałem imienia Malachy. Nie ma tu żadnego Malachy'ego.

Mężczyzna o imieniu Pete wyciąga kieliszek w moją stronę.

– Chodź, mały, łyknij sobie!

Barman protestuje:

– Co ty, Pete, chcesz upić dzieciaka? Zrobisz to jeszcze raz, a osobiście skręcę ci kark.

Mama próbuje we wszystkich barach wokół stacji, dopiero wtedy rezygnuje. Opiera się o ścianę i płacze.

– Chryste, musimy jeszcze dojść na Classon Avenue, a mam czwórkę dzieci umierających z głodu.

Wysyła mnie z powrotem do baru, w którym Pete proponował mi łyk alkoholu, żebym poprosił barmana o wodę dla bliźniaków, może z odrobiną cukru. Mężczyźni w barze śmieją się, że barman ma napełniać butelki dla niemowlaków, ale barman jest wielki i krzyczy, żeby się zamknęli. Mówi mi, że niemowlęta powinny pić mleko, nie wodę, a kiedy wyjaśniam, że mama nie ma na to pieniędzy, wylewa z butelek wodę i napełnia je mlekiem.

– Powiedz mamie, że to im potrzebne na zęby i na kości. Po wodzie z cukrem mogą najwyżej dostać krzywicy. Powiedz to mamie.

Mama cieszy się z mleka. Twierdzi, że doskonale wie o zębach i kościach, i o krzywicy, ale żebracy nie mogą grymasić.

Kiedy dochodzimy do Classon Avenue, mama zmierza prosto do Włocha, do sklepu spożywczego. Mówi mu, że mąż się spóźnia, że pewnie pracuje po godzinach, czy mogłaby wziąć kilka rzeczy na kredyt, a jutro na pewno odda pieniądze.

– Pani zawsze wcześniej czy później spłaca długi, może pani brać, co pani chce – godzi się Włoch.

– Och, nie chcę tak wiele.

– Co pani chce, wiem, że jest pani uczciwą kobietą z gromadką miłych dzieciaków.

Jemy jajka, grzanki, marmoladę, ale tak nas zmęczył marsz długimi ulicami Brooklynu, że z trudem poruszamy szczękami. Bliźnięta usypiają po jedzeniu, więc mama kładzie je na łóżku i zmienia pieluszki. Wysyła mnie na koniec korytarza, żebym wypłukał brudne pieluszki w toalecie; powiesi się je i wysuszy, będą gotowe do użycia następnego dnia. Malachy pomaga mamie umyć tyłki bliźniaków, chociaż sam prawie zasypia.

Wślizguję się do łóżka do Malachy’ego i bliźniaków. Patrzę na mamę, która siedzi przy kuchennym stole, pali papierosa, pije herbatę i płacze. Chciałbym wstać i powiedzieć jej, że już niedługo będę mężczyzną, dostanę pracę w tym miejscu z wielką bramą, będę wracał do domu w każdy piątek z pieniędzmi na jajka, grzanki i marmoladę, a ona znów będzie mogła śpiewać „Że ja całować ciebie chcę”.

W następnym tygodniu tata traci pracę. W piątek po przyjsciu do domu ciska wypłatę na stół i zwraca się do mamy:

– Jesteś zadowolona? Wystajesz pod bramą narzekasz, oskarżasz, to mnie wyrzucają. Czekali tylko na pretekst, którego im dostarczyłaś.

Bierze kilka dolarów z wypłaty i wychodzi. Wraca późno z wrzaskiem i śpiewem. Bliźnięta płaczą, mama je uciska i sama potem bardzo długo płacze.

Spędzamy wiele godzin na placu zabaw, kiedy bliźniaki śpią, kiedy mama jest zmęczona albo kiedy tata po powrocie pachnie whisky i śpiewa na cały głos o Kevinie Barrym, powieszonym w poniedziałek rano, czy o Roddym McCorleyu.

*Po ulicy wąskiej w górą
Idzie młodzian roześmiany
Z szyją oplecioną sznurem
I strzechą włosów rozwianych.
Suche są niebieskie oczy
Bo Roddy McCorley jak należy dumny
Na spotkanie śmierci kroczy
Dzisiaj na moście w Toome.*

Kiedy śpiewa, chodzi dokoła stołu. Mama płacze, a bliźniaki wyją razem z nią.

– Frankie, Malachy, wyjdźcie na dwór. Nie powinniście oglądać ojca w takim stanie. Idźcie na plac zabaw! – nakazuje.

Nie mamy nic przeciwko temu. Możemy bawić się liśćmi, które gromadzą się na ziemi, możemy się huśtać, dopóki na Classon Avenue nie zawita zima, huśtawki nie zamarzną i nie da się ich poruszyć.

– Niech Bóg się zlituje nad tymi nieszczęsnymi chłopcami – mówi wtedy Minnie MacAdorey. – Nie mają nawet jednej rękawiczki!

To mnie rozśmiesza, ponieważ wiem, że wspólnie z Malachym mamy cztery ręce, więc jedna rękawiczka wyglądałaby głupio. Malachy nie wie, z czego się śmieje; dopóki nie skończy czterech lat, właściwie nic nie będzie wiedział.

Minnie zabiera nas do siebie, częstuje herbatą i płatkami owsianymi z marmoladą. Pan MacAdorey siedzi na fotelu z niemowlęciem Maisie. Trzyma jej butelkę i śpiewa:

*Klaskaj w rączki, klaskaj,
Aż tata wróci do domu,
Przyniesie Maisie pączka
I nie da go nikomu.
Klaskaj w rączki, klaskaj,
Aż powróci tata,
Przyniesie pieniążki
Dla swojego skrzata.*

Malachy próbuje śpiewać tę piosenkę, ale każe mu przestać, bo to piosenka Maisie. Zaczyna płakać, więc Minnie go pociesza:

– Cicho, nie płacz. Możesz śpiewać. To piosenka dla wszystkich dzieci.

Pan MacAdorey uśmiecha się do Malachy'ego, a ja się zastanawiam, co to za świat, w którym każdy może śpiewać piosenkę należącą do kogoś innego.

– Nie marszcz brwi, Frankie – zwraca się do mnie Minnie. – Twoja buzia robi się bardzo ponura, a Bóg świadkiem, że i tak jest wystarczająco posępna. Będziesz miał kiedyś siostrzyczkę i wtedy zaśpiewasz jej tę piosenkę. Na pewno będziesz miał siostrzyczkę.

Minnie ma rację, życzenie mamy się spełnia. Wkrótce pojawia się nowe dziecko, dziewczynka, której dają imię Margaret. Kochamy ją wszyscy, ma czarne kręcone włosy i niebieskie oczy jak mama, macha małymi rączkami i ćwierka jak ptaszki na drzewach wzdłuż Classon Avenue. Minnie twierdzi, że w niebie panowało święto, kiedy stworzono to dziecko. Pani Leibowitz zauważa, że nigdy nie widuje się takich oczu, takiego uśmiechu, takiego szczęścia. Na jej widok mam ochotę tańczyć – powiada.

Kiedy tata po szukaniu pracy przychodzi do domu, bierze Margaret na ręce i śpiewa:

*W cienistym kącie księżycowej nocy
Wytropiłem krasnoludka.
Czerwoną miał czapkę, zielony żupanek,
A u boku wina dzbanek.
Klip, klap, klip, stukał jego młotek
W krasnoludkowy malusieńki botek.
Z tak bliska go zobaczyłem,
Że aż dobrą wróżkę tym rozweseliłem.*

Chodzi z Margaret wokół kuchni i cały czas do niej przemawia. Mówi, jaka jest urocza z tymi kręconymi czarnymi włosami i niebieskimi oczami matki. Obiecuje, że zabierze ją do Irlandii i będą spacerować po dolinach hrabstwa Antrim i kąpać się w jeziorze Neagh. Wkrótce znajdzie pracę, na pewno znajdzie, a wtedy ona będzie miała sukienki z jedwabiu i buciki ze srebrnymi klamerkami.

Im dłużej tata śpiewa, tym rzadziej Margaret płacze, a z czasem zaczyna się nawet śmiać.

– Popatrzcie tylko na niego, jak próbuje tańczyć z dzieckiem na ręku. Na tych swoich dwóch lewych nogach. – Mama się śmieje i wszyscy jej wtórujemy.

Kiedy bliźniaki były małe, też płakały, a wtedy mama i tata mówili: sza i pst, karmili je, i bliźniaki z powrotem zasypiały. Ale gdy płacze Margaret, w powietrzu unosi się dziwne uczucie smutku; tata w ciągu sekundy wyskakuje z łóżka, tuli ją, wykonuje powolny taniec wokół stołu, podśpiewuje i wydaje takie dźwięki jak mama. Kiedy zbliża się do okna, przez które wpada światło ulicznej latarni, na jego policzkach widać łzy, co jest niezwykle, bo tata nigdy nad nikim nie płacze, chyba że się napije i śpiewa pieśni o Kevinie Barrym i Roddym McCorleyu. A teraz płacze nad Margaret i wcale nie czuć od niego alkoholu.

– On jest nieprzytomny z powodu tego dziecka – zwierza się mama Minnie MacAdorey. – Odkąd się urodziła, nie wziął do ust ani kropelki. Już dawno powinnam mieć małą dziewczynkę.

– Prawda, że dziewczynki są cudowne? – pyta Minnie. – Chłopcy też są wspaniali, ale trzeba koniecznie mieć dziewczynkę, tylko dla siebie.

– Dla siebie? – śmieje się mama. – Przecież gdybym jej nie karmiła, nie mogłabym się do niej nawet zbliżyć, on chce ją nosić i przytulać dzień i noc.

Minnie dodaje, że to jednak cudownie, kiedy ojciec jest tak oczarowany swoją córeczką. Która zresztą oczarowała wszystkich.

Wszystkich.

Bliźnięta potrafią już stać i chodzić, i co chwila coś im się przydarza. Mają rany na tyłkach, bo ciągle są mokre i obsrane. Kładą sobie do buzi różne brudy, kawałki papieru, pióra, sznurowadła, a potem rzygają. Mama narzeka, że doprowadzają ją do szaleństwa. Ubiera obu, wsadza do wózka, a Malachy i ja zabieramy ich na plac zabaw. Skończyły się zimna i drzewa na całej Classon Avenue mają zielone liście.

Biegamy z wózkiem po placu zabaw, bliźnięta śmieją się i wołają: gu, gu, a kiedy robią się głodne, zaczynają płakać. W wózku są dwie butelki napełnione wodą z cukrem; to na chwilę uspokaja bliźniaki, ale potem znowu dokucza im głód i beczą tak strasznie, że sam nie wiem, co robić, bo są tacy mali i chciałbym dać im dużo jedzenia, żeby mogli się śmiać i gaworzyć po dziecinnemu. Lubią papki, które mama przyrządza w garnku, chleb rozgniaty w mleku i dodaje wodę z cukrem. Nazywa to przysmakiem chlebowym.

Gdybym teraz zawiózł bliźniaki do domu, mama wrzeszczałaby na mnie, że nie daję jej odpocząć i budzę Margaret. Musimy czekać na placu zabaw, dopóki mama nie wychyli się przez okno i nas nie zawoła. Robię różne śmieszne miny, żeby bliźniaki przestały płakać. Kładę sobie na głowie kawałek papieru, który spada, a bliźniaki zanoszą się od śmiechu. Kieruję wózek w stronę huśtawki, gdzie Malachy bawi się z Freddie Leibowitzem. Malachy próbuje opowiedzieć Freddiemu, w jaki sposób Setanta stał się Cuchulainem. Mówię, żeby przestał, bo to moja historia. On nie słucha. Szturcham go, a on ryczy i grozi, że poskarży mamie. Freddie mnie popycha, robi mi się ciemno przed oczami, rzucam się na niego z pięściami i kolanami, aż zaczyna wrzeszczeć, żebym przestał, ale ja nie przestaję, bo nie mogę, bo nie wiem jak, bo gdybym przestał, Malachy dalej zabierałby mi moje historie. Freddie odtrąca mnie i ucieka z krzykiem:

– Frankie chciał mnie zabić, Frankie chciał mnie zabić!

Nie wiem, co robić, bo jeszcze nigdy nie próbowałem nikogo zabić, a teraz Malachy wykrzykuje z huśtawki:

– Frankie, nie zabijaj mnie!

Ma tak bezbronną minę, że pomagam mu zejść. Obejmuje mnie. „Nie będę już opowiadał twojej historii. Nie powiem Freddiemu o Ku-Ku”. Mam ochotę się roześmiać, ale nie mogę, bo bliźniaki w wózku płaczą, a na placu zabaw jest ciemno, więc co za sens robić śmieszne miny i pozwalać na to, by różne rzeczy spadały z głowy, skoro bliźniaki i tak tego nie zobaczą.

Po drugiej stronie ulicy jest włoski sklep, widzę tam banany, jabłka, pomarańcze. Wiem, że bliźniaki mogą jeść banany. Malachy uwielbia banany, ja też lubię. Jednak potrzebne są pieniądze. Włosi nie słyną z rozdawania bananów, zwłaszcza rodzinie McCourtów, która winna im jest jeszcze za artykuły spożywcze.

Mama stale powtarza, że nigdy, przenigdy nie wolno mi opuszczać placu zabaw, chyba że wracam do domu. Ale co mam zrobić z bliźniakami, które wrzeszczą w wózku z głodu?

Mówię Malachy’emu, że za chwilę wrócę. Upewniam się, że nikt mnie nie widzi, porywam wiązkę bananów sprzed sklepu Włocha, pędzę po Myrtle Avenue w kierunku przeciwnym do placu zabaw, aż do następnej przecznicy, tamtędy wracam i wchodzę przez dziurę w płocie na końcu ulicy. Pchamy wózek w ciemny kąt i dopiero tam obieramy banany dla bliźniaków. Wiązka składa się z pięciu bananów, więc ucztuujemy w ciemnym kącie. Bliźniaki siorbią, mamlą i paprzą bananami buzie, włosy i ubranie. Zdaję sobie sprawę, że spowoduje to wiele pytań. Mama będzie chciała wiedzieć, dlaczego bliźniaki upaprane są bananami, skąd je wzięły. Nie mogę jej powiedzieć o narożnym sklepiku Włocha. Będę musiał skłamać, że dostaliśmy je od jakiegoś mężczyzny.

Tak właśnie powiem. Od jakiegoś mężczyzny.

I wtedy dzieje się coś dziwnego. Przy furtce placu zabaw staje jakiś mężczyzna. Woła mnie. O Boże, to Włoch.

– Hej, synku, chodź no tutaj. Mówię do ciebie. Chodź tu!

Idę.

– To ty masz małych bratów, tak?

– Tak, proszę pana.

– Masz tu torbę owoców. Nie daję ci ich, ja je wyrzucam. Rozumiesz? Więc weź torbę. Są tam jabłka, pomarańcze i banany. Lubisz banany, prawda? Chyba lubisz. Cha, cha, cha, wiem, że lubisz. No to weź torbę. Masz bardzo miłą mamę. A tata? No, sam wiesz, że ma problemy, jak każdy Irlandczyk. Daj tym bliźniakom banana. Przynajmniej się zamkną, bo słyhać ich aż po drugiej stronie ulicy.

– Dziękuję panu.

– Rany, jaki grzeczny dzieciak! Gdzieżeś się tego nauczył? Od ojca? To ci dopiero!

Tata czyta przy stole gazetę. Mówi, że prezydent Roosevelt to dobry człowiek i wkrótce wszyscy w Ameryce będą mieli pracę. Mama siedzi przy drugim końcu stołu i karmi Margaret z butelki. Ma zaciętą minę, która mnie przeraża.

– Skąd wzięłeś te owoce?

– Od jednego pana.

– Jakiego pana?

– Od Włocha.

– Czy ukradłeś te owoce?

– Dał ten pan. Frankie dostał torbę od pana – mówi Malachy.

– A co zrobiłeś Freddiemu Leibowitzowi? Była tu jego mama. Taka miła kobieta. Nie wiem, jak bym sobie poradziła bez niej i Minnie MacAdorey. A ty musiałeś zaatakować biednego Freddiego.

Malachy podskakuje. Do góry i na dół.

– To nieprawda! Nieprawda! On wcale nie chciał zabić Freddiego. Mnie też nie chciał zabić!

– Pst, Malachy, pst. Chodź tutaj! – przywołuje go tata i bierze na kolana.

– Idź i przeproś Freddiego! – poleca mama.

– Czy chcesz go przeprosić? – pyta w tym momencie tata.

– Nie.

Rodzice patrzą na siebie.

– Freddie to dobry chłopiec – mówi tata. – Huśtał twojego brata, prawda?

– Chciał ukraść moją historię o Cuchulainie.

– Daj spokój, Freddiemu wcale na niej nie zależy. Ma swoje własne historie. Setki historii. On jest Żydem.

– Co to znaczy: Żydem?

Tata się śmieje.

– Żydzi to... Żydzi to ludzie, którzy mają własne historie. Nie potrzebują Cuchulaina. Mają Mojżesza. I Samsona.

– A kto to Samson?

– Jeśli pójdziesz porozmawiać z Freddie, to później opowiem ci o Samsonie. Powiesz mu, że ci bardzo przykro i że już nigdy tego nie zrobisz. Możesz go nawet zapytać o Samsona. Wszystko ci wolno, jeśli tylko porozmawiasz z Freddie. Zgoda?

Margaret, którą mama trzyma na rękach, krzyczy; tata zrywa się na równe nogi i Malachy spada z jego kolan.

– Nic jej nie jest?

– Oczywiście, że nic jej nie jest – odpowiada mama. – Po prostu je. Zrobiłeś się kłębkim nerwów.

Rozmawiają teraz o Margaret, o mnie zapomnieli. Ale nie zależy mi. Idę zapytać Freddiego o Samsona, przekonam się, czy Samson jest równie dobry jak Cuchulain, przekonam się, czy Freddie ma własną historię, czy też ciągle zamierza ukraść mi Cuchulaina. Malachy chce iść ze mną, skoro tata stoi i nie ma jak usiąść mu na kolanach.

– O, Frankie, wejdź – mówi pani Leibowitz. – I mały Malachy. Powiedz mi, Frankie, co zrobiłeś Freddiemu? Chciałeś go zabić? Freddie jest dobrym chłopcem. Czyta swoje książeczki. Razem z tatą słucha radia. Huśda twojego brata na huśdawce. A ty chciałeś go zabić. Oj, Frankie, Frankie. Biedna twoja matka z tym chorym niemowlęciem.

– Margaret nie jest chora, pani Leibowitz.

– Jest chora. To jest chore niemowlęcie. Ja wiem o chorych niemowlęciach. Pracuje w szpitalu. Nie mów mi, Frankie. Chodź, wejdź. Freddie, jest Frankie. Wychodź, Frankie już cie nie zabije. Ciebie i małego Malachy. Ładne żydowskie imię. Kawałek ciasta, co? Dlaczego ciebie dali żydowskie imię, co? Szklankę mleka, ciasto kawałek, co? Takie chude chłopcy, Irlandczycy nie jedzą.

Siedzimy z Freddie przy stole, pijemy mleko, jemy ciasto. Pan Leibowitz siedzi w fotelu, czyta gazetę i słucha radia. Czasami mówi coś do pani Leibowitz, ale nic nie rozumiem, bo z jego ust wydobywają się dziwne dźwięki. Ale Freddie rozumie. Wstaje i zanosz panu Leibowitzowi kawałek ciasta. Pan Leibowitz uśmiecha się i głaszcze Freddiego po głowie, Freddie też się uśmiecha i wydaje te dziwne dźwięki.

Pani Leibowitz kręci głową nad Malachym i nade mną.

– Oj, jakie chude – mówi.

Tak często powtarza: oj, że Malachy wybuchł śmiechem i mówi: oj; cała rodzina Leibowitzów mu wtóruje, a pan Leibowitz wypowiada słowa, które możemy zrozumieć: „kiedy śmieją się irlandzkie ojczka”. Pani Leibowitz tak się zaśmiewa, aż trzyma się za brzuch, Malachy znowu mówi: oj, bo wie, że tym wszystkich rozbawia. Ja też mówię: oj, ale

nikt się nie śmieje. Teraz wiem, że „oj” należy do Malachy’ego, tak jak Cuchulain należy do mnie, więc zostawiam bratu to jego „oj”.

– Pani Leibowitz, mój tata mówi, że Freddie ma ulubioną historię.

– Sam, Sam, oj – podpowiada Malachy i wszystkich znów pobudza do wesołości, tylko nie mnie, bo zapomniałem, jak to słowo idzie dalej. Sam... Freddie mamrocze z ustami pełnymi ciasta: Samson, a pani Leibowitz zwraca mu uwagę:

– Nie mów z pełną busią.

I to mnie rozśmiesza, bo przecież ona jest dorosła i mówi „busia” zamiast „buzia”. Malachy śmieje się dlatego, że ja się śmieję, a państwo Leibowitzowie patrzą na siebie i też się uśmiechają.

– Nie Samson – mówi Freddie. – Najbardziej lubię historię o Dawidzie i olbrzymie Goliacie. Dawid zastrzelił go z procy, walnął go kamieniem w głowę. Mózgi mu wyleciały na ziemię.

– Mózg – poprawia pan Leibowitz.

– Tak, papo.

Papo. Tak Freddie nazywa swego ojca, a ja mówię do swojego „tato”.

Budzi mnie szept mamy.

– Co się dzieje z tym dzieckiem?

Jest jeszcze wcześniej i w pokoju właściwie nie ma ranka, ale widać, że przy oknie stoi tata i trzyma na rękach Margaret. Kołysze ją i wzdycha.

– Czy ona... czy ona jest chora? – pyta mama.

– Jest bardzo spokojna i troszkę jakby zmarznięta.

Mama wyskakuje z łóżka i bierze dziecko.

– Idź po lekarza. Na miłość boską, idź!

Tata wciąga spodnie na koszulę, bez kurtki, buty bez skarpetek w taki zimny dzień.

Czekamy w pokoju, bliźnięta śpią w końcu łóżka. Malachy wierci się obok mnie.

– Frankie, chcę się napić wody.

Mama kołysze się na łóżku z niemowlęciem w ramionach.

– Och, Margaret, mój skarbie. Otwórz swoje śliczne niebieskie śleпки, moja najdroższa.

Napełniam wodą kubek, dla Malachy’ego i dla mnie, a mama zawodzi:

– Woda dla ciebie i dla twojego brata. Rzeczywiście! Woda, tak? A nic dla siostrzyczki, co? Dla nieszczęsnej siostrzyczki. Nawet nie zapytałeś, czy też by się nie napiła. Nic podobnego! Pijecie sobie wodę razem z bratem, jakby nigdy nic. Dla was to zupełnie normalny dzień, co? A bliźniaki śpią sobie, jakby nic ich nie obchodziło, kiedy ja trzymam w objęciach ich biedną chorą siostrę. Chorą na moich rękach. O słodki Jezu!

Dlaczego ona mówi w ten sposób? W niczym nie przypomina mamy. Gdzie jest tata?

Wracam do łóżka i zaczynam płakać.

– Dlaczego płaczesz? Dlaczego płaczesz? – pyta Malachy. Powtarza to tak długo, aż mama znowu mnie atakuje:

– Trzymam na rękach waszą chorą siostrę, a wy jęczycie i stękacie jakby nigdy nic. Jak podejść do łóżka, to dam wam prawdziwy powód do jęków.

Wraca tata z lekarzem. Tata pachnie whisky. Doktor bada niemowlę, szturcha je, unosi powieki, maca szyję, ramiona, nogi. Prostuje się i kręci głową. Ona nie żyje. Mama wyciąga ręce po dziecko, tuli je, odwraca się do ściany. Doktor chce się dowiedzieć, czy coś się wydarzyło. Czy ktoś upuścił dziecko? Czy chłopcy bawili się z nią zbyt brutalnie? Cokolwiek.

Ojciec przecząco kręci głową. Doktor mówi, że musi zabrać Margaret, żeby ją zbadać, i tata podpisuje jakiś papier. Mama błaga o jeszcze kilka minut, ale doktor twierdzi, że nie ma czasu. Kiedy tata wyciąga ręce po Margaret, mama gwałtownie przysuwa się do ściany.

Wygląda jak oszalała, czarne kręcone włosy są wilgotne i lepią się do czoła, twarz ma spoconą, oczy szeroko otwarte, na policzkach błyszczą łzy, cały czas kręci głową i jęczy: och, nie, nie, dopóki tata nie zabierze jej niemowlęcia. Doktor dokładnie zawija Margaret w koc, a mama krzyczy:

– O Jezu, zadusi ją pan! Matko Boska, Józefie święty, na pomoc!

Doktor wychodzi, mama odwraca się do ściany, nie porusza się, nie wydaje żadnego dźwięku. Budzą się bliźnięta, płaczą z głodu. Tata stoi na środku pokoju, wpatrzony w sufit. Ma twarz zupełnie białą, tłucze pięściami we własne uda. Podchodzi do łóżka i kładzie rękę na mojej głowie. Ręka mu drży.

– Francis, wychodzę po papierosy.

Mama przez cały dzień leży w łóżku, niemal się nie rusza. Napełniamy z Malachym butelki bliźniaków wodą z cukrem. W kuchni znajdujemy pół bochenka czerstwego chleba i dwie zimne kielbaski. Nie możemy się napić herbaty, bo mleko w chłodziarce skwaśniało i lód znowu się roztopił, a przecież każdy wie, że nie można pić herbaty bez mleka, chyba że z kubka taty, kiedy opowiada o Cuchulainie.

Bliźniaki znowu są głodne, ale wiem, że nie mogę dzień i noc dawać im wody z cukrem. Gotuję w garnku skwaśniałe mleko, wgniatam do niego trochę czerstwego chleba, nakładam do kubeczka i próbuję karmić bliźniaki. Krzywią się i z płaczem biegną do łóżka mamy. Mama nie odwraca głowy od ściany, więc becząc, wracają do mnie. Nie zjedzą chlebowego przysmaku, dopóki nie zabiję cukrem smaku skwaśniałego mleka.

Teraz jedzą, śmieją się i rozsmazują papkę po twarzach. Malachy też chce jej trochę, a jeśli on może, to mogę i ja. Wszyscy siedzimy na podłodze, jedząc chleb, żując zimną kielbaskę i popijając wodą, którą mama trzyma zawsze w chłodziarce w butelce od mleka.

Po jedzeniu musimy iść do toalety na końcu korytarza, ale nie możemy się tam dostać, bo w środku jest pani Leibowitz i coś sobie podśpiewuje. Mówi do nas:

– Poczkajcie, dzieciaki, poczkajcie. Jeszcze sekundę!

Malachy klaszcze w ręce, zaczyna tańczyć i śpiewa „poczkajcie dzieciaki”. Pani Leibowitz otwiera drzwi ubikacji.

– Patrzcie tylko! Jaki mały aktor. No, dzieciaki, jak się czuje mama?

– Leży w łóżku. Doktor zabrał Margaret, a ojciec poszedł po papierosy.

– Oj, Frankie. Mówiłam, to chore dziecko.

Malachy zaciska nogi.

– Muszę się wysiusiać.

– To susiaj! I ty także, a potem pójdziemy do waszej mamy.

Po wysiusianiu idziemy razem z panią Leibowitz do mamy.

– Och, pani McCourt. Aj waj, złotko. Popatrz tylko. Popatrz na te bliźniaki. Gołe. Pani McCourt, co to jest matka, co? Niemowlęcie chore, tak? Niech do mnie mówi. Biedna kobieta. Niech pani się obróci. Mówi do mnie. Oj, co za bałagan! Pani McCourt, niech do mnie mówi.

Pomaga mamie usiąść i oprzeć się o ścianę. Mama wydaje się mniejsza. Pani Leibowitz mówi, że przyniesie trochę zupy, a mnie każe umyć mamie twarz. Moczę ręcznik w zimnej wodzie i dotykam nim czoła mamy. Mama przyciska moją rękę do policzka.

– O Jezu, Frankie. O Jezu!

Jestem wystraszony, bo nigdy nie widziałem jej w takim stanie. Mówi „Frankie” tylko dlatego, że trzyma moją dłoń, ale myśli o Margaret, nie o mnie.

– Frankie, twoja śliczna mała siostrzyczka nie żyje. Nie żyje! A gdzie jest twój ojciec? – Zwalnia uchwyt. – Pytam, gdzie jest twój ojciec. Pije. W domu nie ma ani pensa. Nie może znaleźć pracy, ale znajduje pieniądze na picie, pieniądze na picie, pieniądze na picie... – Odchyła się do tyłu, wali głową w ścianę i krzyczy: – Gdzie ona jest? Gdzie ona jest? Gdzie

jest moja dziewczynka? Jezus Maria, Józefie święty, pomóżcie mi dziś w nocy, bo zwariuję, po prostu zwariuję!

Wpada pani Leibowitz.

– Proszę pani, co się dzieje? Gdzie jest dziewczynka?

Mama znowu krzyczy.

– Nie żyje, pani Leibowitz. Ona nie żyje! – Z opuszczoną głową kołysze się w przód i w tył. – W środku nocy, pani Leibowitz. W wózku. Powinnam była czuwać nad nią. Przeżyła na tym świecie siedem tygodni i umarła w środku nocy, zupełnie sama. Całkiem sama w wózku!

Pani Leibowitz bierze mamę w ramiona.

– Cicho, cicho. Dzieci często tak odchodzą. To się zdarza. Bóg je zabiera...

– W wózku, pani Leibowitz. Tuż koło mojego łóżka. Mogłam ją wziąć na ręce i nie musiałaby umierać, prawda? Bóg nie chce maleńkich dzieci. Po co Bogu maleńkie dzieci?

– Nie wiem, moja pani. Nie wiem o Bogu. Niech pani zje zupy. Dobra zupa. Doda siły. Chłopcy, weźcie miseczki, dam wam zupy.

– Pani Leibowitz, co to miseczki?

– Och, Frankie, nie znasz miseczki? Do zupy, złotko. Nie masz miseczki? To weź kubki, ja mieszam zupę z grochu i z soczewicy. Bez szynki. Irlandczycy lubią szynkę. Frankie, nie ma szynki. Pani zje, pani zje zupę.

Karmi mamę łyżką, wyciera płyn ciekący po brodzie. Siedzimy z Malachym na podłodze i pijemy z kubków. Dajemy też bliźniakom. Zupa jest wspaniała, ciepła i smaczna. Mama nigdy czegoś takiego nie robi; zastanawiam się, czy istnieje jakakolwiek możliwość, żeby pani Leibowitz została moją mamą.

Freddie mógłby być mną, miałby moją mamę i ojca, jego braćmi zostaliby Malachy i bliźnięta. Nie miałby już Margaret, bo ona jest jak tamten pies na ulicy, którego zabrano. Nie wiem, dlaczego została zabrana. Mama mówi, że umarła w wózku, a to musi być tak samo jak potrącenie przez samochód, bo też zabierają.

Z powodu zupy żałuję, że już nie ma Margaret; mógłbym ją karmić łyżką, tak jak pani Leibowitz karmi mamę, a ona gaworzyłaby i śmiała się jak na kolanach taty. Już więcej by nie płakała, mama nie leżałaby dzień i noc w łóżku, a tata opowiadałby mi o Cuchulainie. I już nie chciałbym, żeby pani Leibowitz była moją mamą. Pani Leibowitz jest miła, ale wolałbym, żeby tata opowiadał mi o Cuchulainie, żeby Margaret ćwierkała i żeby mama się śmiała, kiedy tata tańczy na dwóch lewych nogach.

Minnie MacAdorey przychodzi pomagać.

– Matko Boska, pani Leibowitz, te bliźnięta cuchną na kilometr.

– Minnie, nie znam się na Matce Boskiej, ale te bliźnięta na pewno potrzebują mykwy. I czystych pieluszek. Frankie, gdzie są czyste pieluszki?

Nie mam pojęcia.

– One dostają szmaty zamiast pieluszek – wyjaśnia Minnie. – Wezmę pieluszki Maisie. Frankie, zdejmij te szmaty i wyrzuć!

Malachy zdejmuje szmatę Olivera, aja zmagam się z Eugene'em. Agrafka się zacięła, a kiedy Eugene podskakuje, odpina się i wbija w biodro; dzieciak wrzeszczy i woła mamę. Ale Minnie jest już z powrotem z ręcznikiem, mydłem i ciepłą wodą. Pomagam jej zmyć zaskorupiałe gówno, a ona pozwala mi posypać talkiem skórę bliźniaków, na której zrobiły się rany. Minnie chwali ich, że są grzecznymi chłopcami, i obiecuje niespodziankę. Idzie do siebie i przynosi dla nas wszystkich cały garnek tłuczonych kartofli. W kartoflach jest dużo soli i masła, zastanawiam się więc, czy jest możliwe, żeby Minnie została moją mamą, bo wtedy zawsze bym tak jadał. Gdybym mógł mieć jednocześnie i panią Leibowitz, i Minnie jako matki, nigdy by mi nie zabrakło zupy ani tłuczonych kartofli.

Minnie i pani Leibowitz siedzą przy stole. Pani Leibowitz mówi, że coś trzeba zrobić. Te dzieci nie mają żadnej opieki, gdzie jest ich ojciec? Słyszę, jak Minnie szepcze, że poszedł się napić. Pani Leibowitz wyrzeka, że to straszne, straszne, jak ci Irlandczycy piją. Minnie na to, że jej Dan nie pije. Nawet nie tyka alkoholu. Powiedział, że kiedy dziecko umarło, ten nieszczęsny Malachy McCourt szalał po całej Flatbush Avenue i Atlantic Avenue, wyrzucono go ze wszystkich barów wokół stacji Long Island, gliny na pewno by go zamknęły, gdyby nie chodziło o śmierć tej cudownej małej dziewczynki.

– Ma tutaj czterech wspaniałych chłopców – mówi Minnie – ale to dla niego żadna pociecha. Ta mała dziewczynka budziła w nim coś dziwnego. Wie pani, że po jej urodzeniu nawet przestał pić, a to już prawdziwy cud.

Pani Leibowitz chciałaby wiedzieć, gdzie są kuzynki mamy, te duże kobiety ze spokojnymi mężami. Minnie ich poszuka i powie im, że dzieci są zaniedbane, dziczeją bez opieki, mają poranione pupy i w ogóle...

Dwa dni później wraca tata z wyprawy po papierosy. Jest środek nocy, ale wyciąga z łóżka mnie i Malachy'ego. Czuć od niego alkohol. Ustawia nas na baczność w kuchni. Jesteśmy żołnierzami. Każe nam obiecać, że umrzemy za Irlandię.

– Na pewno umrzemy, tato.

Razem śpiewamy Kevina Barry'ego.

W więzieniu Mountjoy w poniedziałek rano

Na szubienicy wysokości

Kevin Barry życie oddał młode

Za sprawę wolności.

Miał ledwie osiemnaście wiosen,

Nikt jednak nie śmie przeczyć, że

Tamtego ranka ze swym losem

Tak jak bohater zmierzył się.

Rozlega się pukanie do drzwi. Pan MacAdorey.

– Malachy, na miłość boską, jest trzecia rano. Tym śpiewaniem obudziłeś cały dom.

– Dan, uczę chłopców, że mają umrzeć za Irlandię.

– Możesz ich tego uczyć w dzień.

– To bardzo pilne, Dan, bardzo pilne.

– Wiem o tym, Malachy, ale to tylko dzieci. Małe dzieci. A teraz połóż się do łóżka, jak przystało na porządnego chłopca.

– Do łóżka? A co ja bym robił w łóżku? Stale widzę tam jej twarzyczkę, czarne kręcone włoski i cudowne niebieskie oczy. O Jezus, Dan, co ja zrobię? Czy to głód ją zabił?

– Oczywiście, że nie. Przecież twoja żona ją karmiła. Bóg ją zabrał. Miał swoje powody.

– Dan, zaśpiewamy jeszcze jedną pieśń, zanim się położymy.

– Dobrej nocy, Malachy.

– Dalej, chłopcy, śpiewamy.

Ojczyzny miłość go przenika,

Kolor zielony ma za swój,

Skończy więc śmiercią męczennika

I godnie zniesie kaźni znój.

Wierny do końca, wierny aż po kres

Roddy McCorley odpowiednio dumny

*Kroczy, by spotkać swoją śmierć
Dzisiaj na moście w Toome.*

– Umrzecie za Irlandię, prawda?

– Tak, tato.

– I spotkamy się w niebie z waszą małą siostrzyczką, prawda?

– Prawda, tato.

Mój brat stoi z twarzą przytuloną do nogi stołowej. Śpi. Tata bierze go na ręce, zatacza się i kładzie go na łóżku obok mamy. Wchodzę do łóżka, a ojciec w ubraniu kładzie się przy mnie. Mam nadzieję, że mnie obejmie, ale on dalej śpiewa o Roddym McCorleyu i mówi do Margaret:

– Mój słodki czarnowłosy, niebieskooki skarbie, ubiorę cię w jedwabie i zaprowadzę nad jezioro Neagh.

W końcu za oknem pojawia się dzień i zasypiam.

Tej nocy przychodzi do mnie Cuchulain. Na jego ramieniu siedzi wielki zielony ptak i śpiewa o Kevinie Barrym i Roddym McCorleyu, ale mnie się on nie podoba, bo mu z dzioba kapie krew. Cuchulain w jednej ręce trzyma *gae bolga*, włócznię tak ciężką, że tylko on potrafi nią rzucić, w drugiej – banana, którym częstuje ptaka, lecz ten jedynie czka i pluje na niego krwią. Dlaczego Cuchulain toleruje takiego ptaka? Gdyby bliźnięta kiedykolwiek opluły mnie krwią, kiedy dają im banana, chybabym trzasnęła je w głowę.

Rano zastaję ojca przy kuchennym stole; opowiadam mu swój sen. Tłumaczy mi, że w dawnych czasach nie było w Irlandii bananów, ale nawet gdyby były, Cuchulain nie dawałby ich takiemu ptakowi, który przyleciał na lato z Anglii i usadowił się na jego ramieniu, kiedy on umierał oparty o kamień i kiedy ludzie z Erinu, to znaczy z Irlandii, chcieli go zabić, ale się bali, dopóki nie zobaczyli, że ptak pije jego krew. Wtedy wiedzieli, że mogą go bezpiecznie zaatakować – podli, wstrętni tchórze.

– Więc sam widzisz, Francis, że musisz się wystrzegać ptaków. Ptaków i Anglików.

Mama większą część dnia spędza w łóżku, twarzą do ściany. Jeśli wypije herbatę albo *zje* cokolwiek, wymiotuje do wiadra, które stoi pod łóżkiem. Muszę je opróżnić i płukać w toalecie na końcu korytarza. Pani Leibowitz przynosi mamie zupę i śmieszny chleb, który jest poskręcany. Mama próbuje go pokroić, ale pani Leibowitz śmieje się i mówi, że wystarczy pociągnąć. Malachy nazywa go chlebem ciągutką, ale pani Leibowitz zaprzecza:

– Nie, to jest chałka. – I uczy nas, jak to słowo wymawiać. Kręci głową. – Oj, wy, Irlandczycy, do końca życia nie nauczycie się wymawiać „chałka” tak jak Żydzi.

Minnie MacAdorey przynosi kartofle, kapustę, a czasami kawałek mięsa.

– Och, Angela, czasy są ciężkie, ale ten Roosevelt to dobry człowiek i dla każdego znajdzie pracę; wtedy twój mąż też będzie pracował. Biedak, to przecież nie jego wina, że jest kryzys. Szuka pracy dzień i noc. Mój Dan ma szczęście. Już cztery lata pracuje w magistracie, a poza tym nie pije. Wyrósł w Toome, razem z twoim mężem. Niektórzy piją. A inni nie. Przekleństwo Irlandczyków. Angela, jedz! Musisz nabrać siły po tej stracie.

Pan MacAdorey mówi tacie, że dają pracę przy robotach publicznych. Tata dostaje tę pracę i są pieniądze na jedzenie; mama wstaje z łóżka, żeby wymyć bliźniaki i nas nakarmić. Kiedy tata wraca do domu i cuchnie alkoholem, wtedy nie ma pieniędzy i mama wrzeszczy na niego, aż bliźniaki zaczynają płakać, a Malachy i ja uciekamy na plac zabaw. W takie wieczory mama znowu wślizguje się do łóżka, a tata śpiewa smutne pieśni o Irlandii. Dlaczego nie bierze jej w ramiona i nie pomaga zasnąć, tak jak to robił z moją małą siostrą, która umarła? Dlaczego nie śpiewa piosenki Margaret albo takiej, która osuszyłaby łzy mamy? Stale wyciąga z łóżka mnie i Malachy’ego i każe nam stać w koszulach i obiecywać,

że umrzemy za Irlandię. Jednego wieczoru chciał, by bliźnięta obiecały, że umrą za Irlandię, ale one nawet nie potrafią mówić i mama wrzasnęła na niego:

– Ty głupi stary draniu, zostaw dzieci w spokoju!

Ojciec mówi, że da nam miedziaka na lody, jeśli obiecamy umrzeć za Irlandię, więc obiecujemy, lecz nigdy nie dostajemy miedziaka.

Dostajemy za to supkę od pani Leibowitz i tłuczone kartofle od Minnie MacAdorey. Pokazują nam, jak się opiekować bliźniakami, jak myć im tyłki, jak prać szmaty-pieluchy, kiedy je całkiem obsrają. Pani Leibowitz nazywa je pieluszkami, a Minnie – pieluchami, ale nazwy nie mają znaczenia, bo bliźnięta i tak je zapaskudzą. Kiedy mama cały dzień leży w łóżku, a tata wychodzi szukać pracy, możemy robić, co nam się podoba. Możemy sadzać bliźniaki na małych huśtawkach w parku i bujać, dopóki nie zgłodnieją i nie zaczną płakać. Włoch woła mnie z drugiej strony ulicy:

– Hej, Frankie, chodź tu. Uważaj, jak przechodzisz przez ulicę. Bliźniaki znowu głodne, co?

Daje nam kawałki sera, szynki i banany, ale ja już nie mogę jeść bananów, skoro ptak pluł krwią na Cuchulaina.

Włoch mówi, że nazywa się Dimino, a ta pani za ladą to jego żona Angela. Chwalę się, że tak ma na imię moja mama.

– Nie żartuj, chłopcze. Twoja mama ma na imię Angela? Nie wiedziałem, że w Irlandii są Angele. Słuchaj, Angela, jego matka ma na imię Angela.

Ona się uśmiecha.

– To miło – odpowiada.

Pan Dimino pyta o mamę i tatę, i kto dla nas gotuje. Tłumaczę, że dostajemy jedzenie od pani Leibowitz i Minnie MacAdorey. Opowiadam mu o pieluchach i pieluszkach, i o tym, że i tak są obrane, a on się śmieje.

– Angela, słyszysz? Dzięki Bogu, że jesteś Włoszką. Chłopcze, muszę porozmawiać z panią Leibowitz. Muszą być jacyś krewni, którzy się wami zajmą. Jak zobaczysz Minnie MacAdorey, to powiedz, żeby do mnie przyszła. Jesteście zupełnie bez opieki.

W drzwiach stoją dwie ogromne kobiety. Pytają, kim jestem.

– Jestem Frank.

– Frank! Ile masz lat?

– Prawie pięć.

– Nie jesteś duży jak na swój wiek.

– Nie wiem.

– Jest mama?

– Leży w łóżku.

– Cóż ona robi w łóżku w taki piękny dzień?

– Śpi.

– Dobrze, musimy porozmawiać z twoją mamą.

Przeciskają się obok mnie do pokoju.

– Jezus Maria, Józefie święty, ale tu śmierdzi! A czyje to dzieci?

Malachy z uśmiechem podbiega do olbrzymich kobiet; widać, jakie białe, równe i piękne ma zęby, widać też blask jego niebieskich oczu i różowość policzków. Twarze olbrzymich kobiet rozjaśniają się na ten widok i zastanawiam się, dlaczego tak nie było, kiedy rozmawiała ze mną.

– Jestem Malachy, to jest Oliver, a to Eugene, są bliźniakami, a tam jest Frankie.

– Wcale nie jesteś nieśmiały – mówi kobieta o brązowych włosach. – Jestem Philomena, kuzynka twojej mamy, a to druga kuzynka mamy, Delia. Ja się nazywam pani Flynn, a ona

pani Fortune i tak macie się do nas zwracać. Wielki Boże! – wykrzykuje Philomena. – Te bliźniaki są gołe. Nie macie dla nich ubranek?

– Są całe obsrane – mówi Malachy.

Delia niemal warczy.

– Proszę, to są skutki. Usta jak rynsztok i trudno się dziwić, skoro ojciec pochodzi z Północy. Nie mów tak. To brzydko, to przekleństwo. Używając takich słów, możesz wylądować w piekle.

– Co to piekło? – pyta Malachy.

– Wkrótce się dowiesz – wyjaśnia Delia.

Wielkie kobiety siedzą przy stole z panią Leibowitz i Minnie MacAdorey. Philomena mówi, że to straszne, co przydarzyło się niemowlęciu Angeli. Słyszały o tym i trudno się nie zastanawiać, co się stało z ciałkiem.

– Ty możesz się zastanawiać i ja mogę się zastanawiać, ale nie Tommy Flynn. Tommy powiedział, że ten Malachy z Północy na pewno dostał pieniądze za ciało.

– Pieniądze? – pyta pani Leibowitz.

– Właśnie – potwierdza Philomena. – Pieniądze. Biorą zwłoki i robią na nich doświadczenia, a potem już niewiele zostaje, zresztą kto by chciał odbierać z powrotem kawałki dziecka, skoro w takim stanie nie mogą być pochowane w poświęconej ziemi.

– To straszne! – oburza się pani Leibowitz. – Ojciec ani matka nigdy nie oddaliby dziecka na coś takiego!

– Oddaliby – wyjaśnia Delia – gdyby mieli głód alkoholu. Sprzedaliby własną matkę, a co dopiero niemowlę, które i tak nie żyje!

Pani Leibowitz kręci głową i kołysze się na krześle.

– Oj, oj, oj. Biedne dziecko. Biedna matka. Dziękuję Bogu, że mój mąż nie odczuwa tego, no, jak to mówicie? Głodu alkoholu? Tylko Irlandczycy to odczuwają.

– Nie mój mąż – zaprzecza Philomena. – Obiłabym mu gębę, gdyby się zjawił w domu z takim głodem. Oczywiście, Jimmy Delii go odczuwa. W każdy piątkowy wieczór wymyka się do baru.

– Nie musisz obrażać mojego Jimmy’ego – zaczyna Delia. – Pracuje. Przynosi do domu wypłatę.

– Trzeba go mieć na oku – mówi Philomena. – Głód może wziąć nad nim górę i będziesz miała w domu drugiego Malachy’ego z Północy.

– Pilnuj swojego nosa! – odparowuje Delia. – Jimmy przynajmniej jest Irlandczykiem, nie urodził się w Brooklynie jak twój Tommy.

Na to Philomena nie znajduje odpowiedzi.

Minnie trzyma na ręku swoje niemowlę i wielkie kobiety chwają, że to śliczne dziecko, zadbane, nie takie jak ta sfera Angeli. Philomena się zastanawia, skąd Angela jest taka nieporządna, bo jej matka była wyjątkowo czysta, można było u niej jeść prosto z podłogi.

Dziwią się, po co jeść obiad z podłogi, skoro ma się stół i krzesło.

Delia mówi, że trzeba coś zrobić z Angelą i z dziećmi, bo to wstyd i hańba. Naprawdę, człowiek się wstydzi, że to krewni. Trzeba napisać list do matki Angeli. Napisze Philomena, bo nauczyciel w Limerick powiedział jej kiedyś, że ma wyrobioną rękę. Delia musi wytłumaczyć pani Leibowitz, że wyrobiona ręka to znaczy „ładny charakter pisma”.

Pani Leibowitz idzie do siebie pożyczyć od męża pióro, papier i kopertę. Cztery kobiety siedzą przy stole i układają list do matki mojej mamy.

Droga Ciociu Margaret!

Biorę pióro do ręki, żeby napisać ten list, i mam nadzieję, że tak jak nas zostawia, tak Ciebie on zastanie w najlepszym zdrowiu. Mój mąż, Tommy, czuje się bardzo dobrze i pracuje, a mąż Delii, Jimmy, też czuje się bardzo dobrze i pracuje, i mamy nadzieję, że Ty

także czujesz się dobrze. Bardzo mi przykro, ale muszę powiedzieć, że Angela nie czuje się dobrze, bo niemowlę umarło, mała dziewczynka nazwana tak jak Ciocia, Margaret, i Angela już nie jest taka jak dawniej, leży w łóżku twarzą do ściany. Co gorsza, wydaje nam się, że znowu jest przy nadziei, a tego już naprawdę za dużo. Jak tylko straci jedno dziecko, już następne jest w drodze. Nie mamy pojęcia, jak ona to robi. Jest po ślubie cztery lata, a to oznacza pięcioro dzieci i kolejne w drodze. Z tego widać, do czego może dojść, jeśli poślubi się kogoś z Północy, bo oni wcale nie mają nad sobą kontroli, ta banda protestantów. Codziennie wychodzi do pracy, ale wiemy, że całe dni spędza w barach i dostaje po parę dolarów za zamiatanie podłóg i przenoszenie beczek, ale i tak przepija te pieniądze. To straszne, Ciociu Margaret, więc wszystkie uważamy, że Angeli i dzieciom będzie lepiej na rodzinnej ziemi. Nie mamy pieniędzy na bilety, bo czasy są ciężkie, ale może Ciocia będzie mogła coś zrobić. W nadziei, że ten list zastanie Ciocię w tak dobrej formie, w jakiej nas opuszcza, dzięki Bogu i Jego błogosławionej Matce.

*Pozostaję kochającą siostrzenicą
Philomena Flynn (dawniej MacNamara),
a także siostrzenica
Delia Fortune (dawniej też MacNamara, cha, cha)*

Babcia Sheehan przysłała pieniądze Philomenie i Delii. Kupiły bilety, znalazły kufer podróżny w Stowarzyszeniu Świętego Wincentego ä Paulo, wynajęły furgonetkę, która zawiozła nas na przystań na Manhattanie, wsadziły nas na statek, pożegnały z ulgą i odjechały.

Statek odpłynął od nabrzeża.

– To jest Statua Wolności, a to wyspa Ellis, do której przyplływają wszyscy imigranci – powiedziała mama.

Potem pochyliła się nad poręczą i zwymiotowała, a wiatr z Atlantyku rozwiął to na nas i na innych szczęśliwych ludzi podziwiających widoki. Pasażerowie kleli i uciekali, z całego portu zleciały się mewy, a mama, spocona i blada, zwisła na balustradzie statku.

II

Po tygodniu przybyliśmy do Merville w hrabstwie Donegal. Wsiadliśmy do autobusu, który zawiózł nas do Belfastu, a stamtąd pojechaliśmy kolejnym autobusem do Toome w hrabstwie Antrim. Zostawiliśmy kufer w sklepie i wyruszyliśmy piechotą do domu babci McCourt, odległego o dwie mile. Było ciemno, na wzgórzach za nami ledwie rysował się świt.

Tata niósł bliźniaki, które na zmianę płakały z głodu. Mama co chwila przystawała, żeby usiąść i odpocząć na kamiennym murku ciągnącym się wzdłuż drogi. Siadaliśmy koło niej i obserwowaliśmy niebo, które robiło się najpierw czerwone, a potem niebieskie. Na drzewach zaczęły ćwierkać i śpiewać ptaki, a kiedy nastał świt, zobaczyliśmy, że na polach stoją dziwne stworzenia i przyglądają się nam.

– Tato, co to? – spytał Malachy.

– Krowy, synu.

– Tato, co to są krowy?

– Synu, krowy to krowy.

Szliśmy dalej, robiło się coraz widniej, a na polach pojawiły się inne stworzenia z białym futrem.

– Tato, co to? – pytał Malachy.

– Owce.

– Tato, a co to owce?

– Czy nie ma końca twoim pytaniom? – warknął ojciec. – Owce to owce, krowy to krowy, a tam jest koza. Koza to koza. Koza daje mleko, owca daje wełnę, a krowa daje wszystko. Co jeszcze chciałbyś wiedzieć, na miłość boską?

Malachy zaskowyczał ze strachu, bo tata nigdy tak nie mówił, nigdy nie odzywał się do nas opryskliwie. Mógł nas zrywać z łóżka w środku nocy i wymuszać obietnicę, że umrzemy za Irlandię, ale nigdy tak na nas nie warczał. Malachy podbiegł do mamy.

– Cicho, skarbie, nie płacz! Ojciec jest zmęczony niesieniem bliźniaków, trudno odpowiadać na wszystkie pytania, kiedy taszczy się po całym świecie bliźnięta.

Tata posadził bliźniaki na drodze i wyciągnął ręce do Malachy'ego. Teraz bliźnięta się rozpłakały, a Malachy ze szlochem tulił się do mamy. Krowy ryczały, owce beczwały, koza meczała, ptaki ćwierkały na gałęziach, a przez wszystkie te dźwięki przebił się klakson samochodu. Z wnętrza pojazdu dobiegł do nas męski głos:

– Wielki Boże! Ludzie, co wy robicie na drodze o tej porze, i to w niedzielę wielkanocną?

– Dzień dobry, ojciec – powiedział tata.

– Tato? Czy to twój ojciec? – zapytałem.

– Nie zadawaj żadnych pytań – powiedziała mama.

– Nie, to ksiądz – wyjaśnił tata.

– Co to...? – zaczął Malachy, ale mama zakryła mu usta ręką.

Ksiądz miał białe włosy i biały kołnierzyk.

– Dokąd idziecie? – spytał.

– Do McCourtów z Moneyglass – wyjaśnił ojciec, a ksiądz zabrał nas do samochodu. Powiedział, że zna McCourtów, porządna rodzina, dobrzy katolicy, niektórzy codziennie przystępują do komunii, ma nadzieję, że nas wszystkich też będzie widywał na mszy, zwłaszcza tych małych jankesów, którzy, niech Bóg uchwali, nawet nie wiedzą, kto to jest ksiądz.

Pod domem mama sięgnęła do zamka furtki.

– Nie, poczekaj – powstrzymał ją ojciec. – Nie frontową furtką. Używają jej tylko wtedy, kiedy przychodzi ksiądz, albo na pogrzeby.

Obeszliśmy dom do kuchennego wejścia. Tata pchnął drzwi i zobaczyliśmy, jak dziadek McCourt pije herbatę z wielkiego kubka, a babcia McCourt coś smaży.

– O, przyjechaliście! – wita nas dziadek.

– Tak. – Tata wskazuje na mamę. – To jest Angela.

– Angela, musisz być całkiem wykończona – mówi dziadek. Babcia nic nie mówi, odwraca się z powrotem w stronę patelni. Dziadek prowadzi nas przez kuchnię do dużego pokoju z długim stołem i krzesłami. – Siadajcie, napijcie się herbaty. Chcecie kruszadki? – pyta.

– Co to kruszadki? – nie wytrzymuje Malachy.

– Placki, synu. Placki z kartofli – śmieje się tata.

– Są jajka – dopowiada dziadek. – To niedziela wielkanocna, więc możecie zjeść tyle jajek, ile się zmieści.

Pijemy herbatę, jemy placki i gotowane jajka, a potem zasypiamy. Budzę się w łóżku z Malachym i bliźniętami. Rodzice śpią w łóżku pod oknem. Gdzie jestem? Robi się ciemno. Nie jestem na statku. Mama chrapie na jedną nutę, ojciec na drugą. Wstaję i szturcham ojca. Muszę się wysiusiać.

– Weź nocnik! – poleca.

– Co?

– Pod łóżkiem. Nocnik. Są na nim róże i panienki hasające w dolinie. Sikaj do tego, synu.

Chciałem zapytać, o czym tata mówi, bo chociaż pękał mi pęcherz, dziwne wydało mi się siusianie do naczynia z różami i hasającymi panienkami, cokolwiek to znaczyło. Nie mieliśmy nic takiego na Classon Avenue, gdzie pani Leibowitz śpiewała w toalecie, a my zaciskaliśmy nogi w korytarzu.

Teraz Malachy musi skorzystać z nocnika, ale chce na nim usiąść.

– Nie, tego nie możesz zrobić, synu – mówi tata. – Musisz wyjść na zewnątrz.

Kiedy to powiedział, czuję, że ja też muszę wyjść, żeby usiąść. Tata prowadzi nas po schodach na dół, potem przez duży pokój, gdzie dziadek siedzi przy ogniu i czyta, a babcia drzemie na krześle. Na dworze jest ciemno, choć księżyc świeci na tyle jasno, że widać, dokąd idziemy. Tata otwiera drzwi do małego domku, w którym jest siedzenie z dziurą w środku. Pokazuje nam, jak usiąść na tej dziurze i jak się podetrzeć kwadratami gazety wiszącymi na gwoździu. Potem każe nam poczekać, sam wchodzi do środka, zamyka drzwi i stęka. Księżyc świeci tak jasno, że widzę na polu te stworzenia, co się nazywają krowy i owce, i zastanawiam się, dlaczego nie idą do domu.

W pokoju z dziadkami są jeszcze jacyś inni ludzie.

– To wasze ciotki, Emily, Nora, Maggie i Vera – przedstawia tata. – Ciocia Eva jest w Ballymena, ma dzieci takie jak wy.

Moje ciotki nie są takie jak pani Leibowitz i Minnie MacAdorey, kiwają głowami, ale nie przytulają nas ani się nie uśmiechają. Do pokoju wchodzi mama z bliźniakami. A kiedy tata mówi swoim siostrom: „to jest Angela, a to są bliźniaki”, znów tylko kiwają głowami.

Babcia idzie do kuchni i wkrótce jemy chleb, kielbaski i pijemy herbatę. Przy stole odzywa się jedynie Malachy. Pokazuje łyżką na ciotki i prosi, żeby powtórzyły swoje imiona. Kiedy mama każe mu jeść kielbaskę i siedzieć spokojnie, oczy wypełniają mu się łzami i ciocia Nora wyciąga rękę, żeby go pocieszyć. Powtarza: już, już, a ja się zastanawiam, dlaczego wszyscy mówią: już, już, kiedy Malachy płacze. Zastanawiam się, co znaczy to „już, już”.

Przy stole panuje milczenie, dopóki tata nie powie:

– Sytuacja w Ameryce jest straszna.

Na to babcia:

– O tak, czytałam w gazecie, ale mówią, że pan Roosevelt to dobry człowiek. Gdybyś został, może teraz już miałbyś pracę.

Tata kręci głową, a babcia dodaje:

– Malachy, nie mam pojęcia, co teraz zrobisz. Tu jest znacznie gorzej niż w Ameryce. Ciężko o pracę, a sam Bóg widzi, że nie mamy w domu miejsca dla dodatkowych sześciu osób.

– Myślałem, że może coś dostanę na którejś z farm. Moglibyśmy znaleźć jakiś niewielki dom.

– A do tej pory gdzie byście mieszkali? – pyta babcia. – I z czego byś utrzymywał siebie i rodzinę?

– Och, pewnie mógłbym pójść na bezrobocie.

– Nie można zsiąść ze statku z Ameryki i iść na bezrobocie – wtrąca dziadek. – Kaza trochę poczekać, a co będziesz robił przez ten czas?

Tata nie odpowiada, a mama patrzy w ścianę.

– Lepiej by wam było w Wolnym Państwie – uważa babcia. – Dublin jest duży i na pewno jest tam praca, jak nie w mieście, to na farmach w okolicy.

– Poza tym należą ci się pieniądze z IRA – dodaje dziadek. – Zrobiłeś swoje, a oni w Wolnym Państwie rozdają pieniądze na prawo i na lewo. Mógłbyś jechać do Dublina i poprosić o pomoc. Możemy ci pożyczyć na autobus. Bliźnięta weźmiesz na kolana, nie musisz wtedy za nie płacić.

Tata mówi: o tak, a mama wpatruje się w ścianę ze łzami w oczach.

Po jedzeniu wracamy do łóżka; następnego ranka wszyscy dorośli mają smutne miny. Wkrótce przyjeżdża samochodem jakiś człowiek i zawozi nas do sklepu, w którym zostawiliśmy kufer. Kufer stawiają na dachu, a my wsiadamy do autobusu. Tata oznajmia, że jedziemy do Dublina. Malachy pyta, co to jest Dublin, ale nikt mu nie odpowiada. Tata trzyma na kolanach Eugene'a, a mama Olivera. Tata spogląda na pola i wyjaśnia, że właśnie tutaj Cuchulain lubił chodzić na spacer. Pytam, gdzie Cuchulain rzucił piłkę prosto w pysk psa, a tata mówi, że kilka mil stąd.

Malachy zawołał: „Patrzcie, patrzcie!” – i wszyscy popatrzyliśmy. Była to wielka srebrna tafla wody, a tata powiedział, że to Lough Neagh, największe jezioro w Irlandii. Pływał w nim Cuchulain po wielkich bitwach. Cuchulain tak się rozgrzewał, że kiedy wskakiwał do jeziora, woda się gotowała i ocieplała okolice jeszcze przez wiele dni. Kiedyś wszyscy tu wrócimy i pójdziemy popływać, tak jak on. Będziemy łowić węgorze i smażyć je na patelni, ale nie tak jak Cuchulain, który wyciągał je z jeziora i połykał, choć się wiły i skręcały, bo w węgorzach jest taka siła.

– Naprawdę, tato?

– Tak.

Mama nie spojrziała przez okno na Lough Neagh. Opierała policzek na czubku głowy Olivera i wpatrywała się w podłogę autobusu.

Wkrótce autobus wjeżdża między duże domy; pełno tu samochodów i koni ciągnących wozy, sporo ludzi na rowerach i mnóstwo pieszych. Malachy jest podekscytowany.

– Tato, tato, gdzie jest plac zabaw? I huśtawki? Chcę zobaczyć Freddiego Leibowitza.

– Synu, jesteśmy w Dublinie, daleko od Classon Avenue. Jesteś teraz w Irlandii, kawał drogi od Nowego Jorku.

Kiedy autobus staje, kufer zdejmują z dachu i stawiają na ziemi. Tata mówi, że mama może posiedzieć na ławce na stacji, a on pójdzie do tego człowieka z IRA w miejscu zwanym Terenure. Dodaje, że na stacji są ubikacje dla chłopców, a on niedługo wróci, będzie miał

pieniądze i wtedy wszyscy dostaniemy jeść. Tata chce, żebym z nim poszedł, ale mama protestuje:

– Nie, potrzebna mi będzie jego pomoc.

Kiedy jednak tata się upiera, że ktoś musi mu pomóc nieść pieniądze, mama się zgadza ze śmiechem:

– No dobrze, idź z tatą.

Z tatą. To znaczy, że jest w dobrym humorze. Kiedy mówi: ojciec, to znaczy, że jest w złym humorze.

Tata trzyma mnie za rękę, gdy drepczę u jego boku. Chodzi szybko, a do Terenure jest daleko. Mam nadzieję, że się zatrzyma i będzie mnie niósł na rękach, tak jak niósł bliźniaki w Toome. Ale tata zatrzymuje się tylko po to, żeby zapytać ludzi, gdzie jest Terenure. Po jakimś czasie oświadcza, że jesteśmy na miejscu i teraz musi odszukać pana Charlesa Heggarty'ego z IRA. Mężczyzna z różową przepaską na oku wyjaśnia, że jesteśmy na właściwej ulicy. Charles Heggarty, niech go Bóg błogosławi, mieszka pod czternastym.

– Widzę, że spełnił pan swój obowiązek – mówi ten mężczyzna do taty.

– O tak – potwierdza tata.

– Ja też zrobiłem swoje i co z tego mam? Jedno oko mniej i emeryturę, za którą nie dałoby się wykarmić nawet kanarka – ubolewa mężczyzna.

– Ale Irlandia jest wolna, i to jest wielka rzecz.

– Ładna mi wolność! Chyba już lepiej było pod Anglikami. Ale życzę powodzenia, bo chyba wiem, po co pan tu przyszedł.

Pod numerem czternastym drzwi otwiera kobieta.

– Obawiam się, że pan Heggarty jest zajęty.

Tata wyjaśnia jej, że właśnie przyszedł tu z małym synkiem z centrum Dublina, że na stacji autobusowej czeka na niego żona z trójką dzieci, więc skoro pan Heggarty jest tak bardzo zajęty, to poczekamy na niego przed domem.

Kobieta za chwilę wraca. Pan Heggarty ma wolny moment, a ona zaraz nas do niego zaprowadzi. Pan Heggarty siedzi przy biurku blisko płonącego ognia.

– Czym mogę panu służyć? – pyta.

Tata staje przed biurkiem i wyjaśnia:

– Wróciłem właśnie z Ameryki z żoną i czwórką dzieci. Nic nie mamy. W czasie zamieszek walczyłem w Lotnej Kolumnie, więc mam nadzieję, że teraz wy możecie mnie poratować w potrzebie.

Pan Heggarty pyta tatę o nazwisko i przerzuca karty wielkiej księgi na biurku. Kręci głową.

– Nie ma tu śladu pańskiej służby.

Tata wygłasza długą mowę. Informuje pana Heggarty'ego, jak walczył, gdzie i kiedy, jak trzeba go było przesznuć z Irlandii z powodu ceny na jego głowę, jak wpajał synom miłość do ojczyzny.

Pan Heggarty mówi, że bardzo mu przykro, ale nie może dawać pieniędzy każdemu, kto zjawia się u niego, twierdząc, że zrobił swoje dla ojczyzny.

– Zapamiętaj to, Francis – zwraca się do mnie tata. – Taka jest nowa Irlandia. Mali ludzie na małych krzeselkach z karteczkami papieru. To jest Irlandia, za którą umierali mężczyźni.

Pan Heggarty obiecuje, że sprawdzi roszczenia taty i na pewno zawiadomi o wyniku poszukiwań. Da nam pieniądze na autobus do miasta. Tata patrzy na monety w ręku pana Heggarty'ego:

– Mógłby pan jeszcze dołożyć, żeby starczyło na kufelek.

– A, więc chodzi o picie?

– Trudno nazywać picciem jeden kufelek.

– Będzie pan szedł z powrotem pieszo i ciągnął ze sobą dzieciaka, bo chce pan wypić kufelek, tak?

– Chodzenie jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

– Proszę opuścić ten dom albo zawołam policję. Może pan być pewien, że już nic pan ode mnie nie dostanie. Nie rozdajemy pieniędzy na utrzymanie rodziny Guinnessów, tych właścicieli browarów.

Na ulicach Dublina zapada wieczór. Pod latarniami dzieci bawią się i śmieją, matki nawołują od progów, przez całą drogę otaczają nas zapachy gotowania, przez okna widzimy ludzi siedzących przy stołach, przy jedzeniu. Jestem zmęczony i głodny, chciałbym, żeby tata wziął mnie na ręce, ale wiem, że lepiej go o to nie prosić, kiedy ma taką zaciętą twarz. Trzyma mnie za rękę i muszę biec, żeby dotrzymać mu kroku, dopóki nie dojdziemy na dworzec, gdzie czeka mama z braćmi.

Wszyscy śpią na ławce, mama i trzech bracia. Kiedy tata wyznaje, że nie ma pieniędzy, mama kręci głową i szlocha:

– Jezu, co my teraz zrobimy?

Podchodzi do niej człowiek w niebieskim mundurze i pyta, co się stało. Tata wyjaśnia, że utknęliśmy tutaj na dworcu autobusowym, nie mamy pieniędzy, nie mamy gdzie pójść i dzieci są głodne. A on na to, że właśnie kończy służbę i zabierze nas do komisariatu policji, gdzie i tak musi się zameldować[^] a tam zobaczymy, co się da zrobić.

Człowiek w mundurze mówi, że możemy go nazywać strażnikiem. Tak w Irlandii nazywają policjantów. Pyta, jak nazywają policjantów w Ameryce, a Malachy odpowiada: gliny. Strażnik głaszcze go po głowie i chwali, że jest sprytnym małym jankesem.

Sierżant w komisariacie pozwala nam zostać na noc. Bardzo mu przykro, ale może zaproponować jedynie spanie na podłodze. Jest czwartek i cele są pełne mężczyzn, którzy przepili zasilek, ale nie chcieli wychodzić z pubów.

Strażnicy dali nam gorącą słodką herbatę i grube kromki chleba z masłem i marmoladą; byliśmy tak szczęśliwi, że biegaliśmy rozbawieni po komisariacie. Strażnicy powtarzali, że jesteśmy wspaniałą bandą małych jankesów i chętnie wzięliby nas do domu, ale ja od razu odmówiłem. Malachy też powiedział „nie”, więc bliźniaki powtórzyły: nie, nie – i wszyscy się roześmiali. Mężczyźni z cel wyciągali ręce przez kraty, żeby pogłaskać nas po głowach, pachniało od nich jak od taty, kiedy wraca do domu i śpiewa o Kevinie Barrym i Roddym McCorleyu, który ma zaraz umrzeć. Mężczyźni powtarzali:

– Jezu, posłuchajcie tylko. Jak gwiazdy filmowe. Spadliście z nieba czy co?

Kobiety w celach po drugiej stronie mówiły Malachy’emu, że jest cudowny, a bliźniaki są słodkie. Jedna zwróciła się do mnie:

– Chodź no tu, skarbie, chciałbyś cukierka?

Skinąłem głową, a ona na to:

– Wyciągnij rękę. – Wyjęła coś lepkiego z ust i położyła mi na dłoni. – Masz tu ładny kawałek krówki. Włóż do buzi.

Ja nie chcę wkładać do buzi, bo to się klei i jest wilgotne, ale nie wiem, co się powinno zrobić, kiedy kobieta siedząca w celi daje lepki kawałek krówki, więc już miałem włożyć ją do ust, kiedy podszedł strażnik, zabrał cukierek i cisnął w kobietę.

– Ty pijana dziwko, daj dzieciakowi spokój! – krzyknął, a wszystkie kobiety wybuchnęły śmiechem.

Sierżant dał mamie koc, położyła się na ławce i zasnęła. My wszyscy leżymy na podłodze. Tata siedzi oparty plecami o ścianę, pod daszkiem czapki widać, że oczy ma otwarte. Kiedy strażnicy częstują go papierosem, zapala. Ten, który rzucił krówką w kobietę, zwierza się, że pochodzi z Ballymeny na północy, i rozmawia z tatą o znajomych stamtąd, a także z innych miejscowości, takich jak Cushendall i Toome. Opowiada, że kiedy dostanie emeryturę, zamieszka na brzegu Lough Neagh i całe dnie będzie łowił ryby.

– Węgorze – mówi – mnóstwo węgorzy. Jezu, jak ja lubię smażonego węgorza!

Pytam tatę, czy to jest Cuchulain, a strażnik tak się śmieje, że twarz mu się robi czerwona.

– Matko święta, słyszycie? Ten chłopak pyta, czy jestem Cuchulainem. Mały jankes, a wie wszystko o Cuchulainie.

– Nie, to nie jest Cuchulain, ale to porządny człowiek, który zamieszka nad Lough Neagh i całe dnie będzie łowił ryby.

Tata mną potrząsa, żebym się obudził. W komisariacie panuje hałas. Jakiś chłopiec myje podłogę i śpiewa:

*Że ja całować ciebie chcę,
to każdy wie
lecz jak zrozumieć można, że
ty, właśnie ty, kochasz mnie.*

Mówię mu, że ma przestać, bo to piosenka mojej mamy, ale on tylko zaciąga się papierosem i odchodzi, a ja się zastanawiam, dlaczego ludzie muszą śpiewać piosenki, które należą do innych. Mężczyźni i kobiety wychodzą z cel, ziewając i stękając. Kobieta, która dała mi krówkę, tłumaczy się:

– Wypiłam kropelkę, dziecko. Przykro mi, że zrobiłam z ciebie głupca.

Strażnik z Ballymeny krzyczy:

– Ruszaj się, stara dziwko, bo cię z powrotem zamknę!

– A zamykaj. Zamkniesz czy wypuścisz, co za różnica, ty pawianie z czerwonym tyłkiem!

Mama siedzi na ławce owinięta kocem. Kobieta z siwymi włosami podaje jej kubek herbaty.

– Jestem żoną sierżanta, mąż mówił, że możecie potrzebować pomocy. Zjadłaby pani jajeczko na miękko?

Mama kręci przecząco głową.

– Ale w pani stanie powinna pani zjeść jajeczko na miękko.

Mama jednak znów odmawia, a ja się zastanawiam, jak można odrzucić jajko na miękko, skoro jest to najlepsza rzecz na świecie.

– No dobrze, to kawałek grzanki i coś dla dzieciaków i tego pani nieszczęsnego męża.

Idzie do sąsiedniego pomieszczenia i za chwilę przynosi herbatę i chleb. Tata pije herbatę, ale rezygnuje ze swojej porcji chleba.

– Na miłość boską, jedz chleb! – denerwuje się mama. – Nie na wiele się nam zdasz, jak będziesz padał z głodu.

Tata odmawia ruchem głowy i pyta żonę sierżanta, czy jest szansa na papierosa. Ona przynosi mu papierosa i mówi, że policjanci z komisariatu zrobili zbiórkę, żeby opłacić nam przejazd do Limerick. Samochód zabierze nasz kufer i zawiezie nas na dworzec Kingsbridge.

– Będziecie w Limerick za trzy lub cztery godziny.

Mama obejmuje żonę sierżanta i ściska ją.

– Niech Bóg błogosławi panią i męża, i wszystkich strażników. Nie wiem, co byśmy zrobili bez was. Bóg jeden wie, jak cudownie znaleźć się znowu wśród swoich.

– To jedyne, co możemy zrobić. Macie takie wspañałe dzieci. Sama jestem z Corku i wiem, co to znaczy znaleźć się w Dublinie bez grosza przy duszy.

Tata siedzi na drugim końcu ławki, pali papierosa i pije herbatę. Nie rusza się do chwili, gdy zjawia się samochód, który powiezie nas ulicami Dublina. Tata prosi kierowcę, żeby jechał koło Poczty Głównej, a kierowca pyta, czy chce kupić znaczek.

– Nie – mówi tata – ale słyszałem, że stanął tam nowy posąg Cuchulaina na cześć tych, co zginęli w tysiąc dziewięćset szesnastym roku, i chciałbym go pokazać synowi, bo on ma wielkie uwielbienie dla Cuchulaina.

Kierowca wprawdzie nie ma pojęcia, kim był Cuchulain, ale chętnie się zatrzyma. Sam może też wysiadzie, żeby się przekonać, o co to całe zamieszanie, bo nie był na Poczcie Głównej od dzieciństwa, a przecież Anglicy o mało jej nie rozwalili strzałami z ciężkich dział od rzeki Liffey. Mówi, że cały fronton podziurawiony jest kulami i że tak powinno zostać, by Irlandczycy mieli świadectwo perfidii Anglików. Pytam kierowcy, co to jest perfidia, a on radzi, żebym zapytał ojca. Zrobiłbym to, ale akurat stajemy przed wielkim budynkiem z kolumnami i to jest Poczta Główna.

Mama zostaje w samochodzie, a my idziemy za kierowcą do wnętrza.

– Tutaj stoi ten wasz Cuchulain – mówi kierowca. Czuję, że łzy napływają mi do oczu, bo wreszcie widzę Cuchulaina na piedestale w gmachu Poczty Głównej. Jest cały złoty, ma długie włosy, pochyloną głowę, a na jego ramieniu przysiadł ptak.

– Na miłość boską, o co tu chodzi? – pyta kierowca. – Co tu robi ten facet z długimi włosami i ptakiem na ramieniu? Może mi pan wytłumaczyć, jaki to ma związek z bojownikami z tysiąc dziewięćset szesnastego roku?

– Cuchulain walczył do końca, jak tamci mężczyźni w Wielkim Tygodniu – wyjaśnia tata. – Nieprzyjaciele bali się do niego zbliżyć, dopóki nie byli pewni, że nie żyje. Nabrali pewności dopiero wtedy, gdy usiadł na nim ptak i napił się jego krwi.

– Smutny to dzień dla Irlandczyków, kiedy od ptaka muszą się dowiadywać, że ktoś nie żyje – mówi kierowca. – Lepiej już chodźmy, bo spóźnimy się na pociąg do Limerick.

Żona sierżanta wysłała telegram do babci, żeby wyszła po nas na stację w Limerick. I rzeczywiście, babcia stała na peronie, miała białe włosy, cierpki wyraz oczu, czarny szal i ani cienia uśmiechu dla mamy czy kogoś z nas, nawet dla Malachy’ego, który śmiał się od ucha do ucha, pokazując słodkie białe ząbki. Mama wskazała na tatę i powiedziała:

– To Malachy.

Babcia skinęła głową i odwróciła wzrok. Zawołała dwóch chłopców, którzy kręcili się po dworcu, i zapłaciła im za zanieśnięcie kufra. Chłopcy mieli ogolone głowy, zasmarkane nosy i bose nogi. Zapytałem mamy, dlaczego nie mają włosów, a mama powiedziała, że ogolono im głowy, żeby wszy nie miały się gdzie ukrywać.

– Co to wsza? – zapytał Malachy.

– Nie wsza, tylko wesz, jedna to wesz – powiedziała mama.

– Natychmiast przestańcie! – wykrzyknęła babcia. – Co to za rozmowa!

Chłopcy gwizdnęli, zaczęli się śmiać, dreptali przy tym tak, jakby mieli na nogach buty.

– Skończcie mi z tymi śmiechami, bo upuścicie kufer i jeszcze się rozleci! – rozkazała babcia.

Zamilkli, a my weszliśmy za nimi do parku, gdzie na środku stał posąg i wysoki słup, a trawa była tak zielona, że aż się kręciło w głowie.

Tata niośł bliźniaki, mama w jednej ręce dźwigała torbę, a drugą trzymała Malachy’ego za rękę. Co kilka chwil przystawała, żeby zaczerpnąć tchu, aż babcia zapytała:

– Dalej palisz te fajki? One cię zabiją. Dosyć jest gruźlicy w Limerick, nie potrzeba jeszcze palić fajek, poza tym to kaprys bogaczy.

Po bokach dróżki w parku rosły setki różnokolorowych kwiatów, co bardzo podekscytowało bliźniaki. Pokazywały je palcami i wydawały dziwne dźwięki, rozśmieszając nas wszystkich prócz babci, która naciągnęła szal na głowę. Tata przystanął, postawił bliźniaki na ziemi, żeby miały bliżej do roślin, i powiedział: kwiaty, a oni biegali w tę i z powrotem, próbując powtórzyć to słowo. Jeden z chłopców niosących kufer zapytał:

– Boże, czy to Amerykanie?

– Tak – odpowiedziała mama. – Urodzili się w Nowym Jorku. Wszyscy urodzili się w Nowym Jorku.

Wtedy jeden chłopiec powiedział do drugiego:

– O Boże, to Amerykanie!

Postawili kufer na ziemi i wpatrywali się w nas, a my wpatrywaliśmy się w nich; wreszcie babcia spytała:

– Macie zamiar sterczeć tu cały dzień, patrzeć na kwiaty i gapić się na siebie?

Więc wszyscy znowu ruszyliśmy, wyszliśmy z parku na wąską uliczkę, a potem na następną prowadzącą do domu babci.

Po obu stronach uliczki stoją rzędy niewielkich domów; w jednym z nich mieszka babcia. W kuchni jest błyszcząca, wypolerowana żelazna kuchenka, na palenisku płonie ogień. Wzdłuż ściany pod oknem stoi stół, a naprzeciwko kredens z kubkami, spodeczkami i talerzami. Kredens jest zawsze zamknięty, a babcia trzyma klucz w swojej sakiewce, ponieważ rzeczy z kredensu można używać tylko wtedy, kiedy ktoś umrze albo wróci z zagranicy, albo kiedy przyjdzie ksiądz.

Na ścianie koło kuchenki wisi obraz przedstawiający mężczyznę z długimi brązowymi włosami i smutnymi oczami. Mężczyzna pokazuje ręką na swoją pierś, gdzie widać wielkie serce, z którego wychodzą płomienie. Mama wyjaśnia nam, że to Najświętsze Serce Jezusa, a ja chcę się dowiedzieć, dlaczego Jego serce się pali i dlaczego nie próbuje ugasić go wodą. Babcia pyta, czy te dzieci w ogóle nie mają pojęcia o swojej religii. Mama mówi, że w Ameryce jest zupełnie inaczej. Babcia stwierdza, że Najświętsze Serce jest wszędzie i nie ma usprawiedliwienia dla takiej ignorancji.

Pod obrazkiem mężczyzny z płonącym sercem wisi półeczka, a na niej w czerwonej szklaneczce miga świeca, obok której stoi małe figurka.

– To małe Jezus, Dzieciątko z Pragi. Jeśli będziecie kiedykolwiek czegoś potrzebowali, módlcie się do Niego – tłumaczy nam mama.

– Mamo, mogę Mu powiedzieć, że jestem głodny? – pyta Malachy, a mama przykładła palec do ust.

Babcia niechętnie krząta się po kuchni, robi herbatę i każe mamie pokroić chleb, byle nie za grubo. Mama siada przy stole, ciężko oddycha i mówi, że robi to za chwilę. Tata bierze nóż i zaczyna kroić, od razu widać, że babci się to nie podoba. Patrzy na niego, marszcząc brwi, ale się nie odzywa, mimo że tata pokroił grube kromki.

Nie ma dla wszystkich krzeseł, więc siadam z braćmi na schodach, żeby wypić herbatę i zjeść chleb. Tata i mama siedzą przy stole, babcia siedzi pod Najświętszym Sercem z kubkiem herbaty w ręku.

– Bóg mi świadkiem, że nie wiem, co z wami zrobić – zaczyna. – Taak. W tym domu nie ma miejsca. Nie ma miejsca nawet dla jednego z was.

Malachy powtarza: taak, taak i chichocze, ja też mówię: taak, taak, bliźniaki powtarzają: taak, taak, i zaśmiewamy się, nawet nie możemy jeść chleba.

Babcia patrzy na nas.

– Iz czego się śmiejecie? W tym domu nie ma do tego powodu. Zachowujcie się jak należy, żebym nie musiała do was podejść.

Babcia mówi tak dziwnie, że Malachy ze śmiechu opluwa się chlebem i herbatą, a twarz mu czerwienieje.

Tata każe nam się uspokoić, ale Malachy nie może przestać, śmieje się tak długo, aż w końcu tata woła:

– Chodź tu w tej chwili! – Zawija rękaw koszuli Malachy'ego i podnosi rękę, jakby go chciał uderzyć. – Będiesz się przyzwoicie zachowywał?

Oczy Malachy'ego wypełniają się łzami i w milczeniu kiwa głową, bo tata jeszcze nigdy nie podnosił na nas ręki.

– Bądź grzecznym chłopcem i siadaj razem z braćmi – mówi tata, opuszcza rękaw koszuli i głaszcze Malachy'ego po głowie.

Wieczorem po pracy w fabryce konfekcji przyszła siostra mamy, ciocia Aggie. Jest taka duża jak siostry MacNamara, ma płomiennie rude włosy. Wprowadziła olbrzymi rower do pokoiku za kuchnią i poszła na kolację. Mieszka u babci, bo pokłóciła się ze swoim mężem, Pa Keatingiem, który powiedział jej po kilku głębszych, że jest grubą krową i niech się wynosi do swojej matki. Tak przynajmniej babcia powtórzyła mamie i dlatego nie ma dla nas miejsca w jej domu. Mieszka w nim babcia, ciocia Aggie i syn babci, Pat, który jest moim wujkiem i sprzedaje gazety.

Ciocia Aggie była bardzo niezadowolona, kiedy się okazało, że ma spać z mamą.

– Zamknij gębę – powiedziała babcia. – To tylko jedna noc, więc nic ci się nie stanie. Jak ci się nie podoba, wracaj do męża, gdzie jest twoje miejsce, zamiast pakować się do mnie. Jezus Mario, Józefie! Popatrzcie na ten dom. Ty, Pat, a teraz jeszcze Angela z tą bandą Amerykanów. Czyja na koniec życia nie będę miała chwili spokoju?

Rozłożyła palta i szmaty na podłodze małego pokoju za kuchnią i spaliśmy tam koło roweru. Tata siedział na krześle w kuchni, wyprowadzał nas do ustępu za domem, a w nocy uciszał bliźniaki, kiedy płakały z zimna.

Rano ciocia Aggie przyszła po swój rower. Cały czas mówiła:

– Uspokójcie się, zejście mi z drogi.

Po jej wyjściu Malachy powtarzał: „zejście mi z drogi”. Słyszałem, jak tata śmiał się w kuchni, dopóki babcia nie pokazała się na dole, wtedy kazał Malachy’emu zamilknąć.

W ciągu dnia babcia i mama wyszły na miasto i znalazły umeblowany pokój przy Windmill Street, gdzie miała mieszkanie ciocia Aggie i jej mąż Pa Keating. Babcia zapłaciła komorne, dziesięć szylingów za dwa tygodnie. Dała mamie pieniądze najedzenie, pożyczyła czajnik, garnek, patelnię, noże i łyżki, słoiki po dzemie zamiast kubków, koc i poduszkę. Oznajmiła, że to wszystko, na co ją stać, więc tata będzie musiał ruszyć tyłek, znaleźć pracę albo pójść na bezrobocie, korzystać z dobroczynności Stowarzyszenia Świętego Wincentego a Paulo albo starać się o zapomogę.

W pokoju był kominek, na którym mogliśmy zagotować wodę na herbatę, a nawet ugotować jajko, gdyby kiedykolwiek trafiły nam się pieniądze. Mieliśmy stół, trzy krzesła i łóżko, mama stwierdziła, że nigdy nie widziała tak olbrzymiego łóżka. Tej nocy cieszyliśmy się z tego łóżka, wykończeni spaniem na podłodze w Dublinie i u babci. Nie miało znaczenia, że spaliśmy na nim wszyscy, cała szóstka, ale byliśmy razem, z dala od babci i strażników, Malachy mógł powtarzać: taak, taak, a my mogliśmy się śmiać do woli.

Tata i mama spali w głowach łóżka, my z Malachym w nogach, a bliźnięta tam, gdzie im było wygodniej. Malachy znowu nas rozweselił. Powtarzał: taak, taak i oj, oj, aż zasnął. Mama leciutko chrapnęła, co znaczyło, że już śpi. W świetle księżycy widziałem, że tata na drugim końcu łóżka jeszcze ma oczy otwarte. Kiedy Oliver zapłakał przez sen, tata wziął go i uciszył: sza, sza.

Potem usiadł na łóżku Eugene, szarpał na sobie rzeczy i krzyczał: „Ach, mamó, mamó!”.

Tata też usiadł i zapytał, co się stało. Eugene nie przestawał szlochać. Gdy tata wstał i podkręcił gazową lampkę, zobaczyliśmy pchły, skaczące, podskakujące, przyklepione do naszych ciał. Tłukliśmy je bez ustanku, ale skakały z jednego ciała na drugie i gryzły. Drapaliśmy się aż do krwi. Wskoczyliśmy z łóżka, bliźnięta się darły, mama jęczała:

– O Jezu, czy nigdy nie będzie spokoju?

Tata nalał wody z solą do słoika po dzemie i smarował ugryzienia. Sól szczypała, ale tata powiedział, że zaraz pocujemy się lepiej.

Mama usiadła przy kominku z bliźniętami na kolanach. Tata wciągnął spodnie i wywlókł materac z łóżka na ulicę. Napełnił wodą czajnik i garnek, oparł materac o ścianę, uderzał w niego butem, a mnie kazał polewać wodą ziemię, żeby potopić spadające pchły. Księżyc nad Limerick świecił tak jasno, że widziałem, jak jego kawałki błyszczą w wodzie, i chciałem je

pozbiierać, ale nie bardzo mogłem, bo pchły skakały mi po nogach. Tata nie przestawał tłuc w materac, a ja musiałem pobiec jeszcze po wodę z kranu na tyłach domu.

– Jak ty wyglądasz! – denerwowała się mama – Masz przemoczone buty, zaziębisz się, a ojciec na pewno dostanie zapalenia płuc, jak stoi tak z gołymi nogami.

Mężczyzna na rowerze zatrzymał się i koniecznie chciał wiedzieć, co tata robi.

– Matko Boska! – powiedział. – Nigdy nie słyszałem o takim lekarstwie na pchły. Wiesz pan, że gdyby człowiek mógł skakać jak pchła, to jednym skokiem znalazłby się w połowie drogi do księżycy? A jak pan wtargasz ten materac do domu, połóż go pan na łóżku do góry nogami, to skołuje te małe ścierwa. Nie będą wiedziały, gdzie są, będą żarły posłanie albo siebie nawzajem, i to jest najlepsze lekarstwo. Jak użrą człowieka, to dostają bzika, bo dokoła jest pełno innych pcheł, które też pogryzły ludzi, i ten zapach krwi doprowadza je do szału. To cholerna tortura, a wiem coś o tym, bo wyrastałem w Limerick, w Irishtown, a było tam tyle pcheł i tak bezczelnych, że siadały na czubku buta, gotowe dyskutować z człowiekiem o tragicznych dziejach Irlandii. Podobno w dawnej Irlandii nie było pcheł, sprowadzili je tu Anglicy, żeby nas ostatecznie pognębić, co jest do nich podobne. Czy to nie dziwne, że święty Patryk wyprowadził z Irlandii węże, a Anglicy sprowadzili tu pchły? Przez stulecia Irlandia była cudownym, spokojnym krajem, bez węży i bez pcheł. Można było chodzić po zielonych polach, nie bojąc się węży, i spać spokojnie przez całą noc, bo żadna pchła nie zakłócała snu. Węże w końcu nikomu nie robiły krzywdy, nie były groźne, jeśli się ich nie zaczepiło, żywiły się innymi stworzeniami, które żyły w gęstwie krzaków i tak dalej, podczas gdy pchła wysysa z człowieka krew rano, wieczór, we dnie, w nocy, bo taka już jej natura. Słyszałem, i jest to fakt, że w miejscach, gdzie były węże, nie było pcheł. W Arizonie na przykład. Ciągłe się słyszy o węzach w Arizonie, a kto kiedy słyszał o pchłach z Arizony? No, to powodzenia! Muszę się trzymać z daleka, bo gdyby chociaż jedna dostała się do mojego ubrania, to tak jakbym zaprosił do domu całą kolonię. One się mnożą szybciej niż Hindusi.

– Nie ma pan przypadkiem papierosa? – spytał tata.

– Papierosa? Oczywiście. Proszę. One już mnie niemal wykończyły, te przekłete papierosy. Cholerny, charczący kaszel.

Taki silny, że o mało nie zrzuci mnie z roweru. Czuję, jak się zbiera w splocie słonecznym, a potem idzie do góry przez moje flaki, aż dosłownie urywa mi czubek głowy.

Zapalił zapalną, przypalił swojego papierosa i podał ogień tacie.

– Oczywiście, trudno nie mieć kaszlu, jak się mieszka w Limerick, bo to stolica słabych piersi, a słabe piersi prowadzą do suchoty. Gdyby tak umarli wszyscy tutejsi mieszkańcy, którzy mają suchoty, byłoby to miasto widmo, chociaż ja sam nie cierpię na suchoty. Nie, ten kaszel to prezent od szkopów. – Zamilkł, zaciągnął się papierosem i zaniósł się kaszlem. – Jezusie, te papierosy mnie wykończą! No, to już sobie pójdę, a pamiętaj pan, co zrobić z materacem, żeby tym ścierwom pomieszać w głowie.

Oddalił się chwiejnie na rowerze, papieros zwisał mu z ust, a kaszel rozdzierał płuca.

– Ludzie z Limerick za dużo gadają – powiedział tata. – Chodź, zaniesiemy materac i zobaczymy, czy da się jeszcze trochę pospać.

Mama siedziała przy ogniu, bliźniaki spały na jej kolanach, a Malachy zwinięty w kłębek leżał na podłodze u jej stóp.

– Z kim rozmawiałeś? Zdawało mi się, że to Pa Keating, mąż Aggie. Poznałam po kaszlu. Dostał tego kaszlu we Francji podczas wojny, jak się nałykał gazu.

Przespaliśmy resztę nocy, a rano zobaczyliśmy, gdzie ucztowały pchły; na skórze widać było różowe obwódki i jaśniejsze plamy zadrapań.

Mama zrobiła herbatę i podsmażany chleb, a tata znowu posmarował nam miejsca ukąszeń słoną wodą. Potem wyniósł materac na dwór za dom. W taki zimny dzień pchły na pewno pozamarzają i będziemy mogli spokojnie spać.

Kilka dni później, kiedy już zadomowiliśmy się w nowym pokoju, tata wyrywa mnie ze snu.

– Wstawaj, Francis. Ubieraj się i biegnij po ciocię Aggie. Mama jej potrzebuje. Pospiesz się!

Mama stęka w łóżku, ma twarz zupełnie białą. Tata wyciągnął z łóżka Malachy'ego i bliźniaki i posadził na podłodze przy wygasłym ogniu. Biegnę przez ulicę i pukam do drzwi cioci Aggie, dopóki nie zjawia się jęczący i kaszlący wuj Pa Keating.

– O co chodzi?

– Mama stęka w łóżku. Chyba jest chora.

Teraz schodzi ciocia Aggie i narzeka.

– Odkąd przyjechaliście z tej Ameryki, tylko z wami kłopoty.

– Aggie, daj mu spokój, to tylko dzieciak. Robi to, co mu kazali.

Ciocia chce, żeby wujek wrócił do łóżka, bo przecież rano musi iść do pracy, nie tak jak ci z Północy, których nazwisk nie będzie wymieniać.

– Nie, idę z tobą, coś się stało Angeli.

Tata każe mi usiąść obok braci. Nie wiem, co się stało mamie, bo wszyscy szepczą tak, że ledwo słyszę, jak ciocia Aggie mówi do wuja Pa, że dziecko stracone, biegnij po karetkę. Wujek Pa wybiega za drzwi. Ciocia teraz zwraca się do mamy:

– Mów sobie, co chcesz o Limerick, ale karetka przyjeżdża szybko. – Nie odzywa się do ojca, nawet na niego nie patrzy.

– Tato, czy mama jest chora? – pyta Malachy.

– Wszystko będzie dobrze, synu. Musi ją zobaczyć doktor.

Zastanawiam się, jakie dziecko stracone, bo przecież wszyscy tu jesteśmy, raz, dwa, trzy, wszyscy czterej, żadne dziecko nie przepadło. Dlaczego nikt mi nie powie, co się stało mamie? Wraca wujek Pa, a tuż za nim zjawia się karetka. Wchodzi człowiek z noszami, wynoszą mamę, a na podłodze przy łóżku zostają ślady krwi. Kiedy Malachy przygryzł sobie język, też była krew i była także koło psa na ulicy, i umarł. Chcę zapytać taty, czy mama odejdzie na zawsze, tak jak moja siostra Margaret, ale tata jedzie z mamą, a nie ma sensu o cokolwiek pytać cioci Aggie, bo boję się, że mnie skrzyczy. Ciocia wyciera plamy na podłodze, każe nam wracać do łóżka i czekać, aż wróci tata.

Jest środek nocy, leżymy we czterech w łóżku, mamy ciepło, więc zasypiamy. Budzi nas tata, by nam powiedzieć, że mamie jest dobrze i wygodnie w szpitalu i że bardzo szybko wróci do domu.

Później tata idzie do pośredniaka po zasiłek dla bezrobotnych. Nie ma szansy, żeby niewykwalifikowany robotnik z północnym akcentem dostał pracę w Limerick.

Po powrocie tata oznajmia mamie, że będzie dostawał dziewiętnaście szylingów na tydzień. Mama się denerwuje, że to akurat tyle, żebyśmy wszyscy umarli z głodu. Dziewiętnaście szylingów na sześć osób?! To mniej niż cztery amerykańskie dolary, jak mamy za to przeżyć? A co zrobimy za dwa tygodnie, kiedy trzeba będzie zapłacić komorne? Komorne za ten pokój wynosi pięć szylingów tygodniowo, więc zostanie nam czternaście szylingów najedzenie, ubranie i węgiel, żeby zagotować wodę na herbatę.

Tata kręci głową, popija herbatę ze słoika po dzemie, patrzy w okno i gwizdże „Chłopców z Wexford”. Malachy i Oliver klaszczą w ręce i tańczą wokół pokoju, a tata nie wie, czy gwizdać dalej, czy się śmiać, bo przecież nie da się robić jednego i drugiego naraz, ale nie może się powstrzymać od śmiechu. Głaszcze Olivera po głowie i znowu zaczyna gwizdać. Mama też się uśmiecha, ale szybko przestaje, a kiedy wpatruje się w popiół, w opuszczonych kącikach jej ust widać troskę.

Następnego dnia zostawia bliźniaki pod opieką taty, a mnie i Malachy'ego zabiera do Stowarzyszenia Świętego Wincentego á Paulo. Stoimy w kolejce razem z kobietami w czarnych szalach. Pytają, jak mamy na imię, a kiedy mówimy, uśmiechają się i powtarzają:

„Wielki Boże, posłuchaj tylko tych małych jankesów”. Zastanawiają się, dlaczego mama w amerykańskim palcie stara się o pomoc dobroczynną, skoro nie starcza jej dla ludzi z Limerick, nie potrzeba, żeby jankesi tu przyjeżdżali i odejmowali miejscowym chleb od ust.

Mama tłumaczy, że dostała to palto od kuzynki w Brooklynie, że mąż nie ma pracy, a w domu jest jeszcze dwójka dzieci, dwaj chłopcy bliźniacy. Kobiety pociągają nosami i otulają się w szale, mają dosyć własnych kłopotów. Mama wyjaśnia im, że musiała wyjechać z Ameryki, bo nie mogła tam wytrzymać po śmierci córeczki. Kobiety znowu pociągają nosami, ale teraz robią to dlatego, że mama szłocha. Niektóre mówią, że też straciły dzieci i że to jest najgorsze ze wszystkiego. Można żyć tak długo jak żona Matuzalema, a i tak się o tym nie zapomni. Żaden mężczyzna nigdy nie zrozumie, co to znaczy być matką, która straciła dziecko, nawet gdyby żył dłużej niż dwóch Matuzalemów.

Wszystkie płaczą, dopóki rudowłosa kobieta nie puszcza w ruch niewielkiego pudełka. Po kolei coś z niego wyciągają palcami i pchają sobie do nosów. Młoda kobieta kicha, a ruda wybucha śmiechem.

– Och, Biddy, to dla ciebie za dobra tabaka. Chodźcie tu, mali jankesi, weźcie szczyptę.

Wpycha brązowy proszek do naszych nozdrzy, a my kichamy tak mocno, że kobiety przestają płakać i zaczynają się śmiać, aż muszą szalami wycierać oczy.

– To wam dobrze robi, przeczyści wam głowy – zauważa mama.

Młoda kobieta, Biddy, chwali nas, że jesteśmy wspaniałymi chłopcami. Wskazuje ręką na Malachy’ego:

– Czy ten mały ze złotymi loczkami nie jest cudowny? Mógłby być gwiazdą filmową razem z Shirley Tempie.

Malachy się uśmiecha i cała kolejka robi się bardziej przyjazna.

– Nie chcę być bezczelna, ale powinna pani chyba usiąść, wiemy o pani ostatniej stracie – zwraca się do mamy kobieta od tabaki.

– Lepiej nie, oni tego nie lubią – z troską w głosie oponuje inna.

– Kto nie lubi czego?

– Słuchaj no, Noro Molloy, stowarzyszenie nie lubi, jak siadamy na schodkach. Chcą, żebyśmy czekały z szacunkiem, na stojąco pod ścianą.

– Mogą mnie pocałować w tyłek – odparowuje Nora, kobieta z rudymi włosami. – Niech pani tu siada na schodku, a ja usiądę obok. Jeśli Stowarzyszenie Świętego Wincentego powie choć słowo, to wtłoczę im to w gębę, przysięgam. Pali pani?

– Palę, ale nie mam co.

Nora wyciąga papierosa z kieszeni fartucha, przełamuje go i połowę daje mamie.

– Tego też nie lubią – mówi zatroskana kobieta. – Twierdzą, że każdy wypalony papieros odbiera dzieciom od ust jedzenie. Pan Quinlivan jest strasznie przeciwny paleniu. Mówi, że jak się ma pieniądze na papierosy, to ma się i na jedzenie.

– Quinlivan też mnie może pocałować w tyłek, stary drań z fałszywym uśmiechem. Będzie nam żałował sztachnięcia się od czasu do czasu, tej jedynej przyjemności, jaka nam została?

Na końcu korytarza otwierają się drzwi i pojawia się w nich mężczyzna.

– Czy ktoś czeka na buty dla dzieci?

– Ja, ja – kobiety podnoszą ręce.

– No więc butów już nie ma. Przyjdźcie w przyszłym miesiącu.

– Ale mój Mikey musi mieć buty do szkoły!

– Powiedziałem, że nie ma butów.

– Panie Quinlivan, przecież jest strasznie zimno na dworze.

– Buty już rozdane. Nic na to nie poradzę. A to co? Kto tu pali?

Nora macha papierosem.

– Ja – odpowiada i widać, że sprawia jej to olbrzymią przyjemność.

– Każde zaciągnięcie... – zaczyna mężczyzna.
– Wiem – kończy za niego Nora – ...odejmuje jedzenie od ust moich dzieci.
– Kobieto, jesteś bezczelna. Nie spodziewaj się tutaj żadnego wsparcia.
– Czyżby? Dobrze, panie Quinlivan, w takim razie wiem, gdzie na pewno dostanę wsparcie.

– O czym ty mówisz?

– Pójdę do kwaków. Oni na pewno mi pomogą.

Pan Quinlivan podchodzi do Nory i wskazuje na nią palcem.

– Wiecie, kogo tu mamy? Żupnika. Mieliśmy żupników w okresie głodu. Protestanci obiecywali wszystkim dobrym katolikom, że jeśli wyrzekną się swojej wiary i zostaną protestantami, dostaną więcej zupy, niż będą mogli zjeść. Niech nas Bóg ma w swojej opiece, ale znaleźli się tacy katolicy, którzy skusili się na tę zupę. Odtąd po wsze czasy zwani są żupnikami, zgubili swoje nieśmiertelne dusze, skazani są na najciemniejsze kąty piekła. Ty też, kobieto, jeśli pójdziesz do kwaków, zgubisz swoją nieśmiertelną duszę i dusze swoich dzieci.

– W takim razie, panie Quinlivan, pan musi nas ocalić.

On wpatruje się w nią, a ona w niego. On przenosi wzrok na inne kobiety. Jedna z nich zasłania ręką usta, żeby stłumić śmiech.

– A ty czego chichoczesz? – warczy.

– Nie, panie Quinlivan, naprawdę się nie śmieję.

– Jeszcze raz powtarzam: nie ma butów. – I zatrząskuje za sobą drzwi.

Kobiety po kolei wzywane są do wnętrza. Nora wychodzi uśmiechnięta i wymachuje kawałkiem papieru.

– Buty – mówi. – Dostanę trzy pary dla moich dzieciaków. Wystarczy postraszyć tych ludzi kwakrami, a ściągną własne gacie z tyłka.

Kiedy mama zostaje wezwana, zabiera do środka Malachy'ego i mnie. Stoimy przy stole, za którym siedzą trzej mężczyźni i zadają pytania. Pan Quinlivan zaczyna coś mówić, ale przerywa mu mężczyzna siedzący w środku:

– Już dosyć, Quinlivan. Gdyby to od ciebie zależało, biedacy z Limerick rzuciliby się w ramiona protestantów.

Zwraca się do mamy, chce się dowiedzieć, skąd ma taki porządny czerwony płaszcz. Mama powtarza to samo, co powiedziała kobietom w kolejce, a kiedy dochodzi do śmierci Margaret, zaczyna szlochać. Mówi tym trzem mężczyznom, jak bardzo jej przykro, że tak płacze, ale to się stało zaledwie przed paroma miesiącami i jeszcze się z tym nie pogodziła, i nawet nie wie, gdzie jej dziecko jest pochowane ani czy w ogóle zostało pochowane, nie wie nawet, czy dziecko zostało ochrzczone, była taka wycieńczona czterema chłopcami, że nie miała siły pójść do kościoła i ochrzcić. I teraz ma wielką ranę w sercu na myśl, że Margaret może na wieki znalazła się w otchłani bez nadziei spotkania kogokolwiek z nas, niezależnie od tego, czy znajdziemy się w niebie, w piekle czy w czyśćcu.

Pan Quinlivan oddaje mamie swoje krzesło.

– Już dobrze, niech się pani uspokoi. Proszę usiąść. No już, już.

Pozostali mężczyźni wpatrują się w stół, w sufit. Mężczyzna, który siedzi w środku, obiecuje, że da mamie talon na tygodniowe zakupy w sklepie spożywczym McGrath przy Parnell Street. Można za to dostać herbatę, cukier, mąkę, mleko, masło, a na osobny talon będzie worek węgla ze składu Suttona przy Dock Road.

– Oczywiście, nie będzie pani dostawała talonu co tydzień – wyjaśnia trzeci mężczyzna. – Odwiedzimy panią w domu, żeby się przekonać, czy potrzeby są prawdziwe. Musimy to zrobić, żeby należycie ocenić sytuację.

Mama wyciera twarz rękawem i bierze kupon.

– Niech wam Bóg błogosławi za waszą dobroć – mówi, a mężczyźni kiwają głowami, wpatrują się w stół, w sufit, w ściany, prosząc, by mama przysłała następną kobietę z kolejki.

– Kiedy pójdzie pani do sklepu McGrath, niech pani uważa na tę starą jędzę, bo ona oszukuje. Kładzie na wagę towar na papierze, który zwisa z szalki po jej stronie lady, i myśli, że nikt tego nie widzi. Pociąga za papier, tak że przy odrobinie szczęścia dostaje się ledwo połowę tego, co się należy. A cały sklep ma obwieszony obrazkami Matki Boskiej i Najświętszego Serca Jezusowego, ciągle klęczy w kaplicy Świętego Józefa, przebierając paciorkami różańca, a dyszy przy tym jak umęczona dziewica. Stara wiedźma – przestrzegają kobiety w kolejce.

– Pójdę z panią – proponuje Nora. – Też chodzę do tej McGrath, to zobaczę, czy panią oszuka.

Prowadzi nas do sklepu przy Parnell Street. Kobieta za kontuarem bardzo grzecznie traktuje mamę w amerykańskim palcie, dopóki mama nie pokazuje kuponu od Świętego Wincentego i Paulo.

– A pani co robi o tej porze w sklepie? – pyta kobieta zza kontuaru. – Nigdy nie obsługuję klientek z dobroczynności przed szóstą wieczorem. Ale zrobię wyjątek, bo to pierwszy raz. Pani też ma kupon? – zwraca się do Nory.

– Nie, ja tylko pomagam tej nieszczęsnej rodzinie z pierwszym kuponem od Świętego Wincentego.

Kobieta kładzie na wadze gazetę i zaczyna sypać mąkę z dużego worka. Kończy sypać i oznajmia:

– Tu jest funt mąki.

– Nie sędzę – wtrąca Nora. – To bardzo mały funt mąki.

Kobieta się czerwieni.

– Pani mnie oskarża?

– Nic podobnego, pani McGrath. Chyba wydarzył się drobny wypadek, oparła się pani biodrem i przycisnęła gazetę, nawet pani nie zauważyła, że ją pani trochę pociągnęła. Wielki Boże, co za pomysł! Taka kobieta jak pani, co ciągle klęczy przed Najświętszą Panią, jest dla nas wszystkich przykładem. Czy to pani pieniądze tam na podłodze?

Pani McGrath szybko robi krok w tył, a strzałka wagi podskakuje i chwieje się niepewnie.

– Jakie pieniądze? – pyta pani McGrath, ale w tym momencie patrzy na Norę i już wie. Nora się uśmiecha.

– To chyba cień padał – wyjaśnia i podejrzliwie patrzy na wagę. – Najwyraźniej zaszła pomyłka, bo strzałka wskazuje niecałe pół funta mąki.

– Z tą wagą ciągle są kłopoty – tłumaczy się pani McGrath.

– Na pewno – zgadza się Nora.

– Ale mam czyste sumienie przed Bogiem.

– Nie wątpię i podziwiam panią wszyscy w Stowarzyszeniu Świętego Wincentego i w sodalicii.

– Staram się być dobrą katoliczką.

– Staram się? Och, nie musi się pani tak bardzo starać, bo wszyscy wiedzą, jakie pani ma dobre serce. Zastanawiałam się, czy nie znalazłaby pani po cukierku dla tych chłopczków.

– No, nie jestem milionerką, ale...

– Niech panią Bóg błogosławi, pani McGrath. Wiem, że za daleko się posuwam, ale nie mogłaby mi pani pożyczyć dwóch papierosów?

– Papierosy nie są na talony. Nie jestem tu od zaopatrywania w luksusy.

– Gdyby pani mogła, na pewno powiem u Świętego Wincentego, jaka pani miłosierna.

– Dobrze już, dobrze. Proszę. Ale z tymi papierosami to tylko ten jeden jedyny raz.

– Niech panią Bóg błogosławi. Przykro mi, że waga sprawia takie kłopoty.

W drodze do domu zatrzymujemy się w parku Ludowym, siadamy na ławeczce, Malachy i ja zjadamy swoje cukierki, a mama i Nora palą papierosy. Nora zaczyna kasłać i mówi mamie, że papierosy ją wykończą, zwłaszcza że w jej rodzinie były suchoty i nikt nie dożył późnego wieku, zresztą kto chciałby dożyć starości w Limerick? Wystarczy rozejrzeć się dokoła, żeby zauważyć, jak rzadko widać siwe włosy; wszystkie siwe włosy albo są na cmentarzu, albo po drugiej stronie Atlantyku pracują na kolei lub spacerują w policyjnych mundurach.

– Pani to ma szczęście, chociaż widziała pani kawałek świata. Boże, dałabym wszystko, żeby zobaczyć Nowy Jork, ludzi tańczących sobie na Broadwayu, bez żadnych kłopotów! Nie, ja musiałam się zakochać w pijaczku pełnym wdzięku, co się nazywa Peter Molloy i jest mistrzem w opróżnianiu kufli. Nie miałam jeszcze siedemnastu lat, jak mi zrobił brzuch, no, a potem ślub. Nie miałam o niczym pojęcia. W Limerick dorastamy, nie mając o niczym pojęcia, tak tu jest, zostajemy matkami, zanim jeszcze stajemy się kobietami. I nie ma tu nic prócz deszczu i starych bab klepiących różaniec. Oddałabym własne zęby, żeby się wyrwać do Ameryki czy choćby do Anglii. Ten mistrz opróżniania kufli stale jest na bezrobociu, a czasami nawet i to przepija, doprowadza mnie do takiego szału, że ląduję w domu wariatów.

Zaciągnęła się papierosem i zaniósła kaszlem, kołysała się całym ciałem w przód i w tył, a między kolejnymi kasznięciami stękała: Jezus, Jezus. Kiedy kaszel ustał, powiedziała, że musi iść do domu i wziąć lekarstwo.

– Spotkamy się w przyszłym tygodniu u Świętego Wincentego. Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę przysłać wiadomość na Vize Field. Wystarczy zapytać kogokolwiek o żonę Petera Molloya, mistrza w opróżnianiu kufli.

Eugene śpi na łóżku przykryty paltem. Tata siedzi przy kominku i trzyma na kolanach Olivera. Zastanawiam się, dlaczego opowiada mu historię Cuchulaina. Wie, że opowieści o Cuchulainie należą do mnie. Ale kiedy patrzę na Olivera, już nie mam do taty żalu. Policzki Olivera są purpurowe, wpatruje się w wygasły ogień i od razu widać, że Cuchulain wcale go nie obchodzi. Mama przykłada mu rękę do czoła.

– Chyba ma gorączkę – mówi. – Gdybym miała cebulę, zagotowałabym ją w mleku z pieprzem. To dobre na gorączkę. Ale nawet gdybym miała cebulę, to na czym zagotowałabym mleko? Potrzebny nam węgiel.

Daje tacie talon na węgiel ze składu na Dock Road. Tata zabiera mnie z sobą, ale jest już ciemno i składy opałowe są zamknięte.

– Tato, co teraz zrobimy?

– Nie wiem, synu.

Przed nami kobiety w szalach i małe dzieci zbierają węgiel z ulicy.

– Tato, tu jest węgiel.

– O nie, synu! Nie będziemy zbierali węgla z ulicy. Nie jesteśmy żebrakami.

Tata mówi mamie, że składy opałowe są zamknięte, więc musimy zjeść chleb i napić się zimnego mleka. Kiedy opowiadam o kobietach na ulicy, mama podaje ojcu Eugene'a.

– Jeśli jesteś zbyt ważny, żeby zbierać węgiel na ulicy, toja włożę palto i pójdę na Dock Road.

Mama bierze torbę, zabiera też Malachy'ego i mnie. Za Dock Road widać coś ciemnego, w czym odbijają się światła. Mama wyjaśnia, że to rzeka Shannon. W Ameryce najbardziej tęskniła za tą rzeką. Hudson to ładna rzeka, ale Shannon śpiewa. Ja nie słyszę tej pieśni, lecz mama słyszy i jest szczęśliwa. Inne kobiety już poszły z Dock Road, teraz my szukamy kawałków węgla, które pospadały z platform. Mama każe nam zbierać wszystko, co się pali: węgiel, drewno, karton, papier.

– Niektórzy palą końskie odchody – dodaje. – Ale my jeszcze nie upadliśmy tak nisko. – Kiedy torba jest prawie pełna, mama mówi: – Teraz musimy zdobyć cebulę dla Olivera.

Malachy twierdzi, że zaraz znajdzie, lecz mama mu tłumaczy, że cebuli nie można znaleźć na ulicy, tylko w sklepie.

Malachy zauważa sklep i z okrzykiem wbiega do środka.

– Cybula – powtarza – cybula dla Olivera!

Mama biegnie za nim i przeprosza kobietę za ladą. Kobieta woła:

– Boże, ależ to słodki dzieciak! Amerykanin czy co?

Mama przytakuje. Kobieta pokazuje w uśmiechu dwa zęby, po jednym z każdej strony górnej szczęki.

– Słodki, a jakie ma piękne złote loki! Czego on chce? Cukierka?

– Nie. Cebuli.

– Cebuli? – śmieje się kobieta. – Jeszcze nigdy nie słyszałam o dziecku, które chce cebuli.

To taki zwyczaj w Ameryce?

– Wspomniałam tylko, że przydałaby mi się cebula dla drugiego synka, który jest chory. Chciałam ją ugotować w mleku.

– Bardzo słusznie. Trudno o lepsze lekarstwo. Słuchaj, chłopaczku, tu jest dla ciebie cukierek i drugi dla tamtego chłopczyka. To pewnie twój braciszek?

– Och, nie powinna pani... Chłopcy, podziękujcie.

– A to ładna, zdrowa cebula dla chorego dziecka.

– Nie mogę teraz kupić. Nie mam przy sobie ani pensa.

– Daję ją pani, by nikt nie powiedział, że w Limerick rozchorowało się dziecko, bo zabrakło dla niego cebuli. Niech pani nie zapomni trochę poproszyć pieprzem. Ma pani pieprz?

– Nie mam, ale lada dzień dostanę.

– Proszę, pieprz i trochę soli. Dobrze dzieciakowi zrobi.

– Niech panią Bóg błogosławi – mówi mama, a oczy jej robią się wilgotne.

Tata spaceruje w tę i z powrotem z Oliverem na rękach, a Eugene bawi się na podłodze garnkiem i łyżką.

– Masz cebulę? – pyta tata.

– Mam – odpowiada mama. – Nie tylko cebulę, mam też węgiel i coś na podpałkę.

– Wiedziałem, że ci się uda. Pomodliłem się do świętego Judy. To mój ulubiony święty, patron spraw beznadziejnych.

– Zdobyłam węgiel. I cebulę. Bez pomocy świętego Judy.

– Nie powinnaś zbierać węgla z ulicy jak zwykła żebraczka. To zły przykład dla chłopców.

– W takim razie powinienes wysłać świętego Judę na Dock Road.

Malachy skarży się, że jest głodny, ja też chcę jeść.

– Musicie poczekać, aż Oliver dostanie cebulę ugotowaną w mleku – mówi mama.

Rozpala ogień, kroi cebulę na pół, wrzuca połówkę do gotującego się mleka, wkłada trochę masła i posypuje pieprzem. Bierze Olivera na kolana i próbuje go nakarmić, ale on odwraca głowę i patrzy w ogień.

– Zjedz, skarbie! To ci dobrze zrobi. Będziesz duży i silny.

Oliver zaciska usta. Mama odstawia garnek, kołysze Olivera, który zasypia, wtedy kładzie go na łóżku i każe nam siedzieć cicho, bo inaczej rozedrże nas na strzepy. Kroci pozostałą połówkę cebuli i smaży ją na maśle z kawałkami chleba. Sadza nas na podłodze przy ogniu; jemy smażony chleb i pijamy wrzącą herbatą ze słoików po dzemie.

– Ogień się dobrze pali, możemy zgasić lampkę gazową, bo nie mamy pieniędzy na gaz – oświadcza mama.

Od ognia robi się w pokoju ciepło, w tańczących płomieniach można zobaczyć twarze, góry, doliny i skaczące zwierzęta. Eugene zasypia na podłodze, tata kładzie go na łóżku koło Olivera. Mama stawia garnek z mlekiem i cebulą nad kominkiem w obawie, że dobierze się

do niego mysz albo szczur. Narzeka, że zmęczył ją ten dzień, Stowarzyszenie Świętego Wincentego, sklep pani McGrath, szukanie węgla na Dock Road, troska o Olivera, który nie chciał gotowanej cebuli. Jeśli jutro będzie z nim tak samo, zabierze go do doktora, a teraz musi się położyć spać.

Wkrótce wszyscy leżymy w łóżku, od czasu do czasu pojawia się jakaś pojedyncza pchła, ale to mi specjalnie nie przeszkadza, bo jest nam ciepło w szóstkę na jednym pośłaniu; podoba mi się blask ognia tańczący na ścianach i suficie, pokój robi się czerwony i czarny, czerwony i czarny, potem blednie do czarno-białego i słyhać tylko cichy płacz Olivera, który przewraca się w objęciach mamy.

Rano tata rozpala ogień, robi herbatę, kroi chleb. Jest już ubrany i popędza mamę, żeby się jak najszybciej ubrała.

– Francis, twój braciszek jest chory, wieziemy go do szpitala. Masz być grzecznym chłopcem i zająć się braćmi. Niedługo wrócimy.

– Nie jedzcie tylko za dużo cukru. Nie jesteśmy milionerami – przypomina mama.

Kiedy bierze na ręce Olivera i zawija go w palto, Eugene staje na łóżku.

– Ollie, gdzie Ollie, chcę się bawić! – woła.

– Ollie niedługo wróci – zapewnia mama. – Wtedy się pobawicie. Teraz możesz się bawić z Frankiem i z Malachym.

– Ollie, Ollie, chcę Olliego!

Odprowadza Olivera wzrokiem, a po ich wyjściu siedzi na łóżku i patrzy w okno.

– Genie, Genie, mamy chleb, mamy herbatę. Posypię ci chleb cukrem – zachęca go Malachy. Eugene kręci głową i odsuwa chleb, który podaje mu Malachy. Przeczolguje się na miejsce, gdzie spała mama z Oliverem, kładzie się tam i patrzy w okno.

W drzwiach staje babcia.

– Słyszę, że wasi rodzice biegli po Henry Street z dzieckiem na rękę. Dokąd się tak spieszyli?

– Oliver jest chory – wyjaśniam. – Nie chciał jeść cebuli gotowanej w mleku.

– Co ty pleciesz?

– Nie chciał jeść gotowanej cebuli i zachorował.

– A wami kto się zajmuje?

– Ja.

– A co jest temu na łóżku? Jak on ma na imię?

– To Eugene. Tęskni za Oliverem. Oni są bliźniakami.

– Wiem, że są bliźniakami. Ten dzieciak wygląda na zagłodzonego. Macie płatki owsiane?

– Co to płatki owsiane? – pyta Malachy.

– Jezus Maria, Józefie święty! Co to płatki! Płatki to płatki. Nigdy nie widziałam tak tępej bandy jankesów. Ubierajcie się, pójdziemy na drugą stronę ulicy do cioci Aggie. Ona i Pa Keating, jej mąż, są w domu. Na pewno da wam płatków.

Babcia bierze na ręce Eugene'a, owija go szalem i przechodzimy przez ulicę do cioci Aggie. Ciocia znowu mieszka z wujkiem Pa, bo powiedział, że jednak nie jest grubą krową.

– Masz trochę płatków owsianych? – pyta babcia.

– Płatków? Co to, mam karmić płatkami bandę jankesów?

– Ależ ty jesteś! Nie umrzesz od tego, jak dasz im trochę płatków.

– I pewnie będą jeszcze chcieli mleka i cukru, a potem zaczną walić do moich drzwi, bo mają ochotę na jajko! Nie rozumiem, dlaczego mamy płacić za błędy Angeli.

– Jezu, dobrze, że nie do ciebie należała stajnia w Betlejem, bo Święta Rodzina do tej pory wędrowałaby po świecie, umierając z głodu.

Babcia przeciska się koło cioci Aggie, sadza Eugene'a na krzesło przy ogniu i gotuje płatki. Z drugiego pokoju wchodzi mężczyzna. Ma czarne kręcone włosy, skórę też czarną, ale podobają mi się jego oczy, bo są bardzo niebieskie i gotowe do śmiechu. To mąż cioci Aggie, mężczyzna, który przystanął w nocy, kiedy walczyliśmy z pchłami, i opowiedział nam wszystko o pchłach i wężach, mężczyzna, który nabawił się kaszlu, ponieważ na wojnie nałykał się gazu.

– Dlaczego jesteś cały czarny? – pyta Malachy.

A wujek Pa Keating śmieje się i kaszle tak mocno, że musi sobie ulżyć papierosem.

– Och, ci mali jankesi. Nie wiedzą, co to nieśmiałość. Jestem czarny, bo pracuję w gazowni miasta Limerick, wrzucam do pieców koks i węgiel. Zagazowany we Francji po to, żeby w Limerick pracować w gazowni. Kiedy dorośniesz, uśmiejesz się z tego.

Malachy i ja musimy wstać od stołu, żeby dorośli mogli wypić herbatę. Pa Keating, który jest moim wujkiem, ponieważ ożenił się z ciocią Aggie, bierze na kolana Eugene'a. „Taki smutny ten dzieciak” – mówi wuj; robi zabawne miny i wydaje dziwne dźwięki. Obaj z Malachym parskamy śmiechem, ale Eugene tylko wyciąga rękę, żeby dotknąć czarnej skóry Pa Keatinga, i śmieje się dopiero wtedy, kiedy Pa udaje, że chce go ugryźć w rączkę. Wszystkich w pokoju ogarnia wesołość. Malachy podchodzi do Eugene'a i chce go jeszcze bardziej rozbawić, ale Eugene odwraca się i chowa głowę w koszuli Pa Keatinga.

– Myślę, że on mnie lubi – zauważa Pa.

W tym momencie ciocia Aggie odstawia filiżankę i zaczyna zawodzić: aa, aaa, a po jej tłustej czerwonej twarzy płyną wielkie łzy.

– O Jezu – wzdycha babcia – znowu zaczyna. O co ci chodzi tym razem?

– Jak widzę Pa z dzieckiem na kolanach, a ja nie mam nadziei na własne... – wyrzuca z siebie.

– Przestań wygadywać takie rzeczy przy dzieciach – warczy na nią babcia. – Wstydu nie masz? Kiedy Bóg będzie gotowy, ześle ci rodzinę.

Ciocia Aggie szlocha.

– Angela urodziła pięciorko, jedno teraz straciła, a przecież jest tak kompletnie do niczego, że nawet podłogi nie potrafi wyszorować. A ja, co umiem wszystko wymyć, wyszorować, zrobić najlepszą potrawkę czy smażeninę, nie mam ani jednego.

– Chyba zatrzymam sobie tego chłopaczka – zapowiada wujek Pa Keating.

Malachy biegnie do niego.

– Nie, nie, to mój brat, to Eugene!

Ja też wołam:

– Nie, nie, to nasz brat!

Ciocia Aggie wyciera łzy z policzków.

– Nie chcę niczego od Angeli – mówi. – Nie chcę niczego, co jest na pół z Limerick, a na pół z Irlandii Północnej, absolutnie nie chcę, więc możecie go zabrać do domu. Kiedyś będę miała własne, nawet gdybym musiała odprawić setkę nowenn do Matki Boskiej i Jej matki, świętej Anny, nawet gdybym miała poczołgać się stąd do Lourdes, na kolanach.

– Dosyć – przerywa babcia. – Zjedliście płatki, pora wracać do domu i zobaczyć, czy rodzice przyszli ze szpitala!

Babcia wkłada szal i idzie po Eugene'a, ale on tak mocno wczepia się w koszulę Pa Keatinga, że babcia musi go oderwać siłą, a Eugene patrzy na wujka Pa, dopóki nie wyjdziemy za próg.

Idziemy z babcią do naszego pokoju. Babcia sadza Eugene'a na łóżku i daje mu wody. Przykazuje, żeby był grzeczny i położył się spać, bo jego braciszek Oliver niedługo będzie w domu i znowu będą się bawić na podłodze.

Ale Eugene dalej patrzy w okno.

Babcia mówi, że możemy z Malachym siedzieć na podłodze i bawić się, ale musimy być cicho, bo ona będzie odmawiać modlitwę. Malachy siada na łóżku koło Eugene'a, ja siadam przy stole i sylabizuję słowa z gazety, która służy nam za obrus. Słysząc tylko, jak Malachy szepcze, żeby zabawić Eugene'a, a babcia mamrocze przy dźwięku przesuwanych paciorków różańca. Panuje taki spokój, że kładę głowę na stole i zasypiam.

Tata dotyka mojego ramienia.

– Obudź się, Francis, musisz się zająć braćmi.

Mama siedzi skulona na skraju łóżka, wydaje płaczliwe dźwięki jak mały ptaszek. Babcia okrywa się szalem.

– Pójdę do zakładu pogrzebowego Thompsona zamówić trumnę i karawan. Mam nadzieję, że Stowarzyszenie Świętego Wincentego da pieniądze.

Babcia wychodzi. Tata stoi twarzą do ściany przy kominku, uderza pięściami o uda i wzdycha: och, och, och.

Przerażają mnie te „ochy” taty i ptasie kwilenia mamy i nie wiem, co robić. Zastanawiam się, czy ktoś rozпали ogień, żebyśmy się mogli napić herbaty i zjeść chleba, bo upłynęło już dużo czasu, odkąd jedliśmy płatki. Gdyby tata odsunął się od kominka, mógłbym sam rozpaść. Potrzebny jest tylko papier, kilka kawałków węgla lub torfu i zapalnik. Tata się nie rusza, więc próbuję obejść jego nogi, kiedy tak uderza się po udach, ale mnie zauważa i pyta, dlaczego chcę rozpaść ogień. Mówię mu, że wszyscy jesteśmy głodni, a on wybucha szalonym śmiechem.

– Głodni? Och, Francis, twój maleńki braciszek Oliver nie żyje. Twoja siostrzyczka nie żyje i twój braciszek nie żyje!

Bierze mnie na rękę i przyciska tak mocno, że aż krzyczę.

Malachy zaczyna płakać, mama też, i tata, i ja, tylko Eugene nie płacze. Nagle tata pociąga nosem.

– Chodź, Francis. Będziemy mieli ucztę.

Mówi mamie, że niedługo wrócimy, ale ona siedzi z Malachym i Eugene'em na kolanach, więc nawet nie podnosi wzroku. Tata niesie mnie ulicami Limerick, idziemy od sklepu do sklepu, a on wszędzie prosi o jedzenie czy o cokolwiek dla rodziny, której dwoje dzieci zmarło w ciągu roku, jedno w Ameryce, drugie w Limerick, a następnych troje też jest w niebezpieczeństwie z braku jedzenia i picia. Większość sklepikarzy kręci głowami. „Bardzo nam przykro, ale powinien pan iść do Świętego Wincentego albo do opieki społecznej”.

Tata cieszy się głośno, że duch Chrystusa ożywia mieszkańców Limerick, a oni odpowiadają, że nie pozwolą, aby ktoś z północnym akcentem pouczał ich o Chrystusie, że powinien się wstydić ciągać tak ze sobą dziecko jak zwykły żebrak, tinker czy włóczęga.

Kilku sklepikarzy dało nam chleb, kartofle, puszki fasoli i tata zapowiada, że teraz pójdziemy do domu i wszystkie dzieci dostaną jeść. Ale spotykamy wujka Pa Keatinga, który wyraża swoje współczucie i pyta, czy tata nie wypiłby kufelka w sąsiednim pubie.

W pubie siedzą mężczyźni, a przed nimi stoją wielkie szklanki z czymś czarnym. Wujek Pa Keating i tata też mają ten czarny płyn. Podnoszą ostrożnie szklanki i piją powoli. Na wargach zostaje im biała śmietankowa piana, którą oblizują z lekkim westchnieniem. Wujek Pa przynosi mi butelkę lemoniady, a tata daje kawałek chleba, więc już nie czuję głodu. Zastanawiam się, jak długo będziemy tu siedzieli, bo Malachy i Eugene czekają w domu głodni, a już tyle godzin minęło od owsianki, zresztą Eugene i tak jej nie jadł.

Tata i wujek Pa wypijają szklankę czarnego płynu i zamawiają następną.

– Frankie – mówi wujek Pa. – To jest kufelek. Płyn życia. Najlepsze dla karmiących matek i wszystkich dawno odstawionych od piersi.

Wujek się śmieje, tata się uśmiecha, ja też się śmieję, bo wydaje mi się, że należy tak zrobić, kiedy wujek Pa coś powie. Jest jednak poważny, kiedy mówi innym mężczyznom o

śmierci Olivera. Wszyscy unoszą czapki przed tatą. „Bardzo panu współczujemy, nie odmówi pan chyba kufelka”.

Tata zgadza się na kufelki i po krótkim czasie śpiewa o Roddym McCorleyu i Kevinie Barrym, a także inne piosenki, których nigdy nie słyszałem; oplakuje swoją cudowną córeczkę Margaret, która zmarła w Ameryce, i swojego synka Olivera, który leży martwy w szpitalu miejskim. Przerażają mnie jego krzyki, płacze i śpiewy, chciałbym być w domu z trzema braćmi, nie – z dwoma braćmi i z mamą.

Mężczyzna za barem mówi do taty:

– Myślę, że ma pan już dosyć. Bardzo panu współczujemy z powodu nieszczęścia, ale powinien pan zabrać to dziecko do matki, która pewnie siedzi w domu i rozpacza.

Tata nalega:

– Jeszcze jeden, jeszcze tylko jeden kufel, dobrze? – Mężczyzna odmawia, tata zaciska pięść. – Zrobiłem swoje dla Irlandii!

Kiedy mężczyzna wychodzi z baru i bierze tatę pod ramię, tata usiłuje go odepchnąć.

– Malachy, uspokój się – strofuje wujek Pa. – Musisz iść do domu do Angeli. Jutro jest pogrzeb, a teraz czekają na ciebie twoje uroczę dzieci.

Ale tata dalej się opiera, tak że kilku mężczyzn wypycha go w ciemność. Wujek Pa wytacza się z torbą jedzenia.

– Chodź. Wracamy do domu.

Tata chce jeszcze iść do innego pubu, ale wujek Pa mówi, że nie ma więcej pieniędzy. Tata twierdzi, że jak opowie o swoich kłopotach, każdy postawi mu piwo. Wujek przekonuje, że to haniebne postępowanie, i tata płacze na jego ramieniu.

– Jesteś dobrym przyjacielem – mówi do wujka i znowu wybucha płaczem. Wujek Pa klepie go po plecach.

– To naprawdę straszne, ale z czasem pogodzisz się z tą stratą.

Tata prostuje się i patrzy na wujka.

– Nigdy – zaprzecza. – Nigdy!

Następnego dnia jedziemy do szpitala karawanem zaprzężonym w konia. Kładą Olivera do białego pudła, które jedzie z nami, i wieziemy go na cmentarz. Opuszczają to białe pudło do dziury w ziemi i przysypują. Mama i ciocia Aggie płaczą, babcia wygląda, jakby była zła, tata, wujek Pa Keating i wujek Pat Sheehan robią wrażenie smutnych, ale nie płaczą. Myślę, że jeśli się jest mężczyzną, można płakać tylko po tym czarnym płynie, co się nazywa kufelka.

Nie podobają mi się kawki, które siedzą na drzewach i nagrobkach, nie chcę zostawić z nimi Olivera. Rzucam kamieniem w kawkę, która leci w stronę jego grobu. Tata tłumaczy, że nie powinienem rzucać kamieniami w kawki, bo to mogą być czyjeś dusze. Nie wiem, co to jest dusza, ale nie pytam taty, bo wcale mnie to nie obchodzi. Oliver nie żyje, aja nie cierpię kawek. Kiedyś będę mężczyzną, wtedy wrócę tu z wielkim workiem kamieni i cały cmentarz uścielę trupami kawek.

Rano po pochowaniu Olivera tata poszedł do pośrednictwa pracy, podpisać się i odebrać tygodniowy zasiłek, dziewiętnaście szylingów i sześć pensów. Powiedział, że będzie w domu w południe, przyniesie węgla i rozpali ogień, zjemy boczek i jajka i wypijemy herbatę na cześć Olivera, może nawet dostaniemy po jednym lub dwa cukierki.

Nie przyszedł w południe ani o pierwszej, ani o drugiej. Ugotowaliśmy i zjedliśmy kilka kartofli, które poprzedniego dnia dali nam sklepikarze. Tego majowego dnia tata nie wrócił do domu o żadnej porze przed zachodem słońca. Usłyszeliśmy go dopiero długo po zamknięciu pubów, toczył się po Windmill Street i śpiewał:

*Gdy wszyscy tu czuwamy my.
Zachód śpi! Zachód śpi!
I próżno Erin we łzach drży,
Gdy Connacht nieprzerwanie śni.
Tu pola, jeziora swobodnie się śmieją,
Tu skały rycerski głos huczy,
Miech człowiek wolności się swojej nauczy
Od wiatrów i morza, co wolne szaleją.*

Wtoczył się do pokoju, trzymając się ściany. Z nosa wisiał mu gil, wytarł go wierzchem dłoni. Próbował mówić.

– Te dzieci powinny być w łóżku.

– Te dzieci są głodne. – Mama wyszła mu naprzeciw. – Gdzie są pieniądze z zasiłku? Przyniosę rybę i frytki, żeby nie położyły się spać z pustymi brzuchami.

Próbowała włożyć ręce do jego kieszeni, ale ją odepchnął.

– Trochę szasunku. Trochę szasunku przy zięciach...

Mama nadal usiłowała dostać się do kieszeni.

– Gdzie pieniądze? Dzieci są głodne. Ty zidiociały draniu, czy znowu wszystko przepiłeś? Tak jak w Brooklynie?

– Biedna Angela. Biedna mała Margaret, biedny mały Oliver – bełkotał.

Chwiejnym krokiem podszedł do mnie i uściskał; poczułem alkohol, tak jak dawniej w Ameryce. Miałem twarz mokrą od jego łez, śliny i smarków, chciałem jeść i nie wiedziałem, jak się zachować, kiedy płakał tuż nad moją głową.

Wreszcie mnie puścił i uściskał Malachy'ego; wciąż biadolił nad maleńką siostrzyczką i maleńkim bratem w zimnej ziemi. Mówił, że powinniśmy być grzeczni i modlić się, słuchać mamy i robić to, co nam każe. Powiedział, że wprawdzie nie brak nam kłopotów, ale przyszła już pora, żebyśmy obaj z Malachym zaczęli szkołę, bo nie ma nic lepszego niż wykształcenie, zawsze kiedyś się przyda, tym bardziej że musimy być gotowi, gdy trzeba będzie zrobić coś dla Irlandii.

Mama mówi, że nie wytrzyma ani chwili dłużej w pokoju na Windmill Street. Nie może spać w pomieszczeniu, gdzie wszystko przypomina jej Olivera, pamięta, jak leżał w tym łóżku, bawił się na podłodze, siedział przy kominku na kolanach taty. Powiada, że przebywanie tutaj nie jest też wskazane dla Eugene'a, bo nawet ona, matka, nie potrafi zrozumieć rozpaczy bliźniaka z powodu straty brata. Jest akurat wolny pokój przy Hartstonge Street z dwoma łóżkami, a nie z jednym na nas sześcioro, to znaczy pięcioro. Wynajmiemy tamten pokój, a dla pewności mama pójdzie w czwartek do pośredniaka i stanie w kolejce, żeby wziąć zasiłek, jak tylko tacie wypłacą. Tata tłumaczy, że nie może tego zrobić, bo skompromituje go w oczach innych mężczyzn. Biuro pośrednictwa pracy to miejsce dla mężczyzn, nie dla kobiet, które im sprzed nosa zabierają pieniądze.

– Trudno. Gdybyś nie przepijał pieniędzy w pubach, nie musiałabym za tobą chodzić tak jak w Brooklynie.

Tata martwi się, że to na zawsze okryje go hańbą. Mama twierdzi, że nic ją to nie obchodzi. Chce mieszkać w tym pokoju przy Hartstonge Street, w ciepłym, wygodnym pokoju, z toaletą na końcu korytarza jak w Brooklynie, w pokoju bez pcheł i bez wilgoci, która zabija. Chce się tam wprowadzić, bo jest to na tej samej ulicy co szkoła powszechna, więc Malachy i ja będziemy mogli przychodzić do domu w porze obiadowej, czyli w południe, na herbatę i kromkę podsmażonego chleba.

W czwartek mama idzie za tatą do biura pośrednictwa pracy. Kroczy tuż za nim, a kiedy mężczyzna w okienku posuwa pieniądze w stronę ojca, przejmuje je mama. Inni mężczyźni

pobierający zasiłek trącają się i uśmiechają pod nosem. Tata jest zhańbiony, ponieważ kobieta nigdy nie powinna się wtrącać do zasiłku bezrobotnego mężczyzny. Może będzie chciał postawić sześć pensów na konia albo wypić kufelek; gdyby wszystkie kobiety zaczęły postępować tak jak mama, konie przestałyby się ścigać, a browar Guinnessa by zbankrutował. Ale teraz pieniądze są w rękach mamy, więc przenosimy się na Hartstonge Street. Potem mama niesie na ręku Eugene'a, a my idziemy za nią do Leamy's National School. Pan Scallan, kierownik, oznajmia, że mamy przyjść w poniedziałek z zeszytem, ołówkiem i piórem z dobrą stalówką. Nie możemy przychodzić do szkoły ze świerzbem ani z wszami, zawsze mamy porządnie wycierać nosy, nie w rękaw, tylko w chusteczkę albo czystą szmatkę. Nie wolno smarkać na podłogę, bo tak roznoszą się suchoty. Pyta nas, czy jesteśmy grzeczni, a kiedy odpowiadamy, że tak, wykrzykuje:

– Dobry Boże! A to co? Jacyś jankesi czy jak?

Mama opowiada mu o Margaret i Oliverze, a on na to:

– Boże w niebiosach, wielkie jest cierpienie na tym świecie! W każdym razie ten mniejszy, Malachy, pójdzie do klasy zerowej, a brat do pierwszej. Będą w jednej sali, u jednego nauczyciela. Zatem do poniedziałku rano, punktualnie o dziewiątej.

Chłopcy w szkole chcą wiedzieć, dlaczego mówimy z takim dziwnym akcentem. Jankesi czy co? A kiedy tłumaczymy im, że przyjechaliliśmy z Ameryki, pytają, czy jesteśmy gangsterami, czy kowbojami.

Duży chłopak przytyka swoją twarz do mojej.

– Pytałem o coś: gangsterzy czy kowboje?

Mówię, że nie wiem, a kiedy dźga mnie palcem w pierś, wtrąca się Malachy:

– Ja jestem gangsterem, Frank kowbojem.

– Twój młodszy brat jest sprytny, a ty jesteś tępy jankes – oświadcza duży chłopak.

Stojący obok chłopcy są bardzo podnieceni. „Przyłóż mu, przyłóż!” – wrzeszczą, a on popycha mnie tak mocno, że upadam. Chcą krzyknąć, ale ogarnia mnie ciemność jak wtedy z Freddie Leibowitzem, więc rzucam się na niego, kopię i okładam. Przewracam go i próbuję złapać za włosy, żeby trzasnąć go głową o ziemię, lecz w tym momencie czuję ostre ukłucie w łydkach i ktoś mnie odciąga.

Nauczyciel, pan Benson, trzyma mnie za ucho i okłada po nogach.

– Ty mały chuliganie! – krzyczy. – Takiego zachowania nauczyłeś się w Ameryce? Mogę ci obiecać, że zanim z tobą skończę, będziesz umiał się zachować.

Każę mi wyciągnąć najpierw jedną rękę, a potem drugą i uderza mnie kijem, raz w każdą dłoń.

– Idź do domu – mówi – i powiedz mamie, jaki jesteś niegrzeczny. Jesteś złym jankesem. Powtarzaj za mną: „Jestem niegrzecznym chłopcem”.

– Jestem niegrzecznym chłopcem.

– Teraz powiedz: jestem złym jankesem.

– Jestem złym jankesem.

– To nie on jest niegrzeczny. To ten duży chłopak – wyjaśnia Malachy. – Powiedział, że jesteśmy gangsterzy i kowboje.

– Heffeman, to prawda?

– Tylko żartowałem, proszę pana.

– Koniec żartów, Heffeman. To nie ich wina, że są jankesami.

– Nie ich, proszę pana.

– A ty, Heffeman, co wieczór będziesz klękał na obydwie kolana i dziękował Bogu, że nie jesteś jankesem, bo byłbyś największym gangsterem po obu stronach Atlantyku. Al Capone mógłby przyjeżdżać do ciebie na lekcje. Nie będziesz więcej dokuczał tym jankesom.

– Nie będę, proszę pana.

– Jeśli spróbujesz, to obedrę cię ze skóry. A teraz wszyscy do domu!

W Leamy's National School jest siedmiu nauczycieli. Wszyscy mają skórzane pasy, kije i witki z tarniny. Witkami biją po plecach, ramionach, po nogach, a zwłaszcza po rękach. Jeśli uderzą w rękę, to się nazywa klaps. Biją, jeśli się ktoś spóźni, jeśli stalówka zalewa, jeśli się śmiejesz, jeśli rozmawiasz i jeśli czegoś nie wiesz.

Biją, jeśli nie wiesz, dlaczego Bóg stworzył świat; jeśli nie wiesz, kto jest patronem Limerick; jeśli nie powiesz na pamięć Składu Apostolskiego; jeśli nie umiesz dodać dziewiętnastu do czterdziestu siedmiu; jeśli nie potrafisz odjąć dziewiętnastu od czterdziestu siedmiu; jeśli nie znasz głównych miast i wyrobów trzydziestu dwóch hrabstw Irlandii; jeśli nie umiesz znaleźć Bułgarii na ściennej mapie świata, poplamionej śliną, smarkami, kleksami atramentu przez zdenerwowanych uczniów na zawsze wydalonych ze szkoły.

Biją, jeśli nie potrafisz powiedzieć swojego imienia po irlandzku; jeśli nie umiesz po irlandzku Zdrowaś Mario; jeśli nie zdołasz po irlandzku poprosić o pozwolenie wyjścia do ubikacji.

Warto posłuchać dużych chłopaków ze starszej klasy. Mogą coś powiedzieć o nauczycielu, który teraz ciebie uczy, o tym, co lubi i czego nienawidzi.

Jeden nauczyciel uderzy cię, jeśli nie będziesz wiedział, że Eamon De Valera jest największym człowiekiem, jaki kiedykolwiek żył na ziemi. Drugi cię uderzy, jeśli nie wiesz, że Michael Collins był największym człowiekiem.

Pan Benson nie znosi Ameryki, trzeba pamiętać nie znosić Ameryki, bo inaczej uderzy.

Pan O'Dea nie cierpi Anglii, nie wolno zapomnieć, że Anglii się nie cierpi, żeby ustrzec się przed uderzeniem.

Jeśli kiedykolwiek powie się coś dobrego o Oliverze Cromwellu, uderzy każdy nauczyciel.

Nawet jeśli uderzą sześć razy w każdą rękę witką z jesionu czy tarniną z węzłami, nie można płakać. Bo płacze tylko mazgaj. Znajdą się chłopcy, którzy będą szydzić i prześmiewać się z ciebie na ulicy, ale nawet oni muszą uważać, bo nadejdzie dzień, kiedy nauczyciel ich uderzy, a wtedy będą musieli opanować łzy, by nie zhańbić się na zawsze. Niektórzy chłopcy twierdzą, że lepiej jest płakać, bo to się podoba nauczycielom. Jeśli się nie płacze, nauczyciele są wściekli, bo wtedy wyglądają na bezsilnych w oczach klasy, i obiecują sobie, że następnym razem wydobędą z ciebie krew albo łzy, albo jedno i drugie.

Starsi chłopcy z piątej klasy opowiadają, że pan O'Dea lubi postawić ucznia przed całą klasą; wtedy może stanąć za nim, pociągać za włosy na skroniach, które się nazywają baczkami, może za nie ciągnąć do góry i powtarzać: „wyżej, wyżej”, aż uczeń stanie na palcach z oczami pełnymi łez. Nawet jeśli pragniesz, żeby chłopcy w klasie nie zobaczyli, jak płaczesz, to pociąganie za baczki wywołuje łzy, czy chcesz tego, czy nie, i to się nauczycielowi podoba. Pan O'Dea to jedyny nauczyciel, który zawsze potrafi wywołać łzy i okryć wstydem.

Lepiej jednak nie płakać, bo trzeba trzymać z chłopakami ze szkoły, poza tym nikt nie ma ochoty dostarczyć jakiegokolwiek satysfakcji nauczycielowi.

Jeśli nauczyciel uderzy, skarżenie się mamie czy tacie nie ma sensu, bo zawsze powiedzą: „Zasłużyłeś na to, nie bądź dzieckiem”.

Wiem, że Oliver nie żyje, i Malachy wie, że Oliver nie żyje, ale Eugene jest za mały, żeby cokolwiek rozumieć. Kiedy się budzi rano, woła: „Ollie, Ollie!” i raczkuje po pokoju, zagląda pod łóżko, wspina się na łóżko przy oknie i pokazuje dzieci na ulicy, zwłaszcza dzieci z jasnymi włosami, jak on sam i Oliver. „Ollie, Ollie” – powtarza, a mama bierze go na ręce, szlocha i tuli do siebie. On stara się wyswobodzić, bo nie chce być trzymany i przytulany. Chce znaleźć Olivera.

Tata i mama tłumaczą mu, że Oliver jest w niebie i bawi się z aniołami, a kiedyś znowu go zobaczymy, ale on tego nie rozumie, bo ma zaledwie dwa lata i nie zna jeszcze słów, i to właśnie jest najgorsze ze wszystkiego.

Malachy i ja bawimy się z nim. Próbujemy go rozśmieszać. Robimy śmieszne miny. Zakładamy sobie na głowy garnki i udajemy, że spadają. Biegamy po pokoju i na niby się przewracamy. Zabieramy go do parku Ludowego, żeby zobaczył kwiaty, pobawił się z psami, potarzał po trawie.

Widzi małe dzieci z jasnymi włosami jak Oliver. Nie mówi już „Ollie”, tylko pokazuje palcem.

Tata twierdzi, że na szczęście Eugene ma takich braci jak Malachy i ja, bo pomagamy mu zapamiętać, i wkrótce, z bożą pomocą, w ogóle już nie będzie pamiętał Olivera.

Ale i tak umarł.

Sześć miesięcy po odejściu Olivera obudziliśmy się w pewien zimny listopadowy ranek, a obok nas w łóżku leżał zupełnie zimny Eugene. Przyszedł doktor Troy, orzekł, że dziecko umarło na zapalenie płuc, i zapytał, dlaczego nie zostało już dawno oddane do szpitala. Tata tłumaczył, że nic o tym nie wiedział, mama też się nie orientowała, a doktor Troy stwierdził, że dlatego właśnie dzieci umierają. Ludzie nie wiedzą. Powiedział, że jeśli Malachy czyja zaczniemy choćby troszkę pokasływać, jeśli w naszym gardle słychać będzie nawet cichutkie rżenie, musimy być natychmiast do niego zaprowadzeni bez względu na porę dnia czy nocy. Mamy mieć zawsze suche ubrania, bo wydaje się, że rodzina ma skłonność do słabości w piersiach.

Wyraził mamie najgłębsze współczucie i dał receptę na coś, co pomoże jej znieść ból w najbliższych dniach. Jego zdaniem Bóg wymaga za dużo, o wiele za dużo.

Przyszła do nas babcia z cicią Aggie. Umyła Eugene'a, a ciocia Aggie poszła do sklepu po białą sukieneczkę i różaniec. Ubrały Eugene'a w białą sukieneczkę i położyły na łóżku przy oknie, przez które wypatrywał zawsze Olivera. Ułożyły mu ręce na piersiach, jedną na drugiej, przewiązały niewielkimi białymi paciorkami różańca. Babcia zaczesła mu włosy z czoła do tyłu. „Jakie ma miękkie, jedwabiste włoski!” – powiedziała. Mama podeszła do łóżka i przykryła nogi Eugene'a kocem, żeby nie zmarł. Babcia i ciocia Aggie popatrzyły na siebie, ale się nie odezwały. Tata stał w nogach łóżka, uderzał pięściami po udach. Mówił do Eugene'a, tłumaczył, że zaszkodziła mu rzeka Shannon, że wilgoć od tej rzeki zabrała jego i Olivera.

– Możesz przestać? Wprowadzasz nerwową atmosferę – powiedziała babcia.

Dostała receptę i kazała mi iść do apteki O'Connora po proszki, które dzięki dobroci doktora Troya będą bezpłatne. Tata oświadczył, że pójdzie ze mną, wstąpimy do kościoła Jezuitów pomodlić się za Margaret, Olivera i Eugene'a, którzy są szczęśliwi w niebie. Aptekarz dał nam proszki, zatrzymaliśmy się w kościele, żeby odmówić modlitwy, a kiedy wróciliśmy, babcia wręczyła tacie pieniądze, by kupić w pubie kilka butelek porteru. Mama zaprotestowała, ale babcia oznajmiła:

– On nie ma proszków, które by mu ulżyły, a butelka porteru przyniesie mu drobną pociechę.

Babcia wytłumaczyła tacie, że następnego dnia będzie musiał pójść do zakładu pogrzebowego i przywieźć trumnę karawanem. Mnie przykazała, że mam mu towarzyszyć, żeby nie przesiedział całego wieczoru w pubie i nie przepił wszystkich pieniędzy.

– Frankie w ogóle nie powinien wchodzić do pubu – oświadczył tata.

– Więc i ty tam nie przesiaduj.

Tata włożył czapkę i udaliśmy się do pubu South. Przy drzwiach tata oznajmił, że mogę już wracać do domu, a on przyjdzie po jednym kuflu. Nie zgodziłem się. Wtedy tata powiedział:

– Nie bądź nieposłuszny, idź do domu do biednej mamy.

Ja znowu odmówiłem; tata uznał, że jestem niegrzeczny i że Bogu się to nie spodoba. Oświadczyłem, że nie wrócę do domu bez niego, a tata na to:

– A więc do tego już doszło?

Szybko wypił kufel porteru w pubie i poszliśmy do domu z butelkami piwa. Był już u nas Pa Keating, który przyniósł niedużą butelkę whisky i kilka butelek porteru, i wujek Pat Sheenan, który przyniósł dwie butelki porteru dla siebie. Wujek Pat siedział na podłodze, obejmował swoje butelki i powtarzał: „to moje, to moje”, żeby nikt mu ich nie zabrał. Ludzie, których upuszczono na głowę, zawsze się boją, że ktoś im ukradnie porter.

– Spokojnie, Pat! Wypij swój porter. Nikt ci nie będzie przeszkadzał – powiedziała babcia.

Siedziała razem z ciocią Aggie na łóżku koło Eugene’a. Pa Keating przy kuchennym stole pił porter i proponował wszystkim łyk whisky. Mama wzięła swoje proszki i usiadła przy ogniu z Malachym na kolanach. Powtarzała, że Malachy ma takie włosy jak Eugene, a ciocia Aggie zaprzeczała, aż babcia mocno trąciła ją łokciem i kazała jej się zamknąć. Tata stał pod ścianą między kominkiem a łóżkiem Eugene’a i popijał porter. Pa Keating opowiadał różne historie i dorośli się śmiali, nawet jeśli tego nie chcieli czy raczej nie powinni w obecności zmarłego dziecka. Mówił, że kiedy był w angielskiej armii we Francji, Niemcy puścili gaz, od którego tak się rozchorował, że musiano wziąć go do szpitala. Trzymali go przez jakiś czas w szpitalu, a potem wysłali z powrotem do okopów. Żołnierzy angielskich odsyłano do domu, ale życie irlandzkich żołnierzy obchodziło wszystkich tyle co pierdnięcie skrzypka. Jednak Pa, zamiast umrzeć, dorobił się fortuny. Twierdził, że rozwiązał jeden z ważniejszych problemów wojny pozycyjnej. W okopach było tyle wilgoci i błota, że nie dało się zagotować wody na herbatę. Pa pomyślał: „Jezu, mam mnóstwo gazu w swoim organizmie, szkoda to zmarnować”. Więc wetknął sobie w dupę rurkę, zapalił zapałkę i po sekundzie zabłysnął wspaniały płomień, wystarczający do zagotowania herbaty na każdej maszynie. Kiedy ta wieść się rozeszła, Angole wypadły ze wszystkich sąsiednich okopów, proponując mu dowolną sumę pieniędzy, byle tylko pozwolił zagotować wodę. Zarobił tyle, że mógł przekupić generałów, którzy zwolnili go z wojska, pojechał do Paryża, gdzie wspaniale spędził czas, pijąc wino z artystami i modelkami. Tak dobrze się bawił, że wydał wszystkie pieniądze, a kiedy wrócił do Limerick, mógł dostać pracę jedynie w gazowni, gdzie wrzuca węgiel do pieca. Jest przekonany, że gaz zgromadzony w jego organizmie mógłby oświetlać niewielkie miasto przez cały rok. Ciocia Aggie, pociągając nosem, oświadczyła, że nie jest to odpowiednia opowieść przy łóżu zmarłego dziecka, na co babcia odrzekła, że lepiej słuchać takich historii niż spuścić nos na kwintę. Wujek Pat Sheehan, który siedział na podłodze ze swoim porterm, oznajmił, że zaśpiewa piosenkę.

– Bardzo słusznie – potwierdził Pa Keating.

I wujek Pat zaśpiewał „Drogę do Rasheen”. Powtarzał: „Rasheen, Rasheen znaczy mavoumeen”. Piosenka nie miała żadnego sensu, bo kiedyś ojciec upuścił Pata na głowę, więc Pat nie mógł zapamiętać słów. Babcia powiedziała, że to bardzo ładna piosenka, a Pa Keating – że Caruso powinien mieć się na baczności. Tata podszedł do łóżka w kącie, na którym sypiali oboje z mamą. Usiadł na brzegu, postawił butelkę piwa na podłodze obok, zakrył twarz rękami i rozplakał się. Zawołał mnie i musiałem do niego podejść, żeby mógł mnie przytulić, tak jak mama przytulała Malachy’ego.

– Lepiej chodźmy się trochę przespać przed jutrzejszym pogrzebem – zaproponowała babcia.

Wszyscy uklękli przy łóżku, odmówili modlitwę i pocałowali Eugene’a w czoło. Tata postawił mnie na podłodze, sam wstał i pożegnał wychodzących skinieniem głowy. Po ich wyjściu wysączył ostatnie krople ze wszystkich butelek po porterce. Włożył palec do butelki po whisky i oblizał go. Przykręcił płomień w lampie parafinowej na stole i oznajmił, że pora, byśmy się z Malachym położyli. Będziemy spali z nim i z mamą, bo mały Eugene musi mieć

dla siebie całe łóżko. W pokoju było ciemno, jedynie na miękkie jedwabiste włosy Eugene'a padało światło ulicznej latarni.

Rano tata rozpala ogień, robi herbatę, podpieka chleb. Przynosi mamie grzanekę i herbatę, ale mama odmawia machnięciem ręki i odwraca się do ściany. Tata przyprowadza mnie i Malachy'ego do łóżka Eugene'a, żebyśmy uklękli i zmówili modlitwę. Tłumaczy, że w niebie modlitwa jednego dziecka, takiego jak my, ma większą wartość niż modlitwy dziesięciu kardynałów i czterdziestu biskupów. Pokazuje nam, jak się przeżegnać w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Mówi:

– Amen. Dobry Boże, tego właśnie chcesz, prawda? Chcesz mojego syna Eugene'a. Zabrałeś jego brata Olivera. Zabrałeś jego siostrę Margaret. A ja nie powinienem tego kwestionować, tak? Dobry Boże w niebiosach, nie wiem, dlaczego dzieci muszą umierać, ale taka jest Twoja wola. Nakazałeś rzecze zabić i rzeka Shannon zabiła. Czy mógłbyś w końcu okazać miłosierdzie? Czy mógłbyś nam zostawić resztę dzieci? To wszystko, o co prosimy. Amen.

Tata pomaga Malachy'emu i mnie umyć głowę i nogi, żebyśmy byli czysti na pogrzebie Eugene'a. Musimy być bardzo grzeczni, nawet kiedy tata sprawia nam ból, trąc uszy rogiem ręcznika, który przywieźliśmy z Ameryki. Musimy być grzeczni, bo jest z nami Eugene, który ma zamknięte oczy, a przecież nie chcemy, żeby się obudził i wypatrywał przez okno Olivera.

Przychodzi babcia i każe mamie wstawać.

– Niektóre dzieci nie żyją – mówi – ale inne żyją i potrzebują matki.

Podaje mamie trochę herbaty w kubku, żeby połknęła pigułki, które złagodzą cierpienie. Tata tłumaczy babci, że jest czwartek, więc musi iść po zasiłek do biura pośrednictwa pracy, a potem do zakładu pogrzebowego sprowadzić karawan i trumnę. Babcia chce, żeby zabrał mnie z sobą, ale tata twierdzi, że lepiej będzie, jeśli zostaną z Malachym i pomodlą się za małego braciszka, który leży martwy na łóżku.

– Kpisz czy o drogę pytasz? Modlić się za dziecko, które miało zaledwie dwa latka i już się bawi z braciszkiem w niebie? Zabierzesz ze sobą syna, a on ci przypomni, że to nie jest dzień na odwiedzanie pubów!

Babcia patrzy na tatę, tata na nią i wkłada czapkę.

W biurze pośrednictwa pracy stoimy na końcu kolejki do chwili, kiedy zza lady wychodzi mężczyzna, który składa tacie wyrazy współczucia i w tak smutnym dniu każe mu stanąć przed wszystkimi. Mężczyźni dotykają palcami czapek i powiadają, jak bardzo im żal taty, niektórzy głaszczą mnie po głowie i dają mi drobne. Dwadzieścia cztery pensy, dwa szylingi. Tata mówi, że stałem się bogaty i powinienem sobie kupić cukierka, kiedy on na chwilę wstąpi w jedno miejsce. Wiem, że to miejsce to pub, a tacie chodzi o ten ciemny płyn zwany kufelkiem, ale się nie odzywam, bo chcę wejść do sąsiedniego sklepu i kupić sobie toffi. Żuję cukierek, zanim się stopi, w ustach czuję słodycz i lepkość. Tata jeszcze jest w pubie, więc zastanawiam się, czy powinienem sobie kupić jeszcze jedno toffi, dopóki on tam siedzi przy kufelku. Właśnie podaję pieniądze pani w sklepie, kiedy ktoś przygważdża moją rękę. To sina ze złości ciocia Aggie.

– Tak się zachowujesz w dniu pogrzebu brata?! – krzyczy. – Napychasz się cukierkami? A gdzież twój tatulek?

– Jest... jest w pubie.

– Naturalnie, że jest w pubie. Ty się tutaj opychasz cukierkami, a on tam doprowadza się do stanu zamroczenia akurat w dniu, kiedy twój nieszczęsny braciszek jedzie na cmentarz. Wykapany ojciec, takie samo dziwne zachowanie, taka sama północna gęba – wyjaśnia kobiecie ze sklepu.

Każe mi powiedzieć ojcu, żeby przestał pić i sprowadził karawan i trumnę. Sama nie przekroczy progu pubu, bo alkohol jest przekleństwem tego nieszczęsnego, przeklętego przez Boga kraju.

Tata siedzi w głębi z bardzo umorusanym człowiekiem, któremu z nosa wyrastają włosy. Nie rozmawiają, patrzą przed siebie, a czarne kufle stoją na niewielkiej białej trumnie na krześle między nimi. Wiem, że to trumna Eugene'a, bo Oliver też miał taką, i mam ochotę płakać, kiedy widzę na niej czarne kufle. Żałuję teraz, że w ogóle jadłem toffi, najchętniej wyjąłbym je z brzucha i oddał kobiecie w sklepie, ponieważ nie powinno się jeść cukierków, kiedy Eugene leży martwy na łóżku. Przeraza mnie widok dwóch czarnych kuflów na białej trumnie. Mężczyzna, który siedzi z tatą, przekonuje:

– Nie, w żadnym razie nie możesz pan zostawić dziecinnej trumienki w karawanie. Raz to zrobiłem, wszedłem na kufelek, a ktoś ukradł trumienkę z tego cholernego karawanu. Dasz pan wiarę? Dzięki Bogu, trumna była pusta, ale mimo wszystko. Żyjemy w rozpaczliwych czasach. Rozpaczliwych. – Mężczyzna, który siedzi z tatą, podnosi kufel i pociąga duży łyk, a kiedy naczynie odstawia, trumna wydaje głuchy dźwięk. Tata kiwa głową w moją stronę.

– Za chwilę wychodzimy, synu.

Gdy po wypiciu dużego łyku chce postawić kufel na trumnie, odpycham go.

– To trumna Eugene'a. Powiem mamie, że postawiłeś kufel na trumnie Eugene'a.

– Uspokój się, synu. Uspokój się!

– Tato, to trumna Eugene'a.

– Wypijemy jeszcze kufelek – wtrąca tamten mężczyzna.

– Francis, poczekaj chwilę na zewnątrz – poleca tata.

– Nie!

– Bądź grzecznym chłopcem.

– Nie!

– Na Boga, gdyby to był mój syn, dałbym mu takiego kopa, że doleciałby do hrabstwa Kerry – oświadcza mężczyzna. – Nie ma prawa tak się odzywać do ojca w ten szczególnie smutny dzień. Jeśli człowiek nie może wypić kufelka w dzień pogrzebu, to po co w ogóle ma żyć? Po co?

– Dobrze, pójdziemy – zgadza się tata.

Kończą swoje kufelki i wycierają rękawami ciemne plamy na trumnie. Mężczyzna wsiada na kozioł karawanu, a ja z tatą do środka. Tata trzyma trumnę i przyciska ją do piersi. W domu pełno dorosłych: mama, babcią ciocia Aggie, jej mąż Pa Keating, wujek Pat Sheehan i wujek Tom Sheehan, najstarszy brat mamy, który nigdy do nas nie przychodzi, bo nie cierpi ludzi z Irlandii Północnej. Z wujkiem Tomem jest jego żona Jane. Pochodzi z Galway i wszyscy twierdzą że wygląda jak Hiszpanka i dlatego nikt z rodziny z nią nie rozmawia.

Mężczyzna bierze trumnę od taty; kiedy wnosi ją do pokoju, mama jęczy: „Nie, nie, o Boże, nie!”. Mężczyzna mówi babci, że wróci za chwilę, by zawieźć nas na cmentarz. Babcia uprzedza go, żeby lepiej nie zjawiał się pijany, bo dziecko, które odprowadzamy na cmentarz, wiele wycierpiało i zasługuje na trochę szacunku, a ona sama nie zniesie pijanego woźnicy, co w każdej chwili może spaść z wysokiego kozła.

– Pani szanowna, woziłem na cmentarz dziesiątki dzieci i ani razu nie spadłem z żadnego kozła, wysokiego czy niskiego.

Mężczyźni znowu piją porter z butelek, kobiety sączą sherry ze słoików po dzemie. Wujek Pat Sheehan powtarza wszystkim: – To mój porter, to mój!

A babcia go uspokaja:

– Tak jest, Pat, nikt nie zabierze twojego porteru.

Potem wujek chce zaśpiewać, ale Pa Keating mu tłumaczy:

– Nie, Pat, nie możesz śpiewać w dniu pogrzebu. Mogłeś śpiewać wczoraj.

Jednak wujek Pat upiera się, że to jego porter, i chce zaśpiewać „Drogę do Rasheen”. Wszyscy wiedzą, że mówi tak dlatego, iż upuszczono go na głowę. Zaczyna śpiewać, ale milknie, kiedy babcia podnosi wieko trumny, a mama zawodzi:

– O Jezu, czy to się kiedyś skończy? Czy zostanie mi chociaż jedno dziecko?

Mama siedzi na krześle w głowach łóżka. Głaszcze włosy, twarz i ręce Eugene’a. Przemawia do niego, zapewniając, że był najsłodszy ze wszystkich dzieci, najbardziej delikatny i czuły. Mówi mu, jak strasznie jest go utracić, ale pociesza nas świadomość, że jest już w niebie z bratem i siostrą i że Oliver nie tęskni już za bliźniakiem. Mama kładzie głowę obok Eugene’a i zaczyna tak rozpaczliwie szlochać, że razem z nią płaczą wszystkie kobiety w pokoju. Płaczą, dopóki Pa Keating nie przypomni, że musimy pójść przed zapadnięciem zmroku, nie możemy być na cmentarzu po ciemku.

– Kto włoży dziecko do trumny? – szepcze babcia do cioci Aggie.

– Ja nie! To powinna zrobić matka – odszeptuje ciocia.

Słyszysz to wujek Pat.

– Ja włożę dziecko do trumny – oświadcza. Kuśtyka do łóżka i obejmuje mamę. Mama podnosi głowę, jej twarz jest zupełnie pozbawiona wyrazu.

– Angela, ja włożę dziecko do trumny.

– Och, Pat!

– Potrafię to zrobić. Przecież to maleńkie dziecko, a ja jeszcze nigdy w życiu nie trzymałem na rękach maleńkiego dziecka. Nie upuszczę go. Naprawdę, Angela, nie upuszczę. Przysięgam Bogu!

– Wiem, że tego nie zrobisz, Pat.

– Wezmę go na ręce i wcale nie będę śpiewał „Drogi do Rasheen”.

– Wiem, że nie będziesz, Pat.

Pat odsuwa koc, którym mama okryła Eugene’a, żeby nie zmarł. Nogi Eugene’a są białe, błyszczą na nich małe niebieskie żyłki. Pat pochyla się, podnosi Eugene’a i przytula do siebie. Całuje go w czoło, a potem całują go wszyscy po kolei. Pat kładzie Eugene’a do trumny i odstepuje krok do tyłu. Gromadzimy się przy trumnie i po raz ostatni patrzymy na Eugene’a.

– Widzisz, Angela, nie upuściłem go – mówi wujek Pat, a mama głaszcze go po twarzy.

Ciocia Aggie idzie do pubu po woźnicę. Woźnica kładzie wieko na trumnę i przybija je. Pyta, kto pojedzie karawanem, i znosi trumnę. W karawanie jest miejsce tylko dla rodziców, dla Malachy’ego i dla mnie.

– Jedźcie na cmentarz, my tu poczekamy – mówi babcia.

Nie wiem, dlaczego nie możemy zatrzymać Eugene’a. Nie wiem, dlaczego muszą go wysłać z tym człowiekiem, który stawia kufel na białej trumnie. Nie wiem, dlaczego musieli odesłać Margaret i Olivera. To bardzo źle, że moją siostrę i braci włożono do pudeł, bardzo chciałbym powiedzieć komuś, co o tym myślę.

Koń człapie ulicami Limerick.

– Czy zobaczymy Olivera? – pyta Malachy.

– Nie, Oliver jest w niebie. Tylko nie żądaj, bym ci wytłumaczył, co to niebo, bo nie wiem – mówi tata.

– Niebo to miejsce, gdzie Oliver, Eugene i Margaret są szczęśliwi, jest im tam ciepło, a pewnego dnia my też się z nimi tam spotkamy – wyjaśnia mama.

– Koń zrobił kupkę na ulicy i śmierdziało – oświadcza Malachy, a rodzice nie mogą powstrzymać uśmiechu.

Na cmentarzu woźnica zszedł z kozła i otworzył drzwi karawanu.

– Dać mnie te trumnę – powiedział – zanieś do grobu.

Szarpnął trumnę i zatoczył się.

– W takim stanie nie będzie pan niósł mojego dziecka – oświadczyła mama. – Ty nieś – zwróciła się do taty.

– Jak paniusia chce. Róbcie se, jak wam się podoba, do jasnej cholery! – odburknął woźnica i wdrapał się na kozioł.

Robi się ciemno i trumna na rękach taty wydaje się jeszcze bielsza. Mama bierze nas za ręce i idziemy za tatą między grobami. Kawki siedzą na drzewach cicho, bo dla nich dzień już się prawie skończył i muszą odpocząć, żeby mogły zerwać się wcześniej rano i nakarmić swoje dzieci.

Przy niewielkim otwartym grobie czekają dwaj mężczyźni z łopatami. Jeden narzeka:

– Bardzo późno przychodzicie. Dzięki Bogu, to nieduża robota, bo już by nas nie było. – Wchodzi do grobu. – Proszę mi to dać – mówi, a tata podaje mu trumnę.

Mężczyzna rzuca trochę słomy i trawy na wierzch trumny i wychodzi z grobu; wtedy drugi sypie łopatą ziemię. Mama wydaje przeciągły okrzyk: „O Jezu...!”, a na drzewie skrzeczy kawka. Żałuję, że nie mam kamienia, żeby w nią cisnąć. Mężczyźni kończą pracę, ocierają czoło i czekają.

– No, zwykle coś dostajemy, żeby ugasić pragnienie... – zaczyna jeden.

– Tak, słusznie – zgadza się tata i daje im pieniądze. Wyrażają współczucie i odchodzą.

Wracamy do bramy cmentarza, ale karawanu już nie ma. Tata rozgląda się w ciemnościach i kręci głową.

– Niech mi Bóg wybaczy, ale ten woźnica to zwykły stary pijus – mówi mama.

Z cmentarza do naszego mieszkania jest bardzo daleko.

– Dzieci są głodne, a ty masz pieniądze z zasiłku, który wzięłeś rano – zwraca się do taty.

– Nawet nie myśl, że pójdziesz dzisiaj do pubu. Zabierzemy chłopców do Naughtona, zjedzą rybę z frytkami i napiją się lemoniady, bo przecież nie co dzień chowają braciszka.

Ryba i frytki z octem i z solą są pyszne, a lemoniada zostawia cierpki smak w gardle.

Kiedy wracamy do domu, w pokoju nie ma nikogo. Na stole stoją puste butelki po piwie, ogień na kominku wygaszony. Tata zapala lampę parafinową i w jej świetle widać na poduszce wgłębienie w miejscu, gdzie leżała głowa Eugene'a. Wydaje się, że w każdej chwili Eugene się odezwie, przeraczkuje przez pokój, wdrapie się na łóżko i będzie wypatrywał Olivera.

Tata oznajmia, że pójdzie na spacer. Mama protestuje. Wie, o co mu chodzi, i pyta, czy nie może poczekać z wydaniem ostatnich szylingów w pubie.

– Dobrze – mówi tata. Rozpala ogień, mama robi herbatę i wkrótce wszyscy leżymy w łózkach.

Malachy i ja znowu śpimy w łóżku, w którym umarł Eugene. Mam nadzieję, że nie jest mu zimno w tej białej trumnie na cmentarzu, chociaż wiem, że już go tam nie ma, bo aniołowie przybyli na cmentarz, otworzyli trumnę i Eugene znajduje się daleko od wilgoci Shannon, która zabija, wysoko w niebie z Oliverem i Margaret. Mają tam pełno ryb i frytek, i toffi, nie prześladują ich żadne ciotki, a wszyscy ojcowie przynoszą do domu pieniądze z biura pośrednictwa pracy i nie trzeba biegać po nich do pubów.

III

Mama oświadcza, że nie wytrzyma ani jednej minuty w tym pokoju przy Hartstonge Street. Eugene stoi jej przed oczami rano, w południe i wieczorem. Widzi go, jak drapie się na łóżko, żeby wypatrywać na ulicy Olivera; czasami widzi Olivera na zewnątrz, a Eugene'a w pokoju, jak sobie rozmawiają. Jest szczęśliwa, że tak sobie gaworzą, ale nie chciałaby ich słyszeć i oglądać do końca życia. Szkoda się wyprowadzać, bo jesteśmy tak blisko Leamy's National School, ale jeśli się wkrótce stąd nie wyniesie, to postrada rozum i wyląduje w domu wariatów.

Przenosimy się na Roden Lane na szczycie wzgórza zwanego Barrack Hill. Po jednej stronie uliczki jest sześć domów, a po drugiej jeden. Domy znane są jako dwa plus dwa: dwie izby na górze, dwie na dole. Nasz dom znajduje się na końcu uliczki, ostatni z sześciu. Przy drzwiach niewielka budka – to ubikacja, a dalej jest stajnia.

Mama idzie do Stowarzyszenia Świętego Wincentego, żeby sprawdzić, czy istnieje jakaś szansa dostania mebli. Mężczyzna daje nam talon na stół, dwa krzesła i dwa łóżka. Musimy iść do sklepu z używanymi meblami w Irishtown i sami przytaszczyć sprzęty do domu. Mama mówi, że możemy do tego celu użyć wózka bliźniaków, a kiedy wypowiada te słowa, zaczyna płakać.

Wyciera oczy rękawem i pyta mężczyznę, czy łóżka, które dostaniemy, też będą używane. On odpowiada, że oczywiście, a mama na to, że bardzo się boi spać w łóżku, w którym ktoś mógł umrzeć, zwłaszcza jeśli był chory na suchoty.

– Bardzo mi przykro, ale żebracy nie mają wyboru – odpowiada mężczyzna.

Przytасzczenie w wózku dzieciennym mebli z jednego końca Limerick na drugi zajmuje nam cały dzień. Wózek ma cztery kółka, ale jedno jest trochę chwiejne i ciągle jedzie w inną stronę. Mamy dwa łóżka, jeden kredens z lustrem, stół i dwa krzesła. Jesteśmy bardzo uszczęśliwieni domem. Można chodzić z pokoju do pokoju albo na górę i w dół po schodach. Możliwość chodzenia przez cały dzień po schodach, w górę i w dół, kiedy się ma na to ochotę, daje poczucie bogactwa. Tata rozpala ogień, a mama robi herbatę. Siedzi przy stole na jednym krześle, mama na drugim, a Malachy i ja sadowimy się na kufrze, który przywieźliśmy z Ameryki. Kiedy pijemy herbatę, przed naszymi drzwiami przechodzi stary człowiek z kubłem w ręku. Wylewa kubel do ubikacji, spuszcza wodę, a po domu rozchodzi się przeraźliwy smród.

– Dlaczego opróżnia pan kubel w naszej ubikacji? – pyta mama, podchodząc do drzwi. Mężczyzna unosi czapkę.

– W waszej ubikacji? Nic podobnego. Bardzo się pani myli. To nie jest pani ubikacja. Przecież to jasne, że jest ona dla całej uliczki. Przed tymi drzwiami będą przechodzić z kubłami z jedenastu rodzin i mogą pani powiedzieć, że jak jest ciepło, to tu naprawdę śmierdzi. Jeszcze jak! Teraz, dzięki Bogu, mamy grudzień, Boże Narodzenie za pasem i chłód w powietrzu, to smród nie daje się tak we znaki, ale przyjdą dni, że zapragniecie masek gazowych. No, to dobranoc pani. Mam nadzieję, że będziecie szczęśliwi w swoim domu.

– Chwileczkę – mówi mama. – Mógłby pan mi powiedzieć, kto sprząta tę ubikację?

– Sprząta? Chryste, a to dobre! Sprząta! Pani sobie żartuje?

Domy zbudowano w czasach królowej Wiktorii, a jeśli ta ubikacja była kiedykolwiek sprządana, musiało się to odbyć w środku nocy, jak nikt nie widział!

Poczłapał, śmiejąc się pod nosem.

Mama wróciła do stołu, do herbaty.

– Nie możemy tu zostać – oświadczyła. – Zabiją nas wszystkie możliwe zarazy z tej ubikacji.

– Nie możemy się znowu przeprowadzać – protestuje tata. – Gdzie znajdziemy dom za sześć szylingów na tydzień? Sami będziemy utrzymywać czystość w ubikacji. Będziemy gotować wiadra wody i wlewać do środka.

– Czyżby? – pyta mama. – A skąd niby weźmiemy węgiel, torf albo brykiety do gotowania tej wody?

Tata nie odpowiada. Kończy herbatę i szuka gwoźdźca, żeby powiesić nasz jedyny obrazek. Mężczyzna na tym obrazku ma bardzo szczupłą twarz. Jest w żółtej mycce i czarnej szacie z krzyżem na piersi. Tata mówi, że to papież, Leon XIII, wielki przyjaciel ludzi pracy. Przywiózł ten obrazek z Ameryki, gdzie wyrzucił go ktoś, kogo nie interesował człowiek pracy. Mama twierdzi, że tata mówi cholerne bzdury, a on zwraca jej uwagę, że nie powinna przy dzieciach używać słowa „cholerne”. Tata znajduje gwóźdź, ale zastanawia się, jak wbić go w ścianę bez młotka. Mama radzi, żeby pożyczył młotek od sąsiadów, ale tata tłumaczy, że nie pożyczają się od ludzi, których się nie zna. Opiera obrazek o ścianę i wpycha gwóźdź słoikiem od dżemu. Słoik pęka i kaleczy go w rękę, kropla krwi spływa na głowę papieża. Tata zawija rękę ścierką do naczyń i woła, żeby mama szybko wytarła krew z papieża, zanim zaschnie. Mama próbuje wycierać rękawem, ale wełna tylko rozmazuje krew i już cała połowa twarzy papieża jest ubrudzona.

– Na Boga, Angelo, całkiem zniszczyłaś papieża! – biadoli tata.

– Och, przestań joczyć, kiedyś zdobędziemy trochę farby i przejedziemy mu po twarzy – odpowiada mama.

– To jedyny papież, który był przyjacielem człowieka pracy. A co powiemy, jak przyjdzie tu ktoś ze Stowarzyszenia Świętego Wincentego i zobaczy, że papież jest cały zakrwawiony?

– Nie wiem. To twoja krew. Smutna to sytuacja, kiedy mężczyzna nawet nie umie wbić gwoźdźca. Świadczy o tym, że jesteś całkiem do niczego. Najlepiej byś się nadawał do kopania łopatą, zresztą nic mnie już nie obchodzi. Boli mnie krzyż i kładę się do łóżka.

– Ach, tak? A co ja mam robić? – pyta tata.

– Zdejmij papieża i schowaj go w komórcie na węgiel pod schodami, przynajmniej nikt go nie zobaczy i nic mu się tam nie stanie.

– Nie mogę. To by przyniosło pecha. Komórka na węgiel to nie miejsce dla papieża. Kiedy papież ma być na ścianie, to ma być na ścianie.

– Rób, jak chcesz.

– Zrobię.

To nasze pierwsze Boże Narodzenie w Limerick. Na naszej ulicy dziewczynki skaczą przez skakankę i śpiewają:

*Zaraz Boże Narodzenie,
Jak chcesz czyste mieć sumienie,
Pensa wrzuć do kapelusza
I uraduj nasze dusze.
Nie masz pensa, to wrzuć pół,
Zda się na świąteczny stół.*

Chłopcy przekomarzają się z nimi i wykrzykują:

*A jak coś twą matkę spotka
Tam na schodach do wychodka!*

Mama mówi, że chciałaby przygotować dobry świąteczny obiad, ale co można zrobić, skoro biuro pośrednictwa pracy po śmierci Olivera i Eugene'a zmniejszyło zasiłek do szesnastu szylingów. Komorne wynosi sześć szylingów, zostaje więc dziesięć. I jak to ma wystarczyć na cztery osoby?

Tata nie może dostać żadnej pracy. W dni powszednie wstaje wcześnie, rozpala ogień, gotuje wodę na herbatę i na golenie. Wkłada koszulę i przypina kołnierzyk. Wiąże krawat, bierze czapkę i idzie podpisać listę na zasiłek dla bezrobotnych w biurze pośrednictwa pracy. Nigdy nie wychodzi z domu bez kołnierzyka i krawata, bo to by oznaczało, że się nie szanuje. Nigdy nie wiadomo, kiedy urzędnik w biurze pośrednictwa pracy powie, że jest miejsce w młynie Ranka albo w fabryce cementu. Nawet jeśli to tylko zajęcie dla robotnika, co by sobie pomyśleli, gdyby się pojawił bez kołnierzyka i krawata?

Szefowie i majstrzy zawsze okazują mu szacunek i mówią, że są gotowi go zatrudnić, ale kiedy usłyszą północnoirlandzki akcent, biorą kogoś z Limerick. Tak przynajmniej opowiada mamie. A ona mówi:

– Dlaczego nie ubierzesz się jak robotnik?

Tata odpowiada, że nigdy nie ustąpi, nie da im takiej satysfakcji. Kiedy mama pyta, dlaczego nie próbuje naśladować mowy ludzi z Limerick, tata oświadcza, że nie upadnie tak nisko, a najbardziej martwi go to, że jego synowie są już skażeni miejscowym akcentem.

– Współczuję ci z powodu tych zmartwień i mam nadzieję, że nigdy nie będziesz miał większych – pokpiwa mama.

Tata na to, że pewnego dnia z bożą pomocą wyjedziemy z Limerick, daleko od rzeki Shannon, która zabija.

Chcę się dowiedzieć od taty, co znaczy „skażony”.

– To jak choroba, synu, jak coś, co odstaje od reszty.

Kiedy tata nie szuka pracy, chodzi na długie spacery, wiele mil na wieś. Pyta farmerów, czy nie potrzebują pracownika. Tłumaczy, że wychował się w gospodarstwie i potrafi robić wszystko. Jeśli chcą go zatrudnić, od razu bierze się do pracy, w czapce, kołnierzyku i krawacie. Pracuje tak ciężko, że farmerzy sami mówią mu, żeby już skończył. Zastanawiają się, jak człowiek może pracować przez cały długi i gorący dzień, nie myśląc nawet o jedzeniu i picciu. Tata się uśmiecha. Nie przynosi do domu pieniędzy zarobionych na farmach; wydają mu się inne od zasiłku, który należy oddać mamie. Pieniądze z farm bierze do pubu i przepija. Kiedy nie ma go w domu o szóstej, jak dzwonią na Anioł Pański, mama wie, że pracował w ciągu dnia. Ma nadzieję, że przypomni sobie o rodzinie i chociaż raz ominie pub, ale to się nie zdarza. Łudzi się, że może przyjdzie z czymś ze wsi: z kartoflami, kapustą, brukwią, marchwią, ale on nigdy niczego nie przynosi, bo nie upadnie tak nisko, żeby o cokolwiek poprosić. Mama się gniewa, że ona może zebrać w Stowarzyszeniu Świętego Wincentego o talon na jedzenie, a on nie może wziąć do kieszeni kilku pyrów. Tata twierdzi, że mężczyzna to co innego. Nie może stracić godności. Musi nosić kołnierzyk i krawat, zachowywać pozory i w żadnym wypadku o nic nie prosić.

– Mam nadzieję, że ci się to uda – mówi mama.

Kiedy tata wyda już pieniądze z farmy, wtacza się do domu, śpiewając i rozpaczając nad Irlandią i śmiercią swoich dzieci, ale głównie nad Irlandią. Jeśli śpiewa o Roddym McCorleyu, to znaczy, że zarobił najwyżej na kufel lub dwa. Jeśli śpiewa o Kevinie Barrym, to znaczy, że miał dobry dzień i jest kompletnie pijany; zaraz powyciąga nas z łóżek, ustawi w szeregu i zmusi do przysięgi, że umrzemy za Irlandię, chyba że mama każe mu zostawić nas w spokoju, grożąc, że trzaśnie go po grzebaczem.

– Nie zrobisz tego, Angela.

– Przekonasz się! Lepiej skończ z tymi bzdurami i kładź się do łóżka.

– Łóżko, łóżko! Jaki ma sens kładzenie się do łóżka? Jeśli się położę, to tylko po to, żeby znowu wstawać; nie mogę spać w mieście, gdzie rzeka truje nas przez te wszystkie mgły i opary.

Kładzie się jednak, wali pięścią w ścianę, śpiewa żalną pieśń i usypia. Wstaje, jak tylko się rozwidnia, ponieważ nikt nie powinien spać dłużej niż do świtu. Budzi Malachy'ego i mnie, choć jesteśmy zmęczeni, bo przez jego gadanie i śpiewy nie mogliśmy zasnąć. Bronimy się, narzekamy, że jesteśmy zmęczeni, chorzy, ale on ściąga palta, którymi jesteśmy przykryci, i zmusza nas do wstania. Jest grudzień i bardzo zimno; widzimy nasze oddechy. Siusiamy do kubła przy drzwiach sypialni i zbiegamy po schodach do ciepła rozchodzącego się od kominka, który tata już rozpałił. Myjemy twarz i ręce w miednicy, która stoi pod kranem przy drzwiach. Rura prowadząca do kranu przywiązana jest szpagatem okręconym na gwoździu. Wszystko w pobliżu kranu jest wilgotne: podłoga, ściana, krzesło, na którym stoi miednica. Woda z kranu jest lodowata i drętwieją nam palce. Tata mówi, że to zdrowo, to robi z nas mężczyzn. Oblewa lodowatą wodą twarz, szyję i tors, by nam pokazać, że nie ma się czego bać. Wyciągamy ręce nad ogniem, żeby się ogrzać, ale nie mamy na to dużo czasu, bo musimy wypić herbatę, zjeść chleb i iść do szkoły. Tata każe nam odmówić modlitwę przed jedzeniem i pojedzeniu i dobrze się zachowywać w szkole, bo Bóg obserwuje każdy ruch i najmniejsze nieposłuszeństwo zaprowadzi nas prosto do piekła, a tam już nigdy nie będziemy narzekać na zimno.

I uśmiecha się.

Dwa tygodnie przed świętami wróciliśmy z Malachym ze szkoły w ulewnym deszczu. Kiedy otworzyliśmy drzwi, zobaczyliśmy, że w kuchni jest pusto. Zniknął stół, krzesła i kufer, a w palenisku nie palił się ogień. Ale na ścianie wisiał papież, a to znaczy, że nie było kolejnej przeprowadzki. Tata za żadne skarby by się nie przeprowadził bez papieża. Podłoga w kuchni jest mokra, wszędzie niewielkie kałuże wody, a ściany błyszczą wilgocią. Z góry dochodzi hałas, wchodzimy po schodach i znajdujemy tam rodziców i meble. Jest przyjemnie i ciepło, bo na palenisku buzuje ogień. Mama siedzi na łóżku, a tata czyta „The Irish Press” i pali papierosa. Mama wyjaśnia, że była straszliwa powódź, deszczowa woda płynęła uliczką i wlewała się pod drzwiami do naszego domu. Rodzice próbowali zatrzymać ją szmatami, ale tylko sami się zmoczyli i nawpuszczali do domu deszczu. Sytuację pogarszali jeszcze ludzie, którzy wylewali kubły, i w kuchni zrobił się straszny smród. Mama uważa, że dopóki pada, powinniśmy zostać na górze. W zimowe miesiące będzie nam tu ciepło, a wiosną możemy się znów przenieść na dół, kiedy ściany i podłoga trochę obeschną. Tata mówi, że to tak jakbyśmy pojechali na wakacje za granicę, do ciepłego kraju jak Włochy. I od tej pory tak właśnie będziemy nazywali górę: Włochy. Malachy przypomina, że papież dalej wisi na ścianie na dole i pewno zmarznie, więc chyba powinniśmy go przynieść.

– Nie, zostanie tam, gdzie jest – oświadcza mama. – Nie chcę, żeby gapił się na mnie ze ściany, jak leżę w łóżku. Nie wystarczy, że ciągnęliśmy go całą drogę z Brooklynu do Belfastu, a potem do Dublina i do Limerick? Teraz chcę tylko trochę spokoju i wygody.

Mama zabiera Malachy'ego i mnie do Stowarzyszenia Świętego Wincentego. Stajemy w kolejce, żeby się przekonać, czy istnieje szansa dostania czegoś na świąteczny obiad – gęsi albo szynki. Jednak mężczyzna narzeka, że w tym roku na Boże Narodzenie wszyscy w Limerick są w rozpaczliwej sytuacji. Daje mamie talon na artykuły spożywcze do sklepu McGrath i drugi do rzeźnika.

– Żadnej gęsi – zapowiada rzeźnik – żadnej szynki. Na talon od Świętego Wincentego nie ma frykasów. Może pani dostać kaszanke i flaki albo łeb barani czy świński. Świński łeb jest bardzo dobry, ma dużo mięsa, dzieci to uwielbiają, wystarczy odkroić policzek, posmarować musztardą, i niebo w gębie. Choć pewnie w Ameryce tego nie jedzą, takiego mają tam bzika

na punkcie befsztyków i wszelkiego rodzaju ptactwa, bez względu na to, czy lata, chodzi, czy pływa.

Mówi mamie, że nie może jej dać gotowanego bekonu ani kiełbasek, ale gdyby była rozsądna, wzięłaby świńską głowę, zanim wszystkie się rozejdą, bo biedacy z Limerick zawsze się na nie rzucają.

Mama przekonuje, że świńska głowa nie nadaje się na Boże Narodzenie. A on na to, że Święta Rodzina w Betlejem nawet tego nie miała w zimnej stajence. Na pewno by się nie uskarżali, gdyby ktoś im zaproponował ładny świński łeb.

– Nie skarżyliby się z pewnością, ale nigdy by nie jedli świńskiego łba. Byli przecież Żydami – prostuje mama.

– A co to ma do rzeczy? Świński łeb to świński łeb.

– A Żydzi to Żydzi i to jest sprzeczne z ich religią, i wcale im się nie dziwię.

– A pani jest taką specjalistką od Żydów i szynicy?

– Nie, ale w Nowym Jorku była Żydówka, pani Leibowitz, sama nie wiem, co byśmy bez niej zrobili.

Rzeźnik zdejmuje z półki świński łeb. Malachy wykrzykuje:

– Popatrzcie, zdechły pies!

Mama i rzeźnik wybuchają śmiechem. Rzeźnik zawija łeb w gazetę, podaje go mamie i życzy jej wesołych świąt. Potem zawija kilka kiełbasek.

– Niech pani to weźmie na świąteczne śniadanie.

– Nie stać mnie na kiełbaski.

– A czyja chcę pieniędzy? Proszę wziąć kiełbaski. Może zastąpią gęsi czy szynkę.

– Nie musi pan tego robić.

– Wiem o tym. Gdybym musiał, tobym nie robił.

Mama narzeka, że boli ją krzyż, więc ja dźwigam świński łeb. Przyciskam go do piersi, ale jest wilgotny, gazeta zaczyna odpadać i wtedy wszyscy widzą, co niosę.

– Strasznie się wstydzę, bo wszyscy się dowiedzą, że mamy świński łeb na święta – denerwuje się mama.

Zauważają mnie chłopcy z mojej szkoły, pokazują palcami i śmieją się.

– Patrzcie tylko na Frankiego McCourta ze świńskim ryjem. To jankesi jedzą na obiad świąteczny?

– Christy, wiesz, jak się je świński łeb?! – woła jeden do drugiego.

– Nie mam pojęcia, Paddy.

– Łapiesz go za uszy i odgryzasz ryj.

– Paddy, a wiesz, jakiej części świni nie jedzą u McCourtów?

– Nie wiem, Christy.

– Nie jedzą tylko chrumkania.

Kilka ulic dalej nie ma już ani kawałka gazety i każdy może zobaczyć świński łeb. Nos świni przyciśnięty do mojej piersi skierowany jest w górę i wskazuje na mój podbródek. Żal mi tego świniaka: nie tylko jest martwy, ale jeszcze wszyscy się z niego śmieją. Moja siostra i dwaj bracia też nie żyją, ale gdyby tak ktoś zaczął się z nich śmiać, rzuciłbym w niego kamieniem.

Żałuję, że tata nie poszedł z nami i nie pomaga, bo mama co kilka kroków musi przystanąć i oprzeć się o mur. Trzyma rękę na plecach i mówi, że nie da rady podejść na Barrack Hill. Ale nawet gdyby tata z nami poszedł, i tak nie na wiele by się przydał, bo on nigdy nic nie nosi – żadnych paczek, worków, torebek. Kiedy niesie się coś takiego, traci się godność. Tak twierdzi. Nosił bliźniaki, kiedy były zmęczone, niósł też papieża, ale to nie to samo co dźwiganie takich zwyczajnych rzeczy jak świński łeb. Powtarza Malachy'emu i mnie, że jak dorośniemy, musimy wkładać kołnierzyk i krawat i nigdy nie pokazywać się ludziom z żadnymi pakunkami.

Tata siedzi na górze przy ogniu, pali papierosa i czyta „The Irish Press”, którą uwielbia, bo to gazeta De Valery, a tata uważa De Valerę za największego człowieka na świecie. Spogląda na mnie i na świński łeb i mówi mamie, że to straszny wstyd, żeby pozwolić dziecku maszerować z czymś podobnym po ulicach Limerick. Mama zdejmuje palto i osuwa się na łóżko. Odpowiada, że w przyszłym roku sam może poszukać czegoś na świąteczny obiad. Jest wyczerpana i marzy o herbacie, więc może porzuciłby te pańskie tony, zagotował wodę i podpiekł chleb dla swoich małych synów, zanim umrą z głodu.

W dzień Bożego Narodzenia tata wcześniej rozpala ogień, żebyśmy mogli zjeść kiełbaski, chleb i wypić herbatę. Mama wysyła mnie do babci pożyczyć garnek do gotowania świńskiego łba.

– Co wy jecie na świąteczny obiad! – wykrzykuje babcia. – Świński łeb? Jezus Maria, Józefie święty, to przekracza wszelkie wyobrażenie! Czy twój ojciec nawet nie potrafił zdobyć choćby gęsi czy szynki? Co z niego za mężczyzna!

Mama kładzie świński łeb do garnka, zalewa niewielką ilością wody, a kiedy łeb się gotuje, ojciec zabiera Malachy’ego i mnie na mszę do kościoła Redemptorystów. W kościele jest ciepło, kwiaty, kadzidła i świece wydzielają słodki zapach. Tata pokazuje nam Dzieciątka Jezus w żłobku. Jest to duże, tłuste dziecko z jasnymi loczkami jak Malachy. Tata tłumaczy, że obok jest matka Jezusa, Maria, w niebieskiej szacie, i jego ojciec Józef, starszy mężczyzna z brodą. Wyjaśnia, że są smutni, bo wiedzą, że kiedy Jezus dorośnie, zostanie zabity, żebyśmy wszyscy mogli pójść do nieba. Pytam, dlaczego Dzieciątka Jezus musi umrzeć, a tata mówi, że nie można zadawać takich pytań. Malachy pyta: dlaczego, a tata każe mu zamilknąć.

W domu zastajemy mamę w strasznym stanie. Nie wystarczyło węgla na ugotowanie obiadu, woda już przestała wrzeć, a mama twierdzi, że zwariuje ze zmartwienia. Będziemy znowu musieli pójść na Dock Road i zobaczyć, czy nie leżą tam kawałki węgla lub torfu, które pospadały z platform. Na pewno w taki dzień coś znajdziemy. Nawet najbiedniejsi z biednych nie zbierają na ulicy węgla w dzień Bożego Narodzenia. Nie ma sensu prosić taty, żeby poszedł, bo nigdy nie upadnie tak nisko, a nawet gdyby mu się to przydarzyło, to i tak nie będzie nic niósł. Takie ma zasady. Mama nie może iść, bo boli ją krzyż.

– Frank, będziesz musiał pójść z Malachym – mówi.

Na Dock Road jest bardzo daleko, ale nam to nie przeszkadza, bo mamy brzuchy wypełnione kiełbaskami i chlebem, a deszcz nie pada. Niesiemy płócienną torbę, pożyczoną od pani Hannon z sąsiedniego domu. Mama miała rację, na Dock Road jest pusto. Wszyscy biedni siedzą w domach, jedzą świńskie łby, a może gęsi, a my mamy dla siebie całą Dock Road. Znajdujemy kawałki węgla i torfu we wgłębieniach jezdni i pod ścianami składów węglowych. Znajdujemy kawałki papieru i kartonu, które przydadzą się do rozpalenia ognia. Kręcimy się jeszcze, chcąc napełnić całą torbę, kiedy pojawia się Pa Keating. Musiał się chyba umyć na święta, bo nie jest taki czarny jak wtedy, kiedy umarł Eugene. Dopytuje się, co tu robimy z torbą, a kiedy Malachy mu wyjaśnia, wykrzykuje:

– Jezus Maria, Józefie święty! W dzień Bożego Narodzenia nie macie na czym ugotować świńskiej głowy? Toż to zupełna hańba!

Zabiera nas do pubu South, który powinien być zamknięty, ale Pa jest stałym klientem, a drzwi od tyłu przeznaczone są dla mężczyzn, którzy chcą kufelkiem uczcić narodziny Dzieciątka Jezus w żłobku. Zamawia dla siebie kufelek, a dla nas lemoniadę i pyta mężczyznę w barze, czy istnieje jakaś szansa na kilka kawałków węgla. Mężczyzna odpowiada, że od dwudziestu siedmiu lat podaje napoje w barze, ale jeszcze nikt nie zamawiał węgla Pa mówi, że oddałby mu w ten sposób przysługę, a na to mężczyzna odpowiada, że gdyby Pa zażądał gwiazdki z nieba, to poleciałby, żeby mu ją przynieść. Prowadzi nas do skrytki na węgiel pod schodami i pozwala wziąć tyle, ile zdołamy unieść. To prawdziwy węgiel, nie okruszki z Dock Road, więc nawet jeśli nie zdołamy go unieść, to zaciągniemy po ziemi.

Droga z pubu na Barrack Hill zabiera nam dużo czasu, bo w torbie jest dziura. Ja ciągnę torbę, a Malachy zbiera kawałki węgla, które wyleciały przez dziurę, i wkłada je z powrotem. Zaczyna padać, ale nie możemy poczekać w bramie, aż przestanie, bo mamy ten węgiel i zostawiamy czarny ślad na chodniku. Malachy robi się cały czarny od podnoszenia węgla, wkładania go do torby i wycierania deszczu z twarzy mokrymi czarnymi rękami. Mówię mu, że jest czarny, on na to, że ja jestem czarny; kobieta ze sklepu każe nam odejść od drzwi, bo jest Boże Narodzenie i nie chce patrzeć na Afrykę.

Musimy dalej ciągnąć torbę, bo inaczej nie będziemy jedli świątecznego obiadu. Potrwa całe wieki, zanim rozpali się ogień, i jeszcze kolejne wieki, zanim obiad będzie gotowy, bo woda musi się gotować, kiedy mama wrzuci do niej główkę kapusty i kartofle, żeby dotrzymały towarzystwa świńskiej głowie w garnku. Ciągniemy torbę po O'Connell Avenue i widzimy ludzi w domach, jak siedzą przy stołach: wszędzie pełno różnych dekoracji i jasnych świateł. W jednym domu otwiera się okno, dzieci wychylają się, wskazują na nas i wołają ze śmiechem:

– Patrzcie na Zulusów! A gdzie wasze włócznie?

Malachy robi do nich miny i chce rzucić kawałkiem węgla, ale go powstrzymuję, bo wtedy nie starczy węgla na świńską głowę i będziemy bez obiadu.

Na dole w naszym domu znowu utworzyło się jezioro, deszcz wciska się szparą pod drzwiami, ale to nie ma znaczenia, bo i tak jesteśmy przemoczeni, więc możemy brodzić po wodzie. Tata schodzi na dół i wciąga węgiel na górę do Włoch. Chwali nas, że jesteśmy dzielnymi chłopcami, bo przynieśliśmy tyle węgla, że musiał chyba zalegać na całej Dock Road. Na nasz widok mama zaczyna się śmiać, a potem płacze. Śmieje się, bo jesteśmy czarni, a płacze, bo jesteśmy kompletnie przemoczeni. Każe nam zdjąć wszystkie rzeczy i zmywa węgiel z naszych twarzy i rąk. Mówi tacie, że świński łeb może trochę poczekać, najpierw powinniśmy wypić po słoiku gorącej herbaty.

Na dworze pada deszcz, w naszej kuchni na dole jest jezioro, ale tu na górze, we Włoszech, znowu pali się ogień, w pokoju jest tak sucho i ciepło, że po herbacie zasypiamy z Malachym na łóżku; dopiero tata nas budzi, kiedy jest gotowa kolacja. Nasze ubrania jeszcze są mokre, więc Malachy siedzi przy stole na kufrze owinięty w czerwone amerykańskie palto mamy, a ja zawijam się starym paltem, które zostawił mamy ojciec, kiedy pojechał do Australii.

W pokoju rozchodzą się cudowne zapachy kapusty, kartofli i świńskiego łba. Ale kiedy tata wyciąga ten łeb z garnka na talerz, Malachy zaczyna:

– Biedna świnka, nie chcę jeść biednej świnki.

– Gdybyś był głodny, tobyś jadł – wtrąca mama. – Skończ z tymi bzdurami i zabieraj się do kolacji.

– Poczekajcie – mówi tata. Kroi po plasterku z każdego policzka, kładzie nam na talerze i smaruje musztardą. Talerz, na którym jest świńska głowa, stawia pod stołem. – Teraz to jest szynka – wyjaśnia Malachy'emu.

I mój brat je, bo nie widzi, skąd to się wzięło, nie ma już przed oczami świńskiej głowy. Kapusta jest miękka i gorąca, mamy też dużo kartofli z masłem i z solą. Mama obiera dla nas kartofle, ale tata zjada je ze skórką. Twierdzi, że najbardziej pożywne są właśnie skórki, a na to mama, że na szczęście nie jadamy jajek, bo musiałyby chrupać skorupki i wszystko.

Tata odpowiada, że oczywiście zjadałby skorupki, bo to wstyd, że Irlandczycy wyrzucają codziennie miliony skórek od kartofli, dlatego właśnie tysiące umierają na suchoty. A skorupki od jajek na pewno też są pożywne, skoro marnotrawstwo to ósmy z grzechów głównych. Gdyby to od niego zależało...

– Mniejsza o to – przerywa mama. – Lepiej jedz kolację.

Tata zjada pół kartofla ze skórką, a drugą połowę wkłada z powrotem do garnka. Zjada mały plasterek świńskiego policzka i jeden liść kapusty, a resztę zostawia na talerzu dla

Malachy'ego i dla mnie. Robi herbatę, do której mamy po kawałku chleba z dżemem, by nikt nie mógł powiedzieć, że w dzień Bożego Narodzenia nie jedliśmy słodczy.

Na zewnątrz już się zrobiło ciemno i nadal pada, na palenisku błyszczący rozpalony węgiel. Tata i mama siedzą przy ogniu i palą papierosy. Jak się ma mokre rzeczy, to nie ma nic do roboty; wracamy do łóżka, gdzie jest przytulnie i można słuchać opowieści taty o tym, jak Cuchulain został katolikiem. Potem można zasnąć i śnić o świni, która stoi w żłobku w kościele Redemptorystów i płacze, ponieważ i ona, i Dzieciątko Jezus, i Cuchulain muszą dorosnąć i umrzeć.

Anioł, który przyniósł Margaret i bliźniaki, znowu się pojawił i przyniósł nam kolejnego brata, Michaela. Tata mówi, że znalazł Michaela na siódmym stopniu schodów do Włoch. Mówi, że jak się prosi o nowe dziecko, to trzeba wypatrywać Anioła Siódmego Stopnia.

Malachy chce wiedzieć, jak można dostać nowego braciszka od Anioła Siódmego Stopnia, jeśli nie ma się w domu schodów, a tata odpowiada, że zadawanie zbyt wielu pytań to ciężka przypadłość.

Malachy chce wiedzieć, co to znaczy.

– Przypadłość. Chciałbym wiedzieć, co znaczy słowo „przypadłość”.

Ale tata odpowiada:

– Och, moje dziecko, cały świat to przypadłość i wszystko, co na nim jest. – Wkłada czapkę i idzie do mamy i Michaela do szpitala przy Bedford Row. Mama jest w szpitalu, ponieważ boli ją krzyż, a zabrała z sobą niemowlę, żeby się przekonać, czy było zdrowe, kiedy zostawiono je na siódmym stopniu. Zupełnie tego nie rozumiem, bo jestem pewien, że anioł nigdy nie zostawiłby na siódmym stopniu chorego dziecka. Ale nie ma sensu pytać o to taty ani mamy. Powiedzą tylko, że z tym zadawaniem pytań robię się równie niemożliwy jak mój brat i że bym poszedł się bawić.

Wiem, że dorośli nie lubią pytań dzieci. Sami mogą pytać, o co tylko chcą. Jak tam w szkole? Czy jesteś grzeczny? Czy odmówiłeś modlitwę? Ale gdybym ja zapytał, czy odmówili modlitwę, mógłbym dostać po głowie.

Tata przywiózł do domu mamę z nowym dzieckiem, ale mama musi przez kilka dni leżeć w łóżku z powodu bólu krzyża. Mama twierdzi, że to niemowlę to wykapaną naszą zmarłą siostrzyczka, ma czarne kręcone włosy, śliczne niebieskie oczy i wspaniałe brwi. Tak mówi mama.

Chciałbym wiedzieć, czy to dziecko naprawdę jest wykapanie. Chciałbym też wiedzieć, który jest siódmy stopień, bo schody mają dziewięć stopni i nie wiem, czy liczyć od góry, czy od dołu. Tata nawet chętnie odpowiedział na to pytanie:

– Anioły przychodzą z góry, a nie z dołu, z takiej kuchni jak nasza, która od października do kwietnia zamienia się w jezioro.

Znalazłem siódmy stopień, licząc od góry.

Mały Michael jest zaziębiony. Prawie nie może oddychać, ma zapchany nos. Mama się martwi, bo jest niedziela i przychodnia dla ubogich zamknięta. Kiedy idzie się do doktora do domu, a służąca zobaczy, że pacjent jest z niższych klas, każe iść do przychodni, bo tam jego miejsce. A jeśli się powie, że dziecko jest umierające, zwykle odpowiada, że doktor pojechał i jeździ na koniu.

Mama płacze, bo dziecko z trudem łapie powietrze ustami. Próbuje przepchać mu nozdrza kawałkiem skręconego papieru, ale boi się wepchać za głęboko.

– Nie trzeba tego robić – tłumaczy tata. – Nie powinno się niczego wpychać w głowę niemowlęcia. – Wyglądało na to, że chce pocałować dziecko. Ale on przytknął usta do nosa i wysysał niedobre płyny z głowy Michaela. Wypluł je potem do ognia, Michael głośno

krzyknął, a za chwilę normalnie wciągał powietrze, kopał nogami i śmiał się. Mama tak popatrzyła na tatę, jakby tylko co zstąpił z nieba, a on powiedział:

– Tak robiliśmy w Antrim na długo przedtem, zanim byli doktorzy, co jeżdżą na koniach.

Michael daje nam prawo do kilku dodatkowych szylingów zasiłku, ale mama mówi, że to nie wystarcza, i musi teraz chodzić do Stowarzyszenia Świętego Wincentego po jedzenie. Jednego wieczoru usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Mama wysłała mnie na dół, żebym zobaczył, kto przyszedł. Dwaj panowie od Świętego Wincentego a Paulo chcieli zobaczyć moich rodziców. Powiedziałem, że rodzice są na górze, we Włoszech, a oni zawołali: Co?!

– Na górze, gdzie jest sucho – wyjaśniłem.

Chcieli wiedzieć, co jest w tej małej komórce koło naszych drzwi. Wyjaśniłem, że ubikacja. Pytali, dlaczego nie jest na tyłach domu, ja powiedziałem, że to ubikacja dla całej ulicy i dobrze, że nie jest na tyłach domu, bo wtedy wszyscy pchaliby się przez naszą kuchnię z wiadrami, od których robi się niedobrze.

– Jesteś pewien, że jest tylko jedna ubikacja dla całej uliczki?

– Tak.

– Matko Boska!

– Kto tam jest na dole?! – woła mama z Włoch.

– Panowie.

– Jacy panowie?

– Od Świętego Wincentego a Paulo.

Bardzo ostrożnie przechodzą przez jezioro w kuchni, powtarzają różne: pst i cyt, mówią do siebie: „Czy to nie skandal?“, dopóki nie wejdą na górę do Włoch. Przepraszają mamę i tatę za najście, ale stowarzyszenie musi mieć pewność, że pomaga naprawdę potrzebującym. Mama proponuje im herbatę, ale oni rozglądają się wokół i odmawiają. Chcą wiedzieć, dlaczego mieszkamy na górze. Chcą wiedzieć wszystko o ubikacji. Zadają pytania, ponieważ dorośli mogą zadawać wszystkie pytania, jakie im się podoba, mogą też zapisywać w notesach, zwłaszcza gdy mają na sobie kołnierzyki, krawaty i garnitury. Pytają, ile miesięcy ma Michael, ile tata dostaje w biurze pośrednictwa, kiedy ostatnio miał pracę, dlaczego teraz jej nie ma i dlaczego mówi z takim dziwnym akcentem.

Tata wyjaśnia, że mogą nas pozabijać wszelkiego typu zarazy z ubikacji, że kuchnię zimą zalewa i musieliśmy się przenieść na górę, gdzie jest sucho. Mówi, że cała wilgoć na świecie bierze się z rzeki Shannon i że ta wilgoć nas wszystkich po kolei pozabija.

Malachy dodaje, że mieszkamy we Włoszech, a oni się uśmiechają.

Mama pyta, czy jest jakakolwiek szansa dostania butów dla Malachy’ego i dla mnie, a oni odpowiadają, że musi poprosić o to w Ozanam House. Mama tłumaczy, że odkąd przyszło dziecko, nie czuje się dobrze i nie wytrzyma długiego stania w kolejce, a oni na to, że wszyscy muszą być jednakowo traktowani, nawet ta kobieta z Irishtown, co ma trojaczki, i że napiszą swoje sprawozdanie.

Kiedy mężczyźni zbierają się do wyjścia, Malachy chce im pokazać siódmy stopień, na którym anioł zostawił Michaela, ale tata mu nie pozwala. Malachy wybucha płaczem i jeden z mężczyzn daje mu toffi, które wyjął z kieszeni. Też chciałbym mieć jakiś powód do płaczu, żeby dostać cukierka.

Znowu muszę zejść na dół i pokazać tym panom, jak mają stąpać, żeby nie zamoczyć nóg. Przez cały czas kręcą głowami i powtarzają:

– Wielki Boże, Matko Przenajświętsza, toż to rozpaczliwe. Tam na górze to nie Włochy, to Kalkuta!

Na górze we Włoszech tata poucza mamę, że nigdy nie powinna żebrac w ten sposób.

– Co rozumiesz przez „żebrac”?

– Nie masz żadnej dumy, żeby tak prosić o buty?

- A co byś zrobił, mój panie z wielkimi manierami? Pozwoliłbyś dzieciom chodzić boso?
- Raczej zreperowałbym te buty, które mają.
- Buty się rozlatują.
- Mogę je zreperować.
- Nic nie możesz zreperować. Nie nadajesz się do niczego!

Następnego dnia tata wraca do domu ze starą oponą rowerową. Wysyła mnie do pana Hannon, najbliższego sąsiada, żebym pożyczył kopyto i młotek. Bierze od mamy ostry nóż i kroi oponę na kawałki, które pasują na podeszwy i obcas. Mama mówi, że zupełnie zniszczy nasze buty, ale tata wali młotkiem i wbija gwoździe w kawałki gumy i dalej w buty.

– Wielki Boże! Gdybyś zostawił te buty w spokoju, może dotrwałyby przynajmniej do Wielkanocy, kiedy możemy coś dostać od Świętego Wincentego – denerwuje się mama.

Ale tata nie przestaje, dopóki podeszew i obcasów nie pokrywają kwadraty gumy, które wystają z każdej strony i kłapią z przodu i z tyłu. Tata każe nam włożyć buty i twierdzi, że teraz będzie nam dobrze i ciepło, ale my już nie chcemy chodzić w tych butach, bo kawałki gumy są tak nierówne, że się potykamy, nawet spacerując po Włoszech. Tata wysyła mnie do pana Hannon, żebym oddał kopyto i młotek.

– Dobry Boże, a co to się stało z twoimi butami?! – wykrzykuje pani Hannon. Śmieje się, a pan Hannon kręci głową, więc czuję się bardzo zawstydzony. Następnego dnia nie chcę iść do szkoły i udaję, że jestem chory. Ale tata zrywa nas z łóżka, daje nam pieczony chleb i herbatę, przekonuje, że powinniśmy być wdzięczni, że w ogóle mamy buty, bo przecież w naszej szkole są chłopcy, którzy nawet w zimne dni chodzą boso. W drodze do szkoły chłopcy śmieją się z nas, bo kawałki gumy są bardzo grube i podwyższają nas o kilka cali. Słyszemy okrzyki:

- Jakie tam powietrze na górze?

W mojej klasie jest sześciu czy siedmiu chłopców, którzy chodzą boso; oni nic nie mówią, a ja się zastanawiam, czy lepiej mieć buty z kawałkami gumowej opony, na której chodzi się niepewnie i z trudem, czy w ogóle nie mieć butów. Gdybym w ogóle nie miał butów, wszyscy bosi byłiby po mojej stronie. A w butach z gumową oponą jestem tylko z bratem i sami musimy staczać walki. Siedzę na ławce w komórcie na szkolnym boisku, zdejmuję buty i pończochy. Kiedy wchodzę do klasy, nauczyciel chce wiedzieć, gdzie są moje buty. Wie, że nie należę do grupy bosonogich, więc każe mi wrócić na boisko, przynieść buty i z powrotem je włożyć. A potem zwraca się do klasy:

– Słyszę tu jakieś szyderstwa i drwiny z nieszczęścia innych. Czy ktoś w tej klasie uważa, że jest doskonały? Niech podniesie rękę.

Nie podnosi się żadna ręka.

– Czy ktoś w tej klasie pochodzi z bogatej rodziny, gdzie jest tyle pieniędzy, że można je wydawać na buty? Niech podniesie rękę.

Nie podnosi się żadna ręka.

– Są tu chłopcy, którzy muszą reperować buty, jak się da. Są w tej klasie chłopcy, którzy ich w ogóle nie mają. To nie ich wina i nie żaden wstyd. Pan Jezus nie miał butów. Umarł bez butów. Czy widzieliście, żeby wisiał na krzyżu, popisując się butami? Widzieliście?

– Nie, proszę pana.

– A więc czego nie widzieliście u Pana Jezusa?

– Żeby wisiał na krzyżu, popisując się butami.

– Jeżeli usłyszę, że ktokolwiek w tej klasie drwi i szydzi z braci McCourtów z powodu ich butów, kij będzie w robocie. Co będzie w robocie?

– Kij, proszę pana.

– Poczujecie kij. Witka jesionowa będzie w powietrzu i wyląduje na tylnej części ciała chłopca, który drwi, który szydzi. Gdzie wyląduje ta witka?

– Na chłopcu, który szydzi, proszę pana.

– I na kim jeszcze?

– Na chłopcu, który drwi, proszę pana.

Chłopcy już więcej nam nie dokuczali; chodziliśmy w butach z gumową oponą przez kilka tygodni, aż do Wielkanocy, kiedy Stowarzyszenie Świętego Wincentego podarowało nam nowe.

Jeśli muszę wstać w środku nocy, żeby sikać do kubła, stoję na szczycie schodów i patrzę w dół, czy na siódmym stopniu nie ma przypadkiem anioła. Czasami jestem zupełnie pewien, że widzę tam światło, więc jeśli wszyscy śpią, siadam na tym stopniu na wypadek, gdyby anioł akurat przyniósł kolejne dziecko albo wpadł z wizytą. Spytałem mamę, czy anioł po prostu przynosi dzieci, a potem o nich zapomina.

– Oczywiście, że nie! Anioł nigdy nie zapomina o dzieciach i wraca, żeby się upewnić, czy dziecko jest szczęśliwe.

Mógłbym zadać aniołowi różne pytania i jestem pewien, że by odpowiedział, gdyby nie był aniołem dziewczynką. Ale właściwie to jestem pewien, że i taki anioł by mi odpowiedział. Nigdy nie słyszałem, że anioły nie odpowiadają na pytania.

Długo przesiaduję na siódmym stopniu i jestem pewien, że anioł tam przychodzi. Mówię mu to, czego nie można powiedzieć mamie ani ojcu w obawie, że trzepną po głowie albo każą iść się bawić. Opowiadam mu wszystko o szkole i o tym, jak się boję nauczyciela i jego kija, kiedy ryczy na nas po irlandzku, a ja nie mam pojęcia, o czym mówi, bo przyjechałem z Ameryki, a inni chłopcy uczyli się irlandzkiego rok przede mną.

Siedzę na siódmym stopniu, dopóki nie zrobi się zbyt zimno albo dopóki tata nie wstanie i nie każe mi wracać do łóżka. To przecież on powiedział, że anioł przychodzi na siódmy stopień, więc powinien wiedzieć, dlaczego ja tam siaduję. Jednej nocy powiedziałem mu, że czekam na anioła, a on na to:

– Och, Francis! Ale z ciebie marzyciel!

Wracam do łóżka i słyszę, jak tata szepcze do mamy:

– Biedny dzieciak siedział na schodach i gadał do anioła. Tata wybucha śmiechem, mama też, a ja sobie myślę, czy to nie dziwne, że dorośli śmieją się z anioła, który przyniósł im nowe dziecko.

Przed Wielkanocą przenosimy się na dół, do Irlandii. Wielkanoc jest lepsza od Bożego Narodzenia, bo cieplej, wilgoć nie kapie po ścianach, kuchnia już nie przypomina jeziora, a jeśli się wstanie wcześniej, można przez chwilę patrzeć na promień słońca, który wpada ukosem przez kuchenne okno.

W ładną pogodę mężczyźni siedzą na zewnątrz, palą papierosy, jeśli je mają, przyglądają się światu i patrzą, jak się bawimy. Kobiety stoją z założonymi rękami i gadają. Nie siadają, bo w domu przecież przez cały czas stoją, zajmują się dziećmi, sprzątają i trochę gotują, a mężczyznom potrzebne są krzesła. Mężczyźni siedzą, bo są wyczerpani codzienną drogą do biura pośrednictwa pracy, żeby się podpisać na liście bezrobotnych i dostać zasiłek; dyskutują nad problemami świata i zastanawiają się, co zrobić z resztą dnia. Niektórzy zatrzymują się przed sklepem bukmachera, studiują tabele wyścigów i stawiają szylinga lub dwa na pewniaka. Inni spędzają długie godziny w bibliotece Carnegie, czytając angielskie i irlandzkie gazety. Mężczyzna na zasiłku musi mieć aktualne informacje, ponieważ pozostali bezrobotni są ekspertami w dziedzinie światowych wydarzeń. Mężczyzna na zasiłku musi być przygotowany na wypadek, gdyby inny bezrobotny poruszył temat Hitlera, Mussoliniego czy opłakane położenie milionów Chińczyków. Mężczyzna na zasiłku wraca do domu po dniu spędzonym u bukmachera albo nad gazetą, a wtedy żona daruje mu te kilka minut komfortu i spokoju z papierosem przy herbacie, pozwoli mu posiedzieć na krześle i porozmyślać o świecie.

Wielkanoc jest lepsza od Bożego Narodzenia, bo tata zabiera nas do kościoła Redemptorystów, gdzie wszyscy księża ubrani są na biało i śpiewają. Są szczęśliwi, bo Pan Jezus jest w niebie. Pytam taty, czy Dzieciątko ze żłobka nie żyje, a tata odpowiada, że nie, że On miał trzydzieści trzy lata, kiedy umarł, i wisi tu na krzyżu. Nie rozumiem, jak mógł dorosnąć tak prędko, że wisi tu w cierniowej czapce, cały zakrwawiony, krew kapie z Jego głowy, rąk, stóp, a blisko brzucha ma olbrzymią dziurę.

Tata mówi, że zrozumie, jak dorosnę. Teraz powtarza mi to bez przerwy. Chciałbym być taki duży jak on, żeby móc wszystko zrozumieć. To musi być cudownie: obudzić się rano i wszystko rozumieć. Chciałbym być taki jak ci dorośli ludzie w kościele, którzy stoją, klękają, modlą się i wszystko rozumieją.

Podczas mszy ludzie podchodzą do ołtarza, a ksiądz wkłada im coś do ust. Wracają na swoje miejsca z opuszczonymi głowami, usta ich się poruszają. Malachy mówi, że jest głodny i też chce coś dostać.

– Cicho – szepcze tata. – To komunie święta, ciało i krew naszego Pana.

– Ale, tato...

– Cicho, to tajemnica!

Nie ma sensu dalej pytać. Kiedy o coś zapytasz, odpowiedzą, że to tajemnica, że zrozumiesz, jak dorośniesz. Bądź grzeczny, zapytaj mamę, zapytaj tatę, na miłość boską, zostaw mnie w spokoju, idź na dwór się bawić.

Tata dostaje pierwszą pracę w Limerick w fabryce cementu i mama jest szczęśliwa. Nie będzie musiała wystawać w kolejkach w Stowarzyszeniu Świętego Wincentego i prosić o buty i ubrania dla Malachy'ego i dla mnie. Mama mówi, że to nie jest zebranie, to dobroczynność, ale tata twierdzi, że to zebranie i wstyd. Mama się cieszy, że będzie mogła zwrócić kilka funtów długu w sklepie Kathleen O'Connell, będzie też mogła oddać to, co jest winna swojej matce. Nienawidzi być coś komuś winna, zwłaszcza własnej matce.

Fabryka cementu jest wiele mil za miastem, a to znaczy, że tata musi wyjść z domu o szóstej rano. Nie przeszkadza mu to, bo jest przyzwyczajony do długich marszów. Poprzedniego wieczoru mama szykuje mu herbatę w butelce, kanapkę i jajko na twardo. Żal jej, że tata musi iść trzy mile w jedną stronę i trzy mile z powrotem. Przydałby się rower, ale kosztuje tyle, że trzeba by pracować przez cały rok.

Piątek to dzień wypłaty, mama wstaje wcześniej, sprząta i śpiewa

*Że ja całować ciebie chcę, to każdy wie,
Tak musi być, los też tak chce.*

W domu niewiele jest do sprzątnięcia. Mama zamiata podłogę w kuchni i na górze we Włoszech. Myje cztery słoiki po dżemie, których używamy zamiast kubków. Mówi, że jeśli praca taty potrwa jakiś czas, to kupimy sobie prawdziwe kubki, a może i spodki, a pewnego dnia, z pomocą Boga i Jego Najświętszej Matki, będziemy mieli prześcieradła na łóżka, a po dłuższym oszczędzaniu może nawet jeden czy dwa koce zamiast tych starych palt, które pochodzą chyba z czasów wielkiego głodu. Gotuje wodę i pierze szmaty, dzięki którym Michael nie zasrywa całego wózka i całego domu.

– Och – cieszy się mama – dobrze się najemy, kiedy wasz tatko przyniesie wieczorem wypłatę.

Tatko. Musi być w dobrym humorze.

O wpół do piątej, kiedy mężczyźni kończą pracę, w całym mieście słychać syreny i gwizdki. Obaj z Malachym jesteśmy bardzo podnieceni, bo wiemy, że kiedy ojciec pracuje i przynosi do domu wypłatę, dzieci dostają piątkowego pensa. Wiemy to od chłopaków, których ojcowie pracują. Wiemy też, że po kolacji będziemy mogli pójść do sklepu Kathleen

O'Connell kupić cukierki. A jeśli mama jest w dobrym nastroju, to można nawet dostać dwa pensy i pójść następnego dnia do kina Lyric na film z Jamesem Cagneyem.

Mężczyźni, którzy pracują w fabrykach i w sklepach w mieście, wracają na swoje uliczki, żeby zjeść kolację, umyć się i pójść do pubu. Kobiety idą obejrzeć film w kinie Coliseum albo Lyric. Kupują cukierki i papierosy Wild Woodbine, a jeśli ich mężowie od dawna mają pracę, to pozwalają sobie na pudełka czekoladek Black Magie. Uwielbiają filmy romansowe i z przyjemnością wypłakują oczy nad nieszczęśliwym zakończeniem czy nad przystojnym amantem, który odchodzi i zostaje zastrzelony przez jakiegoś Hindusa lub innego niekatolika.

Musimy długo czekać, żeby tata przeszedł trzy mile z fabryki cementu. Nie możemy jeść, dopóki nie przyjdzie do domu, i to jest bardzo przykre, ponieważ czujemy zapachy gotowania dochodzące z naszej uliczki. Mama mówi, jak to dobrze, że wypłata jest w piątek, kiedy nie wolno jeść mięsa, bo zapach bekonu i kielbasek z innych domów doprowadziłyby ją do szaleństwa. Ale i tak można będzie zjeść chleb z serem, popić słoikiem herbaty zaprawionej mlekiem i cukrem. A czego więcej można wymagać?

Kobiety poszły już do kina, mężczyźni są w pubach, a taty wciąż nie ma. Mama tłumaczy, że nawet dla dobrego piechura droga do fabryki cementu jest bardzo daleka. Mówi tak, ale oczy ma załzawione i już nie śpiewa. Siedzi przy ogniu i pali papierosa, którego dostała na kredyt od Kathleen O'Connell. To dla niej jedyny luksus, więc nigdy nie zapomni dobroci Kathleen O'Connell. Nie wie, jak długo może trzymać wrzącą wodę w czajniku. Nie ma sensu parzyć herbaty, zanim tata wróci, bo herbata się zagotuje, zadusi i nie będzie się nadawała do picia. Malachy narzeka, że jest głodny, więc mama daje mu kawałek chleba z serem.

– Ta praca mogłaby być dla nas ratunkiem – mówi. – I tak trudno mu znaleźć cokolwiek z tym północnym akcentem, ale jak straci i to, nie wiem, co się z nami stanie.

Na uliczce robi się ciemno i trzeba zapalić świecę. Mama musi już dać nam herbatę, chleb i ser, bo jesteśmy tak głodni, że nie możemy czekać ani chwili dłużej. Siedzi przy stole, skubie troszkę chleba i sera, pali woodbine'a i podchodzi do drzwi, żeby zobaczyć, czy tata nie idzie. Przypomina dni wypłat, kiedy szukaliśmy go po całym Brooklynie.

– Kiedyś wszyscy wrócimy do Ameryki – obiecuje – będziemy mieszkać w przyjemnym ciepłym mieszkaniu z toaletą na końcu korytarza, jak na Clason Avenue, nie z takim brudnym śmierdzeniem za drzwiami jak tutaj.

Kobiety wracają z kina, śmieją się, a mężczyźni schodzą się z pubów, śpiewają. Mama mówi, że nie ma sensu dłużej czekać. Jeśli tata zostanie w pubie aż do zamknięcia, to wyda całą wypłatę, więc możemy równie dobrze iść spać. Mama leży na łóżku i trzyma w objęciach Michaela. Na ulicy jest cicho, więc słyszę, jak płacze, chociaż naciągnęła na twarz stare palto, słyszę też w oddali tatę.

Wiem, że to ojciec, ponieważ tylko on w całym Limerick śpiewa tę pieśń z Północy, Roddy McCorley ma zginąć dzisiaj na moście Toome. Wychodzi zza rogu na szczybie naszej uliczki i zaczyna Kevina Barry'ego. Śpiewa jedną linijkę, przystaje, przytrzymuje się ściany i rozpacza nad Kevinem Barrym. Ludzie wychylają się z okien i drzwi i wołają:

– Na miłość boską, zamknij się! Niektórzy muszą wstawać rano do pracy. Idź do domu i tam wyśpiewuj te cholerne patriotyzmy!

Ojciec staje na środku ulicy i wzywa wszystkich do wyjścia na zewnątrz, jest gotów walczyć, gotów bić się i zginąć za Irlandię, czego nie da się powiedzieć o mężczyznach z Limerick, którzy znani są na całym świecie z tego, że współpracowali z perfidnymi Anglosasami.

Otwiera drzwi naszego domu ze śpiewem:

*Gdy wszyscy tu czuwamy my,
Zachód śpi! Zachód śpi!*

*I próżno Erin we łzach drży,
Gdy Connachi tak głęboko śni.
Wtem głos jak piorun przemawia do ludzi,
Zachód się budzi! Zachód się budzi!
Hura! Niech Anglia już się nie łudzi,
Czuwanie przy Erin nigdy nas nie znudzi.*

Woła z dołu:

– Angela, Angela, czy jest chociaż kropla herbaty?! Mama nie odpowiada, więc woła znowu:

– Chłopcy, Francis, Malachy, chodźcie na dół! Mam dla was piątkowego pensa.

Chcę zejść po piątkowego pensa, ale mama szłocha nakryta paltem, a Malachy burczy:

– Nie potrzebuję jego piątkowego pensa. Może go sobie zatrzymać.

Tata wspina się chwiejnie po schodach, wygłaszając mowę o tym, że wszyscy musimy umrzeć za Irlandię. Zapala zapałkę i przytyka do świecy koło łóżka mamy. Trzyma świecę nad głową i maszeruje po pokoju, śpiewając:

*A któż to nadchodzi przez wrzosa czerwone?
Zielone sztandary w czystym gór powietrzu,
Dumny krok marszowy, głowy podniesione,
A duch tutaj każdy dla wolności tronem.*

Michael budzi się i zaczyna głośno krzyczeć, Hannonowie walą w ścianę, a mama wymawia tacie, że przynosi wszystkim wstyd i byłoby lepiej, gdyby w ogóle wyniósł się z domu.

Tata stoi na środku pokoju ze świecą nad głową. Wyciąga z kieszeni pensa i macha nim w stronę Malachy'ego i moją.

– Chłopcy, wasz piątkowy pens. Wyskakujcie z łóżka, ustawcie się w szeregu jak dwaj żołnierze i przysięgnijcie umrzeć za Irlandię, a dam każdemu piątkowego pensa.

Malachy siada na łóżku.

– Nie chcę pensa! – odpowiada.

Ja też mówię, że nie chcę pensa.

Tata stoi jeszcze przez chwilę, chwieje się na nogach i chowa pensa z powrotem do kieszeni. Odwraca się w stronę mamy, a ona oświadcza:

– Nie będziesz dzisiaj spał w tym łóżku!

Tata schodzi po schodach ze świecą, spędza noc na krześle w kuchni, rano nie idzie do pracy, wyrzucają go z fabryki cementu i znowu jesteśmy na zasiłku.

IV

Nauczyciel mówi, że czas przygotować się do pierwszej spowiedzi i pierwszej komunii, nauczyć się i zapamiętać wszystkie pytania i odpowiedzi z katechizmu, stać się dobrym katolikiem, poznać różnicę między dobrem a złem i jeśli będzie trzeba, umrzeć za wiarę.

Nauczyciel tłumaczy, że chwalebnie jest umrzeć za wiarę, a tata – że chwalebnie jest umrzeć za Irlandię; zastanawiam się, czy w ogóle jest na świecie ktoś, kto chciałby, żebyśmy żyli. Moi bracia nie żyją, nie żyje też moja siostra, ciekawi mnie, czy umarli za Irlandię, czy za wiarę. Tata twierdzi, że byli zbyt mali, by umrzeć za cokolwiek. Mama utrzymuje, że zmarli z chorób i z głodu, a także dlatego, że on nigdy nie miał pracy. Na to tata ze słowami „och, Angelo” wkłada czapkę i wychodzi na długi spacer.

Nauczyciel każe przynieść trzy pensy na katechizm do pierwszej komunii w zielonych okładkach. W katechizmie są wszystkie pytania i odpowiedzi, których musimy się nauczyć na pamięć, zanim będziemy mogli przystąpić do pierwszej komunii. Starsi chłopcy z piątej klasy mają gruby katechizm do bierzmowania w czerwonej okładce za sześć pensów. Chciałbym być duży i ważny i paradować z czerwonym katechizmem do bierzmowania, chyba jednak nie będę żył tak długo, skoro wszyscy oczekują, że za coś umrę. Chciałbym zapytać, dlaczego jest tylu dorosłych ludzi, którzy nie umarli ani za Irlandię, ani za wiarę, ale wiem, że za takie pytanie czeka mnie pewny szturchaniec w głowę albo polecenie wyjścia na dwór, żeby się bawić.

Dobrze, że Mikey Molloy mieszka tuż za rogiem. Ma jedenaście lat i ataki, za plecami nazywamy go Molloy Drgawka. Ludzie z naszej uliczki mówią, że te ataki to przypadłość, więc teraz już wiem, co to znaczy. Mikey wie wszystko, ponieważ ma wizje w czasie ataków, a poza tym czyta książki. Na naszej uliczce jest ekspertem od budowy ciała dziewczyn i wszystkich innych świństw.

– Frankie, wszystko ci powiem, kiedy będziesz miał jedenaście lat, przestaniesz być takim tępym niedoukiem – obiecuje.

Dobrze, że mówi „Frankie”, w ten sposób jestem pewien, że zwraca się do mnie, ponieważ ma zezę i nigdy nie wiadomo, na kogo patrzy. Jeśli akurat mówi do Malachy’ego, a ja myślę, że do mnie, może wpaść we wściekłość i dostać ataku, który go zabije. Twierdzi, że zez to wielki dar, bo dzięki niemu może jak Bóg patrzeć od razu w dwie strony; jeśli się miało zezę w starożytnym Rzymie, nie było problemu z dostaniem dobrej pracy. Jak się przyjrzeć portretom rzymskich imperatorów, zawsze widać wyraźną skłonność do zezę. Kiedy Mikey nie ma akurat ataku, siedzi na ziemi na szczycie uliczki i czyta książki, które ojciec przynosi mu z biblioteki Carnegie. Jego matka powtarza:

– Książki, książki, książki, tylko rujnuje sobie oczy, trzeba by mu zrobić operację, żeby naprostować oczy, ale kto za to zapłaci?

Powiedziała kiedyś, że jeśli dalej będzie tak wyteżał wzrok, to oczy mu się zleją w jedno pośrodku głowy. Od tej pory ojciec nazywa go Cyklop, od takiego jednego z greckiej historyjki.

Nora Molloy zna moją mamę z kolejek w Stowarzyszeniu Świętego Wincentego. Mówi, że Mikey ma więcej rozumu niż dwunastu chłopów opróżniających kufelki w pubie. Zna imiona wszystkich papieży, od świętego Piotra do Piusa XI. Ma dopiero jedenaście lat, ale jest mężczyzną, prawdziwym mężczyzną. Ileż to razy ocalił rodziną przed śmiercią głodową! Pożycza wózek ręczny od Aidana Farrella, puka do drzwi w całym Limerick z pytaniem, czy

komuś nie trzeba dostarczyć węgla albo torfu, a potem taszczy z Dock Road wielkie stukilogramowe albo cięższe worki. Załatwia różne sprawy starym ludziom, którzy nie mogą chodzić, nawet jeśli nie mają pensa na zapłatę, wystarczy, że się za niego pomodlą.

Jeśli zarobi trochę pieniędzy, wszystko oddaje matce, która uwielbia swojego Mikeya. Jest całym jej światem, krwią jej serca, pulsem w żyłach; gdyby kiedykolwiek coś mu się stało, mogliby ją zamknąć w szpitalu wariatów i wyrzucić klucz.

Ojciec Mikeya, Peter, to prawdziwy mistrz. Wygrywa zakłady w pubach, bo wypija najwięcej kufli. Wystarczy, że pójdzie do kibla, wetknie palec w gardło, wyprowadzi wszystko i może zaczynać następną kolejkę. Peter jest takim mistrzem, że może stanąć w kiblu i zrzucić bez użycia palca. Jest takim mistrzem, że mogliby mu nawet poucinać palce, a on i tak dałby sobie radę. Wygrywa pieniądze, ale nie przynosi ich do domu. Czasami tak jak mój ojciec przepija nawet zasiłek, dlatego właśnie Norę Molloy często odwożą do czubków, oszalała ze zmartwienia z powodu głodującej rodziny. Wie, że w szpitalu dla wariatów jest bezpieczna, z dala od świata i jego udręk, nic nie może zrobić, znajduje się pod ochroną, więc nawet martwienie się nie pomoże. Powszechnie wiadomo, że wszystkich trzeba siłą zaciągać do szpitala wariatów, ale Nora jest jedyną, którą trzeba siłą wyciągać z powrotem do piątki dzieci i mistrza wszystkich miłośników kufla.

Kiedy Nora jest gotowa iść do szpitala, można poznać po tym, że jej dzieci biegają pobielone mąką od stóp do głów. Zdarza się to, gdy Peter przepija zasiłek, a ona popada w rozpacz, ale wie, że zjawią się mężczyźni, żeby ją zabrać. Ogarnia ją wtedy histeria pieczenia. Chce mieć pewność, że podczas jej nieobecności dzieci nie umrą z głodu, więc w całym Limerick zebrze o mąkę. Idzie do księży, do zakonnic, do protestantów, do kwakrów. Idzie do młyna Ranka i błaga o zmiotki z podłogi. Piecze dzień i noc. Peter nalega, żeby przestała, a wówczas ona krzyczy:

– Takie są skutki przepijania zasiłku!

Peter tłumaczy, że przecież chleb zrobi się czerstwy. Ale mówienie do niej mija się z celem. Piec, piec, piec! Gdyby miała pieniądze, zużyłaby całą mąkę z Limerick i okolicy. Gdyby nie przyszli po nią ze szpitala wariatów, piekłaby tak długo, aż padłaby ze zmęczenia.

Dzieci opychają się taką ilością chleba, że według ludzi z naszej uliczki wyglądają jak bochenki. Ale chleb czerstwieje, a Mikey tak się martwi tym marnotrawstwem, że prosi o radę bogatej kobiety, która ma książkę kucharską; ona mówi, żeby zrobił pudding chlebowy. Gotuje więc twardy chleb w wodzie z kwaśnym mlekiem, wrzuca do tego filiżankę cukru. Jego bracia uwielbiają ten pudding, nawet jeśli nie jedzą nic innego przez całe dwa tygodnie, kiedy matka przebywa w szpitalu wariatów.

– Czy zabierają ją dlatego, że oszalała od pieczenia chleba, czy szaleje z pieczeniem chleba dlatego, że ją zabierają? – dopytuje się mój ojciec.

Nora wraca do domu tak spokojna jak po wakacjach nad morzem. Zawsze pyta, gdzie Mikey, czy żyje. Martwi się o niego, ponieważ nie jest prawdziwym katolikiem i gdyby dostał ataku i umarł, to nie wiadomo, gdzie mógłby wylądować w następnym życiu. A nie jest prawdziwym katolikiem, bo nigdy nie przyjął pierwszej komunii, jako że położenie mu czegoś na języku mogłoby spowodować atak i śmierć przez zadławienie. Nauczyciel próbował wiele razy z kawałkami gazety „Limerick Leader”, ale Mikey ciągle je wypluwał, aż nauczyciel wpadł w straszne nerwy, wysłał Mikeya do księdza, który napisał do biskupa, a ten z kolei odpisał: „Nie zwracajcie mi głowy, sami to załatwcie”. Nauczyciel posłał kartkę do domu, żeby Michael ćwiczył z ojcem lub z matką przyjmowanie komunii, ale i oni nie mogli go skłonić do przełknięcia kawałka „Limerick Leader” w kształcie opłatka. Próbowali nawet chleba w kształcie opłatka, posmarowanego dżemem, ale i to na nic się zdało. Wreszcie ksiądz powiedział, żeby pani Molloy się nie martwiła. Bóg sprawia cuda w sposób tajemniczy i niezbadany, na pewno więc ma jakieś specjalne przeznaczenie dla Mikeya, razem z jego atakami.

– Czy to nie dziwne, że może łykać różne cukierki i ciastka, a jak ma łyknąć ciało naszego Pana, dostaje ataku? Czy to czegoś nie oznacza? – zastanawia się pani Molloy.

Martwi się, że Mikey może dostać ataku, umrzeć i pójść do piekła, jeśli ma na duszy jakikolwiek grzech, chociaż wszyscy wiedzą, że to anioł z nieba. Mikey jej tłumaczy, że Bóg nie obdarza atakami drgawek po to, żeby później na domiar wszystkiego zesłać tego kogoś do piekła. Bo jaki Bóg mógłby zrobić coś takiego?

– Jesteś tego pewny, Mikey?

– Tak. Czytałem o tym w książce.

Siedzi pod latarnią na szczycie uliczki i śmieje się z dnia swojej pierwszej komunii, który był zupełnie idiotyczny. Nie przełknął opłatka, ale czy powstrzymało to matkę od pokazywania go w całym Limerick w czarnym garniturku, czy powstrzymało ją od przeprowadzenia zbiórki?

– Przecież nie kłamię, wcale nie kłamię. Mówię tylko sąsiadom: proszę, oto Mikey w garniturku od pierwszej komunii. Nic więcej, tylko: proszę, oto Mikey. A jeśli oni myślą, że przełknąłeś pierwszą komunię, to jakie mam prawo zaprzeczać i sprawiać im zawód? – tłumaczyła mama Mikeya.

– Nie martw się, Cyklop – powiedział ojciec Mikeya. – Masz mnóstwo czasu. Jezus stał się prawdziwym katolikiem dopiero wtedy, kiedy jadł chleb i pił wodę podczas ostatniej wieczerzy, a miał wtedy trzydzieści trzy lata.

– Przestań nazywać go Cyklopem – wtrąciła Nora Molloy. – Ma dwoje oczu i nie jest Grekiem.

Ale ojciec Mikeya, mistrz wszystkich miłośników kufla, jest taki jak mój wujek Pa Keating, tyle go obchodzi opinia całego świata co pierdnięcie jakiegoś skrzyпка. Też chciałbym być taki.

Mikey mówi, że najlepsza rzecz związana z pierwszą komunią to zbiórka. Matka musi jakoś zdobyć nowy garnitur, żeby cię pokazać i popisać się przed sąsiadami i rodziną, a oni dają cukierki i pieniądze. I potem można iść do kina Lyric i zobaczyć Charlie Chaplina.

– Albo Jamesa Cagneya?

– Mniejsza o Jamesa Cagneya. Mnóstwo gadania. Liczy się tylko Charlie Chaplin. Ale na zbiórkę trzeba iść z mamą. Dorośli z Limerick nie dadzą pieniędzy żadnemu Tomowi, Dickowi czy Mickowi w garniturze od pierwszej komunii, jeśli nie stoi obok niego matka.

W dniu pierwszej komunii Mikey dostał ponad pięć szylingów, najadł się tyle cukierków i ciastek, że zwymiotował w kinie Lyric i bileter Frank Goggin wyrzucił go z sali. Mikey twierdzi, że wcale się tym nie przejął, bo miał jeszcze pieniądze, i tego samego dnia poszedł do kina Savoy na film o piratach, zjadł czekoladę Cadbury i opił się tyle lemoniady, aż brzuch mu sterczał. Nie może się doczekać dnia bierzmowania, bo wtedy jest się starszym. I też jest zbiórka, która przynosi znacznie więcej niż przy pierwszej komunii. Do końca życia będzie chodził do kina, będzie siadał przy dziewczynach z ubogich uliczek i fachowo robił z nimi świństwa. Kocha swoją matkę, ale sam nigdy się nie ożeni z obawy, żeby przypadkiem nie trafiła mu się żona, którą ciągle biorą do domu wariatów. Zresztą po co się żenić, skoro można siedzieć w kinie i robić świństwa z dziewczynami z uliczek, którym to wcale nie przeszkadza, bo i tak robiły to już ze swoimi braćmi. Jak się człowiek nie ożeni, to nie ma w domu żadnych dzieciaków wrzeszczących o herbatę i chleb, duszących się w ataku drgawek, patrzących zezem we wszystkie strony. Kiedy będzie starszy, będzie chodził do pubu tak jak jego ojciec, będzie wypijał masę kufla i wsadzał palec do gardła, żeby je z powrotem wyprowadzić, będzie pił następne i wygrywał zakłady, a pieniądze przyniesie matce, żeby ją ustrzec przed szaleństwem. Mówi, że nie jest prawdziwym katolikiem, a to oznacza, że i tak jest potępiony, więc może robić wszystko, na co tylko ma cholerną ochotę.

– Frankie, powiem ci więcej, jak dorośniesz. Teraz jesteś za mały, nawet nie odróżniasz tyłka od kolana.

Nauczyciel, pan Benson, jest bardzo stary. Codziennie ryczy i pluje na nas. Chłopcy z pierwszej ławki mają nadzieję, że nie cierpi na żadne choroby, bo przecież ślina przenosi wszystkie zarazy i on może rozsiewać suchoty na prawo i na lewo. Mówi nam, że musimy znać katechizm od początku, od końca i od środka, na wrywki i na wszystkie strony. Musimy umieć dziesięć przykazań, siedem uczynków miłosiernych co do duszy i co do ciała, siedem sakramentów i siedem grzechów głównych. Musimy umieć na pamięć wszystkie modlitwy: Zdrowaś Mario, Ojcze Nasz, Confíteor, Skład Apostolski, Akt Skruchy, Litanię do Matki Boskiej. Musimy umieć to po irlandzku i po angielsku, a jeśli zapomnimy jakieś irlandzkie słowo i zastąpimy je angielskim, wpada we wściekłość i rzuca się na nas z kijem. Gdyby to od niego zależało, uczylibyśmy się naszej religii po łacinie, w języku świętych, którzy bezpośrednio obcowali z Bogiem i Jego Najświętszą Matką, w języku pierwszych chrześcijan, którzy tłoczyli się w katakumbach i wychodzili, by zginąć od miecza lub tortury, którzy oddawali ducha w spienionych pyskach wygłodzonych lwów. Irlandzki to język patriotów, angielski – zdrajców i donosicieli, ale dzięki łacinie zdobywamy wstęp do nieba. To właśnie po łacinie modlili się męczennicy, kiedy barbarzyńcy zrywali im paznokcie i obdzierali ich ze skóry, cal po calu. Oświadcza nam, że przynosimy wstyd Irlandii i jej długiej, smutnej historii, że lepiej czulibyśmy się w Afryce, modląc się do jakiegoś krzaka czy drzewa. Twierdzi, że jesteśmy beznadziejni, najgorsza klasa, jaką kiedykolwiek przygotowywał do pierwszej komunii, ale tak pewne jak to, że Bóg stworzył małe jabłuszka, jest i to, że on zrobi z nas katolików, wybiję z nas lenistwo, a wtłoczy nam łaskę uświęcającą.

Brendan Quigley podnosi rękę. Nazywamy go Pytajnik Quigley, bo zawsze o coś pyta. Już taki jest.

– Proszę pana, co to jest łaska uświęcająca?

Nauczyciel wznosi oczy do nieba. Chyba zabije Quigleya.

Ale nie, tylko warczy na niego.

– Quigley, nieważne, co to jest łaska uświęcająca. To nie twoja sprawa. Jesteś tu po to, żeby się nauczyć katechizmu i robić to, co ci się każe. Nie po to, żeby pytać. Zbyt dużo kręci się po świecie ludzi zadających pytania i dlatego właśnie jesteśmy w takim położeniu. Jeśli znajdzie się w klasie chłopiec, który będzie ciągle o coś pytał, to nie odpowiadam za siebie. Słyszysz mnie, Quigley?

– Tak.

– Co, tak?

– Tak, proszę pana.

– Są w tej klasie chłopcy – ciągnie nauczyciel – którzy nigdy nie poznają łaski uświęcającej. A dlaczego? Z powodu zachłanności. Słyszałem, jak na szkolnym boisku rozmawiają o dniu pierwszej komunii, o najszczęśliwszym dniu w życiu. Ale czy rozmawiają o przyjęciu ciała i krwi naszego Pana? Nic podobnego. Ci mali chytrusi mówią o pieniądzach, o zbiórce. W swoich nowych garniturkach będą chodzili od domu do domu jak żebracy. A czy wyślą chociaż część tych pieniędzy dla czarnych dzieci w Afryce? Czy w ogóle pomyślą o tych małych poganach, potępionych na zawsze z braku chrztu i znajomości prawdziwej wiary? O tych małych czarnych dzieciach, którym nie dane było poznać mistycznego ciała Chrystusa? Otchłań pełna jest małych czarnych dzieci, które fruwać wkoło, przyzywając swoje matki, ponieważ nigdy nie zostaną dopuszczone do niewysłowionej obecności naszego Pana i do chwalebego towarzystwa świętych, męczenników i dziewic. O nie! nasi chłopcy po pierwszej komunii natychmiast idą do kina tarzać się w brudzie rozprzestrzenianym na cały świat przez giermków diabła z Hollywoodu. Czy nie tak, McCourt?

– Tak, proszę pana.

Pytajnik Quigley znowu podnosi rękę. Wszyscy w klasie zastanawiają się, czy dąży do samobójstwa.

– Co to giermkowie, proszę pana?

Twarz nauczyciela robi się biała, potem czerwona. Zaciska wargi, otwiera je i wszędzie fruwa ślina. Podchodzi do Pytajnika i wywleka go z ławki. Chrząka i jąka się, a ślina lata po całej klasie. Tłucze Quigleya po plecach, po tyłku, po nogach. Łapie go za kołnierz i wyciąga na środek klasy.

– Popatrzcie na tego typka! – ryczy.

Pytajnik cały drży i płacze.

– Bardzo przepraszam, proszę pana.

– Przepraszam pana. Za co przepraszasz? – przedrzeźnia go nauczyciel.

– Przepraszam pana, że zadałem to pytanie. Już nigdy nie będę o nic pytał.

– A jeśli jeszcze raz tak się zachowasz, zapragniesz, żeby Bóg wziął cię na swoje łono.

Czego zapragniesz, Quigley?

– Żeby Bóg wziął mnie na swoje łono, proszę pana.

– Wracaj na miejsce, ty szelmo, ty tchórze, ty przybyszu z najciemniejszego kąta bagien.

Nauczyciel siada, kładzie kij na biurku przed sobą. Każe Pytajnikowi uspokoić się i zachowywać po męsku.

– Jeżeli jeszcze raz jakiś chłopiec z tej klasy zada głupie pytanie albo jeśli jeszcze raz ktoś będzie rozmawiał o zbiórce, dostanie takie baty, że się zaleje krwią. Chłopcy, co dostanie taki uczeń?

– Baty, proszę pana.

– Aż co się stanie?

– Aż się zaleje krwią, proszę pana.

– A teraz, Clohessy, jakie jest szóste przykazanie?

– Nie cudzołóż.

– Nie cudzołóż i co?

– Nie cudzołóż, panie profesorze.

– Clohessy, a co to jest cudzołóstwo?

– Nieczyste myśli, nieczyste słowa, nieczyste uczynki, proszę pana.

Paddy Clohessy nie ma butów, matka goli mu głowę do skóry, żeby nie dostał wszy; ma czerwone oczy i zawsze zasmarkany nos. Rany na kolanach nigdy mu się nie goją, bo zdiera strupy i wkłada do ust. Ubrany jest w szmaty, które musi dzielić z szóstką braci i z siostrą, a kiedy przychodzi do szkoły z zakrwawionym nosem czy podbitym okiem, wiadomo, że rano stoczył walkę o ubranie. Nienawidzi szkoły. Ma już prawie osiem lat, jest największy i najstarszy w klasie, nie może się doczekać, kiedy skończy czternaście lat, wtedy ucieknie, uda, że ma siedemnaście, zaciągnie się do angielskiej armii i pojedzie do Indii, gdzie jest ciepło i przyjemnie; zamieszka w namiocie z ciemnoskórą dziewczyną z czerwoną kropką na czole, będzie tam leżał i zjadał figi – bo w Indiach jedzą właśnie figi – a ona będzie dzień i noc gotowała curry i brzdąkała na ukulele. A gdy zdobędzie dosyć pieniędzy, sprowadzi resztę rodziny i wszyscy zamieszkają w namiocie, zwłaszcza jego nieszczęsny ojciec, który wykaszkuje w domu wielkie skrzepy krwi z powodu suchot. Kiedy moja mama spotyka na ulicy Paddy'ego, mówi:

– Popatrz na to biedne dziecko. Szkielet w łachmanach. Gdyby robili film o głodzie, na pewno dostałby główną rolę.

Myślę, że Paddy mnie lubi z powodu rodzyńka, ale czuję się trochę winny, bo wcale nie byłem od razu taki hojny. Nauczyciel, pan Benson, powiedział, że rząd da nam bezpłatne śniadania, żebyśmy nie musieli wracać do domu w lodowaty ziąb. Poprowadził nas na dół do zimnego pomieszczenia w kazamatach Leamy's School, gdzie sprzątaczką Nellie Aheam wydawała po ćwierć litra mleka i bułkę z rodzyńkami. Mleko zamarzło w butelkach, więc musieliśmy je rozmrażać między udami. Chłopcy śmiali się, że od mleka zamarzną nam ptaszki, a nauczyciel ryknął:

– Jeszcze słowo, a na głowach wam podmrażam te butelki!

Wszyscy szukaliśmy rodzynek w bułkach z rodzynekami, ale Nellie powiedziała, że musieli zapomnieć je włożyć. Dowie się od człowieka, który je przywozi. Potem codziennie szukaliśmy, aż któregoś dnia ja znalazłem w swojej bułce rodzynek i podniosłem go do góry. Chłopcy zaczęli się buntować, że też chcą rodzynek, a Nellie wyjaśniła, że to nie jej wina. Jeszcze raz spyta tego człowieka. Teraz chłopcy zaczęli mnie błagać o rodzynek, proponowali mi wszystko – część swojego mleka, ołówki, komiks. Toby Mackey powiedział, że mogę mieć jego siostrę. Pan Benson to usłyszał, wyprowadził go do holu i tak go tłukł, aż Toby zaczął wrzeszczeć. Chciałem rodzynek zachować dla siebie, ale zobaczyłem Paddy’ego Clohessy’ego, który stał w kącie na bosaka, w pomieszczeniu było lodowato zimno, trząsał się jak skopany pies – a mnie zawsze było żal kopanych psów – więc podszedłem i dałem Paddy’emu rodzynek, bo nie bardzo wiedziałem, co zrobić. Wszyscy chłopcy wrzeszczeli, że jestem durniem i cholernym idiotą i że jeszcze tego pożałuję; kiedy już dałem Paddy’emu rodzynek, bardzo tego pożałowałem, lecz było za późno, bo on od razu włożył go do ust, połknął, popatrzył na mnie i nic nie powiedział; a ja pomyślałem sobie, jakim jestem idiotą, żeby oddawać rodzynek.

Pan Benson popatrzył na mnie, ale też nic nie powiedział, a Nellie Aheam oznajmiła:

– Frankie, jesteś wspaniałym jankesem.

Niedługo ma przyjść ksiądz, przeegzaminować nas z katechizmu i wszystkiego innego. Sam nauczyciel ma nam pokazać, jak przyjmować komunię świętą. Każe nam skupić się wokoło. Napełnia swoją czapkę drobno porwanymi kartkami „Limerick Leader”. Daje czapkę Paddy’emu Clohessy’emu, sam klęka na podłodze, każe Paddy’emu wyjąć z czapki jeden paperek i położyć mu na języku. Pokazuje nam, jak należy wysunąć język, przyjąc kawałek papieru, potrzymać go przez chwilę, wciągnąć język, złożyć ręce do modlitwy, spojrzeć w niebo, zaniknąć oczy na znak adoracji, poczekać, aż papier rozpułynie się w ustach, połknąć, podziękować Bogu za dar, za łaskę uświęcającą w aurze świętości. Kiedy nauczyciel wysuwa język, musimy jakoś zapanować nad śmiechem, bo nigdy jeszcze nie widzieliśmy tak wielkiego, fioletowego języka. Otwiera oczy, żeby przyłapać tych, co chichoczą, ale nie może nic powiedzieć, bo ciągle ma na języku Boga i to jest podniosły moment. Wstaje z klęczek, każe nam uklęknąć pod ścianami, żeby przeciwyczyć komunię świętą. Chodzi wokół klasy, kładzie nam na językach kawałki gazety i mamrocze po łacinie. Niektórzy chłopcy chichoczą, więc wrzeszczy, że jak się nie uspokoją, to zamiast pierwszej komunii dostaną oleje.

– McCourt, jak się nazywa ten sakrament?

– Ostatnie namaszczenie, proszę pana.

– Tak jest. Nie najgorzej, jak na jankesa z grzesznych wybrzeży Ameryki.

Uprzedza nas, że musimy wyciągnąć języki dość daleko, żeby opłatek komunijny nie upadł na podłogę.

– To najgorsza rzecz, jaka może przydarzyć się księdzu. Jeśli opłatek ześlizgnie się wam z języka, nieszczęsny ksiądz będzie musiał klęknąć na oba kolana, podnieść go językiem i jeszcze wylizać dokoła podłogę na wypadek, gdyby opłatek zdążył zmienić miejsce. W ten sposób ksiądz może sobie wbić drzazgę, język mu spuchnie tak, że zrobi się jak rzepa, a to wystarczy, żeby się udławić na śmierć.

Mówi, że po relikwiach Prawdziwego Krzyża opłatek komunijny jest najświętszą rzeczą na świecie, a przyjęcie pierwszej komunii to najświętszy moment w naszym życiu. Mówienie o pierwszej komunii bardzo podnieca nauczyciela. Chodzi w tę i z powrotem, wymachuje kijem, przypomina nam, że w chwili gdy komunია święta znajdzie się na naszym języku, staniemy się członkami najwspanialszej kongregacji, jedynej świętej rzymskokatolickiego apostołskiego Kościoła, że przez dwa tysiące lat mężczyźni, kobiety i dzieci umierali za wiarę, a jeśli chodzi o męczeństwo, to Irlandczycy nie mają się czego wstydić. Czyż nie

dostarczyliśmy całego mnóstwa męczenników? Czyż nie obnażaliśmy szyj pod protestancki topór? Czyż nie wchodziliśmy na szafot z pieśnią na ustach jakby na majówkę? Chłopcy, czy taka jest prawda?

- Tak, proszę pana.
- Co robiliśmy?
- Obnażaliśmy szyje pod protestancki topór, proszę pana.
- I co jeszcze?
- Wchodziliśmy na szafot ze śpiewem na ustach, proszę pana.
- Jakby na co?
- Jakby na majówkę, proszę pana.

Nauczyciel mówi, że może w naszej klasie też jest przyszły ksiądz albo męczennik za wiarę, chociaż bardzo w to wątpi, bo jesteśmy najbardziej leniwą bandą nieuków, z jaką kiedykolwiek miał nieszczęście pracować.

– Ale niezbadane są kroki boże i na pewno Bóg miał jakiś cci, skoro zesłał takich jak wy, żebyście zatruwali ziemię. Bóg z pewnością nie bez powodu zesłał pomiędzy nas Clohessy’ego bez butów, Quigleya z tymi jego przekłętymi pytaniami i McCourta obciążonego grzechami Ameryki. Pamiętajcie, chłopcy, że Bóg nie zesłał swojego jedyne go Syna, by umarł na krzyżu po to, żebyście w dniu pierwszej komunii chodzili z wyciągniętymi łapami na zbiórkę. Nasz Pan umarł, żebyście mogli dostąpić zbawienia. Wystarczy otrzymanie daru wiary. Słuchacie mnie?

- Tak, proszę pana.
- Więc co wystarczy?
- Dar wiary, proszę pana.
- Dobrze, możecie iść do domu.

Wieczorem siedzimy we trzech pod latarnią na szczycie uliczki i czytamy. Mikey, Malachy i ja. U Molloyów jest tak jak u nas: ojciec przepija zasiłek albo wypłatę i nie ma pieniędzy na świece czy olej parafinowy do lampy. Mikey czyta książki, a my komiksy. Peter, jego ojciec, przynosi książki z biblioteki Carnegie, żeby miał co robić, kiedy nie wychyla kufli albo kiedy zajmuje się rodziną, jak pani Molloy jest w szpitalu wariatów. Mikey może czytać wszystko, co chce, i teraz czyta właśnie o Cuchulainie i mówi tak, jakby wszystko o nim wiedział. Chcę się pochwalić, że ja wiedziałem wszystko o Cuchulainie, zanim skończyłem cztery lata, że widziałem Cuchulaina w Dublinie, że Cuchulain chętnie zjawia się w moich snach. Chcę mu powiedzieć, żeby przestał mówić o Cuchulainie, bo Cuchulain jest mój, był mój już wiele lat temu, kiedy byłem mały. Ale nie mogę tego zrobić, bo Mikey czyta nam historię, której jeszcze nie słyszałem, świńską historię o Cuchulainie; nigdy nie będę mógł powtórzyć mamie ani ojcu historii o tym, jak Emer została żoną Cuchulaina.

Cuchulain był już starym, dwudziestoletnim mężczyzną. Był samotny i chciał się ożenić, przez to zrobił się słaby, jak mówi Mikey, przez to w końcu został zabity. Wszystkie kobiety w Irlandii szalały za Cuchulainem i chciały za niego wyjść. On oświadczył, że to byłoby wspaniale, nie miałby nic przeciwko temu, żeby poślubić wszystkie kobiety w Irlandii. Skoro mógł walczyć ze wszystkimi mężczyznami w Irlandii, dlaczego nie miałby poślubić wszystkich kobiet? Ale na to król, Conor MacNessa, rzekł: „Dla ciebie to dobrze, Ku, ale mężczyźni Irlandii nie chcą się czuć samotni w głębinach nocy”. I król postanowił, że muszą się odbyć zawody, których wynik zdecyduje, kto może poślubić Cuchulaina. I miały to być zawody w sikaniu. Wszystkie kobiety Irlandii zebrały się na równinach Muirthemne, żeby się przekonać, która potrafi sikać najdłużej. Wygrała Emer. Okazała się mistrzynią kobiet Irlandii w sikaniu i poślubiła Cuchulaina, i dlatego do tej pory nazywana jest Emer o Wielkim Pęcherzu.

Mikey i Malachy śmieją się z tej historii, choć moim zdaniem Malachy niewiele z niej rozumie. Jest jeszcze mały, daleko mu do pierwszej komunii i śmieszy go po prostu słowo: sikanie. Ale po chwili Mikey mówi, że ja popełniłem grzech, słuchając tej historii, i kiedy pójdę do pierwszej spowiedzi, muszę to wyznać księdzu.

– To prawda – potwierdza Malachy. – Sikanie to brzydkie słowo i musisz powiedzieć księdzu, bo to grzeszne słowo.

Nie wiem, co robić. Jak mogę powiedzieć księdzu coś tak strasznego podczas mojej pierwszej spowiedzi? Wszyscy chłopcy wiedzą, jakie grzechy będą wyznawać, żeby dostać pierwszą komunię i przeprowadzić zbiórkę, a potem obejrzyć Jamesa Cagneya i objadać się cukierkami i ciastkami w kinie Lyric. Nauczyciel pomógł nam z grzechami i wszyscy mamy takie same: Uderzyłem brata. Skłamałem. Ukradłem pensa z portmonetki mamy. Nie posłuchałem rodziców. Jadłem kielbasę w piątek.

A teraz mam grzech, którego nie ma nikt inny. Książdz będzie wstrząśnięty, wywlecze mnie z konfesjonału do nawy i wyrzuci na ulicę, a wszyscy będą wiedzieli, że słuchałem historii o żonie Cuchulaina, która była mistrzynią kobiet całej Irlandii w sikaniu. I już nie będą mógł przystąpić do pierwszej komunii, matki będą mnie pokazywały małym dzieciom: „Popatrzcie na niego. Tak jak Mikey Molloy nigdy nie przystąpił do pierwszej komunii, trwa w stanie grzechu, nie przeprowadził żadnej zbiórki i wcale nie widział Jamesa Cagneya”.

Żałują, że w ogóle kiedykolwiek usłyszałem o pierwszej komunii i zbiórce. Jestem chory, nie chcę żadnej herbaty, chleba ani niczego. Mama mówi, że to bardzo dziwne, kiedy dziecko nie chce ani chleba, ani herbaty, a tata tłumaczy, że to po prostu nerwy przed pierwszą komunią. Chciałbym podejść do niego, usiąść mu na kolanach i wyznać, co mi zrobił Mikey Molloy, ale jestem za duży, żeby siadać na kolanach; gdybym to zrobił, Malachy powiedziała by na naszej uliczce, że jestem wielki dzidzius. Chciałbym zwierzyć się z moich kłopotów aniołowi z siódmego stopnia, ale on jest zajęty zanoszeniem dzieci matkom na całym świecie. Jednak zapytam taty.

– Tato, czy anioł z siódmego stopnia robi coś jeszcze prócz noszenia dzieci?

– Tak.

– A czy mógłby powiedzieć, co trzeba zrobić, jak ktoś tego nie wie?

– Oczywiście, synu. To jest praca anioła, nawet tego z siódmego stopnia.

Tata idzie na długi spacer, mama zabiera Michaela do babci, Malachy bawi się na dworze, więc mam dom dla siebie i mogę usiąść na siódmym stopniu i porozmawiać z aniołem. Wiem, że tu jest, bo siódmy stopień wydaje się cieplejszy od reszty schodów, a w głowie czują jasność. Opowiadam mu o swoich zmartwieniach i słyszę głos, który mówi: „Obaw nie miej”.

Ale mówi jakby od końca do początku, więc mu tłumaczę, że nie bardzo rozumiem.

„Nie obawiaj się – mówi głos. – Wyznaj księdzu grzech, a będzie ci wybaczone”.

Następnego ranka wstaję wcześniej, piję herbatę z tatą i opowiadam mu o aniele z siódmego stopnia. Tata kładzie mi rękę na czoło, żeby sprawdzić, czy dobrze się czuję. Pyta, czy na pewno miałem w głowie jasność i słyszałem głos, i co ten głos powiedział.

Mówię mu, że głos powiedział: obaw nie miej, co oznacza: nie bój się.

Zdaniem taty anioł ma rację, nie powinienem się bać. Mówię tacie, co mi zrobił Mikey Molloy. Opowiadam mu wszystko o Emer o Wielkim Pęcherzu, powtarzam nawet słowo: sikać, bo anioł powiedział, że bym się nie bał. Tata odstawia słoik z herbatą i głaszcze mnie po ręku. Mówi: „och, och”, a ja się zastanawiam, czy wpada w szaleństwo jak pani Molloy, co to stale wraca do szpitala wariatów. Ale tata pyta:

– I tym się tak martwiłeś wczoraj wieczorem?

Przytakuję, a tata tłumaczy, że to wcale nie grzech i nie muszę wyznawać tego księdzu.

– Jednak anioł z siódmego stopnia powiedział, że powinienem.

– No dobrze. Powiedz księdzu, jeśli chcesz, ale anioł z siódmego stopnia mówił tak tylko dlatego, że nie zapytałeś najpierw mnie. Czy nie lepiej powiedzieć o swoich zmartwieniach tacie, a nie aniołowi, który jest jasnością i głosem w twojej głowie?

– Lepiej, tato.

Dzień przed pierwszą komunią nauczyciel prowadzi nas do kościoła Świętego Józefa do pierwszej spowiedzi. Idziemy parami, nauczyciel grozi, że jeśli któryś z nas tylko otworzy usta, to pozabija nas na miejscu i wyśle do piekła obciążonych grzechami. Nie przeszkadza nam to w przechwalaniu się naszymi ciężkimi grzechami. Willie Harold szepcze o wielkim grzechu, bo przyglądał się swojej rozebranej siostrze. Paddy Hartigan mówi, że ukradł dziesięć szylingów z portmonetki ciotki, a potem rozchorował się od lodów i frytek. Pytajnik Quigley twierdzi, że uciekł z domu i spędził połowę nocy w rowie z czterema kozami. Próbuję im powiedzieć o Cuchulainie i Emer, ale nauczyciel zauważa, że coś mówię, i daje mi kuksańca w głowę.

Kłękamy w ławkach koło konfesjonału, zastanawiam się, czy mój grzech związany z Emer jest równie ciężki jak oglądanie nagiego ciała siostry, bo teraz już wiem, że są na świecie rzeczy gorsze od innych. Dlatego właśnie są rozmaite grzechy: świętokradztwo, grzech śmiertelny, grzech powszedni. A poza tym nauczyciele i dorośli ciągle mówią o niewybaczalnym grzechu, który jest wielką tajemnicą. Nikt nie wie, co to jest, i zastanawiam się, skąd można wiedzieć, że się popełniło taki grzech, skoro nie wiadomo, na czym on polega. Jeśli powiem księdzu o Emer o Wielkim Pęcherzu i o zawodach w sikaniu, on może uznać, że to niewybaczalny grzech, wyrzuci mnie z konfesjonału, będę zhańbiony w całym Limerick i skazany na piekło, gdzie przez wieczność dręczyć mnie będą diabły, zajęte jedynie kluciem widłami, aż mnie zupełnie wykończą.

Próbuję podsłuchiwać spowiedź Williego, kiedy wchodzi do konfesjonału, ale słyszę tylko syki księdza, a potem Willie wychodzi zapłakany.

Teraz moja kolej. W konfesjonale jest ciemno, a nad moją głowę wisi wielki krucyfiks. Słyszę, jak z drugiej strony jakiś chłopiec mamrocze swoją spowiedź. Zastanawiam się, czy jest sens próbować rozmowy z aniołem z siódmego stopnia. Wiem, że anioł nie powinien kręcić się wokół konfesjonałów, ale czuję jasność w głowie, a jakiś głos mi powtarza, że bym się nie bał.

Przed moją twarzą odsuwa się klapka i ksiądz zachęca:

– Słucham, moje dziecko?

– Pobłogosław mi, ojczu, bo zgrzeszyłem. To moja pierwsza spowiedź.

– A jakie grzechy popełniłeś, moje dziecko? – Skłamałem. Uderzyłem brata. Wziąłem pensa z portmonetki mamy. Powiedziałem przekleństwo.

– Coś jeszcze?

– Ja... ja służyłem historii o Cuchulainie i Emer.

– Moje dziecko, to na pewno nie jest grzech. W końcu niektórzy pisarze zapewniają nas, że Cuchulain w ostatniej chwili nawrócił się na katolicyzm, podobnie jak jego król, Conor MacNessa.

– Ojczu, ale to było o Emer i o tym, jak za niego wyszła.

– I co tam było, moje dziecko?

– Zdobyła go w konkursie sikania.

Słyszę ciężki oddech. Ksiądz zakrywa ręką usta, wydaje takie dźwięki, jakby się krztusił, i mówi do siebie: o Matko Boska.

– Dziecko, kto ci opowiedział tę historię?

– Mikey Molloy, ojczu.

– A gdzie on ją usłyszał?

– Przeczytał w książce.

– A, w książce. Książki mogą być niebezpieczne dla dzieci. Zapomnij o tych głupich historyjkach i pomyśl o życiu świętych. Pomyśl o świętym Józefie, o Małym Kwiatku, słodkim i łagodnym świętym Franciszku z Asyżu, który kochał ptaszki i zwierzęta. Zrobisz to, moje dziecko?

– Tak, ojcze.

– Masz jeszcze jakieś grzechy?

– Nie, ojcze.

– Jako pokutę odmówisz trzy zdrowaśki, trzy Ojcze Nasz i specjalną modlitwę na moją intencję.

– Tak, ojcze. Czy to był najgorszy grzech?

– Co masz na myśli?

– Ojcze, czy jestem najgorszy ze wszystkich chłopców?

– Nie, dziecko, masz do tego jeszcze długą drogę. A teraz odmów akt skruchy i pamiętaj, że Pan patrzy na ciebie przez cały czas. Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko.

Dzień pierwszej komunii jest najszczęśliwszym dniem w życiu z powodu zbiórki, Jamesa Cagneya i kina Lyric. Poprzedniego wieczoru byłem tak podekscytowany, że zasnąłem dopiero o świcie. I nadal bym spał, gdyby nie przyszła babcia i nie zaczęła tłuc w drzwi.

– Wstawać! Wstawać! Wyciągnijcie tego dzieciaka z łóżka! Najszczęśliwszy dzień jego życia, a on chrapie w najlepsze!

Pobiegłem do kuchni.

– Ściągaj koszulę – poleciła babcia.

Zdjąłem koszulę, a babcia wepchnęła mnie do miski z lodowatą wodą. Szorowała mnie mama, szorowała babcia. Byłem jak oskrobany, cały czerwony.

Wytarły mnie. Włożyły mi czarne aksamitne ubranko do pierwszej komunii, białą koszulę z falbankami, krótkie spodenki, białe pończochy, czarne lakierki. Na rękawie zawiązały białą satynową kokardę, a do klapy przypięły obrazek Najświętszego Serca Jezusa, z którego kapą krew, wokół wybuchały płomienie, a wszystko zdobiła nieprzyjemna korona z cierni.

– Stój spokojnie, dopóki cię nie uczeszę! – karci babcia. – Popatrz tylko, co za strzecha, nie da się wcale przygłodzić. Nie odziedziczyłeś takich włosów po naszej rodzinie. To włosy z Irlandii Północnej, masz je po ojcu. Takie włosy mają prezbiterianie. Gdyby twoja matka wyszła za porządnego, normalnego człowieka z Limerick, nie miałbyś takich sterczących, prezbiteriańskich włosów z Irlandii Północnej.

Dwa razy splunęła na moją głowę.

– Babciu, mogłabyś przestać pluć na moje włosy?

– Jeśli masz cokolwiek do powiedzenia, to się zamknij! Trochę śliny cię nie zabije. Chodź, bo się spóźnimy na mszę.

Biegniemy do kościoła. Zdyszana mama podąża za nami z Michaelem na rękę. Wpadamy do kościoła akurat w porę, żeby zobaczyć, jak ostatni chłopiec odchodzi od stopni ołtarza, gdzie stoi ksiądz z pateną i hostią i patrzy na mnie. Potem kładzie na moim języku opłatek, ciało i krew Jezusa. Nareszcie, nareszcie.

Jest na moim języku. Wciągam język.

Opłatek utknął.

Bóg przylgnął do mojego podniebienia. Słyszę głos nauczyciela:

– Nie dopuście, by hostia dotknęła zębów, bo jeśli rozgryzicie Boga na dwie części, będziecie przez wieczność smażyć się w piekle.

Próbowałem językiem zdjąć Boga z podniebienia, ale ksiądz syknął na mnie:

– Przestań cmoktać i wracaj na miejsce.

Bóg jest dobry. Stopił się i połknąłem Go, i teraz wreszcie jestem członkiem Prawdziwego Kościoła, oficjalnym grzesznikiem.

Kiedy msza się skończyła, czekały na mnie przy drzwiach mama z Michaelem na rękę i babcia. Obydwie po kolei mnie przytuliły. Każda powiedziała, że to najszczęśliwszy dzień mojego życia. Obydwie płakały nad moją głową, a po tym, co zrobiła rano babcia, moja głowa musiała przypominać mokradło.

– Mamo, czy mogę teraz iść robić zbiórkę?

– Po śniadaniu.

– Nie, nie będzie żadnej zbiórki, dopóki nie zjesz przyzwoitego pierwszokomunijnego śniadania u mnie. Chodźmy!

Poszliśmy za babcią. Stukała garnkami i patelniami, skarżąc się, iż wszyscy oczekują, że będzie na ich każde wezwanie, jadłem jajko, zjadłem kiełbasę, a kiedy sięgnąłem po dodatkowy cukier do herbaty, babcia trzepnęła mnie w rękę.

– Ostrożnie z cukrem! Co to, uważasz, że jestem milionerką? Amerykanką? Myślisz, że jestem obwieszona biżuterią? Otulona w eleganckie futra?

Jedzenie przewróciło mi się w żołądku. Zakrzusilem się. Poleciałem na tyły domu i zwymiotowałem. Babcia przybiegła za mną.

– No i proszę, co zrobił. Wyrzygał pierwszokomunijne śniadanie. Wyrzygał ciało i krew Jezusa. Teraz mam Boga na podwórku za domem. I co mam zrobić? Zabiorę go do jezuitów, bo oni potrafią się wyznaczyć w grzechach samego papieża.

Ciągnęła mnie przez miasto. Opowiedziała sąsiadom i mijanym przechodniom o Bogu w ogródku na tyłach domu. Wepchnęła mnie do konfesjonału.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, pobłogosław mi, ojczyste, bo zgrzeszyłem. Minął dzień od mojej ostatniej spowiedzi.

– Dzień? A jakież to grzechy popełniłeś w ciągu dnia, moje dziecko?

– Zaspałem. O mało się nie spóźniłem na pierwszą komunię. Babcia powiedziała, że mam sterczące prezbiteriańskie włosy z Irlandii Północnej. Zwymiotowałem śniadanie po pierwszej komunii. Teraz babcia mówi, że w ogródku na tyłach jej domu jest Bóg, i nie wie, co ma robić.

Ten ksiądz przypomina tamtego od pierwszej spowiedzi. Też ciężko oddycha i wydaje takie dźwięki, jakby się krztusił.

– A... powiedz babci, żeby zmyła Boga niewielką ilością wody, a ty za pokutę odmów jedną Zdrowaś Mario i jedno Ojczyste Nasz. Zmów za mnie modlitwę i niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko.

Mama i babcia czekały bardzo blisko konfesjonału.

– Opowiadałeś księdzu dowcipy? – spytała babcia. – Jeśli kiedyś się dowiem, że opowiadałeś dowcipy jezuitom, to powyrywam ci nerki. No i co powiedział o Bogu w moim ogródku za domem?

– Powiedział, żeby babcia Go zmyła niewielką ilością wody.

– Święconej czy zwykłej?

– Tego nie powiedział.

– To wróć i się spytaj.

– Ale, babciu...

Wepchnęła mnie z powrotem do konfesjonału.

– Pobłogosław mi, ojczyste, bo zgrzeszyłem, upłynęła minuta od mojej ostatniej spowiedzi.

– Minuta? Czy to ty byłeś przed chwilą?

– Ja, ojczyste.

– O co chodzi tym razem?

– Babcia pyta, czy święconą wodą, czy zwykłą.

– Zwykłą i powiedz babci, żeby przestała już mi zawracać głowę.

Powiedziałem babci, że zwykłą wodą i że ksiądz prosił, żeby mu już nie zawracała głowy.

– Nie zawracać mu głowy! To dopiero cholerna bezczelność!

– Czy mogę teraz iść na zbiórkę? Chciałbym zobaczyć Jamesa Cagneya.

– Możesz zapomnieć i o zbiórce, i o Jamesie Cagneyu – oznajmiła babcia – bo i tak nie jesteś prawdziwym katolikiem, skoro zostawiłeś Boga na ziemi. Idź do domu!

– Chwileczkę – wtrąciła mama. – To mój syn. I dzień jego pierwszej komunii. Zobacz Jamesa Cagneya.

– Nie zobaczy.

– Owszem, zobaczy.

– To go zabierz na Jamesa Cagneya i przekonaj się, czy to zbawi jego prezbiteriańską, północnoirlandzką, amerykańską duszę. No dalej, idź – zachęcała babcia.

Owinęła się szalem i odeszła.

– Boże, robi się późno na zbiórkę i nigdy nie zobaczysz Jamesa Cagneya – powiedziała mama. – Pójdziemy do kina Lyric, może cię wpuszczą w ubranku od pierwszej komunii.

Na Barrington Street spotkaliśmy Mikeya Molloya. Zapytał, czy idę do kina, a ja powiedziałem, że próbuję.

– Próbujesz? Nie masz pieniędzy?

Było mi wstyd przyznać, że nie, ale musiałem to zrobić.

– Dobrze. Wprowadzę cię. Zrobię dywersję.

– Co to dywersja?

– Mam pieniądze na bilet, więc jak wejść, to udam, że mam atak, wtedy bileter zupełnie zwariuje. Możesz się wślizgnąć, kiedy wrzasnę głośno. Będę obserwował drzwi; jak zobaczę, że wszedłeś, w cudowny sposób ozdrowieją. To jest dywersja. Zawsze tak robię, żeby wprowadzić moich braci.

– Mikey, nie jestem pewna – powiedziała mama. – Nie wiem, czy to nie grzech, a przecież nie chciałbyś, żeby Frank zgrzeszył w dzień pierwszej komunii.

Mikey oznajmił, że jeśli nawet to grzech, weźmie go na swoją duszę, a ponieważ i tak nie jest prawdziwym katolikiem, więc nie ma to znaczenia. Wydał ten swój okrzyk, a ja wślizgnąłem się na salę i usiadłem obok Pytajnika Quigleya. Bileter Frank Goggin tak się przejął Mikeyem, że w ogóle mnie nie zauważył. Film był bardzo podniecający, ale smutny, bo James Cagney został uznany za wroga publicznego, toteż gdy go zastrzelili, owinęli ciało bandażami i wrzucili przez drzwi, co wywołało szok u jego nieszczęsnej irlandzkiej matki. I tak się skończył dzień mojej pierwszej komunii.

V

Babcia nie rozmawia z mamą z powodu tego, co zrobiłem z Bogiem w ogródku na tyłach jej domu. Mama nie odzywa się do swojej siostry, cioci Aggie, ani do swojego brata, wuja Toma. Tata nie rozmawia z nikim z rodziny mamy, a oni nie rozmawiają z nim, ponieważ jest z Północy i ma dziwne maniere. Nikt nie odzywa się do żony wuja Toma, Jane, ponieważ ona pochodzi z Galway i wygląda jak Hiszpanka. Wszyscy rozmawiają z bratem mamy, wujem Patem, bo został upuszczony na głowę, jest niezbyt rozbawiony i sprzedaje gazety. Nazywają go powszechnie Opatem albo Abem Sheehanem, choć nikt nie wie dlaczego. Wszyscy rozmawiają też z wujem Pa Keatingiem, bo był zagazowany w czasie wojny i ożenił się z ciocią Aggie; zresztą nawet gdyby się do niego nie odzywali, obchodziłoby go to tyle co pierdnięcie skrzypka, i dlatego właśnie bywalcy pubu South nazywają go Wielki Gaz.

Taki właśnie chciałbym być, Wielki Gaz, dla którego wszystko jest jak pierdnięcie skrzypka. Mówię to aniołowi z siódmego stopnia, dopóki nie przypominam sobie, że nie powinno się w obecności anioła używać słowa „pierdnięcie”.

Wujek Tom i Jane z Galway mają dzieci, ale my nie możemy z nimi rozmawiać, ponieważ nasi rodzice z sobą nie rozmawiają. Mają syna i córkę, Gerry’ego i Peggy; mama krzyczy na nas, jeśli do nich zagadamy, ale nie bardzo wiemy, jak można się nie odzywać do kuzynów.

Członkowie rodzin z ubogich uliczek Limerick potrafią ze sobą nie rozmawiać, ale to wymaga lat praktyki. Są ludzie, którzy się do siebie nie odzywają, ponieważ ich ojcowie walczyli po przeciwnych stronach podczas wojny domowej w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku. Jeśli jakiś mężczyzna zaciągnie się do angielskiej armii, to jego rodzina równie dobrze może się wyprowadzić do innej dzielnicy Limerick, gdzie mieszkają inne rodziny żołnierzy angielskiej armii. Jeśli ktokolwiek z twojej rodziny okazał choćby ślad życzliwości Anglikom w ciągu ostatnich ośmiuset lat, zostanie to wyciągnięte i rzucone ci w twarz, i lepiej właściwie, żebyś się przeprowadził do Dublina, gdzie nikogo to nie obchodzi. Są rodziny, które odczuwają ciągły wstyd, ponieważ ich przodkowie w czasach wielkiego głodu wyrzekli się swojej religii za miskę protestanckiej zupy, i już po wieczne czasy do rodzin tych przyłgnęło miano żupników. Strasznie być żupnikiem, bo jest się skazanym na zawsze na specjalną część piekła. A jeszcze gorzej być donosicielem. Nauczyciel w szkole powiedział, że ilekroć Irlandczycy mieli zniszczyć Anglików w sprawiedliwej walce, zdradzał ich jakiś podły donosiciel. Człowiek, który okaże się donosicielem, zasługuje na powieszenie albo na coś gorszego: na to, że nikt się do niego nie odezwie, a jeśli nikt się nie odzywa, to już lepiej zawisnąć na końcu sznura.

Na każdej uliczce zawsze jest ktoś, kto z kimś nie rozmawia, albo ktoś, z kim nie rozmawia nikt, albo taki, który sam się do nikogo nie odzywa. Zawsze można poznać, kiedy ludzie z sobą nie rozmawiają, po tym, w jaki sposób się mijają. Kobiety zadzierają nosy, zaciskają usta i odwracają głowy. Jeśli kobieta ma na sobie szal, to zarzuca jego róg na ramię, jakby chciała powiedzieć: „Tylko na mnie spójrz albo się odezwij, ty szmato, a rozplątam ci łeb”.

Niedobrze, kiedy babcia z nami nie rozmawia, bo wtedy nie możemy pójść do niej i pożyczyć cukru, herbaty czy mleka. A nie ma sensu chodzić do cioci Aggie. Tylko robi awanturę.

– Idź do domu – wypędza – i powiedz ojcu, żeby ruszył ten swój północny tyłek i znalazł pracę jak każdy przyzwoity chłop z Limerick.

Mówią, że zawsze jest zła, bo ma rude włosy, a może ma rude włosy dlatego, że zawsze jest zła.

Mama przyjaźni się z Bridey Hannon, która mieszka z rodzicami w sąsiednim domu. Mama i Bridey gadają przez cały czas. Kiedy tata idzie na długi spacer, przychodzi Bridey, siadają z mamą przy kominku, piją herbatę i palą papierosy. Jeśli w domu nic nie ma, Bridey przynosi herbatę, cukier i mleko. Czasami zaparzają w kółko tę samą herbatę i mama mówi, że herbata jest już uduszona, wyparzona i ugotowana.

Mama i Bridey siedzą tak blisko ognia, że nogi robią im się czerwone, a potem fioletowe i niebieskie. Rozmawiają godzinami, potem szepczą i śmieją się z jakichś tajemnic. My nie powinniśmy słuchać tych tajemniczych opowieści, musimy więc wychodzić na dwór się bawić. Często siadam na siódmym stopniu i słucham, a one nie mają pojęcia, że tam jestem. Nawet kiedy leje deszcz, mama poleca:

– Pada czy nie, macie iść na dwór! A jak zobaczycie, że wraca ojciec, uprzedźcie mnie. – I zwraca się do Bridey: – Czy słyszałaś kiedyś wiersz, który musiał być napisany o mnie i o nim?

– Jaki wiersz?

– Nazywa się „Człowiek z Północy”. Dostałam go od Minnie MacAdorey w Ameryce.

– Nigdy go nie słyszałam. Powiedz.

Mama wygłasza wiersz, ale cały czas się śmieje, zupełnie nie wiem dlaczego.

*On przybył z Północy, więc mówił niewiele,
Lecz głos miał łagodny i serce miał szczerze.
Poznałam po oczach, że zdrady on nie zna,
Więc został mym mężem z Północy mężczyzna.
Spokojny i cichy, niezbyt też wesoły
Przybysz znad brzegów jeziora Neagh.
A jednak słońce miękkim świeci blaskiem
Na rzekę, co płynie mym rodzinnym miastem.
Z radością i dumą stwierdzić tutaj muszę:
Lepszego człowieka nie zna cały Munster.
A nasz dom w Limerick promieniuje szczęściem,
Więc jak się nie chwalić tak dobrym zamęściem?
Gdyby w Limerick ludzie zrozumieli,
Jakich sąsiadów los nam tu przydzielił,
Pogarda, nienawiść malałyby co dnia
Pomiędzy Północą a ludźmi z Południa.*

Zawsze powtarza trzecią zwrotką i zaśmiewa się aż do łez, a ja nie wiem dlaczego. Wpada w histerię, kiedy wypowiada:

*A nasz dom w Limerick promieniuje szczęściem,
Więc jak się nie chwalić tak dobrym zamęściem?*

Jeśli mężczyzna z Północy wraca wcześniej i zastaje w kuchni Bridey, mówi: „Plotki, plotki, plotki” – i stoi z czapką w ręku, dopóki Bridey nie wyjdzie.

Matka Bridey i inni mieszkańcy naszej uliczki, a także sąsiednich uliczek często przychodzą i pytają tatę, czy napisałby im list do rządu albo do krewnych gdzieś daleko. Tata siada przy stole z piórem i butelką atramentu; kiedy ludzie mówią mu, co ma pisać, odpowiada: „O nie, nie to chcesz powiedzieć” – i pisze to, co sam uważa. Wtedy ludzie przyznają, że od początku właśnie o to im chodziło i że on doskonale sobie radzi z językiem

angielskim i ma pewną rękę. Dają sześć pensów za fatygę, ale tata nie bierze, więc dają mamie, bo on jest zbyt wielki, żeby przyjmować sześciopensówki. Kiedy wszyscy wychodzą, bierze od mamy sześć pensów i wysyła mnie do sklepu Kathleen O'Connell po papierosy.

Babcia sypia w dużym łóżku na górze z obrazem Najświętszego Serca nad głową i figurką Naj świętszego Serca na gzymsie kominka. Chciałaby kiedyś zamienić oświetlenie gazowe na elektryczne, żeby przed figurką zawsze mogła się palić czerwona lampka. Jej uwielbienie dla Najświętszego Serca znane jest nie tylko całej uliczce, ale i całej okolicy.

Wujek Pat sypia na małym łóżku w rogu tego samego pokoju, dzięki czemu babcia ma pewność, że on wraca do domu o odpowiedniej porze i klęka przy łóżku, żeby się pomodlić. Nawet jeśli został upuszczony na głowę, nawet jeśli nie umie czytać ani pisać, nawet jeśli wypije jeden kufel za dużo, to jeszcze nie powód, żeby nie odmówił modlitwy przed zaśnięciem.

Wujek Pat powiedział babci, że spotkał człowieka, który szuka miejsca, gdzie mógłby się zatrzymać, umyć się rano i wieczorem, gdzie dostałby dwa posiłki dziennie, obiad i kolację. Ten człowiek nazywa się Bill Galvin i ma dobrą pracę przy wapienniku. Zawsze pokryty jest białą warstwą pyłu wapiennego, ale to przecież lepsze niż pył węglowy.

Babcia będzie musiała zrezygnować ze swojego łóżka i przenieść się do małego pokoju. Zabierze obrazek Najświętszego Serca, ale zostawi figurkę, żeby czuwała nad dwoma mężczyznami. Zresztą w małym pokoju nie ma już miejsca na figurkę.

Bill Galvin przychodzi po pracy obejrzeć mieszkanie. Jest nieduży, cały biały i węższy jak pies. Pyta, czy babcia nie zechciałaby zabrać tej figury, bo on jest protestantem i trudno mu będzie zasnąć w takim otoczeniu. Babcia warczy na wujka Pata, dlaczego nie uprzedził, że ściąga do domu protestanta.

– Jezu, ale będą plotki na całej ulicy, a nawet dalej – martwi się.

Wujek Pat nie wiedział, że Bill Galvin jest protestantem. Nie można było tego stwierdzić na oko, szczególnie pod tą warstwą wapna. Wygląda jak zwykły katolik, zresztą nikomu nie przyszłoby do głowy, że protestant będzie zarabiał na życie, machając łopatą.

Bill Galvin tłumaczy, że jego nieszczęsna żona, która właśnie umarła, była katoliczką, a wszystkie ściany ich domu pokrywały obrazy Pana Jezusa i Najświętszej Panny z sercami na wierzchu. On osobiście nie ma nic przeciwko Najświętszemu Sercu, ale ta figurka będzie mu przypominała jego biedną żonę, co sprawi mu ból.

– Boże, dlaczego mi pan tego nie powiedział?! – wykrzykuje babcia. – Oczywiście, że mogę postawić figurkę na parapecie okna w swoim pokoju i jej widok nie będzie panu ranił serca.

Babcia codziennie gotuje Billowi obiad i zanoszą do wapiennika. Mama się zastanawia, dlaczego Bill nie może rano zabrać ze sobą tego obiadu, a babcia wyjaśnia:

– Spodziewasz się, że będę wstawiała o świcie, żeby jego lordowskiej mości ugotować do menażki kapustę i świńskie nogi?

– Za tydzień kończy się szkoła, Frank za sześć pensów tygodniowo na pewno chętnie będzie nosił obiad Billowi Galwinowi.

Nie chcę codziennie chodzić do babci. Nie chcę nosić Billowi Galwinowi obiadu przez całą Dock Road, ale mama twierdzi, że przyda nam się te sześć pensów, i jeśli nie będę nosił obiadów, to w ogóle nigdzie nie będę wychodził.

– Będziesz siedział w domu. Żadnych zabaw z kolegami!

Babcia ostrzega, żebym zanosił obiad prosto do wapiennika, nie zbaczając nigdzie po drodze, nie rozglądał się, nie kopał puszek i nie niszczył butów. Obiad ma być gorący, tak jak lubi Bill Galvin.

Z menażki dochodzi wspaniały zapach gotowanego bekonu i kapusty, i dwóch wielkich, sypkich, białych kartofli. Bill na pewno nie zauważy, jeśli spróbuje pół kartofla. Nie poskarży się babci, bo w ogóle rzadko się odzywa, poza jednym czy dwoma prychnięciami.

Lepiej zjeść drugą połowę też, żeby nie pytał, dlaczego dostał tylko pół kartofla. Równie dobrze mogą spróbować bekonu i kapusty, a jak zjem drugi kartofel, to pomyśli, że babcia w ogóle nie przysłała kartofli.

Drugi kartofel rozplywa mi się w ustach, muszę jeszcze spróbować trochę kapusty i kawałeczka bekonu. Już niewiele zostało, więc pewno nabierze podejrzeń. Lepiej zjeść do końca.

Co ja teraz zrobię? Babcia mi tego nie daruje, a mama cały rok nie pozwoli mi wyjść z domu. Bill Galvin pogrzebie mnie w wapienniku. Powiem, że na Dock Road zaatakował mnie pies i zjadł cały obiad, mam szczęście, że udało mi się uciec, bo zjadłby i mnie.

– Naprawdę? – pyta Bill Galvin. – A co robi ten kawałek kapusty na twoim swetrze? Pies cię wylizał kapuścianym pyskiem? Wracaj do domu i powiedz babci, że zjadłeś mi cały obiad, a ja tu umieram z głodu.

– Babcia mnie zabije.

– Powiedz, żeby tego nie robiła, dopóki nie przyśle mi jakiegoś obiadu, a jeśli zaraz do niej nie pójdziesz i nie przyniesiesz obiadu, sam cię zabiję i zakopię w wapnie, mama nie będzie miała nawet czego opłakiwać.

– Co tu robisz z menażką? – pyta babcia. – Sam mógł ją przynieść.

– Chce więcej jedzenia.

– Co to znaczy więcej jedzenia? Wielki Boże, czy on ma dziury w nogach?

– Umiera z głodu w wapienniku.

– Kpisz czy o drogę pytasz?

– Powiedział, żeby mu przysłać jakikolwiek obiad.

– Nie ma mowy. Już mu posłałam.

– Ale go nie dostał.

– Nie dostał? A to dlaczego?

– Bo ja zjadłem.

– Co takiego?

– Byłem głodny, spróbowałem i nie mogłem się oderwać.

– Jezus Maria, Józefie święty!

Babcia daje mi kuksańca w głowę, aż stają mi w oczach łzy. Wrzeszczy na mnie jak czarownica, miota się po kuchni, grozi, że zaciągnie mnie do księdza, do biskupa, nawet do samego papieża, gdyby bliżej mieszkał. Kroi chleb i wymachuje nade mną nożem, robi kanapki z kaszanką i zimnymi kartoflami.

– Zanieś te kanapki Billowi Galwinowi, a jeśli chociaż spojrzysz na nie, obedrę cię ze skóry.

Oczywiście biegnie do mamy i obydwie postanawiają, że mogę odrobić swój straszny grzech tylko w ten sposób, że będę nosił Billowi Galwinowi obiady za darmo przez dwa tygodnie. Mam też codziennie przynosić z powrotem menażkę, a to oznacza, że muszę siedzieć i patrzeć, jak on napycha sobie gębę jedzeniem. Wiem, że nawet nie zapyta, czy jestem głodny.

Codziennie, jak przynoszę z powrotem menażkę, babcia każe mi klękać przed figurką Najświętszego Serca i powtarzać, jak mi przykro. I pomyśleć, że to przez tego protestanta Billa Galvina.

– Za papierosy jestem gotowa na wszystko, podobnie jak twój tata – mówi mama.

W domu może nie być herbaty czy chleba, ale rodzicom zawsze uda się zdobyć papierosy Wild Woodbine. Muszą mieć te woodbine'y rano i zawsze, kiedy piją herbatę. Codziennie

nam przypominają, że nie powinniśmy palić, bo to szkodzi na płuca, jest niedobre na piersi, hamuje wzrost, a sami siedzą przy ogniu, wydmuchując dym.

– Jeśli kiedykolwiek zobaczą was z petem w gębie, to rozwalą wam głowę! – grozi mama.

Tłumaczą nam, że papierosy niszczą zęby, i gołym okiem widać, że mają rację. Zęby robią im się brązowe i czarne i po kolei wypadają. Tata twierdzi, że ma w zębach takie dziury, że wróbel mógłby się w nich dochować piskląt. Zostało tacie jeszcze kilka zębów, ale kazał je wyrwać w klinice i stara się o sztuczne. Kiedy wraca do domu z nowymi zębami, pokazuje nowy biały uśmiech, przez co wygląda jak Amerykanin. Ile razy opowiada nam historie o duchach, wypycha dolną szczękę aż pod nos i napędza nam strachu. Mama ma tak popsute zęby, że musi iść do szpitala Barrington, żeby wyrwać wszystkie od razu. Kiedy wraca do domu, trzyma przy ustach zakrwawioną szmatę. Całą noc siedzi przy ogniu, bo nie można się położyć, kiedy dziąsła pompują krew, żeby przez sen nie zakrztusić się na śmierć. Obiecuje, że zupełnie przestanie palić, gdy tylko skończy się krwawienie, ale teraz musi chociaż raz pociągnąć, bo to przynosi wielką ulgę. Wysłała Malachy’ego do sklepu Kathleen O’Connell, żeby poprosił o pięć woodbine’ow na kredyt do czwartku, jak tata dostanie zasiłek. Jeśli komuś uda się wydostać fajki od Kathleen, to tylko Malachy’emu. Mama mówi, że on ma wdzięk.

– Nie ma sensu wysyłać ciebie z tą twoją skrzywioną miną i dziwnymi manierami po ojcu.

Kiedy ustaje krwawienie i goją się dziąsła, mama idzie do kliniki po sztuczne zęby. Obiecuje, że przestanie palić, jak będzie miała nowe zęby, ale wcale tak nie robi. Nowe zęby obcierają jej dziąsła, a dym z woodbine’ow łagodzi ból. Kiedy mamy czym napalić, siedzą z tatą przy ogniu, zaciągają się papierosami, a gdy coś mówią, ich zęby klekoczą. Próbuje to opanować, poruszając szczękami do tyłu i do przodu, i wtedy jest jeszcze gorzej, więc przeklinają dentystów i ludzi z Dublina, którzy zrobili te zęby; a kiedy przeklinają, to klekoczą. Tata utrzymuje, że zrobiono je dla bogaczy z Dublina. Ponieważ nie pasowały, przekazano je biedakom z Limerick, którym wszystko jedno, bo jak ktoś jest biedny, to nie ma co przeżuwać i cieszy się, że ma w ogóle jakiegokolwiek zęby. Jeśli rodzice mówią zbyt długo, obcierają sobie dziąsła i muszą wyjąć szczęki. Więc siedzą z zapadniętymi twarzami i rozmawiają. Co wieczór zostawiają zęby w kuchni w słoikach po dzemie napełnionych wodą. Malachy chce wiedzieć, dlaczego tak robią, a tata wyjaśnia, że w ten sposób zęby się czyszcza.

– Nieprawda, nie można spać z zębami w ustach, bo się wysuną i zadławią na śmierć – prostuje mama.

Z powodu tych zębów Malachy idzie do szpitala Barrington, a ja muszę mieć operację. W środku nocy Malachy szepcze:

– Chcesz zejść na dół i sprawdzić, czy moglibyśmy nosić te zęby?

Są takie duże, że trudno wepchnąć je w usta, ale Malachy nie rezygnuje. Wtłacza sobie górną szczękę taty i nie może jej wyjąć. Ma cofnięte wargi, a wystające zęby tworzą szeroki uśmiech. Wygląda jak potwór z filmu, co mnie bardzo śmieszy; Malachy próbuje wyciągnąć szczękę, pojękuje, a w jego oczach pojawiają się łzy. Im głośniej jęczy, tym bardziej mnie rozśmiesza, aż tata pyta z góry, co robimy. Malachy zostawia mnie; wbiega po schodach i teraz słyszę, jak tata i mama zaśmiewają się, dopóki nie dochodzi do ich świadomości, że może się zadławić. Oboje próbują wypchnąć zęby palcami, ale Malachy wpada w panikę i rozpaczliwie stęka. Mama mówi, że trzeba będzie z nim iść do szpitala, więc tata decyduje się go zaprowadzić. Zabiera mnie na wypadek, gdyby doktor zadawał jakieś pytania, bo jestem starszy, a to oznacza, że ja musiałem to wymyślić. Tata biegnie ulicami z Malachym na rękę, próbuję za nim nadążyć. Żal mi Malachy’ego, który patrzy na mnie przez ramię taty, ma na policzkach łzy, a w ustach nie swoje zęby. Doktor w szpitalu Barrington uważa, że nie ma problemu: nalewa Malachy’emu do ust oleju i od razu wyciąga szczękę. A potem patrzy na mnie i pyta tatę:

- Dlaczego ten dzieciak stoi tu z otwartą buzią?
- On ma taki zwyczaj, zawsze stoi z otwartą buzią.
- Podejź tutaj – poleca doktor. Zagląda mi w nos, w uszy, w gardło, maca szyję.
- Migdałki – orzeka. – Trzeci migdałek. Trzeba wyciąć. Im szybciej, tym lepiej, bo jak dorośnie, będzie wyglądał na idiotę z tą otwartą gębą.

Następnego dnia Malachy dostaje wielki kawał toffi w nagrodę, że wepchnął sobie zęby, których nie umiał wyjąć, a ja muszę iść do szpitala na operację, która zaniknie mi usta.

W sobotę rano mama kończy herbatę i oznajmia:

- Będziesz tańczył.
- Tańczył? Dlaczego?
- Masz siedem lat, byłeś u pierwszej komunii, przyszła zatem pora na tańce. Zabieram cię na Catherine Street do szkoły tańców irlandzkich pani O'Connor. Lekcje są w każdą sobotę rano, więc przestaniesz się wałęsać po ulicach. Skończą się włóczęgi po Limerick z chuliganami.

Mama każe, bym umył twarz, nie zapominając o uszach i szyi, uczesał się, wytarł nos i nie robił takiej miny. Jakiej miny? Mniejsza z tym, mam nie robić takiej miny, włożyć pończochy i buty od pierwszej komunii, które, jak twierdzi mama, już są zniszczone, bo nie potrafię ominąć żadnej puszki ani kamienia, żeby ich nie kopnąć. Jest zupełnie wyczerpana wystawaniem w kolejkach do Stowarzyszenia Świętego Wincentego i błaganiami o buty dla mnie i dla Malachy'ego, żebyśmy mogli dziurawić w nich czubki, kopiąc wszystko co popadnie.

- Twój ojciec mówi, że nigdy nie jest za wcześnie nauczyć się pieśni i tańców przodków.
- Jakich przodków?
- Nieważne, idziesz na lekcję tańca.

Zastanawiam się, jak mogę umrzeć za Irlandię, skoro mam dla niej również śpiewać i tańczyć. I dlaczego mi nie powiedzą: „Możesz jeść cukierki, nie iść do szkoły i popływać dla Irlandii”.

- Nie bądź taki przemądrzały, bo wytargam cię za uszy – grozi mama.

Cyryl Benson tańczy. Medale wiszą mu od ramion aż do kolan. Zwycięża w konkursach w całej Irlandii i pięknie wygląda w szafranowym kilcie. Matka może być z niego dumna, ciągle piszą o nim w gazetach i na pewno czasami przynosi też do domu parę funtów. Nie widać, żeby się włóczył po ulicach i kopał wszystko, co zobaczy, aż mu palce wyjdą z butów, o nie, to dobry chłopiec, tańczy dla swojej biednej matki.

Mama moczy w wodzie stary ręcznik i szoruje mi twarz tak mocno, aż mnie boli; owija ręcznik wokół palca, wpycha mi do uszu i twierdzi, że jest tam dosyć wosku, żeby uprawiać kartofle; moczy mi włosy, żeby przestały sterczeć; każe się zaniknąć i przestać jójczyć, bo lekcje tańca będą kosztowały co sobota sześć pensów, które mogłem zarobić, nosząc obiad Billowi Galwinowi. Zresztą Bóg wie, że nie bardzo ją na to stać. Próbuję jej powiedzieć, że nie musi mnie prowadzić na lekcję tańca. Lepiej zapaliłaby sobie dobrego woodbine'a i napiła się herbaty.

- Taki z ciebie mądrała. Będziesz chodził na tańce, nawet gdybym miała na zawsze rzucić fajki.

Gdyby moi kumple zobaczyli, jak mama ciągnie mnie na lekcję irlandzkich tańców, byłbym doszczętnie zhańbiony. Oni uważają, że można tańczyć i udawać Freda Astaire'a, bo wtedy skacze się po całym ekranie u boku Ginger Rogers. Ale na lekcjach tańców irlandzkich nie ma Ginger Rogers i nie pozwalają skakać. Trzeba stać prosto, trzymać ręce przy sobie, wymachiwać nogami w górę i w bok i nigdy się nie uśmiechać. Wujek Pa Keating powiedział, że przy irlandzkich tańcach wszyscy tak wyglądają, jakby im ktoś wetknął w tyłek stalowy pręt, ale nie mogę tego powtórzyć mamie, boby mnie zabiła.

U pani O'Connor gramofon gra irlandzką jigę czy reela, a chłopcy i dziewczynki tańczą, fikając nogami do góry i trzymając ręce przy sobie. Pani O'Connor jest wielką, grubą kobietą, a kiedy zatrzymuje płytę i pokazuje kroki taneczne, trzęsie się cały tłuszcz od podbródka do kostek. Zastanawiam się, jak ona w ogóle może uczyć tańca. Podchodzi do mojej mamy.

– Więc to jest mały Frankie? Chyba mamy tu zadatki na prawdziwego tancerza. Chłopcy i dziewczynki, czy mamy tu zadatki na prawdziwego tancerza?

– Mamy, pani O'Connor.

– Tu jest sześć pensów, pani O'Connor – mówi mama.

– Ach tak, pani McCourt, chwileczkę.

Płynie do stołu i wraca z głową Murzynka o kręconych włosach, wielkich czerwonych wargach i otwartych ustach. Poleca, żebym włożył sześciopensówkę do tych otwartych ust i zabrał rękę, zanim się zamkną. Wszyscy się śmieją i jestem pewny, że chcieliby zobaczyć, jak usta przytrzymują mi rękę. Pani O'Connor wzdycha i ze śmiechem mówi do mamy: „Jakie to niezwykle, co?”. Mama przyznaje i każe mi dobrze się zachowywać i wrócić do domu tanecznym krokiem.

Nie chcę zostać w tym miejscu, gdzie pani O'Connor nie może sama wziąć sześciopensówki, tylko pozwala na to, żebym omal nie stracił ręki w gębie Murzynka. Nie chcę zostać tutaj, gdzie trzeba stanąć w rzędzie z innymi chłopakami i dziewczynami, wyprostować plecy, opuścić ręce, patrzeć przed siebie, nie patrzeć w dół, ruszać nogą, ruszać nogą, patrzeć na Cyryla, popatrz na Cyryla! A oto i Cyryl, wystrojony w szafranowy kilt i dzwoniące medale, medale za to, medale za tamto; dziewczyny kochają Cyryla i pani O'Connor kocha Cyryla, bo przecież przyniósł jej sławę, bo przecież to ona nauczyła go każdego kroku. „Och, Cyrylu, tańcz, o Jezu, on unosi się w powietrzu, jak anioł z nieba! Frankie McCourt, przestań marszczyć brwi, bo ci zostanie taka okropna mina! Tańcz, Frankie, tańcz, na miłość boską! Podnieś nogę, raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, raz, dwa, trzy i raz, dwa, trzy. Maura, pomóż Frankowi McCourtowi, zanim zapłaczę sobie nogi na supeł”.

Maura jest duża, ma pewnie z dziesięć lat. Tańcząc, zbliża się do mnie, ma białe zęby, ubrana jest w strój tancerki z tymi wszystkimi złotymi, żółtymi i zielonymi postaciami, które podobno pochodzą z dawnych czasów.

– Daj mi rękę, chłopczyku – mówi i obraca mną dokoła, aż mi się kręci w głowie. Robię z siebie kompletnego idiotę, jestem czerwony i czuję się tak głupio, że mam ochotę płakać. Ratuje mnie to, że kończy się płyta i gramofon rzezi.

– Dziękuję, Maura – mówi pani O'Connor. – Cyryl, w przyszłym tygodniu pokażesz Frankowi kilka kroków, które uczyniły cię sławnym. Do przyszłego tygodnia, chłopcy i dziewczęta, i nie zapomnijcie sześciopensówki dla małego Murzynka.

Chłopaki i dziewczyny wychodzą razem. Zbiegam sam po schodach i potem przez drzwi, mając nadzieję, że kumple nie zobaczą mnie z chłopakami w kiltach i dziewczynami o białych zębach, przebranymi w wymyślne stroje z dawnych czasów.

Mama pije herbatę z Bridey Hannon, zaprzyjaźnioną sąsiadką. Pyta, czego się nauczyłem, i każe mi tańczyć wokół kuchni: raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, raz, dwa, trzy i raz, dwa, trzy. Śmieją się obie z Bridey.

– Nie najgorzej jak na pierwszy raz. Za miesiąc będzie z ciebie prawdziwy Cyryl Benson.

– Nie chcę być Cyrylem Bensonem. Chcę być Fredem Astaire'em.

Dostają hysterii, zaśmiewają się tak, że aż prychają herbatą.

– Niech go Bóg zachowa! – woła Bridey. – Ma niezłe pojęcie o sobie. Jak się masz, Fred Astaire?

Mama mówi, że Fred Astaire chodził co sobota na lekcje, nie włóczył się po ulicach, objijając kopniakami czubki butów, więc jeśli chcę być taki jak on, muszę co tydzień chodzić do pani O'Connor.

Rano w czwartą sobotę Billy Campbell zapukał do naszych drzwi i zapytał mamę, czy mogę iść się bawić.

– Nie, Billy. Frankie idzie na lekcję tańca.

Billy czeka na mnie na szczycie Barrack Hill. Ciekawi go, dlaczego tańczę, przecież każdy wie, że to dobre dla niedorajdów. Skończę jak Cyryl Benson, ubrany w kilt i cały w medalach, będę ciągle gdzieś tańczył z dziewczynami. Billy mówi, że zanim się zorientuję, będę siedział w kuchni i robił na drutach skarpetki. Taniec zupełnie mnie zniszczy, nie potrafię później grać w żadną piłkę nożną, rugby czy futbol irlandzki, ponieważ nauczę się biegać jak mięczak i wszyscy będą mnie wyśmiewać.

Mówię mu, że skończyłem z lekcjami tańca, mam w kieszeni sześciopensówkę dla pani O'Connor, przeznaczoną do ust Murzynka, ale wydam ją raczej w kinie Lyric. Za sześć pensów wejdziemy obaj i jeszcze zostaną nam dwa pensy na dwa kwadraty toffi Cleevesa. Bawiliśmy się doskonale na *Piratach z Purple Sage*.

Tata z mamą siedzą w kuchni i pytają, jakich kroków się dzisiaj nauczyłem i jak się one nazywają. Poprzednio uczyłem się Oblężenia Ennis i Murów Limerick, to są nazwy prawdziwych tańców. Teraz muszę wymyślić i nazwy, i tańce. Mama mówi, że nigdy nie słyszała o tańcu pod nazwą Oblężenie Dingle, ale jeśli tego się uczyłem, to dobrze, mam zatańczyć, więc tańczę wokół kuchni do własnej melodii: diddley di, aj di aj diddley aj. Tata i mama klaszczą w rytm.

– To bardzo ładny taniec. Będzie z ciebie doskonały tancerz, nie przyniesiesz wstydu tym, co zginęli za swój kraj – mówi tata.

– To niewiele za sześć pensów – twierdzi mama.

W następnym tygodniu jest film George'a Rafia, potem film kowbojski z George'em O'Brienem. A jeszcze potem James Cagney, ale nie mogę tym razem zabrać Billy'ego, bo oprócz toffi chcę sobie kupić tabliczkę czekolady. Doskonale się bawię, dopóki mojej szczęki nie przeszywa straszny ból, to ząb wychodzi mi z dziąsła i więźnie w toffi. Ból mnie po prostu zabija. Nie mogę jednak zmarnować toffi, więc wyciągam ząb i chowam do kieszeni, a toffi gryzę drugą stroną, nie zważając na krew. Po jednej stronie czuję ból, a po drugiej wspaniały smak toffi i myślę, że wuj Pa Keating powiedziałby: „Są takie chwile, kiedy nie wiadomo, czy się zesrać, czy zaślepnąć”.

Muszę już wracać do domu i martwię się, bo trudno chodzić po świecie z brakującym zębem tak, żeby nie dowiedziała się o tym mama. Matki wiedzą wszystko i zawsze zaglądają człowiekowi w usta, żeby sprawdzić, czy nie ma tam jakiejś choroby. Mama siedzi przy kominku, tata też i zadają mi znowu to odwieczne pytanie o taniec i jego nazwę. Mówię, że nauczyłem się Murów Corku, i tańczę wokół kuchni, starając się nucić zmyśloną melodię, przy czym ból zęba niemal mnie zabija.

– Mury Corku, dobre sobie! Nie ma takiego tańca – protestuje mama.

– Chodź no tutaj – przyzywa tata. – Stań tu przede mną i powiedz prawdę. Poszedłeś dzisiaj na lekcję?

Nie mogę już dłużej kłamać, bo zabija mnie ból dziąsła, a w ustach mam pełno krwi. Zresztą domyślam się, że wszystko wiedzą i właśnie mi o tym mówią. Jakiś zmijowaty chłopak ze szkoły tańca widział, jak wchodziłem do kina Lyric, i wygadał, a pani O'Connor przysłała kartkę z pytaniem, czy wszystko w porządku, bo dawno już nie byłem na lekcji, a tak dobrze się zapowiadałem, mógłbym pójść w ślady Cyryla Bensaona.

Tata nie przejmuje się ani moim zębem, ani niczym innym. Każe mi iść do spowiedzi i wlecze mnie do kościoła Redemptorystów, ponieważ jest sobota i można się spowiadać przez cały dzień. Narzeka, że jestem niedobry, że się za mnie wstydzi, bo poszedłem do kina, zamiast uczyć się irlandzkich tańców narodowych, jiggi i reela, tańców, za które mężczyźni i kobiety walczyli i umierali w ciągu tylu smutnych stuleci. Twierdzi, że wielu młodych ludzi,

których powieszono i teraz kruszeją w dołach wapiennych, chętnie wstałoby i zatańczyło tańce irlandzkie.

Książd jest stary, więc muszę wywrzaskiwać moje grzechy, nazywa mnie chuliganem za to, że poszedłem do kina zamiast na lekcję tańca, chociaż on osobiście uważa, że tańce są niebezpieczne, niemal tak samo jak filmy, że pobudzają myśli grzeszne same w sobie, ale nawet jeśli taniec wywołuje abominację, to i tak zgrzeszyłem, biorąc sześciopensówkę mamy i kłamiąc. Dla takich jak ja jest gorące miejsce w piekle. Odmów jedną dziesiątkę różańca, moje dziecko, i proś Boga o wybaczenie, bo tańczysz u bram piekła.

Mam siedem, osiem, dziewięć, prawie dziesięć lat, a tata ciągle nie ma pracy. Pije rano herbatę, idzie się podpisać na liście bezrobotnych w Biurze Pośrednictwa Pracy, czyta gazety w bibliotece Carnegie, chodzi na te swoje długie spacerunki na wieś. Jeśli dostaje pracę w fabryce cementu albo w młynie Ranka, traci ją w trzecim tygodniu. Traci ją, ponieważ w piątek, kiedy bierze trzecią wypłatę, idzie do pubów, przepija wszystko, i w sobotę rano nie stawia się na pół dnia pracy.

Dlaczego nie może być taki jak inni mężczyźni z uliczek Limerick? Są w domu, zanim o szóstej wybiją dzwony na Anioł Pański, oddają wypłatę, zmieniają koszulę, jedzą kolację, biorą od żony parę szylingów i idą do pubu na jeden czy dwa kufle – zastanawia się mama.

I stwierdza w rozmowie z Bridey Hannon, że tata nie może być taki i nigdy nie będzie. Zachowuje się jak zupełny głupiec, chodzi po pubach, stawia innym kolejki, podczas gdy jego własnym dzieciom z głodu przyrastają brzuchy do kręgosłupa. Będzie się przechwalał, że wypełnił swój obowiązek wobec Irlandii wtedy, kiedy nie było to ani popularne, ani opłacalne, że chętnie umrze za ojczyznę, kiedy zostanie wezwany, żałuje jedynie, że ma tylko jedno życie, które może oddać temu nieszczęsnemu krajowi, a jeśli ktokolwiek z nim się nie zgadza, może wyjść na zewnątrz i tam wyjaśni się sprawę raz na zawsze. O nie, nie będą się przeciwstawiać, nikt nie wyjdzie na zewnątrz, nikt z tej bandy włóczęgów, nicponi i wałkoni, którzy przesiadują w pubach. Będą mu powtarzać, że jest wspaniały, chociaż pochodzi z Północy, że to zaszczyt wypić na koszt takiego patrioty.

– Bóg mi świadkiem, nie mam pojęcia, co robić. Zasiłek wynosi dziewiętnaście szylingów i sześć pensów tygodniowo, komorne sześć szylingów i sześć pensów, zostaje mi trzynaście szylingów na wyżywienie i ubranie pięciu osób, a w zimie także na ogrzanie.

Bridey zaciąga się woodbine'em, popija herbatę i twierdzi, że Bóg jest dobry. Mama mówi, że na pewno dla kogoś jest dobry, ale ostatnio nikt Go nie widział na uliczkach Limerick.

– Och, Angelo, możesz za to pójść do piekła – śmieje się Bridey.

– A czy już w nim nie jestem? – odpowiada mama. Wybuchają śmiechem, popijają herbatę, palą woodbine'y i powtarzają, że fajka jest ich jedyną pociechą.

Rzeczywiście.

Pytajnik Quigley mówi, że muszę iść w piątek do kościoła Redemptorystów i wstąpić do Arcybractwa. Trzeba wstąpić. Nie można odmówić. Wszyscy chłopcy z uliczek i zaułków, mający ojców na zasiłku lub pracujących jako niewykwalifikowani robotnicy, muszą należeć do tego bractwa.

– Twój ojciec jest cudzoziemcem z Północy, więc się nie liczy, ale ty i tak musisz wstąpić – oświadcza Pytajnik.

Wszyscy wiedzą, że Limerick jest najbardziej świętym miastem w Irlandii, ponieważ ma Arcybractwo Świętej Rodziny, największą sodalicję na świecie. W każdym mieście może być zwykłe bractwo, tylko Limerick musi mieć arcy.

Nasze bractwo wypełnia kościół Redemptorystów przez pięć wieczorów w tygodniu: trzy razy mężczyźni, raz kobiety, a raz chłopcy. Najpierw jest błogosławieństwo, potem śpiewa się

pieśni kościelne po angielsku, po irlandzku i po łacinie, a najlepsze jest wielkie przejmujące kazanie, z których słyną księża redemptoryści. Właśnie ich kazania uratowały miliony Chińczyków i innych pogan od mąk piekielnych u boku protestantów.

Pytajnik tłumaczy, że trzeba wstąpić do bractwa, żeby mama mogła o tym powiedzieć w Stowarzyszeniu Świętego Wincentego, wtedy będą wiedzieli, że jesteśmy dobrymi katolikami. Jego ojciec jest lojalnym członkiem bractwa i dlatego dostał dobrą pracę z pewną emeryturą – sprząta ustępy na stacji kolejowej. Pytajnik, jak dorośnie, też dostanie dobrą pracę, chyba że ucieknie, żeby się zaciągnąć do Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej, bo chciałby śpiewać „Fil Be Calling You Ooo Ooo Ooo”, jak Nelson Eddy do Jeanette MacDonald, która, leżąc na kanapie, umierała na suchoty. Jeśli przyprowadzi mnie do bractwa, jego nazwisko zostanie zapisane w olbrzymiej księdze i pewnego dnia może nawet zostanie prefektem sekcji, a to jest jego największe marzenie, oczywiście oprócz munduru policji konnej.

Prefekt stoi na czele sekcji, czyli trzydziestu chłopców z sąsiednich uliczek. Każda sekcja nosi imię innego świętego, którego obraz umieszczony jest nad miejscem prefekta. Prefekt z asystentem sprawdzają obecność i mają na wszystkich oko, dają kuksańca w łeb, jak ktoś na przykład roześmieje się podczas błogosławieństwa albo popełni inne świętokradztwo. Jeśli opuści się jeden wieczór, człowiek w biurze dopytuje się dlaczego, chce wiedzieć, czy przypadkiem nie odchodzi się od bractwa. Bywa, że mówi do swego kolegi: „Wydaje mi się, że nasz młody przyjaciel połazczył się na zupę”. Nie można powiedzieć nic gorszego katolikowi z Limerick czy w ogóle katolikowi z Irlandii z powodu tego, co się przydarzyło podczas wielkiego głodu. Jeśli się nie przyszło dwa razy, mężczyzna z biura przysyła żółte wezwanie do osobistego złożenia wyjaśnień, a po trzech nieobecnościach wysyła oddział, to znaczy pięciu czy sześciu dużych chłopaków z sekcji, którzy przeszukują ulicę, by sprawdzić, czy nieobecny członek bractwa nie oddał e się przyjemnościom, zamiast klęczeć i modlić się za Chińczyków i inne stracone dusze. Oddział przyjdzie do domu i powie matce nieobecnego chłopaka, że jego nieśmiertelna dusza jest w niebezpieczeństwie. Niektóre matki bardzo się tym przejmują, a inne mówią: „Zjeżdżajcie spod moich drzwi, bo każdemu po kolei złożę tyłek”. To nie są dobre matki w ocenie bractwa, więc dyrektor prosi, żebyśmy się za nie modlili, może dzięki temu dostrzegą swój błąd.

Ale najgorsza ze wszystkiego jest wizyta dyrektora bractwa, samego ojca Goreya. Staje na szczycie uliczki i krzyczy właśnie takim głosem, jakim nawrócił miliony Chińczyków: „Gdzie jest dom Franka McCourta?!”. Wrzeszczy, nawet jeśli ma w kieszeni adres i doskonale wie, gdzie mieszkasz. Ryczy, ponieważ chce, żeby wszyscy wiedzieli, iż zaniedbujesz bractwo i narażasz na niebezpieczeństwo swoją nieśmiertelną duszę. Matki ogarnia przerażenie, a ojcowie szepczą: „Nie ma mnie w domu”, i od tej pory robią wszystko, żeby syn chodził na spotkania bractwa, by się ustrzec od kompletnego zhańbienia w oczach sąsiadów i uciszyć ich ukradkowe szepty.

Pytajnik wprowadza mnie do sekcji Świętego Finbara, a prefekt każe mi usiąść i siedzieć cicho. Nazywa się Declan Collopy, ma czternaście lat i guzy na czole, które przypominają rogi. Ma gęste rude brwi, które łączą się pośrodku i zwisają mu na oczy, a ręce tak długie, że sięgają do kolan. Mówi mi, że to ma być najlepsza sekcja w bractwie, a jeśli kiedykolwiek nie zjawię się na spotkaniu, połamię mi kości i wyśle je mamie. Nic nie usprawiedliwia nieobecności; w jednej sekcji przyniesiono chłopca na zebranie na noszach, chociaż był umierający.

– Jeślibyś kiedyś nie przyszedł, to najlepiej, żeby powodem była śmierć, i to nie w rodzinie, ale twoja własna. Rozumiesz?

– Rozumiem, Declan.

Chłopcy z mojej sekcji wyjaśniają, że prefektów czeka nagroda za idealną frekwencję. Declan chce się wyrwać ze szkoły najwcześniej, jak się da, i dostać pracę sprzedawcy

linoleum w wielkim sklepie Cannocka przy Patrick Street. Jego wuj Foncey sprzedawał tam linoleum przez całe lata i zarobił dosyć, żeby otworzyć własny sklep w Dublinie, gdzie teraz zatrudnia swoich trzech synów. Ojciec Gorey, dyrektor, może bez trudu załatwić Declanowi nagrodę w postaci pracy u Cannocka, jeśli Declan okaże się dobrym prefektem i w jego sekcji nie będzie nieobecności. Dlatego właśnie Declan za każdą nieobecność może nas wykończyć.

– Nikt nie stanie pomiędzy mną a linoleum – zapowiada.

Declan lubi Pytajnika Quigleya i czasami pozwala mu opuścić jakiś piątkowy wieczór, ponieważ Pytajnik obiecał, że jak dorośnie i ożeni się, to cały dom wyłoży linoleum, które zamierza kupić u Declana.

Inni chłopcy z sekcji próbowali z Declanem tej sztuczki, ale nie dał się nabrać.

– Odczep się, będziesz szczęściarzem jako właściciel nocnika do sikania, o linoleum najwyżej pomarzysz.

Tata mówi, że kiedy był w moim wieku w Toome, już dawno służył do mszy, pora więc, żebym i ja został ministrantem.

– Po co? – pyta mama. – Dzieciak nie ma odpowiedniego ubrania do szkoły, a co dopiero do ołtarza!

Tata twierdzi, że komeżka ministranta zakryje ubranie, a mama – że nie stać nas ani na komeżkę, ani na to, żeby ją co tydzień uprać.

Ojciec tłumaczy, że Bóg jakoś dopomoże. Każe mi od razu uklęknąć na podłodze w kuchni. Bierze na siebie rolę księdza, bo umie na pamięć całą mszę, a ja muszę się nauczyć odpowiedzi. On mówi: *Introibo ad altare Dei*, a ja mam odpowiedzieć: *Ad Deum, qui laetificat juventutem meam*.

Codziennie po kolacji klękam do łaciny, a ojciec nie pozwala mi się ruszyć, dopóki się nie nauczę bezbłędnie. Mama wtrąca, że mógłby chociaż pozwolić mi usiąść, ale on oświadcza, że łacina jest święta i należy jej się uczyć i recytować na kolanach. Papież nie siedzi przy herbacie, kiedy mówi po łacinie.

Łacina jest trudna, bolą mnie kolana, które są całe w strupach, i chciałbym wyjść na dwór się bawić. Ale chciałbym także być ministrantem, pomagać księdzu ubierać się w zakrystii, stać przy ołtarzu w czerwono-białych szatach jak mój kumpel Jimmy Clark, odpowiadać księdzu po łacinie, przynosić wielką księgę z jednej strony tabernakulum na drugą, nalewać wodę i wino do kielicha, polewać wodą ręce księdza, dzwonić sygnaturką na konsekrację, klękać, skłaniać głowę, wymachiwać kadzielnicą podczas podniesienia, siedzieć z boku z rękami splecionymi na kolanach i z poważną miną, kiedy ksiądz wygłasza kazanie, a wszyscy w kościele Świętego Józefa patrzą na mnie i podziwiają moje zachowanie.

Po dwóch tygodniach umiem całą mszę, więc czas iść do zakrystiana u Świętego Józefa, Stephena Careya, który zajmuje się ministrantami. Tata czyści moje buty, mama ceruje skarpetki, dorzuca węgla do ognia, żeby podgrzać żelazko i uprasować mi koszulę. Grzeje wodę, żeby umyć mi głowę, szyję, ręce, kolana i każdy widoczny kawałek ciała. Szoruje, mocno, aż piecze mnie skóra, i tłumaczy tacie, że nie dopuści do tego, by mówiono, iż jej syn brudny poszedł do ołtarza. Narzeka tylko, że mam całe kolana w strupach od kopania puszek, przewracania się i udawania największego piłkarza. Żałuje, że nie mamy w domu ani kropli brylantyny, ale może woda i ślina sprawią, że włosy nie będą mi sterczeć jak czarna słoma z materaca. Mama przykazuje, żebym mówił wyraźnie u Świętego Józefa, nie mamrotał ani po angielsku, ani po łacinie.

– Szkoda, że wyrosłeś z ubranka do pierwszej komunii, ale nie masz się czego wstydzić, pochodzisz z dobrych rodzin, McCourtów, Sheehanów czy Guilfoylesów, rodziny mojej matki, która miała całe hektary ziemi w hrabstwie Limerick, zanim ją zgrabili Anglicy i podarowali rozbójnikom z Londynu.

W drodze do kościoła tata trzyma mnie za rękę, a ludzie nam się przyglądają, bo przerzucamy się łaciną. Tata puka do drzwi zakrystii i mówi do Stephena Careya:

– To mój syn Frank, który zna łacinę i może już być ministrantem.

Stephen Carey patrzy na niego, a potem na mnie.

– Nie mamy dla niego miejsca – mówi i zamyka drzwi. Tata ciągle jeszcze trzyma mnie za rękę i ściska mocno, aż do bólu, i mam ochotę krzyknąć. W drodze do domu w ogóle się nie odzywa. Potem zdejmuję czapkę, siada przy ogniu i zapala woodbine’a. Mama też pali.

– No i co, zostanie ministrantem? – pyta.

– Nie ma dla niego miejsca.

– Ach, tak – zaciąga się woodbine’em. – Powiem ci, co to jest. To różnica klas. Nie chcą przy ołtarzu chłopców z naszych uliczek. Nie chcą chłopców ze strupami na kolanach i ze sterczącymi włosami. O nie! Oni wolą miłych chłopców z włosami posmarowanymi brylantyną, chłopców w nowych butach, których ojcowie mają garnitury, krawaty i stałe posady. Tylko o to chodzi; i naprawdę trudno utrzymać się przy wierze, w której jest tyle snobizmu.

– To prawda.

– To prawda! Na nic więcej cię nie stać? Mógłbyś pójść do księdza i powiedzieć mu, że twój syn ma głowę naszpikowaną łaciną, więc może jednak zostałby ministrantem, bo co ma zrobić z tą całą łaciną?

– Może wyrośnie na księdza.

Pytam taty, czy mogę iść się bawić.

– Tak, idź się bawić.

– W końcu, co za różnica – dodaje mama.

VI

Pan O'Neill jest nauczycielem w czwartej klasie. Nazywamy go Kropka, bo jest taki mały. Uczy w jedynej sali z podwyższeniem, może więc z góry grozić nam różgą i obierać jabłko w taki sposób, żeby wszyscy widzieli. We wrześniu, w pierwszym dniu nauki, napisał na tablicy trzy słowa, które mają tam zostać do końca roku: Euklides, geometria, kretyn. Grozi, że jeśli któregoś z chłopców przyłapie na majstrowaniu przy tablicy, sprawca do końca życia będzie miał tylko jedną rękę. Twierdzi, że każdy, kto nie rozumie twierdzeń Euklidesa, jest kretynem.

– Powtórzcie za mną: „Każdy, kto nie rozumie twierdzeń Euklidesa, jest kretynem”.

Oczywiście, wszyscy wiemy, co to jest kretyn, bo nauczyciel nie przestaje nam powtarzać, że to właśnie my.

– Proszę pana, co to jest twierdzenie i co to jest Euklides? – podnosi rękę Brendan Quigley.

Spodziewamy się, że Kropka rzuci się na Brendana, tak jak wszyscy nauczyciele, kiedy zada im się pytanie, ale on tylko patrzy na Quigleya z uśmiechem.

– Proszę, znalazł się chłopiec, który ma nie jedno, ale od razu dwa pytania. Jak się nazywasz, chłopcze?

– Brendan Quigley, proszę pana.

– To chłopiec, który daleko zajdzie. Dokąd on zajdzie, chłopcy?

– Daleko, proszę pana.

– Niewątpliwie. Chłopiec, który chce się czegoś dowiedzieć o wdzięku, elegancji i pięknie Euklidesa, może jedynie pójść do góry. Chłopcy, w jakim jedynym kierunku może iść?

– Tylko do góry, proszę pana.

– Chłopcy, matematyka bez Euklidesa byłaby bardzo nędzna. Bez Euklidesa nie moglibyśmy przejść stamtąd tu. Bez Euklidesa rower nie miałby kół. Bez Euklidesa święty Józef nie mógłby być cieślą, bo ciesiołka to geometria, a geometria to ciesiołka. Bez Euklidesa nigdy nie dałoby się zbudować tej szkoły.

– Pieprzony Euklides – mamrocze za mną Paddy Clohessy.

– Jak się nazywasz? – warczy na niego Kropka.

– Clohessy, proszę pana.

– Co to, nie masz drugiej nogi? Jakie imię dostałeś na chrzcie?

– Paddy.

– Paddy i co dalej?

– Paddy, proszę pana.

– Dobrze, Paddy, więc co mówiłeś do McCourta?

– Mówiłem, że powinniśmy klęknąć na oba kolana i podziękować Bogu za Euklidesa.

– Nie wątpię, Clohessy. Widzę kłamstwo gnijące na twoich zębach. Co widzę, chłopcy?

– Kłamstwo, proszę pana.

– I co robi to kłamstwo?

– Gnije, proszę pana.

– A gdzie?

– Na jego zębach, proszę pana.

– Euklides był Grekiem. Clohessy, co to jest Grek?

– Jakiś cudzoziemiec, proszę pana.

– Clohessy, jesteś półgłówkiem. Brendan, ty na pewno wiesz, co to jest Grek?

– Tak, proszę pana, Euklides był Grekiem.

Kropka obdarza go uśmiechem. Mówi Clohessy’emu, że powinien brać przykład z Quigleya, który wie, co to jest Grek. Rysuje dwie linie jedną obok drugiej i mówi, że to są linie równoległe, a cudem i tajemnicą jest fakt, że linie te nigdy się nie spotkają, nawet gdyby rozciągnąć je w nieskończoność, nawet gdyby rozciągnąć je aż do ramion Boga, a to, chłopcy, jest naprawdę bardzo daleko. Pojawił się, co prawda, taki niemiecki Żyd, który niepokoi cały świat swoimi pomysłami na temat linii równoległych.

Słuchamy Kropki i zastanawiamy się, jaki to wszystko ma związek z sytuacją na świecie, gdzie Niemcy maszerują we wszystkie strony i bombardują wszystko, co jeszcze stoi. Sami boimy się o to zapytać, ale możemy napuścić Brendana Quigleya. Każdy widzi, że Brendan jest ulubieńcem nauczyciela, a to znaczy, że może zadać dowolne pytanie. Po lekcjach mówimy Brendanowi, że następnego dnia musi zapytać: „Jaki pożytek z Euklidesa i tych linii, które się ciągną w nieskończoność, kiedy Niemcy wszystko bombardują?”. Brendan broni się, że nie chce być ulubieńcem nauczyciela, że wcale o to nie prosił i nie chce zadawać tego pytania. Obawia się, że jeśli zapyta, Kropka go zaatakuje. Obiecujemy, że jeśli nie zapyta, my go zaatakujemy.

Następnego ranka Brendan podnosi rękę. Kropka znowu obdarza go tym swoim uśmiechem.

– Proszę pana, po co Euklides i te wszystkie linie, kiedy Niemcy bombardują wszystko, co stoi?

– Oj, Brendan. Oj, chłopcy – uśmiezek znika. Kropka odkłada różgę na biurko i stoi z zamkniętymi oczami. – Po co jest Euklides? – powtarza. – Po co? Bez Euklidesa messerschmitty nigdy nie mogłyby wzlecieć na niebo. Bez Euklidesa spitfire’y nie mogłyby nikać od chmurki do chmurki. Euklides niesie wdzięk, elegancję i piękno. Co nam daje Euklides, chłopcy?

– Wdzięk, proszę pana.

– I co?

– Piękno, proszę pana.

– I co jeszcze?

– Elegancję, proszę pana.

– Euklides sam w sobie jest doskonały, a jego praktyczne zastosowanie po prostu boskie. Rozumiecie to, chłopcy?

– Tak, proszę pana.

– Bardzo wątpię. Bo miłość do Euklidesa oznacza zupełną samotność na tym świecie.

Otwiera oczy, wzdycha i widać, że oczy są trochę wilgotne.

Kiedy Paddy Clohessy wychodził ze szkoły, zaczepił go pan O’Dea, który uczy piątą klasę.

– Jak się nazywasz? – spytał pan O’Dea.

– Clohessy, proszę pana.

– W której jesteś klasie?

– W czwartej, proszę pana.

– To powiedz mi, Clohessy, czy ten wasz nauczyciel opowiada o Euklidesie?

– Tak, proszę pana.

– I co mówi?

– Mówi, że to jest Grek.

– To oczywiście, ty nieszczęsny baranie. Co jeszcze mówi?

– Mówi, że bez Euklidesa nie byłoby szkoły.

– Aha. A czy coś rysuje na tablicy?

– Rysuje obok siebie linie, które się nigdy nie spotkają, nawet jeśli wylądują na ramionach Boga.

– Matko Boska!

– Nie, proszę pana. Nie Matki Boskiej, tylko Boga.

– Wiem, ty kretynie. Idź do domu!

Następnego dnia pod drzwiami naszej klasy rozlega się wielki hałas. To pan O’Dea wrzeszczy.

– Wychodź, O’Neill, ty draniu, ty tchórze!

Słyszemy każde słowo, bo nad drzwiami jest wybita szyba.

– Spokojnie, panie O’Dea! Niech się pan opanuje. Żadnych kłótni w obecności uczniów – mówi nowy dyrektor, pan O’Halloran.

– Zgoda, panie O’Halloran, ale wobec tego niech mu pan zabroni uczenia geometrii. Geometria jest dla klasy piątej, nie dla czwartej. Geometria należy do mnie. Niech uczy dzielenia, a mnie zostawi Euklidesa. Bóg świadkiem, że już do czterech działań będzie musiał nadmiernie wyteńczyć swój umysł. Nie chciałbym, żeby ten oszust pomieszał chłopcom w głowach, dosyć, że rozdaje naprawo i na lewo skórki od jabłek, powodując rozstrój żołądków. Panie O’Halloran, proszę mu powiedzieć, że Euklides należy do mnie, bo w przeciwnym razie sam powstrzymam ten jego rozpęd.

Pan O’Halloran poleca panu O’Dei wrócić do swojej klasy, a pana O’Neilla wywołuje na korytarz.

– Panie O’Neill, już wcześniej prosiłem, żeby zostawił pan Euklidesa.

– To prawda, panie O’Halloran, ale równie dobrze mógłby pan prosić, żebym się wyrzekł codziennego jabłka.

– Panie O’Neill, nalegam, żeby przestał pan mówić o Euklidesie.

Pan O’Neill wraca do klasy i znowu ma zażawione oczy. Twierdzi, że niewiele zmieniło się od czasów greckich, bo barbarzyńcy są za bramami, a imię ich legion.

– Chłopcy, co się zmieniło od czasów Greków?

Torturą jest oglądanie, jak pan O’Neill codziennie obiera jabłko, patrzenie na długość obranej skórki, na to, czy jest zielona, czy czerwona, w bliższych ławkach w nozdrza wpada świeży jabłeczny zapach. Jeśli danego dnia było się grzecznym, odpowiedziało się na jego pytania, to podaruje skórkę i pozwoli ją zjeść w ławce na siedząco, a to znaczy, że można będzie ją zjeść w spokoju, nie tak jak na boisku. Bo tam nie można się opędzić od chłopaków, którzy domagają się, żeby im dać chociaż kawałek, i przy odrobinie szczęścia zostaje najwyżej reszta skórki długości cala.

Czasami pytania są trudne i wtedy nauczyciel dręczy nas widokiem skórki wrzucanej do kosza. Potem prosi chłopca z innej klasy, żeby opróżnił kosz i spalił w piecu całą zawartość razem ze skórką, albo zostawia śmieci sprzątacze Nellie Aheam, żeby wyniosła wszystko w swojej olbrzymiej płóciennej torbie. Próbujemy uprosić Nellie, żeby uratowała dla nas tę skórkę, zanim dobiorą się do niej szczury, ale Nellie jest zmęczona sprząaniem całej szkoły i krzyczy:

– Mam co robić, nie muszę patrzeć na waszą bandę, jak się bijecie o skórkę od jabłka. Zjeżdżać mi stąd!

Nauczyciel obiera jabłko powoli. Rozgląda się po klasie z uśmiechem.

– Chłopcy, uważacie, że powinienem wyłożyć to gołębiom na parapet? – przekomarza się z nami.

– Nie, proszę pana, gołębie nie jedzą jabłek! – wołamy.

– Dostałyby rozwolnienia, proszę pana, prosto nam na głowy na boisku – dodaje Paddy Clohessy.

– Clohessy, jesteście matoły. Wiesz, co to jest matoły?

– Nie wiem, proszę pana.

– To po irlandzku *omadhaun*, *Clohessy*, w twoim rodzimym języku. *Omadaun* to głupek, *Clohessy*. I ty jesteś *omadhaun*. Kim on jest, chłopcy?

– *Omadaun*, proszę pana.

– Tak mnie nazwał pan O’Dea, proszę pana – mówi *Clohessy*.

Nauczyciel przerywa obieranie jabłka, żeby zadać nam mnóstwo pytań na różne tematy. Wygrywa chłopiec, który odpowie najlepiej.

– Kto jest prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki? Ręka do góry.

Wszystkie ręce w klasie podnoszą się do góry. Jesteśmy bardzo rozgoryczeni, kiedy zadaje pytanie, na które potrafi odpowiedzieć każdy *omadhaun*.

– Roosevelt! – wołamy chórem.

– *Mulcahy*, powiedz mi, kto stał u stóp krzyża, kiedy krzyżowano Pana Jezusa?

– Dwunastu apostołów, proszę pana – odpowiada *Mulcahy*, który nie jest zbyt bystry.

– *Mulcahy*, jak jest po irlandzku głupek?

– *Omadaun*, proszę pana.

– A kim ty jesteś *Mulcahy*?

– *Omadaun*, proszę pana.

– Proszę pana, ja wiem, kto stał u stóp krzyża – podnosi rękę *Fintan Slattery*.

Oczywiście, że *Fintan* wie, kto stał u stóp krzyża. Dlaczego miałby nie wiedzieć? Ciągle biega na msze z matką, która znana jest ze swojej świętości. Jest taka święta, że jej mąż zbiegł do Kanady karczować drzewa i tak się ucieszył wolnością, że już nigdy nie dał znaku życia. Co wieczór matka i *Fintan* klękają w kuchni, by odmówić różaniec, i czytają wszystkie możliwe pisma religijne: „Posłańca Serca Jezusowego”, „Latarnię”, „Daleki Wschód”, a także każdą broszurkę wydaną przez Katolickie Stowarzyszenie Prawdy. Bez względu na pogodę *Fintan* z matką chodzą na mszę i przystępują do komunii, a co sobota spowiadają się u jezuitów, znanych ze swego zainteresowania inteligentnymi grzechami, nie takimi zwykłymi, które wyznają mieszkańcy ubogich uliczek, co to się często upijają, jedzą mięso w piątek, zanim się zepsuje, przy tym jeszcze klną. *Fintan* z matką mieszkają przy *Catherine Street*; sąsiedzi nazywają panią *Slattery* panią Ofiarowanie, bo niezależnie od tego, o co chodzi: o złamaną nogę, rozlaną herbatę czy męża, który zniknął, powtarza:

– Ofiaruję to Bogu i będę miała dosyć odpustów, by dostać się do nieba.

Fintan wcale nie jest lepszy. Jak ktoś go na boisku popycha albo przezywa, *Fintan* mówi z uśmiechem, że się pomodli za swego prześladowcę i wszystko ofiaruje Bogu w intencji jego i swojej duszy. Chłopcy z naszej szkoły nie chcą, żeby *Fintan* się za nich modlił, grożą mu solidnym kopnięciem w tyłek, jeśli go na tych modłach przyłapią. *Fintan* twierdzi, że kiedy dorośnie, chce być świętym, co jest bardzo śmieszne, bo przecież nie można być świętym, dopóki się nie umrze. Mówi, że nasze wnuki będą się modlić do niego na obrazku.

– Moje wnuki będą sikać na twój obrazek – odparowuje jeden ze starszych chłopaków.

Fintan tylko się uśmiecha. Jego siostra uciekła do Anglii, kiedy miała siedemnaście lat, a wszyscy wiedzą, że on w domu nosi jej bluzkę i zakręca sobie włosy jej lokówką na gorąco w każdą sobotę wieczorem, żeby wspaniale wyglądać na niedzielnej mszy. Jeśli spotka się go w drodze do kościoła, na pewno zapyta: „Frankie, czy moje włosy nie są wspaniałe?”. Uwielbia słowo: wspaniałe, którego żaden z chłopaków nigdy nie używa.

Oczywiście, że wie, kto stał u stóp krzyża. Pewno wie także, w co ten ktoś był ubrany, co jadł na śniadanie. Teraz mówi *Kropce*, że były to trzy Marie.

– *Fintan*, podejdź tu odebrać nagrodę! – poleca *Kropka*.

Fintan bez pośpiechu idzie do podwyższenia. Nie możemy uwierzyć własnym oczom, kiedy wyjmuje scyzoryk, żeby pokroić obierzynę z jabłka na małe kawałki i jeść po kolei, zamiast wepchnąć całą do ust, jak robi każdy z nas, kiedy wygra.

– Proszę pana, chciałbym oddać część swojego jabłka – mówi.

– Jabłka, Fintan? To niemożliwe. Ty nie masz jabłka. Masz obierzynę, samą skórkę. Nie osiągnąłeś i nigdy nie osiągniesz lak zawrotnych wyzryn, by raczyć się jabłkiem. W każdym razie nie moim, Fintan. Czy dobrze usłyszałem, że chcesz oddać swoją nagrodę?

– Tak, proszę pana. Chciałbym dać po kawałku Quigleyowi, Clohessy’emu i McCourtowi.

– Dlaczego?

– To moi przyjaciele, proszę pana.

Chłopcy w klasie poszturchują się z drwiącymi minami, a ja czuję się zawstydzony, bo mogą powiedzieć, że ja też kręcę sobie włosy, i będą mnie dręczyć na boisku. Dlaczego on uważa, że jestem jego przyjacielem? Jeśli jeszcze dodadzą, iż noszę bluzkę własnej siostry, na nic się nie zda tłumaczenie, że nie mam siostry, bo stwierdzą, że gdybym miał, tobym nosił. W ogóle bez sensu jest wyjaśnianie czegokolwiek na boisku, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto wie lepiej, i można jedynie dać mu fangę w nos. Ale gdyby chciało się tak potraktować każdego, kto wie lepiej, trzeba by rozdzielać te fangi rano, w południe i wieczorem.

Quigley bierze od Fintana kawałek skórki.

– Dziękuję, Fintan.

Cała klasa patrzy na Clohessy’ego, bo on jest największy i najtwardszy z nas, jak on powie: dziękuję, to ja też. Clohessy mówi: „Bardzo dziękuję, Fintan” i oblewa się rumieńcem, ja też powtarzam: „Bardzo dziękuję, Fintan” i próbuję się nie zarumienić, ale nie potrafię, więc chłopcy znowu śmieją się drwiąco i najchętniej bym ich stłukł.

Po lekcjach wrzeszczą:

– Hej, Fintan, czy idziesz do domu zakręcić swoje wspaniałe włosy?!

Fintan z uśmiechem wychodzi po schodach na boisko. Wielki chłopak z siódmej klasy mówi do Paddy’ego Clohessy’ego:

– Pewnie też byś sobie kręcił loki, gdybyś nie był łysołem z ogoloną głową.

Paddy woła, żeby się zamknął, a chłopak pyta:

– Tak? A kto mnie zmusi?

Paddy próbuje go trzasnąć, lecz starszy chłopak uderza go w nos, przewraca i leje się krew. Próbuje uderzyć starszego chłopaka, ale on chwytamnie za gardło i tłucze moją głową o ścianę, aż widzę na zmianę światło i czarne kropki. Paddy odchodzi, trzyma się za nos i płacze, a ten wielki chłopak popycha mnie w jego stronę. Na ulicy stoi Fintan.

– Patrick, Francis, co się stało? Patrick, dlaczego płaczesz?

– Jestem głodny. Nie mogę się z nikim bić, bo umieram z głodu i przewracam się, aż mi wstyd – mówi Paddy.

– Chodź ze mną. Mama da nam coś do jedzenia.

– Nie mogę. Krew mi leci z nosa – tłumaczy Paddy.

– Nie szkodzi. Mama przyłoży ci coś na nos albo położy ci klucz na szyi. Francis, ty też musisz iść. Zawsze wyglądasz, jakbyś był głodny.

– Nie, Fintan.

– Chodź, Francis.

– Dobrze.

Mieszkanie Fintana przypomina kaplicę. Wiszą tam dwa obrazki: Najświętsze Serce Jezusa i Niepokalane Serce Matki Boskiej. Jezus pokazuje swoje serce w koronie cierniowej, w ogniu i krwi. Głowę ma przechyloną w lewo, żeby podkreślić swój wielki smutek. Matka Boska pokazuje swoje serce, które byłoby bardzo przyjemne, gdyby nie korona z cierni. Głowa Matki Boskiej przechylona jest w prawo, żeby podkreślić Jej wielki smutek, bo wie, że Jej Syna czeka straszny koniec.

Na drugiej ścianie wisi obrazek mężczyzny w brązowej szacie, którego obsiadły ptaki.

– Francis, wiesz, kto to jest? – pyta Fintan. – Nie? To twój patron, święty Franciszek z Asyżu. A wiesz, jaki dzisiaj dzień?

– Czwarty października.

– Tak. To jego święto, szczególny dzień dla ciebie, bo możesz poprosić świętego Franciszka o co zechcesz, a on na pewno ci pomoże. Właśnie dlatego chciałem, żebyś tu dzisiaj przyszedł. Siadaj, Patrick, siadaj, Francis.

Wchodzi pani Slattery z różańcem w rękę. Cieszy się, że poznaje nowych przyjaciół Fintana, i pyta, czy zjemy kanapki z serem. A co z twoim nosem, Patrick? Dotyka jego nosa krzyżem od różańca i odmawia krótką modlitwę. Mówi nam, że ten różaniec pobłogosławił sam papież, więc gdyby było trzeba, można nim zatrzymać bieg dużej rzeki, a co dopiero krew z nosa Patricka!

Fintan nie będzie jadł kanapki, ponieważ pości i modli się za chłopaka, który pobił Paddy’ego i mnie. Pani Slattery całuje go w głowę i mówi, że jest świętym z niebios. Pyta, czy chcemy musztardy do kanapek; odpowiadam, że nigdy nie jadłem sera z musztardą, więc chętnie spróbuję.

– Ja nie wiem – waha się Paddy. – Nigdy w życiu nie jadłem kanapy.

Wszyscy wybuchamy śmiechem, a ja się zastanawiam, jak można przeżyć dziesięć lat, tak jak Paddy, i nigdy nie jeść kanapki. Paddy też się śmieje; widać, że jego zęby są białe, czarne i zielone.

Jemy kanapki i pijemy herbatę. Paddy chce się dowiedzieć, gdzie jest ubikacja. Fintan prowadzi go przez sypialnię do ogródka za domem; kiedy wracają, Paddy mówi:

– Muszę iść do domu. Mama mnie zabije. Frankie, poczekam na ciebie na dworze.

Teraz ja muszę do ubikacji, więc Fintan prowadzi mnie do ogródka. Twierdzi, że on też musi. Rozpinam rozporek i nie mogę sikać, bo mi się przygląda.

– Nabrałeś mnie. Wcale ci się nie chciało – mówi. – Francis, lubię na ciebie patrzeć. Nic więcej. Nie chciałbym popełnić żadnego grzechu, bo w przyszłym roku idziemy do bierzmowania.

Wychodzimy razem z Paddym. Pęka mi pęcherz, więc biegnę sikać za garaż. Paddy czeka na mnie, a potem kiedy idziemy po Harrington Street, mówi:

– Ta kanapka to było coś. Ale chociaż Fintan i jego matka są tacy święci, nie chcę już tam chodzić, bo on jest bardzo dziwny. Prawda, Frankie?

– Prawda, Paddy.

– Tak się gapi, jak się wyjmie. To dziwne, prawda, Frankie?

– Prawda, Paddy.

Kilka dni później Paddy szepcze mi, że Fintan Slattery chce, żebyśmy poszli do niego w przerwie obiadowej. Mamy nie będzie, a zawsze zostawia dla niego jedzenie. Może się z nami podzieli, a pije takie dobre mleko. Pójdziemy?

Fintan siedzi dwie ławki od nas. Wie, o czym mówi Paddy, porusza brwiami w górę i w dół, jakby chciał zapytać: przyjdziecie? Szepczę do Paddy’go, że tak, on kiwa Fintanowi głową, a nauczyciel krzyczy, żebyśmy przestali ruszać brwiami i ustami, bo poczujemy na plecach różgę.

Chłopcy na boisku widzą, że oddaliśmy się we trzech, i robią uwagi.

– Popatrzcie na Fintana i jego absztyfikantów!

– Fintan, co to absztyfikant? – pyta Paddy, a Fintan wyjaśnia, że dawniej tak się określało kolegów. Nic więcej.

Każe nam usiąść przy stole w kuchni, pozwala czytać swoje komiksy, „Film Fun”, „Beano”, „Dandy” albo pisma religijne czy romansowe magazyny matki – „Miracle” i „Oracle”. Zawsze są w nich historie o robotnicach z fabryki, biednych, ale pięknych, zakochanych w synach earla albo odwrotnie. Dziewczyna zwykle z rozpacz rzuca się do Tamizy, skąd ratuje ją przechodzący akurat stolarz – biedny, ale uczciwy, który pokocha dziewczynę z fabryki szczerą miłością. Potem się okaże, że przechodzący stolarz to naprawdę syn diuka, który jest znacznie ważniejszy od earla, i teraz biedna fabryczna robotnica jest diuszesa i może patrzeć z góry na earla, który nią pogardził. Jest szczęśliwa, zajmuje się

różami w olbrzymiej posiadłości w Shropshire i okazuje czułość biednej starej matce, która za żadne pieniądze nie porzuci swojej nędznej chatki.

– Nie chcę nic czytać – oświadcza Paddy – bzdurne są te wszystkie historie.

Fintan zdejmuje serwetkę przykrywającą kanapkę i mleko.

Mleko robi wrażenie tłustego, cudownie chłodnego, a kanapka zrobiona jest z niemal równie białego chleba.

– Czy to kanapa z szynką? – pyta Paddy.

– Tak.

– To piękna kanapa. Czy jest na niej i musztarda?

Fintan kiwa twierdząco głową i kraje kanapkę na pół. Wypływa z niej musztarda. Zlizuje ją z palców i wypija duży łyk mleka. Dalej kroi kanapkę na ćwiartki, ósemki, szesnastki, bierze „Małego Posłańca Serca Jezusowego” z kupki czasopism i czyta, zając kanapkę i popijając mlekiem. Tymczasem Paddy i ja patrzymy na niego; wiem, że Paddy się zastanawia, co tu w ogóle robimy, ponieważ ja też się nad tym zastanawiam, choć mam nadzieję, że Fintan przysunie nam talerz, ale nie – kończy mleko, zostawia na talerzu kawałki kanapki, przykrywa je serwetką, wyciera usta tym swoim delikatnym ruchem, opuszcza głowę, robi znak krzyża, odmawia modlitwę po jedzeniu. Boże, spóźnimy się do szkoły! Wychodząc z domu, żegna się znowu wodą święconą z wiszącej przy drzwiach małej porcelanowej kropielnicy z wizerunkiem Matki Boskiej o odkrytym sercu, na które wskazuje dwoma palcami, jakbyśmy sami nie mogli go zobaczyć.

Jest już za późno, żebyśmy mogli z Paddym pobiec po bułkę i mleko do Nellie Aheam. Nie mam pojęcia, jak wytrzymam resztę lekcji i powrót do domu, gdzie dostanę kawałek chleba. Paddy przystaje przy szkolnej bramie.

– Nie mogę iść, bo umieram z głodu. Zasnę, a Kropka mnie zabije – oświadcza.

– Chodźcie, chodźcie, bo się spóźnimy – niepokoi się Fintan. – Chodź, Francis, pospiesz się!

– Nigdzie nie idę, Fintan. Ty zjadłeś obiad, a my nie jedliśmy nic.

– Jesteś cholernym draniem, Fintan. I do tego przeklętym fałszywcem z twoją cholerną kanapką i Najświętszym Sercem Jezusa na ścianie i z twoją cholerną wodą święconą. Możesz mnie pocałować w dupę.

– Patricku!

– Pocałuj mnie w dupę, Fintan. Chodź, Frankie.

Fintan wbiega do szkoły, a ja z Paddym idę do sadu w Ballinacurze. Przechodzimy przez mur; rzuca się na nas zły pies, ale Paddy przemawia do niego, że jest dobrym pieskiem, a my jesteśmy głodni, więc lepiej niech wraca do mamy. Pies liże Paddy’ego po twarzy i odbiega, machając ogonem, a Paddy jest sobą zachwycony. Napychamy jabłkami koszule tak, że z trudem przelazimy z powrotem przez mur, biegniemy na pole, siadamy pod żywopłotem i opychamy się jabłkami dopóty, dopóki nic więcej nie możemy przełknąć. Zanurzamy twarze w cudownie chłodnej wodzie strumienia. Potem biegniemy na przeciwne strony rowu, żeby się wysrać, podetrzeć się trawą i dużymi liśćmi. Paddy siedzi w kucki i mówi:

– Nie ma nic lepszego niż najeść się jabłek, napić się wody i porządnie się wysrać, to znacznie lepsze niż kanapy z serem i z musztardą, a Kropka O’Neill może sobie wsadzić w dupę swoje jabłko.

Na polu stoją trzy krowy, położyły głowy na kamiennym murku i ryczą do nas. Paddy wykrzykuje:

– Jezus, to pora dojenia! – Przeskakuje przez mur, kładzie się na plecach pod krową, wielkie wymię wisi mu nad głową. Pociąga za cycek i wstrzykuje sobie mleko do ust. Przystaje na chwilę i woła: – Chodź, Frankie! Świeże mleko. Doskonałe. Weź od tamtej krowy, wszystkie są gotowe do udoju.

Wchodzę pod krowę i ciągnę za cycek, ale krowa kopie i nie mam wątpliwości, że mnie zabije. Podchodzi Paddy i pokazuje mi, jak to robić: trzeba ciągnąć mocno i prosto, a mleko poleci silnym strumieniem. Obaj leżymy pod jedną krową i spędzamy wspaniale czas, opijając się mlekiem. Nagle rozlega się ryk i przez pole biegnie mężczyzna z kijem. W sekundę przeskakujemy mur, a on nie może nas gonić, bo jest w gumiakach. Stoi przy murze, wymachuje laską i grozi, że jeśli nas złapie, poczujemy na tyłkach jego buty; my się śmiejemy, bo jesteśmy poza zasięgiem niebezpieczeństwa. Zastanawiam się, jak można być głodnym na świecie pełnym mleka i jabłek.

Paddy'emu dobrze mówić, żeby Kropka wsadził sobie w dupę swoje jabłko, ale ja nie chcę stale okradać sadów i doić krów, zawsze będę się starał wygrać obierzynę z Kropkowego jabłka, żebym mógł w domu pochwalić się tacie, jak odpowiedziałem na trudne pytania.

Wracamy przez Ballinacurrę. Pada deszcz i błyska się, biegniemy, ale mnie trudno biec, bo mam ruchomą podeszwę w bucie, przez co łatwo się przewrócić. Paddy może swobodnie gnać na długich bosych nogach; słychać, jak jego stopy uderzają o chodnik. Ja mam przemoczone buty i pończochy, które też wydają dziwny dźwięk, jakby świst. Paddy to zauważa i układamy melodię z tych dwóch odgłosów: pac, pac, psit, psit. Tak bardzo nas to rozśmiesza, że musimy się nawzajem podtrzymać. Pada coraz mocniej. Wiemy, że nie ma sensu czekać pod drzewem, bo kompletnie przemokniemy. Stajemy więc pod drzwiami, które prawie natychmiast otwiera wielka gruba służąca w małym białym czepeczku, w czarnej sukni z maleńkim białym fartuszkim i każe nam zjeżdżać spod drzwi, bo wyglądamy strasznie. Uciekamy, a Paddy krzyczy w jej stronę:

– Jałówka, cielęcina od stóp do głów! – Potem niemal krztusi się ze śmiechu, aż musi się oprzeć o ścianę. Już nie ma potrzeby chronić się przed deszczem, bo i tak jesteśmy przemoczeni do nitki, więc idziemy bez pośpiechu przez O'Connell Avenue. Paddy mówi, że tego powiedzenia z jałówką nauczył się od swojego wuja Petera, który był w Indiach w angielskiej armii. Mają w domu jego zdjęcie, stoi w grupie żołnierzy w hełmach, z karabinami i bandolierami na piersi. Są tam także ciemnoskórzy mężczyźni w mundurach; to Hindusi wierni królowi. Wujek Peter spędził wspaniały okres w miejscu zwanym Kaszmir, gdzie jest ładniej niż w Killarney, o którym ciągle się tyle opowiada i wyśpiewuje. Paddy znowu zaczyna o tym, jak ucieknie i wyląduje w Indiach w jedwabnym namiocie u boku dziewczyny z czerwoną kropką na czole, będzie zjadał curry i figi. Od tych opowieści robię się głodny, choć napchałem się jabłkami i mlekiem.

Deszcz przechodzi, nad naszymi głowami odzywają się ptaki. Paddy przypuszcza, że to kaczki albo gęsi czy coś takiego; lecą do Afryki, bo tam jest ciepło i przyjemnie. Ptaki mają więcej rozumu niż Irlandczycy. Przylatują nad Shannon na wakacje, a potem wracają do ciepłych krajów, może nawet do Indii. Paddy obiecuje, że do mnie napisze, kiedy już się tam znajdzie. Wtedy będę mógł do niego przyjechać i też mieć swoją dziewczynę z czerwoną kropką.

– Paddy, po co one malują te kropki?

– Bo to znaczy, że należą do wyższej klasy.

– Ale, Paddy, czy wyższa klasa w Indiach będzie z tobą rozmawiać, jak się dowie, że jesteś z bocznej uliczki w Limerick i że nawet nie miałeś butów?

– Oczywiście, że tak. To nie to samo co w Anglii. Angielska klasa wyższa pożałowałaby ci nawet pary z własnych szczyń.

– Pary z własnych szczyń? O rety, Paddy, sam to wymyśliłeś?

– Nie, tak mówi mój ojciec, kiedy wykasłuje skrzepy na łóżku i za wszystko wini Anglików.

„Para z własnych szczyń”. Zapamiętam sobie. Będę chodził po Limerick i powtarzał to powiedzenie: „Para z własnych szczyń”. A jak kiedyś pojedę do Ameryki, tylko ja będę je znał.

Pytajnik Quigley zbliża się do nas chwiejnie na wielkim damskim rowerze.

– Czekał, Frankie McCourt! – woła do mnie. – Zabiją cię! Kropka O’Neill wysłał kartkę do ciebie do domu, że po obiedzie nie wróciłeś do szkoły, tylko poszedłeś na wagary z Paddym Clohessym. Matka cię zabije. Ojciec wszędzie cię szuka, też pewno będzie chciał cię zabić.

O Boże! Poczulem zimno i pustkę, pragnąłem znaleźć się w Indiach, gdzie jest przyjemnie i ciepło, gdzie nie ma szkoły, gdzie ojciec nie mógłby mnie znaleźć i zabić.

– On nie poszedł na wagary. Ja też nie – wyjaśnia Pytajnikowi Paddy. – Fintan Slattery zagłodził nas na śmierć, a było już za późno na mleko i bułkę w szkole. Nie przejmuj się, Frankie – zwraca się do mnie. – To wszystko bzdura. Ciągłe przysyłają do nas takie kartki, a my się nimi podcieramy.

Moi rodzice nigdy nie podtarliby się kartką od nauczyciela. Boję się teraz wrócić do domu. Pytajnik odjeżdża na rowerze i zaśmiewa się, choć nie wiem z czego, sam przecież kiedyś uciekł z domu i spał w rowie z czterema kozami, a to gorsze niż pół dnia wagarów.

Mógłbym teraz skręcić w Barrack Road, pójść do domu i powiedzieć rodzicom, że żałuję tych wagarów, ale zrobiłem to z głodu, jednak Paddy w tym momencie proponuje:

– Chodź, pójdziemy Dock Road nad Shannon i będziemy rzucać kamieniami.

Rzucamy kamienie do rzeki i huśtamy się na żelaznych łańcuchach przybrzeżnych. Robi się ciemno i nie mam pojęcia, gdzie będę spał. Może przyjdzie mi zostać nad rzeką, a może będę musiał wrócić na wieś i znaleźć jakiś rów z czterema kozami, jak Brendan Quigley. Paddy mówi, że mogę iść do niego, prześpię się na podłodze i wyschną mi rzeczy.

Paddy mieszka przy Arthur Quay w jednym z wysokich domów, które wychodzą na rzekę. Wszyscy w Limerick wiedzą, że to stare domy i że mogą się zawalić w każdej chwili. Mama zawsze nam powtarza: „Nie życzę sobie, żebyście chodzili na Arthur Quay. Jeśli spotkam tam któregoś z was, to spiorę po gębie. Tam mieszkają prymitywni ludzie, mogą was okraść i zabić”.

Znowu pada, więc małe dzieci bawią się na podestach i na schodach.

– Uważaj – mówi Paddy – bo niektórych stopni brakuje, a te istniejące są obsrane.

Podobno dlatego, że jest tylko jeden klozet na podwórku za domem, a dzieci nie zawsze zdążą zbiec ze schodów i zasiąść na muszli.

Na czwartej kondygnacji siedzi owinięta szalem kobieta z papierosem.

– To ty, Paddy?

– Ja, mamó.

– Jestem wykończona. Te schody mnie zabijają. Jadłeś kolację?

– Nie jadłem.

– Nie wiem, czy zostało trochę chleba. Idź, zobacz!

Rodzina Paddy’ego mieszka w jednym wielkim pokoju z wysokim sufitem i małym kominkiem. Są dwa wysokie okna, przez które widać Shannon. Ojciec leży w łóżku w kącie, jęczy i pluje do kubła. Bracia i siostry Paddy’ego leżą na materacach na podłodze, śpią, rozmawiają, patrzą w sufit. Gołe niemowlę pełźnie do kubła ojca, Paddy je odciąga. Wchodzi jego matka, zadyszana z powodu schodów.

– Jezus, ledwo żyję – jęczy.

Znajduje trochę chleba, parzy słabą herbatę dla Paddy’ego i dla mnie. Nie wiem, co robić. Nikt nic nie mówi. Nie pytają, skąd się wziąłem, nie każą mi iść do domu ani nic. Dopiero pan Clohessy interesuje się, kto to jest. Paddy wyjaśnia:

– To Frankie McCourt.

– McCourt? A co to za nazwisko?

– Mój tata jest z Północy, panie Clohessy.

– A jak się nazywa twoja matka?

– Angela, panie Clohessy.

– Jezus, czyżby Angela Sheehan?

– Tak, panie Clohessy.

– Jezus... – zaczyna, ale łapie go atak kaszlu, który wydobywa najdziwniejsze rzeczy z jego wnętrzości i zmusza go do pochylenia się nad kubłem. Kiedy atak mija, opada z powrotem na poduszki. – Ach, Frankie, dobrze znałem twoją matkę. Tańczyłem z nią. Matko Boska, naprawdę umieram... Tańczyłem z nią w Wembley Hall. A jaka z niej była tancerka!

Znowu pochyła się nad kubłem. Z trudem łapie powietrze, podnosi rękę, żeby sobie pomóc. Cierpi, ale nie przestaje mówić.

– Frankie, to była wspaniała tancerka. Nie była chuda, ale lekka jak piórko. Jak wyjechała z Limerick, niejeden chłop się smucił. Umiesz tańczyć, Frankie?

– Nie, panie Clohessy.

– Tatko, on umie – wtrąca Paddy. – Brał lekcje u pani O’Connor i u Cyrila Bensona.

– To zatańcz, Frankie. Dokoła pokoju, tylko uważaj na kredens. No, poruszaj nogami, chłopcze.

– Nie mogę, panie Clohessy. Nie umiem.

– Nie umiesz? Syn Angeli Sheehan? Tańcz, Frankie, bo wstanę z łóżka i zakręcę cię dokoła pokoju.

– Panie Clohessy, mam urwaną podeszwę od buta.

– Frankie, Frankie, tylko kaszle przez ciebie. Zatańcz, na miłość boską, żebym sobie przypomniał swoją młodość z twoją matką w Wembley Hall. Zdejmij ten przeklęty but i tańcz.

Musiałem wymyślać tańce i melodie tak jak kiedyś, kiedy byłem mały. Tańczę wokół pokoju w jednym bucie, bo zapomniałem go zdjąć. Próbuję wymyślać słowa: „Mury Limerick wał się, wał się, wał się. Mury Limerick wał się, a rzeka Shannon zabije cię”.

I Pan Clohessy śmieje się w łóżku.

– Jezu, nigdy czegoś podobnego nie słyszałem. Frankie, masz wspaniałe nogi do tańca. O Jezu! – Znosi się kaszlem, wyciekają z niego całe sznury czegoś zielonożółtego. Robi mi się od tego niedobrze i zastanawiam się, czy nie powinienem iść do domu z dala od tej choroby, od tego kubła, nawet pozwolić rodzicom się zabić, jeśli będą chcieli.

Paddy kładzie się na materacu przy oknie, a ja kładę się obok niego. Nie zdejmuję ubrania tak jak oni wszyscy, zapominam nawet zdjąć but, który jest przemoczony, więc skrzypi i śmierdzi. Paddy od razu usypia, patrzę na jego matkę, która siedzi przy ogniu i znowu pali papierosa. Ojciec Paddy’ego stęka, kaszle i pluje do kubła.

– Cholerna krew – wzdycha.

– Wcześniej czy później musisz iść do sanatorium – przekonuje matka Paddy’ego.

– Nie pójdę. Jak człowiek się tam znajdzie, to już koniec.

– Pewno zarazasz dzieci tymi suchotami. Mogłabym sprowadzić policję, żeby cię zabrali, bo zagrażasz dzieciom.

– Gdyby miały się zarazić, już byłyby chore.

Ogień gaśnie, pani Clohessy kładzie się obok męża. Po minucie chrapie równomiernie, chociaż on dalej kaszle i ze śmiechem wspomina dni swojej młodości, kiedy tańczył w Wembley Hall z lekką jak piórko Angelą Sheehan.

W pokoju jest ziąb, trzęsę się w mokrym ubraniu. Paddy też ma dreszcze, ale śpi i nawet nie wie, że jest mu zimno. Nie jestem pewien, czy powinienem tu zostać, czy wstać i iść stąd, ale kto by chciał włóczyć się po ulicach, kiedy każdy policjant może zapytać, co robię poza domem. Pierwszy raz jestem z dala od rodziny, wiem, że byłoby mi lepiej we własnym mieszkaniu, nawet z cuchnącą ubikacją i sąsiedztwem stajni. Źle jest, kiedy w kuchni robi się jezioro i musimy się przenosić na górę do Włoch, ale u Clohessych jest znacznie gorzej, trzeba schodzić cztery piętra do ustępu, a po drodze można się poślizgnąć na gównie. Lepiej byłoby mi z czterema kozami w rowie.

Zapadam w sen. Co chwila się budzę, ale na dobre budzi mnie pani Clohessy, która chodzi po pokoju, szarpiąc kolejnych członków rodziny, żeby wstawali. Wszyscy położyli się spać w ubraniach, więc nie muszą się ubierać i nie ma żadnych sporów. Coś mamroczą i biegną do drzwi, żeby zejść do klozetu w podwórzu. Ja też muszę iść, więc biegnę na dół z Paddym, ale akurat jego siostra Peggy siedzi na klozecie, no i musimy sikać na ścianę. Peggy grozi, że poskarży mamie, co robimy, ale Paddy każe jej się zamknąć, bo inaczej wepchnie ją do tego cholernego klozetu. Peggy wstaje, podciąga majtki, wbiega po schodach i krzyczy: „Powiem, powiem!”. Kiedy wracamy do pokoju, pani Clohessy zdziera Paddy’ego pasem po głowie za to, co zrobił swojej małej siostrze. Paddy nic nie mówi, bo pani Clohessy nakłada łyżką płatki owsiane do kubków, słoików po dżemie i do jednej miseczki. Każe nam szybko zjeść i iść do szkoły. Siada przy stole i też je płatki. Ma szaroczarne, brudne włosy. Zwieszają się aż do miski, osiadają na nich płatki i krople mleka. Dzieci siorbią i skarżą się, że dostały za mało, że umierają z głodu. Mają usmarkane nosy, zaczerwienione oczy i strupy na kolanach. Pan Clohessy kaszle i wierci się na łóżku, wypluwa wielki krwawy skrzep. Wybiegam z pokoju i rzygam na schodach, gdzie brakuje stopnia; na niższe piętro spływa strumień płatków i kawałki jabłka. Ludzie chodzą po schodach w tę i tamtą stronę, do ustępu na podwórzu i z powrotem. Zjawia się Paddy.

– Nie przejmuj się, wszyscy srają i rzygają na tych schodach, cały ten cholerny dom i tak się wali.

Nie wiem, co teraz zrobić. Jeśli wrócę do szkoły, zabiją mnie, zresztą po co miałbym wracać do szkoły czy do domu, żeby mnie zabili, kiedy mogę pójść sobie drogą, żywić się jabłkami i mlekiem przez resztę życia, aż dojdę do Ameryki.

– Chodź, szkoła to i tak bzdura, a wszyscy nauczyciele to wariaci – mówi Paddy.

Ktoś puka do drzwi Clohessych. W progu staje mama, trzyma za rękę małego Michaela, a obok nich – posterunkowy Dennehy, który pilnuje frekwencji w szkole. Na mój widok mama wykrzykuje:

– Co tu robisz w jednym bucie?!

– Chyba ważniejsze jest pytanie, co robi bez jednego buta – wtrąca ze śmiechem posterunkowy Dennehy.

Michael podbiega do mnie.

– Mamusia płakała. Płakała za tobą, Frankie.

– Gdzie byłeś całą noc? – pyta mama.

– Tutaj.

– Mało nie zwariowałam. Ojciec szukał cię po całym mieście.

– Kto tam jest w drzwiach? – pyta pan Clohessy.

– Moja mama, panie Clohessy.

– Wielki Boże, czy to Angela?

– Tak, panie Clohessy.

Z trudem opiera się na łokciu.

– Na miłość boską, Angela, wejdz. Nie poznajesz mnie?

Mama robi zdziwioną minę. W pokoju jest ciemno, więc usiłuje sobie uprzytomnić, kto leży w łóżku.

– Angela, to ja, Dennis Clohessy.

– Niemożliwe!

– Tak, Angela.

– Niemożliwe.

– Wiem. Zmieniłem się. Ten kaszel mnie zabija. Ale pamiętam wieczory w Wembley Hall. Jezu, jak ty tańczyłaś! Wieczory w Wembley Hall, a potem ryba i frytki. Oj, Angela, Angela!

Po twarzy mamy płyną łzy.

– Ty też dobrze tańczyłeś, Dennisie Clohessy.

– Mogliśmy wtedy wygrać konkurs. Fred i Ginger musieliby mieć się na baczności, ale ty wolałaś uciec do Ameryki. Mój Boże!

Dostaje kolejnego ataku kaszlu, musimy stać i patrzeć, jak nachyla się nad kubłem i wypluwa z wnętrza te paskudztwa.

– Myślę, proszę pani, że skoro znaleźliśmy chłopca, to już pójdę – oświadcza posterunkowy Dennehy i zwraca się do mnie: – A jak jeszcze raz pójdziesz na wagary, to cię wsadzimy do więzienia. Słyszysz?

– Tak, panie posterunkowy.

– Nie dręcz więcej matki. To jedyna rzecz, na którą nie zgodzi się żaden policjant, na dręczenie matki.

– Nie będę, panie posterunkowy. Nie będę jej dręczył.

Posterunkowy wychodzi, a mama zbliża się do łóżka, żeby podać rękę panu Clohessy'emu. On ma zapadnięte oczy, włosy kruczoczarne, od czubka głowy płyną strużki potu. Dzieci stoją wokół łóżka, przyglądają się ojcu i mojej mamie. Pani Clohessy siedzi przy kominku, grzebie pogrzebaczem w palenisku i odpycha od ognia niemowlę.

– Sam sobie winien, bo nie chce iść do szpitala, i tyle – mówi.

– Byłbym zdrowy, gdybym mieszkał w suchym miejscu. Angela, czy w Ameryce jest sucho?

– Tak, Dennis.

– Doktor kazał mi jechać do Ameryki. Śmieszny ten doktor. Jak się masz, Arizono? Nie mam nawet pieniędzy, żeby pójść za róg na piwo.

– Dennis, wszystko będzie dobrze – pociesza mama. – Zapalę świeczkę w twojej intencji.

– Oszczędź sobie wydatku, Angela. Dni moich tańców minęły bezpowrotnie.

– Na mnie już pora. Syn musi iść do szkoły.

– Zrobisz coś dla mnie, zanim wyjdiesz?

– Zrobię, jeśli będzie to w mojej mocy.

– Zaśpiewałabyś nam kawałek piosenki, którą śpiewałaś w wieczór przed wyjazdem do Ameryki?

– Dennis, to trudna piosenka. Nie starczy mi tchu.

– Daj spokój, Angela. Teraz już nie słyszę żadnych piosenek. W tym domu nikt nie śpiewa. Żona nie ma w głowie ani jednej nuty, żadnej lekkości w nogach.

– Dobrze, spróbuję.

Noce w Kerry przetańczone, melodyjny kobzy dźwięk

Chwile szczęścia, co minęły jak nasz miody wiek.

Chłopcy w doliny schodzą wieczorami,

A kobzy melodia włada tęsknotami.

Przerywa i przyciska rękę do piersi.

– Boże, straciłam dech. Frank, pomóż mi.

Śpiewam razem z mamą.

Na samo wspomnienie płyną z oczu łzy.

Noce w Kerry przetańczone, melodyjny kobzy dźwięk

Chwile szczęścia, co minęły jak nasz młody wiek.

Pan Clohessy próbuje śpiewać razem z nami: „Chwile szczęścia, co minęły jak nasz młody wiek”, ale wywołuje to atak kaszlu. Kręci głową i płacze.

– Angela, nie wątpię w ciebie. Niech cię Bóg błogosławi. Przypomniało mi to dawne czasy.

– Dennis, niech ciebie też Bóg błogosławi. Dziękuję, pani Clohessy, że Frankie nie spał na ulicy.

– Żaden kłopot, pani McCourt. On jest bardzo spokojny.

– Spokojny, to fakt – potwierdza pan Clohessy – ale nie tańczy tak jak jego matka.

– Trudno tańczyć w jednym bucie – broni mnie mama.

– Wiem, Angela. Ale można się zastanawiać, dlaczego nie zdjął drugiego. Czy on nie jest trochę dziwny?

– Och, czasami ma takie dziwne maniery jak jego ojciec.

– A prawda! Jego ojciec jest z Północy, to wszystko tłumaczy. Dla nich tam, na Północy, to całkiem normalne, żeby tańczyć w jednym bucie.

Idziemy, Paddy Clohessy, mama, Michael i ja, przez Patrick Street, a potem O’Connell Street. Mama płacze całą drogę.

– Mamusiu, nie płacz, Frankie nie ucieknie – mówi Michael.

Mama bierze go na ręce i przytula.

– Nie, Michael, nie płaczę z powodu Franka. Płaczę nad Dennisem Clohessym, nad wieczorami tańców w Wembley Hall, nad rybą i frytkami.

Mama idzie z nami do szkoły. Pan O’Neill ma obrażoną minę, każe nam usiąść i czekać, przyjdzie za chwilę. Dłuższy czas rozmawia przy drzwiach z mamą, a po jej odejściu przechodzi między ławkami i głaszcze Paddy’ego po głowie.

Bardzo mi żal Clohessych, przykro mi z powodu ich kłopotów, ale mam wrażenie, że ocalili mnie od znacznie gorszych – kłopotów z mamą.

VII

Są takie czwartki, kiedy tata dostaje zasiłek dla bezrobotnych w Biurze Pośrednictwa Pracy i któryś z mężczyzn pyta: „I co, Malachy, pójdziemy na kufelek?”. Tata odpowiada: „Na jeden, tylko na jeden”, a ten mężczyzna na to: „O Boże, dobrze, na jeden”. I zanim wieczór dobiegnie końca, już nie ma pieniędzy; tata wraca do domu ze śpiewem, wyciąga nas z łóżka, ustawia w szeregu i każe przysiąc, że umrzemy za Irlandię przy pierwszej okazji. Zrywa nawet Michaela, który ma zaledwie trzy lata, ale śpiewa i przyrzeka tak jak my. Ja mam dziewięć lat, a Malachy osiem, więc znamy wszystkie pieśni. Śpiewamy od pierwszej do ostatniej zwrotki Kevina Barry’ego i Roddy’ego McCorleya: „Zachód śpi”, „O’Donnell Abu” i „Chłopców z Wexford”. Śpiewamy i obiecujemy zginąć za ojczyznę, bo nigdy nie wiadomo, czy tacie nie zostały jakieś drobniaki po pijaństwie i jeśli nam je da, to następnego dnia możemy pobiec do Kathleen O’Connell po toffi. Czasami tata twierdzi, że Michael śpiewa najlepiej, i jemu daje pensa. Zastanawiamy się z Malachym, jaki pożytek z tego, że mamy dziewięć czy osiem lat, znamy wszystkie pieśni i jesteśmy gotowi zginąć, kiedy i tak Michael dostanie pensa i będzie mógł pójść następnego dnia do sklepu i opchać się toffi. Nikt nie może wymagać od niego, żeby w wieku trzech lat zginął za Irlandię, nawet Padraig Pearse, którego Anglicy zastrzelili w Dublinie w tysiąc dziewięćset szesnastym roku i który spodziewał się, że wszyscy umrą razem z nim. Zresztą tata Mikeya Molloya powiedział, że każdy, kto chce zginąć za Irlandię, ma tyle rozumu w głowie co osioł w tyłku. Mężczyźni ginęli za Irlandię od początku świata i wystarczy popatrzeć, do czego to doprowadziło.

Okropne jest to, że tata traci pracę po trzech tygodniach, teraz na domiar złego raz na miesiąc przepija cały zasiłek. Mama wpada w rozpacz, rano ma zaciętą twarz i nie odzywa się do ojca. Tata wypija herbatę i wcześniej wychodzi z domu na długi spacer za miasto. Kiedy wraca wieczorem, mama dalej nie chce z nim rozmawiać i nie robi mu kolacji. Jeśli ogień się nie pali z braku węgla czy torfu i nie mająk zagotować wody, tata stęka, pije wodę ze słoika i wyciera usta w taki sposób, jakby wypił kufel porteru. Mówi, że człowiekowi potrzeba jedynie dobrej wody, a mama wtedy tak dziwnie prychnie. Kiedy się do niego nie odzywa, w domu jest ponuro i zimno, wiemy, że my również powinniśmy milczeć, choćby ze strachu, że mama popatrzy na nas z wyrzutem. Wiemy, że tata postąpił źle, wiemy też, że można komuś dokuczyć, nie odzywając się do niego. Nawet mały Michael wie, że kiedy tata postąpi źle, nie rozmawia się z nim od piątku do poniedziałku, a jak próbuje wziąć na kolana, trzeba uciekać do mamy.

Mam dziewięć lat i kumpla, Mickeya Spellacy’ego, któremu umierają kolejni członkowie rodziny z powodu galopujących suchot. Zazdroszczę Mickeyowi, bo ile razy umiera ktoś z jego rodziny, dostaje tydzień wolnego ze szkoły, matka przyszywa mu do rękawa czarny romb, żeby mógł się wałęsać po ulicach i żeby wszyscy wiedzieli, że jest w żałobie. Wtedy głaszczą go po głowie, dają pieniądze i słodczyce na pociechę.

Ale tego lata Mickey się martwi. Jego siostra Brenda gaśnie na suchoty, a jest dopiero sierpień i jeśli umrze przed wrześniem, Mickey nie dostanie tygodnia wolnego ze szkoły, bo szkoły jeszcze nie ma. Przychodzi do Billy’ego Campbella i do mnie i pyta, czy nie poszlibyśmy za róg do kościoła Świętego Józefa pomodlić się, żeby Brenda dożyła do września.

– Mickey, a co nam z tego przyjdzie, że pójdziemy za róg się pomodlić?

– No, jak Brenda dociągnie do września, a ja dostanę ten tydzień wolnego ze szkoły, będziecie mogli przyjść na stypę, zjeść szynki, sera, ciasta, wypić sherry, lemoniady i przez całą noc słuchać śpiewów i opowieści.

Kto mógłby się temu oprzeć? Trudno zabawić się lepiej niż na stypie. Idziemy więc za róg do kościoła, w którym są posągi świętego Józefa, a także Najświętszego Serca Jezusowego, Najświętszej Pani i świętej Teresy z Lisieux, i Małego Kwiatka. Ja modłę się do Małego Kwiatka, bo ona sama zmarła na suchoty, to prędzej zrozumie.

Jedna z naszych modlitw musiała poskutkować, bo Brenda umiera dopiero w drugim dniu roku szkolnego. Wyrażamy Mickeyowi swoje współczucie, chociaż on jest zachwycony, że będzie miał tydzień wolny i czarny romb na rękawie, który zapewni mu pieniądze i cukierki.

Na samą myśl o uczcie na stypie Brendy ślina napływa mi do ust. Billy puka, drzwi otwiera nam ciotka Mickeya.

– Tak?

– Przyszliśmy pomodlić się za Brendę, a Mickey powiedział, że możemy być na stypie.

– Mickey! – ryczy ciotka.

– Co?

– Chodź tu! Czy pozwoliłeś tej bandzie przyjść na stypę twojej siostry?

– Nie.

– Ależ, Mickey, obiecałeś...

Ciotka zatrząskuje nam drzwi przed nosem. Nie wiemy, co robić, aż Billy Campbell wpada na pomysł.

– Wrócimy do Świętego Józefa i pomodlimy się, żeby od tej pory wszyscy w rodzinie Mickeya Spellacy'ego umierali w środku lata, żeby do końca życia nie dostał w szkole ani jednego wolnego dnia.

Jedna z naszych modlitw okazała się niewątpliwie skuteczna, bo następnego lata galopujące suchoty zabrały samego Mickeya, więc nie dostał w szkole dnia wolnego i jest to dla niego dobra nauczka.

Dzwonek dzwoni bam, bim, bam

Nie do niebieskich, do piekielnych bram.

W niedzielne poranki w Limerick obserwuję protestantów idących do kościoła i bardzo mi ich żal, szczególnie dziewczynek, które mają takie piękne białe zęby. Żal mi tych ślicznych protestanckich dziewczynek, bo są skazane. Tak nam mówią księża. Nie ma zbawienia poza Kościołem katolickim. Poza Kościołem katolickim jest tylko potępienie. A ja chciałbym je ocalić: protestanckie dziewczynki, chodźcie ze mną do prawdziwego kościoła! Zostaniecie zbawione, nie będzie was czekało potępienie". Po niedzielnej mszy idę z moim przyjacielem Billym Campbellem patrzeć, jak grają w krokiet na ślicznym trawniku obok swojego kościoła przy Barrington Street. Krokiet to protestancka gra. Uderzają piłkę drewnianym pobijakiem, raz i jeszcze raz, i śmieją się. Zastanawiam się, jak w ogóle mogą się śmiać, czyżby nawet nie wiedziały, że są skazane na potępienie? Żal mi ich i mówię:

– Billy, jaki sens ma gra w krokiet, kiedy jest się skazanym na potępienie?

– Frankie, a dlaczego by nie grać w krokiet, jeśli jest się skazanym na potępienie?

– Twój brat Pat mimo kulawej nogi i całej reszty sprzedawał gazety w Limerick, jak miał osiem lat, a ten twój Frank jest już wystarczająco wielki i brzydki, żeby pracować – mówi babcia do mamy.

– Ale ma dopiero dziewięć lat i jeszcze chodzi do szkoły.

– Do szkoły! To właśnie przez to chodzenie do szkoły nauczył się pyskować, obnosić skrzywioną minę i nabrał tego dziwnego obejścia po ojcu. Mógłby pomagać biednemu

Patowi w piątki, kiedy „Limerick Leader” waży tonę. Biegałby po długich alejkach ogrodowych tej lepszej sfery, oszczędziłoby to trochę biedne nogi Pata, a przy tym zarobiłby parę pensów.

– W piątki wieczorem musi chodzić do bractwa.

– Mniej szał o bractwo. W katechizmie nie ma nic o bractwach.

Spotykam się z wujem Patem przed redakcją „Limerick Leader” w piątek o piątej po południu. Człowiek, który wydaje gazety, mówi, że w takich chudych rękach uniosę najwyżej dwa znaczki, a wujek Pat bierze pod każdą pachę po osiem egzemplarzy. Grozi, że mnie zabije, jeśli upuszczę jakąś gazetę, bo na dworze pada, po prostu leje się z niebios. Każe mi trzymać się blisko murów na O’Connell Street, żeby gazety nie zamokły. Mam podbiegać po schodkach do drzwi domów, do których roznosi się gazety, zawołać głośno: „gazeta!”, wziąć pieniądze za cały ubiegły tydzień, zbiec po schodach, oddać wujowi pieniądze i pędzić do następnego domu. Klienci dają mu napiwki, które zachowuje dla siebie.

Idziemy w górę O’Connell Avenue, za miasto do Ballinacurry, wracamy przez South Circular Road, w dół Henry Street i z powrotem do redakcji po gazety. Wujek Pat ma na głowie czapkę, ubrany jest w coś, co przypomina kowbojskie poncho, żeby gazety nie zmokły, ale skarży się, że strasznie mu dokuczają nogi, więc wstępujemy do pubu na kufelek na jego nieszczęsne nogi. Jest tam wuj Pa Keating, cały czarny.

– Ab, pozwolisz chłopakowi tak stać z rozdziawioną gębą, bo mu ślina cieknie na lemoniadę? – pyta wuja Pata.

Wuj Pat mamrocze niewyraźnie: „coo?”, a wuj Pa Keating traci cierpliwość.

– Chryste, dzieciak ciąga te twoje cholerne gazety po całym Limerick, a ty nie możesz nawet... Zresztą mniejsza o to. Timmy, daj dzieciakowi lemoniadę. Frankie, nie macie w domu płaszczka od deszczu?

– Nie mamy, wujku Pa.

– Nie powinienesz chodzić w taką pogodę. Jesteś cały przemoczony. Kto cię wysłał na takie błoto?

– Babcia powiedziała, że mam pomóc wujkowi Patowi z powodu jego chorej nogi.

– Jasne, ta stara wiedźma! Tylko im nie powtarzaj, że tak mówię.

Wujek Pat z trudem gramoli się z siedzenia i zbiera gazety.

– Chodź, robi się ciemno.

Kuśtyka ulicami i wykrzykuje coś, co zupełnie nie przypomina „Limerick Leader”, ale to nie ma znaczenia, bo i tak wszyscy wiedzą, że to Ab, którego upuszczono na głowę.

– Ab, daj mi „Leaders”, jak tam twoja nieszczęsna noga, reszty nie trzeba, kup sobie fajkę, bo to cholerna pogoda na sprzedawanie tych cholernych gazet.

Wujek powtarza: „dzięki, dzięki”; trudno dotrzymać mu kroku, chociaż ma chorą nogę. Pyta, ile mam gazet pod pachą.

– Jedną, wujku Pat.

– Zanieś ją panu Timoneyowi. Jest mi już winien za dwa tygodnie. Jak wydostaniesz te pieniądze, będzie napiwek. On jest dobry do napiwków, tylko nie chowaj sobie do kieszeni jak twój kuzyn Gerry, ten nędzny złodziej.

Pukam do drzwi kołatką, rozlega się wycie psa tak olbrzymiego, że drżą drzwi. Słychać męski głos:

– Macushla, przestań rozrabiać, bo dostaniesz ode mnie kopa w dupę.

Pies się uspokaja, otwierają się drzwi; w progu staje mężczyzna, ma białe włosy, grube okulary, biały sweter i laskę w ręku. Pyta:

– Kto to? Kogo my tu mamy?

– Gazeta, panie Timoney.

– A nie ma tu Aba Sheehana?

– Jestem jego siostrzeńcem, proszę pana.

– Czy to Gerry Sheehan?

– Nie, proszę pana. Jestem Frank McCourt.

– Kolejny siostrzeniec? Czy on was produkuje? Czy na tyłach domu jest mała fabryczka siostrzeńców? Tu są pieniądze za dwa tygodnie, a gazetę możesz mi dać albo zatrzymać sobie. Po co mi? Już nie mogę czytać, a pani Minihan nie przyszła. Urznęła się sherry do nieprzytomności. Jak ci na imię?

– Frank, proszę pana.

– Umiesz czytać?

– Umiem, proszę pana.

– Chcesz zarobić sześć pensów?

– Chcę, proszę pana.

– To przyjdź tu jutro. Masz na imię Francis, tak?

– Frank, proszę pana.

– Twoje imię brzmi Francis. Nigdy nie było świętego Franka. To imię gangsterów i polityków. Przyjdź jutro o jedenastej i będziesz mi czytał.

– Dobrze, proszę pana.

– Jesteś pewien, że umiesz czytać?

– Tak.

– Możesz do mnie mówić: panie Timoney.

– Przyjdę, panie Timoney.

Wujek Pat mamrocze przy furtce i rozciera nogę.

– Gdzie moje pieniądze? Masz nie gadać z klientami, jak mnie tu nogę rozwala deszcz.

Musi przystanąć w pubie na Punch's Cross, by wypić kufelek na rozwaloną nogę. Potem mówi, że nie może już zrobić ani kroku, i wsiadamy do autobusu. Konduktor nawołuje, żeby płacić za bilety, ale wujek Pat mówi:

– Odejdź, nie męcz mnie, nie widzisz, w jakim stanie jest moja noga?

– Dobrze, Ab, już dobrze.

Autobus przystaje przy pomniku O'Connella, wujek Pat idzie do smażalni ryb, gdzie zapachy są tak wspaniałe, że z głodu burczy mi w brzuchu. Kupuje rybę i frytki za szylinga, leci mi ślina, ale kiedy podchodzimy do domu babci, wujek daje mi trzy pensy, mówi, że spotkamy się w piątek za tydzień, i każe wracać do domu, do mamy.

Pies Macushla leży przed drzwiami pana Timoneya. Kiedy otwieram furtkę i wchodzę na ścieżkę w ogródku, rzuca się na mnie i przewraca na chodnik. Chyba zjadłby mi całą twarz, gdyby nie wyszedł pan Timoney i nie zamachnął się na niego laską z krzykiem:

– Chodź tu, ty dziwko, ty wyrosnięta pożeraczko ludzi! Ty suko, czy nie jadłaś śniadania? Nic ci nie jest, Francis? Chodź. Ten pies to prawdziwy Hindus, znalazłem jego matkę wałęsającą się po Bangalore. Francis, jeśli kiedyś będziesz brał psa, upewnij się, że to buddysta. Buddyjskie psy mają łagodne usposobienie. Nigdy, przenigdy nie bierz mahometanina. Zje cię w czasie snu. Nie bierz też katolickiego psa. Gotów cię zjeść codziennie, nawet w piątek. Usiądź i poczytaj mi.

– „Limerick Leader”, panie Timoney?

– Nie, nie ten cholerny „Limerick Leader”. Nie wytarłbym nim nawet dziury w tyłku. Tu na stole jest książka, *Podróże Guliwera*. Ale nie chcę, żebyś to czytał. Poszukaj na końcu czegoś innego. *A Modest Proposal*. To mi czytaj. To się tak zaczyna: „Melancholię przechodniów budzi”... Znalazłeś? Mam to całe w głowie, ale chcę jeszcze raz tego posłuchać.

Przerywa mi po dwóch czy trzech stronach.

– Dobrze czytasz. A co o tym myślisz, Francis, że zdrowe, małe, dobrze odżywione dziecko w wieku jednego roku jest najsmaczniejszym, najbardziej odżywczym i pełnym pożywieniem w każdej postaci – pieczone, duszone czy gotowane?

Macushla chętnie zjadłaby na kolację miłe, pulchne irlandzkie niemowlę, prawda, ty stara dziwko?

Daje mi sześć pensów i każe przyjść w następną sobotę.

Mama jest zachwycona, że zarobiłem sześć pensów, czytając panu Timoneyowi. Dopytuje się, czy czytałem mu „Limerick Leader”. Wyjaśniam, że musiałem czytać *A Modest Proposal* z końca *Podróży Guliwera*.

– Dobrze, to książka dla dzieci. Można by oczekiwać, że zażąda czegoś dziwnego, bo ma trochę pomyłone w głowie po latach spędzonych na słońcu w angielskiej armii w Indiach. Podobno ożenił się z jedną z tych hinduskich kobiet; przypadkiem zastrzelił ją żołnierz podczas jakichś zamieszek. A taka rzecz może człowieka doprowadzić do czytania książek dla dzieci.

Mama zna tę panią Minihan, która mieszka obok pana Timoneya i kiedyś u niego sprzątała, ale nie mogła znieść jego drwin z Kościoła katolickiego. Powtarzał zwykle, że to, co dla jednego jest grzechem, dla drugiego rozrywką. Pani Minihan nie miała nic przeciwko kieliszкови sherry w sobotni ranek, ale on próbował zrobić z niej buddystkę; twierdził, że sam jest buddystą, a Irlandczycy mieliby się znacznie lepiej, gdyby zasiedli pod drzewem i spokojnie patrzyli, jak dziesięć przykazań i siedem grzechów głównych spływa rzeką Shannon do morza.

Następnego piątku Declan Collopy z bractwa zobaczył mnie na ulicy, jak roznosiłem gazety z wujkiem Patem Sheehanem.

– Hola, Frankie McCourt, co ty robisz z Abem Sheehanem?

– To mój wuj.

– Powinieneś być na spotkaniu bractwa.

– Declan, ja pracuję.

– Nie powinieneś pracować. Nie masz jeszcze dziesięciu lat i psujesz idealną frekwencję naszej sekcji. Jeśli nie przyjdiesz w następny piątek, dostaniesz ode mnie w pysk. Rozumiesz?

– Odejdź stąd, odejdź, bo cię rozdepczę! – złości się wujek Pat.

– Zamknij się, panie Głupolu, upuszczony na głowę!

Popchnął wuja Pata, który zatoczył się na mur. Upuściłem gazety i rzuciłem się na Declana, ale zdążył się odsunąć i walnąć mnie w kark, uderzyłem czołem w ścianę, co wprawilo mnie w taką wściekłość, że przestałem cokolwiek widzieć. Rzuciłem się na niego rękami i nogami i gdybym mógł mu rozszarpać gębę zębami, zrobiłbym to, ale on ma ręce długie jak goryl i odpycha mnie tak, że nie mogę go dosięgnąć.

– Ty oszalały kretynie, zniszczę cię w bractwie! – krzyknął i uciekł.

– Nie powinieneś się tak bić – przekonuje wujek Pat. – Upuściłeś wszystkie moje gazety, niektóre się zamoczyły. Jak mam sprzedać mokre gazety?

Miałem ochotę naskoczyć i na niego i zdzielić go za to, że mówi o gazetach, kiedy ja nie dałem się Declanowi Collopy’emu.

Wieczorem dał mi trzy frytki ze swojej paczki i sześć pensów zamiast trzech. Narzekał, że to za dużo, ale to wszystko wina mojej mamy, która poskarżyła się babci na niskie zarobki.

Mama jest zachwycona, że w piątek zarabiam sześć pensów u wujka Pata, a w sobotę sześć u pana Timoneya. Szyling tygodniowo robi wielką różnicę, daje mi więc dwa pensy, żebym zobaczył *Dzieci z zaułka* w kinie Lyric, kiedy skończę czytać.

Następnego ranka pan Timoney powiada:

– Francis, poczekaj tylko, jak dojdziemy do Guliwera. Przekonasz się, że Jonathan Swift to największy z irlandzkich pisarzy, a właściwie chyba największy z ludzi, którzy kiedykolwiek trudnili się pisaniem. To gigant, Francis.

Śmieje się przez całą *A Modest Proposal*, choć naprawdę można się zastanawiać, co w tym śmiesznego, bo przecież mówi się tu głównie o gotowaniu irlandzkich niemowląt.

– Francis, jak dorośniesz, też się będziesz śmiał.

Nie należy się spierać z dorosłymi, ale pan Timoney jest inny i nie ma mi za złe, kiedy oświadczam:

– Panie Timoney, dorośli zawsze nam tak mówią. O, będziesz się śmiał, jak dorośniesz. Zrozumiesz, kiedy dorośniesz. Wszystko przyjdzie, jak dorośniesz.

Wybucha takim śmiechem, aż się boję, czy to wytrzyma.

– Matko Boska, Francis, jesteś prawdziwym skarbem. O co chodzi? Muchy w nosie? Powiedz, o co chodzi.

– O nic, panie Timoney.

– Francis, masz nietęgą minę, żałuję, że nie mogę tego zobaczyć. Podejź do lustra przy ścianie, królowno Śnieżko, i powiedz mi, czy masz skrzywioną minę. O co chodzi?

– Declan Collopy wczoraj się mnie czepiał i wdałem się w bójkę.

Nakłania mnie, żebym mu opowiedział o bractwie, o Declanie, o wujku Pacie Sheehanie, który został upuszczony na głowę. Potem mówi, że zna wuja Pa Keatinga, który został zagazowany w czasie wojny i pracuje w gazowni.

– Pa Keating to wspaniały człowiek. I powiem ci, Francis, co zrobimy. Porozmawiam z Pa Keatingiem i pójdziemy do tych bigotów z bractwa. Sam jestem buddystą i nie popieram walki, ale jeszcze nie straciłem całkiem ducha. Nie będą dokuczali mojemu małemu lektorowi, na Boga, do tego nie dopuszczę!

Pan Timoney jest starym człowiekiem, ale odnosi się do mnie jak przyjaciel; mogę mu powiedzieć, co czuję. Tata nigdy nie rozmawiałby ze mną tak jak pan Timoney. Powiedziałby: tak, tak, i poszedłby na długi spacer.

Wuj Pat Sheehan oznajmił babci, że już nie chce, żebym mu pomagał, może znaleźć innego chłopca i płacić mu o wiele mniej. Uważa też, że powinienem mu oddawać część moich sobotnich sześciu pensów, bo bez niego nie miałbym tego zajęcia.

Sąsiadka pana Timoneya mówi, że tracę czas, pukając do drzwi. Macushla tego samego dnia pogryzła listonosza, mleczarza i przechodzącą zakonnicę, a pan Timoney nie mógł opanować śmiechu, chociaż potem płakał, kiedy zabierano psa, żeby go uspić. Można gryźć do woli listonoszy i mleczarzy, ale przypadek przechodzącej zakonnicy dochodzi aż do uszu biskupa, który sam się tym zajmuje, zwłaszcza jeśli właściciel psa jest znanym buddystą i stanowi zagrożenie dla dobrych katolików w najbliższym otoczeniu. Powiedziano o tym panu Timoneyowi, a on na przemian tak bardzo śmiał się i płakał, że wezwano doktora, który stwierdził, że pan Timoney zabrnął zbyt daleko, więc odwieziono go do City Home, gdzie trzyma się starych ludzi, którzy są już zupełnie bezradni albo słabi na umyśle.

To koniec moich sobotnich sześciu pensów, ale będę czytał panu Timoneyowi, za pieniądze czy za darmo. Czekam na ulicy, aż sąsiadka wejdzie do siebie, wtedy wchodzę przez okno do pana Timoneya po *Podróże Guliwera* i idę wiele mil do City Home, żeby nie ominęło go głośne czytanie. Mężczyzna przy bramie pyta:

– Co takiego? Chcesz poczytać staremu człowiekowi? Nabierasz mnie czy co? Wynos się stąd, zanim zawołam policjantów!

– A czy mogę zostawić książkę, żeby ktoś poczytał panu Timoneyowi?

– Zostaw. Zostaw, na miłość boską, i nie zawracaj mi głowy. Poślę mu ją.

I wybucha śmiechem.

– Co ci się stało? – pyta mama. – Czemu się martwisz?

Więc opowiadam jej o tym, że wujek Pat już mnie nie chce, o tym, że umieszczono pana Timoneya w City Home, bo się śmiał, i że Macushla pogryzła listonosza, mleczarza i przechodzącą zakonnice. Mama też się śmieje i nie mam już wątpliwości, że cały świat oszalał. Potem mówi:

– Och, przykro mi, że straciłeś dwie prace. Możesz teraz wrócić na zebrania bractwa, żeby się odczepić od oddziału i przede wszystkim od ojca Goreya.

Declan każe mi usiąść przed sobą, a jeśli będę się wygłupiał, rozwali mi łeb, bo dopóki będzie prefektem, dopilnuje mnie. Taki nędzny gówniarz jak ja nie zrujnuje mu życia wśród linoleum.

Mama twierdzi, że trudno jej wchodzić po schodach, i przenosi swoje łóżko do kuchni.

– Wróć do Sorrento, kiedy ściany zawilgotnieją, a deszcz będzie się przelewał pod drzwiami – obiecuje.

Szkoła już się skończyła, więc mama może leżeć w kuchni, jak długo chce, bo nie musi wstawać dla nas. Tata rozpala ogień, robi herbatę, kroi chleb, pilnuje, żebyśmy umyli twarze, i każe nam iść na dwór się bawić. Jeśli chcemy, pozwala zostać w łóżku, ale kiedy nie ma szkoły, to nikt nie chce leżeć. Już w chwili obudzenia gotowi jesteśmy wybiec na dwór i bawić się na uliczce.

I nagle pewnego dnia w lipcu tata mówi, że nie możemy zejść na dół. Mamy bawić się na górze.

– Tato, dlaczego?

– Nie twój interes. Baw się tutaj z Malachym i Michaeliem, będziesz mógł zejść na dół później, kiedy ci powiem!

Stoi w drzwiach na wypadek, gdyby wpadło nam do głowy pójść na schody. Podnosimy koc nogami i udajemy, że jesteśmy w namiocie. Jak Robin Hood i jego towarzysze. Polujemy na pchły i rozgniatamy je na paznokciach kciuków.

Potem słyhać płacz dziecka i Malachy pyta:

– Tato, czy mamy nowe niemowlę?

– Tak, synu.

Jestem starszy, więc wyjaśniam Malachy'emu, że łóżko jest na dole w kuchni, żeby anioł mógł sfrunąć w dół i zostawić dziecko na siódmym stopniu. Ale Malachy nie rozumie, bo dopiero skończył osiem lat, nie ma jeszcze dziewięciu, a ja w przyszłym miesiącu będę miał dziesięć.

Mama leży w łóżku z nowym dzieckiem. Niemowlę ma czerwoną tłustą buzię i całe jest czerwone. W kuchni jest kobieta w stroju pielęgniarki, wiemy, że przychodzi myć nowe niemowlęta, które zawsze są brudne po długiej podróży z aniołem. Chcemy połaskotać niemowlę, lecz ona protestuje:

– Nie, możecie na niego tylko popatrzeć, ale nie dotykać.

Nie dotykać. Pielęgniarki zawsze tak mówią.

Siedzimy przy stole, przy chlebie i herbacie, patrzymy na nowego brata, ale on nawet nie otwiera oczu, żeby na nas spojrzeć, więc wychodzimy się bawić na dwór.

Po kilku dniach mama wstaje z łóżka i siedzi przy ogniu, trzymając na rękach niemowlę. Dziecko ma otwarte oczy, a kiedy je łaskoczemy, wydaje dziwny dźwięk, brzuch mu się trzęsie, a my się śmiejemy. Tata je też łaskocze i śpiewa szkołką piosenkę.

Oj, oj, skończ już te łaskotki, Jock

Skończ swoje łaskotki, Jock

Skończ łaskotki

Kotki, otki, kotki

Skończ swoje łaskotki, Jock

Tata ma pracę, więc Bridey Hannon może odwiedzać mamę i dziecko, kiedy tylko chce, a mama wyjątkowo nie każe nam wychodzić i bawić się na dworze, żeby mogły porozmawiać o tajemnicach. Siedzą obie przy ogniu, palą papierosy i rozmawiają o imionach. Mama mówi, że podobają jej się imiona Kevin i Sean, a Bridey na to:

– O nie, za dużo ich jest w Limerick. Jezus, Angela, jak wychylišz głowę za drzwi i zawołasz: „Kevin albo Sean, chodź na kolację!”, to połowa Limerick przybiegnie pod twoje drzwi.

Bridey twierdzi, że gdyby miała syna, co, jeśli Bóg pozwoli, pewnego dnia nastąpi, nazwałaby go Ronald, ponieważ szaleje za Ronaldem Colmanem, którego można zobaczyć w kinie Coliseum. Albo Erroll, to też piękne imię.

– Bridey, daj spokój – mówi mama. – Nigdy nie umiałabym wytknąć głowy przez drzwi i zawołać: „Errol, Errol, chodź na kolację!”. Na pewno wszyscy wyśmiewaliby nieszczęsnego dzieciaka.

– Ronald. On jest wspaniały – mówi Bridey.

– Nie. To musi być irlandzkie imię. Czy nie o to walczyliśmy przez te wszystkie lata? Po co było przez wieki walczyć z Anglikami, jeśli mamy swoim dzieciom dawać imię Ronald?

– Jezu, Angela, zaczynasz mówić jak ten twój: to irlandzkie, tamto angielskie.

– Bridey, mimo wszystko on ma rację.

Nagle Bridey robi przerażoną minę.

– Angela, coś nie tak z tym dzieckiem!

Mama gwałtownie wstaje z krzesła, tuli niemowlę i jęczy:

– O Jezu, Bridey, on się dusi!

– Pobiegnę po moją mamę! – woła Bridey i wraca za moment z panią Hannon.

– Olej rycynowy – mówi pani Hannon. – Ma pani? Jakikolwiek olej? Tran?

Wlewa olej w buzię niemowlęcia, przewraca je, naciska na plecy, odwraca z powrotem, wpycha mu do gardła łyżkę i wyciąga białą kulkę. To mleko. Zbiera się i twardnieje w gardle, trzeba je uwolnić jakimś olejem.

– Jezus, o mało go nie straciłam! – jęczy mama. – Umarłabym, gdyby to się stało.

Przytula dziecko, szlocha i usiłuje dziękować pani Hannon.

– Nawet nie ma o czym mówić. Niech pani bierze małego i wraca do łóżka, bo oboje przeżyliście wielki szok.

Kiedy Bridey i pani Hannon pomagają mamie wrócić do łóżka, zauważam plamy krwi na jej krześle. Czy moja mama wykrwawia się na śmierć? Czy można powiedzieć: „Popatrzcie, na mamy krzesło jest krew”? Nie, nic nie można powiedzieć, bo oni zawsze mają tajemnice. Wiem, że jak się tylko cokolwiek powie, to dorośli odpowiadają: „Nie szkodzi, zawsze się gapisz, nie twoja sprawa, idź na dwór się bawić”.

Muszę to zachować dla siebie albo porozmawiać z aniołem. Pani Hannon i Bridey wychodzą, a ja siadam na siódmym stopniu. Próbuję powiedzieć aniołowi, że mama wykrwawia się na śmierć. Chcę, żeby mi powiedział: „Obaw nie miej”, ale stopień jest zimny, nie ma światła ani głosu. Jestem pewien, że anioł zniknął na zawsze, i zastanawiam się, czy to się staje między dziewiątym a dziesiątym rokiem życia.

Mama nie wykrwawia się na śmierć. Następnego dnia nie leży już w łóżku, przygotowuje niemowlę do chrztu. Mówi Bridey, że nigdy by sobie nie darowała, gdyby dziecko umarło i poszło do otchłani zresztą niechrzczonych dzieci. Może nawet jest tam ciepło i przyjemnie, ale jednak panują wieczne ciemności i nie ma nadziei ucieczki, nawet w dzień Sądu Ostatecznego.

Babcia przyszła pomóc i potwierdza:

– To prawda, nie ma najmniejszej nadziei dla dziecka, które nie zostało ochrzczone.

Bridey odpowiada, że Bóg, który wprowadziłby takie reguły, musiałby być okrutny.

– Musi być okrutny – wyjaśnia babcia – bo inaczej za dużo dzieci pchałoby się do nieba. Protestantkie i inne. A niby dlaczego mają się tam dostać po tym wszystkim, co robiły z nami przez osiemset lat?

– Dzieci tego nie robiły – mówi Bridey. – Są za małe.

– Ale robiłyby, gdyby tylko miały okazję – precyzuje babcia. – Przygotowują je do tego.

Ubierają niemowlę w sukienkę z koronki z Limerick, w której wszyscy byliśmy chrzczeni. Mama mówi, że będziemy mogli pójść do Świętego Józefa. Jesteśmy bardzo podnieceni, bo później będzie lemoniada i ciastka drożdżowe.

– Mamo, jak to dziecko ma na imię? – pyta Malachy.

– Alphonsus Joseph.

– To idiotyczne imię. Nawet nie jest irlandzkie – te słowa po prostu wylatują mi z ust.

Babcia wpatruje się we mnie starymi, zaczerwienionymi oczami.

– Ten mały zasłużył na niezłego prztyczka.

Mama uderza mnie w twarz, lecę przez całą kuchnię. Serce mi wali i mam ochotę płakać, ale nie mogę, bo ojca nie ma, więc ja jestem mężczyzną w rodzinie.

– Idź na górę z tą swoją pyską gębą i nie ruszaj się stamtąd! – poleca mama.

Zatrzymuję się na siódmym stopniu, ale nadal jest zimny – żadnego światła, żadnego głosu.

W domu jest spokojnie, bo wszyscy poszli do kościoła. Siedzę na górze i czekam, wyłapuję pchły na nogach i na rękach, żałuję, że nie ma taty, myślę o małym braciszku i o jego cudzoziemskim imieniu Alphonsus. Takie imię to prawdziwe kalectwo.

Po dłuższej chwili na dole rozlegają się głosy; mówi się o herbacie, sherry, lemoniadzie, ciastkach drożdżowych. „Czy to nie jest najpiękniejsze dziecko na świecie, mały Alphie?”. „Cudzoziemskie imię, ale jaki spokojny, cały czas nie wydał nawet dźwięku, takie ma dobre usposobienie, niech go Bóg błogosławi, na pewno będzie długo żył, bo ma tyle słodczy w sobie”. „No, to wykapany portret matki, ojca, babci, zmarłych braci”.

– Frank, zejdź na lemoniadę i drożdżówkę! – woła mama z dołu schodów.

– Nie chcę. Możesz je sobie zatrzymać.

– Powiedziałaś, że masz w tej chwili zejść, bo jak będę musiała wejść po schodach, to tak ci rozgrzeję tyłek, że przekniesz dzisiejszy dzień!

– Co to znaczy?

– Nieważne. Natychmiast zejdź!

Mama mówi ostrym głosem, a to brzmi groźnie. Zejdę.

– Popatrzcie tylko, jaki niezadowolony – mówi babcia w kuchni. – Można by pomyśleć, że będzie szczęśliwy z powodu braciszka, ale chłopiec między dziewiątym a dziesiątym rokiem życia to nic, tylko utrapienie, a coś wiem o tym, bo miałam dwóch.

Lemoniada i drożdżówka są wspaniałe, a nowy niemowlak Alphie gaworzy zadowolony ze swojego chrztu, zbyt niewinny, by rozumieć, że jego imię to kalectwo.

Babcia z Północy przysłała przekazem telegraficznym pięć funtów dla małego Alphiego. Mama chciałaby odebrać na pocztę te pieniądze, ale nie bardzo może oddalić się od łóżka, lata zaofiarował się pójść na pocztę. Mama mówi, żebyśmy obaj z Malachym z nim poszli. Tata odbiera pieniądze.

– Dobrze, chłopcy, idźcie teraz do domu i powiedzcie mamie, że przyjdę za kilka minut.

– Tato, nie możesz iść do pubu – mówi Malachy. – Mama kazała przynieść pieniądze do domu. Masz nie pić piwa.

– Spokojnie, synu. Wracajcie do domu, do mamy.

– Tato, daj nam pieniądze. To pieniądze dla dziecka.

– Francis, bądź dobrym chłopcem. Słuchaj ojca.

Oddała się i wchodzi do pubu South.

Mama siedzi przy kominku z Alphem na rękach. Kręci głową.

– Poszedł do pubu, prawda?

– Tak.

– Idźcie po niego. Stańcie na środku pubu i powiedzcie wszystkim, że wasz ojciec przepija pieniądze niemowlęcia. Macie powiedzieć całemu światu, że w domu nie ma nic do jedzenia ani też kawałka węgla, żeby rozpałić ogień, ani kropli mleka na butelkę dla dziecka.

Po drodze Malachy na cały głos ćwiczy swoją mowę.

– Tato, te pieniądze są dla nowego dzidziusia. Nie na piwo. Dziecko ryczy w łóżku, zanosi się płaczem z braku mleka, a ty wypijasz kufelki.

Ojca nie ma już w pubie South. Mimo to Malachy ma zamiar ustawić się pośrodku i wygłosić swoją mowę, mówi mu jednak, że musimy się pospieszyć i obejść inne puby, zanim tata przepije całe pięć funtów. Ale nie znajdujemy go także i w innych pubach. Wie, że mama może po niego przyjść albo wysłać nas, a w tej części Limerick i dalej jest tyle pubów, że moglibyśmy szukać go przez miesiąc. Musimy więc powiedzieć mamie, że nigdzie go nie znaleźliśmy, a ona wyciąga z tego wnioski, że z nas nie ma żadnego pożytku.

– Boże, gdybym miała siłę, poszłabym do każdego pubu w Limerick. Rozszarpałabym go na kawałki. Idźcie jeszcze raz, obejdźcie wszystkie puby koło dworca kolejowego, zajrzyjcie do smażalni ryb Naughtona.

Muszę iść sam, bo Malachy ma rozwolnienie i nie może oddalać się od kubła. Przeszukuję wszystkie puby przy Pamelii Street i w okolicach. Zaglądam do oddzielonych pomieszczeń, gdzie piją kobiety, i do wszystkich męskich ubikacji. Jestem głodny, ale boję się wracać do domu, dopóki nie znajdę ojca. Nie ma go w smażalni Naughtona, ale przy stoliku w kącie śpi pijany mężczyzna, a jego ryba i frytki owinięte w „Limerick Leader” leżą na podłodze. Jeśli ja ich nie wezmę, zrobi to jakiś kot, więc wsuwam je pod sweter, wybiegam na ulicę, siadam na schodach dworca i jem rybę z frytkami, obserwując pijanych żołnierzy z chichoczącymi dziewczynami u boku. W myślach dziękuję pijakowi, że pokropił rybę i frytki octem i posolił, a potem przypominam sobie, że gdybym dzisiaj umarł, to jestem w stanie grzechu, bo dopuściłem się kradzieży, i mogę napchany rybą i frytkami wylądować prosto w piekle. Ale jest sobota, więc jeśli księża jeszcze są w konfesjonale, to mogę oczyścić duszę, jak tylko się najem.

Kościół Dominikanów jest na końcu Glentworth Street.

– Pobłogosław mi, ojczu, bo zgrzeszyłem, upłynęło dwa tygodnie od mojej ostatniej spowiedzi. – Opowiadam mu to, co zwykle, a potem mówię: – Ukradłem pijakowi rybę i frytki.

– Moje dziecko, dlaczego to zrobiłeś?

– Byłem głodny, ojczu.

– Dlaczego byłeś głodny?

– Bo nic nie jadłem.

Milczy, lecz mimo ciemności widzę, że kręci głową.

– Drogie dziecko, dlaczego nie pójdziesz do domu i nie poprosisz matki o coś do jedzenia?

– Bo wysłała mnie, żebym szukał ojca w pubach, a ja nie mogłem go znaleźć. W domu nie ma nic do jedzenia, bo on właśnie przepija pięć funtów, które przysłała babcia z Północy dla nowego dzidziusia, a mama złości się, że nie potrafię znaleźć ojca.

Zastanawiam się, czy ksiądz usnął, bo długo jest zupełna cisza; wreszcie się odzywa:

– Moje dziecko, siedzę tutaj i słucham grzechów ubogich. Zadaję im pokutę, udzielam rozgrzeszenia. A powinienem na klęczkach obmywać ich nogi. Czy rozumiesz mnie, moje dziecko?

Mówię mu, że tak, choć to nieprawda.

– Idź do domu, dziecko. Pomódl się za mnie.

- Ojczy, a pokuta?
- Żadnej pokuty.
- Ukradłem rybę i frytki. Jestem potępiony.
- Jest ci to wybaczone. Idź. Módl się za mnie.

Błogosławi mnie po łacinie, mówi do siebie po angielsku, więc zastanawiam się, co takiego mu zrobiłem.

Tak bym chciał znaleźć ojca i móc powiedzieć mamie: „Proszę, jest tata, zostało mu w kieszeni jeszcze trzy funty”. Nie jestem już głodny, więc mogę iść do końca O’Connell Street po jednej stronie, a wracać po drugiej, wstępując też do pubów przy bocznych ulicach. Znajduję ojca u Gleesona, przez te śpiewy trudno go nie zauważyć.

*To przecież sprawa wyłącznie moja,
Że czyjeś oczy zalsnią niepokojem.
To wszak wyłącznie moje wzruszenie,
Że mnie witają dolin Antrim cienie.*

Serce mi wali i nie wiem, co robić, bo wściekam się w środku tak samo jak mama tam przy ogniu, i jedyne, co mi przychodzi do głowy, to pomysł, żeby wbiec do pubu, kopnąć ojca porządnie w nogę i wybiec. Ale nie mogę tego zrobić, bo przecież są takie poranki przy kominku, kiedy on opowiada mi o Cuchulainie, De Valerze i o Roosevelcie. A więc nawet jeśli siedzi tu pijany i stawia kolejki za pieniądze dzidziusia, to ma w oczach ten sam wyraz, jaki miał Eugene, kiedy szukał Olivera. Właściwie mogę wrócić do domu i okłamać mamę, że nigdzie go nie znalazłem.

Mama leży w łóżku z dzidziusiem. Michael i Malachy śpią na górze we Włoszech. Wiem, że nie muszę mamie nic mówić, bo niedługo, kiedy zamkną puby, ojciec wróci ze śpiewem, będzie nam proponował pensa za gotowość śmierci za Irlandię. Tyle że teraz wszystko będzie inaczej, ponieważ źle jest, kiedy ktoś przepija zasilek czy wypłatę, ale człowiek, który przepija pieniądze niemowlęcia, osunął się już poniżej wszelkiego dna, jak by powiedziała mama.

VIII

Mam dziesięć lat i jestem gotów przystąpić do bierzmowania w kościele Świętego Józefa. W szkole przysposabia nas do tego nauczyciel, pan O’Dea. Musimy wiedzieć wszystko o łasce uświęcającej, perle wielkiej ceny, którą zdobył dla nas Jezus przez swoją śmierć. Pan O’Dea przewraca oczami, kiedy nas przekonuje, że wraz z bierzmowaniem staniemy się częścią Boga. Spłyną na nas przymioty Ducha Świętego: Mądrość, Zrozumienie, Rada, Siła, Wiedza, Miłosierdzie, Poszanowanie Boga. Księża i nauczyciele mówią, że po bierzmowaniu jest się prawdziwym żołnierzem Kościoła, co pozwala umrzeć i zostać męczennikiem, gdyby na przykład najechali nas protestanci, mahometanie czy jakikolwiek inny gatunek pogan. Znowu umieranie. Mam ochotę wyjaśnić im, że nie będę mógł umrzeć za wiarę, bo jestem już zamówiony na śmierć za Irlandię.

– Żartujesz chyba? – pyta Mikey Molloy. – To całe umieranie za wiarę to lipa. Mówią tak tylko, żeby nas przestraszyć. Z Irlandią tak samo. Teraz już nikt za nic nie umiera. Całe umieranie już się odbyło. Nie zginąłbym ani za wiarę, ani za Irlandię. Mógłbym najwyżej umrzeć za moją mamę, ale nic więcej.

Mikey wie wszystko. Ma prawie czternaście lat, ataki drgawek i wizje.

Dorośli mówią, że chwalebnie jest umrzeć za wiarę, tyle że nie jesteśmy jeszcze do tego gotowi, bo dzień bierzmowania jest jak dzień pierwszej komunii; obchodzi się uliczki i zaułki i dostaje się ciastka, cukierki i pieniądze. Robi się zbiórkę. A to wiąże się z nieszczęsnym Peterem Dooleyem. Nazywamy go Quasimodo, bo ma na plecach wybrzuszenie zupełnie jak ten garbus z Notre Dame, którego prawdziwe nazwisko, jak wiemy, brzmiało Charles Laughton.

Quasimodo ma dziewięć siostr, podobno matka nigdy go nie chciała, tylko że to jego przyniósł anioł, a grzechem jest kwestionowanie przesyłki. Quasimodo jest stary, ma już piętnaście lat. Rude włosy sterczą mu we wszystkie strony. Ma zielone oczy, ale jedno tak mocno się obraca, że Quasimodo ciągle puka się w skroń, żeby utrzymać je na tym miejscu, gdzie powinno być. Prawą nogę ma krótszą i powykęcana, toteż idąc, wykonuje rodzaj dziwnego tańca i nigdy nie wiadomo, kiedy się przewróci. W tym momencie Quasimodo wszystkich zaskakuje, bo przeklina co prawda swoją nogę, złorzeczy całemu światu, lecz robi to z pięknym angielskim akcentem, którego nauczył się z radia BBC. Zanim wyjdzie z domu, zawsze najpierw wytyka przez drzwi głowę i zawiadamia całą uliczkę:

– Oto moja głowa, tyłek zaraz nadejdzie!

Kiedy Quasimodo miał dwanaście lat, uznał, że skoro tak wygląda, skoro wszyscy przyglądają mu się z niechęcią, to powinien przygotować się do takiej pracy, w której byłby słyszany, ale niewidoczny. A co lepszego niż siedzenie przy mikrofonie w BBC w Londynie i odczytywanie wiadomości?

Nie można jednak jechać do Londynu bez pieniędzy i dlatego właśnie kuśtyka do nas w piątek, w przeddzień bierzmowania. Ma pewną propozycję dla Billy’ego i dla mnie. Wie, że następnego dnia dostaniemy pieniądze ze zbiórki po bierzmowaniu, więc jeśli obiecamy, że każdy z nas zapłaci mu szylinga, pozwoli nam wejść na rynną na tyłach domu już tego piątkowego wieczoru i podglądać przez okno gołe ciała jego siostr podczas cotygodniowego mycia. Ja zgadzam się od razu. Billy się opiera:

– Sam mam siostrę. Po co będę płacił, żeby oglądać twoje siostry na nagusa?

Quasimodo twierdzi, że oglądanie na golasa własnej siostry jest najgorsze ze wszystkich grzechów i nie jest pewien, czy jakikolwiek ksiądz na świecie może to wybaczyć, trzeba z tym iść aż do biskupa, który, jak wiadomo, jest bardzo groźny.

Billy się zgadza.

W piątek wieczorem przechodzimy przez płot do ogródka na tyłach domu Quasimoda. Jest piękna noc, czerwcowy księżyc unosi się wysoko nad miastem, od rzeki Shannon powiewa ciepła bryza. Quasimodo właśnie ma wpuścić Billy'ego na rynnę, kiedy przez płot przełazi sam Drgawka Mikey Molloy. Syczy do Quasimoda: „Masz tu szylinga, wpuść mnie na rynnę”. Mikey ma już czternaście lat, jest większy od każdego z nas i silny, bo pracuje przy rozwożeniu węgla. Od tego węgla jest tak samo czarny jak wuj Pa Keating, widać tylko białka oczu i białą pianę na dolnej wardze, co oznacza, że w każdej chwili może dostać ataku.

– Poczekaj, Mikey – mówi Quasimodo. – Oni są pierwsi.

– Mam to gdzieś – odpowiada Mikey i już siedzi na rynnie. Billy protestuje, ale Quasimodo kręci głową.

– Nic nie mogę poradzić. On przychodzi co tydzień i płaci szylinga. Muszę go wpuścić na rynnę, bo mnie pobije i poskarży matce, a ona zamknie mnie w komórce na węgiel ze szczurami.

Drgawka jest już na górze i jedną ręką trzyma się rynny. Drugą ma w kieszeni i porusza nią, i to tak mocno, że również rynna zaczyna się ruszać i trzeszczeć. Quasimodo syczy:

– Molloy, miało nie być jazdy na ręcznym! – Kuśtyka wokół ogródka i rechocze. Zniknął akcent BBC, mówi teraz z czystym akcentem Limerick: – Jezus, Molloy, złaż z tej rynny, bo powiem matce.

Ręka Mikeya porusza się w kieszeni z coraz większą szybkością, tak szybko, że rynna pochyła się i przewraca, a Mikey toczy się po ziemi i wrzeszczy:

– Boże, umarłem, jestem skończony, o Boże! – Na jego ustach widać pianę i krew z pogryzionego języka.

W drzwiach pojawia się matka Quasimoda z krzykiem:

– Co tu się dzieje, na miłość boską?

Ogródek zalewa światło z kuchni. Z okna na górze dochodzi skrzeczenie sióstr. Billy próbuje uciec, ale matka Quasimoda ściąga go z muru ogrodowego. Każe mu pobiec do apteki O'Connora i zadzwonić po karetkę, po doktora, po kogokolwiek. Wrzeszczy na nas, żebyśmy weszli do kuchni. Kopniakiem wpycha Quasimoda do korytarza. Quasimodo czołga się na czworakach, a matka wciąga go do schowka na węgiel pod schodami i zamyka.

– Siedź tam, póki nie dojdiesz do rozumu!

Quasimodo płacze i wzywa ją z najczystszyim akcentem miasta Limerick:

– Mamo, mamo, wypuść mnie. Tu są szczury. Mamo, ja tylko chciałem się dostać do BBC. O Jezu, mamo. O Jezu! Już nigdy nikogo nie wpuszczę na rynnę. Mamo, będę przysyłał pieniądze z Londynu!

Mikey dalej leży na plecach, miota się po całym ogródku. Karetka zabiera go do szpitala ze złamanym obojczykiem i językiem poszarpanym na strzępy.

W ciągu sekundy zjawiają się nasze matki.

– Co za hańba – mówi pani Dooley – co za hańba! Moje córki nie mogą się nawet umyć w piątkowy wieczór, żeby cały świat nie gapił się przez okno. Ci chłopcy są teraz w stanie grzechu i powinno się ich zaprowadzić do księdza do spowiedzi przed jutrzejszym bierzmowaniem.

– Nie obchodzi mnie cały świat – mówi mama – ale oszczędzałam przez rok na ubranko Franka i nie wybieram się do księdza, żeby usłyszeć, że mój syn nie jest gotowy do bierzmowania. Wtedy trzeba by czekać kolejny rok, wyrósłby z ubranka, a wszystko dlatego, że wlaż na rynnę, żeby rzucić okiem na kościsty tyłek Mony Dooley.

Ciągnie mnie za ucho do domu i każe mi uklęknąć przed papieżem.

– Przysięgnij, przysięgnij przed tym papieżem, że nie patrzyłeś na Monę Dooley na golasa!

– Przysięgam.

– Jeśli kłamiesz, nie będziesz w stanie łaski podczas jutrzejszego bierzmowania, a to najgorszy rodzaj świętokradztwa.

– Przysięgam.

– Tylko biskup może wybaczyć podobne świętokradztwo.

– Przysięgam.

– Dobrze, idź do łóżka i od tej pory trzymaj się z dala od tego nieszczęśnika Quasimoda Dooleya.

Następnego dnia wszyscy przystępujemy do bierzmowania. Biskup pyta mnie z katechizmu:

– Jak brzmi czwarte przykazanie?

A ja odpowiadam:

– Czczij ojca swego i matkę swoją.

Biskup dotyka mojego policzka i robi ze mnie żołnierza Prawdziwego Kościoła. Klękam w ławce, myślę o Quasimodzie Dooleyu zamkniętym w komórcie na węgiel pod schodami i zastanawiam się, czy jednak nie powinienem dać mu szylinga na tę karierę w BBC.

Zapominam jednak o Quasimodzie, ponieważ zaczyna mi lecieć krew z nosa i kręci mi się w głowie. Chłopaki i dziewczyny po bierzmowaniu stoją z rodzicami przed kościołem Świętego Józefa, wszyscy ściskają się i całują w promieniach jasnego słońca, ale mnie to nic nie obchodzi. Ojciec ma pracę, ale mnie to nic nie obchodzi. Mama mnie całuje, ale to też nic mnie nie obchodzi. Chłopcy rozmawiają o zbiórce, ale nic mnie to nie obchodzi. Krew ciągle mi leci z nosa i mama się niepokoi, że zniszczę ubranie. Biegnie do kościoła, żeby poprosić zakrystiana Stephena Careya o jakąś szmatę, on daje jej kawałek płótna, od którego boli mnie nos. Mama pyta, czy chcę robić zbiórkę, a ja odpowiadam, że zbiórka nic mnie nie obchodzi. Malachy namawia mnie na zbiórkę, jest mu smutno, bo obiecałem, że pójdziemy razem na film do kina Lyric i opchamy się cukierkami. Mam ochotę się położyć. Mógłbym się położyć tutaj, na stopniach Świętego Józefa i spać w nieskończoność. Mama przypomina, że babcia przygotowała dobre śniadanie, ale na samą myśl o jedzeniu robi mi się tak niedobrze, że biegnę na koniec chodnika i wymiotuję na oczach całego świata. Nic mnie to jednak nie obchodzi. Mama uważa, że będzie lepiej, jak zabierze mnie do domu i położy do łóżka, a moi kumple patrzą zdziwieni, że ktokolwiek może kłaść się do łóżka, kiedy pora robić zbiórkę.

Mama pomaga mi zdjąć garnitur od bierzmowania i kładzie mnie do łóżka. Pod szyję podkłada mi mokrą szmatę i po chwili krwawienie ustaje. Przynosi herbatę, ale już na sam jej widok robi mi się niedobrze i wymiotuję do kubła. Przychodzi sąsiadka, pani Hannon, i słyszę, jak mówi, że jestem bardzo chory i trzeba zawołać doktora. Mama się martwi, że akurat sobota, przychodzi zamknięta, więc skąd tu wziąć doktora?

Tata wraca z pracy w młynie Ranka i pociesza mamę, że przechodzę taki okres, że to bóle dojrzewania. To samo powtarza babcia. Twierdzi, że kiedy chłopcy przechodzą z wieku jednocyfrowego, czyli dziewięciu lat, do lat dwucyfrowych, czyli dziesięciu, zmieniają się i mają skłonność do krwotoków z nosa. Mówi, że może w ogóle mam za dużo krwi, więc nie zaszkodzi mi porządne wyczyszczenie organizmu.

Mija dzień, co chwila zapadam w sen i budzę się. Wieczorem Malachy i Michael kładą się do łóżka. Słyszę, jak Malachy oznajmia:

– Frankie jest bardzo rozpalony.

A Michael dodaje:

– Leci mu krew prosto na moją nogę.

Mama kładzie mi na nosie moką szmatę, a na szyi klucz, ale nie hamuje to krwawienia. W niedzielę rano na mojej piersi i wszędzie wokoło jest pełno krwi. Mama mówi tacie, że krew leci mi z pupy, a tata odpowiada, że to rozwolnienie, które często towarzyszy bólowi dorastania.

Naszym doktorem jest doktor Troy, ale pojechał na wakacje, a mężczyzna, który przychodzi mnie obejrzyć w poniedziałek, pachnie whisky. Bada mnie i tłumaczy mamie, że jestem mocno przeziębiony i powinienem leżeć w łóżku. Mijają dni, a ja śpię i krwawię. Mama robi mi herbatę i bulion wołowy, ale ja nic nie chcę. Przynosi mi nawet lodę, lecz na sam widok robi mi się niedobrze. Znowu przychodzi pani Hannon; twierdzi, że ten doktor nie ma o niczym pojęcia i trzeba sprawdzić, czy wrócił doktor Troy.

Mama przyprowadza doktora Troya. Doktor dotyka mojego czoła, wywija mi powieki, przewraca mnie na łóżku, żeby obejrzyć plecy, bierze mnie na ręce i biegnie do swojego samochodu. Mama biegnie za nim, a dowiadując się, że mam tyfus, krzyczy:

– Wielki Boże! Czy mam stracić całą rodzinę? Czy to się kiedyś skończy?

Wsiada do samochodu, bierze mnie na kolana i jęczy całą drogę do szpitala zakaźnego w City Home.

W łóżku jest biała chłodna pościel. Pielęgniarki mają czyste białe uniformy, nawet zakonnica, siostra Rita, ubrana jest na biało. Doktor Humphrey i doktor Campbell mają białe fartuchy, na piersiach wiszą im jakieś aparaty, które przytykają do mojej piersi i wszędzie indziej. Śpię i śpię, ale budzę się, kiedy przynoszą słoje z czymś jasnoczerwonym, słoje te wiszą nad moim łóżkiem na wysokich tyczkach, a w kostki u nóg i w wewnętrzną stronę dłoni jacyś ludzie wpychają mi rurki.

– Francis, dostajesz krew – wyjaśnia siostra Rita. – Krew żołnierzy z koszar Sarsfield.

Mama siedzi przy łóżku, a pielęgniarka mówi:

– Wie pani, że to zupełnie niezwykle. Do szpitala zakaźnego nigdy nikogo nie wpuszczają z obawy przed zarażeniem, ale dla pani zrobili wyjątek z uwagi na nadchodzące przesilenie. Jeśli on przetrwa kryzys, to na pewno wyzdrowieje.

Zasypiam. Kiedy się budzę, mamy już nie ma, ale w pokoju ktoś się porusza; to ojciec Gorey z bractwa odprawia mszę przy stoliku w kącie. Znowu zapadam w sen, lecz budzą mnie i odkrywają pościel. Ojciec Gorey smaruje mnie olejem i modli się po łacinie. Wiem, że to Ostatnie Namaszczenie, a to oznacza, że umieram, ale wcale się tym nie przejmuję. Znowu mnie budzą, żebym przyjął komunię. Nie chcę, boję się, że zrobi mi się niedobrze. Trzymam opłatek na języku i zasypiam, a kiedy się budzę, już go nie ma.

Jest ciemno, przy moim łóżku siedzi doktor Campbell. Trzyma mnie za nadgarstek i patrzy na zegarek. Ma rude włosy i okulary, a gdy ze mną rozmawia, zawsze się uśmiecha. Teraz siedzi, nuci pod nosem i patrzy w okno. Zamyka oczy i leciutko pochrapuje. Przechyliła się na krześle, puszcza bąka i uśmiecha się do siebie, a ja wiem, że mi się poprawi, bo żaden doktor nie puszczałby bąków przy umierającym chłopcu.

Biały habit siostry Rity błyszczący w słońcu wpadającym przez okno. Siostra trzyma mnie za nadgarstek, patrzy na zegarek i uśmiecha się.

– Już nie śpimy, tak? No więc, Francis, myślę, że najgorsze minęło. Nasze modlitwy zostały wysłuchane, podobnie jak modlitwy setek chłopców z bractwa. Możesz to sobie wyobrazić? Setki chłopców odmawiających różaniec i ofiarujących komunię na twoją intencję?

Moje kostki i wewnętrzna strona dłoni pulsują po rurkach wprowadzających krew i nic mnie nie obchodzi chłopcy, którzy się za mnie modlą. Słyszę szelest habitu siostry Rity i brzęk paciorków różańca, kiedy wychodzi z sali. Zasypiam, a kiedy się budzę, jest ciemno, przy łóżku siedzi tata i trzyma mnie za rękę.

– Nie śpisz, synu?

Próbuję mówić, ale w ustach mam sucho, nie mogę wydobyć słowa, więc pokazuję ręką wargi. Tata przysuwa do nich szklanekę wody, słodkiej i chłodnej. Przyciska moją dłoń i chwali, że jestem wspaniałym żołnierzem. Jak mogłoby być inaczej, mam przecież w sobie żołnierską krew.

Nie sterczą już we mnie rurki, zniknęły też szklane słoje.

Przychodzi siostra Rita i oznajmia tacie, że musi już iść. Nie chcę, żeby wychodził, bo ma taką smutną minę. Wygląda jak Paddy Clohessy tamtego dnia, kiedy dałem mu rodzynek. Kiedy tata ma taką smutną minę, to najgorsza rzecz na świecie, więc zaczynam płakać.

– A to co znowu? – pyta siostra Rita. – Płaczesz, chociaż masz w sobie tyle żołnierskiej krwi? Francis, jutro czeka cię wielka niespodzianka. Nigdy byś nie zgadł, ale ci powiem. Rano dostaniesz do herbaty pysznego biskwita. Czy to nie wspaniale? A tata znowu przyjdzie za dzień lub dwa, prawda, panie McCourt?

Tata kiwa twierdząco głową i znowu kładzie swoją rękę na mojej. Patrzy na mnie, odchodzi, przystaje, wraca i całuje mnie w czoło po raz pierwszy w życiu. Jestem tak szczęśliwy, mam wrażenie, jakbym unosił się w powietrzu.

Dwa pozostałe łóżka na mojej sali są puste. Pielęgniarka mówi, że jestem jedynym pacjentem z durem brzuszny, i to cud, że przeżyłem przesilenie.

Sala obok też jest pusta, aż jednego ranka odzywa się głos dziewczyny:

– Halo, kto tam jest?

Nie mam pewności, czy zwraca się do mnie, czy do kogoś w dalszej sali.

– Hej tam, chłopak z tyfusem, nie śpisz?

– Nie.

– Czujesz się lepiej?

– Tak.

– Dobrze, to dlaczego tu jesteś?

– Nie wiem. Jeszcze leżę w łóżku. Kłują mnie igłami i dają lekarstwa.

– A jak wyglądasz?

Zastanawiam się, co to za pytanie, i nie wiem, co jej odpowiedzieć.

– Hej, jesteś tam, chłopaku z tyfusem?

– Jestem.

– Jak masz na imię?

– Frank.

– To dobre imię. Ja się nazywam Patricia Madigan. Ile masz lat?

– Dziesięć.

– Och – wydaje się rozczarowana.

– Ale za miesiąc, w sierpniu, będę miał jedenaście.

– To lepiej niż dziesięć. Ja we wrześniu skończę czternaście. Chcesz wiedzieć, co robię w szpitalu zakaźnym?

– Tak.

– Mam dyfteryt i coś jeszcze.

– Co to jest „coś jeszcze”?

– Nie wiadomo. Myślę, że mam jakąś zagraniczną chorobę, bo mój ojciec był w Afryce. O mało nie umarłam. A więc powiesz mi, jak wyglądasz?

– Mam czarne włosy.

– Jak milion innych.

– Mam brązowe oczy z zielonymi plamkami, mówi się o nich: piwne.

– Jak milion innych.

– Mam szwy na wewnętrznej stronie prawej dłoni i na obydwu stopach, tam gdzie wlewali krew żołnierzy.

– O Boże, naprawdę?

– Tak.

– To będziesz ciągle maszerował i salutował.

Słysząc szelest habitu i dźwięk paciorków różańca, a potem głos siostry Rity:

– Co to takiego? Nie ma żadnych rozmów pomiędzy salami, zwłaszcza między dziewczynką a chłopcem. Słyszysz, Patricio?

– Słyszę, siostrze.

– Słyszysz mnie, Francis?

– Tak, siostrze.

– Oboje powinniście dziękować za swoje niezwykle wyzdrowienie. Moglibyście odmawiać różaniec. Moglibyście czytać „Małego Posłańca Serca Jezusowego”, który leży przy każdym łóżku. Żebym znowu nie przyłapała was na rozmowie! – Siostra Rita wchodzi do mojej sali i grozi mi palcem. – Dotyczy to zwłaszcza ciebie, Francis, skoro tysiące chłopców modliło się za ciebie w bractwie. Składaj dzięki Bogu, Francis, składaj dzięki.

Po wyjściu siostry przez chwilę panuje cisza. Potem Patricia powtarza cicho:

– Składaj dzięki Bogu, Francis, składaj dzięki i odmów różaniec.

Wybucham śmiechem i wpada pielęgniarka, żeby zobaczyć, czy nic mi się nie stało. Jest to bardzo surowa pielęgniarka z hrabstwa Kerry; przeraża mnie.

– Francis, co to jest? Śmiechy? Z czego tu się śmiać? Czy rozmawiacie, ty i ta Madigan? Powiem siostrze Ricie. Nie wolno się śmiać, bo możesz poważnie uszkodzić cały wewnętrzny aparat.

Wychodzi ciężkim krokiem, a Patricia znowu szepcze z przesadnym akcentem hrabstwa Kerry:

– Żadnych śmiechów, Francis, bo możesz poważnie uszkodzić cały wewnętrzny aparat. Odmów różaniec, Francis, módl się za swój wewnętrzny aparat.

Mama odwiedza mnie w czwartki. Chciałbym zobaczyć także tatę, ale nie grozi mi już niebezpieczeństwo, kryzys minął, więc wolno przyjmować tylko jednego gościa. Poza tym, jak mówi mama, tata znowu pracuje w młynie Ranka i może Bóg da, że ta praca potrwa jakiś czas, dopóki toczy się wojna i Anglicy rozpaczliwie potrzebują mąki. Mama przynosi mi tabliczkę czekolady, co dowodzi, że tata ma pracę. Nigdy nie mogłaby sobie na to pozwolić, gdyby był na zasiłku. Tata przysyła mi karteczki. Że bracia modlą się za mnie, że mam być grzeczny, słuchać lekarzy, zakonnic, pielęgniarek i nie zapominać o odmówieniu modlitwy. Jest pewny, że święty Juda pomógł mi przetrwać kryzys, bo jest patronem przypadków beznadziejnych, a ja rzeczywiście byłem takim przypadkiem.

Patricia mówi, że ma przy łóżku dwie książki. Jedna to książka z wierszami i tę uwielbia. Druga to krótka historia Anglii, może chcę poczytać? Daje książkę Seamusowi, który codziennie myje podłogi.

– Nie wolno mi przenosić nic z sali dyfterytu na salę tyfusu – mówi Seamus – bo wszędzie latają zarazki i chowają się między stronicami, a jak złapiesz dyfteryt oprócz tyfusu, od razu się domyślą; wtedy stracę robotę i będę śpiewał na ulicach patriotyczne pieśni z metalową puszką w ręku, a mógłbym to robić bez trudu, bo nie napisano takiej pieśni o cierpieniach Irlandii, której bym nie znał. Nie mówiąc o kilku dotyczących przyjemności picia whisky.

O tak, zna Roddy'ego McCorleya. Zaraz dla mnie zaśpiewa, ale ledwie zaczął pierwszą linijkę, a już wpadła pielęgniarka z Kerry.

– Seamus? Co to takiego? Śpiewy? Akurat ty powinienesz znać przepisy dotyczące śpiewów. Chyba powiem o tym siostrze Ricie.

– Boże, siostrze, proszę tego nie robić!

– Dobrze, Seamus, wyjątkowo o tym zapomnę. Wiesz, że śpiewy mogą doprowadzić do nawrotu choroby u pacjentów.

Po jej wyjściu Seamus szepcze, że nauczy mnie kilku pieśni, bo przy śpiewaniu przyjemniej płynie czas, kiedy leży się samemu w sali tyfusowej. Mówi, że Patricia jest

uroczą dziewczynką, często daje mu cukierki z paczki, którą co dwa tygodnie dostaje od matki. Przestaje na chwilę myć podłogę i woła do Patricii w sąsiedniej sali:

– Patricia, mówiłem Frankowi, że jesteś miłą dziewczynką!

Ona odpowiada:

– Ty też jesteś miły, Seamus.

Seamus uśmiecha się, bo jest już starym, czterdziestoletnim mężczyzną i nigdy nie miał dzieci, oprócz tych w szpitalu zakaźnym, z którymi może rozmawiać.

– Frankie, masz tu książkę. Szkoda, że musisz czytać o Anglii po tym, co oni nam zrobili, a tu, w tym szpitalu, nie da się, niestety, dostać historii Irlandii – mówi Seamus.

Z książki dowiaduję się o królu Alfredzie, o Wilhelmie Zdobywcy i o wszystkich królach i królowych aż do Edwarda, który musiał czekać w nieskończoność, żeby umarła jego matka Wiktoria i żeby sam mógł zostać królem. W tej książce jest też fragment Szekspira, z jakim się pierwszy raz zetknąłem.

*Nakłoniona przez mocarne okoliczności
Wierzę, żeś jest mym wrogiem.*

Autor historycznej książki twierdzi, że tak mówi Katarzyna, która była żoną Henryka VIII, do kardynała Wolseya, który z kolei próbował doprowadzić do tego, by ścięto jej głowę. Nie wiem, co to znaczy, ale to mnie nie obchodzi, bo to jest Szekspir, i kiedy wymawiam te słowa, czuję, jakbym trzymał w ustach klejnot. Gdybym miał całą książkę Szekspira, mogliby nie wypuszczać mnie ze szpitala przez rok.

Patricia mówi, że nie wie, co znaczy „nakłoniona” ani „mocarne okoliczności”, ale nie podoba jej się Szekspir, woli swoją książkę z wierszami. Czyta mi zza ściany wiersz o sowie i kocie, które wypłynęły na morze zieloną łodzią z miodem i pieniędzmi. Ten wiersz w ogóle nie ma sensu, ale kiedy to mówię, Patricia się obraża i zapowiada, że już nigdy nie przeczyta mi żadnego wiersza. Twierdzi, że ja ciągle recytuję dwie linijki z Szekspira, a one też nie mają żadnego sensu. Seamus znowu przestaje na chwilę myć podłogę i tłumaczy nam, że nie powinniśmy się spierać o wiersze, ponieważ będziemy mieli dosyć powodów do sporów, kiedy dorośniemy i pozawieramy małżeństwa. Patricia przeprosza mnie, a ja ją, więc czyta mi kawałek innego wiersza, który mam zapamiętać, żebym mógł powtórzyć jej rano albo późno wieczorem, kiedy nie czuwają już pielęgniarki ani zakonnice.

*Wiatr był ulewą ciemności wśród porywistych drzew,
Księżyc jak widmowy galeon rzucony na morze chmur,
Droga wstęgą księżycą na fioletowym wrzosowisku,
A rozbójnik przyjechał na koniu,
Na koniu, na koniu,
Przyjechał na koniu pod starej drzwi gospody.
Miał na głowie francuski kapelusz, na piersi koronki,
Aksamitny surdut bordo, irchowe bryczesy,
Co przylegały ciasno, buty do uda wysokie,
A jadąc, siał w krąg diamentowe błyski,
Pobłyskiwała pistoletu kolba
I rapieru garda pod niebem diamentowych gwiazd.*

Codziennie nie mogę się doczekać, kiedy lekarze i pielęgniarki zostawią mnie w spokoju, żebym mógł się nauczyć od Patricii kolejnych części wiersza i poznać dalsze losy bandyty i córki gospodarza o czerwonych wargach. Podoba mi się ten wiersz, ponieważ jest bardzo ciekawy i prawie taki dobry jak moje dwie linijki z Szekspira. Żołnierze w czerwonych

kaftanach chcą złapać rozbójnika, bo wiedzą, że obiecał dziewczynie: „Przyjdę do ciebie w świetle księżyca, choćby piekło zagradzało mi drogę”.

Sam chciałem to zrobić, przyjść do Patricii z sąsiedniej sali w świetle księżyca, przejmując się tym, że piekło zagradza mi drogę, tyle co pierdnięciem skrzypka. Patricia ma właśnie przeczytać ostatnich kilka linijek, kiedy zjawia się pielęgniarka z hrabstwa Kerry i krzyczy na nią i na mnie.

– Mówiłam, że nie wolno prowadzić rozmów między pokojami! Dyfterytowi nigdy nie wolno rozmawiać z tyfusem i odwrotnie. Ostrzegałam was. Seamus! Zabierz go stąd. Siostra Rita uprzedziła, że jeszcze jedno słowo, a zabierzemy go na górę. Ostrzegaliśmy, żebyście przestali paplać, ale nic to nie pomogło. Seamus, zabieraj chłopaka!

– Och, siostrzo, przecież on nic nie robi. To tylko kawałek wiersza.

– Seamus, zabieraj chłopaka. Natychmiast!

Seamus pochyla się nade mną i szepcze:

– Boże, przykro mi, Frankie. Tu jest twoja książka z angielską historią.

Wsuwa mi książkę pod koszulę i podnosi mnie z łóżka. Mówi cicho, że jestem jak piórko. Usiłuję zobaczyć Patricię, kiedy przechodzimy przez jej salę, ale widzę tylko czarną plamę głowy na poduszce.

Siostra Rita zatrzymuje nas na korytarzu, żeby mi powiedzieć, że bardzo ją rozczarowałem, spodziewała się, że będę grzeczny, przecież Bóg tyle dla mnie zrobił, modliły się za mnie setki chłopców w bractwie, opiekowały się mną pielęgniarki i zakonnice w szpitalu zakaźnym, pozwalano rodzicom mnie odwiedzać, co się rzadko zdarza. I oto jak się odpłacam, recytując głupie wiersze z Patricią Madigan, chociaż dobrze wiem, że jest zakaz rozmów tyfusu z dyfterytem. Na wielkim oddziale na górze będę miał dosyć czasu, żeby się zastanowić nad moimi grzechami, powinienem prosić Boga o wybaczenie nieposłuszeństwa i recytowania pogańskich angielskich wierszy o złodzieju na koniu i pannie z czerwonymi wargami, która popełnia straszliwy grzech, chociaż mogłem w tym czasie czytać żywot jakiegoś świętego albo się modlić. Sama postarała się przeczytać ten wiersz i dobrze mi radzi, żebym nie zapomniał powiedzieć o nim księdzu na spowiedzi.

Pielęgniarka z hrabstwa Kerry idzie za nami na górę, z trudem łapie powietrze i trzyma się poręczy. Zapowiada, żebym sobie nie wyobrażał, że będzie wbiegała po schodach za każdym razem, kiedy coś mnie zaboli czy zakłuje.

Na oddziale jest dwadzieścia łóżek, białych i pustych. Pielęgniarka poleca, żeby Seamus położył mnie w najdalszym kącie, co uniemożliwi mi rozmowę z każdym, kto będzie przechodził koło drzwi, choć jest to mało prawdopodobne, bo na całym piętrze nie ma żywego ducha. Tłumaczy Seamusowi, że dawno temu, w okresie wielkiego głodu, był to oddział zarazy i tylko jeden Bóg wie, ile osób umarło tutaj, przywiezionych zbyt późno, by można było zrobić cokolwiek prócz umycia przed pochówkiem. Podobno głęboką nocą słyhać tu płacze i jęki. Naprawdę serce pęka, jak się pomyśli, co Anglicy z nami robili; jeśli nawet nie sprowadzili sami zarazy na kartofle, to niewiele uczynili, żeby jej się pozbyć. Żadnej litości. Żadnego współczucia dla ludzi, którzy kończyli życie na tym oddziale, dla dzieci cierpiących i umierających tutaj, podczas gdy Anglicy raczyli się pieczenią wołową i złopali najlepsze wina w swoich wielkich domach, a małym dzieciom zieleniały wargi od trawy, którą próbowały się żywić na polach. Niech Bóg nas błogosławi i ocali w przyszłości od klęski głodu!

Seamus zgadza się, że to rzeczywiście straszne, sam nie chciałby chodzić tędy po ciemku, wśród tych rozdziawionych pozieleniałych ust. Pielęgniarka mierzy mi gorączkę.

– Trochę się podniosła, wyśpij się dobrze z daleka od gadania Patricii Madigan, która nigdy nie doczeka siwych włosów.

Pielęgniarka kręci głową, a Seamus odpowiada jej tym samym smutnym gestem.

Pielęgniarki i zakonnice nigdy nie podejrzewają, że wiemy, o czym mówią. Choć ma się skończone dziesięć lat, już prawie jedenaście, uważają, że jest się takim prymitywem jak wuj Pat Sheehan, którego upuszczono na głowę. Nie można zadawać pytań. Nie można nawet pokazać po sobie, że się zrozumiało, co mówiła pielęgniarka o Patricii Madigan, o tym, że ona umrze; nie można też pokazać, że ma się ochotę płakać nad dziewczynką, która uczy uroczego wiersza, zresztą zdaniem zakonnic wiersza złego i nieodpowiedniego.

Pielęgniarka mówi Seamusowi, że musi już iść, i każe mu wymieść resztki bandaży spod mojego łóżka i trochę przemyć podłogę w całej sali. Seamus stwierdza potem, że to prawdziwa stara wiedźma, bo naskarzyła siostrze Ricie o czytaniu wiersza przez sale. Przecież nie można się niczym zarazić od wiersza, chyba że miłością, cha, cha, a to nie jest bardzo prawdopodobne, kiedy ma się ile? dziesięć, prawie jedenaście? Nigdy nie słyszał o czymś takim, mały dzieciak przeniesiony na górę z powodu wiersza. Chętnie poszedłby do „Limerick Leader” i poprosił o wydrukowanie całej tej historii, tyle że gdyby siostra Rita kiedykolwiek to odkryła, straciłby pracę.

– Zresztą, Frankie, pewnego pięknego dnia wyjdiesz stąd i będziesz mógł czytać wszystkie wiersze, jakie będziesz chciał, ale co do tej Patricii na dole, to nie wiem. Bóg świadkiem, że nie wiem, co będzie z Patricią.

Po dwóch dniach już wie o Patricii, ponieważ wstała z łóżka i poszła do ubikacji, chociaż miała używać basenu. I w ubikacji zasłabła i umarła. Seamus myje podłogę, a po policzkach płyną mu łzy.

– To paskudne, obrzydliwe, żeby ktoś taki ładny umierał w ubikacji. Tak żałowała, że kazała ci powtarzać ten wiersz, i dlatego zabrali cię z tamtej sali. Mówiła mi, że to wszystko przez nią.

– Nieprawda.

– Przecież wiem i tak jej powiedziałem.

Patricia odeszła i nigdy się nie dowiem, co się stało z rozbójnikiem i z Bess, córką gospodarza. Pytam Seamusa, ale on nie zna żadnych wierszy, a już szczególnie angielskich. Kiedyś znał irlandzki wiersz, lecz było tam o dobrych duchach i ani słowa o rozbójniku. Popyta się mężczyzn w swoim lokalnym pubie, gdzie zawsze ktoś coś recytuje, i wtedy mi powtórzy.

A tymczasem mam przecież co robić, mogą czytać krótką historię Anglii i dowiadywać się wszystkiego o angielskiej perfidii. Tak właśnie mówi Seamus: perfidia, a ja nie wiem, co to znaczy, on też nie wie, ale jeśli jest to coś, co robią Anglicy, to musi być straszne.

Seamus przychodzi trzy razy w tygodniu myć podłogę, a pielęgniarka każdego ranka mierzy mi temperaturę i puls. Doktor osłuchuje moją pierś tym czymś, co zwisa mu z szyi. Wszyscy pytają: „A jak się ma dzisiaj nasz mały żołnierz?” Dziewczyna w niebieskiej sukni trzy razy dziennie przynosi posiłki, ale nigdy się do mnie nie odzywa. Seamus twierdzi, że ona ma trochę nie po kolei w głowie, więc nie powinienem nic do niej mówić.

Lipcowe dni są długie, a ja boję się ciemności. W całej sali są tylko dwie lampy na suficie, lecz gaszą je, kiedy już zabiorą tacę po kolacji i pielęgniarka da mi proszki. Pielęgniarka każe mi spać, ale nie mogę, bo widzę ludzi w każdym z dziewiętnastu oddziałowych łóżek; wszyscy umierają i mają zielone usta od jedzenia trawy, wszyscy błagają o zupę, protestancką czy jakkolwiek inną, więc zakrywam twarz poduszką w nadziei, że nie obstąpią łóżka, nie będą wyciągali rąk, żebrać o kawałek czekolady, którą mama przyniosła w zeszłym tygodniu.

Nie, nie przyniosła jej. Musiała ją przysłać, bo już nie wolno mnie odwiedzać. Siostra Rita wyjaśniła, że odwiedziny w szpitalu zakaźnym to przywilej, a po moim złym zachowaniu, po sprawie Patricii Madigan i tego wiersza nie zasługuję na żadne przywileje. Twierdzi, że za kilka tygodni pójdę do domu, a teraz muszę się koncentrować na tym, żeby mi się poprawiało i żebym się nauczył chodzić po sześciu tygodniach leżenia w łóżku. Jutro po śniadaniu będę

mógł wstać. Nie rozumiem, dlaczego mówi, że muszę się nauczyć chodzić, umiem to przecież od dzieciństwa. Jednak kiedy pielęgniarka stawia mnie koło łóżka, przewracam się, a ona wybucha śmiechem.

– Widzisz, znowu jesteś niemowlęciem.

Ćwiczę chodzenie od łóżka do łóżka, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Nie chcę być niemowlęciem. Nie chcę być na tym pustym oddziale bez Patricii, bez rozbójnika, bez córki oberżysty o czerwonych wargach. Nie chcę, żeby duchy dzieci o zielonych ustach wskazywały na mnie kościstymi palcami i sięgały z krzykiem po resztki mojej czekolady.

Seamus mówi, że jeden z mężczyzn w jego pubie znał wszystkie zwrotki wiersza o rozbójniku i że koniec jest bardzo smutny. Czy chciałbym posłuchać? Ponieważ nigdy nie nauczył się czytać, więc musiał przynieść wiersz w głowie. Staje na środku sali, opiera się na szczytce i recytuje:

*Klap, klap w nocnej ciszy, klap, klap niesie nocne echo
Podjeżdża bliżej i bliżej! Jej twarz rozbłysła niby światło,
Na moment oczy szerzej się otwarły, już ostatnie tchnienie
I świetliste palca drgnienie Strzelba światło to rozbiła,
A jej śmierć ostrzeżeniem była.*

Rozbójnik słyszy strzał i ucieka, a kiedy o świcie dowiaduje się, jak umarła Bess, wpada we wściekłość i wraca, żeby się zemścić, ale ginie, zastrzelony przez żołnierzy w czerwonych kurtkach.

*Ostrogi miał jak krew czerwone w złociste południe, a surdut czerwony jak wino,
Kiedy zastrzelili go na drodze,
Na drodze jak psa.
Leżał tak w kałuży krwi z koronką przy szyi.*

Seamus wyciera rękawem twarz i pociąga nosem.

– Nie było potrzeby przenosić cię tu na górę z dala od Patricii, kiedy się nawet nie dowiedziałeś, co się stało z rozbójnikiem i z Bess. To bardzo smutna historia. Jak opowiedziałem ją mojej żonie, płakała cały wieczór, póki nie położyliśmy się do łóżka. Powiedziała, że ci w czerwonych kapotach wcale nie musieli zabijać rozbójnika, to oni są odpowiedzialni za większość kłopotów na świecie, a nad Irlandczykami to już nigdy nie mieli litości. Frankie, jeśli chcesz poznać więcej wierszy, to mi powiedz, przyniosę je z pubu w pamięci.

Dziewczyna w niebieskiej sukni, która ma trochę nie po kolei w głowie, pewnego dnia nagle się odezwała:

– Chciałbyś jakąś książkę do czytania?

Przyniosła mi *Zadziwiająca poszukiwania pana Ernesta Blissa E. Phillipsa Oppenheima*. Cała ta książka jest o Angliku, który ma wszystkiego dosyć i zupełnie nie wie, co z sobą robić, chociaż jest tak bogaty, że nawet nie potrafi policzyć swoich pieniędzy. Służący przynosi mu codziennie poranną gazetę, herbatę, jajko, grzanekę i marmoladę, a on mówi: „Zabierz to, życie jest puste”. Nie może czytać gazety, nie może zjeść jajka, po prostu marnieje. Doktor radzi, żeby zamieszkał wśród biedaków londyńskiego East Endu, wtedy nauczy się kochać życie, i tak się rzeczywiście staje. Do tego jeszcze zakochuje się w dziewczynie, która jest biedna, ale uczciwa i inteligentna, pobierają się i przenoszą do domu na West Endzie – a to jest bogata dzielnica – ponieważ łatwiej pomagać biednym i nie mieć wszystkiego dosyć, kiedy się mieszka wygodnie i przyjemnie.

Seamus lubi, kiedy opowiadam mu, co czytam. Twierdzi, że historia o panu Erneście Blissie jest wymyślona, gdyż nikt przy zdrowych zmysłach nie szedłby do doktora tylko dlatego, że ma za dużo pieniędzy i nie może zjeść jajka. Chociaż nigdy nie wiadomo. Może tak być w Anglii. Niczego podobnego nie spotka się w Irlandii. Tutaj ktoś, kto nie zjadałby jajka, zostałby odwieziony do szpitala wariatów albo przed oblicze biskupa.

Nie mogę się doczekać, kiedy pójdę do domu i opowiem Malachy'emu o człowieku, który nie chciał jeść jajka. Malachy padnie na ziemię ze śmiechu, bo taka rzecz po prostu jest niewyobrażalna. Powie, że wymyśliłem to sobie. Ale kiedy mu wyjaśnię, że to jest historia o Angliku, wtedy zrozumie.

Nie wolno mi się wygadać przed dziewczyną w niebieskiej sukience, że to głupia opowieść, bo mogłaby dostać ataku. Mówi, że jeśli już przeczytałem tę pierwszą książkę, to przyniesie mi inną, bo zostało całe ich pudło po dawnych pacjentach. Przynosi mi teraz trudne do czytania *Szkolne dni Toma Browna* i mnóstwo powieści P. G. Wodehouse'a. Śmieję się z Ukridge'a, Bertiego Woostera, Jeevesa i wszystkich Mullinerów. Bertie Wooster jest bogaty, ale co rano zjada jajko w obawie przed tym, co powiedziałyby Jeeves. Żałuję, że nie mogę rozmawiać o przeczytanych książkach z dziewczyną w niebieskiej sukience ani z nikim innym, ale boję się, że doszłoby to do pielęgniarki z hrabstwa Kerry albo do siostry Rity, a wtedy przeniosłoby mnie na jeszcze większy oddział na górze z pięćdziesięcioma pustymi łóżkami i mnóstwem duchów o zielonych ustach, duchów, które wskazywałyby na mnie kościstymi palcami. W nocy leżę w łóżku i rozmyślam o Tomie Brownie i jego przygodach w szkole w Rugby, o wszystkich postaciach Wodehouse'a. Mogę marzyć o czerwonoustej córce oberżysty i o rozbójniku, a pielęgniarki i zakonnice nie mogą temu przeszkodzić. Świadomość, że świat nie może się wtrącać do tego, co się dzieje w mojej głowie, jest bardzo przyjemna.

Nadchodzi sierpień i kończę jedenaście lat. Jestem w szpitalu już dwa miesiące i zastanawiam się, czy wypuszczą mnie na Boże Narodzenie. Pielęgniarka z hrabstwa Kerry burczy, że zamiast narzekać, powinienem paść na kolana i dziękować Bogu, że w ogóle żyję.

– Nie narzekam, siostrze, zastanawiam się tylko, czy będę w domu na Boże Narodzenie.

Nie chce mi odpowiedzieć. Przykazuje, żebym się dobrze zachowywał, bo inaczej przysła tu siostrę Ritę, która potrafi mnie uspokoić.

W dzień moich urodzin przychodzi do szpitala mama i przysyła mi na górę paczuszkę z dwiema tabliczkami czekolady i kartką, na której są nazwiska wszystkich ludzi z naszej uliczki, życzących mi wyzdrowienia i powrotu do domu. „Jesteś wspaniałym żołnierzem, Frankie”. Pielęgniarka pozwala mi porozmawiać z mamą przez okno, ale nie jest to łatwe, bo okna są wysokie i muszę stanąć na ramionach Seamusa. Mówię mamie, że chciałbym być już w domu, a ona odpowiada, że jeszcze jestem trochę za słaby, ale na pewno niedługo opuszczę szpital.

– To wielka rzecz mieć jedenaście lat – twierdzi Seamus. – Już za chwilę będziesz się golił jak mężczyzna, będziesz gotów iść do pracy i wypić kufelek, jak każdy porządny chłop.

Po czternastu tygodniach siostra Rita pozwala mi wrócić do domu. Mam szczęście, że wychodzę akurat w dzień świętego Franciszka z Asyżu. Chwali, że byłem bardzo dobrym pacjentem, poza drobną sprawą wiersza i Patricii Madigan, Panie, świeć nad jej duszą. Jestem zaproszony do szpitala na wielki obiad świąteczny. Mama przychodzi po mnie, ale mam tak słabe nogi, że bardzo dużo czasu zajmuje nam dojście do autobusu przy Union Cross.

– Nie spiesz się – mówi mama. – Co znaczy jedna godzina wobec trzech i pół miesiąca?

Przy Barrack Road i Roden Lane ludzie stoją w drzwiach, wołają, że miło mnie z powrotem zobaczyć, że jestem dzielny żołnierzem, rodzice mogą być ze mnie dumni. Malachy i Michael wybiegają mi naprzeciw z okrzykami:

– Boże, jak ty wolno chodzisz! Nie możesz już biegać?

Jest pogodny dzień i czuję się bardzo szczęśliwy, dopóki nie zastaję ojca siedzącego przy kuchennym stole z Alphiem na kolanach. Nagle moje serce wypełnia dziwna pustka, bo wiem, że on znowu jest bez pracy. Przez cały czas byłem pewien, że pracuje, mama mi tak powiedziała, więc spodziewałem się, że nie zabraknie nam jedzenia ani butów. Ojciec uśmiecha się do mnie i mówi do Alphiego:

– Widzisz, twój starszy brat wrócił ze szpitala.

Mama powtarza tacie, co powiedział doktor, mam się dobrze odżywiać i dużo odpoczywać. Wołowina najszybciej przywróci mi siły. Tata kiwa głową, a mama tymczasem robi mi rosół wołowy z kostki, Malachy i Michael wpatrują się we mnie, kiedy go wypijam. Też chcieliby trochę, ale mama ich karci, nie mieli przecież tyfusu. Twierdzi, że doktor kazał mi wcześniej kłaść się do łóżka. Próbowala pozbyć się pcheł, ale jest ich więcej niż normalnie z powodu ciepłej pogody.

– Zresztą niewiele będą miały z ciebie pożytku, sama skóra i kości.

Leżę w łóżku i myślę o szpitalu, gdzie codziennie zmieniano białą pościel i nie było śladu pcheł. W ubikacji można było siedzieć i czytać książkę, dopóki ktoś nie przyszedł zapytać, czy się jeszcze żyje. Była też wanna, można było moczyć się w ciepłej wodzie, jak długo się chciało, i powtarzać:

*Nakłoniona przez mocarne okoliczności
Wierzę, żeś jest mym wrogiem.*

Te słowa pomagają mi zasnąć.

Kiedy Malachy i Michael wstają rano do szkoły, mama pozwala mi zostać w łóżku. Malachy chodzi już do piątej klasy do pana O’Dei i lubi wszystkim opowiadać, że uczy się z dużego czerwonego katechizmu do bierzmowania, a pan O’Dea mówi im o stanie łaski, o Euklidesie i o tym, jak Anglicy dręczyli Irlandczyków przez osiem długich stuleci.

Nie chcę już leżeć w łóżku. Październikowe dni są piękne, więc mam ochotę siedzieć na zewnątrz i patrzeć na uliczkę, obserwować ukośne promienie słońca na domu naprzeciwko. Mikey Molloy przynosi mi książki P. G. Wodehouse’a, które jego ojciec bierze z biblioteki; spędzam wspaniałe dni z Ukridge’em, Bertiem Woosterem i wszystkimi Mullinerami. Tata zgadza się, bym czytał jego ulubioną książkę – *Dziennik więzienny* Johna Mitchela – o wielkim irlandzkim buntowniku zesłanym przez Anglików na wygnanie na Ziemię Van Diemena w Australii. Anglicy pozwalają Johnowi Mitchelowi poruszać się swobodnie po całej Ziemi Van Diemena, jeśli da słowo honoru dzentelmena, że nie będzie próbował stąd się wyrwać. On daje słowo i dotrzymuje go, dopóki nie zjawia się okręt, który ma mu pomóc w ucieczce. Idzie wtedy do biura angielskiego urzędnika, wypowiada słowo „uciekam”, wskakuje na konia i dociera do Nowego Jorku. Tata twierdzi, że mogę czytać głupie angielskie książki P. G. Wodehouse’a pod warunkiem, że nie zapomnę o tych, którzy spełnili swój obowiązek i oddali życie za Irlandię.

Nie mogę w nieskończoność przebywać w domu, toteż w listopadzie mama prowadzi mnie z powrotem do Leamy’s National School. Nowy dyrektor, pan O’Halloran, komunikuje nam z przykrością że ponieważ opuściłem dwa miesiące lekcji, muszę wrócić do piątej klasy. Mama go przekonuje, że na pewno jestem przygotowany do szóstej klasy. W końcu opuściłem zaledwie kilka tygodni. Pan Halloran nie ustępuje: bardzo mu przykro, proszę zaprowadzić chłopca obok, do pana O’Dei.

Idąc z mamą korytarzem, protestuję, że nie chcę chodzić do piątej klasy. W tej klasie jest Malachy, nie chcę się uczyć razem z bratem, który jest rok młodszy. W zeszłym roku przystąpiłem do bierzmowania. On nie. Jestem starszy. Z powodu tyfusu nie jestem już wyższy, ale jednak jestem starszy.

– Nic ci się nie stanie – mówi mama.

Mamę to w ogóle nic nie obchodzi, więc umieszczają mnie w jednej klasie z Malachym i wiem, że wszyscy jego przyjaciele patrzą na mnie drwiąco, ponieważ cofnięto mnie do ich klasy. Pan O’Dea każe mi usiąść w pierwszej ławce i nie robić takiej niezadowolonej miny, bo inaczej czeka mnie kontakt z jego różgą.

Nagle zdarza się cud, na pewno przez świętego Franciszka z Asyżu, mojego ulubionego świętego, a także przez samego Najwyższego. Tego pierwszego dnia po powrocie do szkoły znajduję na ulicy pensa, chcę od razu pobiec do sklepu Kathleen O’Connell po duży kwadrat toffi Cleevesa, ale nie mogę biegać, bo nogi mam jeszcze słabe po tyfusie i czasem muszę się przytrzymać ściany. Mam straszną ochotę na toffi, ale równie rozpaczliwie chcę się wydostać z piątej klasy.

Wiem, że muszę pójść do figurki świętego Franciszka z Asyżu. Tylko on mnie wysłucha, lecz znajduje się na drugim końcu miasta, więc droga w jedną stronę zajmuje mi godzinę, bo przysiadam na stopniach, przytrzymuję się ścian. Mam akurat pensa na świeczkę. Zastanawiam się, czy nie zapalić świeczki, a pensa zatrzymać. Ale nie, święty Franciszek będzie wiedział. Kocha ptaki fruujące w powietrzu, rybki pływające w strumieniu, jednak nie jest głupcem. Klękam przed posągami i błagam, żeby mi pomógł, żebym nie musiał chodzić do jednej klasy z bratem, który pewnie teraz przechwala się na całej uliczce, że starszego brata cofnięto niżej. Święty Franciszek nie mówi ani słowa, ale wiem, że słucha i wyciągnie mnie z kłopotu. Przynajmniej tyle może dla mnie zrobić, w końcu z takim trudem do niego dotarłem, przysiadając na stopniach, przytrzymując się ścian, choć mogłem przecież iść do kościoła Świętego Józefa i zapalić świeczkę Małemu Kwiatkowi albo Najświętszemu Sercu Jezusowemu. Po co mi jego imię, gdyby miał mnie opuścić w potrzebie?

Muszę siedzieć w klasie pana O’Dei, słuchając katechizmu i tego wszystkiego, czego nas uczył w zeszłym roku. Chcę podnieść rękę i odpowiadać na pytania, ale pan O’Dea mówi:

– Siedź spokojnie, pozwól bratu odpowiedzieć.

Daje im zadania z arytmetyki, a mnie każe poprawiać. Robi im dyktanda z irlandzkiego, a ja mam poprawiać to, co napisali. Potem zadaje mi specjalne wypracowanie i każe czytać je głośno w klasie, dlatego że już w zeszłym roku dużo się od niego nauczyłem.

– Frank McCourt pokaże wam, jak dobrze się nauczył pisać w tej klasie w ubiegłym roku. Napisze wypracowanie o Panu Jezusie, prawda, McCourt? Powie nam, jak by to było, gdyby Pan Jezus dorastał w Limerick, najbardziej świętym mieście w Irlandii, gdzie jest Arcybractwo Świętej Rodziny. Wiemy, że gdyby Nasz Pan wyrósł w Limerick, nigdy nie zostałby ukrzyżowany, bo mieszkańcy Limerick zawsze byli dobrymi katolikami, niezbyt skłonny do przybijania do krzyży. McCourt, idź teraz do domu i napisz na jutro wypracowanie.

Tata uważa, że pan O’Dea ma dużą wyobraźnię, ale chyba Pan Jezus dosyć się nacierpiął na krzyżu, żeby trzeba Go jeszcze było umieszczać w Limerick z całą tą wilgocią od rzeki Shannon. Tata wkłada czapkę i idzie na długi spacer, a ja muszę sam pomyśleć o Panu Jezusie i zastanowić się, co napisać.

– Dobrze, McCourt, przeczytaj klasie swoje wypracowanie – poleca następnego dnia pan O’Dea.

– Imię mojego wypracowania...

– Tytuł, McCourt, tytuł.

– Tytuł mojego wypracowania jest: „Pan Jezus i pogoda”.

– Co takiego?

– „Pan Jezus i pogoda”.

– Dobrze, czytaj.

– To jest moje wypracowanie. Nie sądzę, żeby Jezusowi, który jest naszym Panem, spodobała się pogoda w Limerick, ponieważ tu zawsze pada, a Shannon sprawia, że w całym

mieście jest wilgotno. Mój ojciec twierdzi, że rzeka Shannon to zabójca, bo zabiła dwóch moich braci. Kiedy się ogląda obrazy Pana Jezusa, to widać, że On zawsze spaceruje po starożytnym Izraelu w prześcieradle. Tam nigdy nie pada, nie słychać też, żeby ktoś tam kasłał, zapadał na suchoty czy na coś podobnego; nikt tam nie ma pracy, bo wszyscy stoją sobie, jedzą mannę, zaciskają pięści i chodzą na ukrzyżowania.

Ilekcję Pan Jezus był głodny, wystarczyło, żeby podszedł do drzewa figowego czy pomarańczowego, i już mógł się najeść. Jeśli miał ochotę na kufelek, mógł tylko machnąć ręką nad wielką szklanką i zaraz się napełniała. Mógł też chodzić z wizytą do Marii Magdaleny i jej siostry Marty, a one bez pytania dawały mu obiad; jeszcze potem miał umyte nogi i wytarte włosami Marii Magdaleny, a Marta w tym czasie zmywała naczynia, chociaż moim zdaniem to nie było w porządku. Dlaczego ona musiała zmywać naczynia, kiedy jej siostra siedziała sobie i rozmawiała z Panem Jezusem? Bardzo dobrze, że Jezus postanowił się urodzić Żydem w tym ciepłym kraju, bo gdyby urodził się w Limerick, złapałby suchoty i umarł po miesiącu, a wtedy nie byłoby Kościoła katolickiego, żadnej komunii ani bierzmowania, nie musielibyśmy uczyć się katechizmu ani pisać wypracowań o Panu Jezusie. Koniec.

Pan O’Dea siedzi spokojnie i dziwnie na mnie patrzy. Trochę się niepokoję, bo zwykle, kiedy jest tak cicho, to znaczy, że ktoś oberwie.

- McCourt, kto napisał to wypracowanie?
- Ja, proszę pana.
- Czy twój ojciec?
- Nie, proszę pana.
- Podejdź tu, McCourt.

Wychodzę za nim z klasy, idziemy korytarzem do gabinetu dyrektora. Pan O’Dea pokazuje mi moje wypracowanie, a pan O’Halloran też obrzuca mnie takim dziwnym spojrzeniem.

- Sam napisałeś to wypracowanie?
- Tak, panie dyrektorze.

Zabierają mnie z piątej klasy i przenoszą do szóstej pana O’Hallorana, gdzie są wszystkie znajome chłopaki: Paddy Clohessy, Finian Slattery, Pytajnik Quigley. Kiedy lekcje kończą się tego dnia, muszę wrócić do figury świętego Franciszka z Asyżu i podziękować mu, chociaż nogi dalej mam słabe po tyfusie, więc przysiadam na stopniach i przytrzymuję się ścian. Zastanawiam się tylko, czy to wypracowanie napisałem dobrze, czy źle.

Pan Thomas L. O’Halloran uczy trzy klasy w jednej sali: szóstą, siódmą i ósmą. Ma taką głowę jak prezydent Roosevelt i nosi złote okulary. Ubiera się w garnitury, granatowe albo szare, a na jego brzuchu między jedną kieszenią kamizelki a drugą kołysz się złoty łańcuch od zegarka. Pana O’Hallorana nazywamy Skoczkiem, bo ma jedną krótszą nogę i kiedy idzie, to podskakuje. Wie, jak go przezywamy, i często powtarza: „Owszem, jestem Skoczek i zaraz się o tym przekonasz”. Nosi długi kijek, wskaźnik, i jeśli się nie uważa lub źle odpowiada, daje trzy klapsy w każdą rękę albo trzepie z tyłu po nogach. Absolutnie wszystkiego każe się uczyć na pamięć, przez co jest najbardziej wymagającym nauczycielem w szkole. Uwielbia Amerykę i każe nam się nauczyć wszystkich amerykańskich stanów w porządku alfabetycznym. W domu przygotowuje tablice gramatyki irlandzkiej, historii i algebry, w klasie wiesza je na sztalugach, a my musimy głośno powtarzać przypadki, koniugacje i deklinacje języka irlandzkiego, słynne nazwiska i bitwy, proporcje, współczynniki, równania. Musimy znać ważne daty z historii Irlandii. Tłumaczy nam, co jest istotne i dlaczego. Dotychczas żaden nauczyciel tego nam nie mówił. Jak się zadało pytanie, dostawało się po głowie. Skoczek nie wyzywa nas od idiotów, jeśli o coś pytamy, i nie wpada we wściekłość. Jest jedynym nauczycielem, który przerywa lekcję i pyta: „Zrozumieliście, o czym mówię? Chcecie o coś zapytać?”.

Wszyscy doznajemy szoku, kiedy twierdzi, że bitwa pod Kinsale w 1601 roku to jeden z najsmutniejszych momentów irlandzkiej historii; to bitwa wręcz, w której obie strony odznaczyły się okrucieństwem.

Okrucieństwo po obu stronach? Po stronie irlandzkiej? Jak to możliwe? Wszyscy inni nauczyciele mówili nam, że Irlandczycy zawsze walczyli szlachetnie, każda ich walka była uczciwa. Recytuje i każe nam zapamiętać:

*Szli naprzód do boju, lecz zawsze padali
Wpatrzeni uparcie w horyzont w oddali.
Szlachetnie i dzielnie walczyli, choć nie tak znów
dobrze się bili.
Przepadli, bo serca ich zranił nieuchwytny czar.*

Jeśli przegrywali, to przecież tylko z powodu zdrajców i donosicieli. Więc chciałbym się czegoś dowiedzieć o tych okrucieństwach Irlandczyków.

– Proszę pana, czy Irlandczycy popełniali okrucieństwa w bitwie pod Kinsale?

– Jak najbardziej. Zachowały się przekazy, że zabijali jeńców, ale nie byli ani gorsi, ani lepsi od Anglików.

Pan O’Halloran nie może kłamać. Jest dyrektorem. Przez te wszystkie lata przekonywano nas, że Irlandczycy zawsze postępowali szlachetnie i wygłaszali odważne mowy na moment przedtem, nim Anglicy ich powiesili. A teraz Skoczek O’Halloran twierdzi, że Irlandczycy robili złe rzeczy. Za chwilę gotów powiedzieć, że Anglicy postępowali dobrze.

– Musicie się uczyć i studiować, żebyście potrafili wyciągać własne wnioski na temat historii i wszystkiego innego, ale nie można wyciągać wniosków z pustej głowy – mówi. – Gromadźcie wiedzę. Umysł to wasz skarbiec, do którego nikt na świecie nie może się dostać. Gdybyście wygrali Wielką Irlandzką i kupili dom wymagający umeblowania, czy urządzalibyście go byle jakimi rupieciami? Umysł jest takim domem i jeśli wypełnicie go śmieciami rodem z kina, zgniją wam w głowie. Możecie być biedni, możecie mieć podarte buty, ale wasz umysł to pałac.

Wywołuje nas po kolei na środek klasy i patrzy na nasze buty; pyta, dlaczego są tak zniszczone, dlaczego niektórzy w ogóle nie mają butów. Mówi, że to naprawdę hańba. Zamierza zorganizować loterię i zebrać pieniądze, żebyśmy wszyscy mieli solidne, ciepłe obuwie na zimę. Daje nam książeczki z kuponami loteryjnymi i zaczynamy je rozprowadzać w całym mieście. Loteria na buty dla uczniów Leamy’s National School – pierwsza nagroda pięć funtów, pięć nagród po funcie. Nowe obuwie dostało jedenastu chłopców, którzy dotychczas chodzili boso. Malachy’emu i mnie nic nie przypadło w udziale, ponieważ mamy na nogach buty, tyle że podeszwy są strasznie zdarte.

Zastanawiamy się, po co biegaliśmy po całym Limerick, sprzedając kupony, żeby inni mogli skorzystać. Fintan Slattery twierdzi, że otrzymamy odpust zupełny za prace dobroczynne.

– Fintan, może chociaż raz byś się wysrał na własny rachunek – odparowuje Paddy Clohessy.

Wiem, kiedy tata robi coś złego. Wiem, kiedy przepija zasiłek i mama popada w rozpacz, bo musi zebrać w Stowarzyszeniu Świętego Wincentego i prosić o kredyt w sklepie Kathleen O’Connell. Ale nie chcę odwracać się od niego i biec do mamy. Jak mógłbym to zrobić, skoro obaj wstajemy co rano wcześnie, kiedy wszyscy jeszcze śpią? Tata rozpala ogień, robi herbatę, podśpiewuje albo czyta mi gazetę szeptem, żeby nie obudzić reszty rodziny. Mikey Molloy ukradł Cuchulaina, Anioł Siódmego Stopnia gdzieś sobie poszedł, ale rano tata wciąż należy do mnie. Wcześnie przynosi „Irish Press” i opowiada mi o święcie, o Hitlerze,

Mussolinim, Franco. Tłumaczy, że ta wojna to nie nasza sprawa, bo Anglicy znowu próbują swoich sztuczek. Mówi o wielkim Rooseveltcie w Waszyngtonie i wielkim De Valerze w Dublinie. Rano mamy cały świat dla siebie i tata nigdy mnie nie przekonuje, że powinienem umrzeć za Irlandię. Opowiada o dawnych czasach w Irlandii, kiedy Anglicy nie pozwalali katolikom mieć szkół, ponieważ chcieli trzymać ludzi w niewiedzy. Katolickie dzieci spotykały się w polnych szkołach na głębokiej wsi i uczyły się angielskiego, irlandzkiego, łaciny i greki. Ludzie bardzo chcieli się uczyć. Uwielbiali opowieści i wiersze, chociaż nie przydawało się to do znalezienia pracy. Mężczyźni, kobiety i dzieci zbierali się na polach, w rowach, by słuchać wielkich nauczycieli, i wszyscy zastanawiali się, ile też człowiek może pomieścić w głowie. Nauczyciele ryzykowali życie, wędrując od rowu do rowu, od żywopłotu do żywopłotu, bo gdyby Anglicy przyłapali ich na uczeniu, mogliby zesłać do cudzoziemskich krajów albo jeszcze gorzej. Tata twierdzi, że teraz łatwo jest chodzić do szkoły, nie trzeba siedzieć w rowie, żeby zdobywać umiejętność dodawania czy poznawać chwalebne dzieje Irlandii. Powinienem się dobrze uczyć, a pewnego dnia wrócę do Ameryki i dostanę pracę w biurze, będę siedział za biurkiem, z dwoma wiecznymi piórami w kieszeni, czerwonym i niebieskim, i podejmował decyzje. Będę we wnętrzu, bezpieczny przed deszczem, będę miał garnitur, buty i ciepłe mieszkanie, a czego jeszcze człowiek może pragnąć? Mówi, że w Ameryce wszystko jest możliwe, to kraj nieograniczonych szans. Można być rybakim w stanie Maine albo farmerem w Kalifornii. To nie Limerick, szare miasto z rzeką, która zabija.

Kiedy rano ma się ojca tylko dla siebie przy płonącym ogniu, nie potrzeba już ani Cuchulaina, ani Anioła Siódmego Stopnia, ani niczego.

Wieczorami tata pomaga nam w ćwiczeniach. Mama wyjaśnia, że w Ameryce nazywają to pracą domową, ale tutaj mówi się: ćwiczenia, słupki, angielski, irlandzki, historia. Tata nie może nam pomóc w irlandzkim, bo jest z Północy i nie zna rodzimego języka. Malachy proponuje, że nauczy go irlandzkich słów, lecz tata twierdzi, że już za późno, stary pies nie nauczy się szczekać inaczej. Zanim położymy się spać, siedzimy przy ogniu; jeśli poprosimy tatę, żeby nam coś opowiedział, wymyśla coś na temat któregoś z sąsiadów i prowadzi nas po całym świecie, w powietrze, pod wodę i z powrotem na naszą uliczkę. Wszyscy w tej opowieści mają inny kolor skóry, wszystko jest do góry nogami i w odwrotnym kierunku. Samochody i samoloty poruszają się pod wodą, a łodzie podwodne fruwać w powietrzu. Rekiny siedzą na drzewach, a olbrzymie łososie bawią się z kangurami na księżycu. Polarne niedźwiedzie zmagają się ze słoniami w Australii, a pingwiny uczą Zulusów grać na dudach. Po zakończeniu opowieści tata prowadzi nas na górę i klęka, kiedy odmawiamy modlitwę. Mówimy: Ojcze Nasz, trzy Zdrowaś Mario, Boże pobłogosław papieża, Boże pobłogosław mamę, pobłogosław naszą zmarłą siostrę i braci, Boże pobłogosław Irlandię, De Valerę i każdego, kto daje tacie pracę.

– Spijcie teraz, chłopcy, bo Bóg na was patrzy i zawsze wie, kiedy jesteście niegrzeczni.

Myślę, że mój tata jest podobny do Świętej Trójcy, są w nim trzy osoby: ta poranna z gazetą, ta wieczorna od opowieści i modlitwy i ta, która robi złe rzeczy, po powrocie do domu pachnie whisky i domaga się, żebyśmy umierali za Irlandię.

Bardzo mi smutno z powodu tych złych rzeczy, ale nie mogę się od taty odwrócić, bo ten poranny to mój prawdziwy ojciec i gdybym był w Ameryce, mógłbym powiedzieć: „Kocham cię, tato”, tak jak mówią na filmach, ale nie można tego powiedzieć w Limerick, żeby nie zostać wyśmianym. Można powiedzieć, że się kocha Boga, dzieci i te konie, które wygrywają na wyścigach, ale wszystko inne świadczy o słabości głowy.

Dzień i noc dręczą nas w tej kuchni ludzie opróżniający kubły. Mama twierdzi, że wykończy nas nie rzeka Shannon, tylko smród z ubikacji pod drzwiami. Wystarczająco

przykre jest to w zimie, kiedy wszystko się przelewa i sączy pod naszym progiem, ale znacznie gorzej bywa w ciepłe dni, kiedy pojawiają się muchy, muszki i szczury.

Obok ubikacji znajduje się stajnia, w której trzymają wielkiego konia ze składu węglowego Gabbetta. Koń nazywa się Finn i wszyscy go kochamy, jednak stajenny ze składu opałowego nie sprząta stajni i smród dociera do naszego domu. Smród stajni i ubikacji przyciąga szczury, na które polujemy z naszym nowym psem o imieniu Lucky. On bardzo lubi osaczyć szczura, którego my następnie roztrzaskujemy na kawałki kamieniami czy kijami albo przekłuwamy widłami ze stajni. Koń boi się szczurów i musimy uważać, gdy staje dęba. Nas się nie boi, bo przynosimy mu jabłka, kiedy uda nam się okraść jakiś sad za miastem.

Szczury czasami uciekają do naszej komórki na węgiel pod schodami, gdzie jest zupełnie ciemno i wcale ich nie widać. Nawet ze świecą nie można ich znaleźć, bo wszędzie wykopują dziury i nie wiemy, gdzie szukać. Jeśli pali się akurat ogień, możemy zagotować wodę i wylewać ją powoli z czajnika. To wypędza szczury z nor; przemykają między naszymi nogami i za drzwi, chyba że po drodze złapie je Lucky i wytrzęsie w pysku na śmierć. Myśleliśmy, że będzie je zjadał, ale zostawia je na ulicy z wyprutymi flakami i biegnie do ojca po kawałek chleba umoczonego w herbacie. Ludzie z naszej uliczki mówią, że to bardzo dziwne jak na psa, ale czego można się spodziewać po psie McCourtów.

Wystarczy tylko wspomnieć o szczurze, a mama wybiega z domu. Wolałaby bez przerwy chodzić po ulicach Limerick, niż spędzić minutę w domu, w którym jest szczur, więc nie może ani chwili odpocząć, bo ma świadomość, że w sąsiedztwie stajni i ubikacji zawsze gnieździ się jakiś szczur z rodziną spragnioną kolacji.

Walczymy z gryzoniami i ze smrodem z ubikacji. Chcielibyśmy w ciepłe dni mieć otwarte drzwi, ale jest to niemożliwe, kiedy ludzie defilują z kubłami wypełnionymi po brzegi. Niektóre rodziny są gorsze od innych, jednak tata nienawidzi wszystkich jednakowo, choć mama mu tłumaczy, że to przecież nie ich wina, że budowniczy sto lat temu postawił domy z jedną tylko ubikacją koło naszych drzwi. Tata twierdzi, że sąsiedzi powinni opróżniać kubły w środku nocy, kiedy my śpimy, wtedy przynajmniej nie przeszkadzałyby nam smród.

Muchy są prawie tak dokuczliwe jak szczury. W ciepłe dni zlatują się do stajni, a gdy ktoś opróżnia kubeł, przenoszą się do ubikacji. Jeśli mama coś gotuje, zjawiają się w kuchni, a tata twierdzi, że to obrzydliwe, kiedy się pomyśli, że mucha, która właśnie siedzi na cukiernicy, minutę wcześniej siedziała na muszli klozetowej, czy raczej na tym, co z niej zostało. Jeśli ktoś się skaleczy, zaraz to odkryją i zaczyna się udręka. W dzień muchy, w nocy pchły. Mama mówi, że pchły przynajmniej są czyste, ale muchy nie, nigdy nie wiadomo, skąd przyleciały, roznoszą całe mnóstwo chorób.

Możemy polować na szczury i zabijać je. Możemy zabijać muchy i pchły, ale nic nie możemy poradzić na sąsiadów z kubłami. Jeśli akurat bawimy się na uliczce i widzimy, że nadchodzi ktoś z kubłem, ostrzegamy naszych domowników okrzykiem: „Idzie kubeł, zamykać drzwi!”. W ciepłe dni niemal bez przerwy biegamy, żeby zamknąć, ponieważ wiemy, kto przynosi najgorsze kubły. Jeśli rodziny, których ojciec ma pracę, przyzwyczajają się gotować z curry, wiemy, że smród ich kubłów sięgnie pod niebiosa, aż nas zemdli. A ponieważ trwa wojna i mężczyźni przysyłają pieniądze z Anglii, coraz więcej rodzin używa curry i nasz dom dzień i noc przepełnia smród. Znamy rodziny od curry, znamy rodziny od kapusty. Mamie przez cały czas jest niedobrze, tata chodzi na coraz dłuższe spacerunki na wieś, a my jak najwięcej bawimy się na dworze z dala od ubikacji. Tata już nie narzeka na rzekę Shannon, teraz wie, że są gorsze rzeczy. Zabiera mnie z sobą, kiedy idzie ze skargą do ratusza.

– Panie, mogę tylko doradzić przeprowadzkę – mówi mężczyzna w ratuszu.

– To nie Indie, to chrześcijański kraj. Na uliczce potrzeba więcej ustępów – odpowiada tata.

– Spodziewa się pan, że miasto będzie budowało klozety w domach, które i tak się wałają, a po zakończeniu wojny zostaną zburzone?

Tata mówi, że ta ubikacja wykończy nas wszystkich. Mężczyzna odpowiada, że żyjemy w niebezpiecznych czasach.

Mama oznajmia, że nie wiadomo, czy wystarczy węgla na ugotowanie obiadu, a do tego ja będę musiał się umyć od stóp do głów, jeśli mam iść do szpitala na świąteczny poczęstunek. Nie da siostrze Ricie okazji do stwierdzenia, że jestem zaniedbany i mogę złapać kolejną zarazę. Wcześniej rano przed pójściem na mszę mama gotuje gar wody i o mało nie obdziera mnie ze skóry. Wierci mi w uszach i szoruje skórę tak mocno, że aż swędzi. Może wydać dwa pensy na autobus do szpitala, ale z powrotem muszę wracać pieszo, co mi tylko dobrze zrobi, bo będę bardzo najedzony. Zaraz znowu rozpali ogień na świńską głowę, kapustę i mączyste ziemniaki, które ponownie zdobyła dzięki dobroci Stowarzyszenia Świętego Wincentego, ale jest zdecydowana, że po raz ostatni uczcimy narodzenie Naszego Zbawiciela świńskim łbem. W przyszłym roku będzie gęś albo szynka. Dlaczego nie, skoro Limerick na całym świecie słynie ze swoich szynek?

– No proszę, jak zdrowo wygląda nasz mały żołnierzyk! – woła siostra Rita. – Co prawda same kości, ale i tak nieźle. A teraz mi powiedz, czy byłeś rano na mszy.

– Byłem, siostrze.

– A przystępowałeś?

– Tak, siostrze.

Prowadzi mnie na pusty oddział, każe usiąść na krześle i obiecuje, że wkrótce dostanę obiad. Wychodzi, a ja się zastanawiam, czy będę jadł z siostrami i pielęgniarkami, czy z dziećmi na oddziale. Po chwili dziewczyna w niebieskiej sukience, ta sama, która przynosiła mi książki, przynosi obiad. Stawia tacę na brzegu łóżka, a ja przysuwam krzesło. Dziewczyna patrzy na mnie i marszczy brwi.

– Ty – mówi – to twój obiad, ale nie przyniosę ci żadnych książek.

Obiad jest wspaniały: indyk, tłuczone kartofle, groszek, galaretka z budyniem i dzbanek herbaty. Deser z budyniu i galaretki wygląda tak zachęcająco, że nie mogę się oprzeć, by od niego nie zacząć, przecież jestem sam i nikt tego nie zauważy. Jednak dziewczyna w niebieskiej sukni przynosi chleb i pyta:

– Co ty robisz?

– Nic.

– Nieprawda, robisz. Jesz słodczyce przed obiadem.

Wybiega z sali i woła:

– Siostrze Rito, szybko tutaj!

Wpada zakonnica z pytaniem:

– Francis, nic ci nie jest?

– Nie, siostrze.

– Siostrze, to nieprawda. Chce jeść galaretkę i budyń przed obiadem. Siostrze, to grzech.

– Dobrze, moja droga, idź już, a ja o tym porozmawiam z Francisem.

– Tak, niech siostra porozmawia, bo wszystkie dzieci ze szpitala będą jadły słodczyce przed obiadem i do czego to dojdzie?

– Rzeczywiście, do czego dojdzie? Idź już!

Dziewczyna wychodzi, a siostra Rita uśmiecha się do mnie.

– Bóg ją kocha, nic nie ujdzie jej uwagi, chociaż nie jest zupełnie normalna. Francis, musimy być dla niej wyrozumiali, jest przecież trochę upośledzona.

Po wyjściu siostry Rity na pustym oddziale panuje cisza. Kończę obiad i nie bardzo wiem, co robić, bo nie powinno się nic robić, dopóki nie powiedzą. W szpitalach i w szkołach

zawsze ci mówią, co robić. Czekam długo, aż dziewczyna w niebieskiej sukni przychodzi po tace.

– Skończyłeś? – pyta.

– Tak.

– No to nic więcej już nie dostaniesz, możesz teraz iść do domu.

Przecież dziewczyna z głową niezupełnie w porządku na pewno nie może decydować, czy mam iść do domu, więc zastanawiam się, czy nie poczekać na siostrę Ritę. Pielęgniarka w holu informuje, że siostra Rita je obiad i nie można jej przeszkadzać.

Z Union Cross do Barrack Hill jest daleko, więc kiedy docieram do domu, cała rodzina siedzi już na górze we Włoszech przy świńskim łbie, kapuście i mączystych białych kartoflach. Opowiadam im o swoim świątecznym obiedzie. Mama dopytuje się, czy jadłem z zakonnkami i pielęgniarkami; trochę się złości, kiedy mówię, że jadłem sam na oddziale. W ten sposób nie traktuje się dziecka – mówi. Każe mi usiąść i zjeść kawałek świńskiej głowy. Zmuszam się do tego. Jestem tak napchany, że kładę się, a brzuch sterczy mi na miłą.

Jest wczesne rano, a przed naszymi drzwiami stoi samochód, pierwszy tego typu samochód na naszej uliczce. Mężczyźni w garniturach zaglądają przez drzwi do stajni Finna, musiało się coś stać, bo jeszcze nigdy nie widziałem tu mężczyźni w garniturach.

To Finn. Leży w stajni, a dokoła pyska ma coś białego jak mleko. Stajenny, który go oprząta, mówi, że rano zastał go w takim stanie, co jest dziwne, bo koń zawsze stał i czekał na jedzenie. Mężczyźni kręcą głowami.

– Proszę pana, co się stało Finnowi? – pyta Michael, mój brat.

– Koń chory, synu. Idź do domu.

Stajenny, który opiekuje się Finnem, pachnie whisky.

– Z tego konia nic nie będzie. Musimy go zastrzelić – mówi do Michaela.

– Frank, oni go nie zastrzelą! Powiedz im. Jesteś duży – Michael ciągnie mnie za rękę.

– Idź do domu, chłopcze! – poleca stajenny.

Michael rzuca się na niego, kopie, drapie w rękę, a stajenny odrzuca go od siebie.

– Trzymaj tego swojego brata! – zwraca się do mnie.

Jeden z mężczyźni wyjmując z torby coś żółtobrązowego, podchodzi do Finna, przytyka mu to do głowy, rozlega się ostry brzęk. Finn drży. Michael wrzeszczy na mężczyznę i rzuca się na niego, ale mężczyźni mówią:

– Synu, ten koń był chory. Teraz jest mu lepiej.

Mężczyźni w garniturach odjeżdżają, a stajenny oświadcza, że musi poczekać na platformę, która zabierze Finna, nie może zostawić go samego, bo rzucają się na niego szczury. Pyta, czy moglibyśmy razem z naszym psem Luckym popilnować konia, kiedy on pójdzie do pubu, bo umiera z pragnienia.

Żaden szczur nie ma szans zbliżyć się do Finna, bo Michael, choć jest taki mały, czuwa z kijem. Stajenny wraca, zionąc portem, potem zjawia się wielka platforma, żeby zabrać konia, wielka platforma z trzema mężczyźni i dwoma spuszczoneymi z tyłu dechami, które sięgają aż do głowy Finna. Trzej mężczyźni i stajenny wiążą liny wokół Finna i ciągną go po deskach na platformę, a mieszkańcy uliczki wymyślają im, bo gwoździe i odłamki drewna rozdierają skórę konia, jasnoróżowa krew Finna zabarwia wielkie deski.

– Znęćcie się nad tym koniem.

– Nie macie szacunku dla umarłych?

– Ostrożnie z tym nieszczęsnym koniem!

– Na miłość boską, czego jęczycie? – złości się stajenny. – To tylko zdechły koń.

Michael znowu rzuca się na niego, głowę ma opuszczoną, wymachuje małymi piąstkami; stajenny odpycha go tak mocno, że Michael upada na plecy. Mama naciera na stajennego z taką furją, że ten ucieka po deskach i przeskakuje przez zwłoki Finna. Wieczorem wraca

pijany, żeby się wyspać, a po jego odejściu siano się żarzy i płonie cała stajnia. Szczury wyskakują na uliczkę, ścigają je wszyscy chłopcy i wszystkie psy, zmuszając do ucieczki na ulice szacownych obywateli.

IX

– Alpie będzie ostatni. Jestem wykończona. Mam dosyć. Więcej już żadnych dzieci – mówi mama.

– Dobra katoliczka musi wypełniać małżeńskie obowiązki i być posłuszna mężowi, bo inaczej czeka ją wieczne potępienie – odpowiada tata.

– Jeśli tylko nie będzie dzieci, wieczne potępienie wydaje mi się całkiem atrakcyjne – twierdzi mama.

Co ma robić tata? Trwa wojna. Angielscy agenci rekrutują Irlandczyków do pracy w swoich fabrykach amunicji, dobrze płacą, w Irlandii nie ma pracy. Jeśli jeszcze odwraca się od kogoś żona, to w Anglii nie brakuje kobiet, bo wszyscy zdrowi mężczyźni poszli walczyć z Hitlerem i Mussolinim, można więc robić wszystko, co się chce, byleby pamiętać, że jest się Irlandczykiem z ubogiej sfery, i nie próbować się wywyższać.

Liczne rodziny na naszej uliczce otrzymują telegraficzne przekazy pieniężne od ojców z Anglii. Biegają na pocztę inkasować pieniądze, żeby zrobić zakupy i w sobotni wieczór i niedzielny rano pokazać wszystkim, jak im się dobrze wiedzie. Chłopcy strzygą się w soboty, kobiety kręcą włosy żelaznymi lokówkami rozgrzany w ogniu. Chodzą teraz bardzo dumne, bo mogą zapłacić sześć pensów, a nawet szylinga za bilet w kinie Savoy, gdzie spotyka się lepszą kategorię ludzi niż widzowie zapewnijający dwupensowe miejsca w kinie Lyric, zawsze gotowi wznosić okrzyki, zdolni nawet, za przeproszeniem, wiwatować na cześć Afrykanów, wbijających szpady w Tarzana czy Indian, skalpujących kawalerię Stanów Zjednoczonych. Ci nowi bogacze wracają do domów po niedzielnej mszy, nadęci poczuciem własnej ważności, opychają się mięsem i kartoflami, mnóstwem ciastek i słodyczy, jakby nigdy nic piją herbatę z delikatnych małych filiżanek, które stoją na spodkach, co to mają zatrzymać przelewający się płyn. Kiedy ci nowi bogacze podnoszą do ust filiżankę, odchylają mały palec, żeby pokazać, jacy to są eleganccy. Niektórzy w ogóle już nie chodzą do smażalni ryb, bo tam można spotkać jedynie pijanych żołnierzy, nocne dziewczyny z mężczyznami, którzy przepili zasilek, i ich żony wrzeszczące, żeby wracali do domu. Dzielnych nowych bogaczy można zobaczyć w restauracji Savoy albo przy herbacie u Stelli, gdzie zajadają ciastka, przytykają do ust serwetki, za przeproszeniem, potem wracają do domu autobusem, narzekając, że obsługa nie jest już taka jak dawniej. Mają teraz elektryczność, mogą więc oglądać rzeczy, których dawniej nie widzieli, a kiedy zapadnie ciemność, nastawiają swoje nowe radioodbiorniki, żeby posłuchać, jak się toczy wojna. Dziękują Bogu za Hitlera, bo gdyby nie przemaszerował przez całą Europę, irlandzcy mężczyźni dalej pozostawaliby w domach i drapali się po tyłkach w kolejce do biura pośrednictwa pracy.

Niektóre rodziny śpiewają:

*Hopla, hopla, trata, tata,
A co nas obchodzi Anglia albo Francja?
Woźna jest tylko niemiecka ekspansja.*

Kiedy robi się zimno, mogą włączyć elektryczny kominek, siedzieć w kuchni i słuchać wiadomości, deklarując, jak bardzo im żal angielskich kobiet i dzieci ginących pod bombami, ale trzeba przecież pamiętać, co Anglicy wyprawiali z nami przez osiemset lat.

Rodziny, których ojcowie są w Anglii, mogą się puszyć przed tymi, których ojcowie tam nie pojechali. W porze obiadu i kolacji matki nowych bogaczy stają w progu i wołają swoje dzieci: „Mikey, Kathleen, Paddy, chodźcie na obiad. Na pyszny udziec barani, na wspaniałe groszek, na białe, mączyste kartofle!”.

„Sean, Josie, Peggy, chodźcie na kolację, na świeży chleb z masłem, na wspaniałe, niebieskie kacze jajo, jakiego nie jada nikt na tej uliczce!”.

„Brendan, Annie, Patsy, chodźcie na smażoną kaszanę, gorące kielbaski i pyszny deser owocowy nasączony hiszpańskim sherry!”.

W takich momentach mama każe nam zostawać w domu. Jadamy tylko chleb z herbatą, więc nie chce, żeby sąsiedzi widzieli nas z wywieszonymi językami i lejącą śliną z powodu wspaniałych zapachów unoszących się nad naszą uliczką. Od razu widać, że tamci nigdy nic nie mieli, choćby ze sposobu, w jaki się przechwalają. Trzeba naprawdę pochodzić z nizin, żeby wykrzykiwać przed drzwiami, co będzie na kolację. Mama twierdzi, że w ten sposób chcą nas pogłębić, ponieważ tata jest cudzoziemcem z Północy i nie zadaje się z żadnym z nich. Tata mówi, że całe to jedzenie jest kupione za angielskie pieniądze i nikomu nie przyniesie szczęścia, ale czego można się spodziewać po mieszkańcach Limerick, którzy czerpią profity z wojny Hitlera, gotowi walczyć i pracować dla Anglików. Sam nigdy tam nie pojedzie i nie będzie pomagał Anglikom wygrać wojny.

– Nie, ty zostaniesz tutaj, gdzie nie ma pracy i rzadko zdarza się bryłka węgla do zagotowania wody na herbatę. Oczywiście, zostaniesz i będziesz przepijał zasilek, jak przyjdzie ci ochota. Będziesz patrzył, jak twoi synowie chodzą w dziurawych butach i jak im tyłki wyglądają z portek. W każdym domu na naszej uliczce jest elektryczność, a u nas wielkie szczęście, jak się trafi świeca. Bóg świadkiem, że gdybym miała na bilet, sama pojechałabym do Anglii, bo na pewno potrzebują kobiet w fabrykach.

Tata odpowiada, że fabryka to nie miejsce dla kobiety.

– Siedzenie na tyłku przy piecu to nie miejsce dla mężczyzny.

– Tato, dlaczego nie pojedziesz do Anglii? – pytam. – Mielibyśmy elektryczność i radio, mama też mogłaby stawać w progu i oznajmiać wszystkim, co jemy na obiad.

– Nie chciałbyś, żebym był w domu?

– Chciałbym, ale przecież mógłbyś wrócić po wojnie i wszyscy pojechalibyśmy do Ameryki.

– Oj, tak, tak – wzdycha ojciec. Zgoda, pojedzie do Anglii po Bożym Narodzeniu, ponieważ teraz Ameryka przystąpiła do wojny, więc musi to być słuszna sprawa. Nigdy by nie pojechał, gdyby Amerykanie nie brali udziału. Mówi, że teraz ja muszę być w domu mężczyzną, podpisuje z agentem umowę na pracę w Coventry, podobno najbardziej bombardowanym angielskim mieście.

– Dla chętnych jest mnóstwo pracy – mówi agent. – Można pracować w nadgodzinach aż do upadłego, a jak będziesz oszczędzał, bracie, to po wojnie wrócisz jak Rockefeller.

Wstajemy wcześniej, żeby odprowadzić tatę na stację. Kathleen O’Connell wie, że tata jedzie do Anglii i że pieniądze będą płynęły, więc chętnie daje mamie na kredyt herbatę, mleko, cukier, chleb, masło i jedno jajko.

Jajko.

– Jajko jest dla ojca – oświadcza mama. – Musi się odżywić, bo ma przed sobą długą drogę.

Jajko jest ugotowane na twardo, tata obiera je ze skorupki. Kroi na pięć części i każdemu z nas daje kawałek na chleb.

– Nie bądź głupi – mówi mama.

– Co człowiek ma robić z całym jajkiem tylko dla siebie? – pyta tata.

Mama w oczach ma łzy. Przysuwa swoje krzesło do kominka. Zjadamy chleb z kawałkiem jajka i przyglądamy się, jak płacze. Po chwili woła:

– Czego się gapicie!

Odwraca się i patrzy w popiół. Jej chleb i część jajka dalej stoją na stole i zastanawiam się, co zamierza z nimi zrobić. Wyglądają tak cudownie, a ja wciąż jestem głodny. Tata wstaje i zanosি мамie chleb z jajkiem i herbatę. Mama kręci przecząco głową, ale ojciec nalega, więc zjada chleb i wypija herbatę, chlipiąc przy tym. Tata przez chwilę siedzi naprzeciwko niej w milczeniu, w końcu mama spogląda na zegar i oznajmia, że pora iść. Ojciec wkłada czapkę, bierze swoją torbę, mama zawija Alphiego w stary koc i wyruszamy.

Na ulicach spotykamy inne rodziny. Odjeżdżający ojcowie idą przodem, matki niosą dzieci lub pchają wózki. Matki z wózkiem mówią do innych matek: „Wielki Boże, musi pani być skonana od tego noszenia! Niech go pani posadzi na wózku i da odpocząć rękom”.

Niektóre wózki napakowane są czwórką lub piątką dzieci, poruszają się, skrzypiąc, bo są stare, mają zwichrowane koła, jako że zwykle kołysz się w nich dzieci tak długo, aż robi im się niedobrze i zwracają całe pożywienie.

Mężczyźni nawołują się:

– Piękny dzień, Mick!

– Wspaniały dzień na podróż, Joe.

– To prawda, Mick.

– Może wypijemy kufelek przed wyjazdem, Joe?

– A dlaczego nie? W naszej sytuacji równie dobrze możemy się urznąć.

Śmieją się, a kobiety idące za nimi mają zażawione oczy i zaczerwienione nosy.

Puby wokół dworca wypełniają mężczyźni przepijający pieniądze, które agenci dali im na jedzenie na drogę. Wypijają ostatni kufel, ostatnią kroplę whisky na irlandzkiej ziemi.

– Bóg jeden wie, może to w ogóle ostatnia kropla, Mick, skoro szkopy tak bombardują Anglików, zresztą to już najwyższa pora, po tym wszystkim, co oni wyprawiali z nami. A swoją drogą, czy to nie tragiczne, że akurat my musimy jechać i ratować tyłek dawnego wroga?

Kobiety stoją przed pubami i rozmawiają.

– Za pierwszy telegraficzny przekaz zrobię wielkie śniadanie, żeby każdy mógł zjeść całe jajko w niedzielę rano – mówi mama do pani Meehan.

Patrę na mojego brata Malachy’ego. Słyszysz? Całe jajko w niedzielę rano. O Boże, już myślę, co zrobię z moim jajkiem. Opukam je ostrożnie z wierzchu, delikatnie stłukę skorupkę, podniosę łyżeczką, włożę odrobinę masła do żółtka, posolę, bez pośpiechu zanurzę łyżeczkę, wyjmę porcję, znowu posolę, dołożę masła, włożę do ust. Boże, jeśli niebo ma jakiś smak, musi to być smak jajka z masłem i solą, a poza tym, czy jest na świecie coś lepszego niż świeży ciepły chleb i kubek słodkiej złocistej herbaty?

Niektórzy mężczyźni są już zbyt pijani, by utrzymać się na nogach, więc angielscy agenci płacą tym trzeźwym, żeby wywlekli ich z pubów i cisnęli na wielką furę, którą konie zaciągną na stację, a tam wrzuci się ich do wagonów. Agenci rozpaczliwie próbują wszystkich wyprowadzić z pubów:

– Chodźcie, ludzie. Jak się spóźnicie na ten pociąg, ucieknie wam dobra robota. Chodźcie, w Anglii też jest guinness. I jameson. Chodźcie, proszę was. Przepijacie pieniądze najedzenie, a więcej nie dostaniecie!

Mężczyźni radzą agentom, żeby ich pocałowali w irlandzkie tyłki, każą im się cieszyć, że żyją, mają szczęście, że nie zawiśli na najbliższej latami po tym, co zrobili Irlandii. I śpiewają:

W więzieniu Mountjoy w poniedziałek rano

Na szubienicy wysokości

Kevin Barry życie oddał młode

Za sprawę wolności.

Pociąg już gwizdże na stacji, agenci błagają kobiety, żeby wyciągnęły swoich chłopów z pubów, mężczyźni wychodzą chwiejnym krokiem, śpiewają, płaczą, ściskają żony i dzieci, obiecują przysyłać tyle pieniędzy, że Limerick zmieni się w drugi Nowy Jork. Wchodzą po stopniach na dworzec, a kobiety i dzieci wołają za nimi:

– Kevin, skarbie, uważaj na siebie, nie noś wilgotnych koszul!

– Michael, susz skarpetki, bo wykończą cię te twoje kostki!

– Paddy, nie pij za dużo, słyszysz, Paddy?

– Tato, tato, nie wyjeżdżaj!

– Tommy, nie zapomnij przysyłać pieniędzy. Nasze dzieci to skóra i kości!

– Peter, nie zapominaj o lekarstwie na twoje słabe piersi. Niech Bóg ma nas w swojej opiece!

– Larry, uważaj na te cholerne bomby!

– Christy, nie rozmawiaj tam z Angielkami. One mają różne zarazy!

– Jackie, wracaj, jakoś sobie poradzimy. Nie jedź, Jaaackie, o Jezu, nie jedź!

Tata głaszcze nas po głowach. Nakazuje, żebyśmy pamiętali o religijnych obowiązkach, ale przede wszystkim, żebyśmy słuchali mamy. Staje przed nią. Mama trzyma na ręku małego Alphiego i mówi, żeby tata uważał na siebie. Tata wypuszcza z rąk torbę i obejmuje mamę. Stoją tak przez chwilę, dopóki dziecko pomiędzy nimi nie zaczyna płakać. Tata skłania głowę, podnosi torbę, wchodzi po dworcowych schodach, odwraca się, żeby nam pomachać, i już go nie ma.

Po powrocie do domu mama oświadcza:

– Wszystko mi jedno. Wiem, że to ekstrawagancja, ale rozpalę ogień i zrobię jeszcze herbaty, bo przecież nie co dzień wasz ojciec jedzie do Anglii.

Siedzimy przy ogniu, pijemy herbatę i popłakujemy, bo nie mamy już ojca. Wreszcie mama zarządza:

– Przestańcie płakać! Teraz, jak ojciec pojechał do Anglii, na pewno skończą się nasze kłopoty.

Na pewno.

Mama i Bridey Hannon palą woodbine'y i piją herbatę przy kominku na górze we Włoszech, a ja siedzę na schodach i słucham. Ojciec jest w Anglii, więc możemy dostać, co tylko chcemy, w sklepie Kathleen O'Connell, i zapłacić za dwa tygodnie, kiedy tata zacznie wysyłać pieniądze. Mama zwierza się Bridey, że nie może się doczekać, kiedy wyniesiemy się z tej cholerne uliczki i będziemy mieli własną ubikację zamiast wspólnej z połową świata. Wszyscy dostaniemy nowe buty i palta chroniące przed deszczem, więc nie będziemy wracać ze szkoły kompletnie przemoczeni. W niedzielę na śniadanie będą jajka z boczkiem, a na obiad szynka, kapusta i kartofle. Będzie światło elektryczne. Dlaczego nie? Przecież Frank i Malachy urodzili się w Ameryce, gdzie wszyscy mają elektryczność.

Teraz trzeba tylko poczekać dwa tygodnie, aż zapuka do drzwi chłopiec z telegramem. Tata musi się jakoś zorganizować w nowej pracy w Anglii, kupić odzież roboczą i wynająć mieszkanie, więc pierwszy przekaz na pewno nie będzie duży, trzy funty, może trzy funty dziesięć, ale już niedługo będziemy mieli tyle co inne rodziny na naszej uliczce, pięć funtów tygodniowo, spłacimy długi, kupimy nowe ubrania, coś odłożymy, żebyśmy potem mogli wszyscy pojechać do Anglii i tam oszczędzać na wyjazd do Ameryki. Mama też mogłaby znaleźć pracę w angielskiej fabryce przy wyrabianiu bomb czy czegoś, a Bóg świadkiem, że te pieniądze zmienią nas nie do poznania. Nie chciałyby, co prawda, żebyśmy dorastali, mówiąc z angielskim akcentem, ale lepszy angielski akcent niż pusty brzuch.

Bridey twierdzi, że nie ma żadnego znaczenia, z jakim akcentem mówi Irlandczyk, bo i tak nigdy nie zapomni, co z nami robili Anglicy przez osiemset długich lat.

Wiemy, jak na naszej uliczce wyglądają soboty. Wiemy, że niektórzy, jak na przykład rodzina Downesów z przeciwka, wcześniej dostają telegramy, bo pan Downes to spokojny mężczyzna, który potrafi wypić jeden lub dwa kufle w piątkowy wieczór, a potem wraca do domu, do łóżka. Wiemy, że tacy ludzie jak on biegną na pocztę w chwili, gdy dostaną wypłatę, żeby rodziny nie musiały czekać i się niepokoić. Ludzie tacy jak pan Downes wysyłają swoim synom plakietki RAF-u ze skrzydłami, żeby sobie przypięli do palt. My też chcemy dostać takie plakietki, więc przypominaliśmy o tym tacie przed wyjazdem: „Nie zapomnij o plakietkach RAF-u”.

Obserwujemy chłopców z telegramami, jak wjeżdżają na rowerach na naszą uliczkę. To szczęśliwi chłopcy, bo na naszych uliczkach dostają znacznie większe napiwki niż na dużych ulicach i w alejach, gdzie bogacze żałują człowiekowi nawet pary ze swoich szczyń.

Na twarzach rodzin, które wcześniej dostały telegram, pojawia się wyraz ukontentowania. Przez całą sobotę mogą się cieszyć pieniędzmi. Będą robić zakupy, jeść, mają cały dzień na to, żeby się zastanowić, co zrobią wieczorem, a oczekiwanie jest równie przyjemne jak samo wieczorne wyjście, bo kiedy ma się kilka szylingów w kieszeni, sobotni wieczór jest najwspanialszym wieczorem w tygodniu.

Niektóre rodziny nie co tydzień dostają telegram; można to od razu poznać po zaniepokojonych minach. Pani Meagher czekała w każdą sobotę przy drzwiach przez dwa miesiące. Mama twierdzi, że wstydziłaby się tak wyczekiwać. Wszystkie dzieci bawią się na uliczce i wypatrują chłopca z telegramami.

– Hej, masz coś dla Meagherów? – r A kiedy chłopiec odpowiada, że nie ma, pytają: – Na pewno?

– Na pewno, przecież wiem, co mam w tej cholernej torbie.

Wszyscy wiedzą, że chłopiec przestaje rozwozić telegramy o szóstej, kiedy rozlegną się dzwony na Anioł Pański; ciemność przynosi rozpacz kobietom i dzieciom.

– Chłopcze, zajrzyj jeszcze raz do swojej torby. Bardzo proszę.

– Zajrzałem, nie ma nic dla pani.

– O Boże, popatrz jeszcze! Moje nazwisko Meagher. Zajrzysz?

– Wiem, że pani się nazywa Meagher, już zaglądałem.

Dzieci obstepują rower, chłopiec broni się kopnięciami.

– Jezu, dajcie mi spokój!

Kiedy o szóstej zadzwonią na Anioł Pański, to już koniec dnia. Ci, co dostali telegramy, jedzą kolację w blasku elektrycznego światła, a ci, którzy nic nie dostali, muszą zapalić świece i sprawdzić, czy Kathleen O’Connell da im na kredyt herbatę i chleb do przyszłego tygodnia, kiedy już na pewno, z pomocą Boga i Jego Świętej Matki, przyjdzie telegram.

Pan Meehan mieszkający na szczycie uliczki pojechał do Anglii razem z tatą, więc kiedy chłopiec z telegramem zatrzymuje się przed domem Meehanów, wiemy, że my będziemy następni. Mama już przygotowała palto, żeby pójść na pocztę, ale nie wstaje z krzesła przy kominku we Włoszech, dopóki nie dostanie telegramu do ręki. Chłopiec zjeżdża w dół uliczki i zatrzymuje się przed domem Downesów. Wręcza im telegram, dostaje napiwek, zawraca rower, żeby znów podjechać do góry. Malachy woła:

– Masz coś dla McCourtów? Dzisiaj powinniśmy dostać.

Chłopiec kręci przecząco głową i odjeżdża.

Mama zaciąga się woodbine’em.

– Dobrze, mamy cały dzień, choć wolałabym wcześniej zrobić zakupy, zanim u rzeźnika wykupią najlepsze kawałki szynki.

Nie może wstać z krzesła, tak jak my nie możemy opuścić uliczki z obawy, że chłopiec z telegramem wróci i nikogo nie zastanie w domu. Wtedy musielibyśmy czekać aż do poniedziałku, żeby podjąć pieniądze, a to nam zupełnie zepsuje koniec tygodnia. Bo trzeba będzie obserwować, jak Meehanowie i cała reszta paradują w nowych rzeczach, jak z trudem

wracają do domu obładowani jajkami, kartoflami i kiełbaskami na niedzielę, a w sobotni wieczór wypuszczają się do kina. Nie, nie możemy się nigdzie ruszyć, dopóki nie zjawi się chłopiec z poczty. Mama mówi, że nie powinniśmy się zbytnio martwić między dwunastą a drugą, bo posłańcy często wtedy idą na obiad, na pewno będzie duży ruch potem, między drugą a Aniołem Pańskim. Nie mamy się czym przejmować do szóstej. Zatrzymujemy każdego chłopca z telegramami. Mówimy, że nasze nazwisko jest McCourt, że to nasz pierwszy telegram, przekaz powinien być na trzy funty, a może więcej, może zapomnieli napisać nasze nazwisko czy adres. Czy jest pewien? Absolutnie pewien? Jeden chłopiec obiecuje, że zapyta na poczcie. Doskonale wie, co to znaczy czekać na telegram, bo jego ojciec też jest przeklętym starym pijakiem i jak pojechał do Anglii, to nie przysłał ani pensa. Mama słyszała, co powiedział, i teraz poucza nas, że nigdy nie powinniśmy wypowiadać się w ten sposób o swoim ojcu. Ten sam chłopiec wraca tuż przed szóstą, pytał panią O'Connell na poczcie, czy nic nie przyszło tego dnia dla rodziny McCourtów. Nie przyszło. Mama patrzy w zimny popiół na palenisku, pociąga resztkę peta, który trzyma między brązowym kciukiem a przypalonym palcem środkowym. Michael, który ma dopiero pięć lat i nic nie rozumie, dopóki nie będzie miał jedenastu tak jak ja, pyta, czy będziemy jedli wieczorem rybę i frytki, bo jest głodny.

– W przyszłym tygodniu, skarbie – obiecuje mama, więc Michael z powrotem idzie się bawić na ulicę.

Zupełnie nie wiadomo, co z sobą robić, kiedy nie otrzymuje się pierwszego telegramu. Nie można przez cały wieczór bawić się z braćmi na ulicy, bo wszyscy idą do domu i wstyd zostawać na dworze, wystawiać się na udrękę zapachów kiełbasek, boczku i podpiekanego chleba. Nie ma się ochoty patrzeć na światło elektryczne padające z okien po zmroku ani słuchać wiadomości BBC czy Radia Eireann z cudzych odbiorników radiowych.

Pani Meagher z dziećmi poszła do domu, a z ich kuchni dochodzi jedynie mdłe światło świecy. Oni też się wstydzą. Siedzą w domu w sobotnie wieczory, a w niedzielę rano nawet nie idą na mszę. Bridey Hannon powiedziała mamie, że pani Meagher tak bardzo się wstydzi szmat, które nosi cała rodzina, że poszła nawet prosić o pomoc społeczną. Mama uważa, że to najgorsza rzecz, jaka może się przydarzyć. Gorsze niż bycie na zasiłku, gorsze niż Stowarzyszenie Świętego Wincentego, gorsze nawet niż zebranie na ulicy z włóczęgami i tinkersami. To ostatnia rzecz, na jaką się można zdecydować, żeby obronić siebie przed przytułkiem, a dzieci przed sierocińcem.

Na początku nosa, pomiędzy brwiami, zrobiła mi się ranka, szaroczerwona i swędząca.

– Nie dotykaj tego – mówi babcia. – Nie mocz wodą, bo się rozniesie.

Gdyby ktoś złamał rękę, też by powiedziała, żeby nie moczyć, bo się rozniesie. Ale to i tak przenosi się na moje oczy: są teraz czerwone i szare od czegoś, co się sączy, i rano powieki mam zlepione. I to tak mocno, że muszę je otwierać palcami; mama zmywa tę żółtą maź wilgotną szmatką z kwasem bornym. Wypadają mi rzęsy, a każda drobinka kurzu w Limerick wpada mi do oczu w wietrzne dni. Babcia twierdzi, że mam nagie oczy i że to moja wina, bo wszystkie kłopoty z oczami biorą się z wysiadywania na szczycie uliczki pod latarnią w każdą pogodę z nosem w książkach. To samo przydarzy się Malachy'emu, jeśli nie da sobie spokoju z czytaniem. Widać, że mały Michael też nie lepszy, wtyka nos w książki, zamiast bawić się na dworze jak każdy zdrowy dzieciak.

– Książki, książki, książki – mówi babcia. – Kompletnie sobie zrujnujecie oczy.

Piją z mamą herbatę i słyszę, jak szepcze do mamy:

– Najlepiej dać mu ślinę świętego Antoniego.

– A co to jest? – pyta mama.

– Twoja poranna ślina na czczo. Podejdz do niego, zanim się obudzi, i napluj mu na oczy, bo ślina matki, która pości i jest na czczo, ma wielką moc uzdrawiania.

Aleja zawsze budzę się wcześniej niż mama. Otwieram siłą oczy na długo przedtem, zanim ona się poruszy. Słyszę, jak podchodzi do łóżka, a kiedy staje nade mną, żeby splunąć, otwieram oczy.

- O Boże – dziwi się – masz otwarte oczy!
- Chyba mi lepiej.
- To dobrze – uspokojona wraca do łóżka.

Ale oczy się nie goją, więc mama zabiera mnie do przychodni, gdzie doktor ubogich przyjmuje i gdzie dostają lekarstwa. Tutaj też prosi się o pomoc społeczną, jeśli ojciec nie żyje albo zniknął i nie ma ani zasiłku, ani wypłaty.

Przed gabinetami lekarzy wzdłuż ścian stoją ławki. Zawsze siedzi tu pełno ludzi, którzy opowiadają o swoich dolegliwościach. Starzy ludzie jęczą, dzieci wrzeszczą, a matki je uciszają: „Cicho, skarbie, cicho”. Na środku przychodni jest podwyższona platforma otoczona kontuarem, sięgającym człowiekowi na wysokość piersi. Jeśli potrzebuje się czegokolwiek, trzeba stanąć w kolejce do tej platformy i porozmawiać z panem Coffeyem albo z panem Kane’em. Kobiety w kolejce przypominają tamte ze Stowarzyszenia Świętego Wincentego. Mają na sobie szale i odnoszą się z szacunkiem do pana Coffeya i pana Kane’a, bo gdyby tego nie robiły, mogłyby usłyszeć, że mają przyjść za tydzień, a przecież czasami potrzeba natychmiast pomocy albo numerka do doktora. Obaj panowie lubią się zdrowo pośmiać. To oni decydują, czy ktoś jest w sytuacji wystarczająco rozpaczliwej, by otrzymać pomoc społeczną, czy jest na tyle chory, by dostać się do doktora. Trzeba im powiedzieć w obecności wszystkich, co człowiekowi dolega, a oni często doskonale się tym bawią. Mówią na przykład: Pani O’Shea, to czego pani chce? Numerka do lekarza, tak? A co pani dolega, pani O’Shea?

Boli panią? Może to tylko gazy? Może po prostu za dużo kapusty? Wiadomo, że kapusta jest zdradliwa. Śmieją się, a pani O’Shea też się śmieje, podobnie jak reszta kobiet, które powtarzają, jacy zabawni są panowie Coffey i Kane. Flip i Flap z trudem mogliby im dorównać.

- Kobieto, jak się nazywasz? – pyta pan Coffey.
- Angela McCourt, proszę pana.
- I o co chodzi?

– O mojego syna, proszę pana. Oboje oczu ma chore.

– Na Boga, kobieto, masz zupełną rację. Te oczy wyglądają rozpaczliwie. Jak dwa wschodzące słońca. Japońcy mogliby go umieścić na swojej fladze. Cha, cha, cha. Oblał się kwasem czy co?

– Chyba jakaś infekcja, proszę pana. W zeszłym roku miał tyfus, a teraz oczy.

– Dobrze, dobrze, niepotrzebny nam cały życiorys. Tu jest numerka do doktora Troya.

Pacjenci doktora Troya zajmują dwie długie ławki. Mama siedzi obok kobiety z dużą, niegojącą się raną na nosie.

– Moja pani, próbowałam wszystkiego, każdej kuracji znanej na tej bożej ziemi. Mam osiemdziesiąt trzy lata i chciałabym w dobrym zdrowiu zejść do grobu. Czy to zbyt duże wymaganie, żeby spotkać swojego Zbawiciela ze zdrowym nosem? A paniusi co jest?

– Syn ma chore oczy.

– O, niech Bóg ma nas w swojej opiece, to ci dopiero! Przez całe życie nie widziałam takich zapyziałych oczu. Nigdy nie widziałam jeszcze takiej czerwieni.

– To infekcja, proszę pani.

– Na pewno jest na to lekarstwo. Potrzebny czepek.

– A co to takiego?

– Dzieci rodzą się z tym na głowie, rodzaj kaptura, rzadki i czyniący cuda. Wystarczy wziąć czepek i kłaść mu na głowie każdego dnia, który ma w sobie trójkę, on musi wstrzymać

oddech na trzy minuty, nawet gdyby miała mu pani zatkać ręką buzię, skropić go wodą święconą trzy razy od stóp do głowy, a oczy będą świeciły w ciemności.

– Ale skąd wezmę ten czepek?

– Moja pani, przecież każda akuszerka go ma. Co byłaby warta akuszerka bez czepka? Lecz wszystkie rodzaje chorób, a przed innymi chroni.

Mama mówi, że porozmawia z siostrą O'Ralloran i zapyta, czy ma niepotrzebny czepek.

Doktor Troy ogląda moje oczy.

– Chłopiec natychmiast musi iść do szpitala. Niech go pani zaprowadzi na oddział oczny City Home. Tu jest kartka, żeby go przyjęli.

– Doktorze, co mu jest?

– Najgorszy przypadek zapalenia spojówek, jaki widziałem w życiu, i jeszcze coś, czego jednak nie mogę rozpoznać. Potrzebny mu okulista.

– Doktorze, jak długo będzie w szpitalu?

– To wie tylko Bóg, ale ja powinienem był zobaczyć to dziecko wiele tygodni temu.

Na oddziale jest dwadzieścia łóżek; zajmują je mężczyźni i chłopcy z obandażowanymi głowami, z czarnymi przepaskami na oczach, czasami w grubych okularach. Niektórzy chodzą, obstukując laskami łóżka. Jeden mężczyzna cały czas lamentuje, że nigdy nie będzie widział, jest jeszcze młody, ma małe dzieci i już ich nie zobaczy: „Jezu Chryste, o Jezu Chryste!”. Zakonnice są wstrząśnięte, że używa imienia bożego nadaremno.

– Przestań, Maurice, przestań bluźnić! Jesteś zdrowy. Żyjesz. Wszyscy mamy jakieś kłopoty. Zrób ze swoich ofiarę i pomyśl o cierpieniach Chrystusa na krzyżu, w cierniowej koronie, z gwoździem w nieszczęsnych dłoniach i stopach, z raną w boku.

– O Boże, spójrz na dół i zlituj się nade mną – zawodzi Maurice.

Siostra Bernadette ostrzega, że jeśli nie będzie uważał na to, co mówi, to przeniosą go do izolatki.

– Boże na niebiosach – jęczy Maurice, ale to nie wydaje się tak poważne jak „Jezu Chryste”, więc siostra jest zadowolona.

Rano muszę chodzić na dół na krople.

– Usiądź na tym wysokim krześle, a tu masz cukierka – mówi pielęgniarka.

Doktor trzyma butelkę z jakimś brązowym płynem. Każe mi odchylić głowę do tyłu, tak, a teraz otwórz oczy, wlewa ten brązowy płyn w moje prawe oko, płomień przebiega mi przez czaszkę.

– Otwórz drugie oko – poleca pielęgniarka – bądź grzecznym chłopcem.

Musi siłą podnieść mi powiekę, żeby doktor mógł podpalić drugą stronę mojej czaszki. Pielęgniarka wyciera mi policzki i każe biec na górę, ale prawie nic nie widzę i chciałbym wsadzić głowę w lodowaty strumień.

– Biegnij, bądź dzielny żołnierzem, jak przystało na mężczyznę – dorzuca doktor.

Na schodach wszystko jest brązowe i zamazane. Inni pacjenci siedzą przy łóżkach z obiadem na tacach, mój obiad też na mnie czeka, ale nie chcę jeść, bo coś się dzieje z moją czaszką. Siadam na łóżku, a chłopiec z przeciwka woła:

– Hej, nie chcesz obiadu? To ja zjem! – I przychodzi po obiad.

Próbuję się położyć na łóżku.

– Hola, żadnego pokładania się w środku dnia! – krzyczy pielęgniarka. – Nie jesteś tak ciężko chory.

Muszę siedzieć z zamkniętymi oczami, a wszystko robi się brązowe i czarne, czarne i brązowe, i nie wątpię, że coś mi się śni, bo nagle słyszę:

– Wielki Boże, czy to ten mały z tyfusem, mały Frankie, księżyc jak widmowy galeon rzucony na morze chmur? Czy to ty, Frankie? Dzięki Bogu zostałem przeniesiony z zakaźnego, gdzie fruwały wszystkie możliwe zarazy i nigdy nie było wiadomo, co się przyniesie żonie do domu na ubraniu. A co z tobą, Frankie, że oboje oczu tak ci zbrązowiło?

– Seamus, mam infekcję.

– Do ślubu ci przejdzie. Oczy potrzebują ćwiczenia. Mruganie jest dla oka bardzo ważne. Mój wuj miał chore oczy i mruganie go uratowało. Przez godzinę codziennie siedział i mrugał i w końcu mu to pomogło. Wyrobił sobie bardzo mocne oczy.

Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o mruganiu i mocnych oczach, ale on pyta:

– A pamiętasz, Frankie, ten wiersz, ten piękny wiersz Patricii?

Staje między łózkami ze szmatą i z wiadrem i deklamuje wiersz o rozbójniku; pacjenci przestają stękać, zakonnice i pielęgniarki przystają zasłuchane, a Seamus mówi i mówi, aż dochodzi do końca wiersza i wtedy wszyscy biją brawo jak szaleni. Seamus powiada, że kocha ten wiersz i na zawsze zachowa go w głowie, bez względu na okoliczności. Ale gdyby nie Frankie McCourt, który miał tyfus, i Patricia Madigan, która umarła na dyfteryt, niech jej Bóg da wieczne odpoczywanie, nigdy by tego wiersza nie poznał. Stałem się sławny na ocznym oddziale szpitala City Home, wszystko przez Seamusa.

Mama nie może mnie odwiedzać codziennie, bo do szpitala jest daleko, nie zawsze ma pieniądze na autobus, a chodzić jej trudno z powodu odcisków. Uważa, że już mam lepsze oczy, choć trudno się zorientować przez ten brązowy płyn, który wygląda i pachnie jak jodyna, więc jeśli rzeczywiście przypomina jodynę, to musi parzyć. Ale podobno im bardziej przykre lekarstwo, tym szybsze wyleczenie. Kiedy poprawia się pogoda, mama dostaje zezwolenie na spacer ze mną po terenach szpitalnych. Nagle widzę coś dziwnego: pod ścianą budynku, gdzie są starzy ludzie, stoi pan Timoney z oczami wzniesionymi w niebo.

Chcę z nim porozmawiać, lecz muszę zapytać mamy, bo w szpitalu nigdy nie wiadomo, co wolno, a czego nie.

– Panie Timoney?

– Kto to jest? Kogo my tu mamy?

– Frank McCourt, proszę pana.

– A, Francis, Francis.

– Jestem jego matką, panie Timoney.

– Więc oboje macie szczęście. Ja nie mam krewnych ani znajomych, ani nawet mojego psa Macushli. Francis, a co ty tu robisz?

– Mam infekcję oczu.

– O Jezu, Francis, tylko nie oczy, tylko nie oczy. Matko Chrystusowa, jesteś na to za młody!

– Panie Timoney, chciałby pan, żebym panu poczytał?

– Z chorymi oczami? Nie, mój synu. Oszczędzaj oczy. Mnie już czytanie niepotrzebne. Mam w głowie wszystkie teksty. Byłem na tyle sprytny, żeby w młodości nakłaść sobie wszystkiego do głowy, i teraz mam tam bibliotekę. Anglicy zastrzelili mi żonę. Irlandczycy wykończyli moją biedną, niewinną Macushlę. Niezły świat, co?

– Straszny świat, ale Bóg jest dobry – wtrąca mama.

– Rzeczywiście. Bóg stworzył świat, jest to świat straszny, ale Bóg jest dobry. Do widzenia, Francis. Daj oczom odpocząć, a potem czytaj tak długo, aż ci wypadną z orbit. Dobrze się bawiliśmy ze starym Jonathanem Swiftem, prawda, Francis?

– Prawda, panie Timoney.

Mama prowadzi mnie z powrotem na oddział oczny.

– Nie płacz z powodu pana Timoneya – pociesza. – Nie jest przecież twoim ojcem. A poza tym zniszczysz sobie oczy.

Seamus przychodzi na oddział trzy razy w tygodniu i przynosi nowe wiersze.

– Frankie, zasmuciłeś Patricię, bo nie podobał ci się ten o sowie i kocie – przypomina.

– Bardzo mi przykro, Seamus.

– Frankie, mam ten wiersz w głowie i powtórzą ci go, jeśli nie będziesz twierdził, że jest głupi.

– Nie będę.

Mówi wiersz, który wszystkim na oddziale bardzo się podoba. Chcą poznać słowa, więc Seamus powtarza go jeszcze trzy razy, tak że cały oddział mu wtóruje:

*Wypłynął w morze z sową kot,
Wzięli pieniądze, wzięli miód.
W zielonej łodzi rzadkiej urody
Niestraszne dla nich morskie przygody.
Ale gwiazd siła sowę wzruszyła,
Gitarę wzięła, śpiewać zaczęła.
Kocie mój urodziwy,
Jaki piękny jesteś ty,
Jesteś ty
Niezwykle piękny,
Jesteś ty,
Kocie mój urodziwy.*

Powtarzają za Seamusem, a kiedy wiersz się kończy, dziękują mu i klaszczą, a Seamus śmieje się, zadowolony z siebie. Kiedy już wyjdzie ze ścierką i wiadrem, o różnych porach dnia i nocy słychać na oddziale:

*Kocie mój urodziwy,
Jaki piękny jesteś ty.*

Kiedyś Seamus przychodzi bez ścierki i bez wiadra, boję się, że wyrzucono go z powodu tych poezji, ale on się uśmiecha i oznajmia, że jedzie do Anglii pracować w fabryce i zarabiać dla odmiany przyzwoite pieniądze. Po dwóch miesiącach sprowadzi żonę, a może Bóg zechce zesłać im dzieci dzięki tym wszystkim wierszom, które Seamus ma w głowie, bo cóż lepszego niż recytowanie ich małym dzieciom na cześć słodkiej Patricii Madigan, co umarła na dyfteryt.

– Do widzenia, Francis. Gdybym miał ładny charakter pisma, może bym do ciebie napisał, ale poproszę żonę, jak przyjedzie. Może nawet sam się nauczę czytać i pisać, żeby dziecko, które przyjdzie, nie miało za ojca głupka.

Chce mi się płakać, ale nie można płakać na oczym oddziale z tą brązową cieczą w oczach, przy pielęgniarzach, które mówią: „A co to takiego? Bądź mężczyzną”, i zakonnicach powtarzających bez przerwy: „Złóż to w ofierze, pomyśl o cierpieniach Chrystusa na krzyżu, o Jego cierniowej koronie, włóczni w boku, o rękach i stopach poszarpanych na kawałki przez gwoździe”.

Jestem w szpitalu miesiąc i doktor pozwala mi wracać do domu, chociaż stan zapalny jeszcze trwa. Ale jeśli będę utrzymywał oczy w czystości, używając mydła i czystego ręcznika, jeśli będę się zdrowo odżywił, jadł dużo wołowiny i jajek, to bardzo szybko będę miał parę błyszczących oczu. Cha, cha!

Pan Downes z przeciwka wraca z Anglii na pogrzeb matki. Opowiada pani Downes o moim ojcu. Ona powtarza to Bridey Hannon, a Bridey mojej mamie. Pan Downes twierdzi, że Malachy McCourt zupełnie oszalał z powodu alkoholu, że szasta pieniędzmi we wszystkich pubach Coventry, śpiewa pieśni irlandzkich buntowników, czym Anglicy się nie przejmują, bo przywykli do irlandzkich lamentów na temat setek lat cierpień, ale nie dopuszczają do tego, by ktokolwiek ośmielił się lżyć w pubie króla i królową Anglii, ich dwie uroczce córki i samą królową matkę. Lżenie królowej matki przekracza wszelkie możliwe granice. Co ona komu

zawiniła, ta nieszczęsna dama? Od czasu do czasu Malachy przepija pieniądze na komorne i wtedy sypia w parkach, bo gospodarz go wyrzuca. Naprawdę przynosi wstyd i pan Downes cieszy się, że McCourt nie pochodzi z Limerick, a więc nie okrywa hańbą tego starodawnego miasta. Sędziowie kolegów orzekających w Coventry tracą już cierpliwość i jeśli Malachy McCourt nie zaprzestanie swoich idiotycznych wygłupów, to zostanie definitywnie wydalony z Anglii.

Mama skarży się Bridey, że nie ma pojęcia, jak traktować te wieści z Anglii, nigdy w życiu nie czuła się tak zdesperowana. Kathleen O'Connell nie chce już dawać jej kredytu w sklepie, własna matka nie chce pożyczyć ani szylinga, a w Stowarzyszeniu Świętego Wincentego dopytują się, kiedy przestanie korzystać z dobroczynności, skoro mąż jest w Anglii. Mama wstydy się naszego wyglądu, starych, brudnych, obszarpanych koszul, podartych swetrów, butów bez podeszew, dziurawych pończoch. Nie śpi po nocach i rozmyśla, że najbardziej miłosiernym uczynkiem byłoby umieszczenie czterech chłopców w sierocińcu, wtedy mogłaby sama pojechać do Anglii, znaleźć jakąś pracę, a po roku ściągnąć nas wszystkich na lepsze życie. Może tam lecą bomby, ale zawsze lepsze bomby niż żebranie na wszystkie strony.

Ale nie, nie może jednak znieść nawet myśli o oddaniu nas do sierocińca. To byłoby możliwe w jakimś amerykańskim Mieście Chłopców, z miłym księdzem jak Spencer Trący, ale nigdy nie można zaufać zgromadzeniu Christian Brothers w Glin, bo dla tych braci ćwiczenia fizyczne sprowadzają się do bicia chłopców i głodzenia ich niemal na śmierć.

Mama twierdzi, że pozostaje nam tylko pomoc społeczna, ale śmiertelnie się wstydy chodzić do ośrodka. Bo oznacza to, że już sięgnęło się dna, może tylko o stopień wyżej od tinkersów, włóczęgów, żebraków ulicznych. To oznacza, że trzeba się człogać przed panem Coffeyem i panem Kane'em i dziękować Bogu, że ośrodek jest na drugim końcu miasta, więc sąsiedzi z uliczki nie dowiedzą się, że korzystamy z opieki społecznej.

Mama wie od innych kobiet, że dobrze jest zjawić się tam wcześniej rano, kiedy pan Coffey i pan Kane będą w dobrych humorach. Jeśli przyjdzie się późno, mogą już być zdenerwowani widokiem setek mężczyzn, kobiet i dzieci, chorych i proszących o pomoc. Zabierze nas z sobą, żeby udowodnić, że musi wykarmić czwórkę dzieci. Wstaje rano i oznajmia, że ten jedyny raz nie musimy się myć ani czesać i mamy włożyć stare szmaty. Każe mi porządnie potrzeć ręką chore oczy, żeby zaczerwieniły się możliwie najbardziej, bo im gorzej się wygląda w ośrodku, tym większą litość się budzi i tym większe szanse na pomoc społeczną. Mama narzeka, że Malachy, Michael i Alphie robią wrażenie bardzo zdrowych, zastanawiające, dlaczego akurat tego dnia nie mają jak zwykle strupów na kolanach, siniaków czy podbitego oka. Jeśli po drodze spotkamy kogoś znajomego, nie wolno mówić, dokąd idziemy. Mama i tak czuje się wystarczająco zawstydzona, nie musi o tym informować całego świata, dosyć będzie, gdy dowie się o tym jej własna matka.

Przed ośrodkiem pomocy społecznej już stoi kolejka. Stoją kobiety takie jak mama z dziećmi na ręku, z dziećmi takimi jak Alphie; starsze bawią się na chodniku. Kobiety próbują chronić niemowlęta przed zimnem, krzyczą na tamte bawiące się na chodniku, żeby przypadkiem nie wybiegły na jezdnię i nie wpadły pod samochód czy rower. Starzy mężczyźni i kobiety kulą się pod murem, mówią do siebie albo w ogóle się nie odzywają. Mama ostrzega, żebyśmy się nie oddalali. Czekamy całe pół godziny, aż otworzą się wielkie drzwi. Mężczyzna każe nam wejść do środka w porządnym szyku i ustawić się w kolejce do podwyższenia, pan Coffey i pan Kane za chwilę tam będą, kiedy skończą herbatę w sali na zapleczu. Jakaś kobieta pomstuje, że jej dzieci marzną, więc może panowie się pospieszą, do cholery, z tą herbatą. Mężczyzna oświadcza, że kobieta jest niezdyscyplinowana, ale ponieważ jest tak zimno, tym razem nie zapisze jej nazwiska; jeśli jednak powie jeszcze jedno słowo, to pożałuje.

Pan Coffey i pan Kane wchodzą na podwyższenie, nie zwracają przy tym najmniejszej uwagi na czekających. Pan Kane wkłada okulary, zdejmuje je, przeczyszczają, wkłada znowu, spogląda na sufit. Pan Coffey czyta jakieś papiery, coś zapisuje, podaje papiery panu Kane. Szepczą do siebie. Nie spieszą się. Wcale na nas nie patrzą.

Po jakimś czasie pan Kane przywołuje pierwszego staruszka.

– Nazwisko?

– Timothy Creagh, proszę pana.

– Creagh, tak? Dobrze, stare nazwisko z Limerick.

– To prawda, proszę pana, rzeczywiście.

– I czego chcesz, Creagh?

– Znowu mam te bóle w żołądku, chciałbym pójść do doktora Feeleya.

– Posłuchaj no, Creagh, jesteś pewien, że to nie kufle portera szkodzą ci na ten żołądek?

– Och, nie, proszę pana. Przy tych bólach prawie się nie zbliżam do kufla. Żona leży w łóżku i nią też się muszę opiekować.

– Creagh, na świecie dużo jest lenistwa.

Pan Kane zwraca się do czekających w kolejce:

– Słyszycie, moje panie? Dużo jest na świecie lenistwa, prawda?

– To prawda, panie Kane. Dużo lenistwa – przytakuje kobiety.

Pan Creagh dostaje numerka do lekarza, kolejka posuwa się do przodu, wreszcie pan Kane gotów jest przyjąć mamę.

– Kobieto, chodzi o pomoc społeczną, o zapomogę, tak?

– Tak, panie Kane.

– A gdzie jest twój mąż?

– W Anglii, ale...

– W Anglii, co? A gdzie cotygodniowy telegram, tłustych pięć funtów?

– Panie Kane, od miesiąca nie przysłał nam ani pensa.

– Czyżby? Wiemy dlaczego, prawda? Wiemy, co robią w Anglii irlandzcy mężczyźni. Wiemy, że można czasem zobaczyć mieszkańca Limerick kroczącego u boku dziwki z Piccadilly, co?

Spogląda na ludzi w kolejce, a oni wiedzą, że powinni przytaknąć, uśmiechnąć się, a nawet roześmiać, bo inaczej będą w trudnej sytuacji, kiedy sami dotrą do podwyższenia. Wiedzą, że pan Kane może ich przekazać panu Coffeyowi, który słynie z tego, że zawsze mówi: nie.

Mama tłumaczy panu Kane'owi, że tata jest w Coventry, daleko od Piccadilly, a on zdejmuje okulary i przygląda się jej.

– A to co takiego? Czyżbyśmy się nie zgadzali?

– O Boże, panie Kane, nic podobnego.

– Kobieto, powinnaś wiedzieć, że z zasady nie pomagamy tym, których mężowie są w Anglii. Powinnaś wiedzieć, że odbierasz chleb ludziom bardziej zasługującym na pomoc, którzy zostali w kraju i wykonują swój obowiązek.

– Oczywiście, panie Kane.

– Nazwisko?

– McCourt, proszę pana.

– To nie jest nazwisko z Limerick. Skąd wzięłaś takie nazwisko?

– Po mężu, proszę pana. On jest z Północy.

– Pochodzi z Północy, ale zostawia cię tutaj, żebyś korzystała z pomocy Wolnego Państwa Irlandzkiego. Czy o to walczyliśmy?

– Nie wiem, proszę pana.

– Dlaczego nie pojedziesz na Północ, żeby się przekonać, co zrobią dla ciebie oranżysty, co?

– Nie wiem, proszę pana.

– Nie wiesz. Oczywiście, że nie wiesz. Na świecie panuje wielka ignorancja. – Spogląda na kolejkę. – Powiedziałem, że na świecie panuje wielka ignorancja. – Ludzie kiwają głowami i przyznają, że na świecie panuje wielka ignorancja.

Szepcze coś do pana Coffeya, obaj spoglądają na mamę, patrzą na nas. W końcu pan Kane mówi mamie, że może korzystać z pomocy społecznej, ale jeśli dostanie choćby pensa od męża, musi natychmiast oddać te pieniądze. Mama obiecuje, że odda, i wychodzimy.

Idziemy do sklepu Kathleen O'Connell po herbatę, chleb i kilka kawałków torfu. Wchodzimy po schodach do Włoch, rozpalamy ogień, a kiedy pijemy herbatę, robi się bardzo przytulnie. Wszyscy zachowujemy się bardzo spokojnie, nawet mały Alphonse, bo zdajemy sobie sprawę, co dla naszej matki oznaczało spotkanie z panem Kane'em.

X

Na dole w Irlandii jest zimno i wilgotno, ale jesteśmy na górze we Włoszech. Mama mówi, że powinniśmy tu przynieść biednego papieża i powiesić na ścianie naprzeciwko okna. W końcu to przyjaciel wszystkich ludzi pracy, Włoch, a więc człowiek z ciepłego klimatu. Mama siedzi przy ogniu i drży, domyślamy się, że coś jest nie w porządku, skoro nie sięga po papierosa. Czuje, że nadchodzi zaziębienie, i chętnie napiłaby się czegoś kwaśnego, na przykład lemoniady. Ale w domu nie ma pieniędzy nawet na poranny chleb. Pije więc herbatę i kładzie się do łóżka.

Przez całą noc łóżko skrzypi, bo mama się kręci i przewraca, nie daje nam spać, jęczy, że chce wody. Przez całe rano leży w łóżku, ma dreszcze, a my siedzimy cicho. Jeśli będzie spała wystarczająco długo, Malachy i ja nie pójdziemy do szkoły, bo będzie za późno. Mijają godziny, a ona dalej się nie rusza, więc kiedy jestem już pewien, że minęła pora pójścia do szkoły, rozpalam ogień na herbatę. Mama porusza się i prosi o lemoniadę, ale podaje jej wodę w słoiku po dżemie. Pytam, czy chciałaby herbaty, ale zachowuje się tak, jakby ogłuchła. Jest rozpalona, dziwne, że nawet nie wspomina o papierosach.

Siedzimy spokojnie: Malachy, Michael, Alphie i ja. Pijemy herbatą, a Alphie przeżuwa ostatni kawałek chleba posypany cukrem. Rozśmiesza nas, rozmazując cukier po całej buzi, uśmiecha się do nas tłustymi, lepкими policzkami. Nie możemy jednak śmiać się zbyt głośno, bo mama gotowa wyskoczyć z łóżka i wysłać mnie z Malachym do szkoły, gdzie nas zabiją za spóźnienie. Ale i tak nie śmiejemy się długo, bo nie ma już chleba, a wszyscy czterej jesteśmy głodni. Nie możemy dostać więcej kredytu w sklepie Kathleen O'Connell. Nie możemy też iść do babci. Zawsze wrzeszczy na nas, ponieważ tata jest z Północy i nigdy nie przysłała do domu pieniędzy z Anglii, gdzie pracuje w fabryce amunicji. Babcia twierdzi, że nie obchodzi go, czy poumieramy z głodu. To będzie dla mamy nauczka za to, że wyszła za człowieka z Północy, z żółtą cerą, dziwnymi manierami i wyglądem prezbiterianina.

Muszę jednak jeszcze raz spróbować u Kathleen O'Connell. Powiem jej, że mama leży chora w łóżku na piętze, a bracia są głodni i wszyscy poumieramy z braku chleba.

Wkładam buty i szybko biegnę ulicami Limerick, żeby nie dopadł mnie lutowy mróz. Przez okna widzę, jak przytulnie mają ludzie w kuchniach z płonącym kominkiem czy nagrzaną płytą kuchenną, wszystko błyszczący w elektrycznym świetle, kubki i spodeczki na stole, talerze z pokrojonym chlebem, kilogramy masła, słoiki dżemu; zapach smażonych jajek i boczku dochodzi zza okien, aż ślina leci z ust. Rodziny siedzące przy stole, uśmiechnięte, matki schludne i czyste, wszyscy wymyjni, a ze ściany patrzy na nich Najświętsze Serce Jezusa, choć cierpiące i smutne, to jednak uszczęśliwione widokiem jedzenia, światła i dobrej katolickiej rodziny przy śniadaniu.

Usiłuję odnaleźć jakąś muzyką we własnej głowie, ale słyszę tylko błagania mamy o lemoniadę.

Lemoniada. Sprzed pubu South odjeżdża furgonetka, na chodniku stoją skrzynki piwa i lemoniady, a na ulicy nie ma żywego ducha. W ciągu sekundy mam za swetrem dwie butelki lemoniady i oddalam się, usiłując zachować niewinny wygląd.

Przed sklepem Kathleen O'Connell stoi furgonetka z Chlebem. Drzwi z tyłu otwarte, widać na półkach świeżo upieczony, gorący chleb. Kierowca jest w sklepie, pije herbatę i je ciastko z Kathleen, więc bez trudu zaopatrują się w bochenek chleba. Niedobrze, że okradam Kathleen, która zawsze była dla nas taka dobra. Ale gdybym wszedł do sklepu i poprosił ją o chleb, byłaby na mnie zła, że zakłócam jej poranną herbatę, którą chce wypić w spokoju.

Łatwiej wepchnąć chleb pod sweter razem z lemoniadą i obiecać, że wszystko wyznam na spowiedzi.

Moi bracia wrócili do łóżka, bawią się pod paltami, ale wyskakują na widok chleba. Rozszarpujemy bochenek, bo jesteśmy zbyt głodni, żeby go pokroić; doparzamy poranną herbatę. Kiedy mama się porusza, Malachy przytyka jej do ust butelkę lemoniady, a mama wciąga powietrze dopiero po wypiciu wszystkiego. Jeśli tak bardzo lubi lemoniadę, muszę zdobyć więcej.

Podkładamy do ognia resztkę węgla, siadamy dokoła i opowiadamy sobie historie, które wymyśliłyśmy, tak jak tata. Opowiadam braciom o moich przygodach z lemoniadą i chlebem, zmyślam opowieści o tym, jak gonili mnie właściciele pubów i sklepikarze i jak wpadłem do kościoła Świętego Józefa, gdzie już nikt nie może ścigać człowieka, nawet jeśli to przestępca, nawet jeśli zabił własną matkę. Malachy i Michael wydają się wstrząśnięci, że w taki sposób zdobyłem lemoniadę i chleb, ale po chwili Malachy mówi, że tak właśnie zrobiłby Robin Hood, okradłby bogatych, żeby dać biednym. Michael denerwuje się, że jestem wyjęty spod prawa i jeśli mnie złapią, powieszają mnie na najwyższym drzewie w parku Ludowym, tak jak wieszają przestępców na filmach w kinie Lyric. Malachy twierdzi, że powinienem jednak osiągnąć stan łaski jak najszybciej, bo inaczej będzie trudno znaleźć księdza, który asystowałby przy wieszaniu. Tłumaczę, że ksiądz musi przyjść na egzekucję. Po to są księża. Roddy McCorley miał księdza, tak samo Kevin Barry. Malachy zaprzecza: nie było księdza, kiedy wieszano Roddy'ego McCorleya i Kevina Barry'ego, bo nie wspomina się o nich w piosenkach; na dowód zaczyna je śpiewać. Mama jęczy i każe nam się zamknąć.

Mały Alphie śpi na podłodze przy ogniu. Kładziemy go do łóżka koło mamy, żeby nie zmarł, chociaż nie chcemy, żeby się od niej zaraził i umarł. Gdyby się obudziła i zastała go nieżywego w łóżku obok siebie, nie byłoby końca lamentom i mnie obarczałyby winą za wszystko.

Wracamy we trzech do swojego łóżka, zwijamy się pod paltami i próbujemy nie stoczyć się we wgłębienie materaca. Jest bardzo przyjemnie, dopóki Michael nie zaczyna się martwić, że Alphie zarazi się od mamy, a mnie powieszają za przestępstwa. Mówi, że to byłoby bardzo niesprawiedliwe, bo zostałby mu wtedy tylko jeden brat, a przecież każdy na świecie ma całe mnóstwo braci. W końcu zmartwienie go usypia, Malachy też drzemie, a ja leżę, myśląc, czy nie byłoby wspaniale, gdybyśmy mieli jeszcze bochenek chleba i słoik dżemu truskawkowego albo jakiegokolwiek. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział dostawczą furgonetkę z dżemem, a nie chcę wpadać do sklepu jak Jesse James i domagać się dżemu. Wtedy na pewno by mnie powiesili.

Przez okno wdziera się zimne słońce, na dworze na pewno jest cieplej. Aleby się zdziwili moi bracia, gdyby po obudzeniu zobaczyli kolejny bochenek chleba i dżem. Pochłonęliby wszystko, a potem rozwodziliby się nad moimi grzechami i nad wieszaniem.

Mama ciągle śpi, chociaż twarz ma czerwoną, a kiedy chrapie, wydaje taki dźwięk, jakby się dusiła.

Muszę bardzo uważać, bo to zwykły dzień i jeśli posterunkowy Dennehy zobaczy mnie na ulicy, zaciągnie do szkoły, a tam już pan O'Halloran da mi niezły wycisk. Posterunkowy odpowiada za obecność w szkole i bardzo lubi na rowerze ścigać uczniów, a potem za ucho wlec do klasy.

Przed drzwiami jednego z wielkich domów przy Barrington Street stoi pudło. Udaję, że pukam do drzwi, i sprawdzam, co w nim jest. Butelka mleka, bochenek chleba, ser, pomidory i – wielki Boże! – słoik dżemu. Nie wepchnę tego wszystkiego pod sweter. O Boże! Czy mam wziąć całe pudło? Przechodnie nie zwracają na mnie uwagi. Więc równie dobrze mogę to zrobić. Jak by powiedziała mama, jak spadać z konia, to z wysokiego. Podnoszę pudło i staram się udawać dostawcę, ale nikt na mnie nie patrzy.

Malachy i Michael nie posiadają się z zachwytu na widok zawartości pudła, już po chwili pochłaniają grube kromki chleba posmarowane złocistą marmoladą. Alphie rozmazał sobie marmoladę po całej buzi i włosach, ma także trochę na nogach i na brzuchu. Popijamy jedzenie zimną herbatą, bo nie ma na czym jej podgrzać.

Mama znowu mamrocze o lemoniadzie, więc daję jej pół drugiej butelki, żeby się uspokoiła. Domaga się jeszcze, więc mieszam lemoniadę z wodą, w ten sposób starczy na dłużej, nie mogę przecież przez całe życie kraść lemoniady sprzed pubów. Bardzo przyjemnie spędzamy czas, dopóki mama w łóżku nie zaczyna majaczyć o swojej uroczej małej córeczce, którą jej zabrano, i o bliźniakach, które odeszły, zanim skończyły trzy lata. Dlaczego Bóg nie mógłby odbierać bogatym i czy jest jeszcze w domu lemoniada? Michael dopytuje się, czy mama umrze, a Malachy tłumaczy mu, że nie można umrzeć, dopóki nie przyjdzie ksiądz. Potem Michael zastanawia się, czy jeszcze kiedykolwiek będziemy mieli ogień i gorącą herbatę, bo niemal zamarza w łóżku mimo wszystkich palt pozostałych z dawnych czasów. Malachy mówi, że będziemy chodzili od domu do domu, prosząc o torf i węgiel, który możemy przywieźć na wózku Alphiego. Powinniśmy zabrać go ze sobą, bo jest mały, uśmiecha się i ludzie ulitują się nad nim i nad nami. Próbuje zmyć z niego brud, resztki szmat, pierze i lepką marmoladę, ale po zetknięciu z wodą zaczyna wrzeszczeć. Michael mówi, że w wózku znowu się zabrudzi, więc po co go myć. Michael jest mały, ale zawsze mówi takie zadziwiająco trafne rzeczy.

Pchamy wózek na bogate ulice i aleje, ale kiedy pukamy do drzwi, służące każą nam zmiatać, grożąc sprowadzeniem odpowiedniej władzy. Czy to nie wstyd ciągać w zrujnowanym wózku dzieciaka, który w dodatku cuchnie pod niebiosa? W takim nędznym i brudnym wózku nie zawiozłoby się nawet wieprzka do rzeźni, a to przecież katolicki kraj, gdzie niemowlęta powinno się cenić i utrzymywać przy życiu, żeby przekazywać wiarę z pokolenia na pokolenie. Malachy mówi jednej służącej, żeby pocałowała go w tyłek, a ona wymierza mu takiego klapsa, że w jego oczach pojawiają się łzy i przysięga, że już nigdy w życiu o nic nie poprosi bogatych. Oświadcza, że nie ma sensu prosić, powinniśmy iść na tyły domów, przejść przez płot i brać to, co chcemy. Michael będzie dzwonił do frontowych drzwi i zagadywał służące, a Malachy i ja możemy przerzucać przez mur węgiel i torf i układać na wózku wokół Alphiego.

Kwestujemy w ten sposób w trzech domach, aż Malachy przerzuca przez mur kawałek węgla prosto w Alphiego, który zaczyna wyc. Musimy uciekać, zapominając o Michaelu, który dalej dzwoni do drzwi i wysłuchuje wyzwisk od służących. Malachy przekonuje, że najpierw powinniśmy odwieźć wózek do domu, a potem wrócić po Michaela. Teraz już nie możemy się zatrzymać, bo Alphie wrzeszczy, a ludzie dziwnie nam się przyglądają, komentując przy tym, że przynosimy wstyd nie tylko naszej matce, ale w ogóle Irlandii.

Po powrocie do domu dłuższą chwilę zajmuje nam odgrzebanie Alphiego spod góry węgla i torfu. Malec ryczy, dopóki nie dostanie chleba z marmoladą. Boję się, że mama może w każdej chwili wyskoczyć z łóżka, ale ona tylko mamrocze o tacie, o alkoholu i o zmarłych dzieciach.

Malachy wraca z Michaeliem, który opowiada, jak dzwonił do kolejnych drzwi. Jedna bogata kobieta sama otworzyła i zaprosiła go do kuchni na ciasto, mleko, chleb i dzem. Pytała o całą rodzinę, więc powiedział, że tata ma wspaniałą pracę w Anglii, ale mama leży w łóżku z beznadziejną chorobą i jęczy dzień i noc, żeby jej dać lemoniady. Bogata kobieta chciała wiedzieć, kto się nami zajmuje, a Michael przechwalał się, że sami się sobą zajmujemy, że nie brakuje nam chleba ani marmolady. Kobieta zapisała nazwisko i adres Michaela, przykazała, żeby był grzeczny i wracał do domu, do braci i do mamy leżącej w łóżku.

Malachy krzyczy na Michaela, jak mógł być takim głupcem i mówić cokolwiek tej bogatej kobiecie. Teraz ona na nas doniesie i zanim się zorientujemy, zaraz zlecą się tu wszyscy księża i będą walić w drzwi.

Dokładnie w tym momencie rozlega się walenie w drzwi. Ale nie jest to ksiądz, tylko posterunkowy Dennehy. Woła z dołu:

– Halo, czy jest ktoś w domu? Jest pani tam, pani McCourt? Michael stuka w okno i macha policjantowi ręką. Daję mu niezłego kopniaka, a Malachy wali go po głowie. Michael wrzeszczy:

– Powiem posterunkowemu, powiem. Oni chcą mnie zabić. Tłuką mnie i kopią.

Nie chce się zamknąć, a policjant krzyczy, żebyśmy otworzyli drzwi. Wołam przez okno, że nie mogę otworzyć, bo mama leży w łóżku z okropną zarazą.

– Gdzie ojciec?

– W Anglii.

– Dobrze, idę porozmawiać z waszą matką.

– To niemożliwe. Ona ma zarazę. Wszyscy mamy. To może być tyfus. Mogą być galopujące suchoty. Już występują plamy. Niemowlę ma guza. To może być śmiertelne.

Policjant pcha drzwi i wchodzi po schodach do Włoch akurat w chwili, gdy Alpie wypelza spod łóżka, oblepiony marmoladą i kurzem. Policjant patrzy na niego, na mamę, na nas, zdejmując czapkę i drapie się po głowie.

– Jezus Maria, Józefie święty, co za koszmar! Jak to się stało, że matka taka chora?

Ostrzegam, żeby się do niej nie zbliżał, a Malachy wyjaśnia, że nieprędko będziemy mogli pójść do szkoły. Policjant oświadcza, że do szkoły pójdziemy mimo wszystko, bo dopóki żyjemy, mamy tam chodzić, a dopóki on będzie żył, dopilnuje tego. Pyta, czy mamy jakąś rodzinę, i wysyła mnie po babcię i ciocię Aggie.

Obie wrzeszczą na mnie, wykrzykują, że jestem brudny. Próbuję wytłumaczyć, że mama jest chora, a ja jestem wykończony, starając się związać koniec z końcem, utrzymując domowe ognisko, zdobywając lemoniadę dla mamy i chleb dla braci. Nie ma w ogóle sensu mówić im o marmoladzie, bo znowu się rozwrzeszczą. Nie ma też sensu wspominać o tym, jacy podli są bogaci i ich służące.

Poszturchują mnie przez całą drogę do domu, powarkują na mnie i okrywają wstydem na ulicach miasta Limerick. Posterunkowy Dennehy dalej skrobie się w makówkę.

– Patrzcie tylko, co za hańba. Trudno zobaczyć coś podobnego w Bombaju czy w odmętach samego Nowego Jorku.

– Angela, na miłość boską, co robisz w łóżku? Co się stało? – ryczy babcia na mamę.

Mama oblizuje wysuszone wargi, spragniona lemoniady.

– Chce lemoniady – oznajmia Michael – więc zdobyliśmy dla niej lemoniadę i chleb, i marmoladę, a teraz wszyscy jesteśmy przestępcami. Najpierw tylko Frankie był przestępcą, aż poszliśmy rabować węgiel w całym Limerick.

Posterunkowy Dennehy okazuje zainteresowanie i sprowadza Michaela za rękę na dół, po kilku minutach słyszymy, że się śmieje. Ciocia Aggie mówi, że wstyd tak się zachowywać, kiedy matka leży chora. Posterunkowy wraca i każe zawołać doktora. Ilekroć spogląda na mnie i na moich braci, zakrywa twarz czapką.

– *Desperados* – powtarza – *desperados*.

Doktor przyjeżdża samochodem z ciocią Aggie, trzeba natychmiast zabrać mamę do szpitala z powodu zapalenia płuc. Wszyscy chcielibyśmy się przejechać samochodem doktora, ale ciocia Aggie oświadcza:

– Nic z tego, pójdziecie do mnie, dopóki matka nie wyjdzie ze szpitala.

Mówią jej, że nie musi się o nas martwić. Mam jedenaście lat i mogę zająć się braćmi. Z przyjemnością przerwałbym szkołę i pilnował, żeby wszyscy byli wymyjni i nakarmieni. Jednak babcia wrzeszczy, że to niemożliwe, a ciocia Aggie daje mi kuksańca. Posterunkowy Dennehy twierdzi, że jestem za młody i na przestępcę, i na ojca, choć mam obiecującą przyszłość w obu tych dziedzinach.

– Zbierajcie swoje rzeczy! – zarządza ciocia Aggie. – Idźcie do mnie, dopóki matka nie wróci ze szpitala. O Jezusie, jak ten dzieciak wygląda!

Znajduje jakąś szmatę i obwiązuje nią tyłek Alphiego z obawy, żeby nie obesrał całego wózka. Potem patrzy na nas i pyta, dlaczego stoimy z rozdziawionymi gębami, chociaż kazala nam pozbierać rzeczy. Boję się, że mnie uderzy albo wrzaśnie, ale kiedy wyjaśniam, że wszystko mamy na sobie, patrzy na mnie i kręci głową.

– Wsypcie trochę cukru do butelki z wodą dla małego! – poleca. Mówi, że ja mam pchać wózek z Alphiem, bo ona nie poradzi sobie z wózkiem, który ma takie koło, kołysze się w przód i w tył, a poza tym wygląda tak strasznie, że wstydziłaby się wsadzić do niego nawet zbląkanego psa. Bierze z naszego łóżka trzy stare palta, rzuca je na wózek, spod tej sterty ledwo widać Alphiego.

Babcia idzie z nami i przez całą drogę z Roden Lane do mieszkania cioci Aggie przy Windmill Street zrządzi:

– Nie możesz pchać tego wózka jak należy? Jezusie, zabijesz dziecko. Przestań tak chodzić z boku na bok, bo naprawdę dam ci w gębę!

Nie chce wejść do mieszkania cioci Aggie. Już ani chwili dłużej nie może na nas patrzeć. Ma dosyć całego klanu McCourtów od chwili, gdy musiała wysłać pieniądze na sześć biletów, żeby nas ściągnąć z Ameryki, potem jeszcze dołożyć na pogrzeby dzieci, na karmienie nas, ilekroć ojciec przepił zasiłek czy wypłatę, i pomagać Angeli przetrwać, kiedy ten drań z Północy w całej Anglii przepija swoje zarobki. Tak, ma tego zupełnie dosyć, przechodzi przez Henry Street, owija białą głowę czarnym szalem, kuśtyka w wysokich, czarnych sznurowanych butach.

Kiedy ma się jedenaście lat i braci w wieku dziesięciu, pięciu i jednego roku, to zupełnie nie wiadomo, co robić w cudzym domu, nawet jeśli jest to dom siostry matki. Dostaje się polecenie, żeby zostawić wózek w korytarzu i przynieść dziecko do kuchni, ale ponieważ nie jest się w swoim domu, to nie wiadomo, co począć, gdy się już jest w kuchni, w obawie, że ciotka może wrzasnąć albo trzepnąć w czaszkę. Ciotka zdejmuje palto i niesie je do sypialni, a ja stoję z dzieckiem na ręku i czekam na polecenia. Wystarczy zrobić krok do przodu albo w bok, a może paść pytanie: „Dokąd się wybierasz?”, na które trudno odpowiedzieć, ponieważ człowiek sam tego nie wie. Gdybym powiedział coś do braci, mogłaby zapytać: „Z kim rozmawiasz w mojej kuchni?”. Musimy więc stać spokojnie i cicho, co nie jest łatwe, kiedy z sypialni dochodzą dziwne odgłosy i wiemy, że ciotka siedzi na nocniku i sika. Nie mogę spojrzeć na Malachy’ego. Gdybym to zrobił, najpierw on by się uśmiechnął, potem Michael i powstałoby niebezpieczeństwo, że zaczniemy się śmiać, a wtedy nie będziemy mogli przestać przez dłuższy czas, wyobrażając sobie wielki, biały tyłek cioci Aggie, przycupnięty na małym nocniku w kwiaty. Jednak potrafię panować nad sobą. Nie będę się śmiał. Malachy i Michael też utrzymują powagę, wszyscy jesteśmy z siebie dumni, że potrafimy się nie śmiać i tym samym nie narazić się cioci Aggie. Dopóki Alphie w moich objęciach nie powie radośnie „guu, guuu”. Tego nie możemy wytrzymać. Wszyscy trzej wybuchamy śmiechem, a Alphie z brudną buzią woła: „guu, guu!”, co nas jeszcze bardziej pobudza do wesołości. Ciocia Aggie wypada z sypialni, obciągając suknię, daje mi kuksańca w głowę tak mocnego, że razem z dzieckiem zataczam się na ścianę. Malachy też dostaje, potem ciotka próbuje uderzyć Michaela, który jednak ucieka na drugą stronę okrągłego stołu, gdzie nie może go dosięgnąć.

– Chodź no tutaj! – woła – a ściągnę ten uśmieszek z twojej gęby! – Ale Michael dalej biega dokoła stołu, a ona jest za gruba, żeby go złapać. – Później cię dopadnę, wtedy ci rozgrzeję tyłek – zapowiada. – A ty, nabzdyczony – zwraca się do mnie – połóż tego dzieciaka na podłodze koło kuchni.

Wyjmuje stare palta z wózka na podłogę, Alphie leży na nich z butelką osłodzonej wody, powtarza „guu, guu” i uśmiecha się. Ciocia Aggie każe nam zdjąć absolutnie wszystkie

rzeczy, iść pod kran do ogródka na tyłach domu i porządnie się wyszorować. Mamy nie wracać do domu, dopóki nie będziemy zupełnie czysti. Chcę jej przypomnieć, że to połowa lutego, na dworze jest lodowaty ziąb i wszyscy możemy poumierać, ale wiem, że jeśli otworzę usta, mogę zginąć od razu, na środku kuchni.

Stoimy nadzy za domem i polewamy się lodowatą wodą z kranu. Ciocia Aggie rzuca nam przez kuchenne okno szczotkę i wielką kostkę brązowego mydła, takiego, jakim szorowano konia Finna. Każe, byśmy sobie wzajemnie myli plecy, póki sama nie powie, że wystarczy. Michael się skarży, że odpadają mu z zimna stopy i dłonie, ale ona nie zwraca na to uwagi. Ciągłe powtarza, że jeszcze jesteśmy brudni i jeśli będzie musiała sama wyjść, żeby nas umyć, to przeklniemy dzisiejszy dzień. Znowu jakieś przeklinanie. Szoruję się mocniej. Szorujemy się tak długo, aż jesteśmy czerwoni i szczękamy zębami. Ale to nie dosyć dla cioci Aggie. Przychodzi z kubłem i chlusta na nas zimną wodą.

– Teraz chodźcie do środka się wysuszyć – mówi wreszcie.

Stoimy w małej komórcy przy kuchni i wycieramy się jednym ręcznikiem. Stoimy tak, drżąc z zimna, bo przecież nie można wejść do jej kuchni, dopóki sama nie powie. Słyszymy, że rozpala ogień, grzebie pogrzebaczem w palenisku, a potem wrzeszczy:

– Macie zamiar tam stać cały dzień? Chodźcie tu się ubrać!

Daje nam kubki herbaty i kromki podsmażonego chleba, siedzimy spokojnie przy stole i jemy, ponieważ nie można się odezwać ani słowem, dopóki ona nie pozwoli. Michael prosi o drugą kromkę, oczekujemy, że za taką bezczelność zwali go z krzesła, ale tylko mamrocze:

– Na pewno w domu nie dostawaliście po dwie.

Daje jednak każdemu z nas drugą kromkę. Próbuje nakarmić Alphiego chlebem namoczonym w herbacie, ale on nie chce jeść, dopóki chleb nie będzie posłodzony. Alphonie kończy jeść, uśmiecha się i sika prosto na ciocię Aggie, co wprawia nas w zachwyt. Ona biegnie do komórki, żeby się wytrzeć ręcznikiem, a my możemy uśmiechnąć się do siebie i powiedzieć Alphoniemu, że jest naprawdę mistrzem wszystkich dzieciaków na świecie. W drzwiach staje wuj Pa Keating, cały czarny po pracy w gazowni.

– A to co znowu? – pyta.

– Wujku Pa, mama jest w szpitalu – tłumaczy Michael.

– Naprawdę? A co jej jest?

– Zapalenie płuc – mówi Malachy.

– No, to lepsze niż skleroza.

Nie wiemy, z czego wuj się śmieje, wraca z komórki cioci Aggie i opowiada mu, że mama jest w szpitalu i dopóki nie wyjdzie, musimy zostać u nich. Wuj powtarza: „świetnie, świetnie” i idzie do komórki się umyć, chociaż kiedy stamtąd wraca, trudno uwierzyć, że w ogóle miał kontakt z wodą, taki jest czarny.

Wuj siada przy stole, a ciocia Aggie podaje mu kolację – podsmażany chleb, szynkę i krojone pomidory. Nam każe odejść od stołu, nie wpatrywać się w wujka i pozwolić mu spokojnie zjeść, a jemu zwraca uwagę, żeby przestał dawać nam kawałki szynki i pomidora.

– Na miłość boską, Aggie, dzieciaki są głodne.

– To nie twoja sprawa. Nie twoje dzieci.

Każe nam wyjść na dwór i bawić się; o wpół do dziewiątej mamy wrócić do domu spać. Wiemy, że na zewnątrz jest lodowaty ziąb, i chcielibyśmy zostać przy ciepłej płycie kuchennej, ale łatwiej jest bawić się na ulicy, niż słuchać zrzędzenia cioci Aggie.

Później woła mnie do domu i wysyła na górę, żebym pożyczył gumowe prześcieradło od sąsiadki, której dziecko zmarło. Kobieta upomina, żeby ciocia nie zapomniła oddać prześcieradła, bo będzie potrzebne dla następnego dziecka.

– Tamto dziecko zmarło dwanaście lat temu, a ona ciągle trzyma gumowe prześcieradło – mówi ciocia Aggie. – Ma już czterdzieści pięć lat i jeśli urodzi następne dziecko, zacniemy wypatrywać gwiazdy na wschodzie.

– Co to znaczy? – pyta Malachy, a ona każe mu pilnować własnego nosa, jest za mały na takie pytania.

Ciocia Aggie kładzie na łóżku gumowe prześcieradło, Alphiego układa pośrodku, między sobą a wujem Pa. Ona śpi od ściany, a wujek Pa od brzegu, ponieważ musi rano wstać do pracy. Nam wskazuje miejsce na podłodze pod przeciwległą ścianą; mamy jedno palto zamiast materaca, a dwa do przykrycia. Ciocia Aggie zapowiada, że jeśli w nocy usłyszy chociaż jedno słowo, to nieźle przetrzepie nam tyłki, a poza tym musimy wstać wcześniej, bo to środa popielcowa i nie zaszkodzi, jak pójdziemy na mszę i pomodlimy się za mamę i jej zapalenie płuc.

Budzik wyrywa nas ze snu.

– Wszyscy trzej macie wstać i iść na mszę! – woła z łóżka ciocia Aggie. – Słyszycie? Wstawać, wymyć twarze i do jezuitów!

Na podwórku za domem szron i lód, woda z kranu kłuje nas w ręce. Troszkę przemywamy twarze i wycieramy się ręcznikiem, który od wczoraj jeszcze nie wysechł. Malachy szepcze, że nasze mycie to tylko liźnięcie i obietnica, jak by powiedziała mama.

Na ulicach także jest szron i lód, ale w kościele Jezuitów ciepło. Chyba wspaniale być jezuitą, spać w łóżku z prześcieradłami, kocami, poduszkami, wstawać w przyjemnym ciepłym pomieszczeniu, iść do ciepłego kościoła i nie mieć nic do roboty prócz odprawiania mszy, słuchania spowiedzi, wrzeszczenia na ludzi za ich grzechy, zjedzenia podanego posiłku i odczytania łacińskiego brewiarza przed snem. Chciałbym kiedyś zostać jezuitą, ale jest to niemożliwe, jeśli dorasta się na uliczkach. Jezuiści są bardzo uczuleni, nie lubią ubogich. Lubią ludzi z samochodami, którzy trzymają do góry mały palec, kiedy biorą do ręki filiżankę.

Podczas mszy o siódmej w kościele jest pełno ludzi, ksiądz posypuje im czoła popiołem. Malachy szepcze, że Michaelowi nie powinno się posypywać popiołu, bo pójdzie do pierwszej komunii dopiero w maju i to byłby grzech. Michael zaczyna płakać:

– Ja chcę popiół, chcę popiół...

Starsza kobieta za nami pyta:

– Co wy robicie temu ślicznemu dziecku?

Malachy wyjaśnia, że to śliczne dziecko nigdy nie było u pierwszej komunii i nie jest w stanie łaski. Sam Malachy przygotowuje się do bierzmowania, zawsze popisuje się znajomością katechizmu, stale rozwodzi się nad stanem łaski. Nigdy nie przyzna, że ja wiedziałem wszystko o stanie łaski już rok temu, tak dawno, że zaczynam zapominać. Stara kobieta mówi, że nie trzeba być w stanie łaski, żeby posypać czoło popiołem, a Malachy'emu zwraca uwagę, żeby przestał dręczyć młodszego brata. Głaszcze Michaela po głowie, mówi mu, że jest uroczym dzieckiem i może iść po ten popiół. Michael biegnie do ołtarza, a kiedy wraca, kobieta daje mu pensa na dodatek do popiołu.

Ciocia Aggie jeszcze leży w łóżku z Alphiem. Każe Malachy'emu napełnić mlekiem butelkę Alphiego i przynieść na górę. Ja mam tymczasem napalić pod kuchnią, w pudełku jest papier i drewno, a węgiel w wiadrze. Jak się nie będzie chciało palić, spryskać olejem parafinowym. Ogień rozpala się bardzo wolno i dymi, więc pryskam olejem, płomienie strzelają w górę, o mało nie upalają mi rzes. Wszędzie jest pełno dymu, więc do kuchni wpada ciocia Aggie. Odpycha mnie od kuchenki.

– Jezusie, czy ty nic nie umiesz zrobić? Ty kretynie, powinieneś otworzyć szyber!

Nic nie wiem o szybrach. W domu mamy kominek w Irlandii na dole, a drugi na górze we Włoszech, ale żadnego szybra.

I nagle, kiedy się pójdzie do domu ciotki, powinno się wszystko wiedzieć. Nie ma sensu jej tłumaczyć, że po raz pierwszy w życiu rozpalam pod kuchnią. Dałaby mi kolejnego kuksańca w łeb, ażbym się zatoczył. Trudno zrozumieć, dlaczego dorośli tak się złością o

drobiazgi. Jako mężczyzna na pewno nie będę tłukł dzieci z powodu szybrów czy czegoś podobnego. Teraz ciocia Aggie wrzeszczy:

– No proszę, nabzdyczył się i stoi! Nie przyjdzie ci do głowy otworzyć okno i wypuścić dym? Oczywiście, że nie! Masz tak samo skrzywioną głowę jak ten twój ojciec z Północy. Potrafisz zagotować wodę na herbatę i nie spalić przy tym całego domu?

Kroi dla nas trzy kromki chleba, smaruje margaryną i wraca do łóżka. Pijemy herbatę, zjadamy chleb i wyjątkowo tego ranka chętnie idziemy do szkoły, gdzie jest ciepło i nie ma wrzeszczących ciotek.

Po powrocie ze szkoły ciocia Aggie każe mi usiąść przy stole i napisać do ojca, że mama jest w szpitalu, a my tymczasem mieszkamy u niej. Mam napisać, że wszyscy jesteśmy szczęśliwi, w najlepszym zdrowiu, żeby przysłał pieniądze, bo jedzenie jest bardzo drogie, a dorastający chłopcy jedzą bardzo dużo, cha, cha! Mały Alphonse potrzebuje ubranek i pieluszek.

Nie wiem, dlaczego ona zawsze jest zła. Ma ciepłe i suche mieszkanie, światło elektryczne i własną ubikację za domem. Wujek Pa ma stałą pracę i w każdy piątek przynosi wypłatę. Wypija kufelek w pubie South, ale nigdy nie wraca do domu, wyśpiewując pieśni o długiej i nieszczęśliwej historii Irlandii. „Niech szlag trafi te ich domy” – mówi; używa też najśmieszniejszego powiedzenia na świecie: że wszyscy mamy tyłki, które trzeba podcierać, i nikt tego nie uniknie. Jak tylko papież albo jakiś polityk zaczyna swoją gadaninę, wujek Pa wyobraża go sobie w chwili podcierania tyłka. Hitler i Roosevelt, i Churchill, wszyscy podcierają sobie tyłki. Nawet De Valera. Wuj mówi, że jedyni ludzie, którym można ufać, to mahometanie, bo jedzą jedną ręką, a podcierają się drugą. Ludzka ręka sama w sobie jest czymś zdradliwym, nigdy nie wiadomo, co robiła.

Spędzamy przyjemnie czas z wujkiem Pa, kiedy ciocia Aggie idzie grać w karty, w czterdzieści pięć. Wujek mruczy: „Do diabła ze zrzędami”, przynosi sobie dwie butelki piwa z pubu South, sześć bułeczek i pół funta szynki ze sklepu na rogu. Robi herbatę i siedzimy wokół kuchenki, popijając i jedząc kanapki z szynką i ciastka, śmiejemy się z wujka Pa i jego stosunku do świata.

– Nałykałem się gazu, więc teraz wypijam kufelek, a cały świat i jego rodzina obchodzą mnie tyle co pierdnięcie jakiegoś skrzypka – oznajmia.

Kiedy mały Alphonse jest zmęczony, zaczyna być niespokojny i płaczliwy; wujek Pa odpina koszulę na piersi i zachęca:

– Proszę, pociągnij sobie cycusia.

Widok płaskiej piersi z brodawką szokuje Alphonse'a i od razu go uspokaja.

Zanim wróci ciocia Aggie, musimy umyć kubeczki i posprzątać, żeby się nie dowiedziała, że napychaliśmy się drożdżówkami i kanapkami z szynką. Co najmniej przez miesiąc gnębiłaby wujka Pa, i tego nie mogę zrozumieć. Dlaczego on pozwala jej tak zrzędzić? Był na wielkiej wojnie, został zagazowany, jest potężny, barczysty, ma pracę, potrafi ludzi rozśmieszyć. Chyba że, jak powtarzają nam księża i nauczyciele, wszystko jest tajemnicą, i po prostu trzeba wierzyć ich słowom.

Wujek Pa mógłby być moim ojcem. Byłoby wspaniale siedzieć przy rozgrzanej kuchence, pić herbatę i śmiać się, kiedy on puszcza bąka i mówi:

– Zapal zapałkę, to prezent od Niemców.

Ciocia Aggie dręczy mnie przez cały czas. Przeżywa zaropiałymi ślepiami. Twierdzi, że jestem wykapany ojciec – te dziwne maniery, przebiegła mina prezbiterianina z Północy; pewnie jak dorosnę, własnoręcznie zbuduję ołtarz dla Olivera Cromwella, ucieknę, ożenię się z angielską dziwką i obwieszę cały dom portretami rodziny królewskiej.

Chcę się od niej uwolnić i nie przychodzi mi do głowy żaden inny sposób, jak tylko rozchorować się i trafić do szpitala. Wstaję w nocy i idę na podwórko za dom. Zawsze mogę udawać, że wychodzę do ubikacji. Stoję na lodowatym zimnie i mam nadzieję, że złapię zapalenie płuc albo galopujące suchoty; wtedy będę mógł pójść do szpitala, gdzie są

przyjemne, czyste prześcieradła, gdzie będę dostawał do łóżka jedzenie i książki od dziewczyny w niebieskiej sukni. Może nawet spotkam jakąś Patricję Madigan i nauczę się długiego wiersza. Stoję na podwórku za domem całe godziny w koszuli i boso, patrzę na księżyc, który przypomina widmowy galeon na morzu chmur. Wstrząsany dreszczami wracam do łóżka z nadzieją, że rano obudzę się ze strasznym kaszlem i rozpalonymi policzkami. Ale nic podobnego. Czuję się rześko i świeżo, byłbym w doskonałej formie, gdybym mógł znaleźć się w domu z mamą i braćmi.

Czasami ciocia Aggie mówi, że już ani chwili dłużej nie zniesie naszego widoku.

– Wyoście się ode mnie. Hej, zaropiałe oko! Weź Alphiego do wózka, zabierz swoich braci, idźcie do parku, pobawcie się, róbcie, co chcecie, i nie wracajcie, zanim nie zadzwonią na Anioł Pański. Ale ani chwili później, słyszycie? Ani chwili później!

Jest zimno, ale nie zwracamy na to uwagi. Pchamy wózek w górę O'Connell Street w kierunku Ballinacurry albo Rosbrien Road. Pozwalamy Alphiemu raczkować po polach, patrzeć na krowy i owce i śmiejemy się, kiedy krowy go obwąchują. Ja wchodzę pod krowę i doję mleko prosto do buzi malca, aż ma dosyć i wymiotuje. Farmerzy przeganiają nas, dopóki nie zobaczą, jacy mali są Michael i Alphonse. Malachy śmieje się z nich:

– Spróbujcie mnie uderzyć, kiedy trzymam dziecko na ręku! – Potem wpada na wspaniały pomysł: dlaczego nie mielibyśmy pójść do swojego domu i tam się pobawić? Znajdujemy na polach gałązki i kawałki drewna i pędzimy na Roden Lane. We Włoszech przy kominku leżą zapalki i w mgnieniu oka mamy porządny ogień. Alphonse zasypia, a wkrótce my też zapadamy w drzemkę, aż rozlegają się dzwony na Anioł Pański w kościele Redemptorystów i wiemy, że dostanie nam się od cioci Aggie za spóźnienie.

Ale nie przejmujemy się tym. Może wrzeszczeć na nas, ile tylko chce, spędziliśmy czas wspaniale na wsi z krowami i owcami, a potem przy świetnym ogniu na górze we Włoszech.

Od razu widać, że ciocia nigdy tak miło nie spędzała czasu. Ma co prawda światło elektryczne i ubikację, ale nie zna przyjemnych chwil.

W czwartki i niedziele przychodzi po nią babcia i jadą autobusem do szpitala odwiedzić mamę. My nie możemy iść, bo dzieci nie wpuszczają, jednak kiedy pytamy, jak się mama czuje, robią dziwne miny i zapewniają, że w porządku, będzie żyła. Chcielibyśmy wiedzieć, kiedy wyjdzie ze szpitala, żebyśmy mogli wszyscy razem wrócić do domu, ale boimy się otworzyć usta.

Pewnego dnia Malachy żali się cioci Aggie, że jest głodny, i pyta, czy może dostać kawałek chleba. Dostaje po głowie zwiniętym „Małym Posłańcem Serca Jezusowego”, w oczach kręcą mu się łzy. Następnego dnia nie wraca ze szkoły, nie ma go jeszcze, kiedy trzeba iść spać.

– Pewnie uciekł. Niewielka strata. Gdyby był głodny, toby przyszedł. Niech szuka pociechy w rowie – oznajmia ciocia Aggie.

Następnego dnia Michael wpada do domu z okrzykiem „Tata przyjechał, tata przyjechał!” i znowu wybiega na ulicę. Po chwili na podłodze w korytarzu siedzi tata, ściska Michaela i płacze: „Wasza biedna mama, wasza biedna mama”. Czuć od niego alkohol. Ciocia Aggie uśmiecha się, mówi: „Ach, to ty”, robi herbatę, jajka i kiełbaski. Wysyła mnie po butelkę piwa dla taty, zastanawiam się, dlaczego nagle zrobiła się taka miła i hojna.

– Tato, czy pójdziemy do swojego domu? – pyta Michael.

– Tak, synu.

Alphonse znowu jest w wózku z trzema starymi paltami, z węglem i drewnem na ogniu. Ciocia Aggie stoi w drzwiach, upomina, żebyśmy byli grzeczni, zapewnia, że zawsze możemy przyjść do niej na kolację, a ja mam w głowie jedynie złe słowa. Stara wiedźma. Nic nie mogę poradzić, to tkwi w mojej głowie, będę musiał powiedzieć księdzu na spowiedzi.

Malachy nie siedzi w rowie, jest w domu, zajada rybę i frytki, które pijany żołnierz upuścił przy wejściu do koszar Sarsfield.

Mama wraca po dwóch dniach. Jest słaba i blada, chodzi powoli.

– Doktor powiedział, żebym przebywała w cieple, dużo odpoczywała i jadła pożywne rzeczy, mięso i jajka trzy razy w tygodniu. Bóg świadkiem, że ci nieszczęśni doktorzy w ogóle nie mają pojęcia o biedzie – mówi mama.

Tata robi dla niej herbatę i grzanki na ogniu. Piecze chleb dla nas wszystkich i spędzamy w cieple wspaniały wieczór we Włoszech. Tata nie może zostać na zawsze, musi wracać do pracy w Coventry. Mama się zastanawia, jak dotrze do Coventry bez grosza w kieszeni. W Wielką Sobotę tata wstaje wcześniej, pijemy obydwaj herbatę. Podsmaża cztery kromki chleba, zawija je w „Limerick Chronicie” i kładzie po dwie kroniki do każdej kieszeni palta. Mama jeszcze leży w łóżku, tata krzyczy z dołu:

– Już idę!

– Dobrze, napisz, jak dojedziesz!

Ojciec jedzie do Anglii, a ona nawet nie wstanie z łóżka. Pytam, czy mogę odprowadzić go na dworzec. Nie, wcale nie idzie tam, tylko na dubliński trakt, może ktoś go podwiezie. Klepie mnie po głowie, prosi, żebym się opiekował matką i braćmi, i wychodzi. Patrząc, jak pnie się pod górę uliczką i skręca na rogu. Biegnę, żeby zobaczyć, jak będzie schodził w dół Barrack Hill i St Joseph’s Street. Zbiegam ze wzgórza i podążam za nim, jak długo się da. Musi wiedzieć, że za nim idę, bo odwraca się i woła:

– Francis, idź do domu. Wracaj do mamy!

Po tygodniu dostajemy list, że dojechał szczęśliwie, że mamy być grzeczni, wypełniać obowiązki religijne, a przede wszystkim słuchać mamy. Po kolejnym tygodniu przychodzi przekaz telegraficzny na trzy funty. Czujemy się jak w niebie. Będziemy bogaci, będzie ryba i frytki, galaretka i budyń, co tydzień film w Lyric, Coliseum, w Carltonie, Atheneum, w Centralu i w najelegantszym ze wszystkich kinie Savoy. Może nawet dojdzie do tego, że wypijemy herbatę i zjemy ciastka w kawiarni Savoy, ze wszystkimi dandysami i fircykami z Limerick. Na pewno nie zapomnimy odsunąć małego palca przy trzymaniu filiżanki.

Następnej soboty telegram nie przychodzi. Ani następnej, ani żadnej innej. Mama znowu zebrze w Stowarzyszeniu Świętego Wincentego i uśmiecha się w ośrodku pomocy społecznej, kiedy pan Coffey i pan Kane żartują na temat taty i dziwki z Piccadilly. Malachy chce wiedzieć, co to jest dziwka, a mama wyjaśnia mu, że to coś do herbaty. Większą część dnia mama spędza przy kominku z Bridey Hannon, zaciągając się woodbine’em i pijąc słabą herbatę. Kiedy wracamy ze szkoły, na stole zawsze są jeszcze poranne okruchy chleba. Mama nigdy nie myje słoików po dzemie ani kubków. W cukrze i wszędzie, gdzie jest ślad słodczy, siedzą muchy.

Mama oznajmia, że Malachy i ja będziemy na zmianę zajmować się Alphiem, zabierać go w wózku na świeże powietrze. Dziecko nie może tkwić we Włoszech od października do kwietnia. Gdybyśmy jej powiedzieli, że chcemy się bawić z naszymi kumplami, mogłaby wypuścić swój prawy sierpowy, od którego aż kłuje w uszach.

Bawimy się z Alphiem. Stoję na szczycie Barrack Hill, a Malachy na dole. Kiedy spycham wózek ze wzgórza, Malachy powinien go zatrzymać, ale patrzy akurat na kumpla na wrotkach, toteż wózek go mija, przejeżdża na drugą stronę ulicy i przez drzwi do pubu Lenistona, gdzie mężczyźni w spokoju popijają kufle i nie spodziewają się wózka z umorusanym dzieciakiem, który powtarza: guu, guuu. Barman wrzeszczy, że to hańba, muszą być jakieś prawa przeciwko takiemu zachowaniu, żeby dzieci wpadały przez drzwi w rozchybotanych wózkach, zaraz zawoła policję. Ale Alphonie śmieje się do niego i macha, więc barman mówi:

– Dobrze już, dobrze, dzieciak dostanie cukierka i lemoniadę, bracia też mogą dostać lemoniadę. Co za obszarpana para! Bóg świadkiem, że to niepojęty świat, wszystko się wydaje w porządku, a nagle przez drzwi wpada wózek i za chwilę na prawo i na lewo rozdaje człowiek cukierki i lemoniadę. Zabierajcie tego dzieciaka i idźcie do domu, do matki.

Malachy'emu przychodzi do głowy inny wspaniały pomysł: mamy chodzić po całym mieście jak tinkersi, pchać wózek z Alphiem do pubów, żeby dostać cukierków i lemoniady. Ja się nie zgadzam, bo jak mama się o tym dowie, trzepnie mnie prawym sierpowym. Malachy oświadcza, że nie umiem się bawić, i ucieka. Pcham wózek po Henry Street, a potem pod górę koło kościoła Redemptorystów. Dzień jest szary, kościół też; bezbarwna jest również niewielka grupka ludzi przed domem księdza. Czekają, żeby wyżebrać resztki jedzenia z księżej kolacji.

W środku tej grupy w brudnym szarym palcie stoi moja mama.

Moja własna mama żebrze. To gorsze niż zasiłek, niż Stowarzyszenie Świętego Wincentego, niż ośrodek pomocy społecznej. To najgorszy wstyd, niemal taki jak zebranie na ulicach, gdzie tinkersi podnoszą swoje pokryte strupami dzieci.

– Niech pani da pensa na biedne dziecko, paniusiu, ten dzieciak jest głodny!

Teraz moja matka jest żebraczką, a jeśli zobaczy ją ktoś z naszej uliczki albo z mojej szkoły, rodzina okryje się hańbą. Moi kumple wymyślą nowe przezwiska, będą mnie dręczyć na szkolnym boisku i doskonale wiem, co powiedzą:

*McCourt Francis,
Syn żebraczki,
Oczy ma kaprawe
I nogi szpotawe.*

Drzwi plebanii otwierają się, ludzie rzucają się z wyciągniętymi rękami.

– Ojcze, ojcze, tutaj, ojcze, na miłość boską, mam w domu pięcioro dzieci!

Widzę, jak popychają moją matkę. Widzę, jak mama zaciska usta w chwili, gdy chwytając ręką torbę i odchodzi od drzwi, szybko pcham wózek pod górę, zanim ona mnie zobaczy.

Nie chcę już wracać do domu. Pcham wózek na dół, na Dock Road, aż do Corkanree, gdzie zwala się i pali wszystkie brudy i śmieci z Limerick. Przez chwilę patrzę, jak chłopcy polują na szczury. Nie rozumiem, dlaczego muszą torturować szczury, które nie przeszkadzają im w domu. Szedłbym tak po polach bez końca, gdyby nie to, że Alphonse w wózku zaczyna wyć z głodu, kopie tłustymi nóżkami i wymachuje butelką.

Mama rozpałała ogień i coś gotuje w garnku. Malachy uśmiecha się i mówi, że mama przyniosła wołowinę i kilka kartofli ze sklepu Kathleen O'Connell. Nie byłby taki uszczęśliwiony, gdyby wiedział, że jest synem żebraczki. Mama woła nas do domu, a kiedy siadamy przy stole, trudno mi na nią podnieść oczy. Przynosi garnek na stół, wyjmując dla każdego z nas po jednym kartoflu, a widelcem wyciąga strzępy mięsa.

Tyle że to nie żadna wołowina. To kawał roztrzęsionego szarego tłuszczu, a jedynym śladem wołowiny jest mała brodawka czerwonego mięsa na szczycie. Wpatrujemy się w ten kawałek mięsa, zastanawiając się, komu przypadnie.

– To dla Alphonse – mówi mama. – Jest malutki, szybko rośnie, potrzebuje tego. – Kładzie mięso przed nim. Alphonse najpierw odpycha je palcem, potem przyciąga z powrotem. Podnosi do ust, rozgląda się po kuchni, zauważa psa Lucky rzuca mu.

Nie ma sensu nic mówić. Mięso przepadło. Jemy kartofle z mnóstwem soli, zjadam mój kawałek tłuszczu, udając, że to brodawka czerwonego mięsa.

XI

– Trzymajcie łapy z dala od kufra, bo nie ma tam nic, co mogłoby was zainteresować, a w ogóle to nie wasza sprawa! – ostrzega mama.

W kufrze ma jedynie mnóstwo papierów, metryki urodzenia i świadectwa chrztu, swój irlandzki paszport, angielski paszport taty z Belfastu, nasze paszporty amerykańskie i jaskrawoczerwoną suknię ze świecidełkami i czarnymi falbankami, którą przywiozła z Ameryki. Chciałaby zachować tę suknię na zawsze, jako dowód i przypomnienie, że była kiedyś młoda i chodziła na tańce.

Nic mnie nie obchodzi, co mama trzyma w kufrze, dopóki nie zakładamy drużyny futbolowej z Billym Campbellem i Malachym. Nie mamy pieniędzy na stroje ani na buty, więc Billy się martwi:

– Skąd świat się dowie, kim jesteśmy? Nie mamy nawet nazwy.

Przypominam sobie czerwoną suknię i przychodzi mi do głowy nazwa: Czerwone Serca z Limerick. Mama nigdy nie otwiera kufra, więc nic się nie stanie, jeśli odetnę kawałek sukni i zrobię siedem czerwonych serc, które przyczepimy sobie do piersi. „Nie martwisz się tym, czego nie wiesz” – zawsze mówi mama.

Suknia ukryta jest pod papierami, oglądam swoje zdjęcie w paszporcie, kiedy byłem mały, i rozumiem, dlaczego nazywają mnie Japońcem. Jest dokument zatytułowany: Świadectwo ślubu; napisano tam, że Malachy McCourt i Angela Sheehan zostali połączeni świętym węzłem małżeństwa dwudziestego ósmego marca 1930. Jak to możliwe? Ja się urodziłem dziesiętnastego sierpnia, a Billy Campbell powiedział mi, że matka i ojciec muszą być po ślubie dziewięć miesięcy, zanim można mówić o dziecku. A ja przyszedłem na świat w połowie tego terminu. Czy to znaczy, że musiał nastąpić cud, może wyrosnę na świętego i ludzie będą obchodzić dzień świętego Francisa z Limerick?

Będę musiał porozmawiać z Mikeyem Molloyem, który dalej jest ekspertem od dziewczynek i w ogóle wszystkich świństw.

Billy mówi, że jeśli mamy zostać wspianymi piłkarzami, musimy ćwiczyć w parku. Chłopcy narzekają, kiedy rozdają im serca. Ja na to, że jak im się nie podobają, mogą iść do domów i pociąć suknie i bluzki swoich matek.

Nie mamy pieniędzy na prawdziwą piłkę, więc jeden z chłopaków przynosi owczy pęcherz wypchany szmatami. Kopiemy ten pęcherz po polanie, aż robią się w nim dziury i zaczynają wylazić szmaty. W końcu mamy dosyć kopania pęcherza, który właściwie już nie istnieje. Billy zarządza, że spotkamy się następnego ranka, to znaczy w sobotę, i pójdziemy w stronę Ballinacurry, może uda się nam wyzwać bogatych chłopaków z Crescent College na prawdziwy mecz, po siedmiu w każdej drużynie. Mamy przypinać do koszul czerwone serca, nawet jeśli są to tylko czerwone szmaty.

Malachy idzie do domu na kolację, a ja nie mogę, bo muszę się zobaczyć z Mikeyem Molloyem i wyjaśnić, dlaczego urodziłem się w połowie przewidzianego terminu. Mikey właśnie wychodzi z domu ze swoim ojcem Peterem. To jego szesnaste urodziny i ojciec zabiera go do pubu Bowlesa na pierwszy kufel piwa. Nora Molloy wykrzykuje z wnętrza domu, że jeśli pójdą, to mogą nie wracać, ona skończyła z pieczeniem chleba, już nigdy nie pójdzie do szpitala wariatów, a jeśli on przyprowadzi do domu pijane dziecko, ona pojedzie do Szkocji i zniknie z powierzchni ziemi.

– Cyklop, nie zwracaj uwagi – mówi Peter Mikeyowi. – Irlandzkie matki zawsze są wrogami pierwszego kufła. Moja matka próbowała zatłuc ojca patelnią, kiedy zabierał mnie na pierwszy kufel.

Mikey pyta ojca, czyja mogę pójść z nimi i wypić lemoniadę.

Peter oznajmia w pubie, że Mikey przyszedł na swój pierwszy kufel, a kiedy wszyscy obecni chcą postawić mu kolejkę, protestuje:

– O nie, byłoby straszne, gdyby wypił za dużo i zniechęcił się na zawsze.

Kufle napełniono beczkowym piwem, siadamy pod ścianą, Molloyowie ze swoim piwem, ja z lemoniadą. Mężczyźni życzą Mikeyowi wszystkiego najlepszego w nadchodzących latach i powtarzają, czy to nie zrządzenie Opatrzności, że przed laty spadł z rynny i od tamtej pory nie miał ani jednego ataku. I jaka szkoda tego nieszczęsnego Quasimoda Dooleya, którego sprzątnęły galopujące suchoty, choć przez tyle lat się męczył, żeby mówić jak Anglik i móc pracować w BBC, mimo że nie jest to odpowiednie miejsce dla Irlandczyka.

Peter rozmawia z mężczyznami, a Mikey, sącząc swój pierwszy kufel, szepcze do mnie:

– Wcale mi to nie smakuje, ale nie mów mojemu ojcu. – Potem wyznaje, że w sekrecie ćwiczy angielski akcent, żeby zostać spikerem BBC, co było marzeniem Quasimoda. Mówi, że mogę sobie z powrotem wziąć Cuchulaina, który nie jest potrzebny, kiedy się czyta wiadomości w BBC. Teraz, jak ma szesnaście lat, chce pojechać do Anglii, a jeśli ja kiedykolwiek będę miał radio, usłyszę go w ogólnokrajowej rozgłośni BBC.

Opowiadam mu o świadectwie ślubu, o tym, że według Billy’ego Campbella musi upłynąć dziewięć miesięcy, a tymczasem ja się urodziłem w połowie tego terminu, więc może mi powie, czy przyszedłem na świat w wyniku jakiegoś cudu.

– Nie – mówi – nic podobnego. Jesteś bękartem, to znaczy, że jesteś potępiony.

– Mikey, nie musisz mnie przezywać.

– Nie przezywam. Tak się mówi o ludziach, którzy urodzili się przed upływem dziewięciu miesięcy małżeństwa, ludziach poczętych w nieprawym łożu.

– Co to takiego?

– Niby co?

– Poczęty.

– To kiedy sperma trafia na jajko, ono rośnie i dziewięć miesięcy później jesteś już gotowy.

– Nie wiem, o czym ty mówisz.

– To między twoimi nogami, to podniecenie. Nie lubię tych innych nazw: kutas, fiut, ptaszek, pyta. Więc twój ojciec wsuwa swoje podniecenie w matkę, następuje spust i te maleńkie nasiona wchodzą w twoją matkę, gdzie jest jajko i ono wyrasta w ciebie.

– Nie jestem jajkiem.

– Jesteś. Każdy kiedyś był jajkiem.

– Dlaczego mam być skazany na potępienie? To nie moja wina, że jestem bękartem.

– Wszystkie bękarty są skazane. Tak jak nieochrzczone dzieci. Na wieczność wysyłane do otchłani, skąd nie ma ucieczki, a to też nie ich wina. To naprawdę zmusza do zastanowienia się nad Bogiem, który tam, na górze, na tym swoim tronie, okazuje taki brak litości dla niechrzczonych dzieciaków. Dlatego właśnie już nawet nie zbliżam się do kościoła. Ale ty i tak jesteś skazany na potępienie. Twój rodzice mieli podniecenie, a nie byli po ślubie, więc nie jesteś w stanie łaski.

– Co mam zrobić?

– Nic. Jesteś skazany.

– Nie mogę zapalić świeczki czy coś?

– Możesz spróbować u Najświętszej Pani. Ona się zajmuje potępieniem.

– Ale nie mam pensa na świeczkę.

– No dobrze, masz tu pensa. Oddasz mi, jak dostaniesz pracę, za jakiś milion lat. Być ekspertem od dziewczyn i w ogóle wszystkich świństw kosztuje mnie fortunę.

Barman rozwiązuje krzyżówkę i zwraca się do Petera:

– Co jest przeciwieństwem posuwania się naprzód?

– Cofanie – mówi Peter.

– Tak jest. Wszystko ma swoje przeciwieństwo.

– Matko Boska! – mówi Peter.

– Peter, co z tobą? – pyta barman.

– Tommy, co powiedziałeś przed chwilą?

– Wszystko ma swoje przeciwieństwo.

– Matko Boska!

– Peter, dobrze się czujesz? Piwo w porządku?

– Tommy, piwo wspaniałe. Czyż nie mam mistrzostwa w obalaniu kufli?

– Tego nie można ci odmówić.

– To znaczy, że mogę mieć mistrzostwo i w przeciwnym dziale.

– Peter, o czym ty mówisz?

– Mogę być mistrzem w niedotykanii kufli.

– Daj spokój, Peter, chyba posuwasz się za daleko. Żona dobrze się czuje?

– Tommy, zabierz ode mnie ten kufel. Jestem mistrzem niedotykania kufli.

Peter odwraca się i zabiera kufel Mikeya.

– Mikey, idziemy do matki do domu.

– Tato, nie powiedziałeś do mnie: Cyklop.

– Bo jesteś Mikey. Michael. Jedziemy do Anglii. Skończyłem z kufelkami, żadnych kufli dla ciebie, żadnego pieczenia chleba przez matkę. Chodź!

Wychodzimy z pubu, a barman Tommy woła za nami:

– Peter, wiesz, skąd to się wzięło? To te cholerne książki zepsuły ci głowę!

Peter i Mikey skręcają w stronę domu. Ja muszę iść do Świętego Józefa zapalić świeczkę, która wybawi mnie od potępienia, ale spoglądam na wystawę sklepu Counihana i widzę pośrodku wielki blok toffi Cleevesa i napis DWIE KOSTKI ZA PENSA. Wiem, że jestem potępiony, ale po obu stronach języka cieknie mi ślina. Kiedy kładę pensa na kontuarze, obiecuję Matce Boskiej następnego pensa, jakiego dostanę. Wtedy zapalę świeczkę i będę ją prosił, żeby porozmawiała z Synem o oddaleniu na jakiś czas tego potępienia.

Toffi Cleevesa za pensa nie starcza na wieczność, więc kiedy się kończy, muszę pomyśleć o powrocie do domu, do matki, która pozwoliła ojcu wpełznąć w siebie jego podniecenie, żebym mógł się urodzić w połowie terminu i wyrosnąć na bękart. Jeśli mama kiedykolwiek powie słowo na temat czerwonej sukni czy czegokolwiek, to ja jej wypomnę wszystko o podnieceniu, i to dopiero ją zaskoczy.

W sobotę rano spotykam się z Czerwonymi Sercami z Limerick i wałęsam się w poszukiwaniu futbolowego wyzwania. Chłopaki ciągle narzekają, że kawałki czerwonej sukni nie przypominają serc, aż Billy się złości, że jeśli nie chcą grać w nogę, mogą iść do domów i bawić się lalkami swoich sióstr.

Na polu w Ballinacurry miejscowi grają w piłkę, Billy rzuca im wyzwanie. Mają ośmiu graczy, a my tylko siedmiu, ale nie przejmujemy się tym, bo jeden z nich ma jedno oko; Billy każe nam grać po tej ślepej stronie. „A zresztą – mówi – Frankie McCourt jest prawie zupełnie ślepy na te swoje kaprawe oczy, a to jeszcze gorzej”. Tamci wszyscy są wystrojeni w niebiesko-białe koszulki, białe szorty i buty do piłki nożnej. Któryś z nich się śmieje, że wyglądamy, jakby kot nas wypluł; musimy przytrzymać Malachy’ego, żeby się na nich nie rzucił. Godzimy się grać pół godziny, bo ci z Ballinacurry muszą iść na lunch. Lunch. Wszyscy na świecie w połowie dnia jedzą obiad, ale oni mają lunch. Jeśli nikt nie wbije gola w ciągu pół godziny, to jest remis. Biegamy w tę i z powrotem, dopóki Billy nie dostaje piłki, biegnie, tańczy wzdłuż linii bocznej tak szybko, że nikt nie może go złapać, i strzela bramkę. Już niemal minęło pół godziny, ale chłopaki z Ballinacurry chcą grać jeszcze pół godziny i w

tej drugiej połowie udaje im się wbić gola. Potem piłka wypada za linię. Jest nasza. Billy stoi za linią z piłką nad głową. Udaje, że patrzy na Malachy'ego, ale rzuca do mnie. W tym momencie piłka staje się dla mnie całym światem. Spada prosto na moją nogę, wystarczy tylko obrócić się w lewo i strzelić prosto do bramki. W głowie mam pustkę, czuję się jak w niebie. Fruwam nad całym boiskiem do chwili, gdy Czerwone Serca z Limerick klepią mnie po plecach i chwalą:

– Frankie, to był wielki gol. Twój też, Billy.

Wracamy O'Connell Avenue, a ja ciągle myślę o tym, jak piłka spadła u moich stóp, na pewno musiał ją przysłać Bóg lub Najświętsza Panienka, którzy nigdy nie zesłaliby przecież takiego błogosławieństwa komuś, kto jest skazany na potępienie, bo urodził się w połowie przewidzianego czasu. Wiem, że do końca życia nie zapomnę ani tej piłki od Billy'ego, ani tego gola.

Idąc uliczką pod górę, mama spotyka Bridey Hannon i jej matkę i dowiaduje się od nich o chorych nogach biednego pana Hannona. Biedny John, jaka to męka dla niego pedałowac co wieczór do domu na rowerze po całym dniu rozwożenia węgla i torfu dla firmy opałowej z Dock Road! Płacą mu za pracę od ósmej rano do wpół do szóstej wieczorem, chociaż musi przygotować konia na długo przed ósmą i oporządzić go na noc grubo po piątej. Przez cały dzień schodzi z platformy i wchodzi na nią, dźwigając worki węgla i torfu, rozpaczliwie się przy tym stara, żeby nie obluzowały się bandaże na nogach i żeby brud nie dostał się do otwartych ran. Bandaże zawsze się przyklejają i trzeba je potem odrywać; kiedy pan Hannon wraca wieczorem do domu, żona przemywa mu rany ciepłą wodą z mydłem, smaruje maścią i owija czystymi bandażami. Nie mogą sobie pozwolić na kupowanie codziennie nowych bandaży, więc pierze w kółko stare, aż zupełnie zszarzeją.

Mama tłumaczy, że pan Hannon powinien iść do doktora.

– Jasne, był u doktora kilkanaście razy – wyjaśnia pani Hannon. – A doktor radzi mu oszczędzać nogi. To wszystko. Oszczędzać nogi! A jak to zrobić? Z czego byśmy żyli, gdyby nie pracował?

Mama podsuwa pomysł, że może Bridey znalazłaby jakąś pracę. Bridey czuje się urażona.

– Angela, przecież wiesz, że mam słabe piersi! Miałam gorączkę reumatyczną i w każdej chwili mogę umrzeć. Muszę bardzo uważać.

Mama często wspomina Bridey, jej gorączkę reumatyczną i słabe piersi.

– Ta to potrafi godzinami opowiadać o swoich dolegliwościach, ale to jej nie przeszkadza palić woodbine'y.

Mama wyraża Bridey współczucie z powodu jej słabości. To straszne, że jej ojciec tak cierpi. Pani Hannon dodaje, że panu Hannonowi z każdym dniem się pogarsza.

– A co by pani powiedziała, pani McCourt, gdyby pani chłopak, Frankie, pojeździł z nim na platformie kilka godzin w tygodniu i trochę mu pomógł z tymi workami? Nie bardzo możemy sobie na to pozwolić, ale Frankie zarobiłby szylinga czy dwa, a biedne nogi Johna trochę by odpoczęły.

– Nie wiem – waha się mama. – Ma dopiero jedenaście lat, chorował przecież na tyfus, a pył węglowy nie robi mu dobrze na oczy.

– Będzie na powietrzu, a nie ma nic lepszego niż świeże powietrze, gdy ktoś cierpi na oczy albo dochodzi do siebie po tyfusie. Prawda, Frankie?

– Prawda, Bridey.

Marzę o tym, żeby jeździć z panem Hannonem na olbrzymiej platformie jak prawdziwy robotnik. Gdybym się okazał dobry, może pozwoliliby mi już więcej nie chodzić do szkoły. Ale w tym momencie mama wtrąca:

– Może to robić po lekcjach, mógłby zacząć w sobotę rano.

Teraz jestem mężczyzną, więc w sobotę wcześniej rano rozpalam ogień, robię sobie herbatę i podsmażam chleb. Czekam przed domem, aż pan Hannon wyjdzie ze swoim rowerem, a przez okno czuję cudowny zapach boczku i jajek. Mama twierdzi, że pan Hannon dostaje najlepsze jedzenie, bo żona ma na jego punkcie takiego bzika jak w dniu, kiedy się pobierali. Zachowują się jak para kochanków z amerykańskiego filmu. Wyszedł pan Hannon, prowadzi rower i puszcza dym z fajki. Mówi, żebym wskoczył na ramię. Wyruszamy do mojej pierwszej prawdziwie męskiej pracy. Głowa pana Hannona jest tuż nad moją, a fajka cudownie pachnie. Z ubrania pana Hannona unosi się zapach węgla, co przyprawia mnie o kichanie.

Mężczyźni idą lub jadą na rowerach w stronę Dock Road do składów węglowych, młynów Ranka, do Towarzystwa Parowców Limerick. Pan Hannon wyjmuję fajkę z ust i powiada, że sobota to najlepszy ze wszystkich poranków, tylko pół dnia pracy; zaczniemy o ósmej, a kiedy w południe zadzwonią na Anioł Pański, będziemy wolni.

Najpierw przygotowujemy konia, trochę go czesemy, napełniamy drewniany żłób owsem, a kubeł wodą. Pan Hannon pokazuje, jak założyć uprzęż, i pozwala mi wprowadzić konia tyłem między dyszle platformy.

– O Jezu, Frankie, masz do tego talent! – chwali mnie.

Sprawia mi tym taką przyjemność, że mam ochotę skakać, mógłbym całe życie jeździć na platformie.

Dwaj mężczyźni napełniają worki węglem i torfem i kładą je na wielką żelazną wagę – sto kilo w każdym worku. Do nich należy załadowanie worków na platformę; w tym czasie pan Hannon idzie do kantoru po kwity dostawcze. Mężczyźni szybko załatwiają się z workami i jesteśmy gotowi do wyjazdu. Pan Hannon siedzi po lewej stronie platformy i pokazuje machnięciem bata, gdzie mam usiąść. Trudno się wdrapać, bo sama platforma jest wysoka, a do tego wyładowana workami, więc próbuję wchodzić po kole. Pan Hannon przestrzega, że nigdy więcej nie powinienem tego robić. Nie należy kłaść nogi ani ręki na kole, kiedy koń jest już zaprzężony. Może nagle ruszyć, a wtedy noga albo ręka wkręci się w koło. Woła: „no, ruszaj!” i koń potrząsa głową, że aż skrzypi uprzęż, a pan Hannon się śmieje.

– Ten głupi koń uwielbia pracować – wyjaśnia. – Za parę godzin nie będzie już tak podrzucał uprzężą.

Kiedy zaczyna padać, nakrywamy się starymi workami od węgla, a pan Hannon przekręca fajkę w ustach do góry nogami, żeby tytoń nie zamókł. Mówi, że od deszczu wszystko robi się cięższe, ale jaki sens narzekać? Równie dobrze można się skarżyć na słońce w Afryce.

Przejeżdżamy most Sarsfield, bo mamy dostawy na Ennis Road i na North Circular Road.

– Bogaci niechętnie sięgają do kieszeni po napiwek – twierdzi pan Hannon.

Musimy dostarczyć szesnaście worków. Mamy dziś szczęście – mówi pan Hannon – bo do niektórych domów idzie więcej niż jeden worek, nie będzie musiał tyle razy wchodzić na platformę i z niej schodzić i mniej zmęczy nogi. Kiedy się zatrzymujemy, zsiada, a ja dociągam worek do brzegu i kładę mu na plecach. W niektórych domach są na zewnątrz takie urządzenia, że wystarczy pociągnąć klapę, przechylić worek i bez trudu wysypać. W innych podwórka na tyłach są bardzo długie, widzę, jak pan Hannon cierpi, kiedy musi nieść worek od wozu do komórki. „O Jezu, Frankie, o Jezu!” – to jedyna skarga, jaką słyszę z jego ust; prosi mnie poza tym, żebym mu podał rękę przy wchodzeniu na górę. Mówi, że gdyby miał ręczny wózek, mógłby wozić worki do domów, i to byłoby błogosławieństwo, ale na wózek musiałby wydać dwutygodniowe zarobki, a na to przecież nie może sobie pozwolić.

Worki już rozwieszono, słońce zaszło, platforma pusta i koń doskonale wie, że dzień pracy dobiegł końca. Przyjemnie siedzieć na wozie, widzieć przed sobą konia, od ogona po głowę, kołyszącego się po Ennis Road, przez most na rzece Shannon aż do Dock Road. Pan Hannon oznajmia, że mężczyzna, który przeniósł szesnaście stukilowych worków węgla i torfu, zasługuje na kufelek, a chłopcu, który mu pomagał, należy się lemoniada. Mówi mi też, że

powiniennem chodzić do szkoły, żebym nie skończył tak jak on. Musi pracować, choć nogi mu gniją.

– Frankie, chodź do szkoły i wynieś się z Limerick, a nawet z Irlandii. Kiedyś ta wojna się skończy, możesz pojechać do Ameryki, do Australii czy do innego wielkiego otwartego kraju, w którym, jak okiem sięgnąć, ląd się nie kończy. Świat jest wielki i możesz mieć wspaniałe przygody. Gdyby nie moje nogi, już byłbym w Anglii i robił fortunę w ich fabrykach jak reszta Irlandczyków, jak twój ojciec. No, może nie jak twój ojciec. Słyszę, że zostawił was bez niczego, co? Nie rozumiem, jak mężczyzna przy zdrowych zmysłach może wyjechać, zostawić żonę i dzieci, żeby umierały z głodu i zimna w Limerick. Szkoła, Frankie, szkoła. Książki, książki, książki. Wynieś się z Limerick, zanim zgniją ci nogi, a umysł zupełnie skapcanieje.

Koń stuka kopytami. Po powrocie do składu węglowego karmimy go, poimy i czeszemy. Pan Hannon cały czas przemawia do konia pieszczotliwie, a on przytula nozdrza do jego piersi. Chciałbym zabrać konia do domu, zostawić na dole, kiedy my jesteśmy we Włoszech. Ale nawet gdyby mi się udało przeprowadzić go przez drzwi, mama wrzeszczałaby, że tylko lego nam brakuje!

Droga od Dock Road do domu za bardzo się wznosi, żeby pan Hannon mógł mnie wieźć na ramie roweru, więc idziemy pieszo. Nogi bołą go po pracy, toteż bardzo dużo czasu zabiera nam podejście w górę Henry Street. Opiera się na rowerze albo przysiada na schodach domów, żując w ustach koniec fajki.

Zastanawiam się, kiedy dostanę pieniądze za ten dzień pracy, bo może mama pozwoli mi pójść do kina Lyric, jeśli wrócę z szylingiem albo kilkoma pensami, jakie mi zapłaci pan Hannon. Jesteśmy teraz pod drzwiami pubu South, zaprasza, żebym z nim wszedł, czyż nie obiecał mi lemoniady?

W pubie jest wujek Pa Keating. Jak zwykle cały czarny, a siedzi obok Billa Galvina, który jak zwykle jest cały biały, prychnął nosem i pociąga wielkie łyki czarnego napoju z kufła. Pan Hannon wita się z nimi i siada z drugiej strony Billa Galvina. Wszyscy w pubie wybuchają śmiechem.

– Jezu – mówi barman – popatrzcie tylko, dwie bryły węgla i kula śniegu!

Podchodzą mężczyźni z innych zakątków pubu, żeby zobaczyć dwóch uczemionych węglem, a pośrodku jednego pobielonego wapnem. Wszyscy chcą posłać po fotografa do „Limerick Leader”.

– Frankie, a gdzie ty się tak ucześciłeś? – pyta wujek Pa. – Wpadłeś do kopalni węgla?

– Pomagałem panu Hannonowi.

– Twoje oczy wyglądają strasznie. Jakby ktoś wysikał dwie dziury w śniegu.

– To pył węglowy, wujku Pa.

– Umyj je, jak przyjdiesz do domu.

– Dobrze, wujku Pa.

Pan Hannon kupuje mi lemoniadę, daje szylinga za poranną pracę i mówi, żebym już wracał do domu, jestem doskonałym pracownikiem, może znów pomogę mu w przyszłym tygodniu po lekcjach.

Po drodze oglądam się w szybie wystawy sklepowej. Jestem cały czarny od węgla i czuję się jak mężczyzna, mężczyzna z szylingiem w kieszeni, mężczyzna, który wypił w pubie lemoniadę w towarzystwie dwóch węglarzy i jednego wapniarza. Nie jestem już dzieckiem i bez trudu mógłbym na zawsze porzucić Leamy’s School. Mógłbym codziennie pracować z panem Hannonem, a kiedy jego nogi już nie wytrzymają, mógłbym przejąć platformę i dostarczać węgiel bogatym ludziom przez resztę życia; mama nie musiałaby wtedy zbierać pod domem księdza redemptorysty.

Ludzie na ulicach i uliczkach obrzucają mnie dziwnymi spojrzeniami. Chłopaki i dziewczyny śmieją się i krzyczą: „Idzie kominiarz! Ile chcesz za wyczyszczenie naszego komina?”. „Czy wpadłeś do dziury z węglem? Czy osmaliły cię ciemności?”.

Nic nie rozumieją. Nie wiedzą, że spędziłem dzień na rozwożeniu stukilowych worków węgla i torfu. Nie wiedzą, że jestem mężczyzną.

Mama i Alpie śpią na górze we Włoszech, okno zasłonięte paltem, żeby w pokoju było ciemno. Chwalę się, że zarobiłem szylinga, a mama pozwala mi iść do kina Lyric. Zasłużyłem na to.

– Weź dwa pensy i zostaw resztę na gzymsie kominka na dole, żeby mogła kogoś posłać po bochenek chleba na kolację.

Nagle palto spada z okna i w pokoju robi się jasno. Mama patrzy na mnie:

– Wielki Boże, twoje oczy! Zejdź na dół, zaraz przyjdę je przemyć.

Grzeje wodę w czajniku i przemywa mi oczy kwasem bornym, mówi, że nie mogę iść do kina Lyric, dopóki oczy mi się nie oczyszczą, choć Bóg wie, kiedy to nastąpi.

– Z oczami w takim stanie nie możesz rozwozić węgla. Pył bardzo ci zaszkodzi.

– Chcę pracować. Chcę przynosić do domu szylinga. Chcę być mężczyzną.

– Możesz być mężczyzną, nie przynosząc szylinga. Idź na górę, połóż się i daj oczom odpocząć, bo inaczej skończysz jako ślepy mężczyzna.

Chcę mieć tę pracę. Przemywam oczy kwasem bornym trzy razy dziennie. Przypominam sobie Seamusa ze szpitala i to, jak jego wuj wyleczył się dzięki mruganiu, więc codziennie przez godzinę siedzę spokojnie i mrugam. Trudno o coś lepszego niż mruganie na wzmocnienie oka – twierdził Seamus. Więc teraz mrugam i mrugam, aż Malachy biegnie do mamy, która rozmawia przed domem z panią Hannon.

– Mamo, coś się stało z Frankiem, siedzi na górze i strasznie mruga. Bez przerwy.

Mama wpada do domu.

– Co z tobą?

– Wzmacniam oczy tym ćwiczeniem.

– Jakim ćwiczeniem?

– Mruganiem.

– Mruganie to żadne ćwiczenie.

– Seamus w szpitalu uważa, że na mocne oczy nie ma nic lepszego niż mruganie. Jego wuj miał od tego potężne oczy.

Mama mówi, że robię się dziwny, i wychodzi na zewnątrz dokończyć rozmowy z panią Hannon, a ja tymczasem mrugam i płuczę oczy w ciepłej wodzie z kwasem bornym. Przez okno słyszę głos pani Hannon:

– Pani Frankie jest błogosławieństwem dla Johna, bo to ciągle schodzenie z platformy i wchodzenie z powrotem kompletnie rujnuje mu nogi.

Mama nic nie odpowiada, a to oznacza, iż tak bardzo jej żał pana Hannon, że znowu pozwoli, bym mu pomagał w ciężki dzień, w czwartek. Przemywam oczy trzy razy dziennie i mrugam, aż zaczynają mnie boleć brwi. Mrugam w szkole, kiedy nauczyciel nie patrzy, a wszystkie chłopaki w mojej klasie wołają na mnie Mrugacz i dodają to przydomkiem do całej listy innych.

McCourt mruga

Kaprawym okiem,

Leci do kibla

Koślawym skokiem.

Już się nie przejmuję tym, jak mnie przezywają, byle tylko przeczyściły mi się oczy i bylebym miał regularną pracę: przesuwanie na platformie stukilogramowych worków węgla.

Chciałbym, żeby mnie zobaczyli w czwartek po lekcjach, jak siedzę na platformie, a pan Hannon oddaje mi lejce, żeby spokojnie palić fajkę. „Trzymaj, Frankie, to dobry koń i nie trzeba go szarpać!”.

Daje mi także bat, ale na tego konia nigdy nie potrzeba bata. To tylko tak na pokaz, więc wymachuję batem w powietrzu, tak jak pan Hannon, albo spędzam muchę z wielkiego, złocistego pośladka kołyszącego się między dyszlami.

Na pewno wszyscy patrzą z podziwem, jak kołyszę się razem z platformą, jak spokojnie i pewnie obchodzę się z lejcami i batem. Żałuję, że nie mam fajki jak pan Hannon ani tweedowej czapki. Chciałbym być prawdziwym węglarzem z czarną skórą jak pan Hannon i wujek Pa Keating, żeby wszyscy mówili: „To jest Frankie McCourt, który rozwozi cały węgiel w Limerick i chodzi na kufelek do pubu South”. Nigdy nie myłbym twarzy. Byłbym czarny przez cały rok, nawet w dzień Bożego Narodzenia, kiedy trzeba się porządnie wymyć na przyjęcie Dzieciątka Jezus. Wiem, że On nie miałby nic przeciwko temu, ponieważ widziałem Trzech Króli w świątecznej szopce w kościele Redemptorystów, jeden z nich był czarniejszy od wujka Pa Keatinga, najczarniejszego człowieka w Limerick, a skoro jeden król jest czarny, to znaczy, że wszędzie na świecie ktoś rozwozi węgiel.

Koń podnosi ogon i wypuszcza wielkie kawały parującego żółtego gówna. Zaczynam ściągać lejce, żeby mógł przystanąć dla wygody, ale pan Hannon mnie powstrzymuje:

– Nie, Frankie, zostaw go. Konie zawsze srają w truchcie. Na tym polega jedna z zalet koni, srają w truchcie, a nie są brudne i cuchnące jak ludzka rasa, wcale nie. Najgorsza rzecz, jaka się może przytrafić człowiekowi, to wejście do ubikacji po chłopie, który najadł się wieprzowych nóżek i cały wieczór wychylał kufle. Ten smród może wykręcić nozdrza najsilniejszego mężczyzny. A konie są inne. Jedzą tylko owies i siano, a to, co wydalają, jest czyste i naturalne.

Pracuję z panem Hannonem we wtorki i czwartki po lekcjach i pół dnia w sobotę rano, a to oznacza trzy szylingi dla mamy, która cały czas martwi się o moje oczy. Gdy tylko wchodzę do domu, od razu je przemywa, a potem każe dać im odpocząć przez pół godziny.

Pan Hannon oznajmia, że w czwartek będzie na mnie czekał w pobliżu Leamy's National School, kiedy skończy rozwozić na Barrington Street. Teraz chłopaki mnie zobaczą, teraz będą wiedzieli, że jestem robotnikiem, nie tylko tańczącym Japońcem o kaprawych oczach i wymorusanej gębie. Pan Hannon poleca: „właż na górę!”, a ja wdrapuję się na platformę jak każdy robotnik. Patrzą na chłopaków, którzy się na mnie gapią. Dosłownie gapią. Proponuję panu Hannonowi, że jeśli chce spokojnie wypalić fajkę, to wezmę lejce, a gdy mi je podaje, jestem pewien, że słyszę, jak chłopaki wstrzymują dech. Mówię do konia: wio, tak jak pan Hannon. Ruszamy truchtem i wiem, że w tej chwili liczni chłopcy ze szkoły popełniają śmiertelny grzech zawiści. Znów powtarzam koniowi: wio, żeby na pewno wszyscy to usłyszeli, żeby wiedzieli, że nikt inny, tylko ja powożę platformą żeby na pewno nigdy nie zapomnieli, że to mnie widzieli z lejcami i batem w ręku. To najlepszy dzień mojego życia, lepszy niż dzień pierwszej komunii, który zepsuła babcia; lepszy niż dzień bierzmowania kiedy dostałem tyfusu.

Chłopaki już mnie nie przezywają. Nie wyśmiewają się z moich kaprawych oczu. Chcą wiedzieć, w jaki sposób dostałem taką dobrą pracę w jedenastym roku życia, ile zarabiam i czy to już na zawsze. Chcą wiedzieć, czy w składach opałowych nie ma więcej dobrych prac i czy mógłbym się za nimi wstawić.

Duże trzynastoletnie chłopaki stają obok mnie i twierdzą że to im się należy ta praca, bo są więksi, a ja jestem ledwie chudym karzełkiem bez żadnych barów. Mogą sobie gadać, ile chcą. Ja mam pracę, a pan Hannon mówi, że jestem silny.

Są takie dni, kiedy nogi tak bardzo mu dokuczają, że prawie nie może chodzić. Na twarzy pani Hannon widać wtedy wielkie zatroskanie. Daje mi kubek herbaty; patrzę, jak podwija nogawki spodni męża i odrywa brudne bandażę. Rany są czerwonożółte, pokryte węglowym

pyłem. Przemywa je wodą z mydłem i smaruje żółtą maścią. Układa na krześle nogi pana Hannon, który potem przez resztę wieczoru siedzi tak z nogami do góry. Czyta gazetę albo książkę z półki, którą ma nad głową.

Stan nóg pogarsza się do tego stopnia, że pan Hannon musi rano wstawać godzinę wcześniej, żeby je rozruszać i założyć nowy opatrunek. W pewien sobotni rano jest jeszcze ciemno, kiedy pani Hannon puka do naszych drzwi i pyta, czy nie poszedłbym do sąsiadów pożyczyć ręczny wózek, bo pan Hannon nie da sobie dzisiaj rady z dźwiganiem worków, to może ja będę je woził na wózku. Nie będzie też mógł mnie zawieźć na ramie roweru, więc spotkamy się w składzie opałowym.

– Dla pana Hannon, wszystko. Niech mu Bóg błogosławi – mówi sąsiad.

Czekam przy bramie składu i widzę, jak zbliża się do mnie pan Hannon na rowerze, wolniej niż zwykle. Jest tak sztywny, że z trudem zsiada.

– Frankie, jesteś wspaniały chłop!

Pozwala mi przygotować konia, chociaż mam jeszcze trudności z założeniem uprzęży. Pozwala mi wyprowadzić platformę z dziedzińca na zamrożone ulice, a ja mam wrażenie, że mógłbym tak powozić bez końca i nigdy nie wracać do domu. Pan Hannon pokazuje mi, jak ściągnąć worki na krawędź platformy i jak spuścić je na ziemię, żeby potem wciągnąć na ręczny wózek i zapchać do domów. Poucza, jak podnosić i pchać worki, żeby się nie nadwreżyły. W południe kończymy dostawę szesnastu worków.

Żałuję, że nie mogę mnie teraz widzieć chłopaki ze szkoły, kiedy powożę platformą i manipuluję workami; robię wszystko, a pan Hannon daje odpocząć nogom. Żałuję, że nie widzą, jak pcham ręczny wózek do pubu South, piję lemoniadę i wszyscy trzej, pan Hannon, wujek Pa i ja, jesteśmy całkiem czarni, a Bill Galvin całkiem biały. Chciałbym całemu światu pokazać napiwki, jakie pan Hannon pozwolił mi zatrzymać, cztery szylingi napiwków i szyling, który mi dał za poranną pracę. Razem pięć szylingów.

Mama siedzi przy kominku, a kiedy daję jej pieniądze, patrzy na mnie, upuszcza je na kolana i zaczyna płakać. Jestem zdumiony, bo przecież pieniądze mają dawać szczęście.

– Popatrz tylko na swoje oczy – mówi. – Podejź do lustra i zobacz swoje oczy.

Twarz mam czarną, a oczy gorsze niż zwykle. Białka i powieki są czerwone, żółta maź wycieka z kącików i rozlewa się na dolnej powiece. Po chwili tworzy skorupę, którą trzeba zerwać albo zmyć.

Mama oświadcza, że to już koniec. Koniec z panem Hannonem. Próbuje jej wytłumaczyć, że pan Hannon mnie potrzebuje. Już prawie nie może chodzić. Tego ranka sam musiałem wszystko robić: powozić platformą, pchać ręczny wózek z workami, siedzieć w pubie, pić lemoniadę, słuchać, jak mężczyźni dyskutują, kto jest najlepszy – Rommel czy Montgomery.

Mamie bardzo żal pana Hannon, ale starczy jej własnych kłopotów, nie chce mieć na dodatek niewidomego syna, który potyka się na ulicach Limerick. Nie dość, że o mało nie umarłem na tyfus, teraz jeszcze chcę oślepnąć.

Nie mogę przestać płakać, ponieważ miałem szansę stać się mężczyzną i przynosić do domu pieniądze, których nigdy nie przynosił posłaniec pocztowy od mojego ojca. Nie mogę przestać płakać, bo nie wiem, co pan Hannon zrobi w poniedziałek rano, kiedy nie będzie miał do pomocy nikogo, kto ściągałby worki na brzeg platformy i zawoził je do domów. Nie mogę przestać płakać na myśl o tym, jak delikatnie pan Hannon odnosi się do konia, którego nazywa słodkim. Co zrobi koń, jeśli pan Hannon nie wyprowadzi go ze stajni, jeśli ja go nie wyprowadzę? Czy padnie z głodu z braku owsa, siana i jabłka od czasu do czasu?

Mama tłumaczy, że nie powinienem płakać, bo to szkodzi oczom.

– Zobaczymy. Tylko tyle mogę ci powiedzieć. Zobaczymy.

Przemywa mi oczy i daje sześć pensów, żebym zabrał Malachy'ego do kina Lyric na film z Borysem Karloffem *Człowiek, którego nie mogli powiesić* i kupił dwa kawałki toffi Clevesa. Przez tę szarą maź, która leci mi z oczu, nie bardzo widzę ekran, toteż Malachy

musi mi opowiadać, co się dzieje. Ludzie każą mu się zamknąć, chcieliby słyszeć Borysa Karloffa. A kiedy Malachy zaczyna pyskować i tłumaczy, że jedynie pomaga swojemu ślepemu bratu, wołają biletera Franka Goggina, który grozi, że jeśli Malachy powie jeszcze słowo, to wyrzuci nas z kina.

Nie martwię się tym, bo znalazłem sposób: wyciskam maź z jednego oka i przeczyszczam je, więc widzę ekran, podczas gdy drugie oko wypełnia się mazią; powtarzam tę samą czynność w tę i z powrotem – wyciskam, patrzę, wyciskam, patrzę, a wszystko, co widzę, jest żółte.

W poniedziałek rano znowu do naszych drzwi puka pani Hannon. Pyta mamę, czy Frank mógłby pójść do składu węglowego i powiedzieć w biurze, że pan Hannon dzisiaj nie przyjdzie, bo musi iść do doktora z nogami, ale na pewno przyjdzie jutro i rozwiezie także worki z dzisiejszego dnia.

Teraz pani Hannon zawsze nazywa mnie Frank. Ktoś, kto dostarcza stukilowe worki węgla, to przecież nie Frankie.

– Hm, jesteśmy bardzo tolerancyjni wobec Hannona. A ty, jak się nazywasz? – pyta mężczyzna w biurze.

– McCourt, proszę pana.

– Powiedz Hannonowi, że będzie potrzebna kartka od doktora. Rozumiesz?

– Tak, proszę pana.

Doktor mówi panu Hannonowi, że musi iść do szpitala, bo inaczej wda się gangrena, za co doktor nie bierze odpowiedzialności. Karetka pogotowia zabiera pana Hannona i przepada moja wielka praca. Teraz będę tak samo biały jak wszyscy w szkole, nie będzie żadnej platformy, żadnego konia, żadnych szylingów dla mamy.

Po kilku dniach w naszych drzwiach staje Bridey Hannon. Mówi, że jej matka prosi, żebym przyszedł na herbatę. Pani Hannon siedzi z ręką na oparciu krzesła pana Hannona.

– Siadaj, Frank – zaprasza, a kiedy zamierzam usiąść na jednym ze zwykłych kuchennych krzeseł, powstrzymuje mnie: – Nie, siadaj tutaj. Usiądź na jego krześle. Frank, wiesz, ile on ma lat?

– Pani Hannon, musi być bardzo stary. Musi mieć trzydzieści pięć.

Pani Hannon uśmiecha się. Ma piękne zęby.

– Czterdzieści dziewięć, a mężczyzna w tym wieku nie powinien mieć tak chorych nóg.

– Nie powinien, pani Hannon.

– Czy wiesz, że twoje towarzystwo sprawiało mu ogromną radość?

– Nie wiem, pani Hannon.

– Tak było. Mamy dwie córki, Bridey, którą znasz, i Kathleen, która jest pielęgniarką w Dublinie. Ale nie mamy syna; twierdził, że był dla niego jak syn.

Czuję, że oczy mi płoną, a nie chcę pokazać, że płaczę, zwłaszcza że nie bardzo wiem, dlaczego płaczę. Ostatnio nie robię nic innego. Czy to z powodu pracy? Czy pana Hannon? Mama uważa, że mam pęcherz bardzo blisko oczu.

Myślę, że spokojny głos pani Hannon skłania mnie do płaczu, a ona mówi tak z powodu pana Hannon.

– Jak syn – powtarza. – Cieszę się, że miał takie uczucie. Już nigdy nie będzie mógł pracować, musi zostać w domu.

Może uda się jednak go wyleczyć, wtedy na pewno mógłby dostać pracę dozorczy, nie musiałby podnosić i dźwigać.

– Pani Hannon, ja już nie będę miał pracy.

– Ty masz pracę, Frank. Szkoła. To twoja praca.

– To żadna praca, pani Hannon.

– Frank, już nigdy nie weźmiesz takiej pracy jak ta. Panu Hannonowi pękało serce na myśl, że ściągasz worki z węglem z platformy, twoja matka też z tego powodu cierpi, a poza

tym to by ci zrujnowało oczy. Bóg świadkiem, jak bardzo mi przykro, że cię wciągnęłam do tej pracy, bo przez to twoja matka znalazła się w pułapce między twoimi oczami a nogami pana Hannonna.

– Czy mogę odwiedzić pana Hannonna w szpitalu?

– Pewnie cię nie wpuszczą, ale oczywiście będziesz mógł go odwiedzać w domu. Bóg świadkiem, że nie będzie miał dużo zajęć, prócz czytania i wyglądania przez okno.

– Nie powinieneś płakać, ale łzy są słone, więc wymyją tę paskudną maź z twoich oczu – mówi w domu mama.

XII

List od taty. Przyjedzie do domu dwa dni przed Bożym Narodzeniem. Twierdzi, że teraz wszystko będzie inaczej, że zupełnie się zmienił, ma nadzieję, że jesteśmy grzeczni, słuchamy matki, spełniamy obowiązki religijne. Przywozi nam wszystkim coś na Gwiazdkę.

Mama zabiera mnie na spotkanie taty. Dworzec kolejowy zawsze jest bardzo interesujący; ruch tam ogromny; ludzie wychylają się z okien wagonów, płaczą, śmieją się, machają na pożegnanie, pociągi gwizdzą, wytaczają się w kłębach pary, odprowadzający na peronie pociągają nosami, tory srebrzą się w oddali, prowadzą do Dublina i dalej w świat.

Teraz dochodzi północ, na pustym peronie jest zimno. Mężczyzna w kolejowym kaszkiecie pyta, czy nie chcielibyśmy poczekać w cieple. Mama mówi „bardzo dziękuję” i śmieje się, kiedy on prowadzi nas na koniec peronu, gdzie musimy wejść po drabinie do nastawni. Mamie zajmuje to trochę czasu, bo jest gruba. Co chwila powtarza:

– O mój Boże, mój Boże!

Jesteśmy ponad światem, w ciemnym wnętrzu. Mężczyzna pochyla się nad pulpitem, na którym mrugają czerwone, zielone i żółte światełka.

– Będę jadł kolację, was też zapraszam – mówi.

– Dziękujemy – odpowiada mama. – Nie możemy pana objadać.

– Żona zawsze przygotowuje za dużo; nawet gdybym tu siedział tydzień, też bym wszystkiego nie zjadł. To przecież nie taka ciężka praca – patrzeć na światła i od czasu do czasu pociągnąć dźwignię.

Odkręca termos i nalewa do kubka kakao.

– Proszę – zwraca się do mnie – wprowadź to do środka.

Podaje mamie pół kanapki.

– Ach, nie – broni się mama – przecież może pan to zanieść do domu dzieciom.

– Mam dwóch synów, proszę pani, walczą w siłach Jego Królewskiej Mości króla Anglii. Jeden był w Afryce z Montgomerym, a drugi jest w Birmie czy w innym takim cholernym miejscu, za przeproszeniem. Otrzymaliśmy wolność od Anglii i teraz staczymy dla niej wojny. Więc niech pani weźmie ten kawałek chleba.

Rozbłyskują światła na pulpicie.

– Jedzie pani pociąg.

– Bardzo dziękuję, szczęśliwych świąt!

– Szczęśliwych świąt i dla pani, i dobrego Nowego Roku! Młodzieńcze, uważaj na drabinie, pomóż mamie!

– Bardzo panu dziękujemy.

Znowu czekamy na peronie, aż pociąg wtoczy się na stację. Otwierają się drzwi wagonów, wysiada kilku mężczyzn z walizkami, spieszą się do wyjścia. Słychać brzęk baniek z mlekiem. Mężczyzna i dwóch chłopców rozładowują gazety i czasopisma.

Ojca nigdzie nie widać. Mama przypuszcza, że śpi w którymś z wagonów, wiemy jednak, że niewiele sypia nawet we własnym łóżku. Prom z Holyhead mógł się spóźnić i tata nie zdążył na pociąg. Morze Irlandzkie jest straszne o tej porze roku.

– Mamo, on nie przyjedzie. Nic go nie obchodzimy. Upija się tam w Anglii.

– Nie mów tak o swoim ojcu.

Już się nie odzywam. Nie mówię, że chciałbym mieć takiego ojca jak ten człowiek w nastawni, który rozdaje kanapki i kakao.

Następnego dnia tata staje w drzwiach. Nie ma górnych zębów, a pod lewym okiem widać olbrzymi siniak. Twierdzi, że Morze Irlandzkie było wzburzone i kiedy wychylił się za burzę, wypadła mu szczęka.

– A czy przypadkiem nie spowodował tego alkohol, co? Albo bójka? – pyta mama.

– Och, nie, Angela.

– Tato, obiecałeś, że coś nam przywieziesz – mówi Michael.

– I przywiozłem.

Wyciąga z walizki pudełko czekoladek i podaje mamie. Mama otwiera pudełko i pokazuje nam zawartość: połowy czekoladek brakuje.

– Nie mogłeś dowieźć w całości? – pyta. Zamyka pudełko i stawia nad kominkiem. – Jutro po świątecznym obiedzie zjemy czekoladki.

Mama pyta, czy przywiózł pieniądze. Tata odpowiada, że czasy są ciężkie, trudno dostać pracę.

– Wyśmiewasz się ze mnie czy co? Toczy się wojna i w Anglii jest wyłącznie praca. Przepiłeś pieniądze, prawda?

– Tato, przepiłeś pieniądze!

– Tato, przepiłeś pieniądze!

– Tato, przepiłeś pieniądze!

Krzyczymy tak głośno, że Alphie zaczyna płakać.

– Chłopcy, chłopcy, dajcie spokój. Szanujcie ojca!

Kładzie czapkę. Musi się spotkać z jakimś człowiekiem.

– Idź się spotkać z tym swoim człowiekiem, ale nie wracaj wieczorem do domu pijany i nie wyśpiewuj Roddy’ego McCorleya ani niczego innego.

Wraca do domu pijany, ale spokojny i wali się na podłogę przy łóżku mamy.

Następnego dnia jemy obiad świąteczny dzięki kuponowi ze Stowarzyszenia Świętego Wincentego. Jest głowa barania, kapusta, białe, sypkie kartofle i butelka cydru, bo to przecież Boże Narodzenie. Tata mówi, że nie jest głodny, napije się tylko herbaty, pożyczą od mamy papierosa.

– Zjedz coś. Są święta – mówi mama.

On znowu jej powtarza, że nie jest głodny, ale zje baranie oczy, jeśli nikt ich nie chce. Twierdzi, że oczy są bardzo pożywne, na co wszyscy wydajemy odgłosy obrzydzenia. Tata popija oczy herbatą i wypala resztkę woodbine’ s. Kładzie czapkę i idzie na górę po walizkę.

– Dokąd się wybierasz? – pyta mama.

– Do Londynu.

– Dzisiaj? W pierwszy dzień świąt?

– Najlepszy dzień na podróż. Ludzie z samochodami zawsze podwiozą robotnika do Dublina. Pamiętają o trudnościach Świętej Rodziny.

– A jak się dostaniesz na statek do Holyhead bez pensa w kieszeni?

– Tak jak przyjechałem. Zawsze zdarza się moment, kiedy nikt nie patrzy.

Tata całuje każdego z nas w czoło, przypomina, żebyśmy byli grzeczni, słuchali mamy i odmawiali modlitwy. Mamie obiecuje, że będzie pisał.

– Jasne, tak jak zawsze.

Tata stoi przed nią z walizką w rękę. Mama wstaje, bierze pudełko czekoladek i częstuje wszystkich po kolei. Sama wkłada do ust czekoladkę i za chwilę wyjmuję, bo czekoladka jest za twarda, nie może jej pogryźć. Mnie się dostała miękka, proponuję zamianę, bo twardą je się dłużej. Jest śmietankowa[^] smaczna, z orzechem w środku. Malachy i Michael skarżą się, że nie dostali orzecha, dlaczego Frankowi zawsze trafia się orzech?

– Co to znaczy zawsze? – pyta mama. – Przecież po raz pierwszy jemy czekoladki.

– W szkole dostał rodzynek w drożdżówce, wszyscy chłopcy opowiadali, że oddał go Paddy’emu Clohessy’emu, więc dlaczego nie oddał nam orzecha? – żali się Malachy.

– Ponieważ jest Boże Narodzenie, a Frankie ma chore oczy i na to bardzo dobrze robi orzech – wyjaśnia mama.

– Czy od tego orzecha oczy mu się poprawią? – pyta Michael.

– Tak.

– Czy poprawi mu się jedno oko, czy obydwójce?

– Chyba obydwójce.

– Gdyby trafił mi się orzech, oddałbym mu na te oczy – zapewnia Malachy.

– Wiem – potwierdza mama.

Tata przez chwilę przygląda się, jak jemy czekoladki. Odsuwa zasuwkę, otwiera drzwi i zamyka je za sobą.

– Dni są złe, ale noce jeszcze gorsze. Czy ten deszcz kiedykolwiek przestanie padać? – mówi mama do Bridey Hannon.

Próbuje jakoś przetrwać te złe dni, nie wstając z łóżka. Pozwala, żebym razem z Malachym rozpałał rano ogień, a sama siedzi w łóżku, karmi Alphiego kawałkami chleba i podsuwa mu do ust kubek z herbatą. My musimy zejść do Irlandii, umyć twarze w misce pod kranem i spróbować je wytrzeć starą, wilgotną koszulą, która wisi na poręczy krzesła. Mama sprawdza, czy nie zostały nam na szyjach brudne zacieki, bo jeśli tak, musimy znowu wracać do kranu i wilgotnej koszuli. Kiedy spodnie są dziurawe, mama próbuje je załatać szmatami. Do trzynastu, czternastu lat nosimy krótkie spodenki, a w długich skarpetach zawsze są dziury. Jeśli nie ma wełny do cerowania, a skarpety są ciemne, możemy poczernić pięty pastą do butów, żeby wyglądać przyzwoicie. Bo przecież strasznie jest chodzić po świecie ze skórą prześwitującą przez dziury w skarpetach.

Kiedy nosimy je dzień po dniu przez długie tygodnie, dziury na pięcie robią się tak olbrzymie, że trzeba podwinąć skarpetę pod palcami. W deszczowe dni skarpety nasiąkają wodą i musimy je wieszać na noc przy ogniu i nie tracić nadziei, że do rana wyschną. Są tak twarde jak zaschłe błoto, wciągamy je na nogi ze strachem, że rozpadną się na kawałki. Kiedy uda nam się szczęśliwie je wciągnąć, musimy pozatykać dziury w butach. Staczam wtedy walki z Malachym o każdy skrawek tektury czy papieru, jaki da się znaleźć w domu. Michael ma dopiero sześć lat, więc musi czekać na to, co zostanie, chyba że mama z łóżka każe nam pomóc młodszemu bratu.

– Jeśli nie uszykujecie bratu butów, będę musiała wstać i wtedy się policzymy.

Trudno nie żałować Michaela, bo jest za duży, żeby bawić się z Alphiem, a za mały, żeby bawić się z nami; z tych samych powodów nie bardzo ma się z kim bić.

Reszta ubierania jest łatwa. Do szkoły noszę tę samą koszulę, w której śpię. Chodzę w niej codziennie. Gram w niej w piłkę, wspinam się na mury, okradam sady. W tej koszuli chodzę na mszę, na spotkania bractwa; ludzie na ogół odsuwają się ode mnie. Jeśli mama dostaje kupon na nową koszulę w Stowarzyszeniu Świętego Wincentego, stara awansuje na ręcznik i miesiącami wisi wilgotna na poręczy krzesła, chyba że mama wykorzysta ją na łąty do reperowania innych rzeczy. Może nawet przyciętą koszulę przez jakiś czas będzie nosił Alphie, a potem wyląduje ona na podłodze pod drzwiami, żeby z ulicy nie wpadał deszcz.

Do szkoły idziemy małymi uliczkami i zaułkami, żeby nie spotkać chłopców z szacownych rodzin, którzy chodzą do szkoły Christian Brothers, albo tych bogatych ze szkoły jezuitów Crescent College. Chłopcy od Christian Brothers noszą tweedowe marynarki, ciepłe wełniane swetry, koszule, krawaty i lśniące nowe buty. Wiemy, że dostaną pracę w administracji państwowej i będą pomagać tym, którzy rządzą światem.

Uczniowie z Crescent College noszą blezery i szaliki w barwach szkoły, okręcone wokół szyi i ramion, żeby pokazać, że do nich należy świat. Długie włosy spadają im na czoła i na oczy, więc mogą odrzucać czuprynę jak Anglicy. Wiemy, że to oni pójdą na uniwersytety, przejmą rodzinne firmy, wejdą do rządu, będą rządzić światem. My będziemy posłańcami na

rowerach rozwożącymi artykuły spożywcze albo pojedziemy do Anglii pracować na angielskich budowach. Nasze siostry będą się zajmowały ich dziećmi, będą im szorowały podłogi, chyba że też wyjadą do Anglii. Wiemy to. Wstydzimy się naszego wyglądu. Jeśli chłopcy z bogatych szkół robią na ten temat jakieś uwagi, wdajemy się w bójki, które kończą się zakrwawionymi nosami czy poszarpanymi ubraniami. Nasi nauczyciele nie okażą wyrozumiałości ani dla nas, ani dla naszych walk, bo ich synowie też chodzą do bogatych szkół. „Nie macie prawa podnosić ręki na lepszych od siebie, absolutnie nie!”.

Nigdy nie wiadomo, czy po powrocie do domu nie zastaniemy mamy siedzącej przy kominku z nieznaną kobietą z dzieckiem. Zawsze jest to kobieta z dzieckiem. Mama spotyka je na ulicach, a jeśli zapytają, czy nie może im dać kilku pensów, serce jej pęka. Ponieważ nie ma pieniędzy, zaprasza je do domu na herbatę, kawałek podsmażonego chleba. Jeśli jest bardzo zimno, pozwala im spać przy ogniu w kącie na kupie szmat. Chleb, który im daje, uszczupla nasze porcje, a gdy się poskarżymy, mama odpowiada, że są ludzie w jeszcze gorszej sytuacji, więc chyba możemy się podzielić tym, co mamy.

Michael jest nie lepszy. Przyprawia do domu bezpańskie psy i staruszków. Nigdy nie wiadomo, czy w łóżku obok niego nie będzie leżał pies, cały poraniony, bez uszu, bez ogona. Znalazł kiedyś w parku ślepego greyhonda, którego dręczyły dzieci. Michael siłą rozpędził dzieciaki, zabrał greyhonda, który był większy od niego, i powiedział mamie, że pies powinien zjeść kolację.

– Jaką kolację? – pyta mama. – Dobrze, jak będzie w domu kromka chleba. – Na co Michael wyjaśnia, że może zjeść jego porcję. Mama zapowiada, że następnego dnia pies ma być wyrzucony, więc Michael płacze przez całą noc, a rano rozpacza, bo okazuje się, że pies zdechł. Nie chce iść do szkoły, musi wykopać grób tam, gdzie kiedyś była stajnia; domaga się, żebyśmy pomogli mu kopać i odmówili różaniec. Malachy twierdzi, że nie ma sensu modlić się za psa, bo przecież nawet nie wiemy, czy był katolikiem.

– Oczywiście, że to był katolicki pies – protestuje Michael. – Czyż nie trzymałem go w objęciach?

Tak rozpaczliwie oplakuje psa, że mama pozwala nam wszystkim nie iść do szkoły. Jesteśmy zachwyceni, bez oporu pomagamy Michaelowi w kopaniu grobu i odmawiamy trzy zdrowaśki. Nie mamy zamiaru marnować tego wspaniałego dnia na odmawianie różańca za zdechłego greyhonda. Michael ma dopiero sześć lat, ale kiedy sprowadza do domu starców, potrafi sam rozpalić ogień i dać im herbaty. Mama twierdzi, że dostaje szału, kiedy po powrocie do domu widzi staruszków, którzy piją herbatę z jej ulubionego kubka, mamroczą i drapią się. Skarży się Bridey Hannon, że Michael nabrał zwyczaju sprowadzania do domu różnych, lekko nienormalnych starców, a jeśli nie ma akurat ani kawałka chleba, puka do sąsiadów i nie wstydzi się dla nich żebrać. W końcu zapowiada Michaelowi, że nie wolno mu więcej sprowadzać starych mężczyzn. Jeden z nich przyniósł wszy, które nas dręczą.

Wszy są obrzydliwe, nawet gorsze od szczurów. Wchodzą we włosy i uszy, siadają we wgłębieniach obojczyka. Wgryzają się w skórę. Sadowią się w szwach ubrania, pełno ich w paltach, których używamy zamiast koców. Musimy przeszukiwać każdy cal ciała Alphiego, ponieważ on sam, jako niemowlę, jest zupełnie bezradny.

Wszy są gorsze od pcheł. Pełzają i wysysają, przez skórę widać w nich naszą krew. Pchły skaczą i gryzą, są czyste, wolimy je zdecydowanie. To, co skacze, jest czystsze od tego, co pełza.

Wszyscy się zgadzamy, że dosyć już zabłąkanych kobiet z dziećmi, psów i starców. Nie chcemy już żadnej zarazy ani infekcji.

Michael płacze.

Sąsiadka babci, pani Purcell, ma jedyne radio na całej uliczce. Dostała je od rządu, ponieważ jest stara i ślepa. Chcą mieć radio. Moja babcia jest stara, ale nie jest ślepa, na co komu babcia, która nie ślepie i nie dostaje radia od rządu?

W niedzielne wieczory siadają na chodniku pod oknem pani Purcell i słucham sztuk z rozgłośni BBC albo stacji irlandzkiej Radio Eireann. Można posłuchać sztuk O'Caseya, Shawa, Ibsena i samego Szekspira, który jest najlepszy ze wszystkich, chociaż to Anglik. Szekspir przypomina tłuczone kartofle, nigdy nie ma się go dosyć. Można też posłuchać dziwnych sztuk o Grekach, którzy wydłubowali sobie oczy, bo przez pomyłkę poženili się z własnymi matkami.

Pewnego wieczoru siedzę pod oknem pani Purcell i słucham *Makbeta*. Przez drzwi wychyla głową jej córka Kathleen:

– Wejź do środka, Frankie. Mama mówi, że nabawisz się suchot, siedząc na ziemi w taką pogodę.

– Ach nie, Kathleen. To nie szkodzi.

– Chodź!

Dostaję herbatę i wielką pajdę chleba posmarowanego dżemem z jeżyn.

– Frankie, lubisz Szekspira? – pyta pani Purcell.

– Uwielbiam.

– Och, Frankie, on jest jak muzyka i opowiada najwspanialsze historie na świecie. Nie wiem, co bym z sobą zrobiła w niedzielę wieczorem, gdybym nie miała Szekspira.

Kiedy sztuka się kończy, wolno mi pokręcić gałką radia. Jeżdżę po skali w poszukiwaniu dźwięków krótkich fal, dziwnych szeptów i syków, szumu przyplływających i odpływających fal oceanu i tik tik tak kodu Morse'a. Słyszę mandoliny, gitary, hiszpańskie dudy, afrykańskie bębny, zawodzenia wioślarzy na Nilu. Widzę marynarzy na wachcie, popijających z kubka gorące kakao. Przesuwają się przed moimi oczami katedry, drapacze chmur, domki. Dostrzegam Beduinów na Saharze i francuską Legię Cudzoziemską, a także kowbojów na amerykańskiej prerii. Zauważam kozy na skalistych wybrzeżach Grecji, gdzie pasterze są ślepi, bo przez pomyłkę poślubili swoje matki. Widzę ludzi rozmawiających w kawiarniach, popijających wino, spacerujących po bulwarach i alejach i kobiety nocy stojące na progach domów. Słyszę mnichów śpiewających nieszpory, uderzenie Big Bena. „Tu rozgłośnia zamorska Radia BBC, nadajemy wiadomości”.

– Frankie, zostaw to, dowiemy się, w jakim stanie jest świat – mówi pani Purcell.

Po wiadomościach zaczyna się audycja rozgłośni amerykańskich sił zbrojnych; cudownie jest słuchać amerykańskich głosów, rozluźnionych i spokojnych, a potem muzyki, rety! muzyki samego Duke'a Ellingtona, który zachęca, żebym wsiadł do metra linii A i pojechał tam, gdzie Billie Holiday śpiewa tylko dla mnie:

*Mogą ci ofiarować jedynie miłość, skarbie,
Bo tylko to mam w nadmiarze.*

Och, Billie, Billie. Chcę być w Ameryce z tobą i tą całą muzyką, w Ameryce, gdzie nikt nie ma popsutych zębów, gdzie ludzie zostawiają jedzenie na talerzach, każda rodzina ma ubikację i wszyscy żyją długo i szczęśliwie.

– Wiesz co, Frankie? – odzywa się pani Purcell.

– Co, pani Purcell?

– Ten Szekspir jest taki dobry, że musiał być Irlandczykiem.

Poborca komornego traci cierpliwość.

– Zalega pani już za cztery tygodnie – mówi mamie. – W sumie jeden funt i cztery szylingi. To się musi skończyć, bo w przeciwnym razie wracam do biura i składam raport

panu Vincentowi Nashowi, że McCourtowie nie płacą od miesiąca. I co wtedy, proszę pani? Wyląduję na gołym tyłku bez pracy, a mam na utrzymaniu dziewięćdziesięciodwuletnią matkę, która codziennie przystępuje do komunii w kościele Franciszkanów. Poborca zbiera komorne, proszę pani, albo traci robotę. Przyjdę w przyszłym tygodniu, a jak pani nie będzie miała pieniędzy, w sumie jeden funt osiem szylingów i sześć pensów, wyleci pani na bruk, a z nieba będzie się lało na meble.

Mama wraca na górę do Włoch i zastanawia się, skąd wziąć pieniądze na tygodniowe komorne, nie mówiąc już o zaległym. Chętnie napiłaby się herbaty, ale nie ma jak zagotować wody, dopóki Malachy nie wyciągnie obluzowanej deski ze ściany dzielącej dwa pokoje na górze.

– Skoro to już wypadło, możemy równie dobrze porąbać na ogień – zauważa mama. – Zagotujemy wodę, a reszty drewna użyjemy jutro rano na herbatę. Ale co zrobimy wieczorem i jutro, i pojutrze?

Potem mówi, żeby wziąć jeszcze jedną deskę ze ściany, jeszcze jedną i jeszcze jedną. Powtarza tak przez dwa tygodnie, aż zostaje tylko rama z belek. Mama ostrzega, żeby belek nie ruszać, bo na nich trzyma się sufit i cały dom.

– Och, nigdy nie odważymy się ruszyć belek.

Mama idzie do babci, a w domu jest tak zimno, że atakuję siekierą jedną z belek. Malachy głośno wyraża aprobatę, a Michael klaszcze w ręce z podniecenia. Ciągnę belkę, sufit trzeszczy i na łóżko mamy wali się lawina wapna, dachówek, wody deszczowej.

– Boże, wszystkich nas pozabija! – ostrzega Malachy, a Michael tańczy dokoła, podśpiewując: „Frankie rozwalił dom, Frankie rozwalił dom”.

Biegniemy po deszczu, żeby podzielić się tą nowiną z mamą. Ze zdziwieniem słucha przyspiewek Michaela, że Frankie rozwalił dom, dopóki nie wyjaśniam jej, że w domu jest dziura i cały się wali. Z okrzykiem „Jezus Maria!” rzuca się pędem, a babcia stara się dotrzymać jej kroku.

Na widok łóżka zawalonego gruzem i dachówkami mama ciągnie się za włosy i wykrzykuje:

– Co my teraz zrobimy, co my zrobimy?!

A potem wrzeszczy na mnie, że ruszałem belki.

– Pójdę do biura właściciela i powiem, żeby to zreperowali, zanim się potopicie – mówi babcia.

Niemal w mgnieniu oka wraca z poborcą komornego.

– Wielkie nieba, a gdzie drugi pokój?! – krzyczy poborca.

– Jaki pokój? – pyta babcia.

– Wynająłem wam dwa pokoje na górze, a teraz jeden zniknął. Gdzie on jest?

– Jaki pokój? – dziwi się mama.

– Tu, na górze, były dwa pokoje, a teraz jest jeden. Co się stało ze ścianą? Tu była ściana. A teraz nie ma. Doskonale pamiętam tę ścianę, bo bardzo dobrze pamiętam drugi pokój. Więc gdzie jest ta ściana? Gdzie pokój?

– Ja nie pamiętam żadnej ściany – oświadcza babcia. – A skoro nie pamiętam ściany, to jak mam pamiętać pokój?

– Nie pamięta pani? Ale ja pamiętam. Przez czterdzieści lat jestem agentem właściciela i nigdy nie spotkałem się z czymś podobnym. Na Boga, to naprawdę rozpaczliwa sytuacja, kiedy nie można się na chwilę odwrócić, bo lokatorzy nie tylko nie płacą komornego, ale na dodatek gubią gdzieś całe ściany i pomieszczenia. Chcę wiedzieć, gdzie się podziała ta ściana i co się stało z pokojem!

– Czy któryś z was pamięta tu jakąś ścianę? – zwraca się do nas mama.

Michael pociąga ją za rękę.

– Czy to ta ściana, którą spaliliśmy?

– Wielki Boże, a to ci dopiero, to już przekracza wszystko! – wścieka się poborca. – Komorne niepłacone i co ja mam teraz zameldować w biurze sir Vincenta Nasha? Dosyć, moja pani, wyrzucam panią! Od dziś za tydzień, jak zapukam do tych drzwi, nikogo tu nie będzie! Macie się wszyscy wynosić i nigdy nie wracać. Rozumiemy się, paniusiu?

– Szkoda, że nie żył pan w czasach, kiedy eksmitowali nas Anglicy i zostawiali na poboczu drogi – odpowiada mama z zaciętym wyrazem twarzy.

– Bez gadania, moja pani, bo przyślę ludzi, żeby jutro was wywalili.

Poborca wychodzi i nie zamyka za sobą drzwi, żeby pokazać, co o nas myśli.

– Nie mam pojęcia, co teraz zrobimy – lamentuje mama.

– No, ja nie mam dla was miejsca, ale twój kuzyn Gerard Griffin mieszka w niewielkim domu po swojej matce przy Rosbrien Road i na pewno będzie mógł was przyjąć, póki nie nastaną lepsze czasy – przekonuje babcia. – Już jest bardzo późno, ale pójdę zapytać, co on na to, a Frank może pójść ze mną.

Babcia każe mi włożyć palto, a kiedy wyjaśniam, że nie mam palta, dodaje:

– Pewnie nie ma sensu pytać, czy masz parasol. Chodź!

Wkłada szal na głowę, idę za nią po deszczu aż na Rosbrien Road oddaloną prawie o dwie mile. Babcia puka do drzwi jednego z małych domków w długim szeregu.

– Jesteś tam, Laman? Wiem, że jesteś. Otwórz drzwi!

– Dlaczego babcia nazywa go Laman? Czy nie ma na imię Gerard?

– Skąd mogę wiedzieć? Czy wiesz, dlaczego wszyscy nazywają wujka Pata Ab? A tego faceta wszyscy nazywają Laman. Otwieraj! Wejdziemy. On może pracuje po godzinach.

Babcia pcha drzwi. Jest ciemno, a w pomieszczeniu unosi się wilgotny, słodki zapach. Pokój wygląda jak kuchnia, a obok jest drugi, mniejszy. Nad sypialnią znajduje się niewielki stryżek ze świetlikiem, w który uderza deszcz. Wszędzie pełno kartonowych pudeł, gazet, czasopism, resztek jedzenia, kubków, puszek po konserwach. Całą sypialnię zajmują dwa łóżka, jedno olbrzymie, a drugie mniejsze przy oknie. Babcia szturcha wybrzuszenie na dużym łóżku.

– Laman, to ty? Wstawaj!

– Co takiego? O co chodzi?

– Kłopoty. Angelę z dziećmi eksmitują, a z nieba płyną potoki. Potrzebne im jakieś schronienie, póki nie staną na nogi, a u mnie nie ma miejsca. Mógłbyś ich przyjąć na strych, ale to nie byłoby wygodne, bo dzieciaki nie dałyby rady się tam wspiąć, jeszcze by się pozabijały. Lepiej ty się tam przenieś, a oni tu się wprowadzą.

– Dobrze, dobrze.

Wstaje z łóżka, po pokoju roznosi się zapach whisky. Idzie do kuchni, przyciąga stół pod ścianę, żeby się wdrapać na strych.

– Tak będzie dobrze. Możecie się tu przenieść jeszcze dzisiaj, nie będą was poganiać ci od eksmisji – mówi babcia.

Potem oznajmia mamie, że wraca do domu. Jest zmęczona, przemoknięta, a nie ma już dwudziestu pięciu lat. Radzi nie zabierać łóżek ani mebli, bo u Lamana Griffina jest mnóstwo rzeczy. Wsadzamy Alpiego do wózka, a wokół niego piętzymy na stosie: garnek, patelnię, czajnik, słoiki po dżemie, kubki, papieża, dwa zagłówki i palta z łóżek. Owijamy paltami głowy i pchamy wózek. Mama każe nam milczeć na naszej uliczce, by sąsiedzi się nie dowiedzieli, że nas wyeksmitowano, bo to byłby wstyd. Wózek ma jedno pokrzwione kółko, toteż kolebie się i jedzie w różne strony. Staramy się jechać prosto i doskonale się bawimy, bo jest już dobrze po północy i mama na pewno nie wypchnie nas jutro do szkoły. Wyprowadzamy się tak daleko od Leamy's School, że może już nigdy nie będziemy musieli tam wracać. Jak tylko wychodzimy z naszej uliczki, Alpie wali łyżką w garnek, a Michael śpiewa piosenkę, którą usłyszał na filmie z Alem Jolsonem. Rozśmiesza nas, bo próbuje naśladować niski głos piosenkarza.

Mama cieszy się, że jest późno i nikt na ulicach nie ogląda naszej hańby.

Kiedy dochodzimy do domu, zdejmujemy wszystko z wózka, żebyśmy mogli obaj z Malachym wrócić na Roden Lane po kufer. Mama podobno nie przeżyłaby utraty kufra i jego zawartości.

Malachy i ja śpimy na przeciwległych krańcach mniejszego łóżka. Mama zajmuje duże łóżko, obok niej śpi Alphonse, a Michael w nogach. Wszystko jest wilgotne i zatęchłe, a nad naszymi głowami chrapie Laman Griffin. W tym domu nie ma schodów, a to oznacza, że nie będzie żadnego anioła na siódmym stopniu.

Ale mam już dwanaście lat, prawie trzynaście, i może jestem za stary na anioły.

Jest jeszcze ciemno, kiedy rano dzwoni budzik i Laman Griffin prychnie, smarcze, odcharkuje flegmę. Skrzypi pod nim podłoga, a kiedy godzinami sika w nocnik, musimy pozatykać usta paltami, żeby się nie roześmiać, aż mama syczy, żebyśmy byli cicho. Nad nami stęka Laman, potem schodzi na dół, bierze rower i wychodzi, trzaskając drzwiami.

– Jesteśmy sami, możecie jeszcze spać. Dzisiaj nie pójdziecie do szkoły – szepcze mama.

Nie możemy spać. Jesteśmy w nowym domu, chcemy się wysikać i zbadać teren. Ubikacja jest na zewnątrz, jakieś dziesięć kroków od tylnego wejścia, nasza własna ubikacja, z drzwiami, które można zamknąć, można tam wygodnie usiąść i czytać kwadraty „Limerick Leader”, uszykowane przez Lamana Griffina do podcierania. Za domem ciągnie się długi ogródek, zarośnięty wysoką trawą i zielskiem, stoi tam stary rower, który musiał należeć do olbrzyma; wala się mnóstwo pustych puszek, gnijące stare gazety i pisma, zardzewiała maszyna do szycia, zdechły kot ze sznurem na szyi, którego ktoś pewnie wrzucił przez płot.

Michaelowi się zdaje, że to Afryka, i bez przerwy pyta, gdzie jest Tarzan. Biega bez spodni tam i z powrotem, usiłując naśladować Tarzana, jodłując między jednym drzewem a drugim. Malachy patrzy przez płot na inne podwórka.

– Oni mają ogródki – zauważa. – Coś uprawiają. My też możemy. Możemy mieć swoje pyry i wszystko.

– Poszukajcie czegoś na podpałkę! – woła mama przez drzwi.

Do tylnej ściany domu przylega drewniana komórka. Rozpada się, więc na pewno możemy ją częściowo wykorzystać do palenia. Mama z obrzydzeniem patrzy na przyniesione przez nas drewno. Jest zgniłe i pełno w nim białych robaków, ale żebracy nie mogą wybierać. Drewno syczy na płonącym papierze, obserwujemy, jak białe robaki próbują ucieczki. Michaelowi ich żal, ale wiadomo przecież, że on zawsze wszystkiego żałuje.

Mama opowiada, że w tym domu był kiedyś sklep, matka Lamana Griffina sprzedawała artykuły spożywcze przez małe okienko i dzięki temu mogła wysłać Lamana do Rockwell College, skąd dostał się do królewskiej marynarki. Naprawdę był oficerem w królewskiej marynarce. Tu jest jego zdjęcie razem z innymi oficerami przy kolacji ze sławną amerykańską gwiazdą filmową Jean Harlow. Po spotkaniu z Jean Harlow już nigdy nie był tym samym człowiekiem. Oszalał z miłości do niej, ale jaki to miało sens? Jaka przepaść pomiędzy Jean Harlow a podrzędnym oficerem królewskiej marynarki! Laman ze zgryzoty zaczął pić, aż wyrzucili go z królewskiej marynarki.

A teraz, proszę, pracuje jako niewykwalifikowany robotnik w elektrowni, dom wygląda jak nieszczęście. Trudno się domyślić, że tu w ogóle ktoś mieszka. Od razu widać, że Laman niczego nie ruszył od śmierci matki, będziemy musieli trochę posprzątać, żeby w ogóle móc tu mieszkać.

W pudłach stoją butelki fioletowego oleju na włosy. Kiedy mama idzie do ubikacji, otwieramy jedną i smarujemy sobie głowy. Malachy twierdzi, że olej wspaniale pachnie, ale mama po powrocie dziwi się, co tak śmierdzi, i pyta, dlaczego mamy takie tłuste włosy. Każe nam wsadzić głowy pod kran na zewnątrz, wytrzeć je starym ręcznikiem wyciągniętym spod sterty pism pod tytułem „The Illustrated London News”. Pisma są tak stare, że można w nich

zobaczyć zdjęcia królowej Wiktorii i księcia Edwarda; poza tym znajdujemy sztabki mydła Pear i grubą księgę pod tytułem *Pear's Encyclopedia*, nad którą spędzam noce i dni, bo można w niej wyczytać wszystko o wszystkim, co chciałoby się wiedzieć.

Stoją butelki balsamu Sloana, które zdaniem mamy przydadzą się, kiedy dostaniemy skurczów i bólów od wilgoci. Na butelkach napis: „Jest już ból, a gdzie Sloan?”; piętrzą się pudła z agrałkami i torby damskich kapeluszy, które rozpadają się w rękach; poniewierają się torby gorsetów, pasów, podwiązek, damskich butów zapinanych wysoko na guziczki, różne środki przeczyszczające, które obiecują błyszczące policzki, promienne oczy i kręcone włosy. Są listy od generała Eoina O'Duffy'ego do szanownego Gerarda Griffina; generał wita go w szeregach Frontu Narodowego, Irlandzkich Niebieskich Koszul. To wielki zaszczyt, że ruchem interesuje się taki człowiek jak Gerard Griffin, tak wspaniale wykształcony, po stażu w królewskiej marynarce, cieszący się reputacją doskonałego rugbisty w drużynie Young Munster, która zdobyła mistrzowski Puchar Batemana. Generał O'Duffy tworzy Irlandzką Brygadę, która niedługo odpłynie do Hiszpanii walczyć u boku wielkiego katolickiego generalissimusa, samego generała Franco, a pan Griffin będzie cennym nabytkiem dla owej brygady.

Podobno matka nie pozwoliła Lamanowi jechać do Hiszpanii. Pracowała w tym maleńkim sklepie przez tyle lat jak niewolnica, żeby go wysłać do college'u, wcale nie po to, żeby teraz jechał sobie do Hiszpanii walczyć dla generała Franco. Laman został w Irlandii, dostał pracę w elektrowni, gdzie wykopuje przy drogach doły na słupy elektryczne. Matka była szczęśliwa, że ma go w domu co wieczór prócz piątku, kiedy wypijał kufelek i jęczał, wspominając Jean Harlow.

Mama się cieszy, że będziemy mieli całe tony papieru do rozpalania ognia, bo drewno z rozpadającej się komórki zostawia okropny zapach i te białe robaki mimo wszystko mogą zacząć się rozmnażać.

Pracujemy cały dzień, wynosząc pudła i torby do komórki na zewnątrz. Mama otwiera wszystkie okna, żeby przewietrzyć dom, wypuścić smród oleju do włosów i całych lat zaduchu. Co to za ulga znowu zobaczyć podłogę! Możemy teraz usiąść i spokojnie wypić herbatę w przyjemnych i wygodnych warunkach, a gdy się zrobi ciepło i będziemy mieli ogród, wypijemy herbatę przed domem, tak jak Anglicy.

Laman Griffin wraca o szóstej wieczorem codziennie prócz piątku, je kolację i zaraz kładzie się do łóżka. W soboty idzie już o pierwszej po południu i nie wstaje do poniedziałku rano. Przysuwa stół kuchenny do ściany pod stryszką, wdrapuje się na stół, umieszcza na nim krzesło, wchodzi na nie, łapie ręką za nogę od łóżka i wciąga się na górę. Jeśli w piątek wieczorem jest zbyt pijany, mnie każe się wspinać po poduszkę i koce i wtedy śpi w kuchni na podłodze albo zwała się na nasze łóżko; przez całą noc chrapie i pierdzi.

Zaraz po naszym przybyciu narzekał, że musiał z pokoju na dole przenieść się na strych i że jest zupełnie wyczerpany wdrapywaniem się na górę i schodzeniem do ubikacji za domem. Krzyczy z góry:

– Podstawcie stół i krzesło. Schodzę!

Musimy natychmiast opróżnić stół i przystawić do ściany.

On już ma dosyć, jest wykończony tą wspinaczką, będzie używał ślicznego nocnika swojej matki. Cały dzień leży w łóżku, czyta książki z biblioteki, pali papierosy Gold Flake, zrzuca mamie kilka szylingów, żeby posłała kogoś z nas do sklepu po ciastka albo ładny kawałek szynki i krojone pomidory dla niego na kolację. Potem woła do mamy:

– Angela, nocnik jest pełny!

Mama wciąga krzesło na stół, żeby się wdrapać po nocnik, opróżnia go w ubikacji na zewnątrz, płucze i z powrotem wdrapuje się na stryszek. Ma wtedy zaciętą twarz, gdy pyta:

– Czy wasza lordowska mość życzy sobie jeszcze czegoś?

On odpowiada ze śmiechem:

– To zajęcie dla kobiet, Angelo, zwłaszcza za bezpłatne mieszkanie.

Laman rzuca ze stryszku kartę biblioteczną i każe sobie przynieść dwie książki: o rybołówstwie i o ogrodnictwie. Pisze kartkę do bibliotekarki, że nogi mu wysiadają po tym kopaniu dołów dla Zarządu Elektryfikacji i od tej pory Frank McCourt będzie mu przynosił książki. Wie, że nie ma jeszcze czternastu lat, a przepisy zabraniają dzieciom wchodzić do biblioteki dla dorosłych, ale chłopak będzie mył ręce, będzie grzeczny i zrobi, co mu się powie. Dziękuję bardzo.

Bibliotekarka czyta kartkę i ubolewa:

– Taka szkoda pana Griffina, to prawdziwy dżentelmen i człowiek wielkiej wiedzy, nawet sobie nie wyobrażasz, jakie książki czyta, czasami i cztery na tydzień, a jednego dnia pożyczył nawet książkę po francusku. Po francusku, rozumiesz? Historię steru. Steru, rozumiesz? Dałabym nie wiadomo co, żeby zajrzeć do jego mózgu, bo musi mieć głowę wypakowaną różnymi wiadomościami. Wypakowaną, rozumiesz? – Podaje mi cudowną książkę z kolorowanymi obrazkami o angielskich ogrodach. – Wiem, co on lubi z zakresu rybołówstwa – mówi i wybiera książkę pod tytułem *W poszukiwaniu irlandzkiego łososia*, napisaną przez brygadiera Hugh Coltona.

– Och, pan Griffin czyta setki książek o angielskich oficerach łowiących ryby w Irlandii. Z czystej ciekawości sama przeczytałam kilka, łatwo zrozumieć, dlaczego ci oficerowie tak chętnie przebywają w Irlandii po tym wszystkim, co musieli przejść w Indiach, w Afryce i w innych rozpaczliwych miejscach. Tutaj przynajmniej ludzie są grzeczni. Jesteśmy znani z grzeczności, nie biegamy w kółko, rzucając w ludzi dzidami.

Laman leży w łóżku, czyta te swoje książki, opowiada, jak to pewnego dnia stan jego nóg się poprawi i wtedy urządzi za domem ogród, który będzie sławny w całej okolicy z powodu piękna i kolorów. A kiedy nie będzie się zajmował ogrodem, spenetruje rzeki wokół Limerick i przyniesie do domu łososia, na którego widok wszystkim poleci ślinka. Matka zostawiła przepis, który jest rodzinną tajemnicą; gdyby miał czas i gdyby tak nie dokuczały mu nogi, toby ten przepis gdzieś tu, w domu, znalazł. Jeśli jestem chłopcem odpowiedzialnym, mogę co tydzień wziąć książkę dla siebie: tylko mam nie przynosić do domu żadnych brudów. Próbuję się dowiedzieć, co to są brudy, ale on odmawia wyjaśnień, więc będę musiał sam do tego dojść.

Mama twierdzi, że też chciałaby się zapisać do biblioteki, ale to za długa droga z domu Lamana, dwie mile, więc może ja przynosiłbym jej książkę raz w tygodniu. Jakiś romans napisany przez Charlotte M. Brame albo innego przyjemnego pisarza. Nie chce żadnych książek o angielskich oficerach szukających łososi ani o ludziach, którzy do siebie strzelają. Na świecie dosyć jest kłopotów, żeby jeszcze czytać o dokuczaniu rybom albo sobie nawzajem.

Babcia zaziębiła się tego wieczoru, kiedy mieliśmy kłopoty z domem na Roden Lane, a z tego zaziębienia zrobiło się zapalenie płuc. Przewieziono ją do szpitala City Home. A teraz już nie żyje.

Jej najstarszy syn, mój wujek Tom, myślał, że pojedzie pracować do Anglii jak inni mężczyźni z uliczek i zaułków Limerick, ale jego suchoty się pogorszyły i też już nie żyje.

Jane, jego żona z Galway, poszła za nim i czwórkę z ich szóstki dzieci trzeba było umieścić w sierocińcu. Najstarszy chłopak, Gerry, uciekł i zaciągnął się do irlandzkiej armii, potem zdezerterował i pojechał do armii angielskiej. Najstarsza córka Peggy poszła do cioci Aggie i żyje w okropnych warunkach.

Armia irlandzka poszukuje muzycznych chłopców, którzy chcieliby się uczyć w wojskowej szkole muzycznej. Przyjęli mojego brata Malachy'ego, więc jedźcie do Dublina, żeby zostać żołnierzem i grać na trąbce.

Teraz mam w domu tylko dwóch braci, a mama twierdzi, że rodzina niknie jej po prostu w oczach.

XIII

Chłopaki z mojej klasy w Leamy's School wybierają się w sobotę i niedzielę na wycieczką rowerową do Killaloe. Namawiają mnie, żebym pożyczył rower i pojechał z nimi. Potrzebuję tylko koca, kilku łyżeczek herbaty, cukru i paru kromek chleba, żeby przetrwać. Nauczę się jeździć na rowerze Lamana Griffina, kiedy Laman położy się do łóżka. Na pewno pożyczy mi rower na dwa dni w Killaloe.

Najlepiej prosić go o cokolwiek w piątek wieczorem, bo wtedy jest w dobrym humorze po wypiciu i po kolacji. W kieszeniach palta zawsze przynosi to samo: wielki stek kapiący krwią, cztery kartofle, cebulę i butelkę ciemnego piwa. Mama gotuje kartofle i smaży stek z pokrojoną cebulą. On nie zdejmuje palta, siada przy stole i zjada mięso rękami. Tłuszcz i krew ciekną mu po brodzie, aż na palto, w które wyciera palce. Wypija piwo i mówi ze śmiechem, że nie ma nic lepszego niż wielki, krwisty stek w piątkowy wieczór i jeśli to jest największy z jego grzechów, to uniesie się do nieba z ciałem i duszą, cha cha cha!

– Oczywiście, że możesz wziąć mój rower – zezwała. – Chłopcy powinni wyjeżdżać z miasta na wieś. Oczywiście. Ale musisz na to zapracować. Nie możesz dostawać czegoś za nic, prawda?

– Tak.

– Więc nie masz nic przeciwko temu, żeby trochę popracować, co?

– Nie mam.

– I chciałbyś pomóc swojej mamie?

– Chciałbym.

– No więc nocnik jest pełen od samego rana. Wejdz na górę, zanieś nocnik do ubikacji, wylej, wypłucz pod kranem i zanieś z powrotem na górę.

Nie chcę wylewać jego nocnika, ale marzę o jeździe rowerem do Killaloe, o polach i niebie z dala od domu, o pływaniu w rzece Shannon, o noclegu w stodole. Przyciągam stół i krzesło do ściany. Wdrapuję się na górę. Pod łóżkiem stoi biały nocnik w brązowe i żółte paski, po brzegi wypełniony siuškami i gównem. Stawiam go ostrożnie na brzegu stryszku, żeby się nie wylał, schodzę na krzesło, sięgam po nocnik, zdejmuję go, odwracam głowę, złażę z krzesła na stół, stawiam nocnik na krześle, zeskakuję na podłogę, wynoszę nocnik do ubikacji, wylewam. Wymiotuję na tyłach ubikacji, dopóki nie przywyknę do tego zajęcia.

Laman mówi, że jestem grzecznym chłopcem i mogę wziąć rower pod warunkiem, że nocnik będzie opróżniany, a ja będę gotów pobiec do sklepu po papierosy, przynieść książki z biblioteki czy spełnić inne jego polecenia.

– Doskonale sobie radzisz z nocnikiem – chwali. Zaśmiewa się, a mama patrzy w zimny popiół na palenisku.

Jednego dnia pada tak bardzo, że bibliotekarka pani O'Riordan zatrzymuje mnie.

– Nie wychodź w taką pogodę, bo zupełnie zniszczysz książki. Usiądź tutaj i spokojnie siedź. Możesz sobie tymczasem poczytać o świętych.

Żywoty świętych Butlera to cztery wielkie księgi. Nie chcę spędzić życia na czytaniu o świętych, ale kiedy zaczynam czytać, chciałbym, żeby deszcz nigdy nie przestał. Ile razy ogląda się obrazy świętych, mężczyzn czy kobiet, zawsze wpatrzeni są w niebo, gdzie na chmurkach pełno małych, tłustych aniołków albo trzymających kwiaty, albo wielbiących Boga na harfie. Wujek Pa Keating twierdzi, że nie przychodzi mu na myśl ani jeden święty w niebiosach, z którym chciałby usiąść do kufelka. Święci w tych książkach są zupełnie inni.

Opisywane historie o dziewicach, o męczennikach, o dziewicach męczennicach znacznie bardziej przerażają niż jakikolwiek film grozy w kinie Lyric.

Muszę zajrzeć do słownika, żeby się dowiedzieć, co to jest dziewica. Wiem, że Matka Boska to Dziewica Maryja, a nazywają ją tak, bo nie miała prawdziwego męża, tylko biednego świętego Józefa. W *Żywotach świętych* dziewice zawsze popadają w kłopoty, ale nie wian dlaczego. W słowniku czytam: „Dziewica, kobieta (zazwyczaj młoda) pozostająca w stanie nienaruszonej czystości”.

Teraz muszę sprawdzić, co znaczy „nienaruszona” i „czystość”, ale jedyne wyjaśnienie brzmi, że nienaruszona to nie ruszona, a czystość oznacza brak nielegalnego stosunku seksualnego. Teraz muszę sprawdzić „stosunek”, a potem kolejno „wprowadzenie” i „organ kopulacyjny” każdego samca. Kopulacyjny prowadzi do kopulacji, związku płci w sztuce tworzenia pokoleń. Zupełnie nie wiem, co to znaczy, mam już dosyć przerzucania się od jednego słowa do drugiego w tym grubym słowniku, tym bardziej że i tak do niczego to nie prowadzi. Najwyraźniej autorzy tego słownika nie chcieli, żeby tacy jak ja dowiedzieli się czegokolwiek.

Mnie interesuje jedynie to, skąd się wziąłem, ale jeśli kogoś zapytam, każe mi zapytać kogoś innego albo będzie odsyłał od słowa do słowa.

Wszystkim tym dziewicom męczennicom rzymscy sędziowie nakazują porzucić wiarę i przyjąć rzymskich bogów, ale one odmawiają, więc sędziowie skazują je na tortury i śmierć. Moją ulubienicą jest święta Krystyna Nieposkromiona, której umieranie zajęło wieki. Sędzia kazał obciąć jej pierś, a kiedy to zrobili, rzuciła w niego tą pierś, od czego ogłuchł, zaniemówił i oślepl. Sprowadzono nowego sędziego, kazał obciąć jej drugą pierś i znowu powtórzyło się to samo. Próbowali zabić ją strzałami z łuku, ale strzały odbijały się od niej i zabijały żołnierzy, którzy je wypuścili. Próbowali ugotować ją w oleju, ale ona tylko kołysała się w kadzi i zapadła w spokojną drzemkę. Sędziowie mieli w końcu tego dosyć, kazali jej obciąć głowę i dopiero to pomogło. Dzień świętej Krystyny Nieposkromionej przypada dwudziestego czwartego lipca i myślę, że zachowam to święto dla siebie, podobnie jak dzień świętego Franciszka z Asyżu czwartego października.

– Musisz iść do domu, przestało padać – mówi bibliotekarka, a kiedy otwieram drzwi, woła mnie z powrotem. Chce napisać kartkę do mojej mamy i pozwala mi ją przeczytać.

Szanowna Pani McCourt, kiedy już się wydaje, że Irlandia całkiem schodzi na psy, spotyka się chłopca, który siedzi w bibliotece tak zaczytany w *Żywotach świętych*, że nawet nie widzi, kiedy deszcz przestał padać, i trzeba go niemal siłą odrywać od rzeczonych *Żywotów*. Myślę, Pani McCourt, że ma Pani w domu przyszłego księdza. Zapalę świeczkę, żeby to się okazało prawdą. Z wyrazami poważania, Catherine O’Riordan, asystent bibliotekarza.

Skoczek O’Halloran jest jedynym nauczycielem w Leamy’s School, który kiedykolwiek siada. Albo dlatego, że jest dyrektorem, albo dlatego, że musi odpocząć po tym dziwacznym chodzeniu z powodu krótszej nogi. Inni nauczyciele chodzą w tę i z powrotem przy tablicy albo w przejściu między ławkami i nigdy nie wiadomo, kiedy dostanie się laską lub pasem za złą odpowiedź czy paskudny charakter pisma. Jeśli Skoczek chce komuś coś zrobić, wywołuje na środek sali i wymierza karę na oczach trzech klas.

Zdarzają się dobre dni, kiedy siedzi przy swoim biurku i opowiada o Ameryce.

– Drodzy chłopcy, Amerykanie mają wszystkie strefy klimatyczne, od zamrzniętych nieużytków Dakoty Północnej do pachnących gajów pomarańczowych Florydy. – A mówiąc o amerykańskiej historii, kończy: – Jeśli amerykański farmer, uzbrojony w zamek skałkowy i muszkiet, potrafił wydrzeć Anglikom cały kontynent, to z pewnością my, odwieczni wojownicy, możemy odzyskać naszą wyspę.

Jeśli nie chcemy, żeby dręczył nas algebra albo gramatyką irlandzką, wystarczy zadać jakieś pytanie na temat Ameryki; wprawia go to w takie podniecenie, że gotów mówić przez cały dzień.

Siedzi przy biurku i wymienia nazwy uwielbianych plemion i wodzów:

– Arapahowie, Czejenowie, Czipewejowie, Siuksowie, Apacze, Irokezi. Czysta poezja, moi drodzy, czysta poezja. A posłuchajcie tylko, jak nazywali się wodzowie: Kopiący Niedźwiedź, Deszcz w Oczy, Siedzący Byk, Szalony Koń i geniusz Gerónimo.

W siódmej klasie daje nam niewielką książkę, wiersz, który ciągnie się przez niezliczone strony, *Opuszczona wieś* Olivera Goldsmitha. Mówi, że pozornie to poemat o Anglii, ale w istocie lament nad rodzinnym krajem poety, naszym krajem rodzinnym, Irlandią. Mamy się nauczyć tego poematu na pamięć – co wieczór dwadzieścia linijek – i wygłaszać je co rano. Wywołuje na środek klasy sześciu chłopców do recytacji; jeśli ktoś opuści jedną linijkę, dostaje po dwa klapsy w każdą dłoń. Każe nam schować książki w ławkach, po czym cała klasa deklamuje fragment o wiejskim nauczycielu.

*Wzdłuż drogi bujny żywopłot ujrzycie,
Gdzie kwitną bez pożytku janowce wesole.
Tam w gwarnym dworze wiejski nauczyciel
Nawykły do rządzenia, prowadził swą szkołę.
Był surowy i srogo wywierał wrażenie.
Znałem go dobrze, świetnie znali lenie,
Drżeli przed nim, śledzili wyraz jego twarzy.
Który w niej swoją klęską dzisiaj zauważy.
Z udaną wesołością wielu z nich się śmiało
Ze wszystkich jego żartów, a znalazł ich niemało.
Pilne też szeptki krążyły wokoło,
Niosąc wieść ponurą, że pan zmarszczył czoło.*

Zamyka oczy i uśmiecha się, kiedy dochodzimy do końcowych wierszy tego ustępu.

*A jednak skrywał dobroć za surową miną.
Miłość do wiedzy była srogości przyczyną.
Cała wieś bowiem była zaświadczyć gotowa,
Jak wiele umiał: pisać i rachować,
Umiał grunta obmierzyć, przyplływ przepowiedzieć,
A nawet, powiadali, gwiazdy mógł wysledzić.
J w sporach pastor bywał nieugięty,
Bo, chociaż pokonany, wciąż miał argumenty.
Uczone, długie słowa i jego glos grzmiący
Zadziwiały wieśniaków dokoła stojących.
Gapili się w podziw, zdumieni, bez słowa,
Że tyle może zmieścić jedna mała głowa¹.*

Wiemy, że lubi te wiersze, ponieważ są o nauczycielu, o nim, i ma rację, bo często zastanawiamy się, jak w jednej małej głowie może się pomieścić cała ta wiedza. Wiersze Goldsmitha zawsze będą nam o nim przypominać.

¹ obydwie fragmenty poematu przełożyła Ludmiła Marjańska

– Oj, chłopcy, możecie sami podejmować decyzje, ale najpierw musicie naładować swoje umysły. Słuchacie mnie? Naładujcie umysły, a będziecie mogli błyszczeć na całym świecie. Ciarke, zdefiniuj słowo „błyszczeć”.

– Myślę, że to znaczy świecić, proszę pana.

– Zwięźle, ale adekwatnie. McCourt, zbuduj zdanie ze słowem „zwięźle”.

– Ciarke jest zwięźły, ale adekwatny.

– Zręcznie, McCourt. Masz odpowiedni umysł do kapłaństwa albo do polityki. Pomyśl o tym.

– Tak, proszę pana.

– Nigdy nie pójde do pana O’Hallorana – zarzeka się mama. – Nie mam przyzwoitej sukni ani porządnego palta. Dlaczego chce się ze mną widzieć?

– Nie wiem.

– To go zapytaj.

– Nie mogę. Zabije mnie. Jeśli każe przyprowadzić matkę, to trzeba ją przyprowadzić, bo inaczej kij będzie w robocie.

Mama idzie się z nim zobaczyć, a on rozmawia z nią w korytarzu. Przekonuje, że jej syn Frank powinien dalej chodzić do szkoły. Nie może wpaść w pułapkę, zostać chłopcem na posyłki. To do niczego nie prowadzi.

– Proszę z nim pójść do Christian Brothers, powiedzieć, że ja panią przysłałem, że to zdolny chłopiec i powinien chodzić do średniej szkoły, a potem na uniwersytet.

Tłumaczy mamie, że nie został dyrektorem Leamy’s National School po to, żeby prowadzić akademię dla posłańców.

– Dziękuję, panie O’Halloran – mówi mama.

Chciałbym, żeby pan O’Halloran pilnował swoich interesów.

Nie mam najmniejszej ochoty chodzić do Christian Brothers. Chcę na zawsze skończyć ze szkołą i dostać pracę, brać wypłatę co piątek, w sobotę wieczorem chodzić do kina jak wszyscy.

Po kilku dniach mama poleca, bym porządnie umył twarz i ręce, bo idziemy do Christian Brothers. Odpowiadam, że nie chcę tam iść, chcę pracować, chcę być mężczyzną. Mama każe mi przestać jójczyć, pójde do średniej szkoły i jakoś sobie poradzimy. Będę chodził do szkoły, nawet żeby miała szorować podłogi, a zacznie się wprawiać na mojej twarzy.

Mama puka do drzwi i mówi, że chce się widzieć z przełożonym, bratem Murrayem. Brat Murray podchodzi do drzwi, spogląda na moją mamę i na mnie i pyta:

– O co chodzi?

– To mój syn Frank. Pan O’Halloran z Leamy’s School twierdzi, że jest zdolny. Czy byłaby jakaś możliwość, żeby dostał się tutaj do szkoły średniej?

– Nie mamy dla niego miejsca – oświadcza brat Murray i zamyka nam drzwi przed nosem.

Mama odwraca się od drzwi, długo wracamy do domu w milczeniu. Mama zdejmuję palto, robi herbatę, siada przy kominku.

– Słuchaj mnie – mówi. – Słuchasz?

– Tak.

– To już drugi raz Kościół zatrzasnął ci drzwi przed nosem.

– Naprawdę? Nie pamiętam.

– Stephen Carey powiedział tobie i ojcu, że nie możesz być ministrantem, i zatrzasnął wam drzwi przed nosem. Przypominasz sobie?

– Tak.

– A teraz zrobił to samo brat Murray.

– Nie szkodzi. Chcę pracować.

Mama jest zła, jej twarz przybiera zacięty wyraz.

– Nie możesz już nigdy pozwolić, żeby ktoś zatrzasnął ci drzwi przed nosem. Słyszysz? – Zaczyna płakać. – O Boże, nie wydałam cię na świat po to, żebyś został chłopcem na posyłki!

Nie wiem, co powiedzieć ani co zrobić. Odczuwam wielką ulgę, że nie muszę już chodzić do szkoły przez następne pięć czy sześć lat.

Jestem wolny.

Mam trzynaście, prawie czternaście lat, jest czerwiec, już do końca życia ostatni miesiąc szkoły. Mama idzie ze mną do księdza, doktora Cowpara, w sprawie pracy roznosiciela telegramów. Kierowniczka poczty, pani O’Connell, pyta, czy umiem jeździć na rowerze, a ja kłamię, że umiem. Nie mogę zacząć, zanim skończę czternaście lat, więc mam przyjść dopiero w sierpniu.

Pan O’Halloran mówi w klasie, że to hańba, żeby tacy chłopcy jak McCourt, Clarke czy Kennedy musieli piłować drewno lub kopać rowy. Ta wolna i niepodległa Irlandia, która zachowuje system klasowy narzucony przez Anglików, napawa go niesmakiem, bo wyrzucamy nasze utalentowane dzieci na kupę gnoju.

– Chłopcy, musicie stąd wyjechać. McCourt, jedź do Ameryki, słyszysz?

– Tak, proszę pana.

Do szkoły przychodzą księża werbować do zagranicznych misji: redemptoryści, franciszkanie, bracia ze Zgromadzenia Ducha Świętego, wszyscy nawracający pogan w odległych krajach. Ignoruję ich. Wybieram się do Ameryki, dopóki mojej uwagi nie przykuwa pewien ksiądz. Przedstawia się, że jest z zakonu białych ojców, misjonarzy, którzy pracują z wędrownymi plemionami Beduinów i są kapelanami francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

Proszę o formularz zgłoszenia.

Muszę mieć list od proboszcza z parafii i badania domowego lekarza. Proboszcz pisze list od razu. Pewno chętnie by się mnie pozbył już rok wcześniej. Doktor natomiast pyta:

– A to co takiego?

– Podanie o wstąpienie do białych ojców, misjonarzy wędrownych plemion na Saharze i kapelanów we francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

– Tak? We francuskiej Legii Cudzoziemskiej? Czy wiesz, jaki środek transportu używany jest na Saharze?

– Pociąg?

– Nie, wielbłąd. Wiesz, co to jest wielbłąd?

– Ma garb.

– Ma coś więcej niż garb. Ma nieprzyjemne, złośliwe usposobienie, zęby zielone od gangreny i gryzie. A wiesz, gdzie gryzie?

– Na Saharze?

– Nie, ty głupku. Gryzie w ramię, po prostu je odrywa. I zostawia cię tak poszarpanego na pustyni. Jak ci się to podoba, co? A jak byś potem wyglądał na ulicach Limerick, pochylony na jedną stronę? Jaka dziewczyna przy zdrowych zmysłach chciałaby eks-misjonarza z jednym tylko kościstym ramieniem? Popatrz na swoje oczy. Wystarczająco kiepsko wyglądają tutaj, w Limerick. Na Saharze zaczną rościć i gnić, aż wypadną ci z głowy. Ile masz lat?

– Trzynaście.

– Wracaj do domu, do mamy.

To nie jest nasz dom i nie czujemy się tak swobodnie jak na Roden Lane na górze we Włoszech czy na dole w Irlandii. Kiedy Laman wraca, chce czytać w łóżku albo spać, wtedy musimy być cicho. Przebywamy na ulicy jeszcze po zapadnięciu ciemności, a kiedy

przychodzimy do domu, nie mamy co robić, możemy tylko iść do łóżka i czytać, jeśli akurat jest świeca albo olej parafinowy do lampy.

Mama każe nam się kłaść, mówi, że sama zaraz też się położy, tylko zanieś Lamanowi ostatni kubek herbaty. Często zasypiamy, zanim pójdzie na górę, ale są wieczory, kiedy słyszymy, jak rozmawiają, mruczą, stękają. Są takie noce, że mama w ogóle nie schodzi na dół; Michael i Alpie mają duże łóżko tylko dla siebie. Malachy twierdzi, że mama zostaje na górze, bo za trudno jej schodzić po ciemku.

On ma dopiero dwanaście lat i nie rozumie.

Ja mam trzynaście i myślę, że tam, na górze, dochodzi do podniecenia.

Wiem o podnieceniu i wiem, że to grzech, ale jak to może być grzech, skoro przychodzi do mnie we śnie, w którym amerykańskie dziewczyny pozują w kostiumach kąpielowych na ekranie kina Lyric, a ja budzę się w dziwnym stanie. Jest to grzech, kiedy się nie śpi i dobiera się do siebie, jak opowiadali chłopcy na boisku Leamy's School po tym, kiedy pan O'Dea wykrzykiwał do nas szóste przykazanie. Nie cudzołóż, to oznacza nieczyste myśli, nieczyste słowa, nieczyste uczynki i to jest właśnie cudzołóstwo, czyli ogólnie wszystkie świństwa.

Jeden redemptorysta ciągle na nas warczy z powodu szóstego przykazania. Twierdzi, że nieczystość jest grzechem tak ciężkim, że Najświętsza Panna odwraca głowę i szlocha.

A dlaczego szlocha, chłopcy? Szlocha przez was, przez to, co robicie jej ukochanemu Synowi; szlocha, kiedy spojrzy w dół przez nieskończoną, pomną perspektywę czasu i z przerażeniem dostrzega chłopców z Limerick, którzy kalają sami siebie, zatrują się, bawią się własnym ciałem, nadużywają go, profanują swoje młode ciała, świątynie Ducha Świętego. Matka Boska płacze nad tymi okropieństwami, bo wie, że ilekroć się dotykacie, wbijacie kolejny gwoździec do krzyża Jej ukochanego Syna, dociskacie do Jego drogiej głowy cierniową koronę, otwieracie na nowo Jego straszne rany. Umierając z pragnienia, wisi na krzyżu i cóż Mu ofiarowują perfidni Rzymianie? Wpychają do Jego nieszczęsnych ust gąbkę nasączoną octem i żółcią, do tych ust, które poruszają się tylko po to, by się pomodlić, pomodlić nawet za was, którzy przybiliście Go do krzyża. Pomyślcie o cierpieniu Pana Jezusa. Pomyślcie o koronie z cierni. Wyobraźcie sobie małą szpilkę wbitą w czaszkę, wyobraźcie sobie ból tego ukłucia. A potem wyobraźcie sobie dwadzieścia cierni wbitych w głowę. Zastanówcie się, pomedytujcie nad gwoździami rozdzierającymi Jego dłonie, Jego stopy. Czy potrafilibyście wytrzymać chociaż ułamek takiego cierpienia? Pomyślcie znowu o tej szpilce, o zwykłej szpilce. Wbijcie ją sobie w bok. I powiększcie to odczucie stokrotnie, a odczujecie ból wbitej włóczni. Chłopcy, szatan pragnie waszych dusz. Chce was mieć przy sobie w piekle, musicie więc wiedzieć, że ilekroć się dotykacie, ilekroć ulegacie nikczemnemu grzechowi samogwałtu, nie tylko przybijacie Chrystusa do krzyża, ale o jeden krok zbliżacie się do piekła. Odsuńcie się od skraju przepaści. Nie ulegajcie szatanowi i nie nadużywajcie własnych rąk.

Nie mogę przestać się dotykać. Modłę się do Najświętszej Pani, mówię Jej, jak mi przykro, że z powrotem przybijam Jej Syna do krzyża, że już nigdy tego nie zrobię, ale nie potrafię się powstrzymać. Przysięgam, że pójdę do spowiedzi, a potem to już na pewno, na pewno nigdy tego nie zrobię. Nie chcę iść do piekła, gdzie diabły będą mnie ścigać przez całą wieczność, kłując rozpalonymi widłami.

Księża w Limerick nie mają cierpliwości do takich jak ja. Idę do spowiedzi, a oni syczą, że nie wzbudzam w sobie odpowiedniej skruchy, bo gdybym wzbudzał, to zarzuciłbym ten ohydny grzech. Chodzę od kościoła do kościoła w poszukiwaniu bardziej wyrozumiałego księdza, dopiero Paddy Clohessy mówi mi, że jest taki ksiądz u dominikanów, ma dziewięćdziesiąt lat i jest głuchy jak pień. Co kilka tygodni stary ksiądz wysłuchuje mojej spowiedzi i mamrocze, żebym się za niego modlił. Czasami usypia i nie mam serca go budzić, więc następnego dnia przystępuję do komunii bez żadnej pokuty czy rozgrzeszenia. To nie moja wina, że ksiądz usypia w trakcie spowiedzi, a ja nie mam wątpliwości, że jestem w

stanie łaski w wyniku odbycia spowiedzi. Pewnego dnia w konfesjonale odsuwa się zasuwka, a w środku nie siedzi wcale mój spowiednik, tylko młody ksiądz z uchem wielkim jak muszla. Ten na pewno wszystko usłyszy.

– Pobłogosław mi, ojcze, bo zgrzeszyłem, od mojej ostatniej spowiedzi upłynęły dwa tygodnie.

– I co zrobiłeś od tego czasu, moje dziecko?

– Uderzyłem brata, poszedłem na wagary, okłamałem matkę.

– I co jeszcze, moje dziecko?

– Ojcze, ja... ja... robiłem brzydkie rzeczy.

– Moje dziecko, z sobą, z kimś innym czy z jakimś zwierzęciem?

Z jakimś zwierzęciem? Nigdy jeszcze nie słyszałem o takim grzechu. Ten ksiądz musi być ze wsi, a jeśli tak, to otwiera przede mną zupełnie nowe światy.

Wieczorem przed wycieczką do Killaloe Laman Griffin wraca do domu pijany, zjada przy stole wielką porcję ryby i frytek. Każe zagotować wodę na herbatę, a kiedy mama tłumaczy, że nie ma węgla ani torfu, wrzeszczy na nią i nazywa ją starą niedojdą, która bezpłatnie mieszka pod jego dachem ze sforą swoich szczeniaków. Rzuca mi pieniądze, żebym przyniósł ze sklepu kilka bryłek torfu i drewno na podpałkę. Nie mam ochoty iść. Mam natomiast ochotę uderzyć go za to, jak traktuje moją matkę, ale jeśli się odezwę, nie pozwoli mi jutro wziąć roweru, na który czekałem trzy tygodnie.

Kiedy mama rozpala ogień i gotuje wodę, przypominam mu, że obiecał pożyczyć rower.

– A wylałeś dzisiaj nocnik?

– Zapomniałem, zaraz to zrobię.

– Nie wylałeś tego cholernego nocnika! – wrzeszczy. – Obiecałem ci rower. Daję ci dwa pensy tygodniowo, żebyś biegał na posyłki i wylewał nocnik, a ty stoisz z tą swoją rozdziawioną gębą i mówisz, że zapomniałeś.

– Przepraszam. Zaraz to zrobię.

– Czyżby? A jak zamierzasz się dostać na strych? Wyciągniesz mi stół spod ryby i frytek?

– Przecież cały dzień był w szkole, a potem musiał iść do doktora z oczami – wtrąca mama.

– Więc może, do cholery, zapomnieć o rowerze. Nie dotrzymał warunków umowy.

– Ale nie mógł tego zrobić – upiera się mama.

Laman każe jej się zamknąć i pilnować swojego nosa, więc mama siedzi cicho. On zabiera się znowu do ryby i frytek, a ja mu przypominam:

– Obiecałeś. Przez trzy tygodnie wylewałem nocnik i biegałem na posyłki.

– Zamknij się i idź do łóżka!

– Nie możesz mi kazać iść do łóżka. Nie jesteś moim ojcem, a rower mi obiecałeś.

– Przysięgam ci, że tak jak prawdą jest, że Bóg stworzył jabłka, tak ty będziesz wzywał swojego patrona, jeśli wstanę od tego stołu!

– Obiecałeś.

Odsuwa krzesło od stołu. Zatacza się w moim kierunku i wpycha mi palec między oczy.

– Mówię, żebyś się zamknął, ty kaprawe oko!

– Nie zamknę się. Obiecałeś!

Poszturkuje mnie w obojczyk, a ponieważ się nie uspokajam, dobiera się do głowy. Mama się zrywa, cała zapłakana, i próbuje go odciągnąć. On mnie popycha i kopie aż do sypialni, a ja nie przestaję powtarzać: obiecałeś. Rzuca mnie na łóżko mamy i tłucze tak długo, aż zakrywam twarz i głowę rękami.

– Zabiję cię, ty nędzny gnoju!

Mama krzyczy i szarpie go, on wreszcie wali się na podłogę w kuchni.

– Uspokój się. Jedz rybę i frytki. To jeszcze dziecko. Zapomni o tym – uspokaja go mama.

Słyszę, jak Laman z powrotem siada na krześle i przysuwa się do stołu. Słyszę, jak posmarkuje i siorbie przy jedzeniu.

– Podaj mi zapalki – poleca. – Jezu, muszę po tym wszystkim zapalić!

Słyszę niemal, jak zaciąga się papierosem, słyszę kwilenie mamy.

Laman oświadcza, że idzie do łóżka, a że sporo wypił, dość wolno wchodzi po krześle na stół, wciąga krzesło i wdrapuje się na strych. Łóżko trzeszczy pod nim, a on jęczy, kiedy zdejmuje buty i ciska je na podłogę.

Słyszę, że mama płacze, kiedy dmucha w klosz parafinowej lampy, i zapada ciemność. Po tym, co się stało, na pewno będzie chciała spać na dole, więc jestem gotów przenieść się na mniejsze łóżko pod ścianą. Słyszę jednak, że wdrapuje się na krzesło, na stół, znowu na krzesło i mówi do Lamana Griffina:

– To przecież jeszcze dziecko, dokuczają mu chore oczy.

– To gnój, chcę, żeby się stąd wynosił – odpowiada Laman, a mama płacze i błaga, a potem słychać szepty, chrząkania i jęki, aż wreszcie zapada cisza.

Po chwili oboje chrapią na strychu, bracia śpią obok mnie. Nie mogę tu zostać, bo jeśli Laman Griffin jeszcze raz się na mnie rzuci, przyłożę mu nóż do szyi. Nie wiem ani co robić, ani gdzie pójść.

Wychodzę z domu i idę ulicami od koszar Sarsfield do Monument Cafe. Marzę o tym, jak się kiedyś zemszczę na Lamanie. Pojadę do Ameryki i spotkań się z Joem Louistem. Opowiem mu o swoich kłopotach, a on zrozumie, bo san pochodzi z biednej rodziny. Pokaże mi, jak wzmocnić mięśnie, jak trzymać ręce i jak posługiwać się nogami. Nauczy, jak ukryć brodę w ramionach, tak jak on to robi, i jak wypuścić prawy hak, który wyrzuci Lamana w powietrze. Zawlokę Lamana na cmentarz w Mungret, gdzie pochowana jest jego rodzina i rodzina mamy, zasypię go ziemią aż po brodę, żeby nie mógł się ruszyć, i będzie błagał o darowanie życia, a ja powiem: „To już koniec, Laman, spotkasz się teraz ze swoim Stwórcą”. On nie przestanie błagać, a ja będę powoli sypał ziemię na jego głowę, aż przysypię ją kompletnie. Będzie z trudem łapał dech i błagał Boga o wybaczenie za to, że nie dał mi roweru i że poszturczywał mnie po całym domu, a potem robił podniecenie z moją mamą; a ja będę się śmiał, bo on z powodu tego podniecenia nie będzie w stanie łaski i pójdzie do piekła, co jest równie pewne jak to, że Bóg stworzył małe jabłuszka – tak mawia sam Laman.

Na ulicach jest ciemno, ale muszę wyteżać wzrok, na wypadek gdybym miał takie szczęście jak kiedyś Malachy i znalazł rybę i frytki upuszczone przez pijanych żołnierzy. Ale na ziemi nic nie leży. Gdybym spotkał wuja Aba Sheehana, może dałby mi trochę swojej piątkowej ryby i frytek, jednak w smażalni mówią, że Ab już był i wyszedł. Mam trzynaście lat, więc nie nazywam go wujkiem Patem. Mówię Ab albo Opat, tak jak wszyscy. Jeśli pójdę do domu babci, on na pewno mi da kawałek chleba, może nawet pozwoli zostać na noc. Powiem, że za kilka tygodni zacznę pracować przy rozwożeniu telegramów, będę dostawał duże napiwki, i wtedy zapłacę za siebie.

Ab siedzi w łóżku, dojada swoje frytki z rybą, rzuca na podłogę „Limerick Leader”, w który były zawinięte, wyciera usta i ręce w koc. Patrzy na mnie.

– Cała twarz opuchnięta. Upadłeś czy co?

Mówię, że upadłem, bo nie ma sensu nic wyjaśniać. Nie zrozumiałby.

– Dzisiaj prześpij się w łóżku mojej matki. Nie możesz chodzić po ulicach z taką twarzą i tymi czerwonymi ślipiami.

Mówi, że w domu nie ma żadnego jedzenia, nawet okruszka chleba. Kiedy zasypia, podnoszę z podłogi tłustą gazetę. Wylizuję tytułową stronę, pełną ogłoszeń o filmach i tańcach. Wylizuję nagłówki. Wylizuję wielkie ofensywy Pattona i Montgomery’ego we Francji i w Niemczech. Wylizuję wojnę na Pacyfiku. Wylizuję nekrologi i smutne żałobne poematy, strony sportowe, rynkowe ceny jaj, masła i bekonu. Wysysam gazetę tak długo, aż nie zostaje w niej nawet ślad tłuszczu.

Zastanawiam się, co zrobię następnego dnia.

XIV

Rano Opat daje mi pieniądze, żebym przyniósł od Kathleen O'Connell chleb, margarynę, herbatę i mleko. Gotuje wodę na płytce gazowej i mówi, że mogę wypić kubek herbaty.

– Tylko uważaj z cukrem, nie jestem milionerem. Możesz wziąć pajdę chleba, byle niegrubą!

Jest lipiec i szkoła skończyła się na zawsze. Za kilka tygodni będę rozwoził telegramy na pocztę, będę pracował jak mężczyzna. A tymczasem przez tych parę wolnych tygodni mogę robić, co mi się podoba, wstawać rano, leżeć w łóżku, chodzić na długie spacerunki za miasto jak mój ojciec, włóczyć się po ulicach Limerick. Gdybym miał pieniądze, poszedłbym do kina Lyric, jadłbym słodycze i oglądał, jak Errol Flynn zwycięża wszystkich w polu widzenia. Mogę czytać gazety angielskie i irlandzkie, które Opat przynosi do domu, mogę też posługiwać się kartami bibliotecznymi Lamana Griffina i mamy, dopóki mnie nie nakryją.

Mama przysłała Michaela z ciepłą herbatą w butelce od mleka, z kilkoma kromkami chleba, cienko posmarowanymi tłuszczem, i z kartką, na której jest wiadomość, że Laman Griffin już nie jest zły i mogę wracać.

– Frankie, wracasz do domu? – pyta Michael.

– Nie.

– Wróć, Frankie, nie bądź taki.

– Teraz mieszkam tutaj. Nigdy już nie wrócę.

– Ale Malachy poszedł do wojska, ty jesteś tutaj, a ja nie mam starszego brata. Wszystkie chłopaki mają starszych braci, a ja tylko Alphiego. On nawet nie ma czterech lat i nie umie dobrze mówić.

– Nie mogę wrócić. Nigdy nie wrócę. Ty przychodź, kiedy chcesz.

Oczy Michaela zachodzą łzami, co sprawia mi taki ból, że mam ochotę powiedzieć: „No dobrze, wrócę z tobą, tylko tak mówiłem”. Ale wiem, że nigdy nie potrafię stanąć twarzą w twarz z Griffinem, nie jestem nawet pewien, czy mógłbym spojrzeć na matkę. Spoglądam na oddalającego się Michaela, oderwana podeszwa buta klapie o chodnik. Kiedy zacznę pracować na pocztę, kupię mu buty. Na pewno. Dam mu też jajko i zabiorę do kina Lyric na film i słodycze, a potem pójdziemy do Naughtona i zjemy tyle ryby z frytkami, aż napęcznieją nam brzuchy. Kiedyś będę miał dosyć pieniędzy na dom czy mieszkanie ze światłem elektrycznym, z ubikacją i łózkami, na których znajdują się prześcieradła, koce i poduszki, tak jak na całym świecie. Będziemy jedli śniadanie w jasnej kuchni, w ogrodzie zakwitną kwiaty, będą cienkie filizanki i spodeczki, kieliszki do jajek i jajka z miękkim żółtkiem, gotowym rozpuścić się w tłustym śmietankowym maśle, a także czajnik do herbaty nakryty pokrowcem, grzanki z masłem i mnóstwo marmolady. Nie będziemy się spieszyć; posłuchamy muzyki z BBC albo z rozgłośni amerykańskich sił zbrojnych. Kupię odpowiednie ubrania dla całej rodziny, żeby tyłki nie wystawały ze spodni i żebyśmy się nie musieli wstydić. Myśl o wstydzie sprawia mi ból, zaczynam pociągać nos.

– Co z tobą? – pyta Opat. – Nie dostałeś chleba? Nie dostałeś herbaty? Czego jeszcze chcesz? Dojdzie do tego, że będziesz się rozglądał za jajkiem.

Nie ma sensu rozmawiać z kimś, kogo upuszczono na głowę i kto zarabia na życie sprzedawaniem gazet.

Narzeka, że nie będzie mógł żywić mnie w nieskończoność, muszę mieć własną herbatę i chleb. Nie chce po powrocie do domu zastawać mnie w kuchni przy czytaniu, bo palę żarówkę. Potrafi odczytywać liczby – o tak, to potrafi – więc wychodząc sprzedawać gazety,

sprawdzi licznik elektryczny i dowie się, ile prądu zużyłem; jak nie przestanę zapalać światła, to będzie wykręcał korek i nosił go w kieszeni, a jeśli wkręcę inny korek – każe w ogóle wyłączyć elektryczność i wróci znowu do gazu, który przecież wystarczał jego biednej matce nieboszczce i na pewno jemu też wystarczy, bo przecież on przed zaśnięciem siada tylko na łóżku, żeby zjeść rybę z frytkami i policzyć pieniądze.

Wstaję wcześniej, tak jak tata, i chodzę na długie spacerunki za miasto. Chodzę po cmentarzu starego opactwa w Mungret, gdzie pochowani są krewni mamy, wchodzę wąską drogą do normandzkiego zamku na Carrigogunnell, gdzie dwa razy zaprowadził mnie tata. Wspinam się na szczyt, przede mną rozpościera się Irlandia, błyszcząca rzeka Shannon zmierza do Atlantyku. Tata mi powiedział, że ten zamek zbudowano setki lat temu i jeśli się poczeka, aż ucichną skowronki, można usłyszeć w dole stuk normandzkich młotów, rozmowy i odgłosy przygotowań do bitwy. Kiedyś tata przyprowadził mnie tu wieczorem, żebyśmy mogli usłyszeć poprzez stulecia głosy Normanów i Irlandczyków. I wtedy je usłyszałem. Naprawdę.

Czasami jestem sam na wysokościach Carrigogunnell i słyszę głosy normandzkich dziewczyn z dawnych czasów, śmieją się i śpiewają po francusku. A kiedy widzę je oczyma wyobraźni, czuję pokusę, wspinam się na sam szczyt zamku, gdzie kiedyś była wieża, i tam, na oczach całej Irlandii, dotykam się i zalewam całe wzgórze Carrigogunnell i niżej położone pola.

To grzech, którego nigdy nie mógłbym wyznać księdzu. Wspinanie się na wielką wysokość i dobieranie się do siebie przed całą Irlandią jest na pewno gorsze niż robienie tego w miejscu prywatnym ze sobą albo z kimś czy z jakimś zwierzęciem. Może gdzieś tam na polach albo nad brzegiem rzeki Shannon jakiś chłopiec czy dziewczyna od krów spojrzeli akurat do góry i zobaczyli mnie popełniającego grzech, a jeśli tak, to jestem skazany na potępienie, bo księża zawsze powtarzają, że każdy, kto naraża dziecko na grzech, zostanie wrzucony do morza z kamieniem młyńskim u szyi.

Ale myśl o tym, że ktoś mnie obserwuje, znowu wzbudza podniecenie. Nie chciałbym, żeby obserwował mnie mały chłopiec. Nie, to z pewnością droga do młyńskiego kamienia. Gdyby jednak *gapiła* się do góry dziewczyna od krów, na pewno też by się podnieciła i dobrałaby się do siebie, chociaż nie wiem, czy dziewczyny tak mogą, bo przecież nie mają właściwie do czego się dobrać. Żadnego wyposażenia, jak mawiał Mikey Molloy.

Chciałbym, żeby wrócił ten stary, głuchy dominikanin, żebym mógł mu opowiedzieć o moich kłopotach z podnieceniem, ale on już nie żyje i będę musiał iść do księdza, który zacznie się rozwodzić nad kamieniem młyńskim i potępieniem.

Potępienie. To ulubione słowo każdego księdza z Limerick.

Wracam O'Connell Street i przez Ballinacurre, gdzie ludziom dostarczają chleb i mleko do domu wczesnym rankiem. Na pewno nikomu nie stanie się krzywda, jeśli pożyczę sobie bochenek czy butelkę z zamiarem oddania, kiedy dostanę tę pracę na poczcie. Nie kradnę, tylko pożyczam, a to nie jest grzech śmiertelny. Poza tym stałem dziś rano na szczycie zamku i popełniłem grzech znacznie gorszy niż kradzież chleba i mleka, a jak już się popełni jeden grzech, można równie dobrze popełnić jeszcze kilka, bo i tak dostaje się taki sam wyrok w piekle. Jeden grzech – wieczność. Tuzin grzechów – wieczność.

„Jak spadać z konia, to z wysokiego”, jak by powiedziała mama. Wypijam czasami pół litra mleka, ale zostawiam butelkę, by nie oskarżano mleczarza, że nie dostarczył. Lubię mleczarzy, bo kiedyś jeden z nich dał mi dwa stłuczone jajka, które połknąłem na surowo, nawet z kawałkami skorupki. Mleczarz powiedział, że wyrosnę silny, nawet gdybym codziennie nie brał do ust niczego prócz dwóch jajek i kufła portera. W jajku jest wszystko, czego potrzeba, a w kuflu wszystko, czego można zaprzagnąć.

Niektóre domy dostają lepszy chleb. Jest droższy i taki właśnie biorę. Trochę mi żal tych bogatych, którzy wstaną rano, podejną do drzwi i zobaczą, że nie ma chleba. Ale nie mogę się przecież zagłodzić na śmierć. Jeśli się zagłodzę, nie będę miał siły pracować na poczcie jako

posłaniec od telegramów, a to oznacza, że nie dostanę pieniędzy, żeby pooddawać ten chleb i mleko, i nie zaoszczędzę na wyjazd do Ameryki; a jeśli nie pojedę do Ameryki, to mogę równie dobrze od razu wskoczyć do rzeki Shannon. Już za kilka tygodni otrzymam pierwszą wypłatę na pocztę, do tej pory ci bogacze na pewno nie padną z głodu. Zawsze mogą wysłać do sklepu służącą. Na tym polega różnica między biednym a bogatym. Biedni nie mogą posłać po zakupy, bo nie mają na to pieniędzy, ale nawet gdyby je mieli, nie mają służącej, którą mogliby posłać. Właśnie te służące są powodem mojego niepokoju. Muszę bardzo uważać, kiedy pożyczam mleko i chleb, a one są w pobliżu, na przykład akurat polerują klamki, kołatki, skrzynki na listy. Jeśli mnie zobaczą, zaraz polecą do pani domu z krzykiem:

– Psze pani, psze pani, jakiś ulicznik ucieka z mlekiem i chlebem!

Służące tak się wyrażają, bo pochodzą ze wsi. „Jałówki – jak mawia wuj Paddy’ego Clohessy’ego – cielecina od stóp do głów, żałują nawet pary z własnych szczyn”.

Przynoszę do domu chleb, ale nawet jeśli Opat jest tym zaskoczony, nie pyta, skąd wziąłem, bo upuszczono go na głowę, co skutecznie wybija wszelką ciekawość. Patrzy na mnie tymi swoimi wielkimi oczami, które są w środku niebieskie, a po bokach żółte, siorbie herbatę z wielkiego popękanego kubka po matce. „To mój kubek i nie waż się pić znia”.

Znia. Tak mówią w slumsach Limerick, co zawsze martwiło tatę.

– Nie chcę, żeby moi synowie dorastali na uliczkach Limerick i mówili: znia. To bardzo pospolite i proletariackie. Powiedz wyraźnie: z niego.

– Mam nadzieję, że wszystko ci się uda, ale na razie niewiele robisz, żeby nas znia wyciągnąć – kpiła mama.

Kiedy już minę Ballinacurrę, przechodzę przez mur do sadu po jabłka. Jeśli jest tam pies, nie wchodzę, bo nie umiem tak zagadywać psów jak Paddy Clohessy. Farmerzy mnie przeganiają, ale zawsze poruszają się wolno w tych swoich gumiakach. Gdy próbują mnie gonić na rowerze, przeskakują przez ogrodzenia, co na rowerze jest niemożliwe.

Opat wie, skąd biorę jabłka. Jeśli ktoś wychowuje się na uliczkach Limerick, to wcześniej czy później musi coś ukraść w jakimś sadzie. I choćby nienawdził jabłek, musi obrabować sad, bo inaczej kumple powiedzą, że jest mięczakiem.

Zawsze częstuję Opata jabłkiem, ale on nie je z powodu rzadkości zębów w szczęce. Zostało mu już tylko pięć, więc nie będzie ryzykował ich utraty we wnętrzu jabłka. Nawet jeśli pokroję jabłko na kawałki, też nie będzie jadł, bo to nie jest odpowiedni sposób jedzenia jabłka. Tak przynajmniej mówi. Kiedy mu tłumaczę, że przecież kroi chleb, odpowiada:

– Jabłka to jabłka, a chleb to chleb.

Tak właśnie mówi ktoś, kogo upuszczono na głowę.

Znowu przychodzi Michael z ciepłą herbatą w butelce od mleka i z dwoma kromkami podsmażonego chleba. Oświadczam mu, że już tego nie potrzebuję.

– Powiedz mamie, że sam sobie radzę i nie potrzebuję jej herbaty ani smażonego chleba, uprzejmie dziękuję.

Michael jest zachwycony, kiedy daję mu jabłko, więc mówię, żeby przychodził co drugi dzień, to dostanie więcej. Dzięki temu zapomina o namawianiu mnie do powrotu do Lamana Griffina i dzięki temu także już nie płacze, co mnie bardzo cieszy.

W Irishtown odbywa się targ, na który w soboty przyjeżdżają farmerzy z warzywami, kurami, jajkami, masłem. Jeśli przyjdę tam wcześnie, zarobię kilka pensów za pomoc w rozładowaniu wozów czy samochodów. Pod koniec dnia dają mi warzywa, których nie mogą sprzedać, połamane, obtłuczone lub częściowo zgniłe. Żona jednego farmera zawsze daje mi potłuczone jajka:

– Zjedz je jutro, jak wrócisz z kościoła w stanie łaski, bo jak zjesz z grzechem na duszy, to ci utkną w krtani. Bóg świadkiem.

To żona farmera, a oni tak mówią.

Teraz niewiele różnię się od żebraka, wystaję w drzwiach smaźalni ryb i frytek tuż przed zamknięciem w nadziei, że mogła się przypalić reszta frytek albo kawałki ryby pływające w tłuszczu. Jeśli właścicielom się spieszy, dostaję od nich te frytki i kawałek gazety do zawinięcia.

Lubię gazetę „News of the World”. Jest zakazana w Irlandii, ale ludzie przemycają ją z Anglii z powodu szokujących zdjęć dziewczyn w niemal nieistniejących kostiumach kąpielowych. Są tam też historie ludzi, którzy popełniają wszelkie rodzaje grzechów, niespotykanych w Limerick – rozwodzą się, oddają się cudzołóstwu.

Cudzołóstwo. Ciągle jeszcze nie sprawdziłem, co to słowo znaczy, muszę zobaczyć w bibliotece. Bo jestem pewien, że odnosi się do czegoś gorszego, niż nas uczyli w szkole: brzydkie myśli, brzydkie słowa, brzydkie uczynki.

Zabieram frytki do domu i kładę się do łóżka jak Opat. Jeśli Opat jest w stanie wskazującym na spożycie, wyjada frytki z „Limerick Leader” i śpiewa „Drogę do Rasheen”. Jem moje frytki. Wylizuję „News of the World”. Wylizuję historie o ludziach, którzy dopuszczają się szokujących postępów. Wylizuję dziewczyny w kostiumach kąpielowych, a kiedy już nie ma nic do wylizania, wpatruję się w dziewczyny, dopóki Opat nie zdmuchnie lampki; wtedy popełniam grzech śmiertelny pod kocem.

Mogę w każdej chwili iść do biblioteki na kartę mamy czy Lamana Griffina. Nigdy mnie nie przyłapią, bo Laman jest zbyt leniwy, żeby wstać z łóżka w sobotę, a mama nawet się nie zbliży do biblioteki, bo wstydzi się swojego ubrania.

Panna O’Riordan się uśmiecha.

– Frank, czekają na ciebie *Żywoty świętych*. Mnóstwo tomów. Butler, O’Hanlon, Baring-Gould. Opowiedziałam o tobie kierownicze, której tak się to spodobało, że gotowa ci wydać kartę do biblioteki dla dorosłych. Czy to nie wspaniałe?

– Dziękuję, panno O’Riordan.

Czytam o świętej Brygidzie, dziewicy, pierwszego lutego. Była tak piękna, że mężczyźni ze wszystkich zakątków Irlandii chcieli się z nią ożenić, a ojciec pragnął ją wydać za kogoś ważnego. Ona sama nie chciała za nikogo wychodzić, więc prosiła Boga o pomoc, a On spowodował, że oko jej się stopiło, spłynęło po policzku, zostawiając taki ślad, że mężczyźni z Irlandii całkiem stracili zainteresowanie.

Jest też święta Wilgefotis, dziewica męczennica, dwudziestego lipca. Jej matka miała dziewięcioro dzieci, wszystkie jednocześnie – cztery pary bliźniąt i Wilgefotis – i wszystkie zostały męczennikami za wiarę. Wilgefotis była piękna i ojciec chciał ją wydać za króla Sycylii. Bóg pomógł zrozpaczonej Wilgefotis: wyrosły jej wąsy i broda, co ostudziło zapal króla Sycylii i tak rozwścieczyło ojca, że kazał ją ukrzyżować, razem z tą brodą i wąsami.

Angielka, która ma trudności z mężem, powinna się modlić właśnie do świętej Wilgefotis.

Księża nigdy nie mówią nam o takich dziewicach męczennicach jak święta Agata, piątego lutego. Luty jest doskonałym miesiącem dla dziewczyn męczennic. Sycylijscy poganie kazali Agacie wyrzec się wiary w Jezusa, ale odmówiła, tak jak wszystkie dziewice męczennice. Torturowano ją, rozciągnięto na kole, wyszarpywano boki żelaznymi hakami, przypalano płonącymi pochodniami, a ona ciągle mówiła: „Nie, nie wyrzeknę się Pana Jezusa!”. Zmiażdżyli jej piersi i powyrywali je, ale dopiero kiedy obracali ją na rozżarzonych węglach, nie mogła tego wytrzymać i wyzionęła ducha, sławiąc Boga.

Dziewice męczennice zawsze umierały, śpiewając hymny i wychwalając Boga; nie zwracały przy tym najmniejszej uwagi na to, że lwy wyszarpywały im wielkie kawały ciała i pożerały je na miejscu.

Jak to możliwe, że księża nigdy nie mówili nam o świętej Urszuli i jedenastu tysiącach dziewczycy męczennic, dwudziestego pierwszego października? Ojciec chciał Urszulę

wydać za pogańskiego króla. Powiedziała wtedy, że musi się udać na odosobnienie, na trzy lata, żeby się nad tym zastanowić. Wyruszyła więc z tysiącem swoich szlachetnie urodzonych dam dworu i ich towarzyszek, a było ich dziesięć tysięcy. Przez jakiś czas żeglowały i wędrowały po różnych krajach, aż zatrzymały się w Kolonii, gdzie wódz Hunów poprosił Urszulę, żeby go poślubiła. Odmówiła, toteż Hunowie zabili ją i jej dziewice. Dlaczego nie mogła powiedzieć „tak” i ocalić życie jedenastu tysięcy dziewczyc? Dlaczego dziewice męczennice musiały być takie uparte?

Lubię świętego Molinga, irlandzkiego biskupa. Nie mieszkał w pałacu jak biskup Limerick. Żył na drzewie; kiedy inni święci przychodzili do niego na kolację, siadali na gałęziach wokół niczym ptaki i wspaniale spędzali czas, pijąc wodę i jedząc suchy chleb. Kiedy biskup szedł sobie pewnego dnia, zaczął go trędowaty: „Dokąd idziesz, święty Molingu?”. „Idę na mszę” – odrzekł święty Moling. „Ja też chciałbym pójść na mszę; może weźmiesz mnie na plecy i zanieziesz”. Jak tylko święty Moling wziął trędowatego na plecy, ten zaczął narzekać: „Twoja Włosienica bardzo drażni moje rany, zdejmij ją”. Święty Moling zdjął Włosienicę i znowu wyruszyli. Po jakimś czasie trędowaty mówi: „Muszę wytrzeć nos. Nie mam żadnej chustki”. „Musisz się posłużyć ręką” – odpowiada święty Moling. „Nie mogę się ciebie trzymać i jednocześnie wycierać nos” – rzekł trędowaty. „Dobrze – zgadza się święty Moling – wytrzyj nos w moją rękę”. „Nic z tego – odpowiada trędowaty – trąd zabrał mi prawie całą rękę, więc nie mogę się trzymać i smarkać w twoją rękę. Gdybyś był prawdziwym świętym, obróciłbyś się do mnie i wysysał mi to z nosa”. Święty Moling nie miał ochoty wysysać smarków z nosa trędowatego, zrobił to jednak, ofiarował Bogu i dziękował Mu za ten zaszczyt.

Mogłem zrozumieć, że tata wysysał wszystko z nosa Michaela, kiedy Michael był niemowlęciem w rozpaczliwym stanie, ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego Bóg życzył sobie, żeby święty Moling wysysał smarki trędowatym. Zupełnie nie rozumiem Boga i nawet gdybym chciał zostać świętym uwielbianym przez wszystkich, nigdy nie wysysałbym smarków trędowatego. Chciałbym być świętym, lecz jeśli trzeba robić takie rzeczy, to już chyba zostanie taki, jaki jestem.

Mimo to gotów jestem spędzić życie w tej bibliotece, czytając o dziewicach zwykłych i dziewicach męczennicach, dopóki nie popadam w konflikt z panną O’Riordan z powodu książki zostawionej przez kogoś na stole. Autorem jest Lin Yutang. Każdy widzi, że to chińskie nazwisko, a ja jestem ciekaw, o czym piszą Chińczycy. Jest to książka z esejami o miłości i o ciele, niektóre słowa muszę sprawdzać w słowniku. Na przykład: obrzmiały. Jest tu napisane: „Męski organ kopulacji robi się obrzmiały i zostaje włożony w podatny damski otwór”.

Obrzmiały. W słowniku czytam, że znaczy to spuchnięty, i taki jest mój stan, kiedy stoję wpatrzony w słownik, ponieważ teraz rozumiem, co miał na myśli Mikey Molloy, że nie różnimy się od psów, które szczepiają się z sobą na ulicach; szokująca jest myśl o wszystkich matkach i ojcach robiących coś podobnego.

Ojciec przez całe lata okłamywał mnie na temat Anioła Siódmego Stopnia.

Panna O’Riordan chce się dowiedzieć, czego szukam. Zawsze ma zaniepokojoną minę, kiedy zaglądam do słownika, więc mówię jej, że sprawdzam kanonizację, beatyfikację czy jakieś inne religijne słowo.

– A to co? Przecież to nie są *Żywoty świętych*.

Bierze książkę Lin Yutang i zaczyna czytać stronę, na której przerwałem i odłożyłem otwartą książkę grzbietem do góry.

– Matko Boska! To ty takie rzeczy czytasz? Widziałam, że trzymałeś to w rękę.

– Chciałem się tylko przekonać, czy Chińczycy mają jakichś świętych.

– Naprawdę? To oburzające! Co za brudy! Nic dziwnego, że Chińczycy są w takiej sytuacji. Ale czego można się spodziewać po skośnych oczach i żółtej skórze? Jak ci się teraz przyglądam, to widzę, że też masz trochę skośne oczy. Proszę natychmiast opuścić bibliotekę!

– Ale ja czytam *Żywoty świętych*.

– Wychodź albo zawołam kierowniczkę, a ona wezwie policję. Wynocha! Powinieneś biec do księdza i wyznać swoje grzechy. Wynos się, a zanim wyjdiesz, oddaj mi karty twojej biednej matki i pana Griffina. Chętnie napisałabym do twojej matki, gdybym nie przypuszczała, że to ją kompletnie przybije. Lin Yutang, dobre sobie! Wynos się!

Nie ma sensu rozmawiać z bibliotekarkami, kiedy są w takim stanie. Można stać przez godzinę i opowiadać wszystko, co się przeczytało o Brygidzie, Wilgefortis, Agacie, Urszuli i dziewiczych męczennicach, a one i tak będą myślały wyłącznie o jednym słowie na jednej stronie Lin Yutang.

Za biblioteką jest park Ludowy. Dzień jest słoneczny, trawa sucha, zupełnie wyczerpało mnie zebranie o frytki i kontakty z bibliotekarkami, które doprowadzają się do niebywałego stanu z powodu obrzmiałości. Patrząc na chmury przepływające nad pomnikiem i sam odpływam, cały obrzmiały, dopóki nie zaczynam śnić o dziewicach męczennicach w kostiumach kąpielowych w „News of the World”, które walą chińskich pisarzy owczymi pęcherzami. Budzę się w stanie podniecenia, coś lepkiego i gorącego wypływa ze mnie, a mój męski organ kopulacji sterczy na miłą. Ludzie w parku obrzucają mnie zaciekawionymi spojrzeniami, matki przywołują dzieci, mówiąc im, żeby odsunęły się od tego chłopaka, bo ktoś powinien wezwać policję.

Dzień przed moimi czternastymi urodzinami oglądam się w lustrze kredensu babci. Nie wiem, czy z takim wyglądem będę mógł zacząć pracę na poczcie. Wszystko mam podarte, koszulę, sweter, krótkie spodnie, skarpety, a buty spadają mi z nóg. „Resztki dawnej przyzwoitości” – powiedziałyby mama. Ubranie wygląda źle, aleja sam jeszcze gorzej. Żeby nie wiem jak długo moczył włosy pod kranem, i tak sterczą we wszystkie strony. Najlepsze lekarstwo na sterczące włosy to ślina, tyle że trudno napluć na własną głowę. Trzeba porządnie spluć w górę i podstawić się pod spadającą ślinę. Oczy mam czerwone, płynie z nich żółta ciecz, co doskonale pasuje do czerwonych i żółtych pryszczki na całej twarzy; przednie zęby są tak czarne od gnicia, że już nigdy w życiu nie będę mógł się uśmiechnąć.

W ogóle nie mam barów, a wiem, że podziwia je cały świat. Kiedy w Limerick umiera jakiś mężczyzna, kobiety zawsze mówią: „Był wspaniały, takie wielkie i szerokie bary, że nie mógł się zmieścić w drzwi, musiał wchodzić bokiem”. Kiedy ja umrę, powiedzą: „Biedny mały drań, umarł zupełnie pozbawiony barów”. Bardzo chciałbym mieć choć jakiś ich ślad, żeby ludzie wiedzieli, że mam co najmniej czternaście lat. Wszyscy chłopcy w Leamy’s School mieli rozwinięte ramiona, prócz Fintana Slattery’ego, a nie chcę być taki jak on, wątki, z kolanami wytartymi od modłów. Gdybym miał pieniądze, zapaliłbym świeczkę świętemu Franciszkowi i zapytał go, czy istnieje jakakolwiek szansa przekonania Boga, żeby dokonał cudu z moimi ramionami. Gdybym miał znaczek pocztowy, mógłbym napisać do Joego Louisa: „Drogi Joe, czy jest szansa, że powiesz mi, jak zdobyłeś tak mocne bary, mimo że byłeś biedny?”.

Muszę wyglądać przyzwoicie w pracy, zdejmuję więc ubranie, stoję nagi za domem i piorę je pod kranem mydłem karbolowym. Na babci sznurze do bielizny wieszam koszulę, sweter, spodnie, skarpety i modlę się, żeby nie padało, modlę się, żeby jutro było sucho, bo to jest początek mojego życia.

Nigdzie nie mogę iść na golasa, więc leżę cały dzień w łóżku, czytając stare gazety; ekscytuję się dziewczynami z „News of the World” i dziękuję Bogu za suszące słońce. Opat wraca do domu o piątej, robi na dole herbatę, jestem wprawdzie głodny, ale wiem, że jeśli go

o coś poproszę, będzie zrzędził. Wie, że najbardziej się boję, by nie poszedł do cioci Aggie ze skargą, iż mieszkam w domu babci, śpię w jej łóżku. Jak ciocia Aggie się o tym dowie, wyrzuci mnie na ulicę.

Kiedy Opat kończy jedzenie, chowa chleb tak, że nie mogę go znaleźć. Można by przypuszczać, że ktoś, kogo nie upuszczono na głowę, potrafi znaleźć chleb schowany przez kogoś, kogo upuszczono. Uświadamiam sobie, że jeśli chleba nie ma w domu, to znaczy, że on musi nosić go w kieszeni palta, które wkłada zimą i latem. W chwili gdy słyszę, że wychodzi z kuchni do ubikacji za domem, zbiegam na dół, wyciągam z kieszeni bochenek, odcinam grubą kromkę, chowam bochenek do kieszeni i biegnę na górę do łóżka. Nigdy nie będzie mógł powiedzieć ani słowa, nie będzie mógł mnie oskarżyć. Trzeba być złodziejem najpodlejszego gatunku, żeby ukraść jedną kromkę, zresztą nikt by mu nie uwierzył, nawet ciocia Aggie. Poza tym warknęłaby na niego: „A co to za pomysły, żeby chodzić z bochenkiem chleba w kieszeni? To nie miejsce na chleb”.

Żuję kromkę powoli: jeden kęs co piętnaście minut; oznacza to, że chleba wystarczy na długo, a jeśli popiję go wodą, napęcznieje mi w brzuchu i da wrażenie sytości.

Wyglądam przez okno, żeby się upewnić, czy popołudniowe słońce suszy moje ubrania. Na innych podwórkach wiszą na sznurach rzeczy jasne i kolorowe, które tańczą na wietrze. Moje zwieszają się ze sznurka jak zdechłe psy.

Słońce świeci jasno, ale w domu jest zimno i wilgotno. Żałuję, że nie mam w co się ubrać. Ale nie mam żadnych innych rzeczy, a gdybym wziął coś Opatowi, na pewno poleciałby do cioci Aggie. W szafie znajduję tylko starą czarną wełnianą suknię babci. Nie powinno się wkładać starych sukien babci, która nie żyje, w dodatku kiedy jest się chłopcem. Ale jakie to ma znaczenie, jeśli będzie ciepło i leży się w łóżku pod kocem, więc nikt się nigdy nie dowie. Suknia zachowała zapach nieboszczki babci; boję się, że ona jeszcze wstanie z grobu i przeklnie mnie przed rodziną i wszystkimi. Modłę się do świętego Franciszka, proszę, żeby zatrzymał ją w grobie, bo tam jej miejsce; obiecuję mu świeczkę, jak tylko zacznę pracować; przypominam mu, że szata, którą nosił, niewiele odbiegała od sukni i nikt go nigdy z tego powodu nie gnębił. Zasypiam, mając przed oczami wizerunek twarzy świętego.

Nie może przydarzyć się nic gorszego niż spanie w łóżku nieżyjącej babci w jej czarnej sukni akurat wtedy, kiedy Opat wali się na tyłek przed pubem South po całym wieczorze picia, a ludzie, którzy nie potrafią pilnować własnego nosa, biegną do cioci Aggie, żeby wuj Pa Keating pomógł przynieść Opata do domu i na górę, gdzie leżą ja. Ciocia Aggie warczy na mnie:

– Co robisz w tym domu? W tym łóżku? Wstawaj! Nastaw wodę na herbatę dla twojego nieszczęsnego wuja Pata, który się przewrócił.

A ponieważ się nie ruszam, sama ściąga koc i reaguje tak, jakby zobaczyła ducha.

– Matko Przenajświętsza, co robisz w sukni mojej nieboszczki matki?

I to jest najgorsze ze wszystkiego, bo jak wytłumaczyć, że przygotowuję się do wielkiej pracy mojego życia, że uprałem ubranie, które suszy się na sznurze na zewnątrz, a było mi tak zimno, że musiałem włożyć jedyną rzecz, jaką udało mi się znaleźć. Jeszcze trudniej jest rozmawiać z ciocią Aggie, kiedy Opat jęczy na łóżku: „Moja noga pali jak ogień, nalejcie mi wody na nogę”, wujek Pa Keating zakrywa usta ręką i osuwa się na ścianę, zanosząc się ze śmiechu; mówi, że wyglądam wspaniale, w czarnym mi do twarzy, powinienem tylko wyprostować obrębek. Zupełnie nie wiadomo, co robić, kiedy ciocia Aggie każe zejść na dół i nastawić herbatę dla nieszczęsnego wuja. Czy powinienem zdjąć suknię i owinąć się kocem, czy zejść w sukni? W jednej chwili wrzeszczy, co robię w sukni jej nieboszczki matki, a za moment każe mi nastawić ten cholerny czajnik. Tłumaczę jej, że wyprałem ubrania przed wielką pracą.

– Jaką wielką pracą?

– Posłańca od telegramów na pocztynie.

Ciocia mówi, że jeśli poczta zatrudnia takich jak ja, to musi być w rozpaczliwej sytuacji, więc mam zejść na dół i nastawić ten czajnik.

Kolejna najgorsza rzecz to znalezienie się na podwórku i napełnianie czajnika pod kranem, kiedy księżyc promienieje, a Kathleen Purcell z sąsiedniego domu przechyła się przez mur w poszukiwaniu swojego kota.

– Frankie McCourt, co robisz w sukni swojej babci?

A ja muszę stać w tej sukni z czajnikiem w rękę i tłumaczyć, że wyprałem ubranie, które każdy może zobaczyć tutaj na sznurze, ale w łóżku było mi tak zimno, że musiałem włożyć suknię babci; tymczasem wujek Pat, Opat, przewrócił się i przyniosła go do domu ciocia Aggie i jej mąż, wujek Pa Keating, a teraz ciocia kazała mi napełnić czajnik. Zdejmę tę suknię, jak tylko wyschną moje rzeczy, bo przecież nie zamierzam przez resztę życia paradować w ubraniu nieboszczki.

Teraz z kolei Kathleen Purcell wydaje okrzyk, zeskakuje z muru, zapomina o swoim kocie i z chichotem woła do niewidomej matki:

– Mamo, poczekaj tylko, jak ci opowiem o Frankie McCourcie na podwórzu w sukni nieboszczki babki!

Wiadomo, że jak tylko Kathleen Purcell dowie się o jakimś skandalu, to zanim nadejdzie ranek, będzie o tym wiedziała cała uliczka. Równie dobrze można wytknąć głowę przez okno i oznajmić wszystkim o swoich problemach.

Kiedy czajnik zaczyna się gotować, Opat już dawno śpi pod wpływem alkoholu, a ciocia Aggie decyduje, że oboje z wujkiem Pa napiją się herbaty, nie będzie miała nic przeciwko temu, jeśli ja się też napiję. Wujek Pa twierdzi, że w zasadzie czarną suknię można uznać za sutannę dominikanina, pada więc na kolana i mówi:

– Pobłogosław mi, ojcze, bo zgrzeszyłem.

– Podnieś się, ty idioto, i przestań szydzić z religii! – strofuje ciocia Aggie. I zwraca się do mnie: – A co ty tu robisz?

Nie mogę jej powiedzieć o mamie i Lamanie Griffinie, i o podnieceniu na stryszku, mówię więc, że chciałbym trochę tutaj pomieszkać z powodu wielkiej odległości od domu Lamana Griffina do poczty, a jak tylko stanę na nogach, na pewno znajdę jakieś odpowiednie miejsce i wszyscy się tam przeprowadzimy: mama i bracia, i wszyscy.

– No, to i tak więcej, niż zrobiłby twój ojciec – mówi ciocia Aggie.

XV

Trudno spać, kiedy następnego dnia kończy się czternaście lat i zaczyna pierwszą pracę mężczyzny. Opat budzi się o świcie i jęczy, żebym mu zrobił herbaty, a gdy już zrobię, to mam ukroić grubą kromkę z pół bochenka chleba, który chowa w kieszeni palta, by go nie zjadł jakiś szczur, a jak popatrzę do gramofonu, gdzie babcia trzymała płyty, to znajdę tam słoik dżemu.

Nie umie czytać, nie umie pisać, ale doskonale wie, gdzie chować dżem.

Przynoszę Opatowi herbatę i chleb i sobie też biorę. Ubieram się w wilgotne rzeczy i wchodzę do łóżka w nadziei, że ubrania wysuszą się od mojego ciepła, zanim pójdę do pracy. Mama zawsze mówiła, że mokre rzeczy powodują suchoty i wczesną śmierć. Opat siedzi na łóżku i narzeka, że strasznie boli go głowa, bo mu się śniło, że ja chodziłem w czarnej sukni jego biednej mamy, a ona biegła z krzykiem: „Grzech, grzech, to jest grzech!”. Kończy herbatę i zaraz zaczyna chrapać, a ja czekam, aż zegar pokaże ósmą trzydzieści; wtedy będzie pora wstawać, żeby być na poczcie o dziewiątej, nawet jeśli moje ubranie jeszcze całkiem nie wyschnie.

Po wyjściu z domu spotykam ciocię Aggie i dziwię się, co robi na ulicy. Chyba chce sprawdzić, czy Opat jeszcze żyje albo czy nie potrzebuje doktora.

– O której masz być w tej pracy?

– O dziewiątej.

– Dobrze.

Zawraca i towarzyszy mi w drodze na pocztę przy Henry Street. Milczy, a ja się zastanawiam, czy idzie po to, by poskarżyć na pocztę, że sypiam w łóżku babci i chodzę w jej czarnej sukni.

– Idź na górę i powiedz im, że tu, na dole czeka na ciebie ciotka i że spóźnisz się o godzinę. Jeśli chcą się kłócić, to sama wejdę na górę.

– Dlaczego mam się godzinę spóźnić?

– Rób, co ci każę!

Posłańcy czekają na ławce pod ścianą, a za biurkiem siedzą dwie kobiety, gruba i chuda.

– Słucham? – mówi chuda.

– Nazywam się Frank McCourt, mam zacząć dzisiaj pracę.

– Jaką pracę?

– Roznoszenie telegramów.

– A ja myślałam, że przyszedłeś tu czyścić ubikacje – papie ta chuda.

– Nie, panienko. Mama przyniosła kartkę od księdza, doktora Cowpara i miała być dla mnie praca.

– Miała być, tak? A wiesz, jaki to dzień?

– Wiem, panienko, bo to moje urodziny, mam czternaście lat.

– Czy to nie wspaniale? – wtrąca gruba.

– Dzisiaj jest czwartek – oświadcza chuda. – Zaczynasz pracę w poniedziałek. Tymczasem idź się umyj, zanim tu wrócisz.

Posłańcy siedzący pod ścianą dowcipkują. Nie wiem dlaczego, ale czuję, że twarz mi płonie. Dziękuję kobiecie, a kiedy wychodzę, słyszę, jak ta chuda mówi:

– Jezu, kto wyciągnął taki okaz? – I obydwie wybuchają śmiechem, a wtórują im posłańcy.

Nie mówię cioci Aggie, że zaczynam dopiero w poniedziałek. Ona twierdzi, że moje ubranie to naprawdę hańba, i pyta, w czym je prałem.

– W mydle karbolowym.

– Cuchnie jak zdechłe gołębie, wystawiasz na pośmiewisko całą rodzinę.

Zabiera mnie do sklepu Roche'a, kupuje mi koszulę, sweter, parę krótkich spodenek, dwie pary skarpetek i parę letnich butów na wyprzedzący. Daje mi dwa szylingi na herbatę i drożdżówkę z okazji urodzin. Sama wsiada do autobusu na O'Connell Street, zbyt gruba i zbyt leniwa, żeby chodzić. Jest gruba i leniwa, nie ma własnego syna, a jednak kupuje mi ubranie do nowej pracy.

Skrećam w stronę Arthur's Quays z paczką nowych ubrań pod pachą. Muszę przystanąć na brzegu rzeki Shannon, żeby cały świat nie widział łez mężczyzny w dniu, w którym kończy czternaście lat.

W poniedziałek wstaję wcześnie, żeby umyć twarz i przysładzić włosy wodą i śliną. Opat na widok mojego nowego ubrania wykrzykuje:

– Jezu, żenisz się czy co?! – Iz powrotem zasypia.

Gruba kobieta, pani O'Connell, wita mnie słowami: „No, no, po prostu szczyt mody”, a chuda, panna Barry, pyta: „Okradłeś w sobotę bank?”. Posłańcy na ławce pod ścianą wybuchają gromkim śmiechem.

Każą mi usiąść na końcu ławki i czekać na swoją kolejkę. Niektórzy posłańcy w mundurkach mają stałą pracę, bo są po egzaminach. Mogą pracować na poczcie, jak długo zechcą, zdać kolejny egzamin na listonosza, a potem następny na kasjera, co pozwoli im sprzedawać znaczki i przyjmować przekazy pieniężne za ladą na dole. Chłopcom zatrudnionym na stałe poczta daje nieprzemakalne peleryny na złą pogodę i dwa tygodnie urlopu w roku. Wszyscy twierdzą, że to dobre posady, pewne, dające emeryturę i szacunek. Jeśli dostanie się taką pracę, już do końca życia nie ma się o co martwić. I to prawda.

Posłańcy zatrudnieni tymczasowo nie mogą pracować po skończeniu szesnastu lat. Nie mają mundurków, urlopu, dostają mniej pieniędzy, a jeśli opuszczą jeden dzień z powodu choroby, mogą stracić pracę. Nie ma usprawiedliwienia.

Nie ma nieprzemakalnych peleryn. Trzeba mieć własny płaszcz od deszczu albo znosić ulewę.

Pani O'Connell woła mnie do swojego biurka i daje czarny skórzany pas z torbą. Mówi, że jest za mało rowerów, więc pierwszą partię telegramów muszę roznieść na piechotę. Mam zacząć od miejsca najdalszego i nie stracić na to całego dnia. Dość długo pracuje na poczcie, żeby wiedzieć, ile czasu może zająć dostarczenie sześciu telegramów, nawet na piechotę. Nie wolno mi wstępować do pubów ani do bukmachera, ani nawet do domu na herbatę, bo jeśli to zrobię, i tak się wyda. Nie mogę się zatrzymywać w kościołach, żeby się pomodlić. Jeśli muszę się modlić, powinienem to robić w marszu albo podczas jazdy na rowerze. Jeśli będzie padać, mam nie zwracać na to uwagi, tylko dostarczyć telegramy i nie być mięczakiem.

Jeden telegram zaadresowany jest do pani Clohessy przy Arthur's Quay; nie może to być nikt inny niż matka Paddy'ego.

– To ty, Frankie McCourt? Jesteś taki duży, że bym cię nie poznała. Wejdz!

Jest ubrana w jasną suknię w kwiaty i błyszczące nowe buty. Na podłodze dwójka dzieci bawi się kolejką. Na stole czajnik do herbaty, filiżanki na spodkach, butelka mleka, bochenek chleba, masło, dżem. Pod oknem dwa łóżka, których przedtem nie było. Wielkie łóżce w kącie jest puste.

– Nie ma go, ale nie umarł – wyjaśnia, jakby czytała w moich myślach. – Pojechał z Paddym do Anglii. Wypij herbaty i zjedz kawałek chleba. Bóg świadkiem, że ci to potrzebne. Wyglądasz, jakbyś ocalał z wielkiego głodu. Zjedz chleba z dżemem, żebyś nabrał siły. Paddy

zawsze mówił o tobie, a mój biedny mąż, Dennis, nigdy nie mógł zapomnieć tego dnia, kiedy przysłała twoja mama i zaśpiewała tę piosenkę o tańcach w Kerry. On jest teraz w Anglii, szykuje kanapki w stołówce i przysyła mi co tydzień kilka szylingów. Można się zastanawiać nad rozumem Anglików, którzy zatrudniają chorego na suchoty do robienia kanapek. Paddy ma świetną pracę w pubie w Cricklewood. To też w Anglii. Dennis dalej by tu leżał, gdyby Paddy nie przeszedł przez mur po ozór.

– Ozór?

– Dennis miał takie zachcianki, no i naszała go ochota na dobrą głowę baranią z kapustą i z pyrami, to poszłam do rzeźnika Barry’ego z paroma ostatnimi szylingami. Ugotowałam ten łeb, a Dennis, chociaż był taki chory, nie mógł się doczekać. Leżał w łóżku i co chwila się dopominał o ten łeb barani, a jak mu go podałam na talerzu, taki był zadowolony, że wyssał szpik z każdej kosteczki. A kiedy skończył, spytał: „Mary, a gdzie ozór?”. „Jaki ozór?” – mówię. „Ozór owcy. Każda owca rodzi się z językiem i dlatego może beczeć, a w tej głowie wyraźnie brakuje języka. Idź do Barry’ego i upomnij się o ten ozór”. To ja idę do Barry’ego, a on mówi: „Ta cholerna owca tak strasznie beczała, że wycieliśmy jej język i rzuciliśmy psu; jak tylko pochłonął ten język, sam zaczął beczeć jak owca i jeśli nie przestanie, to jemu teraz wytnę język i rzucę kotu”. Wracam do Dennisa, a on zupełnie szaleje. Chce ozora i nie ma rady. „Najbardziej odżywczy jest właśnie ozór” – powtarza w kółko. I wyobraź sobie, że twój przyjaciel Paddy poszedł do rzeźnika, jak się już ściemniło. Przeszedł przez płot, wyciął ozór z baraniej głowy, co wisiała na haku, przyniósł go swojemu nieszczęsnemu ojcu. Musiałam oczywiście ugotować ten ozór z masą soli, a Dennis, niech Bóg ma go w opiece, zjadł ozór, położył się na minutę, odrzucił koc i stanął na własnych nogach, oznajmił wszem wobec, że, z gruźlicą czy bez, nie zamierza umierać w tym łóżku. Jeżeli już ma umrzeć, to równie dobrze może zginąć od niemieckiej bomby i zarobić tymczasem parę funtów dla rodziny, zamiast stękać w kącie.

Pokazuje mi list od Paddy’ego. Pracuje dwanaście godzin dziennie w pubie swojego wuja Anthony’ego, zarabia dwadzieścia pięć szylingów tygodniowo, codziennie dostaje zupę i kanapkę. Cieszy się, kiedy nadlatują Niemcy z bombami, bo wtedy pub jest zamknięty i może spać. Sypia na podłodze na półpiętrze. Będzie przysyłał matce dwa funty na miesiąc, a resztę odkłada, żeby ściągnąć ją z całą rodziną do Anglii, bo w jednym pokoju w Cricklewood będzie im lepiej niż w dziesięciu przy Arthur’s Quay. Ona na pewno też dostanie pracę. Trzeba być naprawdę beznadziejnym przypadkiem, żeby nie dostać pracy w kraju prowadzącym wojnę, zwłaszcza teraz, kiedy zwalają się jankesi i szastają pieniędzmi na prawo i na lewo. Paddy też ma zamiar znaleźć pracę w centrum Londynu, gdzie jankesi dają napiwki wystarczające na tygodniowe utrzymanie sześćosobowej irlandzkiej rodziny.

– Dzięki Bogu i Jego Świętej Matce, mamy nareszcie dosyć pieniędzy na jedzenie i na buty – mówi pani Clohessy. – Nigdy byś nie zgadł, kogo Paddy spotkał w Anglii, kogoś, kto ma czternaście lat i pracuje jak mężczyzna. Brendana Quigleya, którego nazywaliście Pytajnikiem. Pracuje i oszczędza, żeby wstąpić do Policji Konnej, jeździć po całej Kanadzie i śpiewać jak Nelson Eddy: „Przyjadę do ciebie eee eee”. Gdyby nie Hitler, tobyśmy wszyscy powymierali, czy to nie straszna prawda? Frankie, a jak tam twoja biedna mama?

– Bardzo dobrze, pani Clohessy.

– Oj, chyba nie. Widziałam ją w ośrodku, wyglądała gorzej niż mój Dennis w łóżku. Musisz się zajmować swoją biedną mamą. Ale ty sam, Frankie, też wyglądasz rozpaczliwie z tymi czerwonymi oczami. Masz tu mały napiwek. Trzy pensy. Kup sobie cukierka.

– Tak zrobię, pani Clohessy.

– Koniecznie!

Na koniec tygodnia pani O’Connell wręcza mi pierwszą pensję w życiu: całego funta, mojego pierwszego funta. Zbiegam ze schodów i biegnę po O’Connell Street, po głównej

ulicy, gdzie palą się latarnie, ludzie wracają z pracy z wypłatą w kieszeni tak jak ja. Chcę, żeby wiedzieli, że jestem taki jak oni, jestem mężczyzną, zarobiłem flinta. Najpierw idę do końca jedną stroną O'Connell Street, a wracam drugą w nadziei, że mnie zauważą. Ale nie. Mam ochotę wymachiwać tym jednofuntowym banknotem, żeby wszyscy powiedzieli: „To Frankie McCourt, człowiek pracy, niesie w kieszeni funta”.

Jest piątek wieczór i mogę robić, co mi się podoba. Mogę zjeść rybę z frytkami i pójść do kina Lyric. Nie, już nie do kina Lyric. Nie muszę już więcej siadać na galerii wśród ludzi wyjących z radości, kiedy Indianie zabijają generała Custer'a albo Afrykanie ścigają Tarzana po całej dżungli. Teraz mogę iść do kina Savoy, zapłacić sześć pensów za miejsce na froncie sali, gdzie chodzi lepsza klasa ludzi, którzy jedzą czekoladki z bombonierek i zakrywają usta, kiedy się śmieją. Po filmie mogę wypić herbatę i zjeść drożdżówkę w restauracji na górze.

Po drugiej stronie ulicy stoi Michael i woła mnie. Jest głodny i pyta, czy jest szansa, żeby dostał u Opata kawałek chleba i mógł zostać na noc, zamiast wracać taki kawał do Lamana Griffina. Oznajmiam mu, że nie musi się martwić o kromkę chleba. Pójdziemy do kawiarni Coliseum, zjemy rybę z frytkami i wszystko, czego zapagnie, opijemy się lemoniadą, a potem zobaczymy *Yankee Doodle Dandy* z Jamesem Cagneyem i zjemy dwie duże tabliczki czekolady. Po filmie pijemy herbatę, jemy drożdżówki i całą drogę do Opata śpiewamy i tańczymy jak Cagney. Michael mówi, że wspaniale jest w Ameryce, gdzie ludzie nic nie robią, tylko tańczą i śpiewają. Już prawie zasypia, ale mruczy jeszcze, że kiedyś tam pojedzie, żeby śpiewać i tańczyć; pyta, czy pomogę mu wyjechać. Kiedy usypia, zaczynam myśleć o Ameryce i o tym, że muszę oszczędzać pieniądze na bilet, zamiast marnować je na rybę z frytkami, herbatę i drożdżówki. Muszę z tego funta odkładać kilka szylingów, bo inaczej na zawsze zostanę w Limerick. Mam czternaście lat, więc jeśli odłożę coś w każdym tygodniu, to chyba będę mógł wyjechać do Ameryki, jak będę miał dwadzieścia.

Telegramy przychodzą do biur, sklepów, do fabryk, gdzie nie ma żadnej nadziei na napiwek. Urzędnicy biorą telegramy i nawet na mnie nie spojrzą, nawet nie podziękują. Przychodzą telegramy do szacownych rodzin ze służbą przy Ennis Road i North Circular Road, gdzie też nie dostaje się napiwku. Służące przypominają urzędników, nawet na mnie nie spojrzą ani nie podziękują. Przychodzą telegramy do domów zakonnych i księży, ale oni również mają służące, chociaż twierdzą, że bieda uszlachetnia. Licząc na napiwki od zakonnic czy księży, można by umrzeć na progu. Przychodzą telegramy do ludzi spoza miasta, do farmerów, u których są błotniste podwórza, a psy próbują człowiekowi odgryźć nogi. Przychodzą telegramy do bogatych mieszkańców wielkich domów, gdzie są odźwierni przy bramie i całe mile gruntu otoczonego murem. Odźwierny wpuszcza za bramę i trzeba pedałować długim podjazdem wśród trawników, klombów i fontann, żeby w ogóle dotrzeć do domu. Jeśli pogoda jest ładna, ludzie z tych domów grają w krokiet, protestancką grę, albo spacerują, rozmawiając i śmiejąc się, wystrojeni w kwaciaste suknie, w blezery z herbami i złotymi guzikami, aż trudno się domyślić, że toczy się wojna. Przed frontowymi drzwiami zaparkowane są bentleye i rolls-royce'y, a służąca każe mi iść naokoło do wejścia dla służby i dziwi się, że nie znam swojego miejsca.

Mieszkańcy dużych domów mówią z angielskim akcentem i nie dają napiwków posłańcom z telegramami.

Napiwki najchętniej dają wdowy, żony protestanckich duchownych i w ogóle ludzie biedni. Wdowy wiedzą, kiedy ma przyjść telegraficzny przekaz od angielskiego rządu, i czekają przy oknie. Trzeba uważać, jeśli zapraszają na filiżankę herbaty, ponieważ jeden z tymczasowo zatrudnionych chłopaków, Scrawby Luby, powiedział, że pewna stara, trzydziestopięcioletnia wdowa zaprosiła go na herbatę i chciała mu ściągnąć spodnie, aż musiał uciekać, choć w rzeczywistości czuł pokusę i musiał w najbliższą niedzielę iść do spowiedzi. Mówił, że bardzo niezręcznie jest wskakiwać na rower, jak to sterczy, ale jeśli

potem jedzie się bardzo szybko, myśląc o cierpieniach Najświętszej Panny, to niemal natychmiast opada.

Żony protestanckich duchownych nigdy nie zachowują się tak jak ta stara wdowa Scrawby'ego, chyba że też są wdowami. Christy Wallace, który jest stałym posłańcem od telegramów i pewnie lada dzień zostanie listonoszem, mówi, że protestanci nie przejmują się tym, co robią, a odnosi się to nawet do żon duchownych. I tak są potępione, więc co za różnica, czy się trochę zabawią z pocztowym posłańcem? Wszyscy posłańcy lubią żony protestanckich duchownych. Nawet jeśli mają służące, to i tak same otwierają drzwi, każą chwilę poczekać i dają sześć pensów. Bardzo chciałbym z nimi porozmawiać, żeby się dowiedzieć, jak się czuje ktoś pewny potępienia, ale mogłyby się poczuć dotknięte i odebrać sześciopensówkę.

Irlandczycy pracujący w Anglii wysyłają przekazy telegraficzne w piątek wieczorem i w sobotę przez cały dzień, i wtedy dostajemy dobre napiwki. Skoro tylko rozwieziemy jedną partię, zaraz wyruszamy z następną.

Najgorsze są uliczki w Irishtown, odchodzące od High Street czy Mungret Street, o wiele gorsze niż Roden Lane, O'Keeffe's Lane czy jakakolwiek z ulic, przy których mieszkałem. To są uliczki, których środkiem płynie kanał. Kobiety stają w drzwiach i ostrzegają rozgłośnym krzykiem, że zamierzają wylać kubeł nieczystości. Dzieci na tych brudach puszczają papierowe stateczki lub pudełka zapalek z maleńkimi żaglami.

Kiedy się wjeżdża na uliczkę, dzieciaki wykrzykują: „Posłaniec z telegramem, posłaniec z telegramem!”. Biegają w moją stronę, a kobiety czekają przy drzwiach. Jeśli dam małemu chłopcu telegram dla jego matki, chłopiec staje się bohaterem. Małe dziewczynki doskonale wiedzą, że muszą poczekać, dając szansę braciom, a jeśli nie mają braci, same mogą odebrać telegram. Kobiety wołają od drzwi, że dziś nie mają pieniędzy, ale gdybym jutro zapukał, dostałbym napiwek. „Niech Bóg błogosławi tobie i twoim bliskim” – mówią.

Pani O'Connell i panna Barry na poczcie powtarzają nam codziennie, że nasza praca polega tylko i wyłącznie na dostarczaniu telegramów. Nie wolno załatwiać ludziom żadnych spraw, chodzić do sklepu czy gdziekolwiek indziej. Nie przejmują się tym, że ktoś może leżeć w łóżku umierający. Nie obchodzi ich to, że mogą być ludzie w ogóle bez nóg czy tacy, co się tylko czołgają po podłodze, albo kompletni wariaci. Mamy dostarczać telegramsy i nic więcej.

– Wiem wszystko, co robicie, bo mieszkańcy Limerick patrzą na was, mam tu w szufladach raporty – mówi pani O'Connell.

– Świetne miejsce na trzymanie raportów – mruczy pod nosem Toby Mackey.

Ale pani O'Connell i panna Barry nie mają pojęcia, jak to jest, kiedy puka się do drzwi, ktoś mówi, żeby wejść, wchodzi się, a wewnątrz nie ma światła, w kącie na łóżku leży kupa szmat i chce się dowiedzieć, kto przyszedł; ty odpowiadasz, że posłaniec z telegramem, a kupa szmat pyta, czy przypadkiem nie poszedłbyś do sklepu, bo umiera z głodu i oddałaby oczy z głowy za filiżankę herbaty. Jak wtedy odpowiedzieć: „nie mam czasu”, odjechać na rowerze i zostawić kupę szmat z telegraficznym przekazem na pieniądze, który jest całkiem bezużyteczny, bo kupa szmat nie może wstać z łóżka i pójść na pocztę, żeby zrealizować ten cholerny przekaz?

I co wtedy zrobić?

Mówią nam, że nigdy nie wolno chodzić na pocztę, żeby zrealizować któryś z tych przekazów, bo wtedy na zawsze stracimy pracę. Ale co zrobić, kiedy stary człowiek, który był na wojnie burskiej setki lat temu, narzeka, że nie może chodzić, i obiecuje dozgonną wdzięczność, jeśli pójdzie się do Paddy'ego Considine'a na poczcie, wyjaśni mu sytuację, to Paddy na pewno zrealizuje przekaz, a sobie zatrzymasz, chłopcze, dwa szylingi. Paddy Considine mówi, że nie ma problemu, ale żeby nikomu o tym nie wygadać, bo on sam wyleciałby na zбитy pysk, a i ty też, synu. Stary człowiek z wojny burskiej wie, że muszą teraz

rozwozić telegramy, ale czy mógłbym wrócić wieczorem i pójść do sklepu, bo nie ma w domu nic dojedzenia, a do tego jeszcze jest tak zimno. Siedzi w starym fotelu w kącie, pookrywany kawałkami koca, za fotelem stoi wiadro, które cuchnie tak, że można się wyrzygać. Kiedy się patrzy na tego starego człowieka w ciemnym kącie, ma się ochotę wziąć wąż z ciepłą wodą, rozebrać go i umyć, a potem nakarmić boczkiem, jajkami, tłuczonymi kartoflami z mnóstwem masła, soli i cebuli.

Chciałbym zabrać tego starca z burskiej wojny i ten stos szmat z łóżka i umieścić ich razem w dużym słonecznym domu na wsi, gdzie za oknem ćwierkałyby ptaki i szemrałyby strumień.

Pani Spillane na Pump Lane, boczniczy Carey Road, ma kalekie bliźniaki, o wielkich głowach z włosami blond, o małych ciałkach i kawałkach nóg zwieszających się z krzeseł. Przez cały dzień wpatrują się w ogień i powtarzają: „Gdzie tata?”. Mówią po angielsku, tak jak my wszyscy, ale między sobą porozumiewają się w jakimś wymyślonym przez siebie języku. Pani Spillane im tłumaczy: „Kiedy dostaniemy kolację?”. Mówi, że dobrze, jeśli mąż przyśle cztery funty miesięcznie, nie może już wysłuchiwać obelg w ośrodku pomocy społecznej za to, że on pojechał do Anglii. Dzieci mają dopiero cztery latka i są bardzo bystre, mimo że nie potrafią chodzić i nie są samodzielne. Gdyby mogły chodzić, gdyby były trochę normalniejsze, spakowałyby się i wyniosła do Anglii z tego zapomnianego przez Boga i ludzi kraju, który tak długo walczył o niepodległość, i proszę, do czego to doprowadziło; ten stary nędzny drań De Valera w swojej rezydencji w Dublinie i cała reszta polityków mogą iść do diabła. Niech mi Bóg wybaczy. Księża też mogą iść do diabła i nawet nie będę prosiła Boga, żeby mi wybaczył, że tak mówię. Księża i zakonnice powtarzają nam, że Jezus był biedny i to żaden wstyd, a pod ich domy podjeżdżają ciężarówki ze skrzynkami i beczkami whisky i wina, jajek i wielkich szynek, a oni jeszcze mają czelność mówić nam, czego mamy się wyrzec w wielkim poście. Dobrze sobie. Czego mamy się wyrzekać, jak u nas cały rok jest wielki post?

Chciałbym zabrać panią Spillane i dwójkę jej jasnowłosych kalekich dzieci do domu na wieś, razem z kupą szmat i człowiekiem z wojny burskiej, umyć ich i pozwolić im siedzieć na słońcu przy śpiewie ptaków i szumie strumienia.

Nie mogę zostawić kupy szmat samej z bezużytecznym przekazem telegraficznym, bo to stara kobieta, pani Gertrudę Dały, powykręcana przez wszystkie rodzaje chorób, jakich się można nabawić na uliczkach Limerick, artretyzm, reumatyzm, wypadające włosy, nos zmasakrowany przez ciągłe dłubanie. Zastanawiam się, co to za świat, w którym ta stara kobieta siada w kupie szmat i uśmiecha się do mnie, odsłaniając własne, idealne zęby, których biel błyszczą w ciemności.

– To prawda – twierdzi – to moje zęby; jak już będę w grobie, to za sto lat znajdą moje zęby białe i błyszczące i ogłoszą mnie świętą.

Przekaz telegraficzny na trzy funty przychodzi od jej syna.

Jest na nim tekst: „Mamo, najlepsze życzenia urodzinowe, kochający syn Teddy”.

– Aż dziw, że tyle mógł wysłać ten drań, zadający się z każdą dziwką na Piccadilly – mówi. Pyta, czy mógłbym jej oddać przysługą, podjąć na poczcie pieniądze, kupić małą buteleczką whisky Powersa w pubie, bochenek chleba, funt smalcu i siedem kartofli, po jednym na każdy dzień. Czy mógłbym ugotować kartofel, ugnieść go ze smalcem, dać jej kromkę chleba, przynieść odrobiną wody do whisky? Czy poszedłbym do apteki O’Connora po maść na rany, a przy okazji przyniósł kawałek mydła, żeby mogła porządnie się wyszorować? Będzie mi dozgonnie wdzięczna, pomodli się za mnie, a tu są dwa szylingi za moje trudy.

– O nie, proszą pani, dziękuję.

– Weź pieniądze. Mały napiwek. Zrobiłeś mi wielką uprzejmość.

- Nie mogę, proszę pani, pani jest w takiej sytuacji...
- Weź pieniądze, bo poproszę na pocztę, żebyś mi już więcej nie przynosił przekazów.
- No dobrze, proszę pani, bardzo dziękuję.
- Dobranoc, synu. Bądź dobry dla swojej matki.
- Dobranoc, pani Dały.

We wrześniu zaczyna się szkoła; w niektóre dni Michael wstępuje do Opat, zanim wróci do domu Lamana Griffina. W deszczowe dni pyta, czy mógłby zostać na noc, i po jakimś czasie w ogóle nie chce chodzić do Lamana. Jest wyczerpany i wygłodniały po przejściu dwóch mil w jedną i dwóch w drugą stronę.

Kiedy mama przychodzi po niego, nie wiem, co jej powiedzieć. Nie potrafią na nią spojrzeć, więc patrzą w bok. Ona pyta, jak tam praca, jakby nigdy nic nie zaszło. Odpowiadam, że doskonale, jakby tam nigdy nic się nie stało. Jeśli pada zbyt duży deszcz, zostaje z Alphem w małym pokoiku na górze. Na drugi dzień wraca, ale Michael zostaje, a wkrótce ona też powoli się przenosi, aż w końcu w ogóle przestaje chodzić do Lamana.

Opat co tydzień płaci komorne. Mama dostaje zasiłek i kupony najedzenie, dopóki ktoś na nią nie doniesie; wtedy zostaje wyrzucona z ośrodka. Jeśli syn zarabia funta tygodniowo, to jest więcej, niż inne rodziny dostają na bezrobociu, więc powinna być wdzięczna, że syn ma pracę. Teraz muszę oddawać swoją wypłatę.

– Funt? Tylko tyle dostajesz za jazdę w każdą pogodę? W Ameryce to byłoby cztery dolary. Cztery dolary. A w Nowym Jorku za cztery dolary nie dałoby się wyżywić nawet kota. Gdybyś roznosił telegramy w Western Union w Nowym Jorku, zarabiałbyś dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo i żyłbyś w luksusie.

Zawsze przelicza irlandzkie pieniądze na amerykańskie, żeby nie zapomnieć, i próbuje wszystkich przekonać, że tam było znacznie lepiej. Czasami pozwala mi zatrzymać dwa szylingi, ale jeśli idę do kina albo kupuję używaną książkę, nic mi nie zostaje. Nie będę mógł odłożyć na bilet i utknę w Limerick, aż zrobię się starym, dwudziestopięcioletnim człowiekiem.

Malachy pisze z Dublinia, że ma dosyć, nie chce do końca życia dmuchać w trąbkę w wojskowej orkiestrze. Po tygodniu jest już w domu i narzeka, że musi dzielić wielkie łóżko z Michaeliem, z Alphem i ze mną. W Dublinie miał własną wojskową prycę z prześcieradłami, kocem i poduszką. Teraz znów przykrywa się paltami, a z zagłówek przy każdym dotknięciu wylatuje chmura pierza.

– Szkoda mi ciebie, przykro mi z powodu twoich zmartwień – mówi mama.

Opat ma własne łóżko, a mama mały pokój. Znowu jesteśmy wszyscy razem i nie dręczy nas żaden Laman. Robimy herbatę, podsmażamy chleb i siedzimy na podłodze w kuchni. Opat twierdzi, że nie powinno się siadać na kuchennej podłodze, od czego są stoły i krzesła? Podburza mamę, że Frankie nie ma dobrze w głowie, a ona przestrzega, że poumieramy od tej wilgoci z podłogi. Siedzimy na podłodze i śpiewamy, a mama i Opat siedzą na krzesłach.

Opat śpiewa „Drogę do Rasheen”, a my nadal nie wiemy, o czym jest ta piosenka. Siedzimy na podłodze i opowiadamy historie o tym, co się wydarzyło, o tym, co się nigdy nie wydarzyło, i o tym, co się wydarzy, kiedy wszyscy pojedziemy do Ameryki.

Czasami na pocztę nie ma ruchu, czekamy na ławce i rozmawiamy. Możemy rozmawiać, ale nie wolno nam się śmiać. Zdaniem panny Barry powinniśmy być wdzięczni, że płacą nam za siedzenie, choć jesteśmy bandą leniuchów i uliczników, ale o żadnych śmiechach nie może być mowy. Branie pieniędzy za siedzenie i gadanie to nic śmiesznego, więc przy pierwszym chichocie wylecimy na dwór, dopóki nie nabierzemy rozsądku, a jak się te chichoty powtórzą, zostaną o tym poinformowane odpowiednie władze.

Chłopaki mówią o niej pod nosem:

– Tej starej jędzy przydałaby się dobra szczota. Jej matka była ulicznicą, a ojciec uciekł od czubków z odciskami na jajach i brodawkami na kutasie.

Na ławce wybucha śmiech, a panna Barry woła:

– Ostrzegałam was, że nie wolno się śmiać. Mackey, o czym tak paplesz?

– Panno Barry, mówiłem, że w taki piękny dzień lepiej by nam było rozwozić telegramy na świeżym powietrzu.

– Akurat ci wierzę, Mackey. Twoje usta to kloaka. Słyszysz?

– Słyszę, panno Barry.

– Słysząc cię było aż na schodach, Mackey.

– Tak, panno Barry.

– Zamknij się, Mackey!

– Tak, panno Barry.

– Mackey, ani słowa więcej!

– Tak, panno Barry.

– Mackey, powiedziałam, żebyś się zamknął!

– Tak, panno Barry.

– Dosyć tego, Mackey. Nie wystawiaj mnie na próbę!

– Nie będę, panno Barry.

– Matko Boska, daj mi cierpliwość!

– Tak, panno Barry.

– Powiedz ostatnie słowo, Mackey. No dalej, mów!

– Tak, panno Barry.

Toby Mackey jest posłańcem zatrudnionym tymczasowo tak jak ja. Obejrzał film pod tytułem *Pierwsza strona* i teraz marzy o tym, żeby pewnego dnia wyjechać do Ameryki i zostać bezkompromisowym reporterem w kapeluszu i z papierosem. Nosi w kieszeni notatnik, ponieważ dobry reporter musi od razu zapisać, co się wydarzyło. Fakty. Musi zapisywać fakty, a nie mnóstwo cholernej poezji, którą wyłącznie słyszy się w Limerick od tych wszystkich mężczyzn w pubach, rozwodzących się bez końca nad wielkimi cierpieniami za panowania Anglików. „Fakty, Frankie. Zapisuję liczbę dostarczonych telegramów i odległość, jaką pokonuje”. Siedzimy na ławce pełni determinacji, żeby się nie roześmiać, a on oblicza, że jeśli rozwozimy czterdzieści telegramów dziennie, to oznacza dwieście tygodniowo, czyli dziesięć tysięcy rocznie, a dwadzieścia tysięcy w ciągu dwu lat pracy. Jeśli przejedziemy na rowerze sto dwadzieścia pięć mil tygodniowo, to oznacza, że pokonamy trzysta tysięcy mil w ciągu dwóch lat, a to jest połowa drogi dookoła świata; „Frankie, nic dziwnego, że na naszych tyłkach nie ma nawet skrawka ciała”.

Toby twierdzi, że nikt nie zna Limerick tak dobrze jak posłaniec pocztowy. Znamy każdą aleję, drogę, ulicę, skwerek, zaułek czy uliczkę.

– Jezu – mówi Toby – nie ma przecież w Limerick ani jednych drzwi, których byśmy nie znali. Pukamy do najróżniejszych drzwi: żelaznych, dębowych, z dykty. Frankie, dwadzieścia tysięcy drzwi! Drapiemy w nie, kopiemy, pchamy. Naciskamy dzwonki, szarpiemy kołatki. Gwiżdżemy i wołamy: „posłaniec, telegram!”. Wrzucamy telegramy do skrzynek na listy, wpychamy je pod drzwi, przerzucamy przez okienko nad drzwiami. Wdrapujemy się przez okna do ludzi przykutych do łóżek. Walczymy z każdym psem, który chce zrobić sobie z nas obiad. Nigdy nie wiadomo, co się stanie, kiedy wręczy się ludziom telegram. Śmieją się, śpiewają i tańczą albo płaczą, krzyczą i mdleją z wrażenia. Wtedy zastanawiasz się, czy w ogóle się ockną i dadzą napiwek. Zupełnie nie przypomina to rozwożenia telegramów w Ameryce, jak to robi Mickey Rooney w filmie *Komedia ludzka*: ludzie są dla niego mili i po prostu wychodzą z siebie, żeby dać napiwek; zapraszają go do domu, częstują herbatą i drożdżówką.

Toby Mackey twierdzi, że choć zapisał całe mnóstwo faktów w swoim notatniku, to generalnie ma wszystko gdzieś. Też chciałbym być taki.

Pani O'Connell wie, że lubię telegramy na wieś, więc w słoneczny dzień daje mi dziesięć, co może zająć cały ranek, i mam wrócić dopiero po przerwie obiadowej w południe. W piękne jesienne ranki woda w rzece Shannon lśni, zielone pola srebrzy rosa. W powietrzu unosi się dym i słodki zapach płonącego torfu. Na polach pasą się krowy i owce, a ja się zastanawiam, czy o te zwierzęta chodziło księdzu. Nie zdziwiłoby mnie to zbyt, bo byki właściwie bez przerwy wchodzi na krowy, barany na owce, ogiery na kłaczki, a wszystkie mają takie wielkie te urządzenia, że na sam ich widok oblewam się potem i żal mi wszystkich samic na tym świecie, które muszą tak cierpieć, choć nie miałbym nic przeciwko temu, żeby być bykiem, bo zwierzęta mogą robić, co chcą, i nikt nie uważa tego za grzech. Chętnie też dobrałbym się tu sam do siebie, ale nigdy nie wiadomo, kiedy na drodze pojawi się farmer prowadzący krowę czy owcę na targ albo na sąsiednie pole. Uniesie kij i powie: „Dzień dobry, młody człowieku, wspaniały ranek, dziękować Bogu i Jego Świętej Matce”. Taki religijny farmer mógłby się poczuć dotknięty, gdyby zobaczył, że ktoś łamie szóste przykazanie akurat na terenie jego posiadłości. Konie lubią wystawiać łby przez ogrodzenia i żywopłoty, żeby zobaczyć, co się dzieje, więc przystaję i rozmawiam z nimi, bo mają takie wielkie oczy i długie nosy, co świadczy o ich inteligencji. Czasami dwa ptaki śpiewają do siebie na dwóch przeciwległych polach, więc muszę się zatrzymać i posłuchać, a jeśli stoję wystarczająco długo, dołącza więcej ptaków, aż każde drzewo i krzak rozbrzmiewa śpiewem. Jeśli pod mostem na drodze szmerze strumień, śpiewają ptaki, krowy ryczą, a owce beczą, to te głosy brzmią piękniej od każdej orkiestry na filmie. Od zapachu bekonu i kapusty dochodzącego z jakiejś farmy po prostu słabnę z głodu, więc przechodzę przez mur na pole i przez dobre pół godziny opycham się jeżynami. Zanurzam twarz w strumyku i piję lodowatą wodę, która jest znacznie lepsza od lemoniady w każdej smażalni ryb i frytek.

Kiedy skończę roznosić telegramy, mam jeszcze dosyć czasu, żeby pójść na cmentarz przy starym klasztorze, gdzie pochowani są krewni mojej mamy, Guilfoylesowie i Sheehanowie, i gdzie mama też chce być pochowana. Widzę stąd wysokie ruiny zamku Carrigogunnell. Mam jeszcze czas, żeby tam pojechać, usiąść na najwyższym murze, popatrzeć na rzekę Shannon wpływającą do Atlantyku w drodze do Ameryki i pomarzyć o dniu, kiedy i ja tam popłynę.

Chłopaki na poczcie mówią, że mam szczęście, bo dostałem telegram do rodziny Carmody, napiwek jeden szyling, największy, jaki można dostać w Limerick. Więc dlaczego mnie tam wysyłają? Jestem najmłodszym posłańcem. No, czasami otwiera drzwi Theresa Carmody, która ma suchoty, a oni boją się zarazić. Ona ma siedemnaście lat, wróciła z sanatorium i z pewnością nie doczeka osiemnastych urodzin. Chłopcy na poczcie twierdzą, iż ludzie chorzy tak jak Theresa mają świadomość, że nie zostało im dużo czasu, dlatego szaleją na punkcie miłości, romansu i w ogóle wszystkiego. Wszystkiego. Bo to właśnie robią z człowiekiem suchoty – mówią chłopcy na poczcie.

Jadę rowerem po mokrych listopadowych ulicach, myśląc o szylingowym napiwku, i akurat jak skręcam w ulicę Carmodych, rower jakoś wymyka się spode mnie i jadę po ziemi, rozdrapując sobie twarz i zrywając skórę z wierzchu dłoni. Drzwi otwiera Theresa Carmody. Ma rude włosy, oczy zielone jak pola za miastem Limerick. Policzki ma jaskraworóżowe, a cerę bardzo białą.

– Jesteś mokry i pokrwawiony – mówi.

– Poślizgnąłem się na rowerze.

– Wejdz, posmaruję ci te zadrapania.

Zastanawiam się, czy powinienem wchodzić. Mogę dostać suchot i będzie koniec ze mną. Chcę żyć, kiedy będę miał piętnaście lat, ale chcę też dostać szylinga napiwku.

– Wejdz, zginiesz, stojąc tak w drzwiach.

Nastawia czajnik na herbatę. Potem pociera moje skaleczenia jodyną, a ja próbuję się zachować jak mężczyzna i ani drgnąć.

– O, jesteś dzielny – chwali. – Wejź do saloniku i osusz się przy ogniu. Lepiej zdejmij spodnie i wysusz je na ekranie przed kominkiem.

– Och, nie!

– Och, tak!

– Dobrze.

Rozwieszam spodnie na ekranie. Siedzę i patrzę, jak unosi się z nich para, widzę też, jak ja sam się unoszę, i boję się, że ona może wejść i zobaczyć mnie i moje podniecenie.

I ona wchodzi z tacą, na której jest chleb, dżem i dwie filiżanki herbaty.

– Boże – mówi – jesteś co prawda chudziutki, ale masz tam niezłego chłopczyka.

Stawia tacę i filiżanki na stoliku i tam już zostają. Bierze sam koniec mojego podniecenia między kciuk a palec wskazujący i prowadzi mnie do zielonej sofy pod ścianą. Przez cały czas mam głowę napełnioną grzechem, jodyną, strachem przed suchotami, szylingiem napiwku i jej zielonymi oczami; ona jest na sofie. „Nie przerywaj, bo umrę!” – krzyczy. I ja krzyczę, bo nie wiem, co się ze mną dzieje, nie wiem, czy zarażam się suchotami z jej ust, wznoszę się do nieba, spadam ze skały, a jeśli to jest grzech, to obchodzi mnie to tyle co pierdnięcie skrzypka.

Chwilę odpoczywamy na sofie, aż ona pyta:

– Nie masz więcej telegramów do rozwiezienia? – Kiedy siadamy, wykrzykuje: – Oj, ja krwawię!

– Co się stało?

– Chyba dlatego, że to pierwszy raz.

Przynoszę z kuchni flakon i chlustam jodyną na jej obrażenia, Zrywa się z sofy, jak szalona kręci się po saloniku i biegnie do kuchni połączyć wodą. Kiedy się już wytarła mówi:

– Boże, ale ty jesteś niewinny! Nie można tak polewać dziewcząt jodyną.

– Myślałem, że się skaleczyłaś.

Jeszcze przez wiele tygodni przywożę telegramy. Czasami mamy podniecenie na sofie, ale są dni, kiedy ona bardzo kaszle i widać, jaka jest słaba. Nigdy mi nie mówi o swojej słabości. Nigdy się nie zwierza, że ma suchoty. Chłopcy na poczcie twierdzą że pewno jestem szczęśliwy z tym szylingowym napiwkiem i Theresą Carmody. Nigdy się nie tłumaczę, że przestałem brać szylinga napiwku. Nie opowiadam o zielonej sofie i o podnieceniu. Nigdy im nie mówię o bólu, jaki odczuwam, kiedy ona otwiera drzwi i widzę, jaka jest słaba, i że wtedy pragnę tylko zrobić jej herbaty, objąć ją i siedzieć przy niej na zielonej sofie.

Pewnej soboty mam dostarczyć telegram matce Theresy do pracy do Woolwortha. Próbuję rozmawiać swobodnie.

– Pani Carmody, zawsze dostarczam telegram Theresie, to chyba pani córka.

– Tak, teraz jest w szpitalu.

– W sanatorium?

– Powiedziała, że w szpitalu.

Tak jak wszyscy w Limerick ona też się wstydzi gruźlicy; nie daje mi szylinga ani żadnego napiwku. Jadę rowerem do sanatorium, żeby zobaczyć Theresę. Wpuszczają tylko członków rodziny, w dodatku dorosłych. Odpowiadam, że jestem jej kuzynem, a w sierpniu skończę piętnaście lat. Nic z tego. Jadę do kościoła Franciszkanów i modlę się za Theresę. Święty Franciszku, czy mógłbyś porozmawiać z Bogiem, bardzo cię proszę. Powiedz Mu, że to nie była wina Theresy. Mogłem co sobota odmawiać dostarczenia tego telegramu. Powiedz Panu Bogu, że Theresa nie ponosiła odpowiedzialności za podniecenie na kanapie, bo to robią człowiekowi suchoty. Zresztą, święty Franciszku, to i tak nie ma znaczenia, bo ja kocham Theresę. Kocham ją tak samo, jak Ty kochasz każdego ptaka, zwierzę i rybę. Czy mógłbyś powiedzieć Bogu, żeby zabrał te suchoty, a ja obiecuję, że już nigdy się do niej nie zbliżę.

Następnej soboty dają mi telegram do Carmodych. Już w połowie ulicy widzę, że zasłony są opuszczone. Na drzwiach wieniec z czarnej krepy. Białe karty kondolencyjne z fioletowymi obwódkami. Wzrokiem sięgam przez drzwi i ściany aż tam, gdzie tarzaliśmy się z Theresą nadzy i szaleni na zielonej sofie, i wiem, że ona jest teraz w piekle, i to przeze mnie.

Wsuwam telegram pod drzwi i jadę do kościoła Franciszkanów, błagać o spokój duszy Theresy. Modłę się do każdego posągu, do witrażowych okien, do stacji drogi krzyżowej. Przysięgam, że będę żył w wierze, nadziei i miłosierdziu, w ubóstwie, czystości i posłuszeństwie.

Następnego dnia, w niedzielę, idę na cztery msze. Trzy razy odbywam stacje drogi krzyżowej. Przez cały dzień odmawiam różaniec. Nie przyjmuję jedzenia ani picia, a w każdym spokojnym miejscu płaczę i błagam Boga i Najświętszą Pannę, żeby zlitowali się nad duszą Theresy Carmody.

W poniedziałek jadę za orszakiem pogrzebowym na pocztowym rowerze. Stoję za drzewem w pewnej odległości od grobu. Pani Carmody szlocha i jęczy, pan Carmody pociąga nosem i wygląda na zdziwionego. Ksiądz recytuje łacińskie modlitwy i kropi trumnę wodą święconą.

Chcę podejść do księdza, do państwa Carmodych. Chcę im powiedzieć, że to ja posłałem Theresę do piekła. Mogą zrobić ze mną, co zechcą. Zwymyślać. Poniżyć. Obrzucić ziemią z grobu. Jednak stoję za drzewem, dopóki żałobnicy się nie rozejdą, a grabarze nie zasypią mogiły.

Szron zaczyna bieleć na świeżej ziemi grobu, a ja myślę o Theresie, zimnej w trumnie, o jej rudych włosach, o zielonych oczach. Nie mogę zrozumieć własnych uczuć, ale wiem, że po śmierci wszystkich moich krewnych, sąsiadów z uliczek i wszystkich innych, którzy odeszli, nie czułem takiego bólu i mam nadzieję, że już nigdy nie poczuję.

Robi się ciemno. Wyprowadzam rower z cmentarza. Muszę porozwozić telegramy.

XVI

Pani O'Connell daje mi telegramy dla pana Harringtona, Anglika, któremu zmarła żona, urodzona i wychowana w Limerick. Chłopaki na poczcie mówią, że telegramy kondolencyjne to strata czasu. Ludzie płaczą i zawodzą z żalu, ale uważają, że nie obowiązuje ich dawanie napiwków. Często proszą, żeby wejść, spojrzeć na nieboszczyka i odmówić modlitwę. Nie byłoby to takie złe, gdyby zaproponowali również kropelkę sherry i kanapkę z szynką. Jednak nie, chętnie przyjmą modlitwę, ale przecież jesteś tylko posłańcem, więc przy odrobinie szczęścia dostaniesz suchego herbatnika. Starsi chłopcy na poczcie twierdzą, że trzeba dobrze rozegrać sytuację, żeby dostać żałobny napiwek. Jeśli zostanie się zaproszonym do środka, trzeba uklęknąć przy nieboszczyku, wydać głębokie westchnienie, przeżegnać się, oprzeć czoło na pościeli, trząść ramionami, jakby się szłochoło z rozpaczą, chwycić się obydwoma rękami za łóżko, jakby trudno się było oderwać do rozniesienia reszty telegramów, upewnić się, że policzki błyszczą od łez albo od roztartej śliny. Jeśli po tym wszystkim nie dostanie się napiwku, należy następną partię telegramów wsunąć szparą pod drzwiami albo wrzucić przez okienko na górze i pozostawić domowników w objęciach żałoby.

Nie po raz pierwszy przywożę telegram do domu Harringtonów. Pan Harrington jest zawsze w podróży służbowej, bo pracuje w towarzystwie ubezpieczeń, a pani Harrington dość hojnie rozdaje napiwki. Ale ona umarła i drzwi otwiera pan Harrington. Ma czerwone oczy i pociąga nosem.

– Jesteś Irlandczykiem? – pyta.

Irlandczykiem? A kim mógłbym być, skoro stoję na progu jego domu w Limerick ze stertą telegramów w garści?

– Tak, proszę pana.

– Wejdz. Połóż telegram na stoliku w holu.

Zamyka drzwi, chowa klucz do kieszeni, a ja myślę, że Anglicy są jednak bardzo dziwni.

– Oczywiście, chciałbyś ją zobaczyć. Chciałbyś zobaczyć, coście z nią zrobili przez tę waszą cholerną gruźlicę. Rasa wampirów. Chodź za mną!

Prowadzi mnie najpierw do kuchni, skąd bierze talerz pełen kanapek z szynką i dwie butelki, a potem na górę. Leżąca na łóżku pani Harrington wygląda ślicznie: blondynka, różowa, spokojna.

– To moja żona. Chociaż jest Irlandką, ale, dzięki Bogu, na to nie wygląda. Irlandką jak ty. Oczywiście, będziesz chciał się napić. Wy, Irlandczycy, żłopiecie alkohol w każdej sytuacji. Ledwo odłączeni od piersi, domagacie się butelki whisky, kufla piwa. Czego się napijesz: whisky, sherry?

– Najchętniej lemoniady.

– Oplakuję moją żonę, nie wyprawiam święta owoców cytrusowych. Napijesz się sherry, tej cholernej lury z katolickiej, faszystowskiej Hiszpanii.

Połykam sherry. On znowu napełnia mój kieliszek, sobie nalewa whisky.

– Psiakrew! Już nie ma whisky. Zostań tu. Idę do pubu po butelkę. Czekaj, aż wrócę. Nie ruszaj się!

Jestem trochę kołowaty po sherry. Nie bardzo wiem, co należy robić z Anglikiem pogrążonym w żałobie.

– Pani Harrington – mówię – uroczo pani wygląda w tym łóżku. Ale jest pani protestantką, już potępioną, w piekle jak Theresa. Ksiądz powiedział: poza Kościołem nie ma zbawienia. Chwileczkę, może mi się uda ocalić pani duszę. Ochrzcić po katolicku.

Zadośćuczynić za to, co zrobiłem Theresie. Wezmę trochę wody. O Boże, drzwi są zamknięte. Dlaczego? A może pani wcale nie umarła? I obserwuje mnie. Pani Harrington, czy pani nie żyje? Wcale się nie boję. Pani twarz jest lodowata. O, jednak pani nie żyje. To ochrzczę panią sherry z katolickiej, faszystowskiej Hiszpanii. Ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna, i...

– Co robisz, do jasnej cholery? Odejdź od mojej żony, ty przeklęty papieski pomioście! Co to za prymitywny irlandzki rytuał? Dotykałeś jej? Dotykałeś? Skręć ci ten kościsty kark.

– Ja, ja...

– Oj, oj, mów po angielsku, ty szczyłu.

– Ja tylko wziąłem troszkę sherry, żeby ją wpuścić do nieba.

– Do nieba? My tu mieliśmy niebo, Ann, ja, nasza córka Emily. Nigdy nie popatrzysz na nią tymi swoimi czerwonymi ślipiami. O Chryste, nie zniosę tego! Masz, napij się jeszcze sherry.

– Och, nie, dziękuję.

– Och, nie, dziękuję. Ten słabowity celtycki jęk. Wy kochacie alkohol. Pozwala wam lepiej pełzać i narzekać. Oczywiście, chcesz jeść. Wyglądasz jak typowy zagłodzony Irlandczyk. Proszę. To szynka. Jedz.

– Och, nie, dziękuję.

– Och, nie, dziękuję. Powtórz to jeszcze raz, a wtłoczę ci tę szynkę w tyłek.

Macha w moją stronę kanapką z szynką, a potem wpycha mi ją do ust końcem dłoni.

Opada na krzesło.

– O Boże, Boże, co ja mam robić? Muszę chwilę odpocząć.

Mój żołądek się buntuje. Rzucam się do okna, wychylam głowę i wymiotuję. On zrywa się z krzesła i atakuje.

– Ty, ty, niech cię Bóg wepchnie do piekła, zarzygałeś róże mojej żony!

Chce się na mnie rzucić, nie trafia, pada na podłogę. Ja wdrapuję się na okno, stoję na krawędzi. On już jest przy oknie, usiłuje chwycić mnie za ręce. Puszczam futrynę, spadam na krzak róży, prosto na kanapkę z szynką i sherry, które przed chwilą zwymiotowałem. Kolce róży kłują mnie i pieką, mam skręconą kostkę. A on stoi w oknie i wrzeszczy:

– Chodź tutaj, ty irlandzki pomioście! – Doniesie na mnie na pocztę. Rzuca mi w plecy butelką po whisky, błaga: – Nie posiedziałybyś ze mną z godzinę?

Bombarduje mnie kieliszkami od sherry, kieliszkami od whisky, kanapkami z szynką, pudrem, kremami, szczotkami z toaletki żony.

Wsiadam na rower i jadę chwiejnie ulicami Limerick, kołowaty od sherry i bólu. Na poczcie atakuje mnie pani O'Connell:

– Siedem telegramów na jeden adres, a ciebie nie było cały dzień.

– Nie było, nie było.

– Nie było, nie było. Byłeś pijany, ot, co. I jesteś pijany. Cuchniesz alkoholem. Och, wszystko wiemy. Ten miły człowiek zadzwonił, pan Harrington, uroczy Anglik, który mówi jak James Mason. Wpuścił cię do domu, żebyś się pomodlił za jego biedną żonę, a ty wyskoczyłeś przez okno z szynką i z sherry. Nieszczęsna matka, która wydała na świat kogoś takiego.

– On mnie zmusił do jedzenia szynki i picia sherry.

– Zmusił cię? A to dobre! Zmusił cię? Pan Harrington jest bardzo wykształconym Anglikiem i nie ma żadnego powodu kłamać, a my nie chcemy na poczcie takich posłańców, co nie potrafią trzymać się z daleka od szynki i sherry. Oddawaj torbę na telegramy i rower, bo twój czas na poczcie dobiegł końca.

– Aleja potrzebuję tej pracy. Muszę odkładać, żeby wyjechać do Ameryki.

– Do Ameryki! Naprawdę smutny to będzie dzień, kiedy do Ameryki zaczną wpuszczać takich jak ty.

Kuśtykam ulicami Limerick. Chciałbym wrócić i cisnąć cegłą w okno pana Harringtona. Ale nie. Szacunek dla zmarłych. Pójdę na drugą stronę mostu Sarsfrelld na brzeg rzeki, położę się w krzakach. Nie wiem, jak wrócę do domu i powiem mamie, że straciłem pracę. Ale muszę iść do domu.

Muszę jej powiedzieć. Nie mogę spędzić nocy na brzegu rzeki. Mama będzie zrozpaczona.

Mama błaga na poczcie, żeby przyjęli mnie z powrotem. Odmawiają. Nigdy nie słyszeli o podobnym zachowaniu. Poślaniec od telegramów molestujący zwłoki. Poślaniec od telegramów uciekający z szynką i sherry. Już nigdy nie przekroczy progu poczty. Na pewno.

Przychodzi list od proboszcza. „Przyjmijcie chłopca z powrotem” – pisze proboszcz. „O tak, proszę księdza, naturalnie” – odpowiada poczta. Pozwolą mi pracować do dnia moich szesnastych urodzin, ani chwili dłużej.

– Zresztą – mówi pani O’Connell – jak się pomyśli o tym, co Anglicy wyprawiali z nami przez osiemset lat, to ten człowiek nie ma prawa się uskarżać z powodu odrobiny szynki i sherry. Jak się porówna odrobinę szynki i sherry z wielkim głodem, to co wychodzi? Gdyby żył mój mąż i gdybym mu powiedziała, co zrobiłeś, to stwierdziłby, że trafiłeś w sedno, Franku McCourt, trafiłeś w sedno.

W każdą sobotę rano przysięgam, że pójdę do spowiedzi i powiem księdzu o moich grzesznych poczynaniach w domu, na pustych łąkach wokół Limerick wśród gapiących się krów i owiec, na szczycie Carrigunnell, na oczach całego świata.

Powiem mu o Theresie Carmody i o tym, jak wysłałem ją do piekła, i to będzie koniec, zostanę wyrzucony z Kościoła.

Theresa jest dla mnie udręką. Ile razy wiozę telegram na jej ulicę, ile razy mijam cmentarz, czuję grzech rosnący we mnie jak wrzód. I jeśli nie pójdę wkrótce do spowiedzi, sam stanę się wielkim wrzodem na rowerze, ludzie będą mnie wytykali palcami: „Patrzenie, to Frankie McCourt, ten grzesznik, co wysłał Theresę Carmody do piekła”.

W niedzielę patrzę na ludzi przystępujących do komunii, wszyscy w stanie łaski, wracający na miejsca z Bogiem w ustach, spokojni, zadowoleni, gotowi umrzeć w każdej chwili i pójść prosto do nieba albo wrócić do domu, do boczków i jajek, bez najmniejszej udręki.

To, że jestem najgorszym grzesznikiem w Limerick, wyczerpało mnie całkowicie. Chcę się pozbyć tego grzechu, jeść boczek i jajka bez poczucia winy, bez skrępowań. Chcę być zwyczajny.

Księża ciągle nam powtarzają, że miłosierdzie Boga nie ma granic, ale jak ksiądz może dać rozgrzeszenie komuś, kto tak jak ja rozwozi telegramy i kończy w stanie podniecenia na zielonej sofie z dziewczyną umierającą na galopujące suchoty?

Jeżdżę rowerem z telegramami po całym Limerick i wstępuję do każdego kościoła. Jeżdżę od redemptorystów do jezuitów, od augustynów do dominikanów i do franciszkanów. Klękam przed figurą świętego Franciszka z Asyżu i błagam, żeby mi pomógł, ale mam wrażenie, że za bardzo się mną brzydzi. Klękam razem z ludźmi w ławkach przed konfesjonałem, ale kiedy przychodzi moja kolej, nie mogę oddychać, serce mi wali, na zimne czoło występuje pot i wybiegam z kościoła.

Przysięgam, że pójdę do spowiedzi na Boże Narodzenie. Nie mogę. Na Wielkanoc. Nie mogę. Mijają tygodnie i miesiące, już rok od śmierci Theresy. Pójdę w rocznicę jej śmierci, ale nie mogę. Mam piętnaście lat i mijam kościoły, nie wstępując. Będę musiał poczekać, aż pojedę do Ameryki, gdzie są tacy księża jak Bing Crosby w *Iść własną drogą*, którzy nie wykopią mnie z konfesjonału zwyczajem księży z Limerick.

Dalej noszę w sobie ten grzech, jak wrzód, i łudzę się nadzieją, że nie wykończy mnie kompletnie, zanim zobaczę amerykańskiego księdza.

Mam telegram dla starej kobiety, pani Brigid Finucane.

– Ile masz lat, swoją drogą? – pyta.

– Piętnaście i pół, pani Finucane.

– Wystarczająco młody, żeby zrobić z siebie głupca, i dosyć stary, żeby być mądrzejszy. Swoją drogą, czy jesteś sprytny? Chociaż trochę inteligencji?

– Umieam czytać i pisać, pani Finucane.

– Ach, u czubków jest pełno takich, co umieją czytać i pisać. A list umiesz napisać?

– Umieam.

Proponuje, żebym pisał listy do jej klientów. Jeśli ktoś chce kupić garnitur czy sukienkę dla dziecka, może przyjść do niej. Dostanie kwitek do sklepu i weźmie ubrania. Ona ma w sklepie rabat, a od klienta bierze pełną cenę plus procent. Spłaca się jej dług w tygodniowych ratach. Niektórzy klienci opóźniają spłaty i trzeba im wysłać listy z pogrózkami.

– Dam ci trzy pensy od każdego napisanego listu i dodatkowe trzy, gdy odniesie skutek. Jeśli chcesz u mnie pracować, przychodź wieczorem w czwartek i w piątek, tylko przynieś własny papier i koperty.

Rozpaczliwie chcę dostać tę pracę. Chcę jechać do Ameryki. Ale nie mam pieniędzy na papier i koperty. Następnego dnia dostarczam telegram do sklepu Woolwortha i tu znajduję rozwiązanie problemu – cały dział z papierem listowym i kopertami. Nie mam pieniędzy, więc muszę sobie wziąć. Ale jak? Dwa psy ratują mnie z opresji, dwa psy u wejścia do Woolwortha szczipione ze sobą po podnieceniu. Piszczą i kręcą się wkoło. Klienci i sprzedawcy chichoczą, udając, że patrzą w inną stronę. Kiedy są zajęci tym udawaniem, wsuwam papier i koperty pod sweter, wychodzę i wsiadam na rower, by jak najszybciej oddalić się od szczipionych psów.

Pani Finucane patrzy podejrzliwie.

– To bardzo elegancka papeteria, swoją drogą. Czy to twojej mamy? Oddasz jej, jak dostaniesz pieniądze, swoją drogą, co?

– Tak, oddam.

Od tej pory mam nie wchodzić do niej frontowymi drzwiami. Za domem jest uliczka i mam przychodzić pod tylne wejście, żeby mnie przypadkiem ktoś nie zobaczył.

Podaje mi z wielkiej księgi nazwiska i adresy sześciu klientów zalegających ze spłatą.

– Zagroź im, porządnie ich postrasza, swoją drogą.

Mój pierwszy list:

Szanowna Pani O'Brien!

Zważywszy na to, iż nie uznała Pani za stosowne zapłacić mi tego, co jest Pani winna, mogę być zmuszona uciec się do działań prawnych. Pani syn Michael paraduje po świecie w nowym garniturku, za który ja zapłaciłam, podczas gdy ja sama mam zaledwie okruchy, żeby zachować całość ciała i duszy. Jestem pewna, że nie chce Pani tęsknić za rodziną i przyjaciółmi w lochach więzienia Limerick.

Pozostaję w sądowym oczekiwaniu

Brigid Finucane

– Swoją drogą, to mocny list – mówi – lepszego się nie znajdzie nawet w „Limerick Leader”. To słowo „zważywszy” to prawdziwie straszne słowo. A co ono znaczy?

– Chyba że to ostatnia szansa.

Piszę jeszcze pięć listów i dostaję od niej pieniądze na znaczki. W drodze na pocztę przychodzi mi do głowy, że nie będę marnował pieniędzy na znaczki, skoro mam dwie zdrowe nogi i mogę poroznosić te listy w ciemności nocy. Kiedy jest się biednym, list z pogrózkami to list z pogrózkami, bez względu na to, jaką drogą trafił do drzwi.

Biegam po uliczkach Limerick, wsuwając listy pod drzwi i modląc się, żeby nikt mnie nie zobaczył.

W następnym tygodniu pani Finucane piszczy z radości.

– Czworo zapłaciło. Siadaj, swoją drogą, i pisz jeszcze. Nastrasż ich porządnie.

Z tygodnia na tydzień moje ostrzegawcze listy stają się coraz bardziej ostre. Zaczynam wtrącać słowa, które sam ledwo rozumiem.

Szanowna Pani O'Brien!

Zważywszy na to, że nie poddała się Pani zagrożeniu litygacji w naszej poprzedniej epistole, informujemy niniejszym, że konsultujemy się z naszym adwokatem w Dublinie.

W następnym tygodniu pani O'Brien płaci.

– Cała drży i ze łzami w oczach, swoją drogą, obiecuje, że nie opuści już żadnej raty.

W piątki wieczorem pani Finucane posyła mnie do pubu po butelkę sherry.

– Jesteś za młody na sherry. Możesz sobie zrobić herbaty, ale masz zaparzyć jeszcze raz to, co zostało z rana. Nie, nie możesz dostać kromki chleba, nie przy tych cenach, swoją drogą. Chleba, co? Następnym razem jeszcze ci się zachce jajka.

Kołysze się przy piecu, popija sherry, liczy pieniądze w portmonetce na brzuchu, zapisuje wpłaty do księgi, zanim zamknie to wszystko w skrzyni pod łóżkiem na górze. Po kilku kieliszkach mówi mi, jak przyjemnie jest mieć trochę pieniędzy, które można będzie zostawić Kościołowi na msze za spójność duszy. Szczęściem napawa ją myśl o tym, że księża będą za nią odprowadzali msze przez długie lata po jej śmierci.

Czasami zasypia, a jeśli portmonetka spada na podłogę, biorę sobie kilka szylingów ekstra za nadgodziny i za wprowadzanie tych wszystkich nowych i groźnych słów. W ten sposób będzie mniej pieniędzy dla księży i na te ich msze, zresztą czy jedna dusza potrzebuje aż tylu mszy, a poza tym czy nie należy mi się parę funtów choćby za to, że Kościół zatrząskiwiał mi drzwi przed nosem? Nie pozwolili mi zostać ministrantem, uczniem szkoły średniej, misjonarzem u białych ojców. Nie przejmuję się tym. Mam pocztową książeczkę oszczędnościową i jeśli będę dalej pisał skuteczne listy z pogrózkami, pomagał sobie kilkoma szylingami z portmonetki i zatrzymywał pieniądze na znaczki, będę miał na ucieczkę do Ameryki. Nawet gdyby cała moja rodzina miała paść z głodu, nie ruszyłbym pieniędzy z tej książeczki.

Często muszę pisać listy z pogrózkami do sąsiadów i przyjaciół mamy i trochę się boję, żeby mnie nie odkryli. Skarżą się mamie:

– Ta stara wiedźma Finucane z Irishtown przysłała mi list z pogrózkami. Co za diabeł z piekła rodem zdolny jest dręczyć ludzi ze swojej klasy takim listem, którego w ogóle nie można zrozumieć, pełnym słów zupełnie nieznanymi na niebie ani na ziemi? Ktoś, kto godzi się napisać taki list, jest gorszy niż Judasz, gorszy niż donosiciel pracujący dla Anglików.

Mama twierdzi, że każdy, kto pisze takie listy, zasługuje na gotowanie w gorącym oleju i powolne zrywanie paznokci przez gromadę ślepców.

Przykro mi z powodu ich kłopotów, ale nie mam innego sposobu oszczędzenia pieniędzy na Amerykę. Wiem, że pewnego dnia będę bogatym jankesem, przyślę do domu kilkaset dolarów i moja rodzina już nigdy nie będzie musiała się bać listów z pogrózkami.

W sierpniu niektórzy tymczasowo zatrudnieni chłopcy przystępują do egzaminu na stałą posadę.

– Frank McCourt, powinienesz zdawać – radzi pani O'Connell. – Masz trochę oleju w głowie i przejdiesz bez kłopotu. Szybko awansujesz na listonosza i będziesz wielką pomocą dla twojej biednej matki.

Mama również twierdzi, że powinienem zdawać, zostać listonoszem, odkładać pieniądze, pojechać do Ameryki i tam też pracować jako listonosz, to by dopiero było życie!

W sobotę przynoszę telegram do pubu South, siedzi tam wuj Pa Keating, jak zwykle cały czarny.

– Frankie, napij się lemoniady, chyba że chcesz kufelek, skoro masz już prawie szesnaście lat.

– Dziękuję, wujku Pa, poproszę lemoniadę.

– Będziesz chciał wypić pierwszy kufel w dniu szesnastych urodzin, co?

– Tak, ale nie ma ojca, żeby mi postawić.

– Tym się nie martw. Wiem, że bez ojca to nie to samo, ale ja ci postawię ten pierwszy kufel. Tak bym zrobił, gdybym miał syna. Przyjdź tu wieczorem w przeddzień urodzin.

– Przyjdę, wujku Pa.

– Podobno zdajesz egzamin na poczcie?

– Tak.

– Az jakiego powodu masz takie zamiary?

– To dobra praca, szybko zostanę listonoszem, a to daje emeryturę.

– Emeryturę, dobre sobie. Masz szesnaście lat i mówisz o emeryturze? Żartujesz sobie ze mnie czy co? Słyszałeś, co powiedziałem? Emerytura, dobre sobie. Jeśli zdasz ten egzamin, zostaniesz na poczcie w poczuciu bezpieczeństwa do końca życia. Ożenisz się z jakąś Brigidą, dochowasz się pięciu małych katolików i będziesz hodował kilka róż w ogrodzie. Zanim osiągniesz trzydziestkę, będziesz miał kompletne pustki w głowie, a rok wcześniej wyschną ci jaja. Podejmij własną decyzję, niech diabli wezmą pewną pracę i całą resztę. Słyszysz mnie, Frankie McCourt?

– Słyszę, wujku Pa. To samo mówił pan O'Halloran.

– Co mówił?

– Podejmij własną decyzję.

– Pan O'Halloran miał rację. To twoje życie, więc sam podejmij decyzję i nie przejmuj się nikim. W końcu i tak przecież pojedziesz do Ameryki?

– Tak, wujku Pa.

W dzień egzaminu mogę nie iść do pracy. Na O'Connell Street widzę kartkę w oknie biura: POTRZEBNY BYSTRY CHŁOPIEC, Z ŁADNYM CHARAKTEREM PISMA, DOBRY W RACHUNKACH, ZGŁOSIĆ SIĘ TUTAJ DO KIEROWNIKA PANA MCCAFFREYA, EASONS LTD.

Stoję przed budynkiem Protestantckiego Stowarzyszenia Młodych Mężczyzn w Limerick, gdzie odbywają się egzaminy. Chłopcy z całego miasta wchodzą po schodach, by przystąpić do egzaminu. Stojący w drzwiach mężczyzna rozdaje im kartki papieru i ołówki i powarkuje, żeby się pospieszyli. Patrząc na mężczyznę w drzwiach, myślę o tym, co powiedział wujek Pa Keating, myślę o wywieszce w biurze Easona POTRZEBNY BYSTRY CHŁOPIEC. Nie chcę wchodzić i zdawać egzaminu, bo jeśli to zrobię, zostanę stałym posłańcem w uniformie, potem listonoszem, a potem urzędnikiem i do końca życia będę sprzedawał znaczki. Na zawsze zostanę w Limerick, będę hodował róże, głowę będę miał pustą, a jaja wysuszone.

– Ty tam, wchodzisz, czy będziesz tak stał ze zwieszoną głową? – pyta mężczyzna w drzwiach.

Mam ochotę powiedzieć: pocałuj mnie w dupę, ale pozostało mi jeszcze kilka tygodni pracy na poczcie, a mógłby na mnie donieść. Kręcę głową i idę tam, gdzie potrzebny jest bystry chłopiec.

– Chciałbym zobaczyć próbkę twojego pisma, czyli, krótko mówiąc, przekonać się, czy ładnie piszesz – mówi kierownik pan McCaffrey. – Siadaj przy tym stole. Napisz swoje nazwisko i imię i wytłumacz w kilku zdaniach, dlaczego przyszedłeś starać się o tę pracę, jak

zamierzasz się wznosić w hierarchii firmy Eason and Son, Ltd., z uporem i wytrwałością, bo jest w tej firmie wielka szansa dla chłopaka wpatrzonego w proporczyk na przodzie i strzegącego flanków przed syrenim śpiewem grzechu.

Piszę:

Frank McCourt

4, Little Barrington Street

Miasto Limerick

Hrabstwo Limerick

Irlandia

Staram się o tę pracę, żebym mógł się wspiąć na najwyższe szczeble hierarchii Easons Ltd. z uporem i wytrwałością, wiedząc, że jeśli będę patrzył w przód i pilnował się od flanki, będę bezpieczny od pokus i przyniosę zaszczyt firmie Easons i całej Irlandii.

– Co to ma znaczyć? – pyta pan McCaffrey. – Czy mamy tu do czynienia z przeinaczeniem prawdy?

– Nie wiem, panie McCaffrey.

– Little Barrington Street. Przecież to nie żadna ulica, tylko uliczka. Dlaczego nazywasz ją ulicą? Mieszkasz na biednej uliczce, nie na ulicy.

– Nazywają ją ulicą, panie McCaffrey.

– Chłopcze, nie wnoś się ponad swój stan.

– Tego bym nie zrobił, panie McCaffrey.

– Mieszkasz na uliczce, a to oznacza, że możesz iść tylko do góry. Rozumiesz to, McCourt?

– Rozumiem, proszę pana.

– Musisz się wydostać z tego zaułka, McCourt.

– Tak, panie McCaffrey.

– Wyglądasz jak mieszkaniac zaułka, masz to wypisane na twarzy.

– Tak, panie McCaffrey.

– Ten zaułek widać we wszystkim. Od stóp do głowy. Nie próbuj nikogo zwodzić, McCourt. Musiałbyś bardzo się starać, żeby zwieść kogoś takiego jak ja.

– Nie zrobiłbym tego, panie McCaffrey.

– A teraz oczy. Masz bardzo chore oczy. Czy dobrze widzisz?

– Tak, panie McCaffrey.

– Umiesz czytać i pisać, ale czy potrafisz dodawać i odejmować?

– Potrafię, proszę pana.

– Nie wiem, jaka jest polityka firmy względem chorych oczu. Będę musiał zadzwonić do Dublina i sprawdzić, co oni o tym myślą. Ale piszesz wyraźnie. Ładny charakter pisma. Przyjmiemy cię, czekając na decyzję w sprawie oczu. W poniedziałek rano o wpół do siódmej na stacji kolejowej.

– Rano?

– Rano. Przecież nie rozdajemy porannych gazet wieczorem, prawda?

– Prawda, panie McCaffrey.

– I jeszcze jedno. Kolportujemy „The Irish Times”, gazetę protestancką, prowadzoną przez wolnomularzy z Dublina. Zabieramy ją ze stacji. Liczymy. Rozwozimy do kiosków. Ale jej nie czytamy. Nie chcę cię zastać na czytaniu tej gazety. Mógłbyś stracić wiarę, a sądząc po wyglądzie twoich oczu, mógłbyś też stracić wzrok. Słyszysz, McCourt?

– Słyszę, panie McCaffrey.

– Nie ma czytania „Irish Times”, a kiedy przyjdiesz w następnym tygodniu, powiem ci o pozostałych angielskich brudach, których nie wolno czytać w biurze. Słyszysz?

– Słyszę, panie McCaffrey.

Pani O’Connell zaciska wargi i nawet nie chce na mnie spojrzeć.

– Słyszałam, że niektórzy ważniacy z zaułków wzgardzili pocztowym egzaminem – mówi do panny Barry. – Są pewnie na to za dobrzy.

– To fakt – potwierdza panna Barry.

– Pewnie za dobrzy i dla nas.

– Pewnie tak.

– Myśli pani, że powie nam kiedyś, dlaczego nie poszedł na ten egzamin?

– Niewykluczone, jeśli padniemy przed nim na oba kolana – odpowiada panna Barry.

– Pani O’Connell, chcę jechać do Ameryki – wyjaśniam.

– Słyszała to pani, panno Barry?

– Słyszałam, pani O’Connell.

– Przemówił.

– Rzeczywiście.

– Będzie przeklinał ten dzień, panno Barry.

– Na pewno będzie, pani O’Connell.

Pani O’Connell nad moją głową porozumiewa się z chłopcami na ławce.

– To jest Frankie McCourt, który uważa, że jest za dobry na pocztę.

– Wcale tak nie uważam, pani O’Connell.

– A kto cię prosił, żebyś otwierał dziób, panie ważniaku? Za wielki dla nas, co, chłopcy?

– Rzeczywiście, pani O’Connell.

– Po tym wszystkim, co dla niego zrobiliśmy: dawaliśmy mu telegramy z dobrymi napiwkami, wysyłaliśmy na wieś w ładną pogodę, przyjęliśmy go z powrotem do pracy po skandalu u Anglika, pana Harringtona, mimo że nie okazał należnego respektu biednej nieboszczce, pani Harrington, napychał się kanapkami z szynką, upił się do nieprzytomności sherry, wyskoczył przez okno, rujnując wszystkie okoliczne krzaki róż, a kto wie, co jeszcze nawyrabiał, rozwożąc telegramy przez dwa lata. Chociaż właściwie mamy o tym niezłe pojęcie, prawda, panno Barry?

– Prawda, pani O’Connell, choć nie byłby to odpowiedni temat do rozmowy.

Pani O’Connell coś szepcze pannie Barry i obydwie patrzą na mnie, kręcąc głowami.

– Przynosi wstyd Irlandii i swojej nieszczęsnej matce. Mam nadzieję, że ona nigdy się nie dowie. Ale czego można się spodziewać po kimś, kto urodził się w Ameryce i w dodatku ma ojca z Północy? Jednak wytrzymaliśmy to wszystko i jeszcze przyjęliśmy go z powrotem.

W dalszym ciągu zwraca się do chłopaków na ławce, jakby mnie w ogóle nie było.

– Idzie pracować do Easona, do tej bandy wolnomularzy i protestantów z Dublina. Za dobry na pocztę, ale gotów z ochotą rozwozić brudne angielskie pisma wszelkiego rodzaju po całym Limerick. Samo dotknięcie takiego pisma to już grzech śmiertelny. A teraz odchodzi stąd. Nieszczęsny to dzień dla jego biednej matki, która modliła się, by syn miał emeryturę i mógł się nią zająć w latach starości. No dalej, zabieraj swoją wypłatę i znikaj nam z oczu!

– Niewdzięcznik, prawda, chłopcy? – pyta panna Barry.

– Prawda, panno Barry.

Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, co złego zrobiłem. Czy powinienem powiedzieć, że mi przykro? Pożegnać się?

Kładę pas z torbą na biurku pani O’Connell. Ona wpatruje się we mnie.

– No, dalej, idź! Idź do pracy do Easona. Jak najdalej od nas. Następny, proszę po telegramy!

Wracają do pracy, a ja zbiegam ze schodów do kolejnego etapu mojego życia.

XVII

Nie wiem, dlaczego pani O'Connell musiała mnie zawstydząć przed całym światem, wcale nie myślę, że jestem zbyt dobry na pocztę czy gdziekolwiek. Jak mógłbym tak myśleć, mam przecież takie sterczące włosy, całą twarz w kropkach pryszczu, czerwone oczy wydzielające żółtą ciecz, gnijące zęby, nie jestem barczysty, nie mam nawet grama ciała na tyłku po przejechaniu na rowerze trzynastu tysięcy mil i dostarczeniu dwudziestu tysięcy telegramów do każdych drzwi w Limerick i okolicy.

Już dawno temu pani O'Connell powiedziała, że wie wszystko o każdym posłańcu od telegramów. Musi wiedzieć o tym, jak dobieierałem się do siebie na szczycie Carrigogunnell, kiedy gapili się dziewczyny od krów, a mali chłopcy wznosili oczy do góry.

Musi wiedzieć o Theresie Carmody i o zielonej sofie, o tym, jak wprowadziłem ją w stan grzechu i wysłałem do piekła, co jest najgorszym ze wszystkich grzechów, tysiąc razy gorszym niż Carrigogunnell. Musi wiedzieć, że po śmierci Theresy nigdy nie poszedłem do spowiedzi, że sam też jestem skazany na piekło.

Osoba, która popełnia podobny grzech, nigdy nie jest zbyt dobra do pracy ani na pocztę, ani gdziekolwiek indziej.

Barman w pubie South pamięta mnie z czasów, kiedy siadywałem tam z panem Hannonem, Billem Galvinem, wujkiem Pa Keatingiem: czarne, białe, czarne. Pamięta, jak mój ojciec wydawał swoje zarobki i zasiłek dla bezrobotnych, śpiewając patriotyczne pieśni i wygłaszając mowy z ławy oskarżonych jak skazany buntownik.

– Czego chciałbyś się napić? – pyta.

– Mam się tu spotkać z wujem Pa Keatingiem i wypić pierwszy kufel.

– Coś podobnego! On zjawi się tu za chwilę, więc chyba mogę tymczasem napełnić jego kufel i ten pierwszy dla ciebie.

– Chyba tak, proszę pana.

Przychodzi wuj Pa, każe mi usiąść koło siebie pod ścianą. Barman przynosi kufle. Wujek Pa płaci, podnosi swój kufel i mówi do mężczyzn w pubie:

– To mój siostrzeniec, Frankie McCourt, syn Angeli Sheehan, siostry mojej żony; pije swój pierwszy kufel. Twoje zdrowie, Frankie, obyś żył jak najdłużej, ciesząc się kufelkiem, byle nie za bardzo!

Mężczyźni unoszą kufle, kiwają głowami, piją, na ich ustach i wąsach zostają białe linie piany. Pociągam duży łyk, a wujek Pa mówi:

– Zwolnij, na miłość boską, nie wypijaj wszystkiego od razu, jest tego więcej i nie zabraknie tak długo, dopóki rodzina Guinnessów cieszy się dobrym zdrowiem.

Chcę mu postawić kolejkę za moją ostatnią wypłatę z poczty, ale odmawia.

– Zanieś te pieniądze matce, a postawisz mi kolejkę, jak wrócisz z Ameryki z ciepłą blondynką uwieszoną na ramieniu, cały rumiany od szczęścia i sukcesu.

Mężczyźni w pubie rozmawiają o strasznej sytuacji na świecie i o tym, jak to możliwe, że Hermann Göring wymknął się katu na godzinę przed powieszeniem. Jankesi w Norymberdze twierdzą, że nie mają pojęcia, jak ten nazistowski drań zdołał ukryć pigułkę. W uchu? W nosie? W tyłku? Niechybnie jankesi zaglądali w każdy otwór każdego uwięzionego nazisty, a jednak Hermann zamydlił im oczy. Taka jest prawda. To świadczy o tym, że można przepłynąć Atlantycką, wylądować w Normandii, zmieść bombami Niemcy z powierzchni ziemi, a kiedy przychodzi co do czego, nie móc znaleźć maleńkiej pigułki ukrytej w zakamarkach tłustej dupy Göringa.

Wujek Pa stawia mi kolejny kufel. Trudniej go wypić, bo jestem już napełniony i brzuch mi sterczy. Mężczyźni rozmawiają o obozach koncentracyjnych i o nieszczęsnych Żydach, którzy nigdy nikogo nie skrzywdzili; mężczyźni, kobiety i dzieci wpychani do pieców, pomyśleć tylko: dzieci – co one mogły komu zawinić? Małe buciki porzucane wszędzie. Pub chowa się za mgłą, głosy to cichną, to nabierają mocy.

– Dobrze się czujesz? Jesteś błądy jak ściana – mówi wujek Pa. Zabiera mnie do ubikacji i obydwaj długo i z przyjemnością sikamy przy ścianie, która nie przestaje zbliżać się i oddalać. Nie mogę już wrócić do pubu, dym papierosów, zatęchły zapach guinnessa, gruba dupa Göringa, porzucane małe buciki, nie mogę już tam wejść, dobranoc, wujku Pa, dziękuję. Wujek każe mi iść prosto do domu, do matki. Nie wie nic o podnieceniu na stryżku ani o podnieceniu na zielonej sofie, ani o tym, iż jestem w stanie takiego potępienia, że gdybym teraz umarł, w mgnieniu oka znalazłbym się w piekle.

Wujek Pa wraca do swojego kufła. Ja jestem na O'Connell Street, więc dlaczego nie miałbym podejść tych kilka kroków do jezuitów i wyznać wszystkich grzechów w ten ostatni wieczór, kiedy mam jeszcze piętnaście lat. Naciskam dzwonek na plebanii, otwiera drzwi wielki chłop.

– Ojczy, chciałbym się wyspowiadać.

– Nie jestem księdzem, więc nie nazywaj mnie ojcem. Jestem bratem.

– Dobrze, bracie, chciałbym się wyspowiadać, zanim jutro zacznę szesnasty rok życia. Stan łaski w dniu urodzin.

– Odejdź, jesteś pijany. Taki dzieciak jak ty kompletnie pijany dzwoni do księdza o tej porze! Idź, bo zawołam policję!

– Nie, nie. Chciałem się tylko wyspowiadać. Jestem potępiony...

– Jesteś pijany, w nieodpowiednim stanie ducha do okazania skruchy.

Zamyka mi drzwi przed nosem. Kolejne drzwi zamknięte przed nosem, ale jutro będę miał szesnaście lat, więc dzwonię jeszcze raz. Brat otwiera drzwi, obraca mną w koło, kopie w tyłek i zrzuca ze schodów.

– Jeszcze raz zadzwonisz, a połamię ci gnaty!

Jezuici nie powinni się tak odzywać. Powinni przypominać Pana Jezusa, a nie chodzić po świecie, grożąc ludziom połamaniem kości.

Kręci mi się w głowie. Pójdę do domu położyć się do łóżka. Trzymam się balustrady wzdłuż Barrington Street, a w zaułku idę tuż przy murach. Mama siedzi przy ogniu i pali woodbine'a; bracia są w łóżku na górze.

– W ładnym stanie wracasz do domu.

Trudno mi mówić, ale wyjaśniam jej, że wypłem swój pierwszy kufel z wujkiem Pa. Nie ma ojca, który postawiłby mi pierwszy kufel.

– Wujek Pa powinien być trochę mądrzejszy.

Zataczam się do krzesła, a ona mówi:

– Zupełnie jak ojciec.

Próbuję kontrolować ruchy języka w ustach.

– Wolałbym przypominać ojca. Raczej ojca niż Lamana Griffina.

Mama odwraca się ode mnie i patrzy w popiół na kuchence, ale ja nie dam jej spokoju, bo wypłem kufel, jutro będę miał szesnaście lat, jestem mężczyzną.

– Słyszałaś? Wolę być taki jak ojciec niż jak Laman Griffin.

Mama staje naprzeciwko mnie.

– Uważaj, co mówisz!

– To ty uważaj na swój przeklęty ozór.

– Nie odzywaj się do mnie w ten sposób. Jestem twoją matką!

– Będę się odzywał, jak mi się podoba!

– Masz typową gębę posłańca.

– Czyżby? Czyżby? Wolę być posłańcem niż przypominać tego starego pijaka Lamana Griffina z zasmarkanym nosem i z tym stryszkciem, na który wdrapywali się z nim inni ludzie.

Mama wychodzi, a ja idę za nią na górę do małego pokoju. Odwraca się do mnie i powtarza:

– Zostaw mnie w spokoju, zostaw mnie w spokoju!

– Laman Griffin, Laman Griffin! – nie przestaję wykrzykiwać.

W końcu mama mnie odpycha.

– Wynoś się stąd!

Uderzam ją w policzek. W jej oczach pojawiają się łzy, wydaje dziwny dźwięk, przypominający kwilenie.

– Już nigdy nie będziesz miał okazji tego powtórzyć.

Odsuwam się od niej, na długiej liście moich grzechów pojawił się następny i wstydzę się za siebie.

Padam na łóżko w ubraniu, budzę się w środku nocy i rzygam na poduszkę, bracia skarżą się na smród, każą mi posprzątać, jestem obrzydliwy. Słyszę, że mama płacze, mam ochotę ją przeprosić, ale dlaczego miałbym ją przeproszać po tym, co robiła z Lamanem Griffinem?

Rano młodszy bracia są w szkole, Malachy szuka pracy, a mama pije herbatę przy kuchni. Kładę na stole koło jej łokcia wyplatę i odwracam się, żeby wyjść.

– Chcesz herbaty?

– Nie.

– To twoje urodziny.

– Nie obchodzi mnie to!

Mama woła za mną już na uliczce „Powinieneś coś zjeść!”, ale skręcam za róg, nie odwróciwszy się nawet. Dalej mam ochotę powiedzieć, że jest mi przykro, jeśli jednak to zrobią, będą chciał powiedzieć jej również, że to wszystko przez nią, że nie powinna była tamtego wieczoru wchodzić na stryszek, lecz w gruncie rzeczy obchodzi mnie to tyle co pierdnięcie skrzypka, bo w dalszym ciągu piszę dla pani Finucane listy z pogrozkami i odkładam na wyjazd do Ameryki.

Mam cały dzień dla siebie, zanim pójde do pani Finucane, włączą się więc po Henry Street, wreszcie deszcz zapędza mnie do kościoła Franciszkanów, gdzie święty Franciszek stoi w otoczeniu swoich ptaszków i owieczek. Patrzę na niego i zastanawiam się, jak w ogóle mogłem kiedykolwiek się do niego modlić. Nie, nie modliłem się, błagałem.

Błagałem, żeby wstawił się za Theresą Carmody, ale nigdy nic nie zrobił, stał sobie na tym swoim piedestale z uśmiechem, z ptaszkami, z owieczkami, a Theresa i ja obchodziliśmy go tyle co pierdnięcie jakiegoś skrzypka.

„Skończyłem z tobą, święty Franciszku. Idę dalej, Franciszku. Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle dali mi takie imię. Lepiej by było, gdyby nazwali mnie Malachy, po jednym królu i jednym wielkim świętym. Dlaczego nie uzdrowiłeś Theresy? Dlaczego pozwoliłeś jej pójść do piekła? Pozwoliłeś mamie wchodzić na stryszek. Mnie pozwoliłeś znaleźć się w stanie potępienia. Buciki małych dzieci rozrzucone w obozie koncentracyjnym. Znowu mam wrzód. Tkwi w mojej piersi, a ja jestem głodny”.

Święty Franciszek wcale nie pomaga, nie powstrzymuje łez tryskających mi z oczu, pociągania nosem i dławienia, a chyba sam Bóg rzucił mnie na oba kolana, głową mam na oparciu ławki, jestem tak słaby z głodu i płaczu, że mógłbym paść na podłogę. „Boże albo święty Franciszku, czy moglibyście mi pomóc? Dziś moje szesnaste urodziny, uderzyłem matkę, posłałem Theresę do piekła i onanizowałem się w całym Limerick i okolicy, a tak się boję kamienia młyńskiego u szyi”.

Czują rękę na ramieniu, brązowa szata, cichy stuk czarnych paciorków różańca. Franciszkanin.

– Moje dziecko, moje dziecko.

Jestem dzieckiem i przytulam się do niego, mały Frankie na kolanach ojca: „Tato, opowiedz mi o Cuchulainie, to moja historia, nie może jej mieć Malachy ani Freddie Leibowitz na huśtawce”.

– Moje dziecko, posiedź tu ze mną. Powiedz, co cię gnębi. Jeśli chcesz. Jestem ojciec Gregory.

– Ojczy, dziś moje szesnaste urodziny.

– To cudownie, ale dlaczego miałbyś się tym gnębić?

– Wczoraj wypilem mój pierwszy kufel.

– I co?

– Uderzyłem matkę.

– Prośmy Boga o pomoc, synu. On ci wybaczy. Czy jest coś jeszcze?

– Ojczy, nie mogę powiedzieć.

– Chciałbyś się wyświadczyć?

– Nie mogę, ojczy. Robiłem straszne rzeczy.

– Bóg wybacza wszystkim, którzy żałują za grzechy. Wysłał swego jedyne Syna, żeby za nas umarł.

– Nie mogę powiedzieć, ojczy, nie mogę.

– Ale mogłeś powiedzieć świętemu Franciszkowi, prawda?

– On mi już nie pomaga.

– Ale kochasz go?

– Tak. Mam na imię Francis.

– Więc mu powiedz. Posiedzimy tutaj, a ty powiesz mu, co cię gnębi. Jeśli będę słuchał, to tylko w charakterze uszu świętego Franciszka i Pana Boga. Czy tak będzie łatwiej?

Mówię do świętego Franciszka, opowiadam mu o Margaret, Oliverze, Eugene, o ojcu, który śpiewał Roddy’ego McCorleya i nie przynosił do domu pieniędzy, o tym, że nie przysyłał pieniędzy z Anglii, o Theresie i zielonej sofie, o moich strasznych grzechach na Carrigogunnell, dlaczego nie mogli powiesić Hermanna Göringa za to, co zrobił małym dzieciom, których buciki były rozrzucone w obozie koncentracyjnym, o Christian Brothers, którzy zamknęli mi drzwi przed nosem, o tym, jak nie pozwolono mi zostać ministrantem, o moim braciszku Michaelu, który szedł, kłapiąc oderwaną podeszwą, o moich chorych oczach, których się wstydzą, o jezuitcie, który zatrzasnął mi drzwi przed nosem, o łzach w oczach mamy, kiedy ją uderzyłem.

– Nie zechciałbyś posiedzieć chwilę w milczeniu, może pomodlić się przez kilka minut? – pyta ojciec Gregory.

Czuję na policzku szorstkość brązowego habitu i zapach mydła. Ojciec Gregory patrzy na świętego Franciszka i na tabernakulum i kiwa głową, pewnie rozmawia z Bogiem. Potem mówi, żebym uklęknął, udziela mi rozgrzeszenia, każe odmówić trzy Zdrowaś Mario, trzy Ojczy Nasz, trzy dziesiątki różańca. Mówi, że Bóg mi przebacza, a ja muszę wybaczyć sobie. Bóg mnie kocha i ja też muszę kochać siebie, bo tylko wtedy, kiedy kocha się Boga w sobie, można kochać wszystkie boże stworzenia.

– Ojczy, chciałbym coś wiedzieć o Theresie Carmody w piekle.

– Moje dziecko, ona na pewno jest w niebie. Cierpiała jak dawni męczennicy, a Bóg wie, że to wystarczająca pokuta. Poza tym siostry w szpitalu nie pozwoliłyby jej umrzeć bez księdza.

– Czy ojciec jest tego pewien?

– Jestem, moje dziecko.

Błogosławi mnie jeszcze raz, prosi, żebym się za niego modlił. Czuję się szczęśliwy na zadeszczonych ulicach Limerick, bo wiem, że Theresa jest w niebie i już nie kaszle.

Poniedziałkowy ranek, na stacji kolejowej dopiero świta. Paczki gazet i czasopism piętrzą się pod ścianą peronu. Jest też pan McCaffrey z drugim chłopcem, Williem Haroldem, przecinają sznurki na paczkach, liczą i zapisują do księgi. Angielskie gazety i „The Irish Times” trzeba dostarczyć wcześniej, czasopisma później. Liczymy gazety, przylepiamy nalepki z adresami sklepów w całym mieście.

Pan McCaffrey prowadzi furgonetką i czeka za kierownicą, a Willie i ja biegamy do sklepów z gazetami, przyjmujemy zamówienia na następny dzień, robimy odpowiednie zapisy w rejestrze. Po rozwieszeniu gazet rozładujemy w biurze czasopisma i idziemy do domu na śniadanie na pięćdziesiąt minut.

Kiedy wracam, w biurze jest jeszcze dwóch chłopców, Eamon i Peter, sortują już czasopisma, liczą je i wpychają do skrzynek wzdłuż jednej ściany. Niewielkie zamówienia rozwozi na rowerze Gerry Halvey, większe jadą furgonetką. Pan McCaffrey każe mi zostać w biurze, żebym nauczył się liczyć czasopisma i zapisywać je w rejestrze. Gdy tylko pan McCaffrey wychodzi, Eamon i Peter otwierają szufladę, gdzie chowają pety, i zapalają je. Nie mogą uwierzyć, że nie palę. Dopytują się, czy coś mi dolega, chore oczy, a może suchoty. Jak można chodzić z dziewczyną, jeśli się nie pali?

– Wyjdiesz na kompletnego idiotę, kiedy będziesz z dziewczyną, ona poprosi cię o fajkę, a ty powiesz, że nie palisz. Przecież będziesz wyglądał jak idiota – orzeka Peter.

– Jak ci się uda wyciągnąć ją w pole na drobne macanie? – zastanawia się Eamon. – Mój ojciec mówi, że mężczyznom, którzy nie piją, nie można ufać.

Peter twierdzi, że mężczyzna, który nie pije i nie pali, na pewno nie interesuje się dziewczynami i w jego towarzystwie trzeba zakrywać ręką własny tyłek, co do tego nie ma wątpliwości.

Śmieją się, co wywołuje kaszel; im bardziej się śmieją, tym bardziej kaszlą, aż w końcu trzymają się w objęciach i walą się nawzajem w plecy, wycierając łzy z policzków. Kiedy mija im atak, bierzemy czasopisma amerykańskie i angielskie i szukamy reklam damskiej bielizny, staników, majtek i długich nylonowych pończoch. Eamon przegląda amerykańskie pismo pod tytułem „See”, ze zdjęciami japońskich dziewczyn, które uszczęśliwiają żołnierzy stacjonujących daleko od domu. Eamon mówi, że musi iść do ubikacji, a kiedy wychodzi, Peter mruga na mnie: „Wiesz, po co tam poszedł, nie?”. Pan McCaffrey czasami się wścieka, kiedy chłopcy długo siedzą w ubikacji, zabawiając się ze sobą i marnując cenny czas, za który Eason im płaci, a jeszcze na dodatek wystawiają na niebezpieczeństwo swoje nieśmiertelne dusze. Pan McCaffrey nie powie wprost: „Przeście się onanizować”, bo nie można oskarżać nikogo o śmiertelny grzech, jeśli nie ma się dowodu. Czasami po wyjściu któregoś z chłopców sam idzie szpiegować do ustępu. Wraca z groźnym spojrzeniem i oznajmia:

– Nie wolno wam oglądać tych nieprzyzwoitych pism z obcych krajów. Macie je policzyć i powkładać do skrzynek, nic więcej.

Eamon wraca z ubikacji, a idzie tam Peter z amerykańskim pismem „Collier’s”, w którym są zdjęcia dziewcząt z konkursu piękności.

– Wiesz, co on tam robi? – pyta Eamon. – Sam z sobą. Pięć razy dziennie tam chodzi. Ile razy przyjdzie nowe amerykańskie pismo z damską bielizną, on tam idzie. Nigdy nie ma dosyć dobierania się do siebie. Bez wiedzy pana McCaffreya pożyczają pisma do domu i Bóg jeden wie, co wtedy ze sobą wyprawia przez całą noc. Gdyby nagle umarł, wrota piekieł otworzyłyby się na oścież.

Sam miałbym ochotę pójść do ustępu, kiedy Peter wyjdzie, ale nie chcę, żeby mówili: „Proszę, ten nowy, pierwszy dzień w pracy, a już zabiera się do siebie. Papierosa nie zapali, ale kapucyna trzepie jak stary kozioł”.

Wraca pan McCaffrey, dopytuje się, dlaczego pisma nie są jeszcze policzone, powiązane i gotowe do ekspedycji.

– Uczyliśmy tego nowego, McCourta – wyjaśnia Peter. – Bóg świadkiem, że z tymi chorymi oczami jest trochę powolny, ale nie dawaliśmy mu spokoju i teraz już jest lepszy.

Gońca Gerry’ego Halveya nie będzie przez tydzień, bo należy mu się urlop i chce go spędzić ze swoją dziewczyną Rose, która przyjeżdża z Anglii. Jako nowy będę musiał go zastąpić, jeździć po całym Limerick na rowerze z dużym metalowym koszykiem z przodu. Gerry pokazuje mi, jak ułożyć gazety i czasopisma, żeby rower nie stracił równowagi i żebym nie zleciał z siodła pod przejeżdżającą ciężarówką, bo zostałbym na drodze jak kawałek łososa. Gerry widział kiedyś żołnierza, którego przejechała wojskowa ciężarówka i który tak właśnie wyglądał, jak łosoś.

Ostatni kurs Gerry’ego wypada w kiosku Easona na stacji kolejowej w sobotę w południe, co jest wygodne, bo mogę tam się z nim spotkać, wziąć rower, a on powita przyjeżdżającą pociągiem Rose. Stoimy przy wejściu i rozmawiamy. Gerry mówi, że nie widział Rose od roku. Ona pracuje w pubie w Bristolu, co jemu się bynajmniej nie podoba, bo Anglicy obłapiają irlandzkie dziewczyny, wkładają im ręce pod spódnicę albo jeszcze dalej, a dziewczyny boją się protestować, żeby nie stracić pracy. Wszyscy wiedzą, że irlandzkie dziewczyny zachowują czystość, zwłaszcza dziewczyny z Limerick znane są z czystości na całym świecie, bo mają takich mężczyzn jak Gerry Halvey, do których mogą wracać. Zresztą po sposobie chodzenia pozna od razu, czy była mu wierna. Jeśli dziewczyna wraca po roku i chodzi w pewien określony sposób, zupełnie inaczej, niż chodziła w chwili wyjazdu, od razu wiadomo, że na wiele pozwalała tym świńskim, lubieżnym angielskim draniom.

Pociąg z gwizdem wjeżdża na stację, a Gerry macha ręką i wskazuje na Rose, która idzie w naszą stronę z końca pociągu. Rose odślania w uśmiechu białe zęby, ubrana jest w śliczną zieloną sukienkę. Gerry przestaje machać i mamrocze pod nosem:

– Popatrz, jak ona idzie, ta dziwka, suka, ulicznica, prostytutka, ladacznica! – I wybiega ze stacji. Rose podchodzi do mnie.

– Czy to Gerry Halvey stał tu z tobą?

– Tak.

– I gdzie jest?

– Poszedł.

– Wiem, że poszedł. Ale dokąd?

– Nie mam pojęcia. Nie powiedział. Po prostu pobiegł.

– A co mówił?

– Nic nie słyszałem.

– Pracujesz z nim?

– Tak. Teraz ja biorę rower.

– Jaki rower?

– Rower gońca.

– To on jeździ jako goniec?

– Tak.

– Powiedział, że pracuje u Easona w biurze jako urzędnik.

Jestem w rozpacz. Nie chcę robić kłamcy z Gerry’ego Halveya i wpędzać go w kłopoty z uroczą Rose.

– Och, po kolei jeździmy jako gońcy. Godzina w biurze, godzina na rowerze. Kierownik mówi, że to zdrowo wyjść na powietrze.

– Dobrze, odstawię walizkę do domu i pójdę do niego. Sądziłam, że mi ją poniesie.

– Mam tu rower, możesz wstawić walizkę do koszyka, odprowadzę cię do domu.

Idziemy do jej domu przy Carey’s Road, a ona mi opowiada, jak bardzo jest podekscytowana. Oszczędzała w Anglii pieniądze i teraz chce tam wrócić z Gerrym, wziąć ślub, choć on ma dopiero dziewiętnaście lat, a ona siedemnaście. Jakie to ma znaczenie, kiedy jest się zakochanym?

– Żyłam w Anglii jak zakonnica, śniłam o nim co noc. Bardzo dziękuję, że przywiozłeś mi walizkę.

Odwracam się, żeby wskoczyć na rower i pojechać do Easona, aż tu z tyłu zachodzi mnie Gerry. Ma czerwoną twarz i prychnął jak byk.

– Co robiłeś z moją dziewczyną, ty gówniarzu? Co? Jeśli się kiedyś dowiem, że coś robiłeś z moją dziewczyną, to cię zabiję.

– Nic nie robiłem. Odwiozłem jej walizkę, bo była ciężka.

– Jeszcze raz na nią spojrzysz, to nie żyjesz!

– Nie spojrzę, Gerry. Wcale nie chcę na nią patrzeć.

– Naprawdę? A niby dlaczego, jest brzydka czy jak?

– Nie, Gerry. Jest twoja i ciebie kocha.

– A skąd wiesz?

– Bo mi powiedziała.

– Powiedziała ci?

– Tak. Słowo honoru.

– Jezu!

Wali w drzwi.

– Rose, Rose, jesteś tam?

– Oczywiście, że jestem.

Odjeżdżam na rowerze z koszykiem, na którym jest napisane „Eason”, i myślę o tym, jak Gerry teraz całuje Rosę, choć na stacji wygadywał o niej takie straszne rzeczy; dziwię się, jak Peter w biurze mógł tak bezczelnie skłamać panu McCaffreyowi o mnie i o moich oczach, podczas gdy cały czas i on, i Eamon oglądali dziewczyny w bieliźnie i dobierali się do siebie w ustępie.

W biurze pan McCaffrey szaleje.

– Gdzie byłeś? Wielki Boże, czy dojazd ze stacji na rowerze musi ci zająć cały dzień? Mamy tu nagłą sprawę i potrzebny byłby Halvey, ale jest na cholernym urlopie – niech mi Bóg wybaczy ten język! – będziesz musiał pedałować jak najszybciej, dobrze, że byłeś posłańcem od telegramów i znasz każdy zakątek Limerick. Trzeba jechać do każdego sklepu, który bierze od nas prasę, złapać wszystkie egzemplarze pisma „John O’London’s Weekly” i wyrwać stronę szesnastą. A jeśli ktoś ci będzie zwracał głowę, powiesz, że to polecenie rządu i mają się nie wtrącać do spraw rządowych. Jeśli tkną cię palcem, będą ukarani aresztem, więzieniem albo wysoką grzywną. A teraz, na miłość boską, jedź już i przywieź tu wszystkie strony szesnaste, żebyśmy mogli je spalić!

– Panie McCaffrey, mam iść do wszystkich sklepów?

– Ja załatwię te duże, ty zrób wszystkie małe na drodze do Ballinacurry, na Ennis Road i dalej. Niech nas Bóg ma w swojej opiece! Idź już.

Wskakuję na rower, a Eamon wybiega na schody.

– Hej, McCourt, poczekaj! Jak wrócisz, nie oddawaj mu wszystkich stron.

– Dlaczego?

– Możemy je sprzedać, Peter i ja.

– Dlaczego?

– Bo tam jest o kontroli urodzin, a to w Irlandii zakazane.

– Co to jest kontrola urodzin?

– O Chryste, czy ty o niczym nie masz pojęcia? To kondomy, kapujesz, gumki, prezerwatywy, oponki, takie rzeczy, dzięki którym dziewczyny nie wpadają.

– Nie wpadają?

– Nie zachodzą w ciążę! Masz szesnaście lat i jesteś zupełnym ignorantem. Pospiesz się i pozbieraj te strony, zanim wszyscy rzucą się do sklepów po „John O’London’s Weekly”.

Mam już odjechać, kiedy po schodach zbiega pan McCaffrey.

- Poczekaj, McCourt, pojedziemy furgonetką. Eamon, jedziesz z nami.
- A Peter?
- Zostaw go. I tak wyląduje z czasopismem w ubikacji.

W furgonetce pan McCaffrey mówi do siebie: „Miły początek, psiakrew, telefon z Dubliną w pogodną sobotę, żeby nam kazać latać po całym Limerick i wyrywać strony z angielskiego pisma, podczas gdy można by teraz spokojnie siedzieć w domu przy herbacie i drożdżówce i czytać „The Irish Press”, trzymając nogi do góry na skrzyni pod Najświętszym Sercem. Prawdziwie cholernie miły początek”.

Pan McCaffrey biega do sklepów, a my za nim. Łapie stertą czasopism, każdemu z nas daje część i każe natychmiast wydzierać strony. Właściciele sklepów wrzeszczą:

– Co robicie? Jezus Maria, Józefie święty, czyście poszaleli? Odłóżcie te pisma na miejsce, bo zawołam policję!

– Rozporządzenie rządowe – wyjaśnia pan McCaffrey. – W tym tygodniu w „John O’London’s Weekly” są takie brudy, które nie nadają się dla irlandzkich oczu. Wykonujemy tu naprawdę boże dzieło.

– Jakie brudy? Co za brudy? Pokażcie mi te brudy, zanim zaczniecie niszczyć egzemplarze. Nie zapłacę Easonowi za te pisma, na pewno nie.

– Proszę pani, my u Easona o to nie dbamy. Wolimy raczej stracić dużo pieniędzy, niż zgorszyć tymi brudami mieszkańców Limerick i całej Irlandii.

– Jakimi brudami?

– Nie mogę powiedzieć. Chodźcie, chłopcy!

Rzucamy wydarte strony na podłogę furgonetki, a kiedy McCaffrey wyklóca się w kolejnych sklepach, pakujemy część z nich pod koszule. W furgonetce są stare czasopisma, więc drzemy je i rozrzucaamy po podłodze, żeby McCaffrey myślał, że to wszystko stronice szesnaste z „Johna O’Londona”.

Pan Hutchinson, największy odbiorca czasopism, każe McCaffreyowi wynosić się do diabła ze swojego sklepu, bo inaczej go pobije, krzyczy, by natychmiast zostawił pisma w spokoju, a kiedy pan McCaffrey nie przestaje wydzierać stron, wyrzuca go na ulicę. Pan McCaffrey wykrzykuje, że to katolicki kraj, a fakt, że Hutchinson jest protestantem, nie daje mu prawa do sprzedawania brudów w najbardziej świętym z irlandzkich miast.

– Pocałuj mnie w dupę! – woła pan Hutchinson.

– Widzicie, chłopcy? Widzicie, do czego to prowadzi, jeśli nie jest się członkiem prawdziwego Kościoła? – poucza nas pan McCaffrey.

W niektórych sklepach twierdzą, że sprzedali już wszystkie egzemplarze „John O’London’s Weekly”.

– Matko Boska, co się z nami stanie? – wzdycha pan McCaffrey. – Komu zostały sprzedane?

Domaga się nazwisk i adresów klientów, którym grozi zguba nieśmiertelnej duszy w wyniku czytania artykułów o kontroli urodzin. Pójdzie do wszystkich domów i powydziera strony z tymi świństwami. Sprzedawcy jednak odpowiadają:

– Panie McCaffrey, jest sobota wieczór, już się robi ciemno, niech się pan wypcha.

W drodze powrotnej do biura Eamon szepcze do mnie na tyłach furgonetki: „Mam dwadzieścia jeden stron. A ty?”. Jana to, że mam czternaście, choć mam ponad czterdzieści, a mówię tak dlatego, że nigdy nie można powiedzieć prawdy komuś, kto skłamał o chorych oczach. Pan McCaffrey każe nam wydarte strony przynieść z furgonetki. Zbieramy wszystko z podłogi. Jest bardzo zadowolony, siedzi przy swoim biurku w drugim końcu pomieszczenia i dzwoni do Dubliną, informując o tym, jak nacierał na sklepy niby boży mściciel i ocalił Limerick od grozy kontroli urodzin, a jednocześnie obserwuje płomień pożerający strony, które nie mają żadnego związku z „John O’London’s Weekly”.

W poniedziałek rano rozwożę rowerem czasopisma, a ludzie na widok tabliczki Easona na koszyku zatrzymują mnie, by zapytać, czy jest jakaś szansa zdobycia egzemplarza „John O’London’s Weekly”. Wszyscy wyglądają na zamożnych, niektórzy w samochodach, mężczyźni w kapeluszach, kołnierzykach i krawatach, z wiecznymi piórami w kieszeni, kobiety też w kapeluszach, z kawałkami futra zwisającego z ramion; ludzie, którzy chodzą na herbatę do Savoyu albo do Stelli i odchylają mały palec, żeby pokazać, jak dobrze są wychowani, teraz chcieliby przeczytać tę stronę o kontroli urodzin.

– Nie sprzedawaj tej cholernej strony za mniej niż pięć szylingów – powiedział mi wcześniej Eamon. Zapytałem go, czy żartuje Nie żartował. Wszyscy w Limerick rozmawiają o tej stronie i umierają z pragnienia, żeby dostać ją do rąk.

– Frankie, pięć szylingów albo nic z tego. Jeśli są bogaci, bierz więcej, ale ja będę brał tyle, więc nie psuj mi interesu niskimi cenami. Musimy dać coś Peterowi, bo inaczej pójdzie do McCaffreya i wszystko wypaple.

Niektórzy gotowi są zapłacić siedem szylingów i sześć pensów, więc w ciągu dwóch dni jestem bogaty, mam w kieszeni ponad dziesięć funtów minus funt dla podstępного Petera, który zdradziłby nas przed McCaffreym. Odkładam osiem funtów na poczcie na bilet do Ameryki. Tego wieczoru jemy olbrzymią kolację: szynkę, pomidory, chleb, masło, dżem. Mama dopytuje się, czy wygrałem na wyścigach; odpowiadam, że ludzie dają mi napiwki. Nie jest zadowolona, że jestem gońcem, bo już niżej nie można upaść w Limerick, ale jeśli mamy dzięki temu szynkę, to powinniśmy z wdzięczności zapalić świeczkę. Nie wie, że na poczcie przybywa pieniędzy na mój bilet, a umarłaby, gdyby wiedziała, że zarabiam, pisząc listy z pogroźkami.

Malachy ma nową pracę w magazynie przy warsztacie, gdzie wydaje mechanikom części, a mama opiekuje się staruszką, panem Slineyem, przy South Circular Road, kiedy obie jego córki wychodzą do pracy. Mówi, że jeśli będę rozwoził w okolicy gazety, mam przyjść tam na herbatę i kanapki. Córki nigdy się o tym nie dowiedzą, a staruszkowi jest wszystko jedno, bo przeważnie jest półprzytomny, wykończyły go te wszystkie lata w angielskiej armii w Indiach.

Mama wygląda bardzo pogodnie w kuchni tego domu, ma nienagannie czysty fartuch, wszystko wokół lśni, w ogrodzie kwitną kwiaty, ćwierkają ptaki, z odbiornika płynie muzyka z rozgłośni Eireann. Mama siedzi przy stole, na którym stoi czajniczek do herbaty, są filiżanki ze spodeczkami, mnóstwo chleba, masło i rozmaite zimne mięsa. Mogę dostać dowolną kanapkę, ale znam tylko szynkę i salceson. A salcesonu akurat nie ma, bo ten rodzaj wędliny jadają wyłącznie ludzie z uliczek i zaułków, nie podaje się jej w domach przy South Circular Road. Mama wyjaśnia, że bogaci nie jadają salcesonu, bo składa się z tego, co zmiata się z podłogi i ze stołów w wytwórni bekonu, więc nigdy nie wiadomo, co w nim jest. Bogaci bardzo uważają na to, co kładą między dwie kromki chleba. W Ameryce salceson nazywa się ser z głowizny, ale mama nie wie dlaczego.

Daje mi kanapkę z szynką i soczyste kawałki pomidora, herbatę w filiżance, na której małe różowe aniołki fruwać dokoła i wypuszczają strzały w inne latające aniołki, tym razem niebieskie. Zastanawiam się, dlaczego nie można robić filiżanek i nocników bez tych wszystkich aniołków i dziewic baraszkujących w dolinach. Mama twierdzi, że to typowe dla bogatych; uwielbiają ozdoby, które nam pewnie też by się podobały, gdybyśmy mieli pieniądze. Dałaby sobie rękę uciąć za taki dom z kwiatami i ptakami za oknem, z radiem grającym cudowny Koncert Warszawski albo Sen Olwyna, z mnóstwem filiżanek i spodeczków, na których aniołki wypuszczają strzały.

Mówi, że musi zajrzeć do pana Slineya, który jest już tak stary i słaby, że zapomina poprosić o nocnik.

– Nocnik? Musisz wylewać jego nocnik?

– Oczywiście.

Zapada cisza, chyba dlatego, że oboje pamiętamy przyczynę wszystkich naszych kłopotów – nocnik Lamana Griffina. Ale to było bardzo dawno, teraz chodzi o nocnik pana Slineya, co nie budzi sprzeciwu, bo mama dostaje za to pieniądze, a pan Sliney jest całkiem niegroźny. Mama wraca i mówi, że pan Sliney chciałby mnie zobaczyć, więc chodźmy do niego, póki nie śpi.

Pan Sliney leży w łóżku we frontowym pokoju, okno zasłania czarne prześcieradło, w ogóle nie wpada tu światło.

– Niech mnie pani trochę podniesie – mówi do mamy – i proszę zdjąć z okna to świństwo, żebym mógł chłopca zobaczyć.

Ma długie siwe włosy opadające na ramiona. Mama szepcze, że nie pozwala nikomu ich obciąć.

– Synu, mam własne zęby – oznajmia pan Sliney. – Dasz wiarę? A ty, synu, masz własne zęby?

– Tak, proszę pana.

– Byłem w Indiach, wiesz. Razem z Timoneyem, który mieszkał na tej ulicy. Ludzie z Limerick w Indiach. Znasz Timoneya, synu?

– Znam, proszę pana.

– On już nie żyje, wiesz. Biedny facet oślepl. Ja zachowałem wzrok. Mam też zęby. Musisz zachować zęby, synu.

– Tak zrobię, proszę pana.

– Czuję się zmęczony, synu, ale chciałbym ci coś powiedzieć. Słuchasz mnie?

– Słucham, proszę pana.

– Proszę pani, czy on mnie słucha?

– O tak, panie Sliney.

– To dobrze. Więc to ci chciałem powiedzieć. Pochyl się, żebym mógł ci szepnąć do ucha. Chcę ci powiedzieć: nigdy nie pal fajki innego mężczyzny.

Halvey wyjeżdża z Rose do Anglii, więc ja przez całą zimę muszę pedałowac na rowerze jako goniec. Zima jest ciężka, wszędzie lód, nigdy nie wiem, kiedy rower spode mnie wyjedzie i rzuci mnie na jezdnię czy na chodnik, a czasopisma i gazety rozsypią się wokół. Sklepy skarżą się panu McCaffreyowi, że „The Irish Times” dociera ozdobiony kawałkami lodu i psiego łajna, a on mamrocze do nas, że tak właśnie powinno się dostarczać tę gazetę, bo to protestancka szmata.

Codziennie po rozwiezieniu gazet zabieram do domu „The Irish Times” i czytam, żeby się przekonać, na czym polega zagrożenie.

– Jak to dobrze, że nie ma taty! – mówi mama. – Na pewno rozpaczałyby, że nie po to Irlandczycy walczyli i ginęli, by jego własny syn siedział przy kuchennym stole i czytał gazetę wolnomularzy.

Do wydawcy przychodzą listy od ludzi z całej Irlandii, twierdzą, że słyszeli pierwszą kukułkę w roku, a między wierszami można wyczytać, że oskarżają się wzajemnie o kłamstwo. Są sprawozdania z protestanckich ślubów i zdjęcia kobiet, zawsze wyglądających lepiej niż te, które znamy z naszych uliczek. Widać, że kobiety protestanckie mają ładne zęby, chociaż Rose Halveya też ma piękne zęby.

Nie przestaję czytać „The Irish Times” i zastanawiam się, czy to jest okazja do grzechu, ale nie bardzo się tym przejmuję. Skoro Theresa Carmody jest w niebie i nie kaszle, nie chodzę już do spowiedzi. Czytam „The Irish Times” i londyński „The Times”, ponieważ dowiaduję się z nich codziennie, co robi król, co robią księżniczki Elżbieta i Małgorzata.

Czytam angielskie czasopisma dla kobiet z powodu artykułów o jedzeniu i odpowiedzi na pytania kobiet. Peter i Eamon z angielskim akcentem udają, że czytają na głos angielskie pisma kobiece.

„Droga panno Hope, chodzę z facetem z Irlandii o nazwisku McCaffrey, on nie może ode mnie oderwać rąk i przyciska tę rzecz do mojego pępka, po prostu szaleję, bo nie wiem, co zrobić. Pozostaję, pełna niepokoju, panna Lulu Smith, hrabstwo York” – czyta Peter.

A Eamon mu wtóruje: „Droga Lulu, jeśli ten McCaffrey jest taki wysoki, że pcha swój interes do twojego pępka, to lepiej znajdź sobie niższego mężczyznę, który wsunie ci go między uda. Chyba można znaleźć w hrabstwie York porządnego niedużego mężczyznę?”.

„Droga panno Hope, mam trzynaście lat i ciemne włosy, ale dzieje się coś strasznego i nie mogę tego powiedzieć nawet matce. Co kilka tygodni krwawię, wie pani skąd, i boję się, że to się wyda. Panna Agnes Tripple, Little Biddle-on-the-Twiddle, Devon”.

„Droga Agnes, należą ci się gratulacje, teraz jesteś kobietą i możesz sobie zrobić trwałą, bo masz już miesiączkę. Nie bój się miesiączek, bo mają je wszystkie Angielki. To dar Boga, aby nas oczyścić, żebyśmy mogły mieć silniejsze dzieci dla imperium, żołnierzy, którzy utrzymają Irlandczyków na odpowiednim miejscu. W niektórych częściach świata kobieta z miesiączką jest nieczysta, ale my, Brytyjczycy, wielbimy nasze kobiety z miesiączką, naprawdę wielbimy”.

Wiosną zjawia się nowy goniec, a ja wracam do biura. Peter i Eamon spływają do Anglii. Peter ma dość Limerick. Z braku dziewczyn „człowiek zabiera się do siebie, to jedyna rzecz, jaką można robić w Limerick”. Przychodzą nowi chłopcy, ja jestem teraz najstarszy, praca staje się łatwiejsza, ponieważ wykonuję ją szybko. Kiedy pan McCaffrey wyjeżdża furgonetką, a ja skończę swoją robotę, czytam angielskie, irlandzkie i amerykańskie gazety i pisma. Dzień i noc marzę o Ameryce.

Malachy jedzie do Anglii pracować w szkole z internatem dla chłopców z bogatych katolickich rodzin; chodzi po terenie radosny i uśmiechnięty, jakby miał równe prawa z każdym z tych uczniów, a przecież powszechnie wiadomo, że jeśli pracuje się w angielskiej szkole z internatem, powinno się chodzić ze spuszczoną głową i powłóczyć nogami, jak przystało na prawdziwego irlandzkiego sługę. Wyrzucają go za jego postawę, a Malachy mówi, żeby pocałowali go w irlandzką królewską dupę, na co odpowiadają, że można się było spodziewać właśnie takiego plugawego języka i zachowania. Malachy dostaje pracę w gazowni w Coventry i wrzuca węgiel do pieca jak wujek Pa Keating. Wrzuca węgiel do pieca i czeka na dzień, kiedy będzie mógł w ślad za mną pojechać do Ameryki.

XVIII

Mam siedemnaście, osiemnaście, prawie dziewiętnaście lat, pracuję u Easona, piszę listy z pogrozkami dla pani Finucane, która twierdzi, że już niedługo zabawi na tym świecie, a im więcej mszy odprawi się za jej duszę, tym lepiej będzie się czuła. Wkłada pieniądze do kopert i wysyła mnie do kościołów w całym mieście, żebym pukał do drzwi plebanii i wręczał koperty z prośbą o msze. Chce, żeby modlili się za nią wszyscy księża prócz jezuitów.

– Oni są beznadziejni – mówi – sama głowa bez serca. To właśnie powinni mieć napisane nad swoimi drzwiami po łacinie. Nie dam im ani pensa, bo każdy pens dany jezuitom idzie na jakąś wymyślną książkę albo na butelkę wina.

Wysyła pieniądze z nadzieją, że będą odprawione msze za jej duszę, ale nigdy nie jest tego pewna, a skoro nie jest pewna, to dlaczego mam oddawać księżom wszystkie pieniądze, które są mi potrzebne na wyjazd do Ameryki? Jeśli zatrzymam sobie kilka funtów i odłożę na pocztę, kto się o tym dowie? A jeśli odmówię modlitwę za panią Finucane i zapalę świeczkę za jej duszę, gdy już umrze, Bóg na pewno wysłucha, mimo że jestem grzesznikiem, dawno po ostatniej spowiedzi.

Za miesiąc będę miał dziewiętnaście lat. Brakuje mi jeszcze kilku funtów na bilet i kilku funtów kieszonkowego na pierwsze dni w Ameryce.

W piątkowy wieczór przed moimi urodzinami pani Finucane wysyła mnie po sherry. Kiedy wracam, leży martwa na krześle, oczy ma szeroko otwarte, portmonetka na podłodze też leży szeroko otwarta. Nie mogę na nią spojrzeć, ale mogę wziąć sobie zwitek pieniędzy. Siedemnaście funtów. Biorę klucz do kufra na górze. Zabieram czterdzieści ze stu funtów i rejestr. Dołożę te pieniądze do moich oszczędności na pocztę i będę miał dosyć na wyjazd do Ameryki. Wychodząc, zabieram jeszcze butelkę sherry, żeby się nie zmarnowała.

Siedzę nad rzeką Shannon w pobliżu suchego doku i popijam sherry pani Finucane. W rejestrze znajduję nazwisko cioci Aggie. Jest winna dziewięć funtów. Może to te pieniądze, które dawno temu wydała na moje ubranie? Teraz już nie będzie musiała ich zwracać, bo ciskam rejestr do rzeki. Przykro mi, że nigdy nie będę mógł powiedzieć cioci Aggie, jak uratowałem jej dziewięć funtów. Dokucza mi nieprzyjemna myśl, że pisałem listy z pogrozkami do biedaków z uliczek i zaułków Limerick, do moich braci w niedoli. Ale rejestru już nie ma, nikt się nigdy nie dowie, ile są winni, więc oni nie będą musieli spłacać tych długów. Żałuję, że nie mogę im powiedzieć: „Jestem waszym Robin Hoodem”.

Kolejny łyk sherry. Mogę wydać funta lub dwa na mszę za duszę pani Finucane. Jej rejestr jest już daleko w dole rzeki Shannon w drodze do Atlantyku, a ja wkrótce udam się w jego ślady.

Mężczyzna w biurze podróży O’Riordana informuje, że nie może mnie zawieźć do Ameryki samolotem, bo musiałbym najpierw pojechać do Londynu, co razem kosztowałoby majątek. Może mnie wsadzić na statek „Irlandzki Dąb”, który odpłynie z Corku za kilka tygodni.

– Dziewięć dni na morzu – mówi. – Wrzesień, październik to najlepsza pora, własna kabina, trzynastu pasażerów, doskonałe jedzenie, to właściwie jak urlop za cenę pięćdziesięciu pięciu funtów. Ma pan tyle?

– Mam.

Powiadamiam mamę, że wyjeżdżam za kilka tygodni, a ona wybuchła płaczem.

– Czy my też kiedyś pojedziemy? – dopytuje się Michael.

– Tak.

– Przyślesz mi kapelusz kowbojski i coś takiego, co jak się rzuci, to wraca z powrotem? – pyta Alphie.

Michael tłumaczy mu, że to bumerang i trzeba by po to jechać aż do Australii, nie do Ameryki.

Alphie twierdzi, że tę rzecz można dostać w Ameryce; oczywiście, że można. Spierają się o Amerykę, Australię i bumerangi, aż mama się denerwuje:

– Na miłość boską, wasz brat nas opuszcza, a wy się kłóciecie o bumerangi! Uspokoicie się wreszcie?

Mama decyduje, że w wieczór przed moim wyjazdem przygotujemy pożegnalną wystawną kolację. Dawniej, kiedy ktoś wyjeżdżał do Ameryki, zawsze urządzało się przyjęcie; nazywano je amerykańską stypą, bo rodzina już nie spodziewała się zobaczyć odjeżdżającego. Mama bardzo żałuje, że Malachy nie będzie mógł przyjechać z Anglii, ale z pomocą bożą i Matki Boskiej wszyscy któregoś dnia znajdziemy się w Ameryce.

W dni wolne od pracy chodzę po całym Limerick i oglądam miejsca, gdzie mieszkaliśmy: Windmill Street, Hartstonge Street, Roden Lane, Rosbrien Road, Little Barrington Street, która w istocie jest raczej uliczką. Stoję przed domem Theresy Carmody tak długo, aż wychodzi jej matka i pyta, czego chcę. Siedzę przy grobach Olivera i Eugene'a na starym cmentarzu Świętego Patryka, przechodzę na drugą stronę ulicy na cmentarz Świętego Wawrzyńca, gdzie jest pochowana Theresa. Gdziekolwiek pójdę, słyszę głosy zmarłych i zastanawiam się, czy będą mi towarzyszyć także po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego.

Chcę utrwalić w pamięci obrazy Limerick na wypadek, gdybym tu nigdy nie wrócił. Siedzę w kościele Świętego Józefa i w kościele Redemptorystów i powtarzam sobie, że muszę się im dobrze przyjrzeć, bo mogę już ich nie zobaczyć. Idę w dół Henry Street, żeby pożegnać się ze świętym Franciszkiem, choć jestem pewien, że będę mógł z nim rozmawiać w Ameryce.

Zdarzają się takie dni, kiedy wcale nie chcę wyjeżdżać. Mam ochotę pójść do biura podróży O'Riordana i odebrać swoje pięćdziesiąt pięć funtów. Mogłbym poczekać, aż skończę dwadzieścia jeden lat, i wtedy Malachy pojechałby ze mną; miałbym chociaż jedną znajomą osobę w Nowym Jorku. Nachodzą mnie dziwne uczucia i czasami, kiedy siedzę w kuchni z mamą i z braćmi, czuję napływające do oczu łzy i wstydzę się swojej słabości. Mama początkowo śmieje się ze mnie: „Chyba masz pęcherz bardzo blisko oczu”, ale zaraz Michael oznajmia: „Wszyscy pojedziemy do Ameryki, będzie tam tata i Malachy i będziemy wszyscy razem”. I mama też ma łzy w oczach. Siedzimy tak we czwórkę jak zapłakani idioci.

Mama mówi, że właściwie po raz pierwszy jest u nas przyjęcie. Czy to nie smutne, że odbywa się akurat wtedy, kiedy dzieci po kolei odchodzą: Malachy do Anglii, Frank do Ameryki. Oszczędza parę szylingów z pieniędzy za opiekę nad panem Slineyem i kupuje chleb, szynkę, salceson, ser, lemoniadę, a także kilka butelek piwa. Wujek Pa Keating przynosi piwo, whisky i niewielkie sherry na wrażliwy żołądek cioci Aggie, a ciocia przynosi ciasto z rodzynkami, które sama upiekła. Opat przynosi sześć butelek piwa.

– W porządku, Frankie, możecie pić pod warunkiem, że zostawicie dla mnie jedną czy dwie butelki, żeby mi było łatwiej zaśpiewać.

Śpiewa „Drogę do Rasheen”. Trzyma w ręku butelkę, zamyka oczy, a piosenka wydaje się przeciągłym jękiem na wysokiej nucie. Słowa nie mają żadnego sensu i wszyscy się zastanawiają, dlaczego spod jego zamkniętych powiek płyną łzy.

– Dlaczego on płacze nad piosenką, która w ogóle nie ma sensu? – szepcze do mnie Alphie.

– Nie wiem.

Opat kończy śpiewać, otwiera oczy, wyciera policzki i wyjaśnia, że to smutna opowieść o irlandzkim chłopcu, który pojechał do Ameryki, postrzelili go gangsterzy i zmarł, zanim zdążył dotrzeć do niego ksiądz. Ostrzega mnie, żebym nie dał do siebie strzelać, kiedy nie będzie w pobliżu księdza.

Wujek Pa twierdzi, że nigdy nie słyszał smutniejszego utworu, czy nie dałoby się zaśpiewać czegoś weselszego? Namawia mamę, a ona się wzbrania:

- Och, nie, Pa, nie starczy mi tchu.
- Daj spokój, Angela, śpiewaj.
- Dobrze, spróbuję.

Wszyscy śpiewamy refren jej rzewnej piosenki.

*Gdziekolwiek w kwiecie znajdziesz się,
Matczyna miłość dosięgnie cię,
Więc ciesz się nią, dopóki trwa,
Dopóki żyje matka twa.*

Wujek Pa twierdzi, że jedna piosenka gorsza od drugiej, że robimy z tego wieczoru stypę. Czy jest szansa, że ktoś zaśpiewa coś wesolego, czy też przyjdzie się upijać na smutno?

- O Boże! – woła ciocia Aggie – zapomniałam. Teraz jest zaćmienie Księżyca.

Stoimy na uliczce, obserwując, jak Księżyc znika za czarnym kulistym cieniem.

- Frankie, to dobry znak na twój wyjazd do Ameryki – mówi wujek Pa.

– O nie – poprawia ciocia Aggie – to zły znak. Czytałam w gazecie, że Księżyc się przygotowuje na koniec świata.

– Koniec świata, też coś – kpi wujek Pa. – Dla Franka McCourta to początek. Wróci za kilka lat w nowym garniturze, obrośnięty tłuszczem jak każdy jankes, mając u boku uroczą dziewczynę o białych zębach.

– Och, nie, Pa, nie! – protestuje mama. Zabierają ją do domu i pocieszają kropelką sherry z Hiszpanii.

„Irlandzki Dąb” wypływa z Corku późnym popołudniem, mija Kinsale i przylądek Clear. Jest już zupełnie ciemno, kiedy migają światła Mizen Head, ostatniego kawałka Irlandii, jaki zobaczę Bóg wie za jak długo.

Niewątpliwie powinienem był zostać, zdać egzaminy na pocztę, wznosić się po szczeblach drabiny. Zarobiłbym dosyć pieniędzy, żeby Michael i Alphie mogli chodzić do szkoły w prawdziwych butach i z pełnymi brzuchami. Moglibyśmy się przeprowadzić z uliczki na ulicę, czy nawet aleję, gdzie przy domach są ogrody. Powinienem był przystąpić do tego egzaminu, a mama już nigdy nie musiałyby wypróżniać nocników pana Slineya ani niczyich.

Teraz za późno. Jestem na statku, Irlandia odchodzi w ciemność. Głupio tak stać na pokładzie, rozmyślając o O’Riordanie, o Limerick, o Malachym i ojcu w Anglii, a jeszcze głupsze jest to, że przez głowę przelatują mi piosenki o Roddym McCorleyu, który ma umrzeć; w mojej pamięci mama wzdycha na wspomnienie tańców w Kerry, a biedny pan Clohessy kaszle na łóżku. Teraz znów marzę o Irlandii; przynajmniej jest tam mama i bracia, i ciocia Aggie, choć taka zła, i wujek Pa, który postawił mi pierwszy kufel, i pęcherz tak blisko moich oczu. Obok mnie na pokładzie stoi ksiądz i widać, że jest bardzo zadowolony.

Pochodzi z Limerick, ale mówi z amerykańskim akcentem nabytym w ciągu wielu lat spędzonych w Los Angeles. Wie, co to znaczy opuszczać Irlandię, sam przecież to zrobił i nigdy nie zapomniał tej chwili. Mieszka w Los Angeles pełnym słońca i palm, gdzie prosi Boga choć o jedną chwilę delikatnej mżawki z Limerick.

Ksiądz siada obok mnie przy stole pierwszego oficera, który informuje nas, że zmieniono kurs i statek zamiast do Nowego Jorku płynie do Montrealu.

Po trzech dniach znowu następują zmiany. Jednak płyniemy do Nowego Jorku.

– Cholerni Irlandczycy. Nie mogą się na nic zdecydować – narzekają trzej amerykańscy pasażerowie.

Na dzień przed zawinięciem do Nowego Jorku w planach ponownie wprowadzono poprawki. Płyniemy w górę rzeki Hudson do miejscowości zwanej Albany.

– Albany? Przeklęte Albany! Dlaczego musieliśmy płynąć na tej przeklętej irlandzkiej łajbie? Cholera! – powtarzają Amerykanie.

Ksiądz radzi, żebym nie zwracał na to uwagi. Nie wszyscy Amerykanie są tacy.

O świcie, kiedy wpływamy do Nowego Jorku, stoję na pokładzie. Mam wrażenie, że to film, który zaraz się skończy, i w kinie Lyric zapalą się światła. Ksiądz chce mi pokazywać różne rzeczy, ale nie jest to potrzebne. Widzę Statuę Wolności, wyspę Ellis, Empire State Building, budynek Chryslera, most Brooklyński. Po drogach pędzą tysiące samochodów, a słońce wszystko wyłącza. Bogaci Amerykanie w cylindrach, krawatach i frakach wracają pewnie do domów, żeby położyć się do łóżek ze wspaniałymi kobietami o białych zębach. Reszta idzie do pracy, do ciepłych, wygodnych biur. Nikt nie ma tu żadnych zmartwień.

Amerykanie kłócą się z kapitanem i z człowiekiem, który wszedł na pokład z holownika. Dlaczego nie możemy tutaj zejść na ląd? Dlaczego musimy płynąć do cholernego Albany?

– Ponieważ jesteście pasażerami na tym statku, a kapitan to kapitan, nie mamy formalnych możliwości, żeby was tutaj wysadzić na ląd – wyjaśnia człowiek z holownika.

– Czyżby? To wolny kraj, a my jesteśmy obywatelami amerykańskimi.

– Naprawdę? Ale jesteście na irlandzkim statku z irlandzkim kapitanem i musicie robić to, co on wam powie, albo płynąć do brzegu.

Schodzi po drabinie, holownik się oddala, a my płyniemy w górę rzeki Hudson; mijamy Manhattan, przepływamy pod mostem George'a Washingtona, zostawiamy za sobą setki statków Liberty, które wykonały swoje wojenne zadania, a teraz zaczynają rdzewieć, zakotwiczone w miejscu.

Kapitan oznajmia, że z powodu przypływu będziemy musieli zarzucić na noc kotwicę naprzeciwko miejsca zwanego Poughkeepsie. Ksiądz przeliterowuje mi tę nazwę. To indiańskie słowo, a Amerykanie wymawiają je właśnie tak: Poughkeepsie.

Po zapadnięciu zmroku do burty statku przybija niewielka łódź i ktoś swojskim głosem woła:

– Halo, na Boga, zobaczyłem irlandzką flagę, jak mi Bóg miły. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Witam!

Zaprasza pierwszego oficera na brzeg na kieliszczyk, oznajmia, że może zabrać z sobą przyjaciela. Ksiądz też niech przyprowadzi przyjaciela.

Ksiądz zaprasza mnie. Schodzimy po drabinie do niewielkiej łodzi z pierwszym oficerem i oficerem radiowym. Mężczyzna w łodzi mówi, że nazywa się Tim Boyle, pochodzi z Mayo i niech Bóg nas zachowa, ale przycumowaliśmy w dobrym miejscu i o dobrej porze, bo właśnie odbywa się niewielkie przyjęcie, na które wszyscy jesteśmy zaproszeni. Prowadzi nas do domu z trawnikiem, fontanną i trzema różowymi ptakami stojącymi na jednej nodze. W pokoju zwanym pokojem dziennym jest pięć kobiet. Mają sztywne fryzury i nienagane suknie.

W rękach trzymają kieliszki, uśmiechają się przyjaźnie, pokazując przy tym idealne zęby.

– Wchodźcie, w samą porę na bankiet – zaprasza jedna z nich.

Bankiet. Oni tak mówią, pewnie za kilka lat ja też tak będę mówił.

Tim Boyle wyjaśnia, że dziewczyny potrzebują trochę rozrywki, bo mężowie pojechali na całonocne polowanie na jelenie. Jedna z kobiet, Betty, dodaje:

– Tak. Kumple z wojny. Wojna się skończyła już prawie pięć lat temu, a oni nie mogą o niej zapomnieć, więc muszą w każdą sobotę i niedzielę strzelać do zwierząt i tak się opić rheingoldu, aż przestają cokolwiek widzieć. Cholerna wojna, za przeproszeniem księdza.

– To złe kobiety – szepcze do mnie ksiądz. – Nie zostaniemy tu długo.

– Czego się napijecie? – pyta zła kobieta. – Mamy wszystko. Jak się nazywasz, skarbie?

– Frank McCourt.

– Ładnie. Więc napijesz się czegoś? Irlandczycy zawsze czegoś się napiją. Lubisz piwo?

– Tak, poproszę.

– O, jaki uprzejmy! Lubię Irlandczyków. Moja babka była w połowie Irlandką, to znaczy, że ja też jestem pół czy ćwierć? Nie wiem. Mam na imię Frieda. To twoje piwo, skarbie.

Ksiądz siedzi na skraju sofy, którą oni tu nazywają kozetką, rozmawiają z nim dwie kobiety. Betty pyta pierwszego oficera, czy chciałby obejrzeć dom, a on odpowiada:

– O tak, nie mamy takich domów w Irlandii.

Inna kobieta zwraca się do oficera radiowego z propozycją, by zobaczył, co uprawiają w ogrodzie, wprost niewyobrażalne kwiaty. Frieda chce wiedzieć, czy się dobrze czuję; odpowiadam, że tak, tylko czy mogłaby mi pokazać, gdzie jest ubikacja.

– Co takiego?

– Ubikacja.

– A, chodzi ci o łazienkę. Tędy, skarbie, na końcu korytarza.

– Dziękuję.

Otwiera drzwi, zapala światło, całuje mnie w policzek i szepcze, że gdybym czegoś potrzebował, będzie za drzwiami.

Stoję nad miską klozetową, sikam i zastanawiam się, co będzie mi potrzebne w takiej chwili i czy to w Ameryce zwyczajna rzecz, że kobieta czeka na zewnątrz, kiedy człowiek leje.

Kończąc, spuszczam wodę i wychodzę. Frieda bierze mnie za rękę i prowadzi do sypialni, odstawia swój kieliszek, zamyka drzwi na klucz, popycha mnie na łóżko. Gmera przy moim rozporoku. „Do diabła z tymi guzikami! Nie macie w Irlandii suwaków?”. Wyciąga moje podniecenie, wchodzi na mnie, porusza się w górę i w dół. Jezu, jestem w niebie! Ktoś puka do drzwi.

– Frank, jesteś tam? – pyta ksiądz. Frieda kładzie palec na ustach i wznosi oczy do góry. – Frank, jesteś tam?

Czy ksiądz sam by nie spróbował? O Boże, Theresa, czy widzisz, co się ze mną dzieje? Nareszcie! Nawet gdyby sam papież pukał do drzwi, obchodziłoby mnie to tyle co pierdnięcie jakiegoś skrzyпка, choćby i całe kolegium kardynałów gapiło się przez okno. O Boże, moje całe wnętrze weszło w nią; ona teraz się łamie, mówi, że jestem wspaniały, może jednak zdecydują się osiąść w Poughkeepsie.

Frieda wyjaśnia księdzu, że po wyjściu z łazienki zakręciło mi się w głowie, co się może każdemu przydarzyć w podróży, kiedy pije się takie dziwne piwo jak rheingold, którego chyba nie ma w Irlandii. Widzę, że ksiądz jej nie wierzy. Nie mogę nic poradzić na to, że fala gorąca oblewa moją twarz i odchodzi. Ksiądz zdążył już zapisać adres i nazwisko mamy. Boję się teraz, że napisze, jak jej udany syn spędził swoją pierwszą noc w Ameryce w sypialni w Poughkeepsie, baraszkując z kobietą, której mąż pojechał polować na jelenie, żeby zaznać trochę relaksu po poświęcaniu się dla Ameryki w czasie wojny. Czy to nie wspaniały sposób traktowania ludzi, którzy walczyli za swój kraj?

Pierwszy oficer i oficer radiowy wracają po zwiedzeniu domu i ogrodu i nie patrzą na księdza. Kobiety mówią, że na pewno umieramy z głodu, i idą do kuchni. Siedzimy w milczeniu, słuchamy dochodzących z kuchni szepcótów i śmiechów kobiet. Ksiądz znowu szepcze do mnie: „Złe kobiety, złe kobiety, okazja do grzechu”, a ja nie wiem, co mu odpowiedzieć.

Złe kobiety przynoszą kanapki, dolewają piwa, a kiedy kończymy jeść, nastawiają płytę Franka Sinatry i pytają, czy któryś z nas ma ochotę zatańczyć. Nikt się nie decyduje, bo przecież nie można wstać i tańczyć ze złą kobietą w obecności księdza, więc one tańczą ze sobą i śmieją się, jakby miały jakieś tajemnice. Tim Boyle pije whisky i zasypia w kącie; budzi go Frieda i oznajmia, że pora odwieźć nas na statek. Kiedy wychodzimy, Frieda pochyla się nade mną, jakby chciała pocałować mnie w policzek, ale ksiądz mówi dobranoc bardzo ostrym tonem, tak że nikt z nas nawet nie żegna się uściskiem dłoni. Kiedy idziemy w stronę rzeki, słyszymy śmiechy kobiet, dźwięczne i wyraźne w nocnym powietrzu.

Wspinamy się po drabinie, a Tim woła z łódki:

– Uważajcie na tej drabinie! Och, chłopaki, czy to nie był wspaniały wieczór? Dobranoc, chłopaki, i dobrej nocy księdzu!

Patrzemy za nim, dopóki mała łódka nie znika na tle ciemnych brzegów Poughkeepsie. Ksiądz życzy nam dobrej nocy i schodzi pod pokład, a pierwszy oficer idzie w jego ślady.

Stoję na pokładzie z oficerem radiowym i patrzę na mrugające światła Ameryki.

– O Boże, Frank, to był cudowny wieczór. Czy to nie wspaniały kraj?

Rzeczywiście.